

GORDON R. DICKSON

SMOK

i PIĘKNE DZIEWCZĘ
Z KENTU



GORDON R. DICKSON
Smok i piękne dziewczę z Kentu

Przełożył Zbigniew A. Królicki



**DOM WYDAWNICZY REBIS
POZNAŃ 2002**



Tytuł oryginału

**The Dragon and the Fair Maid of
Kent**

**Copyright © 2000 by Gordon R.
Dickson**

All rights reserved

Copyright © for the Polish edition

by REBIS Publishing House Ltd.
Poznań 2002
Redaktor
Agnieszka Horzowska
Opracowanie graficzne serii i projekt
okładki
Jacek Pietrzyński
Ilustracja na okładce
© Julie Bell/via Thomas Schlück
GmbH
Wydanie 1

ISBN 83-7301-082-3

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171
Poznań
tel. 867-47-08, 867-81-40;
fax 867-37-74

e-mail: rebis@rebis.com.pl

www.rebis.com.pl



POZNAŃSKA DRUKARNIA NAUKOWA Sp. z o.o.
60-281 Poznań, ul. Heweliusza 40

Smok

i Piękne Dziewczę

z Kentu

Rozdział 1

Jim (baron sir James Eckert, pan zamku Malencontri i okolicznych włości, a teraz również adept zaawansowanej sztuki magicznej) obudził się na dwie godziny przed zachodem księżyca, po czym wstał z łóżka i podszedł do okna słonecznej komnaty.

Na łożu za plecami Jima spokojnie spała jego żona Angie, czyli lady Angela. Za oknem wciąż była noc, bezchmurna i księżycowa. Miesiąc oglądany z samego szczytu zamkowej wieży, w której mieściła się duża słoneczna komnata, stał jeszcze wysoko na niebie i oświetlał ziemię swym jasnym blaskiem.

Za obszarem otwartej przestrzeni, rozciągającym się dookoła zamku, wysokie drzewa tworzyły nieprzeniknioną ścianę mroku, a lekkie lśnienie źdźbeł trawy świadczyło o tym, że niedawno spadł nocny deszczyk.

Wyglądając przez okno, Jim dostrzegł dwie uginające się pod ciężarem tobołków postacie, które wyszły z lasu po prawej stronie i przeszły przez otwartą przestrzeń, zmierzając w kierunku przeciwległej ściany lasu. Jedna z postaci była wyższa od drugiej, szły powoli, z trudem, dźwigając na ramionach swe worki.

Widocznie przebudził ich nadchodzący świt i nadzieja, że słońce, wysuszy ich nędzne odzienie – najprawdopodobniej cały swój dobytek dźwigali na ramionach – a także trochę rozgrzeje ich kości. Dlatego opuścili leśną kryjówkę, w której schronili się przed deszczem, żeby znów ruszyć w drogę – nie wiedząc dokąd, lecz z pewnością do miejsca nieco lepszego niż to i o wiele lepszego od tego, które opuścili.

Patrząc na nich przez zrobioną z dziesięciocentymetrowych kwadratów szkła szybę w oknie słonecznej komnaty, ogrzewanej płonącym na kominku ogniem podsycanym w nocy przez służącą, która wraz z wartownikiem przez całą noc czuwała pod drzwiami, Jim poczuł, że przechodzi go zimny dreszcz.

Z każdym dniem pojawiało się więcej uchodźców. Uciekając przed dżumą, szalejącą teraz we Francji, zawsze podążali na zachód i zawsze byli tak biedni, że nie mieli nawet osiołka dźwigającego ich dobytek, nie mieli też konkretnego celu podróży. Wiódł ich tylko instynkt samozachowawczy. Jim zadrżał. Byli strudzeni, zziębnięci, z pewnością głodni, jeśli nie umierający z głodu. Wszyscy zamykali przed nimi drzwi, obawiając się zarazy, przed którą uciekali wędrowcy.

Z tego powodu nie przyjmie ich żadna społeczność. Może jakiś dobry chrześcijanin wystawi im na próg coś do jedzenia, ale nic więcej – a i na to nie mogli liczyć. Zapewne stracili już wszelką nadzieję na pomoc, nawet ze strony niebios.

Niemal na pewno zaś utracili już Wiarę i Miłość, dwa wielkie filary średniowiecznego świata, dostępne także dla najbiedniejszych. Wiarę, dającą nadzieję na życie pozagrobowe, osłabił potworny wysiłek utrzymywania się przy życiu. Miłość, w każdym znaczeniu tego słowa do żony, dzieci, przyjaciół, społeczności i ojczyzny – we wszystkich swych odmianach obecna w średniowiecznym społeczeństwie, kiedyś była ich oparciem, które teraz stracili.

Pozostał im jedynie instynkt pchający ich do ucieczki. Gnani nim, bezmyślnie wędrowali na zachód, wciąż na zachód, jak stado bydła umykające przed gwałtowną śnieżycą.

Jim przypomniał sobie, jak skłamał, podając się za rycerza i barona, kiedy razem z Angie, teraz już jego żoną, znaleźli się w tym średnio wiecznym świecie, tak bardzo różniącym się od tego, w którym się urodził i wychował. Teraz stał tutaj, w ciepłe, bezpieczny i najedzony, jak szlachcic, za jakiego się podał. To prawda, że robił to, co powinien robić człowiek o takiej pozycji. Przestrzegał prawa. W razie potrzeby walczył odpowiednią bronią, stosując się do obowiązujących tu zasad. Może nie robił tego najlepiej, ale wystarczająco dobrze. Los nagroził go za wysiłki utrzymania się przy życiu. Tamtych wędrowców – nie. Życie tutaj było równie niesprawiedliwe jak w dwudziestowiecznym świecie, w którym się urodził.

Ci, których obserwował, może w końcu dotrą do morza – nie znajdowało się ono aż tak daleko – tylko że i tam nie czeka ich nic dobrego. Co wówczas zrobią? Utopią się jak lemingi podczas swych wiosennych migracji? Wydawało się, że nie będą mieli po co dalej żyć.

Chłód przenikał całe jego ciało i Jim wiedział, co było tego przyczyną: pytanie, które wciąż sobie zadawał przez ostatnie dwa z tych kilku lat, jakie razem z Angie

spędzili w tym świecie, niemal dokładnie takim jak średniowieczny okres rzeczywistości, z której pochodzili.

„Czy naprawdę tutaj jest nasze miejsce, moje i Angie?” I w chwili gdy znów zadał sobie to pytanie, pojawił się przy nim Carolinus, jego mistrz magii.

–Wstałeś! Doskonale! – powiedział. Czerwona toga była mocno wyświechtana, jak wszystkie jego szaty, i taka pozostanie aż do chwili, kiedy Carolinus będzie mniej zajęty i zauważywszy to, odświeży ją i oczyści. – Jim, mam tylko chwilkę, żeby powiedzieć ci coś ważnego.

–Ciii! – uciszył go Jim. – Angie śpi!

–Nie obudzi się podczas naszej rozmowy – odrzekł Carolinus – a ty, Jim, spróbuj poćwiczyć okazywanie szacunku należnego starszym magom. Wkrótce może ci się to przydać. Chociaż jesteś teraz adeptem zaawansowanej sztuki magicznej, to jeszcze nie dorównujesz prawdziwym magom, nie mówiąc już o mnie. Czy muszę ci przypominać, że nie tylko jestem magiem najwyższej rangi, ale także jednym z trzech magów klasy AAA+ na świecie?

–Oczywiście, że nie – odparł Jim. – Nigdy o tym nie zapomnę. Sądziłem jednak, że prywatnie możemy dać sobie spokój z takimi formalnościami.

–Czasem tak, a czasami nie! Teraz nie pora na to. Przybywam do ciebie osobiście o tak wczesnej porze, żeby żaden inny mag przypadkiem nie usłyszał – nawiasem mówiąc, i tak byłoby to niemożliwe dzięki zaklęciu, jakim nas otoczyłem – tego, co mam zamiar ci powiedzieć. Dzieląc się z tobą tą informacją, naruszam prawa Zgromadzenia Magów, a dwa z tych praw osobiście pomagałem ustanowić. To ja cię obudziłem, to ja dałem ci chwilę, żebyś oprzytomniał i mógł w pełni pojąć znaczenie tego, co mam ci do powiedzenia.

–Przepraszam – powiedział Jim. – Wiesz co, Carolinusie, jeszcze dziesięć minut temu smacznie spałem i właśnie zamierzałem wrócić do łóżka. Może powiesz mi rano...

–Jim, posłuchaj! Nie wolno ci o tym nikomu mówić, nawet Angie. Są sprawy, o których żaden adept nie powinien dowiedzieć się przedwcześnie. Na przykład o tym, że jego mistrz magii zaproponował, by awansowano go na członka rzeczywistego – przynajmniej dopóki Zgromadzenie nie zgodzi się rozpatrzyć jego kandydatury. Mówię ci o tym teraz. Jest także druga sprawa, która mnie tu sprowadza, ponieważ problem jest poważny, a sądzę, że dostrzegam w tobie zdolności, jakich jeszcze nigdy nie wykazywał żaden adept.

–Rozumiem – rzekł Jim, teraz już zupełnie rozbudzony. Był pod wrażeniem tego, co powiedział mu Carolinus. Stary mag jeszcze nigdy nie rozmawiał z nim tak ponagląjącym tonem. – W porządku, jeżeli to tak poważna sprawa, to nic nie powiem Angie, chociaż zwykle nie mamy przed sobą żadnych sekretów.

–To nie jest twój sekret!

Carolinus przez chwilę mierzył go gniewnym wzrokiem. Wydawało się, że siary mag urósł w oczach.

–Rozumiem – powiedział Jim.

–A więc wbij to sobie do głowy. Cokolwiek będzie trzeba zrobić, bez względu na

to, ile by to miało kosztować ciebie, mnie czy kogokolwiek innego – król nie może zginąć! Król nie może zginąć!

–Już o tym wspominałeś – zauważył Jim – ale nigdy tak poważnie. Czy grozi mu jakieś... – zamierzał zapytać, ale nie zdążył.

Carolinus znikł.

Jim cicho wrócił do łóżka i ostrożnie wsunął się pod kołdrę. Angie nie poruszyła się. Wciąż miał przed oczami tamtych dwóch uchodźców podążających na zachód i ten obraz przesłaniał mu to, co powiedział Carolinus. Wiadomość o tym, że rozpatrzą jego kandydaturę na członka Zgromadzenia, była pomyślna – miał pewne plany z tym związane – ale bynajmniej nie zaskakująca. W końcu będą musieli coś z nim zrobić.

Chociaż nie miał na to żadnych dowodów, był pewien, że żaden praktykant magii nie mógł się z nim równać pod względem magicznych umiejętności – nie na tym świecie. Nie zawdzięczał tego jednak swoim wrodzonym talentom w tej dziedzinie. Wynikało to z przewagi, jaką dawało mu wychowanie w świecie, który pod względem postępu nauki i wiedzy wyprzedzał ten o pięćset lat.

Natomiast niezwykła troska Carolinusa o bezpieczeństwo króla to zupełnie inna sprawa. Stary mag z pewnością miał po temu jakiś powód i to powód wywołujący głęboki niepokój wszechświatowego Zgromadzenia Magów. Zgodnie z historią, którą Jim studiował, Edward III powinien żyć jeszcze wiele lat.

Jednak, przypomniał sobie Jim, wydarzenia tutaj nie zawsze przebiegają tak, jak to przedstawiano w świecie, z którego pochodzę.

Ta ostatnia myśl wciąż nie dawała mu spokoju, niepokój zaś podsycaly emocje wywołane widokiem uchodźców. Był bardzo zmęczony i potrzebował snu, ale nie mógł zasnąć.

Myśl gonila myśl. Rozważał liczne możliwości. Rozmaite scenariusze, w których musiał uporać się z najróżniejszymi problemami... Służąca kilkakrotnie wchodziła cicho do komnaty, żeby dołożyć drewna do kominka. Za każdym razem Jim udawał, że śpi.

W końcu rzeczywiście zasnął, ale niezbyt głęboko, a zbudziwszy się, ujrzał za oknami szary przedświt. Angie nie było. Wstał, ubrał się, wezwał służącą, by zaścieliła łóżko. a potem położył się na nim.

Znów zapadł w sen. Tym razem śnił, aż trzask otwieranych drzwi obudził go równie gwałtownie, jakby zrobił to budzik.

–Jim! – powiedziała lady Angela Eckert, zamykając drzwi. Weszła do środka, oświetlona jasnym blaskiem poranka wpadającym przez okna słonecznej komnaty, pospiesznie podeszła do łóżka i spojrzała na męża. – Jesteś biały jak prześcieradło!

Jim spoglądał na nią, leżąc na wielkim łożu, i próbował zażartować, ale mu nie wyszło. Chciał, by jego słowa zabrzmiały żartobliwie, ale osiągnął raczej przeciwny efekt:

–Właśnie ktoś przeszedł po moim grobie.

Angie nadal przyglądała mu się, a jej mina zdradzała mieszane uczucia: niepokój, troskę i wzbierający gniew.

–Co, do licha, masz na myśli, wygadując takie głupstwa? – powiedziała w końcu

łagodnie i kiedy usiadła na skraju łoża, na jej twarzy malował się tylko niepokój. –
Leżysz, wystrojony, na zaścielonym łóżku.

–Wystrojony?

Popatrzył na siebie. Zupełnie zapomniał, że się ubrał – a nawet wystroił – w swoje najlepsze ubranie, a także o tym, że leży na pościelonym łóżku. Przypomniał sobie swój sen.

Tymczasem Angie mówiła dalej, spoglądając na niego z jeszcze większą troską.

–...pozwoliłam ci dłużej pospać, bo wyglądałeś na zmęczonego. Jednak dzisiaj wszyscy w zamku będą harowali jak bobry...

–Żadne bobry – przerwał jej, wciąż oszołomiony. – Czternasty wiek. Anglia. Nie ma tu bobrów.

–No to pszczoły, którym nasypano soli na ogony! Jeśli mamy przygotować zamek na ślub Geronde i Briana...

–Służba zajmie się wszystkim – powiedział i znów zawiódł go głos. – Nie pozwolą mi niczego dotknąć.

–Nie o to chodzi i dobrze o tym wiesz. Muszą zobaczyć twoją gniewną minę, jakbyś sam zamierzał wszystko zrobić, jeśli się nie postarają. Chcą, żebyś był wzburzony i przejęty, żeby oni też mogli być wzburzeni i przejęci. W końcu ta para to twoi najlepsi przyjaciele i wszyscy o tym wiedzą. Kościół w drodze wyjątku zezwolił na powtórne ogłoszenie zapowiedzi, trzeba więc szybko uporządkować naszą starą kaplicę zamkową, żeby Geronde miała swoją mszę po zaślubinach, i w ogóle.

Miała rację, więc nic nie odpowiedział.

–A ty sobie leżysz – ciągnęła – trzy godziny po wschodzie słońca, w najlepszym ubraniu, i nic nie robisz!

Nie mógł zaprzeczyć, że włożył swoje najlepsze ubranie i że nic nie robi, tak więc znów się nie odezwał. Angie za chwilę ochłonęła. Miała na sobie starą suknię koloru morwy... codzienny strój...

–Jim? – naciskała. – Co się stało? Najpierw to ubranie, a teraz śmiertelnie mnie przeraziłeś tym, co powiedziałaś.

Musiał jej sensownie odpowiedzieć. Wyznać prawdę.

–Jedno i drugie wynika z tego samego – rzekł. Podniósł się i usiadł obok niej na brzegu łożka. Objął ją ramieniem. – Nad ranem zjawił się Carolinus. Miał mi coś do powiedzenia. Jednak musiałem mu obiecać, że nikomu o tym nie powiem, nawet tobie.

–Jakże miło z jego strony! Nie, odwołuję to. Wiem, że nie zrobiłby czegoś takiego, gdyby nie miał ważnego powodu... – Pochyliła się ku mężowi i spojrzała mu w oczy. – I dlatego miałeś niespokojne sny?

–Być może – odrzekł Jim. Naprawdę nie wiedział. – Zanim się zjawił, wyglądałem przez okno i zobaczyłem uchodźców. Chyba mężczyznę i kobietę. Jeden człowiek był o głowę wyższy od drugiego. Nic mogłem przestać o nich myśleć. Długo nie mogłem zasnąć, a kiedy w końcu zdołałem, przyśnił mi się ten sen.

–I w tym śnie pościeliłeś łóżko i włożyłeś swoje najlepsze ubranie?

–Oczywiście, że nie. Ubrałem się, bo myślałem, że już wstanę, potem zawołałem

służącą, żeby posłała łóżko, a później położyłem się na nim i wtedy miałem ten sen.

–Musiał być ciekawy, skoro tak na ciebie podziałał!

Znów nie znalazł prostej odpowiedzi.

–Opowiedz mi, co ci się śniło.

Objął ją ramieniem i ujął za rękę, odwracając otwartą dłońią ku górze. Oboje przyglądali się jej przez chwilę. Dłoń Angie wydawała się drobna w jego szerokiej i szorstkiej, o długich palcach stwardniałych od ściskania wodzy i po wielu godzinach ćwiczeń z Brianem. Potem nakrył jej dłoń drugą ręką.

–Dokładnie to, co ci powiedziałem – rzekł najłagodniej, jak mógł. – Śniło mi się, że chodzili po moim grobie. Śniłem, że umarłem.

–Jim!

–Przepraszam. Nie chciałem ci o tym mówić, ale nalegałaś. A więc tak było.

Przez chwilę oboje milczeli.

–Wierzę ci – powiedziała spokojnie Angie. – Ale wiesz co? Nadal nie rozumiem, skąd się wzięła ta historia z chodzeniem po twoim grobie.

–W moim śnie – odparł – to był eksperyment. Po odejściu Carolinusa rozmyślałem o różnych sprawach i wydawało mi się, że już nie zasnę. Próbowałem zrozumieć, co się kryje za tą wizytą. Wiesz, co zwykle robię. Nie lekceważę przeczuć, więc starałem się je przeanalizować i chyba wtedy zasnąłem.

–Myślisz, że przeczucia wywołały ten koszmary sen?

–Być może. Pamiętaj, że w tym pełnym magii świecie przeczucia mogą być czymś więcej.

Zadrżał na wspomnienie swego realistycznego snu, po czym w myślach skarcił się za to, gdyż wciąż trzymał dłoń Angie i wiedział, że musiała wyczuć jego drżenie.

–Chciałem powiedzieć, że w tym świecie intuicja może odgrywać większą rolę niż w naszym.

–Nie wierzę w to! – stwierdziła stanowczo Angie. – Czy Carolinus powiedział ci, że tutaj przeczucia zawsze się sprawdzają?

–Nie. Jednak on nigdy nie mówi mi wiele na temat magii. Nauczyłem się wszystkiego, obserwując go, słuchając tego, co mówi, i dodając dwa do dwóch.

–Czy przed dzisiejszą nocą w wyniku tego dodawania wpadłeś na pomysł z przeczuciami?

–Nie, nigdy przedtem o tym nie myślałem.

–Zatem przeczucia, które wywołały koszmary sen, nie były niczym więcej – stwierdziła. – Może po prostu dałeś się ponieść wyobraźni. Co takiego powiedział ci Carolinus, że tak się tym przejąłeś?

–On tylko przypomniał mi, że król nie może zginąć. Otworzyła szeroko oczy.

–Dlaczego miałby zginąć? A nawet jeśli, to dlaczego miałbyś mieć z tym coś wspólnego?

–Nie wiem – odparł. – Carolinus odszedł, nie wyjaśniając mi tego. Mówił mi to już wcześniej.

–No cóż, może to tylko zbieg okoliczności. A może było tak, jak mówisz, ale po prostu źle zinterpretowałeś jego słowa. No a co to wszystko ma wspólnego z

wkładaniem najlepszego ubrania?

–Kiedy wstałem, miałem przeczucie, że powinienem to zrobić.

–Cóż, lepiej się przebierz w codzienne ciuchy. Pluń w twarz diabłu!

Starła się pomóc mu zapomnieć i kochała ją za to, ale wciąż pamiętał ten sen. I tak musiałyby wszystko jej opowiedzieć, ale narobił straszego zamieszania, wyjaśniając jej to w taki niezręczny sposób.

–Nie, chyba nie będę się przebierał. Rozumiesz, to część eksperymentu.

–No to się nie przebieraj! Nieważne. Tylko pomóż mi wziąć do galopu służbę, a może zapomnisz o tym wszystkim!

–Już idę. – Zabrzmiało to weselej niż jakiegokolwiek słowa od chwili, gdy przyszła i zastała go w łóżku.

Późnym popołudniem przybył z wizytą biskup Bath i Wells ze swoją świętą kapelanów, urzędników, sług oraz tuzinem krzepkich zbrojnych i Jim musiał powitać go sam, podczas gdy Angie pospiesznie przebierała się w bardziej elegancki strój.

Niewłocznie podano podwieczorek i wszyscy zasiedli w słonecznej komnacie, by swobodnie porozmawiać przed uroczystą wieczerzą... Zapadał zmierzch, zbliżała się chwila, kiedy wielką bramę zamku Malencontri zamykano na noc.

Na zachód od zamku jesienne słońce wciąż jeszcze było widoczne, lecz jego czerwona kula już zaczynała chować się za wierzchołki drzew gęstego lasu, z którego w nocy wyszli uchodźcy. Mimo to przyćmione, typowe dla późnej jesieni światło nie gasło aż do końca dnia. Dopiero wówczas, w chwilę po zapadnięciu ciemności, dwaj jeźdźcy wyjechali spomiędzy drzew o zabarwionych czerwienią wierzchołkach i skierowali się ku zamkniętej bramie zamku.

Kilku starszych rangą zbrojnych zebrali się na galeryjce, spoglądając z zamkowego muru i leniwie wymieniając uwagi na temat przybyszów. Z całą pewnością nie zostaną wpuszczeni teraz, po zamknięciu bramy.

Pozostali zbrojni dołączali do towarzyszy, gdy tylko zakończyli służbę w innych miejscach zamku. Tylko zbrojni, gdyż galeryjka poniżej blanków stanowiła wyłącznie ich terytorium, zamkowej służbie wolno tam było wchodzić jedynie wtedy, kiedy trzeba było zwiększyć liczbę obrońców na murach, żeby odeprzeć atak.

Mimo wszystko – chociaż z pewnością nie mogli nie zdawać sobie sprawy z sytuacji – dwaj przybysze podeszli do bramy, prowadząc swoje wierzchowce.

Brama miała pozostać zamknięta nie tylko ze względu na rozkazy pana zamku Malencontri. Miasta, miasteczka, zamki, a nawet prywatne rezydencje, w których znajdowało się cokolwiek wartościowego, były co wieczór dokładnie zamykane i pilnie strzeżone aż do świtu. Zdrowy rozsądek nakazywał śpiącym mieszkańcom zabezpieczać się przed nocnym atakiem. Co więcej, taki był zwyczaj.

Zwyczaj zaś, uświęcony tradycją, niemal równie ważny jak wiara i miłość, w ówczesnym społeczeństwie traktowano bardzo poważnie. Wiara po prostu była, rzecz jasna, a istnienie miłości – w każdym znaczeniu tego słowa, poczynając od płynącej z poczucia obowiązku, przez oddanie panu, wielbienie ideału, aż po miłość rodzicielską nakazującą bronić potomstwa, choćby za cenę własnego życia – pozostawało niepodważalnym faktem. Zwyczaju zaś przestrzegano, ponieważ tak

było zawsze. Zwyczaj, potwierdzony przysięgą przed sądem, mógł nawet skłonić pana do ustępstw wobec poddanych. Dlatego zbrojni na murach rozmawiali o dwóch zbliżających się nieznajomych bez specjalnego zainteresowania, jako o problemie, którego rozwiązanie będzie można odłożyć do rana.

Wyższy z przybywających najwidoczniej był rycerzem. Miał miecz i rycerski pas. Co więcej, jego ostrogi – być może nawet złote – lśniły od czasu do czasu w gasnącym świetle dnia. Drugi, niższy, również uzbrojony, lecz bez rycerskiego pasa, niewątpliwie był jego giermkim. Może nawet jego młodszym bratem lub krewniakiem. Obaj mieli na głowach hełmy bez przyłbic i byli bardzo do siebie podobni.

Jednak doświadczonych zbrojnych najbardziej zaciekawili nie tyle dwaj nieznajomi, ile zbroja, którą miał na sobie rycerz. Choć zakurzona po podróży, najwyraźniej była pięknej roboty i dopasowana jak dobrze skrojone szaty. Z całą pewnością była bardzo droga i ten, kto zapłacił za nią płatnerzowi, musiał wyłożyć okrągłą sumkę. Jednak jej obecny właściciel był tak biedny lub mało znaczący, że podróżował tylko ze swoim giermkim – w dodatku zapewne będącym członkiem rodziny – z pewnością więc nie on ją zamówił.

Zatem jakim sposobem wszedł w jej posiadanie i dlaczego tak dobrze na niego pasowała?

Wszyscy odwrócili się z zaciekawieniem, gdy nagle dołączył do nich Theoluf, były dowódca straży, obecnie awansowany na giermka (a więc szlachcica), lecz wciąż chętniej niż większość giermków zniżający się do rozmów ze zwykłymi żołnierzami.

Pokazali mu wspaniałą zbroję rycerza, który właśnie dotarł ze swym towarzyszem do zamkowej bramy i zaczął w nią łomotać drzewcem kopii.

–Otwierać! – usłyszeli gniewny okrzyk. – Otwierać, mówię, Edwardowi *Le Captiv!*

Zwykle pogodną, choć poznaczoną szramami twarz Theolufa wykrzywił grymas wściekłości, przerażająco uwidaczniając bliznę, która przecinała ją na ukos, od czoła do brody. Pospiesznie przechylił się przez mur i odkrzyknął:

–Natychmiast, wasza miłość! Natychmiast! Odwrócił się do zbrojnych.

–Zakute łby! Tępaki! – warknął. – Czy żaden z was nie był ze mną podczas pierwszej wyprawy do Francji, kiedy uwolniliśmy go z rąk złego czarnoksiężnika Malvinne'a?

Milczeli. Pobledli ze strachu, nie odpowiedzieli. Ochłonął z gniewu. Żaden z nich nie był z nim we Francji. Z wielu rozmaitych powodów skład zamkowej drużyny zbrojnych wciąż się zmieniał. Theoluf powiedział nieco łagodniejszym, lecz nadal ostrym tonem:

–Na co czekacie? Przecież to sam książę Edward, następca tronu Anglii, stoi u bram! Biegiem, gamonie!

Pobiegli.

Rozdział 2

Biskup Bath i Wells był krępy, wojowniczo nastawionym mężczyzną w średnim wieku, który potrafił być bardzo hałaśliwy i wymagający, lecz w tym momencie był w znakomitym i przyjacielskim nastroju. I to pomimo lekko skręconej kostki, która zmuszała go do kusztykania i posługiwania się laską.

Przybył z prezentem w postaci małego złotego krucyfiks, by podziękować Eckertom za biały obrus z chińskiego jedwabiu, który Angie zdołała mu załatwić dzięki znajomościom Carolinusa wśród magów ze Wschodu. Obrus z kolei był jej wyrazem wdzięczności za pomoc, jakiej udzielił im biskup, nakłaniając króla Anglii, by uczynił Jima opiekunem osieroconego Roberta Falona.

Teraz biskup przywiózł część podarowanego jedwabiu, aby pochwalić się uszytym z niego obrusem na główny ołtarz – w tych czasach było to częścią skomplikowanego rytuału wzajemnego obdarowywania się.

–Właśnie się dowiedziałem... – zaczął zacny prałat, wraz z Jimem i Angie wygodnie rozsiadając się w słonecznej komnacie w wieży zamku Malencontri. Sięgnął po następne ciasteczko. – ...że zaraza dotarła do Londynu.

–Przecież to za wcześnie! – o mało nie wykrzyknął Jim, ale w ostatniej chwili zdołał się powstrzymać. Zgodnie z historią świata jego i Angie, zaraza dotarła do Genui, na statku pełnym szczurów, dopiero między rokiem 1347 a 1349.

Znane im daty wcale nie zgadzały się z datami tego świata. I nie było to tylko kilkuletnie przesunięcie mogące wynikać z różnicy między wczesnym kalendarzem juliańskim a tym używanym w dwudziestym wieku. Różne ważne wydarzenia, takie jak śmierć władcy czy decydująca bitwa, zdawały się zachodzić tu w zupełnie innym czasie, niż oczekiwali.

Zaskoczony swych słuchaczy tymi wiadomościami, biskup uniósł puchar i upił łyk wina.

–Tak – dodał – rozprzestrzenia się szybko. We Francji są już takie wioski, w których nikt nie pozostał przy życiu.

–Sądziłem, że to tylko plotki! – powiedział Jim.

–Niestety, to prawda, sir Jamesie. Bestia jest pośród nas i naszym obowiązkiem, nie tylko Kościoła, ale całego społeczeństwa, jest uczynić wszystko co w naszej mocy, aby wyrwać z jej paszczy przynajmniej część ofiar.

Przy wymawianiu tych ostatnich słów w głosie prałata zabrzmiała stalowa nuta, jakiej Jim się nie spodziewał po duchownym. Biskup (Richard de Bisby) pochodził z jednego z tych szlacheckich rodów, które nazywano magnackimi. Były to rodziny, w których – zgodnie z prawem primogenitury – najstarszy syn dziedziczył wszystko, a młodsi byli kierowani na księży lub do służby wojskowej. Z takiej rodziny wywodził się też earl Oxfordu.

Biskup prawdopodobnie byłby bardziej zadowolony, idąc przez życie z mieczem w ręku, a nie z pastorałem. Z pewnością miał odpowiednie warunki po temu, żeby zostać średniowiecznym rycerzem – poczynając od rumianej twarzy o grubych rysach po szerokie i mocne dłonie.

Teraz jednak przemawiał przez niego tylko i wyłącznie biskup, wierny swym

religijnym zasadom, myślący perspektywnie przywódca, któremu leży na sercu dobro Kościoła i jego owieczek.

–Wydaje się – mówił – że nie ma żadnego lekarstwa na tę chorobę ani nawet maści, by złagodzić ból okropnie obrzękniętych pachwin umierających, którzy przed śmiercią cierpią piekielne katusze. Carolinus mówił mi, sir Jamesie, że ty i lady Angela pochodzicie z dalekiej krainy. Może któreś z was wie więcej niż my o tej zarazie i o tym, w jaki sposób można by ją opanować?

Jim gorączkowo przypominał sobie wszystko, co wiedział o dżumie. Jako student mediewistyki pisał pracę na ten temat i teraz słowa same cisnęły mu się na usta, ale nakazał sobie milczenie. Mógłby powiedzieć temu twardemu mężczyźnie, który siedział naprzeciwko niego, że nic nie powstrzyma tej choroby ani nie uleczy tych, którzy na nią zapadli. Medyczne pojęcia, w których zawarta była nabyła w przyszłości wiedza, nic nie mówiły ludziom średniowiecza.

–Sądzimy, że jest roznoszona przez pchły, które żywiły się krwią zarażonych szczurów – to wszystko. Szczury, które przyniosły zarazę do Genui, skąd choroba się rozprzestrzeniła, prawdopodobnie przyplłynęły na statku z Dalekiego Wschodu, gdzie ta plaga dręczy ludzi od wieków. Tam jednak też nie znają na nią lekarstwa.

To przynajmniej była uczciwa odpowiedź. Szczegóły dotyczące płucnej odmiany dżumy, przenoszonej drogą kropelkową przez zarażonych ludzi, byłyby niezrozumiałe dla człowieka średniowiecza i w niczym nie polepszyłyby sytuacji. Jim nie potrafił powiedzieć niczego, co pomogłoby biskupowi.

–Może byłoby dobrze – dodał mimo wszystko – wytępić jak najwięcej szczurów i pcheł w kościelnych dobrach i domostwach.

–Będę o tym pamiętał – rzekł biskup, a znając doskonałą pamięć średniowiecznych ludzi, nawet takich wykształconych i umiejących pisać jak biskup, Jim wiedział, że duchowny dotrzyma słowa.

–Wasza wielebność z pewnością zna polej? Ten mały, podobny do mięty kwiat, którego zapach odstrasza pchły? My sami w dużych ilościach porozkładamy go w całym zamku – powiedziała Angie.

–Dziękuję ci, córko – rzekł biskup. – Oczywiście, znam to ziele, ale nie przyszłoby mi do głowy, że można się nim posłużyć do obrony przed zarazą.

Kiedy duchowny mówił te słowa, Jim ukradkiem zerknął na Angie, która odpowiedziała mu podobnym spojrzeniem. Jednym z nieszczęść, jakich obawiali się oboje, utknąwszy w tym wczesnym okresie dziejów, była choroba jednego z nich. Magia mogła goić i leczyć rany. Nie była jednak w stanie pomóc w przypadku chorób zakaźnych.

–Posłałem konnego z wieścią do mego brata w Chrystusie, biskupa Londynu – oznajmił gość, który zauważył szybką wymianę spojrzeń między małżonkami i zaczął się obawiać, że wywołany przyniesionymi przez niego wieściami szok słabnie i gospodarze zamku Malencontri nie zgodzą się ochoczo na propozycję, jaką przybył im złożyć. – Oczywiście zdaję sobie sprawę z tego, że magia nie leczy chorób – nie licząc tej, jaką uprawiają szarlatani. Mimo to, sir Jamesie, twój mistrz magii i ja, obaj uważamy, że wspólne rozważenie tej kwestii mogłoby okazać się pomocne. Jest

tylko jeden problem. Upił łyk wina.

–Niestety, zapewne zrozumiecie to prędzej niż większość ludzi, że mogłoby to zostać źle odebrane, gdyby zauważono, że taki jak ja dostojnik naszego Kościoła konsultuje się choćby i z największym z magów. Dlatego nie mogę zaprosić Carolinusa, by złożył mi wizytę w Bath czy Wells, a tym bardziej ryzykować i samemu go odwiedzić.

Odchrząknął. Rzadko zdarzało mu się prosić innych o przysługę.

–W rezultacie – podjął dzielnie – pomyślałem, że zapytam was, czy nie bylibyście skłonni zaprosić Carolinusa do Malencontri na tych parę dni, które tu spędzę. Jeśli tak, to miałbym okazję z nim porozmawiać.

–Oczywiście! – odparł Jim. – Ty już tu jesteś, lordzie biskupie, a co do Carolinusa, to nie trzeba go zapraszać, spodziewam się, że niebawem nas odwiedzi, być może już jutro. Mogę nawet, jak to często robię, polecić do niego, do Dźwięczącej Wody, i poprosić go, żeby tu przybył.

–Nie, nie! – protestował biskup. – Powinno być powszechnie wiadomo, że został zaproszony niezależnie, dzień lub dwa wcześniej, tak by nasze spotkanie wyglądało na zupełnie przypadkowe...

Przerwało mu ciche pukanie do drzwi słonecznej komnaty.

–Wejść! – powiedział Jim i w uchylonych drzwiach zobaczyli poznaczoną bliznami twarz Theolufa.

–Milordzie, czy mogę prosić, abys raczył pójść ze mną w sprawie najwyższej wagi?

–Czy wybaczysz mi, jeśli... – Jim pytająco spojrzał na biskupa.

–Oczywiście, mój synu.

–W porządku – zwrócił się Jim do Theolufa, wstając. – Już idę. Zaraz wrócę, prawda, Theolufie?

–Istotnie, milordzie, istotnie. To potrwa tylko chwilę.

Jim wyszedł i starannie zamknął za sobą drzwi o dziesięciocentymetrowej grubości, mające być ostatnią zaporą przed napastnikami, którym udałoby się zepchnąć mieszkańców Malencontri na ostatnią i najmocniejszą linię obrony.

–O co chodzi, Theolufie? – zapytał.

–Milordzie, kazano mi powiedzieć, że hrabia Woodstock i hrabina Kentu siedzą przy stole w wielkiej sali, podejmowani przez służbę, i chcą najszybciej jak to możliwe zobaczyć się z tobą i lady Angelą.

–Hrabina Kentu?

Hrabina Kentu była szlachcianką wysokiego rodu, znaną również jako „Piękne Dziewczę z Kentu”, uważano ją za najpiękniejszą kobietę w Anglii. Odziedziczyła swój tytuł, a dzięki małżeństwu z obecnym mężem była również hrabiną Salisbury.

–Hrabina Kentu, milordzie – powtórzył z naciskiem Theoluf – i hrabia Woodstock, *le captiv!*

– Och – westchnął Jim. Książę Woodstock, najstarszy syn króla Edwarda i dziedzic angielskiego tronu, jakiś czas temu otrzymał wyższy tytuł księcia Walii, przysługujący pierworodnemu króla i następcy tronu. Był tylko „młodym księciem”,

kiedy Jim, Brian, Giles de Mer oraz Dafydd i angielski wilk Aargh uwolnili go z niewoli Malwinne'a. złego czarnoksiężnika. Najwidoczniej księżę nie chciał, by wieść o jego przybyciu rozeszła się po okolicy.

Uświadomiwszy sobie, że w jego zamku bawi sam księżę Anglii, w dodatku z czyjąś małżonką – i to w tym samym czasie, kiedy zjechał tu biskup – zwykle szybko myślący Jim był tak wstrząśnięty, że przez chwilę nie był w stanie podjąć żadnej decyzji.

–Powiedz im, że przyjdę do nich najszybciej, jak będę mógł, i oczywiście przeproszę w moim imieniu. Nie żałuj słów. Czy panna Cinders już przygotowuje pokoje?

–Wszystko gotowe, milordzie.

–Dobrze!

Zaniepokojony Jim wrócił do słonecznej komnaty.

–Wybacz tę krótką przerwę, wasza miłość – powiedział do biskupa.

–Oczywiście, mój synu. – Przywykłem do nich w mojej rezydencji. Tak więc rozumiem, że nie masz nic przeciwko temu. Żebym zabawił tu przez kilka następnych dni. Byłoby miło, gdybyś się dowiedział, czy Carolinus zamierza pojawić się tutaj w tym czasie. Jeśli dobrze zrozumiałem, mieszka niedaleko stąd.

Jim zdawał sobie sprawę z tego, że biskup doskonale wie, jak blisko mieszka Carolinus, ale stara się być uprzejmy.

–Bardzo blisko – odparł, wstając. – Pójdźcie po niego to żaden kłopot. Zawsze przyjemnie nam gościć cię pod naszym dachem. A teraz, jeśli mi wybaczysz, zaraz się do niego udam.

Aż nazbyt dobrze wiedział, że Carolinus ma dość szczególne poczucie czasu. Największy mag na świecie z łatwością mógł zinterpretować „za dzień lub dwa” jako „kiedy będzie miał ochotę”. Jim zamknął za sobą drzwi na korytarz, uprzedzając dalsze uprzejme protesty biskupa, po czym ruszył w kierunku schodów wiodących na dach wieży.

–Odsuń się, Williamie – rozkazał zbrojnemu pełniącemu straż, kiedy już znalazł się na górze. Zawsze ostrzegał w ten sposób zamkową służbę, że zaraz zamieni się w smoka. William stał co najmniej sześć metrów od niego. Mimo to wycofał się aż pod blanki po przeciwnej stronie wieży.

W ten sposób okazywał posłuszeństwo, a także zdrowy rozsądek. Rozpostarte smocze skrzydła Jima miały tak dużą rozpiętość, że wystawały poza krawędzie dachu.

Jim przemienił się i odleciał, wzbijając się niemal pionowo w niebo, z łopotem potężnych skrzydeł. W mgnieniu oka znalazł się wysoko nad ziemią. Znalazł prąd powietrza kierujący się w przybliżeniu ku zamkowi Smythe, rezydencji Briana. Przestał się wznosić, rozłożył skrzydła i trzymając je rozpostarte, zaczął łagodnie, bez wysiłku szybować w tamtą stronę.

Jak zwykle, poczuł ogromną przyjemność wywołaną swobodnym lotem i uspokoił się. Smoki nie wykazywały skłonności do roztrząsania zawiłych problemów, a w tym momencie był w takim samym stopniu smokiem co człowiekiem. Wkrótce jednak znów zaczął rozmyślać o skomplikowanej sytuacji, jaka zaistniała w Malencontri.

Zaproszenie Carolinusa nie stanowiło większego problemu. Jedyne kłopot w tym, aby wymóc na magu obietnicę, że jutro zjawi się na zamku. Jeśli powie to głośno, będzie można na niego liczyć.

To zabawne, jeśli się nad tym zastanowić. Carolinus zawsze napominał Jima, aby starał się oszczędzać swoje zasoby magicznej energii, i trzeba przyznać, że kilka wydarzeń zdawało się w pełni usprawiedliwiać te przestrogi.

Tymczasem sam mag pojawiał się w Malencontri, kiedy tylko chciał, i najwyraźniej nie wahał się przenosić z dowolnego miejsca nawet na sam kraniec świata (bo dalej już nie mógł) i z powrotem, czasami zabierając ze sobą Jima oraz Angie i wcale nie przejmując się zużyciem magicznej energii.

Jego dom w Dźwięczącej Wodzie był zaledwie miłą chatką z bajki. Mimo to jakimś cudem smok wielkości Jima, całkiem spory nawet jak na smoka, przechodził przez jej drzwi i mieścił się w środku. Wiecznie kwitnące kwiaty rosły po obu stronach wiodącej do drzwi chatki i najwyraźniej samograbiącej się żwirowej alejki biegnącej między dwoma stawkami, z których lśniącej toni raz po raz wyskakiwały maleńkie złote syrenki... Jednak robiły to tak szybko, że nie miało się pewności, czy to naprawdę syrenki, czy też tylko złote rybki.

Całe to domostwo, otoczone trawnikiem i wysokimi drzewami, było oazą spokoju, za którą tęsknił teraz wzburzony Jim.

Rozmyślając o tym, dostrzegł polankę, na której stał domek Carolinusa, i zmienił kierunek lotu tak, by z hałasem wylądować na alejce przed frontowymi drzwiami.

W chwili gdy to zrobił, drzwi otworzyły się i wysliznęła się przez nie mała, zielona, bajecznie piękna wróżka – cała zapłakana.

Widok kogoś tak małego i delikatnego jak zalana łzami wróżka (które większość ludzi z daleka bierze za motyle) był tak poruszający, że trudno, aby nie wzruszył jakiegokolwiek żywej istoty. Nawet serce z kamienia natychmiast wyraziłoby chęć skoczenia do pieca hutniczego o temperaturze dziesięciu tysięcy stopni, byle tylko przestała być smutna i znów się uśmiechnęła. Jim, niezależnie od swych wad, z całą pewnością nie miał serca z kamienia.

–O, Ecce! – zawołał. – Co się stało?

Ona jednak już zniknęła, tak błyskawicznie, że zawstydziłaby nawet angielskiego wilka Aargha, który doprowadził do perfekcji sztukę znikania ludziom z oczu – w dodatku bez użycia magii.

Zza wciąż uchylonych drzwi, uprzejmie czekających, aż Jim wejdzie do środka, dobiegł podniesiony głos Carolinusa. Jim zrobił krok w ich kierunku i wetknął w szparę swój smoczy łeb, osadzony na długiej smoczej szyi.

–... nie chcę słyszeć żadnych wymówek! – szalał Carolinus. – Nie ma mnie zaledwie kilka dni...

–Carolinus znikł na sześć tygodni, Carolinus został bez spodni – zapiszczał imbryk na piecyku, obowiązkowo puszczając strumień pary, by pokazać, że woda wrze i jest gotowa do zaparzenia filiżanki uspokajającej herbaty.

–Dni, tygodni – co za różnica?! – wykrzyknął Carolinus, wymachując długimi chudymi rękami w rękawach czerwonej szaty. – Wszyscy pchają się, żeby ze mną

porozmawiać, i nic wiadomo, kto był pierwszy w kolejce...

Zabrakło mu tchu. Wykorzystując tę krótką przerwę, Jim odezwał się.

–Och, Carolinusie – powiedział najspokojniej, jak potrafił – wydarzyło się coś ważnego. Musisz jutro rano przybyć do Malencontri z kilkudniową wizytą...

–Niemożliwe! Absolutnie wykluczone! Przed tobą są tuziny innych. Nie, nie, tego nie da się zrobić! Będziesz musiał poczekać na swoją kolej jak wszyscy... Gdy tylko się zorientuję, w jakiej kolejności tu stoją!

Rozdział 3

–Nie, nie – powtarzał Carolinus – to niemożliwe! Zobaczymy się później...

–Carolinusie! – powiedział głośno Jim. – Przestań bełkotać i posłuchaj mnie przez chwilę!

–Bełkotać?

Carolinus, który dotychczas mówił jedynie poirytowanym tonem, nagle zamilkł. Potem jego głos odbił się echem we wnętrzu chaty, która nagle stała się ogromna i mroczna. Mag urósł o dziesięć centymetrów, a jego spłowiała, stara szata nagle stała się nowiutka i czerwona jak krew. Nie był już stary i przygarbiony, lecz groźnie wyprostowany spoglądał na Jima w głuchej ciszy, jaka zaległa w chacie. Nawet czajnik przestał piszczeć.

Jimowi dźwięczało jeszcze w uszach echo ostatnich słów, gdy mag przemówił głosem przypominającym podmuch wiatru nadlatującego znad lodowca.

–NIE BĘDZIESZ W TEN SPOSÓB MÓWIŁ DO SWOJEGO MISTRZA MAGII!

Mimo kilkuletniej przyjaźni z Carolinusem zimny dreszcz przeszedł Jimowi po plecach. A jednocześnie to uczucie wyzwoliło jego wrodzony upór.

–Wybacz – rzekł ponuro do nasrożonego czarodzieja – ale musiałem zwrócić twoją uwagę. Zaraza dotarła do Londynu, a biskup Bath i Wells jest teraz w Malencontri, przybył, żeby porozmawiać z tobą o tym.

–Już?

Carolinus znów stał się sobą. Ciężko opadł na miękki fotel, który przybiegł w samą porę. Chata wróciła do swego zwykłego wyglądu.

–Nie minęły jeszcze trzy tygodnie, jak dotarła do Francji – rzekł ze znużeniem mag do Jima, imbryka i chaty. – Oczywiście natychmiast udam się do zamku.

Ciszę przerwał pisk wydobywającej się z czajnika pary.

–Może lepiej byłoby jutro – podsunął Jim. – Biskup chciał, żeby to wyglądało na zupełnie przypadkowe spotkanie.

–Oczywiście – mruknął Carolinus. Spojrzał na Jima. – Wybacz mi moją popędliwość.

–Naturalnie, wybaczam – odparł Jim. – Po prostu...

–Jednak... – Przez sekundę wydawało się, że mag, jego szata i chatka znowu przybiorą poprzedni groźny wygląd. – Muszę cię ostrzec, żebyś nigdy nie wymawiał słowa, którego użyłeś, a szczególnie publicznie, gdyż wówczas nie miałbym wyboru i musiałbym zareagować. Mistrz magii nie może tolerować takiego...

–Oczywiście. Rozumiem – powiedział Jim, żałując tego, że zdążył już ochłonąć. – Jednak podchodząc do drzwi, minąłem się z Ecce, która właśnie wychodziła i płakała...

–Ecce? Płakała?

Carolinus zerwał się na równe nogi. Skoczył do drzwi.

–Zabierz mi z drogi ten wielki łeb, dobrze! – warknął na Jima. – Ecce! Ecce! – zawołał do żwirowej alejki, stawków i kwiatów. – Gdzie jesteś, moja droga? Nie myślałem tego, co ci powiedziałem!

Jednak wróżki nigdzie nie było widać.

–Och, Jim! – rzekł mag, z rozpaczą spoglądając na Jima. – Nie wiem, co ostatnio we mnie wstąpiło! Staję się kłótliwym starcem!

Jim, chociaż zdążył już przebaczyć Carolinusowi, miał wielką ochotę powiedzieć mu, że zawsze był kłótliwym starcem – a przynajmniej od kiedy go znał. Powstrzymał się jednak.

Nagle Ecce pojawiła się w powietrzu, tuż przed Carolinusem. Ucałowała jego suche wargi tak lekko i przelotnie, jakby musnęło je niesione wiatrem nasionko.

–Och, Ecce! – powiedział Carolinus. – Wybaczysz mi? To, co powiedziałem?

Pokiwała głową i dotknęła jego warg trzema zielonymi paluszkami lewej ręki, podobnymi do listków paproci.

–Bardzo dobrze, już nigdy więcej tak się nie zapomnę. Och, Ecce, wiesz, ile spraw mam na głowie. Zaraza dotarła do Anglii... Nie, nie musisz się martwić o twoich przyjaciół, kwiaty, drzewa ani nic innego. Tylko ludzie zapadają na tę chorobę...

Nagle rzuciła się ku niemu, jak najszerzej rozkładając małe ramiona, aby objąć jak najwięcej jego piersi, obracając główkę tak, by mocno przycisnąć lewy policzek do szorstkiego materiału szaty maga.

–No nie, daj spokój... – Carolinus bezradnie popatrzył na Jima i stwierdził: – Chyba dzisiaj nie będę w stanie nic wymyślić. Ecce! Mam nadzieję, że ani przez chwilę nie sądziłaś, że coś takiego mogłoby spotkać mnie? Jestem magiem klasy AAA+!

Mrugnął do Jima, a Ecce, jakby wyczuła ten lekki ruch, odwróciła głowę i uważnie spojrzała na Jima.

–Nie, nie, o niego też nie musisz się martwić – powiedział Carolinus. – W każdym razie już wkrótce... No cóż, porozmawiamy o tym później. Posłuchaj, Ecce, właśnie przyszło mi coś do głowy. Wygląda na to, że jutro rano będę musiał wyjechać na kilka dni, a wszyscy tutaj chcą ze mną porozmawiać. Może mogłabyś mi pomóc? Moglibyśmy razem ustalić kolejność, w jakiej będę ich przyjmował. To powinno ich uspokoić. Ja mógłbym podejmować decyzje, a ty powstrzymywałabyś mnie, gdybym kogoś pominął...

Uniosła się w powietrzu na wysokość twarzy i znów go pocałowała.

Lecąc do domu pod przekrzywionym sierpem wschodzącego księżyca, z narastającym przecuciem, że wracając tam, popełnia błąd, Jim zastanawiał się, czego nie wziął pod uwagę.

W końcu zrozumiał. Oczywiście. Ostatnią rzeczą, jakiej by sobie życzył, było starcie biskupa i księcia, którzy przebywali u niego w gościnie. Wiedział z doświadczenia, że biskup jest bardzo gadatliwy. Na szczęście nie miał zwyczaju wtrącać do swych wypowiedzi zjadliwych uwag, które mogłyby doprowadzić do kłótni, a podczas posiłków zawsze zachowywał się uprzejmie. Bardziej pasowałaby mu maczuga niż sztylet. Jednakże biskup mógł uznać za swój kapłański obowiązek wyjaśnienie stosunku Kościoła do następcy tronu, który wyjeżdża sobie na wieś z cudzą żoną. W dodatku z małżonką hrabiego i to do dość wpływowego.

A księżę, który nawet jako nastolatek nie obawiał się starć z takimi twardymi przeciwnikami jak earl Cumberland, z pewnością nie ścierpi w milczeniu zniewag

kierowanych pod adresem swoim lub towarzyszki.

Podczas posiłków kurtuazja – czyli zasady dobrego wychowania klasy panującej – zapobiegną wybuchowi awantury. Być może z tego powodu rozmowy przy stole będą nieco zbyt formalne i drętwe, ale to niewielka cena za zachowanie spokoju.

Jednakże potrzeba było czegoś, co powstrzymałoby obie strony od poruszania tego tematu w rozmowach prowadzonych po odejściu od stołu. Trzeba czegoś, co posłużyłoby jako rodzaj trwałego bufora. Może jeszcze jeden gość, przy którym dwaj potencjalni antagoniści nie chcieliby ujawniać różnicy poglądów?

Oczywiście! Brian byłby idealny. Był mieszkańcem tej samej części Somerset co Jim i Angie, wyposażonym w parę uszu, którymi natychmiast wylapałby każde wypowiedziane przez księcia lub biskupa gniewne słowo, żeby rozgłosić to w okolicy – skąd plotka szybko rozeszłaby się po całej Anglii. Taki z pewnością będzie tok rozumowania gości Jima.

Nie mogą wiedzieć, że Brian jest uosobieniem dyskrecji. Jim w nagłym przypiływie energii mocniej uderzył skrzydłami, szukając w górze prądu powietrza, który szybciej poniósłby go w kierunku zamku Smythe. Znalazł go i niezwłocznie poszybował w stronę rezydencji Briana po bezchmurnym, lecz szybko ochładzającym się pod wieczór niebie. Na szczęście dla jego smoczego ciała ten chłód był raczej orzeźwiający niż mroźny.

Kiedy w końcu odnalazł zamek Smythe, ten był kiepsko oświetlony – jak zwykle po zachodzie słońca, gdyż ostatnio nawet cena łojowych ogarków bardzo poszła w górę – jednak mrok ukrył przynajmniej większość uszkodzeń walących się murów, tak że nocą stan umocnień nie wydawał się tak opłakany, jak był w rzeczywistości. Brian miał nadzieję naprawić mury, gdy tylko poślubi Geronde, która zamieszka w jego zamku. Jako kawaler mógł ryzykować, ale żona sir Briana Neville'a-Smythe'a nie może być narażona na niebezpieczeństwo, aczkolwiek okazała się zawziętą, wytrwałą i skuteczną obrończynią swego zamku Malvern.

Jim ze swych poprzednich wizyt znał kiepski stan murów i dlatego wylądował przy tym, co niegdyś było tylną ścianą sali kominkowej zamku. Ziała tam dziura dostatecznie duża, by zmieściło się w niej nawet jego smocze cielsko. Przecisnąwszy się przez nią, wejdzie do zrujnowanej, niewielkiej głównej sali.

Ku swemu zdziwieniu pod murem zastał Briana kopiącego w ciemnościach.

–Och, to ty, Jamesie – rzekł rycerz, rozpoznawszy Jima pod postacią smoka. Oparł się o łopatę i otarł pot z czoła. – Wyznam, żeś mnie przestraszył. Mam przy sobie tylko sztylet – i ten szpadel. Chociaż i szpadel, właściwie użyty, może się okazać skuteczną bronią... Ale, ale, Jamesie, cóż to sprowadza cię tu pod postacią smoka, w porze wieczerzy?

Urwał i Jim wyczuł jego zmieszanie.

–Oczywiście jesteś jak najmiej widziany przy moim stole, skoro przybyłeś. Mam już jednego gościa. Szlachcica, którego poznałeś u earla podczas bożonarodzeniowego przyjęcia...

–Chętnie znów bym się z nim spotkał – powiedział Jim – ale przyleciałem tutaj, żeby zaprosić cię na kilka dni do nas, skoro Geronde jeszcze nie przyjechała...

–Tak, jeszcze jej nie ma, mamy się spotkać dopiero pod koniec tygodnia w Malencontri. Jednak mój gość...

–Musi przyjechać z tobą, rzecz jasna.

Jakakolwiek inna odpowiedź byłaby nie do pomyślenia. Jim szybko rozwiązywał w myślach problem znalezienia odpowiedniej liczby pokoi dla gości. Jeśli gość Briana był tylko zwykłym rycerzem, takim jak on, mogliby dzielić jedną komnatę. Gość zrozumiałby tę konieczność, widząc tam nie tylko biskupa, ale i następcę tronu. W istocie, niewątpliwie byłby uradowany, mogąc się ocierać (mówiąc w przenośni) o wielkich tego kraju. Byłby to dla niego zaszczyt.

–No cóż, muszę wracać do Malencontri – rzucił pospiesznie Jim. – Opowiem ci wszystko, kiedy już tam będziesz. Może obaj przyjedziecie jutro, z samego rana, na śniadanie, jeśli chcecie. Życzę ci dobrej nocy, Brianie.

–Tobie również niech Bóg ześle spokojny sen – odparł Brian i wrócił do kopania. Jim poleciał do Malencontri.

Wylądował na dziedzińcu, ponownie przybrał ludzką postać, głównym wejściem wkroczył do wielkiej sali i ze zdumieniem stwierdził, że z jakiegoś powodu goście nie oczekiwali go z niecierpliwością, chcąc przejść od wina i przekąsek do właściwego posiłku. Zobaczył tylko Angie, która pilnowała służby sprzątającej ze stołu.

Jim był trochę głodny, prawie przebiegł więc między dwoma długimi, bocznymi stołami, chwycił ciastko z jednego z kilku pozostałych półmisków, warknął na służącą zamierzającą zabrać ostatnią karafkę wina, po czym napełnił sobie puchar.

–O, jesteś – zauważyła Angie.

–Co się stało? Zjedliście beze mnie?

–Oczywiście, że nie – odparła Angie. – May Heather, idź powiedzieć pannie Plyseth, aby kolację dla pana i dla mnie podano w słonecznej komnacie. – Ponownie zwróciła się do Jima. – Biskup przysłał wiadomość, że kapłańskie obowiązki nie pozwolą mu dołączyć do nas, więc zje coś w swoim pokoju. A księżę zszedł tylko po to, aby oznajmić mi, że on i hrabina są tak zmęczeni po długiej, całodziennej jeździe, że spożyją kolację w ich komnacie. Ponadto szepnął mi do ucha, że chce porozmawiać z tobą po twoim powrocie, bez względu na to, kiedy to nastąpi.

–Gdy tylko wrócę? – powtórzył Jim, rozpaczliwie chwytając następne ciasteczko.

–Nie martw się, zdążysz coś zjeść w słonecznym pokoju, zanim udasz się do księcia. Przecież nie wyparuje. Pamiętasz, powiedział: „bez względu na to kiedy”.

–No właśnie – rozpromienił się Jim i złapał następne ciastko. Czuł się już znacznie lepiej, kiedy czterdzieści minut później delikatnie zapukał do drzwi komnaty przydzielonej księciu i Pięknemu Dziewczęciu z Kentu. Angie zapewniła go, że w razie potrzeby każdy gość może mieć osobny pokój, lecz księżę oświadczył, że im dwojgu jest bardzo dobrze w jednym. Gospodyni musiała jednak to powiedzieć, gdyż tak nakazywała uprzejmość.

Prawdę mówiąc, oddzielne pokoje i tak będą potrzebne pod koniec tygodnia, kiedy przybędzie Geronde, a Brian ze swym gościem zajmą podwójną komnatę. W wieży były też pomieszczenia magazynowe, które można opróżnić, wysprzątać i umeblować. Teraz zaś drzwi, do których zapukał Jim, nieco się uchyliły. W szparze

pojawiła się twarz księcia.

–Ach, to ty, James! – powiedział ściszym głosem. – Chwileczkę.

Drzwi znowu się zamknęły. Po chwili ponownie się otworzyły i księżę wyszedł na korytarz. Cicho zamknął je za sobą,

–Śpi smacznie, aniołek – powiedział. – Gdzie możemy spokojnie porozmawiać? W słonecznej komnacie?

–Tam jest moja małżonka, wasza miłość – odparł sztywno Jim.

–Ach, rozumiem. Pewnie nie można odesłać jej gdzieś na chwilę?

–Raczej nie.

Rozdział 4

–Oczywiście – pospiesznie rzekł książę, też trochę sztywno. Jego pozycja przyzwyczaiła go do wydawania rozkazów w takich sytuacjach. Na przykład takich: „Powiedz jej, żeby poszła sobie gdzieś i wróciła dopiero, kiedy ją wezwiesz”. Zdecydowana odmowa na tak uprzejmie sformułowane żądanie, w dodatku ze strony zwykłego barona, nie zabrzmiała zbyt miło w uszach następcy angielskiego tronu.

Jednak Jim był tu gospodarzem i wcale go nie zapraszał.

–Aha. Zapewne jest tu jakieś inne miejsce, gdzie będziemy mogli porozmawiać w cztery oczy?

–Oczywiście – zapewnił Jim. – Może nie tak wygodne, ale...

–Ha! Czyż nie jestem przyzwyczajony do wojennych wypraw, podczas których pień drzewa do siedzenia i płachta dla osłony przed deszczem były luksusem?

Jim wiedział, że tak było naprawdę.

–Mimo to – odparł – muszę przeprosić waszą miłość...

–Nie mówmy już o tym. Prowadź.

Ostatnie dwa stwierdzenia najwyraźniej poprawiły humor królewskiemu potomkowi. Załatwiono drażliwą kwestię. Drobne przeprosiny pewnie zupełnie załagodzą sytuację.

–Bardzo to uprzejmie ze strony waszej miłości – rzekł Jim – przyjmą naszą skromną gościnę. Będę musiał posłać przodem służących, aby się upewnili, że ta komnata nadaje się do użytku. Howardzie!

Zbrojny pełniący wartę przed drzwiami pokoju zajmowanego przez księcia i pannę – wyraz kurtuazji, ale przydatny w takich chwilach jak ta – podbiegł do zbliżającego się Jima, a towarzysząca mu służąca dyskretnie wycofała się w głąb korytarza.

–Howardzie – powiedział Jim – pošlij służącą, by sprowadziła mi pannę Cinders... nie, zaczekaj! Niech zamiast niej przyprowadzi May Heather. Ta jest szybsza. I pokojówka też niech się pospieszy.

–Tak, milordzie – odparł Howard i biegiem wrócił na swoje miejsce.

Czekali przez krótką chwilę, podczas której mogliby czuć się niezręcznie, gdyby wcześniej nie zażegnali grożącego nieporozumienia. Wypełnili ten czas uprzejmą pogawędką. Jim zapytał księcia, jaką mieli podróż. Młodzian odparł, że świetnie się bawił, ale dla hrabiny tak długa jazda okazała się męcząca. To sprowadziło rozmowę na temat ludzi, którym nic nie sprawia takiej przyjemności jak spędzanie całych dni w siodle, podczas gdy inni robią to tylko w razie potrzeby. Rozmowa stawała się interesująca, kiedy przerwało ją przybycie trochę zdyszanej May Heather.

–Panna Cinders wypożyczyła cię oraz kilka innych podkuchennych do pomocy w przygotowywaniu dodatkowych sypialni – oznajmił jej Jim.

Zdyszana May skłoniła się.

–Tak więc – ciągnął Jim – zaprowadź nas do największej i najczyściejszej z nich – z tych sypialni. – Spojrzał na nią uważnie, upewniając się, że dobrze zrozumiała. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnął, to zaprowadzić księcia do czystego, wyszorowanego, ale zupełnie pustego magazynu. – Przynies też do tej sypialni dodatkowe krzesło! Potrafisz to zrobić?

–Tak, milordzie, wasza miłość – odparła May, tylko lekko się zająknąwszy i wykonując nieco mniej chwiejne dygnięcie od tego, jakie Jim ostatnio widział w jej wykonaniu.

–Jeden tytuł wystarczy, dziewczyno – rzekł prawie uprzejmie książę. A gdy May odwróciła się, by odejść, powiedział do Jima, nawet nie ścisząc głosu, jak to miał w zwyczaju, zachowując się, jakby słudzy nie istnieli lub byli głusi. – Młoda, nieprawdaż?

–Może do niektórych ze swych obowiązków – odparł równie głośno Jim. – Jednak niezwykle chętna i szybko się uczy.

Obaj czekali w przyjaznym milczeniu.

Okazało się, że Jim niepotrzebnie się niepokoił. Pokój, do którego zaprowadziła ich May, znajdował się najdalej od schodów na piętrze wieży, pod samym dachem, i był prawie dwa razy większy od innych pokoi gościnnych. Jim z aprobatą stwierdził, że May wykazała niezwykłą inicjatywę. Świece już były zapalone, a na małym kwadratowym stoliku stały dwie karafki – jedna z wodą, druga z winem – oraz dwa puchary i półmisek chlebowych paluszków. Nie musiał mówić z takim naciskiem.

Tylko skąd wiedziała, że będzie potrzebny taki pokój? Oczywiście poczta pantoflowa. Zbrojny usłyszał, że książę chce porozmawiać w cztery oczy, przekazał to pokojówce, która powiedziała May, a May... Czy to możliwe, że ta młódka już wydawała polecenia innym podkuchennym?

–Bardzo dobrze – powiedział do niej. – Możesz odejść.

–Tak, milordzie.

Drzwi zamknęły się za nią, zasłaniając Howarda oraz pokojówkę, którzy posłusznie przyszedli w ślad za księciem.

Jim usiadł na jednym z dwóch krzeseł i napełnił oba puchary winem,

–Z wodą, wasza miłość?

–Raczej nie – odparł książę. Wyjrzał przez jedno z dwóch wąskich okienek strzelniczych, za którymi Jim ze swego miejsca przy stoliku widział tylko ciemność. Książę mówił, nie odwracając się. – Zaraza dotarła do Londynu,

–Tak, powiedział nam już dziś biskup Bath i Wells.

–W miejskich gospodach rozpalają ogień w specjalnych kociołkach przed drzwiami, żeby odpędzić chorobę, zanim wejdzie do środka z którymś z gości – rzekł książę do otworu strzelniczego. – Ta okropna plaga nie oszczędza mężczyzn, kobiet ani dzieci...

Odwrócił się plecami do okna i wrócił na środek pokoju. Jednak nie podniósł kielicha, a nawet zdawało się, że znowu odejdzie od stolika, kiedy ktoś zapukał do drzwi.

–Wejść! – zawołał Jim.

Drzwi otworzyły się i weszła Angie.

–Przepraszam, że przeszkadzam, wasza miłość i mój panie – powiedziała – ale doszło do małego zatargu między jednym ze zbrojnych biskupa a naszym, i obaj odnieśli lekkie obrażenia. Muszę dopilnować opatrywania ran. To zajmie mi chwilę. Pomyślałam, że może wolelibyście porozmawiać w słonecznym...

–To niezwykle życzliwa propozycja, milady! – zawołał książę. Jednakże spojrzawszy przy tym na Jima, jak nakazywało dobre wychowanie. Jim napotkał spojrzenie Angie i upewnił się w swoich przypuszczeniach. Za pośrednictwem tej samej poczty pantoflowej, z której korzystała May, Angie dowiedziała się o tym, że książę pragnął porozmawiać z Jimem w słonecznym pokoju. Zapewne powiedziała jej o tym sama May. Większość służby przekazywała wiadomości tylko między sobą, ale May nie obawiała się niczego na świecie, w niebie czy też piekle.

Niech лихо tę służbę! – zżymał się w duchu Jim. Niedługo będą chcieli nawet myśleć za nas! Wstał.

–Jeżeli wasza miłość woli...

–Prawdę mówiąc, sprawiłoby mi to ogromną radość!

Przeszli do słonecznej komnaty. Howard i służąca zniknęli, zobaczywszy stojącego już tam zbrojnego i pokojówkę, przysłanych przez Angie.

–Ach! – westchnął książę, z lubością moszcząc się w jednym z miękkich foteli i biorąc do ręki kielich. – Jamesie, nie uwierzyłbyś, z jaką niecierpliwością oczekiwałem naszego ponownego spotkania i możliwości rozmowy.

–Ja również, wasza miłość!

–Słyszając to, nie posiadam się z radości. – Książę pociągnął tęgi łyk ze swego pucharu. – Dobrzy przyjaciele... ale po kolei. Hmm, może jednak nie zaszkodziłaby odrobina wody... dziękuję. Teraz znacznie lepiej. Mówiłem ci, Jamesie, jak bardzo chciałem znów cię zobaczyć. Mam niewielu prawdziwych przyjaciół, a ciebie uważam za jednego z najlepszych.

. – To dla mnie zbyt wielki zaszczyt, wasza miłość – odparł ostrożnie Jim. Wcale nie uważał się za aż tak dobrego przyjaciela księcia. Może to tylko etykieta obowiązująca na królewskim dworze nakazuje księciu wygłaszać te gładkie a znaczące słowa?

–...a także znakomitym rycerzem, takim jak twój przyjaciel, sir Brian. Chyba nie znam więcej takich – nie licząc Chandosa. A w dodatku świat zna cię jako niezrównanego maga.

–Jak już powiedziałem, tymi słowami czynisz mi zbyt wielki zaszczyt, wasza miłość! – rzekł Jim, którego czujność została rozbudzona już na dobre. Za dużo tych komplementów, nawet jak na dworskie obyczaje.

–Myślę, że to niemożliwe. – Uśmiechnął się do niego książę. – Pozwól mi powiedzieć, że Joanna i ja... chciałem rzec, hrabina i ja... przybyliśmy tutaj dlatego, że tylko ty możesz nam pomóc.

Ha! – pomyślał Jim. A więc dlatego tu przyjechali!

–W jaki sposób mogę wam służyć, wasza miłość? – zapytał głośno, a jego czujność gwałtownie przeradzała się w niepokój. Książę słynął z beztroski. Rozdawał pieniądze i swoje dobra na prawo i lewo. Uważano to za szlachetne postępowanie – jako że obdarowywanie było w tych czasach powszechnie przyjęte – ale to, co dawał, musiało skądś pochodzić. A Malencontri nie było bogatą posiadłością, chociaż wygodną i bezpieczną.

Tymczasem uważano, że magowi wystarczy pstryknąć palcami, by uzyskać złoto,

drogie kamienie i wszystko, o czym zamarzy...

–Na to pytanie nie da się odpowiedzieć w paru słowach, Jamesie, dlatego też miałem nadzieję, że zasiądziemy w twojej wspaniałej słonecznej komnacie, żebym mógł ci wszystko wyjaśnić. Możemy tu zostać tak długo, jak będzie trzeba?

–Oczywiście! – odparł Jim.

–A zatem opowiem ci wszystko. To długa historia i część z niej już znasz. – Książę dolał sobie trochę wina, rozcieńczył je wodą, a potem znów usiadł w fotelu, trzymając w dłoni duży puchar. – Zapewne już od jakiegoś czasu wiesz, że earl Cumberland usiłuje poróżnić mnie z ojcem?

–Tak – odparł Jim.

Książę gwałtownie odstawił puchar i wstał. Podeszedł do okna, spojrzął w nieprzeniknioną ciemność, odwrócił się i zbliżył do stołu, lecz nie usiadł.

–Robi to przez całe moje życie – powiedział. Odwrócił się i znów zapatrzył się w mrok. Stojąc odwrócony plecami do Jima, mówił dalej. – Postępuje tak przez całe moje życie. Królewski dwór jest pełen rozplotkowanych ludzi, którzy rozmawiają ze sobą nad głową małego dziecka, przekonani, że nie zrozumie, o czym mówią. Zapominają o tym, że ono pamięta każde wypowiedziane słowo, połączy je z tym, co właśnie usłyszało, i w końcu dojdzie prawdy w swoich nieustannych próbach zrozumienia otaczającego je świata. Zanim skończyłem sześć lat, wiedziałem, że mój wuj Cumberland chce, abym go lubił i ufał mu, ale tak jak pies ufa swemu panu. Tylko nie rozumiałem dlaczego.

Wrócił i stanął obok Jima, spoglądając na niego.

–Może wasza miłość zechce usiąść i wypić trochę wina? – mruknął Jim.

Książę mówił suchym i beznamiętnym głosem, lecz Jim wyczuwał ukrytą w nim gorycz.

–Nie, chcę mówić.

Książę wrócił do okna. Stał nieruchomo, wysoki, barczysty, miał sylwetkę doskonałego jeźdźca.

–Mężczyźni nie rozmawiają o takich sprawach. Tobie mówię o tym tylko dlatego, że znalazłem się w potrzebie. A także dlatego, że przybyłeś z daleka, jesteś jedynym człowiekiem na świecie, któremu mogę powiedzieć to, czego nie wyjawilibym nawet memu spowiednikowi...

Jim upił łyk wina z kielicha i milczał. Widział, że ta rozmowa przychodzi młodzieńcowi z najwyższym trudem. Jim nie miał mu nic do powiedzenia. Książę miał rację. Mężczyźni nie rozmawiają o takich sprawach.

–...zanim skończyłem dziesięć lat, wuj zdał sobie sprawę z tego, że go przejrzałem. On pragnie zostać królem, zawsze chciał nim być, i uważa, że jest bardziej niż ktokolwiek inny godny nosić koronę. Jednak jest bękartem, a Anglia nigdy nie zaakceptuje władcy z nieprawego łoża.

Zrozumienie tej prawdy zajęło Jimowi kilka lat.

–Co więcej – ciągnął książę – pojął, że przestałem darzyć go szacunkiem i że nigdy nie będę osamotniony, dopóki żyje mój ojciec. Zdaje mi się, że opowiadałem ci, jak kiedyś, jako mały chłopiec, patrzyłem, jak ojciec nakłada zbroję, którą miał na

sobie później podczas bitwy pod Sluys. Ta wielka, wspaniała postać króla i rycerza była dla mnie najważniejszą, bo choć wiedziałem, że Cumberland jest sławnym wodzem, to pochodził z pospólstwa. Mój ojciec był królem i rycerzem nad rycerzami. Był wielkim królem wtedy...

Księżę gwałtownie odwrócił się od okna i przeszył Jima ostrym spojrzeniem... -...i jest nim teraz!

–Tak – Jim usłyszał swój głos. Zgadzał się z księciem. Edward III wcześniej zasiadł na tronie. Jak się dowiedział Jim podczas studiów nad historią średniowiecza, władca przez kilkadziesiąt lat rządził swoim królestwem, i robił to naprawdę dobrze. A mimo to w umyśle Jima utrwalił się obraz pijanego, być może nawet lekko zdziecinniałego starca. Teraz nagle zdał sobie sprawę z tego, że przez te wszystkie lata Edward trzymał w ryzach Parlament i możnowładców, przeciwstawiając ich sobie, nie dając im zanadto urosnąć w siłę, ale i nie pozbawiając ich jej. Na tę siłę, podobnie jak na drobną szlachtę i chłopstwo, zawsze mógł liczyć, kiedy była potrzebna Anglii albo jemu.

Księżę zawsze rozumiał coś, co umykało Jimowi. Król wciąż utrzymywał tę równowagę. To prawda, że Cumberland był jego szambelanem. nadawał prawa i przywileje, stanowił swego rodzaju furtkę do monarchii, na pozór był najważniejszą osobą w państwie. W praktyce jednak jego władza była równie ograniczona jak prawa i przywileje Oxforda i jego grupy czy innych podobnych frakcji, które w razie potrzeby mogłyby się sprzymierzyć z innymi możnowładcami, umacniając swe wpływy, gromadząc bogactwa oraz wojska liczniejsze od tych, którymi dysponował król. Ten jednak, nawet teraz gdy oddawał się już przede wszystkim pijaństwu i innym uciechom, pilnował tego, by możnowładcy rzucali się sobie nawzajem do gardeł równie chętnie jak jemu.

Czasem cholernie wolno kojarzę! – pomyślał Jim. Carolinus już mu mówił, że do jego obowiązków jako maga należy utrzymywanie króla na tronie. Jim uznał to wówczas za zabawne, bo w jakiż sposób miałby zapewnić władzę królowi Anglii? Jednak dopiero teraz zrozumiał, dlaczego starszy Edward musi pozostać przy życiu i władzy – być może jeszcze przez kilka lat. Nikt inny nie miał takiego doświadczenia i umiejętności, aby nie osłabiając arystokracji, podsycać jej waśnie i animozje, tak by nie zjednoczyła się przeciwko władcy. Minie jeszcze trochę czasu, zanim jego najstarszy syn nabierze należytego doświadczenia, by rządzić państwem.

Księżę znów usiadł, podniósł puchar i napił się, po czym kontynuował swoją opowieść.

–...ostatnio. Właśnie ostatnio Cumberland zagroził, że oskarży mnie o przynależność do ugrupowania zamierzającego zdetronizować mojego ojca. Społeczeństwu, które zawsze jest skłonne wierzyć w to, co najgorsze, wystarczyłoby takie oskarżenie. Powiedział, że to zrobi, jeśli nie opuścę Anglii, żeby już nigdy nie powrócić do niej i do ojca.

Jim posępnie pokiwał głową. Nawet w jego rzeczywistości i czasach, pięćset lat później, wbrew prawu głoszącemu „niewinny, dopóki nie dowiedziono winy”, większość społeczeństwa aż nazbyt chętnie dawała wiarę fałszywym oskarżeniom.

–Przecież król z pewnością... – urwał, nie wiedząc, jak wyrazić to, co chciał powiedzieć.

–Nigdy nie patrzyłby spokojnie, jak jego prawowity dziedzic i następca tronu opuszcza Anglię bez jego pozwolenia? A wtedy wszystko wyszłoby na jaw, włącznie z niechlubną rolą Cumberlanda? To prawda, Jamesie. Tylko że Cumberland już podsunął ojcu bajeczkę, że wspomniałem mu o takim zamiarze, ponieważ chcę zostać wodzem i zebrać własną armię, może z pomocą Francuzów, aby wrócić tu i zażądać tronu lub stanowiska regenta. Powiedział mi, że ma kilku Francuzów, którzy potwierdzą prawdziwość tej historyjki...

–Potwierdzą? – spytał Jim. Z pewnością w każdym kraju można znaleźć paru wysoko urodzonych łotrów nie wzdragających się przed krzywoprzysięstwem. Jednak z pewnością nie postąpił tak żaden ze znanych mu Francuzów. W przeciwnym razie nie cieszyliby się reputacją, jaką zdobyli przez długie wieki honorowego postępowania, często wykazując się odwagą i przelewając krew, by dowieść tego, że są prawymi mężami.

–Och, z pewnością nie będą to ludzie cieszący się dobrą reputacją, ale to bez znaczenia – ciągnął książę. – Cumberlandowi będzie nawet na rękę, jeśli wszyscy ci, z którymi utrzymywałem kontakty, okażą się łotrami i zdrajcami – to tylko potwierdzi jego zarzuty, że szukałem pomocników do przeprowadzenia swego planu.

Jim kiwnął głową.

–Przyznaję – rzekł głucho książę, spoglądając gdzieś w dal – że byłem gotów ustąpić, a przynajmniej wyjechać. Najpierw jednak poszedłem do Joanny. Salisbury wyjechał do Niderlandów. Joanna – Piękne Dziewczę z Kentu, jak ją najzupełniej słusznie nazywają – jest najpiękniejszą kobietą w Anglii. Jednak nie tylko to przyciągnęło mnie do niej.

Urwał i ostro spojrzał na Jima.

–Musisz mnie zrozumieć – powiedział.

–Z pewnością zrozumiem – odparł Jim, wiedząc, że rozmówca zadowolony nawet zdawkowym potaknięciem.

Książę natychmiast podjął swoją opowieść.

–To znacznie głębsze uczucie. Wychowaliśmy się razem na dworze, bo jako sierota często u nas bywała. Bawiliśmy się razem i kłóciliśmy się, jesteśmy kuzynami. Jej ojciec Edmund, earl Kentu, był przyrodnim bratem mojego dziadka, króla Edwarda II. W rzeczy samej oboje jesteśmy potomkami Henryka Plantageneta i Eleonory Akwitańskiej. Zatem, jak już mówiłem, jesteśmy kuzynami i nie możemy się pobrać. Miałem jednak nadzieję, że opuści męża, Salisbury'ego, i pojedzie ze mną do Francji czy dokądkolwiek. Kilku zacnych rycerzy, między innymi Audley, pojechałoby ze mną, podobnie jak wielu mniej znaczących, którzy walczyli już pod moją komendą. Na świecie są władcy, którym przydałby się taki dowódca jak ja i ci, którzy by mi towarzyszyli. Prawdę mówiąc, jestem najszczęśliwszy, mogąc skrzyżować z kimś miecze. Widzisz, ja jej potrzebuję. Mogę jej powierzyć nie tylko moje tajemnice, ale także moją duszę.

To wszystko ma sens, pomyślał Jim, patrząc na młodą twarz księcia. Chociaż tak

młody, księżę pod pewnym względem – a mianowicie umiłowaniami rycerskich cnót – przypominał Jimowi jego przyjaciela, Briana, chociaż poza tym byli do siebie zupełnie niepodobni. Księżę był kłębkim nerwów, miał mnóstwo osobistych problemów, a Brian był niewzruszony jak skała i zazwyczaj pogodny jak letni dzionek.

Jim z trudem przedarł się przez pajęczynę rodzinnych koneksji, jaką oplótł go księżę. W tych czasach omawianie koligacji (czasem męcząco długotrwałe) było powszechnie przyjętym zwyczajem. Ktoś wychowany w tych czasach mógł z tych opowieści wiele wywnioskować. Jednak Jim równie dobrze mógłby rozplątywać kłębek drutu. Pospiesznie odsunął od siebie te myśli. Nie do niego należała moralna ocena postępowania księcia i pięknej panny.

–A więc – rzekł – udajecie się teraz na kontynent?

Może księżę po prostu chciał pożyczyć od niego trochę pieniędzy, które odda albo nie, żeby mieć z czym się pokazać na francuskim dworze. To byłoby kosztowne, ale nie aż tak jak niektóre inne żądania, jakich spodziewał się Jim.

–Nie – rozpromienił się księżę. – Ponieważ ona, jak zawsze dzielna, zgodziła się towarzyszyć mi tylko do chwili, gdy niebezpieczeństwo minie i będę mógł pozostać w Anglii. „Trzymaj się z dala od królewskiego dworu”, poradziła mi. „Zwlekaj z odpowiedzią, czy udasz się na wygnanie czy nie, a w tym czasie razem spróbujemy się dowiedzieć, czy ktoś z naszych znajomych nie ma jakichś informacji, które moglibyśmy wykorzystać”.

Księżę uśmiechnął się czule, na moment uciekając myślami do innej komnaty, w której spała Joanna z Kentu.

–Jednocześnie – podjął po chwili, znów poważniejąc – przypomniała mi, że Cumberland snuje tak gęstą sieć intryg, że może sam się w nią zaplątać. „Gdyby tak się stało”, rzekła, „mógłbyś się z nim targować, a nawet bezkarnie odmówić spełnienia jego żądań. Tak czy inaczej, znajdziesz jakąś sposobność. Przez ten czas się dowiemy, w jaki sposób i z czyją pomocą zamierzał oskarżyć cię o spisek przeciwko królowi”.

–Dobra rada – powiedział Jim – Jeśli wolno mi wyrazić swoje zdanie, wasza miłość.

Księżę zawsze zdradzał skłonności do pochopnego działania. To zaleta u dowódcy, ale nie u intryganta.

–Istotnie, jak się okazało – odparł księżę. – Rozpytawszy się trochę, stwierdziłem, że grupka szlachciców już usiłuje się ze mną porozumieć. Na jej czele stoi zacny rycerz, który jest jednym z garderobianych Cumberlanda. Oburzony sposobem, w jaki szambelan manipuluje i wykorzystuje mojego ojca, postanowił coś z tym zrobić. Wpadł na pomysł, że powinienem się zbliżyć do ojca. Wtedy mógłbym mu dowieść, że Cumberland go wykorzystuje. Znajdzie się jakaś okazja, jeśli się z nimi sprzymierzę. To po prostu nie może się nie udać!

–Kim jest ten rycerz? – zapytał zaciekawiony Jim, zapominając o średniowiecznych formach grzecznościowych.

–Wątpię, byś go znał – odrzekł księżę. – Rycerz ten, choć z pochodzenia Anglik, został wygnany z Francji i szukał tu schronienia na dworze. Niefortunnie dla niego,

lecz szczęśliwie dla mnie, najlepsze, co zdołał znaleźć, to posadę garderobianego Cumberlanda. Wynagrodzę mu to, jeśli mi pomoże. Wspaniały człowiek, mąż w pełnym znaczeniu tego słowa, wywodzi się z królewskiego rodu i wykazuje wszelkie zalety wysoko urodzonego. To wicehrabia sir Mortimer Verweather.

O cholera! – zaklął w duchu Jim.

Kiedy usłyszał to nazwisko, przed oczami natychmiast stanęła mu pewna scena z przeszłości.

Rozdział 5

Wicehrabia sir Mortimer Verwealher... Wysoki, chudy, niezgrabny mężczyzna po trzydziestce albo tuż przed, z modnym wąsikiem, nienaturalnie czarnym i nie pasującym do włosów mysiego koloru. Miał opaloną twarz i długi nos, którym zdawał się nieustannie wyczuwać jakiś przykry zapach.

Zdarzyło się to podczas pierwszej podróży Jima do Francji, podczas której miał w tajemnicy uwolnić księcia z rąk złego czarnoksiężnika Malvinne'a. Brian zaprowadził Jima i sir Gilesa de Mer do gospody, która stała się bazą wypadową sir Johna Chandosa.

Jim zdumiewająco wyraźnie ujrzał całą tę scenę...

Sala na parterze gospody zamieniła się w „poczekalnię” pełną rycerzy czekających na rozmowę z Chandosem. Brian, którego wysłano, by odszukał Jima i sir Gilesa de Mer, ruszył z przyjaciółmi w kierunku szerokich schodów wiodących na piętro, wtedy jeden z elegancko ubranych mężczyzn złapał go za rękaw.

–Zaczekaj człowieku! – zawołał. – Stań w kolejce. Porozmawiaj z sekretarzem, kiedy się pojawi, i jeśli masz jakąś sprawę, przedstaw ją jemu!

–Czy powiedziałeś do mnie „człowieku”? – prychnął Brian. – Zabierz tę przeklętą rękę. I z kim, do kroćset, mam wątpliwą przyjemność mówić?

Tamten puścił jego rękaw.

–Jestem wicehrabia sir Mortimer Verweather, czł... – mężczyzna o mało nie powtórzył „człowieku”, ale najwyraźniej się rozmyślił. – I żaden szaraczek nie będzie tak do mnie mówił! Mój rodowód sięga króla Artura!

Brian bardzo obrazowo wyjaśnił mu, co może zrobić ze swoim rodowodem.

–A co do mnie, milordzie – zakończył – to jestem z Neville'ów z Raby i nie muszę zginać karku przed nikim. Odpowiesz mi za tę zniewagę!

Obaj położyli dłonie na rękojeściach mieczy.

–Chętnie... – zaczął sir Mortimer, gdy wepchnął się między nich krępy, bardzo dobrze ubrany mężczyzna, na szyi miał srebrny łańcuch z jakimś dużym medalionem.

–Natychmiast przestańcie, panowie – powiedział stanowczo. – Cóż to? Swary tutaj, w kwaterze... – nagle urwał. – Sir Brian!

Dopiero teraz poznał rycerza. Ton jego głosu zadziwiająco się zmienił, chociaż pozostał stanowczy.

–Opuściłeś nas zaledwie godzinę temu. Nie spodziewałem się tak szybkiego powrotu...

–Tak się składa, sir Williamie – odparł Brian, opuszczając rękę i mówiąc znacznie spokojniej – że już znalazłem i przyprowadziłem obu rycerzy, o których była mowa.

–Wspaniale! – rzekł z uśmiechem sir William. – Sir John natychmiast chce was widzieć, Pozwólcie za mną.

Już miał odejść, ale odwrócił się jeszcze i spojrzał na sir Mortimera.

–A co do ciebie, milordzie – powiedział surowo – nie zaszkodziłoby, gdybyś będąc tutaj, zważał na swoje maniery. Sir John zobaczy się z tobą, kiedy znajdzie czas.

Odwrócił się do Briana.

**- Pozwól, panie, wraz z tymi,
których przyprowadziłeś. Wszyscy
czterej weszli po schodach na piętro,
odprowadzani spojrzzeniami obecnych.**

Po tym epizodzie, poprzedzającym podróż Jima, Briana i Gilesa do Francji, Jim nie darzył szczególnym szacunkiem sir Mortimera Verweathera. I to był człowiek, który kierował ugrupowaniem mającym wspierać księcia i króla? Właśnie on zamierzał poprawić stosunki między władcą a jego synem?

Na szczęście w tym momencie książę nie domagał się, by Jim podzielił jego zachwyty. Edward, w przyływie entuzjazmu i podniecenia, zapomniawszy o swych uprzednich wahaniach, gadał jak najęty.

–...taka okazja nadarza się za sprawą zarazy, która dotarła do Londynu! – mówił. – Cumberland opowiadał się za tym, żeby wszyscy szlachetnie urodzeni i ci, których na to stać, opuścili miasto, i oczywiście jako szambelan radził, by król i wszyscy najważniejsi dworscy urzędnicy udali się na swego rodzaju dobrowolne wygnanie na wieś, skąd można by nadal spokojnie rządzić krajem.

Jim skinął głową. To przynajmniej miało sens, zwłaszcza wyjazd króla z ogarniętego zarazą miasta. Już miał udzielić księciu tej samej rady, jaką dał biskupowi – powinni starać się wytępić pchły i szczury – lecz Edward, chcąc jak najszybciej opowiedzieć mu o wszystkim, nie dał mu tej szansy.

–Tak się złożyło – ciągnął – że Cumberland miał już na myśli pewien konkretny zamek będący jego własnością. Zamek Tiverton w Devon, gdzie zwykle mieszka earl Devonu, który teraz jest nieobecny. Ten zamek dysponuje liczną i niezwykle sprawną służbą, więc ojciec miałby tam wszelkie wygody, do jakich przywykł na dworze. Jest tam też piwniczka z niezrównanym winem... i tym podobne rzeczy. Cumberland sprawił, że król był już skłonny opuścić Londyn. Wtedy jednak pojawił się pewien problem.

Edward promiennie uśmiechnął się do Jima.

–Był to cios dla Cumberlanda, który już poczynił przygotowania do przeprowadzki do Tiverton i zdołał namówić do niej mojego ojca. Okazało się, że Cumberland nie może tam pojechać – przynajmniej nie od razu. Kto mieczem wojuje... Co sądzisz o takim błędzie, popełnionym przez człowieka, któremu nazbyt często przypisuje się nadzwyczajny spryt?

–Wybacz mi – odparł Jim – ale dlaczego Cumberland nie mógł tam pojechać?

–Jak już mówiłem, zaledwie przed chwilą – rzekł Edward, nie zważając na to, że mija się z prawdą – okazało się, że przeniesienie wszystkich oficjeli potrzebnych Cumberlandowi do dalszego sprawowania rządów, wraz z ich urzędnikami, papierami oraz całym wyposażeniem, będzie niemożliwe. Ten zamek jest dość duży, ale i tak nie pomieściłoby się w nim tylu ludzi, ilu zamierzał zabrać!

Zamilkł i spojrzał na Jima.

–Aha! – powiedział Jim, czując, że księżę oczekuje jakiegoś komentarza, i mając nadzieję, że taki wystarczy.

–Właśnie! – podjął Edward. – Powinien się upewnić, że jest tam dość miejsca, zanim namówił do wyjazdu mojego ojca, który z początku wcale nie miał ochoty opuszczać swoich ulubionych apartamentów. Teraz jednak earl nie ma wyboru. Ojciec chce tam jechać, a Cumberland musi zostać – przynajmniej przez jakiś czas. Joanna miała rację. Nadarzyła się okazja. Nie widzisz jaka?

–Nie. wasza miłość.

–Dziwię ci się, Jamesie, gdyż zawsze cieszyłeś się opinią bystrego. Mój ojciec jest królem. Nikt nie będzie mógł mu się sprzeciwić, jeśli, bawiąc na wsi, zechce częściej przebywać w moim towarzystwie, co Cumberland i jego zauszniczy uniemożliwiali nieustannymi łgarstwami i oskarżeniami. A ponadto będę miał tam sprzymierzeńca, sir Verweathera, który pomoże mi pokrzyżować plany urzędników i szpiegów podesłanych ojcu przez Cumberlanda.

Zamilkł, opróżnił kielich, po czym znów szczerze napełnił go winem i ponownie pociągnął tęgi łyk. Usiadł wygodnie w fotelu i uśmiechnął się.

–Krótko mówiąc – rzekł – już kilkakrotnie widziałem się z ojcem i nasze stosunki się poprawiają. Niezbyt szybko, ale zdecydowanie.

–A więc wszystko się wyjaśniło – skonstatował z ulgą Jim.

–Nie wszystko.

–Nie wszystko? – Jim czujnie spojrzał na gościa. Co też teraz zaproponuje księżę, wplątując w swoje sprawy Jima, Angie, Malenconiri oraz ich przyjaciół?

–Pozostał jeszcze pewien drobny problem. Bardzo mały, ale zapewniam cię, że dla mnie bardzo istotny. Muszę dość często omawiać z sir Verweatherem kwestie związane z moimi spotkaniami z ojcem. Tymczasem służbę w zamku, w którym obecnie przybywa, opisywano Cumberlandowi jako niewiarygodnie sprawną. Niestety, to prawda.

Jim zmarszczył brwi,

–Niestety? – rzekł. – Jakim cudem służba może być niewiarygodnie sprawna?

–Nie wiem jakim cudem, Jamesie – odparł księżę i spochmurniał. – Zapewniam cię jednak, że taka jest. Jeszcze nigdy nie usługiwano mi tak znakomicie. Chyba wszyscy są jasnowidzami. Wystarczy otworzyć usta, żeby któregoś wezwać, a on już puka do twoich drzwi, zanim skończysz mówić. Przy stole wciąż przy tobie stoją. To budzi niepokój mój i sir Verweathera. Jeśli ta służba jest tak znakomita, to być może potrafi równie dobrze podsłuchiwać przez zamknięte drzwi i kamienne ściany zamku.

–Cóż – rzekł Jim – to oczywiście bardzo skomplikowałoby sytuację.

Może księżę Edward przybył tutaj właśnie dlatego: chciał, by Jim użył magii, aby sprawdzić, czy zamkowa służba rzeczywiście szpieguje.

–...i jak już powiedziałem – ciągnął Edward, nie zwracając uwagi na słowa Jima – sir Mortimer i ja musimy rozmawiać w cztery oczy. Gdyby ktoś złośliwymi podszeptami wzbudził w moim ojcu choć cień podejrzenia, że nasze zbliżenie jest ukartowane, potwierdziłoby to wszelkie wątpliwości, jakie starał się zasiać w jego umyśle Cumberland,

–Rozumiem – powiedział Jim, zaczynając poważniej traktować całą tę sytuację.

–Wiedziałem, że zrozumiesz. Dlatego Joanna i ja przybyliśmy do ciebie z pewną prośbą. W tamtym zamku nie ma bezpiecznego miejsca, w którym mógłbym rozmawiać z sir Verweatherem.

–Na to wygląda – zgodził się Jim chyba bardziej szczerze niż uprzejmie. Jakiego rodzaju magii zamierzał zażądać od niego księżę?

–Nie ma. Dlatego chciałbym, oczywiście za twoją zgodą, spotykać się w innym miejscu. Tiverton leży zaledwie o pół dnia jazdy od twojego zamku. Chciałbym, aby moje spotkania z sir Verweatherem odbywały się w Malencontri. W ten sposób miałbym również sposobność widywać się z Joanną, gdyż nie miałem innego wyjścia i musiałem przyjąć propozycję ojca, który – sądząc, że jestem sam – zaoferował mi pojedynczą kwaterę na zamku Tiverton.

Jim wytrzeszczył oczy.

–Byłbym bardzo zobowiązany, gdybyś się zgodził, Jamesie – rzekł Edward z uśmiechem. – W końcu to nic takiego.

–Ehm! – odchrząknął Jim, nieco głośniejszym głosem niż zamierzał.

–Czy widzisz jakieś trudności? – zapytał księżę i uśmiech znikł z jego twarzy.

Jim gorączkowo szukał odpowiedzi. Czy to możliwe, by Edward nie rozumiał, o co prosi? Czyżby tak obsesyjnie usiłował rozwiązać swoje problemy lub tak przywykł do realizowania swoich planów, nie zważając na innych, że nawet nie pomyślał o tym, jaką cenę może za to zapłacić Jim, Angie i wszyscy z nimi związani?

Zgoda oznaczałaby powiązanie Malencontri z intrygą Verweathera. Cumberland mógłby oskarżyć (niewątpliwie skutecznie, wzięwszy pod uwagę jego władzę i fundusze na łapówki) ich wszystkich o udział w spisku mającym na celu podporządkowanie króla księciu. Edward mógłby jednak zostać wygnany. Możliwe, że nie, ale wszystkich innych wzięto by na tortury, żeby przyznali się do zdrady, po czym powieszono by ich, włóczono końmi i poćwiartowano.

–Wybacz mi, wasza miłość – powiedział – ale obawiam się, że pojawia się pewna nieoczekiwana i niezwykła przeszkoda. Jak zapewne wiesz, jestem członkiem

Zgromadzenia Magów...

Trochę naciągał prawdę, gdyż Carolinus zaledwie napomknął o tym, że rozważają jego kandydaturę, ale nie był to odpowiedni moment na wyjaśnienia.

–Jako członek tego grona podlegam pewnym prawom nie znanym postronnym.

–Czy zabraniają ci one udostępnić twemu księciu jedną z zamkowych komnat, w której mógłby porozmawiać w cztery oczy z przyjacielem? – zapytał Edward. – Jakie prawo nie pozwala ci spełnić skromnej prośby starego przyjaciela? Powiedz!

–Żałuję, wasza miłość, lecz o naszych prawach mogę rozmawiać jedynie z innym magiem. To reguły podobne – powiedział w nagłym przypiływie natchnienia Jim – i równie ważne jak ślubowanie, które złożyliśmy podczas pasowania na rycerzy.

Księżę nie dawał się ułagodzić.

–Z pewnością prawa jakiegoś małego tajnego stowarzyszenia nie są równie ważne jak twe obowiązki względem króla! Żaden głos w Anglii nie przemawia głośniejsz od obowiązku względem Korony!

Ton księcia zaczynał zdradzać ognisty temperament Plantagenetów – nie mówiąc już o ich głupocie – lecz w tym momencie donośny łoskot przedarł się przez kamienne sklepienie komnaty i trochę zagłuszył jego słowa.

–W innych okolicznościach miałbyś rację, wasza miłość – powiedział Jim – ale są pewne szczególne sytuacje. – Starał się mówić spokojnie i łagodnie. – Bardzo rzadkie, rzecz jasna. Jednak podobnie jak Kościół...

–Jak śmiesz porównywać wasze małe tajne stowarzyszenie ze Świętym Kościołem? – prawie krzyknął księżę, gdy za jego plecami drzwi słonecznej komnaty otworzyły się ze zgrzytem i usłyszeli jeszcze donośniejszy głos.

–Oczywiście lord James nie miał tego na myśli! – ryknął nowo przybyły, zagłuszając nawet łoskot dochodzący ze szczytu wieży, głosem ćwiczonym tak, by był słyszany przez audytoria w ogromnych kościołach. – Jak wszyscy zacni ludzie wie, że głos Kościoła przemawia najdonośniej, głośniejsz nawet od królów, którzy są tylko śmiertelnikami. A przede wszystkim głośniejsz od głosu młodzieńca, którego zdrożne i niechlubne postępowanie zasługuje na potępienie ojca, którego autorytetem się podpiera!

Do komnaty weszła Angie, a za nią biskup.

–Hmm... – zaczął Jim, usiłując przerwać duchownemu, lecz ten zagłuszył go swym donośnym głosem, któremu towarzyszył łoskot na górze. Biskup pogarszał sytuację. Jim był przekonany, że sam zdołałby udobruchać księcia.

–A jeśli jego ojciec jest jednocześnie królem, to młodzian ten ma wobec niego podwójne obowiązki! Względem swego ojca i króla. Czy czciłeś ojca swego, jak nakazuje Pismo? Jeśli tak, nic o tym nie wiem! A teraz oskarżasz wielu zacnych ludzi, którym Pan zezwolił czynić wiele dobra i którzy poświęcili swe życie, aby je czynić. Oni goili rany cierpiącym! Kochają ich jednako ludzie i zwierzęta! Oni stanęli między nami wszystkimi a mocami Ciemności – ty zaś, nieopierzony młokosie, lekceważysz ich obowiązki i prawa, bo sprzeciwiają się twoim samolubnym życzeniom!

–Dumny biskupie! – krzyknął Edward. – Myślisz, że będziesz prawil mi kazania,

jakbym był jednym z twoich wieśniaków z rękami brudnymi od orki? Powiem ci...

–Wybaczcie na chwilę! – Jim w końcu zdołał przekrzyknąć Edwarda. – Skoczę tylko na górę i sprawdzę, czy uda mi się uciszyć ten hałas, żebyśmy mogli się słyszeć...

Przerwał, zanim książkę zdążył coś powiedzieć, i nic czekając na słowa sprzeciwu, zerwał się z fotela i wybiegł ze słonecznej komnaty.

Zanim jednak dotarł na sam szczyt schodów i wystawił głowę z prostokątnego otworu w płaskim dachu wieży, wiedział już, co to za hałas. Prawdę mówiąc, wiedział to od samego początku.

Był to głos Secoha, małego – wedle smoczych standardów – bagiennego smoka, który był jednym z jego towarzyszy w bitwie pod Wieżą Loathly, gdzie po raz pierwszy zdołali uratować Angie przed Ciemnymi Mocami.

Istotnie był to Secoh. Stał odwrócony tyłem do Jima i przemawiał normalnym głosem, jak do innego smoka. Mówił zaś do pełniącego wartę zbrojnego, który jeszcze nigdy w życiu nie znalazł się oko w oko ze smokiem. Ten młody człowiek, jeszcze lekko pryszczaty i z tikiem w prawym oku, zwał się Wink Millerson i niedawno dołączył do załogi zamku Malencontri. Teraz, poblady, lecz dzielnie nastawiając ostrze halabardy, cofnął się tak daleko od Secoha, jak pozwalała na to szerokość dachu.

Nikt nie usłyszałby Jima, gdyby przemówił swym ludzkim głosem, w tej sytuacji nie miał więc wyboru. Przeskoczył trzy ostatnie stopnie, żeby mieć dosyć miejsca, po czym przybrał postać smoka.

–Zamknij się! – ryknął na Secoha o wiele głośniej od niego, wykorzystując swe znacznie większe płuca i gardziel.

W pośpiechu pomylił się. Powinien był zawołać „Milcz!” w zrozumiałym czternastowiecznym języku. Jednak Secoh znał jego smoczy głos i bez trudu właściwie zinterpretował znaczenie okrzyku. Natychmiast zamknął pysk i odwrócił się w chwili, gdy Jim ponownie przemienił się w człowieka. Ściszywszy głos do tego, co u bagiennego smoka jest odpowiednikiem ludzkiego szeptu, Secoh rzekł:

–Bardzo przepraszam, milordzie. Czy tak jest lepiej?

–Tak – odparł Jim. – Secohu, wiesz, że zawsze jesteś tu mile widziany...

W tych czasach i rzeczywistości nie mógł powiedzieć niczego innego komuś, kto walczył u jego boku.

–...ale prosiłem cię, żebyś zawsze ściszał głos, kiedy jesteś w zamku.

–Przecież jesteśmy na zewnątrz, milordzie.

–Nie.

–Nie? – szepnął Secoh.

–Nie – powtórzył Jim. – Tutaj, na dziedzińcu, tak jak i wszędzie w obrębie murów Malencontri i kiedy w pobliżu są ludzie, masz mówić ściszym głosem!

–Tak, milordzie. Nie zapomnę, milordzie...

–Już dobrze. Co cię tu sprowadza?

–Wybacz mi, miłoścy i łaskawy panie – mówił pospiesznie Wink, a tik w prawym oku sprawiał, że nerwowo mrugał, wyrzucając z siebie potok słów – ale ten smok

wylądował pomiędzy mną a dzwonem. Właśnie miałem wypróbować na nim to ostrze – potrząsnął halabardą – ale ryczał tak donośnie, że w pierwszej chwili po prostu mnie ogłuszył, milordzie!

–Wszystko w porządku – rzekł Jim. – To mój stary towarzysz i przyjaciel. Zawsze jest tu mile widziany. Jeśli zacznie ryczeć, machnij ręką, żeby przestał. A teraz, Secohu...

–Milordzie! – Secoh wyprężył się i o mało nie pękł, usiłując przekazać przyniesioną wiadomość szeptem, a jednocześnie nic pozbawić jej ważności. – Mam zaszczyt zameldować, że patrol młodych smoków objął służbę i będzie pilnował nieba stąd aż po zamek Smythe na zachodzie i zamek Malvern na wschodzie. Nie musisz się już obawiać, że znów zaskoczy cię wróg!

Jim zamknął oczy i zaczerpnął tchu. Zachowaj spokój – powiedział do siebie. Kiedy jednocześnie pojawia się wiele spraw, zachowaj spokój i załatwiaj każdą po kolei.

Rozdział 6

Jim otworzył oczy, ponownie głęboko odetchnął i wziął Secoha w krzyżowy ogień pytań.

–Czy ich rodzice w Clifftside wiedzą o tym?

–Och tak, milordzie.

–I zgadzają się?

–Tak, milordzie.

Secoh nie okłamałby go, ale to było niemal zbyt piękne, żeby mogło być prawdą. Zazwyczaj bagienny smok – z plemienia przetrzebionego i osłabionego w wyniku złowrogiego oddziaływania Ciemnych Mocy okupujących Wieżę Loathly – miałby szczęście, jeśli smoki z Clifftside w ogóle zwróciłyby na niego uwagę. Jednak dołączywszy do Jima i jego towarzyszy, którzy uwolnili Angie z wieży, Secoh przestał być skromnym bagiennym smokiem, który przez sto trzydzieści trzy lata żywił się skorupiakami i rybami. Stał się nawet agresywny, odkrywając, że może rzucić wyzwanie każdemu innemu smokowi, niezależnie od jego rozmiarów, podczas gdy większemu smokowi nawet zwycięstwo nad nim nie przyniesie zaszczytu. Rzecz jasna, każdy smok, jeśli się zdenerwuje, podejmie walkę, nie zważając na nic – to po prostu leży w smoczniej naturze. Jeśli jednak większy zwycięży, inne smoki powiedzą, że przecież w starciu z tak małym przeciwnikiem niczego innego nie należało się spodziewać. Natomiast Secoh, nawet jeśli ledwie ujdzie z życiem z takiej potyczki, zostanie uznany za bohatera nie lękającego się niczego i nikogo.

Smoki to pragmatyczny ludek. Jeśli niczego nie można zyskać, to po co się trudzić? Dlatego też żaden smok z Clifftside nie zamierzał sprawdzać się w walce z Secohem. Bo i czemu dać się poszarpać za nic?

Ponadto nikt nie mógł zaprzeczyć, że Secoh brał udział w bitwie o Wieżę Loathly, podczas której Jim w swym smoczym ciele zabił ogra, czego nie dokonał żaden inny smok. Secoh również, choć z pomocą legendarnego Smrgola, wówczas bardzo już podstarzałego i zniedołężniałego po wylewie, dzielnie się spisał podczas tej bitwy. Pomógł zabić Bryagha, wielkiego i potężnego smoka, który, porwał Angie i zaniósł Ciemnym Mocom w Wieżę.

Dla smoków z Clifftside najważniejszym wydarzeniem tej bitwy było to, że smok spotkał się w uczciwej walce z ogrem i pokonał go, a w dodatku ten smok, którego postać przybrał Jim, był smokiem z Clifftside! Chwała tego zwycięstwa spływała na nie wszystkie, a skoro Secoh również był tam obecny, to i jemu przysługiwała część tej chwały.

W wyniku tego Secoh stał się w Clifftside osobistością. Młode smoki (z których żaden nie przekroczył osiemdziesiątki) podziwiała go. On snuł im długie opowieści o wyczynach Jima, jak najczęściej wspominając w nich o sobie, i wciąż pakował młodzików w niebezpieczne sytuacje.

Na szczęście matki niezawodnie ratowały je z opresji. Secoh wiedział, że lepiej nie irytować smoczyc, tak więc młodym przeważnie nie groziło żadne poważne niebezpieczeństwo.

Dlatego też, powiedział sobie w duchu Jim, skoro smocze matki wiedzą o tym

patrolu i wyraziły zgodę, nie może to być niebezpieczne.

–A więc nie zaskoczą mnie wrogowie? – spytał Jim, uczepiwszy się tego, co powiedział Secoh. – Teraz jednak jest noc.

–Patrol młodych smoków pilnuje nieba we dnie i w nocy, milordzie. Tak jak twój wartownik na wieży.

–I w nocy? – wytrzeszczył oczy Jim. – I mówisz, że ich matki się na to zgodziły?

–Młodzi muszą się zmieniać, co wywołało wiele sporów – przyznał Secoh. – Każdy z nich pełni straż jedną noc w tygodniu. Ponadto, co udowodniłeś ostatnio, walcząc z królem Arturem, my, smoki, nie toniemy w wodzie, lecz unosimy się na jej powierzchni. Teraz nawet stare smoki z Cliffsida nie obawiają się wylądować na jeziorze czy rzece po zmroku.

–Walczylem z królem Arturem?! – wykrzyknął Jim z niedowierzaniem

Nie spodziewał się, że nawet Secoh do tego stopnia rozminie się z prawdą w swoich opowieściach. Oczywiście taka wersja była miłsza smoczym sercom niż fakt, że walczył u boku króla.

Wink, wciąż trzymający nastawioną halabardę, był wyraźnie wstrząśnięty.

–Wybacz, milordzie, chciałem powiedzieć, że walczyłeś razem z królem Arturem – pospiesznie poprawił się Secoh. – Przejęzyczenie. Hmm... ten patrol, oczywiście, podczas przelotów strzeże również Cliffsida.

To wiele wyjaśniało. Z pewnością spodobało się to smoczym ojcom. Jim niemal słyszał, jak ryknęli chórem: „Doskonałe ćwiczenie dla młodzików!”

–No cóż... – mruknął. To zajęcie szybko się znudzi młodym smokom, a na pewno im nie zaszkodzi. – Dobrze. Niech patrol wypatruje teraz Aargha, a jeśli go zobaczą, powiedzcie mu, że chciałbym porozmawiać z nim najszybciej jak to możliwe.

–Rozkaz, milordzie! – zawołał Secoh. – Tylko skończę wyjaśniać ideę patrolu twojemu jermu, który stoi na warcie...

–Myślę, że on doskonale ją rozumie – powiedział Jim.

–Ach tak? No cóż, milordzie... Już lecę. Secoh wzbił się w powietrze, a Jim wrócił na dół.

Kiedy wszedł do słonecznej komnaty, zastał tam tylko Angie. Słudzy zdążyli już uprzątnąć puste puchary i półmiski. Obszerna komnata bez hałaśliwego księcia i biskupa wydawała się dwukrotnie większa.

–Co się stało? – zapytał Jim Angie, która rozkładała części jego zbroi i ciepłą odzież na łożu, którego zasłony odchyliła dla łatwiejszego dostępu.

–Och, kiedy księcia poniosły nerwy i wybiegł stąd – odparła – biskup jeszcze chwilę czekał na ciebie, a potem powiedział, że musi wrócić do swoich ludzi i upewnić się, czy już się spakowali. Przyszedł zapytać, czy nie użyczyłbyś mu czterech zbrojnych jako eskorty, ponieważ zamierza jechać nocą, a ma już jednego mniej: tego, który wdał się w burdę z Frankiem Shortem.

–Czterech zbrojnych? Co się tu dzieje? Angie, odłóż to i porozmawiaj ze mną.

Angie niespiesznie rozłożyła jego podróżną skórzaną opończę podszytą trzema warstwami wełny. Potem odwróciła się i spojrzała na męża,

–Biskup postanowił jeszcze dziś wrócić do swej siedziby przy katedrze Wells –

powiedziała. – Kiedy tak długo nie wracałeś od Carolinusa...

–Okazało się, że muszę polecieć do zamku Smythe i zaprosić Briana wraz z gościem, który u niego bawił. Obaj będą jutro rano na śniadaniu. Zapewne możemy ugościć go lepiej niż Brian.

–Jeszcze dwóch. To cały Brian: wstawać dwie godziny przed świtem. Ciekawe, jak to się spodoba jego gościowi?

–Zapewne niespecjalnie, ale...

–Ponadto będziemy mieli wolne pokoje, które opuści biskup... Właśnie miałam ci powiedzieć, że wziął sobie do serca nasze rady odnośnie do pcheł i szcurów. Pamiętasz, jak ci mówiłam, że nie zszedł na obiad? W tym czasie modlił się i doszedł do wniosku, że obowiązki wzywają go do biskupstwa, gdzie powinien kierować polowaniem na pchły i szcury, nawet gdyby miał tam jechać dniem i nocą. Dlatego on i jego świta już się pakują.

–Nie z powodu zatargu z księciem?

–Nie. Księżcia po prostu poniosły nerwy i wypadł stąd pierwszy, jak już mówiłam. Joanna wstała jakiś czas temu...

–Joanna? Joanna?

–Hrabina Kentu oraz Salisbury. Ta, która przyjechała z księciem. Powiedziała, że do rana mu przejdzie. Jest bardzo miła.

Jim przetrawił tę ostatnią uwagę. Angie zwykle nie była tak skora do wyrażania opinii.

–A co to wszystko ma wspólnego z moim strojem podróżnym? – zapytał. – Mam nadzieję, że nie sądzisz, iż pojedę z biskupem?

–Pomyślałam, że może zechcesz pojechać.

–Oczywiście, że nie chcę – odparł Jim. – To jego decyzja, żeby podróżować nocą, nie moja! – Przechadzał się tam i z powrotem po komnacie. – Gdzie ta francuska brandy?

–Na dnie szafy, jak zawsze. Lepsza byłaby filiżanka herbaty.

–Nie lubię herbaty! Lubię kawę. ale nie możemy jej zdobyć w tym przeklętym, prymitywnym świecie, gdzie wszyscy wciąż ryzykują życie z poczucia obowiązku! Zadawanie się z nimi to jak żonglowanie dynamitem...

Jim chwycił już za klamkę wysokich drzwi szafy, ale puścił ją, nie otwierając drzwi, po czym odwrócił się i powoli podszedł do łoża. Usiadł na nim obok podróżnej opończy.

–Nie – rzekł ze znużeniem do Angie – masz rację. Oczywiście. Pojadę z nim. Nocna jazda przez ostępy Somerset... Szaleństwo!

Bandy zbójów, nocne trolle... Bóg wie co jeszcze! To ja jestem tu gospodarzem, a on rusza w drogę z powodu moich sugestii.

Kiedy to mówił, Angie podeszła do kominka, zawiesiła czajnik nad ogniem i wyjęła z szafy wysoką, wąską butelkę brandy.

Obserwował ją w milczeniu, gdy zaparzała herbatę, dolała do niej brandy i przyniosła mu filiżankę. Napój był gorący i aromatyczny. Jim spojrzał na żonę.

–Muszę jechać – stwierdził.

Pochyliła się i pocałowała go.

–Mój drogi.

Ubrany, okryty zbroją i w pełnym rynsztunku, Jim zszedł w końcu na dziedziniec, który wyglądał jak skrzyżowanie zakamarka piekieł z główną kwaterą armii szykującej się do walnej bitwy. Wszędzie snuł się gęsty dym łuczywa płonącego w kagankach oświetlających podwórze, na którym panował niezwykle o tej porze rozgardiasz. W zimnym powietrzu unosił się odór wyprowadzonych z ciepłej stajni koni, a ludzki pot mieszał się z wonią palonego drewna.

Pośród tego zamieszania biskup prezentował się jeszcze okazalej i bardziej imponująco niż zwykle: w kolczudze nałożonej na opończę i w hełmie z osłoną nosa, co bynajmniej nie kłóciło się z jego stanowiskiem, gdyż jedyną rzeczą, jaką można by uznać za broń, była jego laska, a i ta nie miała ostrza. Kościół zabraniał swym sługom przelewać krew, a więc posługiwać się ostrą bronią.

Biskup stał, podpierając się laską, i z ponurą miną obserwował przygotowania. Jego kolczuga lśniła czerwienią w blasku płomieni z kagańców na zamkowych murach. Milczał. Nie do niego należało wydawanie rozkazów. Ten obowiązek spoczywał na dowódcy jego eskorty. Jeśli jednak jakikolwiek człowiek wyglądał na gotowego do walki z armiami Zła, to z pewnością był nim właśnie biskup.

Przemówił dopiero na widok gotowego do podróży, opancerzonego Jima, z mieczem i sztyletem u pasa.

–Sir James! – biskup szeroko rozłożył ramiona na powitanie. – Powiedziano mi, że pojedziesz z nami! Nie mógłbym prosić o większy zaszczyt... – Chwycił Jima w objęcia i wycisnął na jego policzku serdeczny pocałunek. – Ale, ale, sir Jamesie, dziś przed twoim powrotem znalazłem chwilę, by poświęcić zamkową kaplicę.

–Jestem ci za to głęboko wdzięczny, ekscelencjo – rzekł Jim.

Naprawdę był wdzięczny. On i jego służba ciężko pracowali, by doprowadzić do pierwotnego stanu kaplicę Malencontri, którą sprofanował poprzedni właściciel zamku, sir Hugh. Mieszkańcy zamku i okolic z zadowoleniem przyjmują fakt konsekracji świątyni przez biskupa.

Jim starał się w miarę swych nadwątlonych wydarzeniami dnia sił odwzajemnić serdeczności biskupa, jednakże zdawał sobie sprawę z tego, że nie dorównał mu energią i determinacją. Coś trąciło go w kark. Odwrócił się i ujrzał swego rumaka, Gorpa, osiodłanego i przygotowanego do jazdy, włącznie ze sterzącą z ostrą kopią. Jednocześnie poczuł, że coś przebiega mu po karku i wsuwa się między koszulę a podkoszulek. Tylko jedno stworzenie w Malencontri potrafiło się spłaszyc jak papier.

–Hobie! – rzekł surowo. – Masz tu zostać, żeby zaopiekować się milady i wszystkim!

–Theoluf potrafi obronić zamku i milady równie dobrze jak ja – odparł zdyszonym głosem Hob prosto do jego prawego ucha. – Obowiązek nakazuje mi jechać z tobą, milordzie!

Jim westchnął w duchu.

–...milordzie – mówił dowódca straży biskupa. – Wszystko gotowe.

–Zatem w drogę! – zawołał biskup i wszyscy, biskup za ledwie o pół konia przed Jimem, wyjechali z kręgu światła kagańców, przez otwartą o tak niezwyklej porze bramę, po głucho dudniącym przez chwilę moście zwodzonym, w ciemność i odgłosy nocy.

Jim nie był przesądny i nie obawiał się żadnych nadzwyczajnych niebezpieczeństw mogących czyhać na nich w mroku, oprócz typowych dla owych czasów. Biskup także zdecydowanie nie należał do przesądnych (nawet w dwudziestowiecznym rozumieniu tego słowa), a być może jego słudzy również. Jednak niemal wszyscy członkowie jego świty, a szczególnie wywodzący się z pospólstwa zbrojni jeźdźcy – wszyscy bowiem oczywiście jechali konno – starali się trzymać blisko siebie.

Kiedy jednak ich oczy oswoiły się już z mrokiem, ocenili swoje siły oraz liczebność i zdali sobie sprawę, że jedzie z nimi nie tylko biskup, ale i sławny rycerz-mag, ciemności przestały wydawać im się takie straszne. Odprężyli się, sformowali luźniejszy szyk i zaczęli rozmawiać ściszymi głosami, prawie zagłuszonymi przez brzęk uprzęży.

Jim kilkakrotnie zagadnął biskupa na wypadek, gdyby ten miał ochotę na rozmowę. Jednak biskup odpowiadał lakonicznie, nie wykazując chęci czy potrzeby wymiany zdań. Najwyraźniej całą uwagę skupił na własnych myślach i tym, co zamierzał zrobić po dotarciu na miejsce.

Jim zwolnił i jadąc tuż za duchownym, także pogrążył się w rozmyślaniach.

W takim tempie, jakie nadał biskup – jadąc szybkim kłusem – będą musieli regularnie robić postoje, żeby dać odpocząć wierzchowcom. Mimo to powinni dotrzeć do Wells za około osiem godzin. Jim prześpi się cztery godziny, wstanie, zje coś i może za kolejne osiem godzin znajdzie się z powrotem w Malencontri.

Przy odrobinie szczęścia powinien wrócić do domu jutro po południu. Będzie strudzony, rzecz jasna, ale na tyle rześki, żeby zabrać się do tego, co już powinien robić: dopilnować, by służba wytępiła wszystkie pchły i szczury, oraz wydać dyspozycje odnośnie do sposobu traktowania wszystkich tych, którzy zechcą wejść do zamku.

Ponadto powinni przygotować jakieś pomieszczenie na zewnątrz, w którym można by poddać kwarantannie wszystkich przybywających, kiedy zaraza dotrze aż tutaj. Propozycja Angie dotycząca pcheł i poleju była dobra, jeśli tylko w zamku znajduje się odpowiedni zapas tego ziele. Może Angie przed jego powrotem zacznie już przygotowania...

Najpierw jednak musiał dopilnować, żeby biskup bezpiecznie wrócił do Wells. Właściwie przy tak licznej eskorcie mogli się nie obawiać większych kłopotów. To prawda, że przeważnie podążali wąskimi leśnymi ścieżkami – a czasem jechali przez gęsty las – ale była pełnia, księżyc już wzeszedł i jasno świecił na prawie bezchmurnym niebie. Mało który bandyta byłby tak głupi, żeby ich zaatakować.

Pozostawały jeszcze nocne trolle, które mogły i potrafiły zbierać się w stada, jeśli zwietrzyły dostatecznie duży łup.

Jednak pozostawili już w tyle gęstą puszcę otaczającą Malencontri i wjeżdżali na

bardziej otwarty teren, gdzie rozległe łąki były przetykane tylko wąskimi pasmami lasów. Przy pełni księżyca trolle unikały takiego terenu, woląc się kryć pod osłoną ciemności. Jim odprężył się i skupił myśli na innych problemach.

Wytepiwszy pchły i szczury w zamku, objąwszy kwarantanną przybywających i pod osłoną zaklęcia, które Jim rzuci na okolicę, by zamknąć wszystkie szczeliny i dziury, powinni być tak zabezpieczeni przed zarazą, jak tylko to możliwe w tym średniowiecznym świecie.

Przez chwilę się zastanawiał, czy nie powinien zaproponować biskupowi, że w taki sam sposób zabezpieczy jego siedzibę w Wells, ale porzucił ten zamiar. Duchowny niewątpliwie nie przyjąłby – nie mógłby przyjąć – takiej niechrześcijańskiej pomocy. Ponadto dwukrotne zaklęcie wymagałoby zużycia większej ilości magicznej energii niż ta, którą dysponował Jim.

Lepiej, żeby taka propozycja wyszła od Carolinusa... Oczami wyobraźni ujrzał potwornie bolesne, pęczniejące i pękające wrzody na nagich ciałach ofiar zarazy. Aż zadrżał ze zgrozy i z trudem zdołał zająć myśli innymi sprawami.

Najważniejszą i najdelikatniejszą z nich było żądanie księcia, który chciał wykorzystać zamek Malencontri jako miejsce sekretnych spotkań i narad z sir Mortimerem.

Jim nagle uprzytomnił sobie, że biskup, unosząc rękę, zatrzymał cały oddział. Tak popędzając konie, musieli robić częste popasy, jeśli nie chcieli zajeździć wierzchowców. Biskup nie mógł wybrać lepszego miejsca na postój,

Wjechali na niewielkie wzniesienie – ledwie zasługujące na nazwę pagórka – z tuzinem rosnących na nim wiązów, których cień najwyraźniej zabił wszystkie rosnące pod nimi rośliny mogące stworzyć gęste poszycie. Jednak największą zaletą tego miejsca było to, że otaczał je szeroki pas otwartej przestrzeni i dopiero za nim, w odległości co najmniej połowy strzelenia z łuku, drzewa rosły dostatecznie gęsto, by mogli się za nimi ukryć ewentualni napastnicy.

Eskortujący biskupa zbrojni z zadowoleniem przyjęli rozkaz dowódcy, który kazał im zsiąść z koni i odprowadzić je między wiązy – rutynowa ostrożność na wypadek, gdyby śledzili ich zbóje uzbrojeni w łuki, czekający, aż osłabnie czujność ofiar. Postrzelony człowiek przeważnie może jeszcze jechać, nawet gdy trzeba go przywiązać do wierzchowca. Natomiast trafionego strzałą konia trzeba dobić, a nie mieli zapasowych rumaków.

Gwar rozmów umilkł, gdy w lesie, przez który jechali zaledwie chwilę wcześniej, rozległo się przeciągłe wilcze wycie.

Biskup otworzył usta, chcąc dodać wszystkim odwagi.

–W porządku – powiedział cicho Jim. – Znam tego wilka.

Podniósł głos.

–Nie obawiajcie się! – zawołał do zdrętwiałych towarzyszy. – Wiecie, że magowie umieją rozmawiać ze zwierzętami.

Oczywiście trochę mijał się z prawdą. Mógł rozmawiać z Aarghem, ponieważ ten mówił do niego w ludzkim języku. Carolinus posiadał tę umiejętność, Jim jednak dotychczas odnosił w tej dziedzinie umiarkowane sukcesy, a i to tylko z końmi.

Problem najwyraźniej polegał na tym, że zwierzęta przeważnie porozumiewały się nie werbalnie, lecz za pomocą mowy ciała.

–Zamienię kilka słów z tym wilkiem – dodał.

W głuchej ciszy popędził Gorpa w kierunku lasu, z którego dobiegało wycie. Gorp nie wzdragał się, znając już to wycie prawie tak dobrze jak Jim, inne konie wybałuszały jednak ślepią i szarpały uzdy trzymane przez jeźdźców.

Tak jak się spodziewał, zaledwie drzewa skryły go przed wzrokiem towarzyszy, usłyszał za plecami głos:

–A więc teraz przysyłasz karłowate smoki z wieścią, że mnie potrzebujesz! O co chodzi tym razem?

Jim odwrócił konia i stanął oko w oko z Aarghem, angielskim wilkiem, w blasku księżyca sączącym się przez listowie otaczających go drzew wydawał się jeszcze większy niż zwykle.

–W Anglii wybuchła zaraza zwana dżumą...

–Słyszałem o tym. To nie dotyczy tych z nas, którzy poruszają się na czterech nogach.

–Owszem, zwierzęta są na nią odporne. Już zapomniałem, że wysłałem ci wiadomość. Sądziłem wówczas, że może mógłbyś nam powiedzieć, czy zaraza dotarła tak daleko na zachód i czy gdzieś w Somerset ludzie już na nią chorują. Teraz jednak chodzi o coś innego. Biskup musi jak najszybciej wrócić do domu...

–I masz nadzieję, że dopilnuję, by ci wszyscy dwunożni dotarli po nocy bezpiecznie do celu?

–Niezupełnie – odparł Jim. Aargh zawsze działał mu na nerwy. Teraz też czuł, że jego uczucia szybko osiągają temperaturę wrzenia. – Myślałem o czymś, co ostrożny wilk może byłby skłonny zrobić, na przykład pobiec przodem, by sprawdzić, czy jacyś bandyci lub nocne trolle nie urządziły na nas zasadzki, i ostrzec nas, gdyby tak było.

–Tak myślałeś, co? No cóż, ostrożny wilk ma coś lepszego do roboty, chyba że to, czego od niego oczekujesz, przypadkiem pokrywa się z tym, co i tak by zrobił. Tak się składa, że po moim terytorium kręci się coś, czego nie rozpoznaję – a nawet mnóstwo tego czegoś – co sprawia wrażenie, że szykuje się na tę twoją małą armię. Krótko mówiąc, i tak zmierzam w tym samym kierunku co wy.

Założę się, że właśnie to cię tu ściągnęło! – zaśmiał się w duchu Jim i w nagłym przyplýwie sympatii do tego ponurego wilka zapomniał o irytacji, jaką czuł zaledwie przed chwilą. Aargh zawsze był bardziej pomocny, niż się do tego przyznawał. Nagle przypomniał sobie słowa wilka.

–Co masz na myśli, mówiąc, że jest tu coś, czego nie rozpoznajesz?

–Mam na myśli to, że zachowują się tak jak żadne ze znanych mi stworzeń. Pojawiają się na powierzchni ziemi i znowu znikają, Jeszcze nigdy nie zwęszyłem takiego zapachu. Tak jakby były to dwie wonie zmieszane ze sobą – albo więcej niż dwie. Mój nos nigdy nie wyczuwał czegoś takiego. Znajdują się na moim terytorium, i to bez mojego pozwolenia. Znajdę je i wystawię wam. Ich zapach świadczy, że idą za wami.

–Idą za nami? Dlaczego?

–Ty mnie o to pytasz, Jamesie?

–Nie. oczywiście, że nie, Aarghu – rzekł pospiesznie Jim. Przez cienką warstwę podkoszulka poczuł drżące ciało Hoba. – O co chodzi, Hobie?

–O nic takiego, milordzie.

–Na pewno?

–Tak, milordzie. Na pewno.

W obecności nieustraszonego Aargha Jim nie chciał wypytywać Hoba, co w innym wypadku niewątpliwie by zrobił.

–W każdym razie, Aarghu, czy dasz nam znać, gdyby zbójcy, nocne trolle lub inni tacy czekali na nas w zasadzce? – upewnił się Jim.

–Tej nocy nie zagrażają wam zbójce ani trolle. Jeśli potrzebujesz takiego zapewnienia, to je masz.

I Aargh znikł, jak zwykle błyskawicznie. Jim w zadumie wrócił do milczących towarzyszy, którzy wraz z biskupem czekali na wzniesieniu.

–Wszystko w porządku – oznajmił, dołączywszy do nich. – To był dobry wilk, którego znam. Pobiegnie przodem i wróci, by ostrzec nas, gdyby jacyś wrogowie zastawili na nas zasadzkę.

–Konie dosyć już odpoczęły – stwierdził biskup. – Jedziemy!

Ktoś krzyknął.

Jim usiłował dostrzec kto, lecz nie zdołał, nawet przy jasnym świetle księżyca padającym przez bezlistne o tej porze roku gałęzie wiązów. Ponadto w tym momencie nic było to już ważne.

Pas otwartej, porośniętej trawą przestrzeni wokół małego pagórka nagle znikł. Pokryła go zwarta masa gryzoni; wielkich, czarnych szcurek niosących na swych grzbietach maleńkie człekokształtne postacie. Jeźdźcy byli uzbrojeni w małe włócznie o ostrych i błyszczących grotach migoczących w blasku księżyca, tak że drzewce wydawały się płonąć żywym ogniem.

To jednak nie wszystko. Gdy pierwszy szereg napastników nacierał na wzgórze, zaczęli oni rosnąć i przybierać postać karykaturalnie zniekształconych rycerzy, nie jechali już na swych szczeropodobnych rumakach, które nagle znikły. Stwory te tylko trochę przypominały ludzi, a zbroje wydawały się raczej częścią niż osłoną ich ciała. Hełmy całkowicie zakrywały im twarze.

Ostrza ich mieczy lśniły w świetle księżyca równie jasno jak groty maleńkich włócznie, niewątpliwie były ostre i wyglądały groźnie.

W przeciwieństwie do ich właścicieli: ci bowiem byli powolni i niezdarni. Jim miał więcej czasu, niż potrzebował, by wyrwać miecz z pochwy i odbić wymierzony mu cios. Jego przeciwnik posługiwał się bronią tak, jakby trzymał ją w ręku po raz pierwszy w życiu. Wspomniałszy długie godziny, podczas których Brian usiłował wtajemniczyć go w arkania średniowiecznej szermierki, Jim odzyskał pewność siebie.

Zamachnął się mieczem, by zabić nieudolnego przeciwnika, i wtedy odkrył, że zwycięstwo nie będzie takie łatwe.

Przeszywający ból tuż nad prawą kostką sprawił, że zamiast zadać śmiertelny

cios, z trudem odbił następne niezdarne cięcie przeciwnika. Zerknąwszy w dół, zobaczył, że ziemię wokół pokrywa wijąca się masa szczurów i dosiadających ich jeźdźców. Jeden z nich właśnie cisnął włócznię, kierując ją w czule miejsce tuż poniżej kolana Jima, gdzie nagolennik łączył się z nakolannikiem.

Ból był tak okropny, że Jimowi trudno było zebrać myśli, nie mówiąc o walce. Był zbyt przesywający, aby mogło go wywołać coś niewiele większego od kolca jeżozwierz. Grot był zatruty w magiczny sposób. Jim jako rycerz podczas walki nie mógł posługiwać się magią, lecz jeśli przeciwnik używał magii lub czarów, to zupełnie inna historia. Jim usunął maleńką włócznię, uśmierzył ból i otoczył się ochronnym zaklęciem.

Teraz nie mogli go osiągnąć inni jeźdźcy, którzy zaciekle, lecz daremnie usiłowali wbić włócznię między ogniwa jego kolczugi. Ich ciosy nie dosięgały go. Skupiwszy się, Jim dwoma potężnymi ciosami powalił przeciwnika i natarł na następnego. Ogarnął go bitewny zapał, lecz rozsądek podpowiadał mu, że atakujących jest zbyt wielu, by zdołał pokonać wszystkich. Był już bliski rozpacz, gdy usłyszał głosik Hoba, który pospiesznie szeptał mu do ucha:

–Ogień, milordzie! Otocz nas pierścieniem ognia! One lubią ciepło, ale nie potrafią przejść przez płomień tak jak my, skrzaty!

Nie było czasu do namysłu. I nie była to odpowiednia chwila, by zastanawiać się nad ubytkiem magicznej energii, zużytej do rozniecenia ognia bez paliwa. Jim otoczył wszystkich ludzi na wzgórzu płonącym pierścieniem.

Usłyszeli piskliwe, przeraźliwe, przeciągłe wycie hordy stworów, które cofnęły się niczym morska fala, czarne w blasku płomieni. Wciąż groźnie potrząsały włóczniami, ale spoza ognistego kręgu.

Hob miał rację. Wewnątrz kręgu pozostały tylko trupy, gdyż nieliczni zdolni do walki zbrojni szybko i bezlitośnie rozprawili się z tymi, którym płomień odcięty drogę ucieczki. Ciało zabitych stworów natychmiast zaczęły wtapiać się w ziemię i zniknąć. Jim spojrzał za ścianę płomieni, ale niczego nie dojrzał. Niezdarni napastnicy zniknęli.

–Sir Jamesie! – usłyszał głos biskupa. – Sir Jamesie! Do mnie, powiadam!

Jim poszedł tam, skąd dobiegał głos, i znalazł duchownego, usiłującego pomóc kapelanowi cierpiącemu z powodu dwóch tkwiących w jego ciele włóczni. Drzewce sterczało również z prawej łydki biskupa. Ten pocił się obficie, ale nie poddawał się. Zapewne nie pozwalała mu na to odwaga Normana i chrześcijanina, a także świadomość tego, że musi dawać przykład swoim ludziom. Połowa zbrojnych z eskorty leżała na ziemi. Żaden nie został zabity ani ciężko ranny, ale wszyscy kulili się lub zwijali z bólu, cierpiąc w milczeniu i zachowując godność, co było typowe dla tych czasów.

–To sprawa demonów – jęknął biskup do podchodzącego Jima. – Czary demonów, czyż nie?

–Tak – potwierdził Jim. Popatrzawszy na biskupa i na pobojewisko, pomyślał: Gdy się powiedziało A, trzeba powiedzieć i B. Za pomocą magii uwolnił ich wszystkich od bólu i tkwiących w ich ciałach włóczni, jednocześnie ugasił magiczny

ogień. Magia mogła nie nadawać się do leczenia nawet najłżejszych chorób, ale w przypadku ran sprawiała istne cuda. Biskup miał równie zaskoczoną minę jak pozostali, po czym, zrozumiawszy, co się stało, najpierw srogo popatrzył na Jima, a potem otarł twarz szalem, który miał na szyi, i odwrócił głowę z niewinną, obojętną, świątobliwą miną człowieka, który nie widzi w tym niczego zdrożnego.

–Na koń! – ryknął. – W drogę!

W tym momencie pojawił się Aargh i spokojnie podbiegł do Jima, wszyscy zbrojni pospiesznie schodzili mu z drogi. Wyglądał tak, jakby stoczył pojedynek z jeżozwierzem – tyle maleńkich włóczni sterczało z jego kosmatego cielska.

–Zrób coś pożytecznego – warknął do Jima. – Użyj tego, co nazywasz rękami, i wyjmij ze mnie te drzazgi.

–Oczywiście – odparł Jim, usuwając je za pomocą magii. – No, już ich nie ma. Jak się teraz czujesz?

–Tak samo jak przed chwilą – odparł Aargh. – A jak miałbym się czuć?

–Musiało cię bardzo boleć – stwierdził Jim. – Wiesz, groty tych włóczni były zatrute magią...

–Wiem o tym. Pachniały magią. A ty wiesz, że magia nie działa na nas, czworonogi, tak samo jak wasze choroby. Dotyczy to nie tylko przedmiotów zrobionych za pomocą magii, ale również jej samej. Teraz macie już bezpieczną drogę do Wells. Nie sądzę, by ci naturalni – bo nimi były te stworzenia, prawda? – Jim skinął głową. – ... chciały spróbować jeszcze raz. Sam zabiłem ich kilka tuzinów. To ich zapach wyczułem. Będę w pobliżu, kiedy będziesz wracał. Tylko zawyż!

I znów zniknął.

Wjechali do Wells, gdy niebo na wschodzie zaczął rozjaśniać świt.

–Teraz będziesz musiał odpocząć – rzekł biskup, gdy oddali wierzchowce w ręce zakonników stajennych. – Nie muszę mówić, jak bardzo jestem ci wdzięczny za uleczenie zadanych przez demony ran i za to, że bezpiecznie dotarliśmy do domu. Z pewnością zechcesz się teraz odświeżyć i posilić...

–Zjem, kiedy wstanę – odparł Jim. – Mam tylko cztery godziny na odpoczynek, zanim zabiorę moich ludzi z powrotem do Malencontri. Musimy tam wrócić przed zachodem słońca.

–Dopilnuję, żeby cię zbudzono przed primą.

Rozdział 7

Jim i jego czterej zbrojni z Malencontri dosiedli koni i opuścili Wells zaledwie trzy kwadranse po tym, jak zakonny braciszek zbudził Smoczego Rycerza, przynosząc mu miskę gorącej zupy jarzynowej. Wprawdzie nie była to kawa – czy choćby herbata – lecz Jim spożył ją z przyjemnością i poczuł się o wiele lepiej niż w chwili, gdy z głębokiego snu zbudził go podetknięty pod nos talerz z gorącym bulionem parującym w chłodzie kamiennej izdebki.

Teraz, czując na twarzy świeży, ostry chłód porannego powietrza, zwolniwszy tempo jazdy z galopu do klusa, dzięki czemu wierzchowce powinny dotrzeć żywe do domu, zupełnie odżył. Wybiegł myślami naprzód, szybciej od koni, układając listę spraw, które powinien załatwić po powrocie.

Powinien się zająć zabezpieczeniem zamku przed zarazą, przekonać mieszkańców, że mówiąc o tępieniu pcheł, ma na myśli pozbycie się wszystkich pcheł i wszelkiego robactwa, dopilnować zbierania poleju i rozłożenia ziela przynajmniej w głównych komnatach, nauczyć służbę ścisłego przestrzegania zasad higieny oraz znaleźć osoby, które będą miały odwagę zająć się w izbie chorych każdym, kogo dopadnie zaraza...

Musi też wymyślić jakieś urządzenie zapewniające przepływ świeżego powietrza przez izbę chorych, żeby zminimalizować ryzyko rozprzestrzenienia się płucnej odmiany dżumy. Nie wspomniał o tym biskupowi, gdyż tej formy choroby nie potrafiłby przekonująco wyjaśnić w czternastowiecznej mowie i człowiekowi z czternastego wieku.

**Na moment mimo woli wrócił myślami do
stworów, które zaatakowały ich
ubiegłej nocy. Stanowczo odepchnął od
siebie tę wizję.**

Ponownie zajął się bieżącymi sprawami. Przypomniawszy sobie, że Carolinus jest już zapewne w Malencontri. Brian i jego gość na pewno również tam są. A być może także Geronde, Dafydd ze swą żoną Danielle i dziećmi, gdyż zaślubiny Briana i Geronde miały się odbyć jak najszybciej. Trzeba będzie wszystko przygotować: ustalić pory posiłków, zająć się gośćmi...

A najpoważniejszym ze wszystkich nie rozwiązanych problemów było żądanie księcia, któremu trzeba dyplomatycznie odmówić. Jim mógłby wykorzystać obecność Carolinusa i poprosić starego maga o jakąś magiczną wymówkę...

Jednak większości tych problemów nie rozwiąże przed dotarciem do domu. Podczas jazdy mógł tylko rozmyślać nad maszyną zapewniającą obieg powietrza i zastanawiać się nad wyborem pielęgniarek.

Tak więc skupił się na tych dwóch sprawach. Gdzieś w pomieszczeniach służby na parterze powinno się znaleźć miejsce na izbę chorych. Może trzeba będzie zburzyć fragment zewnętrznej ściany jakiegoś pokoju lub pomieszczenia, dostatecznie duży, by powstało okno. które oszklono częścią cennego szkła, zmagazynowanego na wypadek stłuczenia którejs z szyb w oknach słonecznej

komnaty. Okno w izbie chorych powinno się otwierać, tak by móc wpuścić świeże powietrze... Potem dobuduje się kominek, jeśli w pomieszczeniu go nie ma, by odpędzał chłód wywołany przepływem powietrza... dodatkowe pomieszczenie na zapasową pościel oraz inne wyposażenie izby chorych...

Rozmyślając, nie był w stanie się skupić na tym temacie. Nieustannie zbaczał ku innym, równie kuszącym jak myśl, by zamienić się w smoka i w tej postaci wrócić do Malencontri, znacznie szybciej, niż pokonując tę odległość na końskim grzbiecie. Jednak nie odważył się podjąć takiego ryzyka. Musiałby zostawić swoich czterech zbrojnych, a Malencontri obecnie odczuwało brak obrońców. Nie mógł stracić tych, którzy mu towarzyszyli. Jeśli on zauważył, że te małe demony z włóczniami posługują się magią, to kiedy uwolnił się od białej w nogę włóczni, jego ludzie z pewnością zobaczyli, że i on potrafi jej używać.

Ponadto, lecąc, zaoszczędziłby tylko kilka godzin. Poza tym, co właśnie przyszło mu do głowy, Angie pewnie już przygotowuje zamek na wypadek zarazy...

Chwileczkę. Na pewno musiała też grać rolę gospodyni wobec księcia i Joanny Kent-Salisbury, którzy z pewnością nie byłiby zachwyceni, gdyby ich zaniedbywała, by przygotowywać zamek na nadejście zarazy, która ponoć dopiero dotarła do Londynu.

Z księciem nie powinno być większych problemów, jeśli dobrze się zastanowić. Lubił kobiece towarzystwo, ale również kompanię mężczyzn, szczególnie rycerzy. Brian bezsprzecznie był jednym z nich, więc zapewne wysoko urodzony gość zajmie się nim. Tak więc zostawała hrabina Joanna i może Danielle, jeśli przybyła już z Dafyddem ap Hywelem, nie wspominając o Geronde, w każdej chwili mogącej przyjechać z zamku Malvern. Pożar, który tam wybuchł, zmusił parę do przeniesienia ceremonii zaślubin do zamku Malencontri.

Cała nadzieja w tym, że jeśli mężczyźni zbiorą się razem i zajmą sobą, to kobiety zrobią to samo. Może właśnie w tej chwili siedzą w słonecznej komnacie...

Tak też było, co odkrył, kiedy w końcu dotarł do domu. Inne damy były właśnie tam, gdzie się spodziewał – jak poinformowali go trzej służący. A milady prosiła, żeby nie przeszkadzać im bez wyraźnej potrzeby. Jim zastanawiał się, o czym też rozmawiają. Wzruszył ramionami. Pewnie o strojach. Ten temat wydawał się interesować wszystkie kobiety.

W rzeczywistości rozmawiały o wielu innych sprawach, siedząc przy winie i ciasteczkach, jakby nie było czegoś takiego jak zaraza. Angie oczywiście towarzyszyła Joannie z Kentu i Geronde, która przybyła znacznie wcześniej, niż się jej spodziewano. Tylko Danielle była w innej części zamku, zajęta najmłodszym synem cierpiącym z powodu kataru i lekkiej gorączki, której się nabawił podczas podróży.

Geronde była w nie najlepszym humorze. Jadąc z Malvern, ominęła Malencontri, zamierzając spotkać się z Brianem w zamku Smythe i przyjechać tu dopiero pod koniec tygodnia, a tymczasem nie zastała go w domu. Wcześniej zamierzała osobiście obejrzeć włości i zamek narzeczonego, a mając ogromne doświadczenie w zarządzaniu takimi dobrami, przeprowadziłaby tę inspekcję z dokładnością, która

niewątpliwie przeraziłaby służbę Briana, od lat przyzwyczajoną do niezbyt absorbujących obowiązków kawalerskiego gospodarstwa.

Mimo wszystko pani kasztelanka Malvern była niezwykle uprzejma.

–...zaszczyt cię poznać, pani – właśnie kończyła mówić do Joanny. – Mój przyszły małżonek wiele mi o tobie opowiadał.

Niestety ton jej głosu w pewnym stopniu zdradzał miotające nią uczucia. Brian jeszcze nie był jej małżonkiem i nie zostanie nim przed końcem tygodnia, a z powodu niefortunnego pożaru w jej zamkowej kaplicy ślub będzie musiał się odbyć w Malencontri... Joanna zaś miała równie dobry słuch jak każda zdrowa kobieta w jej wieku.

–Nie, to ja jestem zaszczycona – odparła z uśmiechem. Jak większość Plantagenetów, i sam książę, była wysoka, jasnowłosa, miała bardzo jasną cerę i owalną twarz, która nadawałaby jej wygląd dziecka, gdyby nie przeczyła temu kobieca budowa ciała. Przybywając w zbroi do Malencontri, wyglądała jak giermek. Teraz, ubrana w ciemnoniebieską suknię, była piękną kobietą, a kiedy się uśmiechnęła, Geronde nietrudno było odpowiedzieć uśmiechem.

–Bardzo krótko rozmawiałam z twoim mężem – mówiła Joanna do Geronde – ale jeszcze nigdy nie słyszałam, by mężczyzna tak chwalał przedstawicielkę naszej płci. Po prostu nie potrafił mówić o niczym innym. Teraz widzę, że jego zachwyt był najzupełniej usprawiedliwiony.

Długa blizna na prawym policzku Geronde, pozostawiona przez sir Hugh'a de Bois, który podstępem zdobył Malvern i bezskutecznie usiłował zmusić ją do małżeństwa, poczerwieniała. Kasztelanka miała za sobą ciężki tydzień, poczynając od pożaru kaplicy. Ponadto była równie skora do gniewu jak Brian. Jednak równie szybko się uspokajała, a teraz była zmieszana. Właściwie tonem głosu i słowami powitania rzuciła Joannie wyzwanie. Tymczasem Joanna nie tylko nie poczuła się urażona, ale okazała niezwykłą uprzejmość.

Jako córka zwykłego rycerza (któremu przysługiwał tylko niewielki proporczyk), chociaż właścicielka bogatych włości, była „damą” w pełnym znaczeniu tego słowa jedynie dla swojej służby i poddanych. Angie zaś jako żonie barona – który to tytuł był najniższy w szlacheckiej hierarchii – ledwie przysługiwało to miano. Joanna, zważywszy na różnicę ich pozycji, mogłaby zwracać się do Geronde po prostu „panno”. Fakt, że tego nie robiła, najlepiej świadczył o tym, że miała szczerą chęć zaprzyjaźnić się z nimi, nie wywyższać się i traktować to spotkanie jako okazję do miłej rozmowy.

–Istotnie, jesteś nadzwyczaj uprzejma, pani – rzekła Geronde.

–Skoro mowa o uprzejmości – powiedziała Angie do Joanny, odważnie wkraczając na grząski grunt – czy byłoby możliwe, abyś wraz z księciem Edwardem została tu podczas zaślubin, milady?

Użycie tego tytułu, zamiast bardziej formalnego „moja pani”, stanowiło kolejny krok w kierunku wskazanym przez Joannę, tym razem zrobiła go Angie. Lody szybko topniały.

–Wątpię – odparła Joanna. – Edward przyjechał tu tylko po to, aby porozmawiać z

sir Jamesem. Wiem, że zaraz po otrzymaniu jego odpowiedzi zamierzał wrócić ze mną do zamku Tiverton. Niestety, doszło do tej niefortunnej wymiany zdań z zacnym biskupem Bath i Wells.

–Nic o tym nie słyszałam – powiedziała Geronde, która знаła to wydarzenie tylko ze związku relacji tych członków służby, z którymi zdążyła porozmawiać po przyjeździe do zamku Malencontri. Od kiedy tu przybyła, Brian wciąż zajmował się księciem. Mimo łączącej ich przyjaźni, nie mogłaby spytać o to Jima, nawet gdyby tu był. Pomijając niestosowność takiego pytania, Jim był jednym z niewielu ludzi, których darzyła szacunkiem lekko podszytym lękiem – chociaż nigdy by się z tym nie zdradziła.

Teraz jednak nie musiała się zastanawiać, kogo o to zapytać. Dwie panie bowiem zdały jej dokładną relację, pomijając jedynie prośbę, z jaką księżę zwrócił się do Jima, a Joanna zachowała to dla siebie. Zanim skończyły, były już po imieniu, przynajmniej chwilowo. Byłoby to nie do pomyślenia w przypadku innej szlachcianki tak wysokiego rodu, lecz Joanna od dziecka uznawała tylko własne prawa. Kmieć czy król, dla niej nie miało to żadnego znaczenia, byle tylko mogła dopiąć swego. Ponadto potrafiła oczarować ludzi, zarówno mężczyzn, jak i kobiety, a Angie i Geronde, chociaż doskonale zdawały sobie z tego sprawę, do pewnego stopnia poddały się jej urokowi.

–Wiem, że się nie spodziewałam żadnych problemów – mówiła teraz (gdyż znów rozmawiały o księciu). – Jednak jest gotowy odeprzeć każdy bezpośredni atak. Odziedziczył odwagę Plantagenetów i oczywiście ich popędliwość, co wykazała ta historia z Cumberlandem, który usiłował go zmusić, by udał się na wygnanie. Znam jego sposób myślenia. Zamierzał zyskać wojenną sławę na kontynencie, po czym zawrzeć jakiś sojusz, by na czele wojsk powrócić do Anglii i zażądać dymisji Cumberlanda, jeśli nie jego głowy, w zamian za pokój. To zbył poważne decyzje, by podejmować je pod wpływem emocji.

–I usłuchał głosu rozsądku? – zapytała Geronde, myśląc nie tylko o Brianie, lecz o swym awanturniczym ojcu. – Musi bardzo cię kochać, jeśli pozwolił tak się pouczać.

–Och, jest dostatecznie rozsądny, by trzeźwo myśleć, kiedy ochłonie. A co do jego miłości do mnie... – wzruszyła ramionami – to chciałabym sądzić, że jest tak silna, jak mówicie. Mam nadzieję, że tak, gdyż czasem naprawdę potrzebuje kogoś, kto by nim pokierował. Razem dorastaliśmy na dworze i jeszcze jako dzieci przysięgliśmy sobie miłość.

–I kiedy byliście mali, on na pewno pomagał ci i odważnie cię bronił?

Geronde, pomyślała Angie, pomimo swej stalowej woli i pozorowanej szorstkości, jest beznadziejną romantyczką. Angie miała szczerą nadzieję, że po ich ślubie Brian wykaże odrobinę zrozumienia dla burzy uczuć, jakie miotają kobietą, która nigdy ich nie okazuje. Brian, chociaż był porządnym człowiekiem, zdawał się uważać Geronde za równie nieskomplikowaną jak cały otaczający go świat.

–Bronił mnie? – zaśmiała się wesoło Joanna. – Nie, to ja chroniałam go przez wszystkie nasze młode lata! Jestem dwa lata starsza od niego i dopóki nie dorósł,

byłam od niego wyższa i silniejsza, a w razie potrzeby walczyłam z innymi szlacheckimi dziećmi bardziej zażarcie niż on. Kiedy jednak po raz pierwszy wyszłam za mąż, nie mogłam go już dłużej bronić.

Angie zastanawiała się, jak poruszyć pewną delikatną kwestię. Uwaga hrabiny o małżeństwie stwarzała taką możliwość,

–Skoro mowa o małżeństwie, lady Joanno – powiedziała. – Czy możemy oczekiwać jakichś działań ze strony hrabiego Salisbury?

Była to bardzo delikatna sprawa, gdyż Angie właściwie pytała, dlaczego bawiąca u nich w gościnie zamężna kobieta podróżuje po kraju z nieżonatym mężczyzną, przebrana za giermka. Z drugiej strony, miała prawo zadać takie pytanie, ponieważ w ten sposób się dowiadywała, czy mają się spodziewać, że Salisbury zwali się na nich z całą armią, żeby zrównać Malencontri z ziemią.

–Nie – odparła natychmiast Joanna. – Papież rozstrzygnie, czy moje małżeństwo z Hollandem jest prawomocne. Jeśli tak, to wciąż jestem żoną Hollanda, a nie Salisbury'ego. Zważywszy na fatalne stosunki między jego eminencją a królem – który popiera Salisbury'ego – nie ma nadziei, by ta sprawa została szybko rozstrzygnięta i abym mogła wrócić do Hollanda, mojej pierwszej miłości. W każdym razie Salisbury przypomina sobie o mnie tylko wtedy, kiedy jest w domu, co rzadko mu się zdarza. Nie wróci jeszcze przez jakiś czas.

–Czy sir Holland naprawdę był twoim pierwszym ukochanym? – spytała Geronde.

–Pierwszym, którego poślubiłam. W istocie, uczciwość nakazuje mi przyznać, że on sądzi inaczej, gdyż nasze małżeństwo zostało zawarte, kiedy miałam zaledwie dwanaście lat. Mimo to naprawdę bardzo go kocham. Och, nie tak jak Edwarda, lecz mimo to bardzo mocno. Tak jest najlepiej, gdyż jako kuzyni jesteśmy z Edwardem zbyt blisko spokrewnieni, aby Kościół zezwolił nam na zawarcie małżeństwa.

–Ja zostałam sama, mając jedenaście lat, i musiałam zarządzać zamkiem Malvern oraz należącymi do niego dobrami, co robię do tej pory – powiedziała Geronde.

–Naprawdę?! – zawołała Joanna i obie przez chwilę spoglądały na siebie z rosnącym szacunkiem oraz z uczuciem zbliżonym do siostrzanej czułości. – Ja zaś – dodała Joanna – tylko przez kilka lat cieszyłam się szczęściem. Mój związek z Hollandem był w pełni prawomocny, bo zauważcie, że oboje wypowiedzieliśmy słowa w formie *derba de praesente* ceremonii zaślubin „biorę sobie ciebie za męża (żonę)”, a nie w formie *derba de futuro* „wezmę cię za męża (żonę)”, która może świadczyć jedynie o intencji zawarcia małżeństwa w nieokreślonej przyszłości i w istocie jest tylko zaręczynami. I oczywiście mamy świadków, którzy mogą pomóc nam to udowodnić.

–Z pewnością nikt tego nie kwestionował? – zapytała Geronde.

–Nie – odparła Joanna. – Jednak Holland jest ubogim żołnierzem. Jego jedyną nadzieją na wzbogacenie się jest wzięcie jeńca, który mógłby zapłacić wysoki okup. Wciąż usiłuje tego dokonać, gdyż dzięki temu mógłby uzyskać audiencję u papieża, która w tym wypadku jest konieczna, gdyż pochodzę z królewskiego rodu i tylko w ten sposób możemy doprowadzić do uznania naszego małżeństwa za prawomocne.

–Tylko tak można to zrobić? – zapytała przejęta Geronde.

–Tak. To kosztowna procedura wymagająca przedstawienia świadków, sporządzenia dokumentów i wielu innych czynności. Tymczasem w chwili naszych zaślubin Holland miał zaledwie dwadzieścia lat i, jak już powiedziałam, nie miał odpowiedniej sumy pieniędzy. Ja zaś byłam dwunastoletnią dziewczynką. Król nic nie wiedział o naszym małżeństwie, a szalał wówczas z gniewu z powodu wielu niegodziwości popełnionych w czasie, gdy był uwięziony w Gandawie. Moi krewni, nie wiedząc o moim ślubie z Hollandem – jedynie obawiając się czegoś takiego – postanowili, że powinnam niezwłocznie poślubić Williama Montague`a, który później otrzymał tytuł hrabiego Salisbury. W chwili naszego ślubu był tylko synem swego ojca, hrabiego Salisbury.

Joanna zamilkła i upiła łyk rozcieńczonego wodą wina.

–To długa i nudna opowieść – powiedziała.

Zarówno Geronde, jak i Angie zapewniły ją, że bardzo się myli.

–Najwyraźniej żadna z was nie musiała spędzić dłuższego czasu na dworze – powiedziała Joanna. – W przeciwnym wypadku poznałybyście moją historię z ust innych. No cóż, król jest wszechwładny – jak również skory do gniewu – nie odważyłam się więc powiedzieć mu o moim małżeństwie z Hollandem. W ten sposób zostałam żoną Montague'a.

–Jednak pewnego dnia będziesz wolna – rzekła Geronde.

–Jeśli papież podejmie odpowiednią decyzję, która nie może być dla nas niekorzystna, jeśli tylko zdołamy ponieść jej koszty. Spisano dokumenty, świadkowie złożyli zeznania. Teraz rozumiecie, dlaczego uważam, że mogę towarzyszyć Edwardowi.

–Jesteś uparta – powiedziała Geronde.

–Nie tak bardzo, ale Edward... Zobaczycie!

Angie pomyślała, że nawet Edward nauczy się czegoś o uporze, kiedy spróbuje przekonać Jima.

Rozdział 8

W końcu kobiety opuściły słoneczną komnatę i rozeszły się do różnych części zamku, Jim mógł więc spocząć w swoim łóżku. Teoria sobie, a życie sobie. Jim wracał do Malencontri, snując plany, że zaraz po powrocie weźmie się do pracy. Tymczasem zdołał tylko paść na wielkie łożo w słonecznej komnacie i zasnął jak kamień, zaledwie przyłożył głowę do poduszki.

Tyle jeśli chodzi o heroizm w nadzwyczajnych sytuacjach.

Ocknął się nagle. Angie cicho kręciła się po komnacie. Kiedy spojrzał na nią oczami wciąż zamglonymi od snu, podała mu kubek świeżo zaparzonej herbaty. Wypił, starając się nie zasnąć ponownie i nie rozlać napoju, nie odrywając oczu od żony. Stopniowo całkiem się rozbudził.

–Jesteś zmęczona – powiedział.

–Trochę – odparła, zaparzając następny kubek herbaty.

–Kiedy goście poszli spać, ty przez całą noc byłaś na nogach, żeby wszystko przygotować.

–Nie miałam wyboru. Ponadto dzięki temu służba, która musiała mi towarzyszyć, zrozumiała, jak ważne jest oczyszczenie zamku i zabezpieczenie go przed zarazą. Myślę, że śmiertelnie ich wystraszyłam. Posuń się.

Wróciła z drugim kubkiem herbaty. Kiedy przesunął się na brzeg łóżka, robiąc jej miejsce, usiadła obok niego, upiła solidny łyk gorącego napoju i oparła się o wezglowie łoża.

–W każdym razie – powiedziała – wszystko jest już przygotowywane, oprócz izby chorych. Co sądzisz o urządzeniu jej w pomieszczeniach na najniższym poziomie wieży?

–Nie – odparł. – Zastanawiałem się nad tym w drodze do domu. Parter, część kwater służby... wybijemy otwór w ścianie...

Wyłuszczył jej pomysł, który przyszedł mu do głowy podczas jazdy.

Przez kilka minut spierali się przyjaźnie.

–Nieważne – powiedziała Angie. – Jestem zbyt zmęczona, by znaleźć inne rozwiązanie, a poza tym pewnie masz rację. A co zamierzasz zrobić w sprawie kwarantanny tych ludzi, którzy przyjadą i zechcą wejść do zamku?

–Pomyślałem, że rozstawimy jeden wielki namiot i drugi, mniejszy, lub postawimy szopę, którą mógłby zbić cieśla, żeby można w niej zostawiać jedzenie. Jednak na wszelki wypadek zamierzam jeszcze otoczyć zamek ochronnym zaklęciem.

Uśmiechnął się do niej i wyciągnął rękę, by odstawić pusty kubek na nocny stolik, ale zobaczył, że Angie ma zamknięte oczy i zaraz wyleje swoją niedopitą herbatę. Delikatnie wyjął kubek z jej dłoni, odstawił go i ostrożnie przetoczył się na drugą, stronę łoża. Oddychała głęboko i nie zbudziła się, kiedy ją rozbierał i okrywał. Później przewróciła się na lewy bok, westchnęła i znów zaczęła miarowo oddychać. Jim ubrał się w ten sam odświętny strój, który miał na sobie w dniu wizyty biskupa, po czym na palcach podszedł do drzwi wiodących na wewnętrzną galerię wieży.

Niepotrzebnie chodzisz na palcach, powiedział sobie w duchu, zamykając drzwi. Pewnie nie obudziłyby jej nawet strzał z działa, gdyby takie tu mieli, ustawionego obok

łóżka.

–Gdzie jest Carolinus? – zapytał zbrojnego stojącego na warcie przy drzwiach. – Nadal tu jest, prawda?

–Tak sędzę, milordzie – odparł zapytany. – Tylko gdzie... – Spojrzał na towarzyszącą mu pokojówkę. – Tylko gdzie...?

–Jest w swojej komnacie i rzuca straszliwe czary – powiedziała niedawno przyjęta na służbę chuda, nastoletnia pannica, która bardzo chciała się wykazać, żeby zostać w zamku na stałe. – Czy mam po niego pójść, milordzie, przepraszam za śmiałość?

–Nie mam ci tego za złe – zapewnił Jim. – Jednak on jest magiem znacznie wyższej rangi niż ja. Pójdę do niego. Możesz mi pokazać, którą zajął komnatę.

–Tak, milordzie. Dziękuję, milordzie. Tędy, milordzie.

Zszedł za nią dwa piętra niżej, później szli jeszcze chwilę krętym korytarzem.

–No, jesteś – rzekł Carolinus, który wcale nie rzucał żadnych straszliwych czarów, tylko oglądał pająka pokazującego mu parę odnóży. – Nie, nic ci nie jest. Za godzinę lub dwie będą zupełnie sprawne. Sam zobaczysz. Jim, myślałem, że będziesz spał cały dzień.

–Nie muszę. Już się wyspałem – odparł Jim. – Cieszę się, że tu jesteś, chociaż biskup już odjechał. Przepraszam, że ściągnąłem cię tutaj. Nie wiedziałem, że opuści nas tak nagle. Skoro jednak już tu jesteś, potrzebuję twojej pomocy.

–A kto nie potrzebuje? – Carolinus zerknął na pająka, który już zniknął za krawędzią stołu. – Prawdę mówiąc, zostałem, ponieważ jest coś, o czym muszę z tobą porozmawiać.

–Znalazłem się w niezręcznej sytuacji... – zaczął pospiesznie Jim, chcąc uprzedzić Carolinusa.

–Mam nadzieję, że nie mówisz poważnie! – rzekł mag. – Właśnie teraz, kiedy przedstawiłem cię... jak już mówiłem... Właśnie to zamierzałem ci powiedzieć. – Odkaslnął. – Tylko jeszcze nie zdążyłem. Przedstawiłem cię do awansu na pełnoprawnego maga, jeśli więc chcesz, by twoja kandydatura przeszła w głosowaniu, powinienesz dokonać czegoś godnego uwagi, oczywiście pod moim nadzorem.

Jim nigdy się nie spodziewał, że zostanie pełnoprawnym członkiem Zgromadzenia Magów. W pierwszych dniach swojego pobytu w tym świecie niczego bardziej nie pragnął jak tego, żeby nigdy nie mieć nic wspólnego z magią, nie mówiąc już o Zgromadzeniu. Wówczas uważał, że będzie najlepiej dla niego i magii, jeśli będą się trzymać jak najdalej od siebie.

Tak było, zanim okazało się, że zwycięstwo, które odniósł w pożyczonym smoczym ciele nad Ciemnymi Mocami z Wieży Loathly, ma pewne uboczne skutki, W wyniku tego uzyskał magiczne konto w Wydziale Kontroli i gdyby nie nauczył się korzystać z tej magii – okiełznać ją jak konia i przyzwycząić do siodła – to ona wykorzystalaby jego.

Teraz, wiedząc już bardzo wiele o roli magii w tym świecie, którego dzieje prawie, ale niezupełnie, pokrywały się ze średniowieczną historią świata, w którym urodził się on i Angie (pięćset lat później), całkowicie zmienił zdanie.

Doszedł do wniosku, że nie tylko musi zostać zaakceptowany przez Zgromadzenie, ale powinien też zajmować w nim liczącą się pozycję.

Jednak jeszcze nie teraz, a przede wszystkim nie w tak krytycznej chwili.

–Hmm, teraz nie zamierzam się o to martwić – rzekł, z rozmysłem bagatelizując ostrzeżenie Carolinusa. – Mam mnóstwo innych kłopotów, a o najważniejszym z nich po prostu muszę z tobą porozmawiać. Ta sprawa dotyczy księcia i nie może czekać.

–Młodego Edwarda? – rzekł niespodziewanie zgodnym tonem Carolinus. – Tak, zauważyłem, że tu jest. Znowu ma kłopoty z ojcem?

–Masz na myśli kłopoty z Cumberlandem?

–Hm, no tak. Rzeczywiście.

–No właśnie. Nie sądzę, by ojciec mógł tak poróżnić się z synem, gdyby Cumberland przez cały czas nie dolewał oliwy do ognia. Jednak chodzi tu o coś innego. Książę dał się teraz wplątać w niefortunny plan mający przywrócić go do ojcowskich łask pod nieobecność Cumberlanda. Pewnie o tym nie wiesz, ale król przeniósł się ze swej siedziby w Londynie do zamku Tiverton, uciekając przed zarazą, która dotarła do miasta.

–Oczywiście że wiem! – rzekł Carolinus. – Staraj się pamiętać, że wiem co najmniej kilka tysięcy rzeczy więcej niż ty!

–Twórcy planu usiłują to wykorzystać i stworzyć okazję, by ojciec i syn mogli się spotykać i odkryć, że wciąż się lubią.

–Nie ma w tym nic złego – powiedział Carolinus. – Trzeba dać ludzkiej naturze szansę, to wszystko.

–Teoretycznie tak. Tylko że nie na tym polega mój problem. Tiverton leży zaledwie o pół dnia drogi stąd. Książę chce, by Malencontri siało się miejscem jego tajnych spotkań z niejakim Verweatherem, z którym będzie omawiać takie aspekty tego planu, o jakich nie mogą rozmawiać w Tiverton, a przy okazji będzie odwiedzać tu Piękne Dziewczę z Kentu, które przybyło tu razem z księciem. Muszę znaleźć jakiś dyplomatyczny sposób, żeby mu odmówić. Pomyślałem, że mógłbym się powołać na to, że taka czy inna zasada Zgromadzenia nie pozostawia mi wyboru i nakazuje powiedzieć „nie”. Sądziłem, że ty, lepiej ode mnie znając zasady, mógłbyś podsunąć mi jakiś pomysł.

Carolinus mógł być ciałem i duszą magiem, ale doskonale znał się na niuansach polityki.

–Rozumiem – rzekł w zadumie. Obrzucił Jima spojrzeniem. – Czy szukałeś odpowiedzi w *Encyclopédie Necromantic*? ~ zapytał.

–Prawdę mówiąc – odparł Jim, spoglądając mu przy tym w oczy – stwierdziłem, że *Encyclopédie* jest prawie zupełnie nieprzydatna do moich celów. Owszem, wskazówki dla początkujących adeptów dotyczące rzucania prostych zaklęć były bardzo pomocne. Potem jednak wszystko wydawało się zmierzać w kierunku zupełnie innego sposobu wykorzystywania magii niż stosowany przeze mnie.

–Czy doszedłeś do *Zasad i przepisów dotyczących wszystkich członków Zgromadzenia Magów, ich praktykantów, krewnych oraz innych związanych z nimi osób, za które są odpowiedzialni, korzystając z magii?*

–Hmm... nie – przyznał Jim. Prawdę mówiąc, nigdy nie doszedł dalej niż do połowy tego opasłego tomiszcza.

–No i masz – mruknął Carolinus. – A ja właśnie przedstawiłem cię do awansu na pełnoprawnego maga!

–Sądziłem, że w pozostałej części książki nie znajdę nic nowego.

–Ha! – wykrzyknął Carolinus. – Lepiej zmień zdanie! Odkaszlnij i sprowadź tę księgę. Mam nadzieję, że pamiętasz, jak należy odkaszlnąć.

Jim zacisnął usta i nic nie mówiąc, a już na pewno nie kaszląc, wyciągnął rękę, pokazując leżący na jego dłoni mały, gruby tomik, w którym druk można by przeczytać tylko za pomocą mikroskopu.

–Bardzo ładnie! – rzekł Carolinus. – Naprawdę bardzo efektowna sztuczka. Mam jednak nadzieję, że nie uważasz, iż w ten sposób skłonisz mnie, abym zapomniał o twoim karygodnym zaniedbaniu, jakim jest nieznanostwo przepisów, które powinieneś znać na pamięć!

–Chciałem ci tylko pokazać, jak zmodyfikowałem niektóre rzeczy – odparł chłodno Jim. – Pod wieloma względami mój sposób wykorzystywania magii odbiega od zalecanego przez *Necromantic*, włącznie z niektórymi z jej zaawansowanych form.

–Každy dobry mag do tego dochodzi. Wróćmy do przepisów. Paragraf sto jedenasty.

Jim ponownie otworzył usta i natychmiast je zamknął. Czyny mówią głośniejsz niż słowa. Małeńki tom w jego ręce spuchł do rozmiarów dużego weselnego kołacza, lecz jego dwudziestokilogramowy ciężar nie obciążał dłoni Jima, tylko unosił się w powietrzu, centymetr nad nią. Księga sama otworzyła się na ostatniej stronie, przewróciła kilka kartek wstecz i tak znieruchomiła, gotowa do czytania.

–„Żaden członek Zgromadzenia nie może być jednocześnie członkiem żadnej innej organizacji, zrzeszenia lub ugrupowania, lecz przez cały czas pozostanie podporządkowany jedynie naszemu wszechświatowemu stowarzyszeniu, które żadnego z naruszających tę zasadę nie uzna za brata – w przypadku mężczyzny, ani za siostrę – w przypadku kobiety” – przeczytał na głos.

–No cóż – rzekł Carolinus – wybieraj. Udziel Edwardowi pomocy, o którą prosi, albo pozostań magiem. Nie muszę dodawać, że ponieważ przedstawiono już twoją kandydaturę na pełnoprawnego członka, obowiązują cię spisane w tej księdze prawa. Tak więc właściwie nie masz wyboru. Musisz powiedzieć księciu, że nie możesz udzielić mu tego rodzaju pomocy.

Jim przyjął to z bezgraniczną ulgą. Jeśli ten problem tak łatwo dało się rozwiązać, to dlaczego z innymi nie miałyby pójść równie gładko?

Zaraz jednak wrócił do rzeczywistości i zrozumiał, że znacznie łatwiej będzie odmówić księciu, tak by nie zrobić sobie z niego wroga, niż pokonać zarazę.

–Dzięki ci, mistrzu i magu – powiedział – za to, że jeszcze raz przyszedłeś mi z pomocą. I dziękuję ci za wysunięcie mojej kandydatury na członka Zgromadzenia. Może jednak porozmawiamy o tym później? Jest wiele spraw, którymi muszę się zająć, żeby uchronić mieszkańców Malencontri przed plagą... Och, to właśnie w sprawie zarazy biskup chciał zasięgnąć twojej rady. Ponieważ jednak wrócił do

Wells...

–Nie szkodzi – rzekł Carolinus znów dziwnie zgodnym tonem. – Są pewne sposoby... Jak wiesz, ja też mogę zachorować.

–Nie pomyślałem o tym! Musisz zostać tu z nami, kiedy zakończymy przygotowania.

Carolinus zawsze sprawiał wrażenie niezniszczalnego, ale teraz Jim przypomniał sobie, że widywał go już chorego i bezradnego.

–Zobaczymy – odparł mag.

Jim ruszył na poszukiwanie księcia, powiedziano mu, że dostojny gość przebywa w swojej komnacie z hrabiną, więc właśnie tam się udał. Teoretycznie jako gospodarz mógł wejść do każdego pomieszczenia w swoim zamku. Jednak co innego teoria, a co innego praktyka. Zapukał.

W tym momencie przypomniał sobie fragment wiersza Kiplinga, który Angie recytowała mu dawno temu: „...szukali króla wśród jego kobiet, ryzykując życie...” To pogłębiło jeszcze jego niepokój wywołany perspektywą przykrej rozmowy z księciem. Był to bądź co bądź książę Anglii, a nie Dalekiego Wschodu, i była z nim tylko jedna kobieta. Angie powiedziała, że spodobała jej się Joanna z Kentu, a jeśli tak, to hrabina zapewne jest rozsądną osobą.

Drzwi otworzyły się i wyjrzał zza nich Edward.

–James! – zawołał radośnie. – Zaraz do ciebie dołączę.

Zamknął drzwi. Jim czekał, czując się jeszcze bardziej nieswojo po tak serdecznym powitaniu. Upływały minuty. W końcu drzwi znowu się otworzyły, książę wyszedł na korytarz i cicho zamknął je za sobą.

–Cóż, Jamesie – spytał – jakie przynosisz mi wieści?

–Niestety, niezbyt pomyślne, wasza miłość. Tak się niefortunnie składa, że moja małżonka śpi teraz w słonecznej komnacie, zmęczona całonocnym pilnowaniem służby zabezpieczającej zamek przed zarazą...

–Zaraza jeszcze tu nie dotarła, Jamesie, podobnie jak do Devon. Właśnie dlatego mój ojciec się tam przeniósł.

–I właśnie dlatego się spieszymy, żeby przygotować się, zanim tu dotrze. Chciałem powiedzieć, że dzień jest ciepły i nigdzie nie będzie nam przyjemniej niż na szczycie wieży. Odeślę stamtąd wartownika.

–Bardzo dobrze – odparł książę. – Chociaż muszę przyznać, że chyba za bardzo komplikujemy prostą sprawę. Prowadź więc.

Weszli na szczyt wieży i Jim odprawił stojącego tam wartownika. Dzień nie był tak ciepły, jak obiecywał księciu. Słońce jasno świeciło, a niebo było prawie bezchmurne. Mimo to porywisty, zimny wiatr, szczególnie dokuczliwy na otwartej przestrzeni, szarpał ich ubrania. Jim był rad, że ma spodnie na podszewce i gruby kaftan. Edward, nieco lżej, chociaż nie mniej elegancko odziany, zdawał się nie zważać na chłód.

–Może pamiętasz, wasza miłość, że wczoraj powiedziałem, iż twoja łaskawa prośba może być sprzeczna z regułami Zgromadzenia Magów, których mam obowiązek przestrzegać...

–Pamiętam bardzo dobrze i... – Książę urwał. – Jednak, jak później przypomniała mi hrabina, mamy liczne zobowiązania i powinności, których nie możemy lekceważyć. Mów dalej. Jamesie.

–To, co uważałem za jasne i nieskomplikowane, okazało się bardzo złożoną sprawą, do której rozwikłania potrzebna była wiedza, jakiej jeszcze nie posiadałem. To trochę podobne do reguł nie pozwalających mnichom oddawać się światowym uciechom. Byłem zmuszony skonsultować się z moim mistrzem magii, Carolinusem, o którym być może słyszałeś.

–Słyszałem i rozmawiałem z nim. Mów dalej.

–Wskazał mi odpowiedni ustęp naszej Wielkiej Księgi. Mówiąc to, Jim wyczarował egzemplarz *Encyclopédie Necromantic* i książę, zdaniem Jima zwykle niezbyt skłonny do okazywania zdziwienia, szeroko otworzył oczy na widok grubego tomu unoszącego się tuż nad dłonią Jima. Najwyraźniej wywarło to na nim większe wrażenie niż wszystko, co dotychczas usłyszał z ust gospodarza.

–I... – zachęcił.

–Jak już mówiłem, mag Carolinus wskazał mi właściwy ustęp. Oczywiście nie mogę ci go przeczytać, gdyż ze słowami księgi mogą się zapoznać jedynie magowie, ale zasadniczo chodzi o coś w rodzaju wspomnianych przeze mnie reguł zakonnych zabraniających mnichom światowego życia.

Książę niecierpliwie skinął głową.

–Krótko mówiąc, wszystko sprowadza się do tego, że możesz odwiedzać Malencontri, kiedy tylko zapragniesz, wicehrabia Verweather również, jeśli zechce, ale nie możecie tu przebywać jednocześnie.

Edward ciężko westchnął.

–Nie potrafię opisać, wasza miłość – rzekł Jim – jak mi przykro, że nie mogę spełnić twojego życzenia, ale to nie ode mnie zależy.

–No tak, James. Rozumiem, że to niemożliwe – rzekł książę w nagłym, zaskakującym przyplywie rozsądku. Wyprostował się, wyprężył pierś i nabrał tchu równie głośno, jak przed chwilą westchnął. – Dobrze. Skromnie znoś, niebożę, co cię minąć nie może.

Odwrócił się i ruszył po stopniach w dół. Jim poszedł za nim i dogonił go już na najwyższym piętrze, gdzie książę przystanął u szczytu wewnętrznych schodów wiodących na niższe piętra.

–Mam zejść trzy piętra czy dwa, James? Nie liczyłem ich, wchodząc na górę.

–Dwa – odparł Jim. – Nie potrafię opisać, jak mi przykro... – zaczął, gdy zbliżyli się do drzwi komnaty, którą książę dzielił z hrabiną.

–Daj już spokój przeprosinom! – powiedział Edward. – To moja wina, zbyt pochopnie wyciągnąłem wnioski. Jutro będę musiał odjechać bardzo wcześnie, żeby dotrzeć do Tiverton przed wieczszą. Jeśli nie zobaczymy się przed moim wyjazdem, to żegnam cię, milordzie, i dziękuję za gościnę, jak również za opiekę nad hrabiną podczas mojej nieobecności. Sam rozumiesz, że nie ośmielę się zabrać jej do mojego ojca, dopóki nasze stosunki się nie poprawią. Tak więc pożegnam cię teraz.

–Żegnaj – powiedział Jim. – Czy chcesz paru zbrojnych eskorty?

**–Ha! Potrafię się obronić, poza tym lepiej, żebym wjechał do Tiverton sam.
Księżę wszedł do komnaty i zamknął drzwi.**

**Wróciwszy do słonecznego pokoju, Jim zastał Angie wciąż pogrążoną we śnie.
Hob stał przed kominkiem, wyprężył się i wspiął na palce, kiedy Jim podszedł do
niego, żeby mogli rozmawiać szeptem.**

–Milordzie – rzekł Hob, prężąc się na baczność – potrzebny mi miecz!

Rozdział 9

–Miecz? – Jim był tak zdumiony, że powiedział to, nie ścisząc głosu.

Pospiesznie obejrzał się, sprawdzając, czy nie obudził Angie, lecz ona wciąż spała głębokim snem. Powiedział cicho: – Tobie? A po cóż ci miecz, Hobie?

–Chcę zginąć z bronią w ręku, otoczony wałem trupów! Twierdzą, że skrzaty nie potrafią walczyć! Dowiedzą się, że umiemy, tylko zwykle wolimy tego nie robić!

Jim uważnie się przyjrzał małemu naturalnemu. Czy to jeszcze jedno z tych wspaniałych przemówień, jakich nauczył go wędrowny grajek i bard, który przez kilka miesięcy ukrywał się w Malencontri? Ten człowiek obiecał, że nauczy go „mówić jak szlachcic”, i nabił Hobowi główkę mnóstwem napuszonych tekstów.

Nie, stwierdził Jim, tym razem Hob mówi poważnie. Śmiertelnie poważnie.

–Nadal nie rozumiem – powiedział Jim.

–Przyznaję, że zachowałem się jak zwyczajny tchórzliwy skrzat, kiedy spotkaliśmy ich zeszłej nocy. Schowałem się pod twoją koszulą, drżąc jak liść. Teraz jednak miałem czas, aby to przemyśleć, i wcale się nie boję! Ponadto nie jestem zwyczajnym skrzatem. Jestem twoim skrzatem, a ty jesteś paladynem! Czy skrzat takiego rycerza chowa się w kącie, kiedy jego pan walczy o życie? Nie! Powinien walczyć u jego boku i gdy przyjdzie na to czas, zginąć jak skrzatowi przystało, z mieczem w ręku!

–A z kim zamierzasz walczyć? – zainteresował się Jim.

–No... z nimi, milordzie! Przecież wiesz. Z tymi, których napotkaliśmy, jadąc z biskupem Wells.

–Z tymi małymi naturalnymi uzbrojonymi we włócznie i dosiadającymi szczuropolodobnych wierzchowców? Pewnie już nigdy więcej ich nie spotkamy.

–Och nie, milordzie! Ze szczurami – bo to były szczury, milordzie – stado zadzumionych, zapchlonych szczurów, gnanych do Somerset, by roznosiły zarazę. Oni tym razem postanowili zwyciężyć. Zabiją tylu ludzi, ilu zdołają, a pozostałymi będą rządzić, pozabijają też wszystkie skrzaty. A wtedy milady zostanie z jednym z nich, który zajmie moje miejsce.

–Szczury zamierzają zwyciężyć? W jaki sposób?

–Nie szczury, milordzie. ONI!

–Hobie – rzekł Jim – nie widzę w tym żadnego sensu. Kto ci naopowiadał takich głupstw?

–To nie są głupstwa, milordzie! To prawda. To historia – ich, moja oraz każdego skrzata. Oni są goblinami, tak samo jak my, tylko że my jesteśmy i zawsze byliśmy inni. Może powinienem opowiedzieć ci wszystko od początku.

Jim zerknął na Angie, która wciąż smacznie spała. Jeśli ich głosy nie obudziły jej do tej pory, to mało prawdopodobne, że zbudzą ją teraz.

–Opowiadaj – zachęcił Jim. – Tylko mów cicho.

–To bardzo stara historia – zaczął poważnie Hob – sprzed wielu setek lat. Kiedyś wszystkie gobliny należały do królestwa demonów i diabłów.

–Skrzaty też?

–Wtedy nazywano nas inaczej. Nazywano nas goblinami, tak jak pozostałe – i tylko od czasu do czasu któryś z nas rodził się inny. Chcę powiedzieć, że wszyscy

należeliśmy do gatunku goblinów i różniliśmy się tylko tym, że nie chcieliśmy robić innym złośliwych i okropnych rzeczy. Inne gobliny nienawidziły nas za to. Jednak nie prześladowały nas z tego powodu – a przynajmniej jeszcze nie wtedy. Tylko wciąż mówiły, że przynosimy im wstyd przed diabłami i demonami, przez co narażamy na szwank dobre imię wszystkich goblinów.

Jim usiadł. Nie zapowiadało się, żeby to miała być krótka historia. Hob nadal stał, sztywno wyprostowany.

–To królestwo było paskudnym miejscem, milordzie. Okropnym – rzekł. – Mieszkali w nim – i wciąż tam mieszkają – tacy jak Aryman, któremu stawiliśmy czoło, sprowadzając z powrotem ojca lady Geronde...

Głos mu złagodniał, a oczy na chwilę zasnuła mgiełka.

–...to musi być wspaniale: być ojcem. Skrzat prawie nigdy nie zostaje ojcem ani matką. Podczas gdy gobliny... Dlatego jest ich aż tyle.

Urwał, wziął się w garść i podjął opowieść.

–Wówczas, dawno, dawno temu, nie przypuszczałem, że kiedyś stawię czoło Arymanowi, nie mówiąc już o wypędzaniu go z powrotem do jego królestwa, czego udało się nam dokonać. W tamtych czasach jego i jemu podobnych nazywano Wielkimi Demonami. Pośledniejsze stwory, takie jak ten dżinn, którego spotkaliśmy podczas tejże wyprawy, nazywano Pomniejszymi Demonami. A najniższe miejsce w hierarchii zajmowali my, gobliny, przez wszystkich nazywane Najmniejszymi Demonami. W całym królestwie, w ziemi, w wodzie i w powietrzu, roilo się od stworów pragnących przedostać się do tego świata, by ranić i zabijać... Było ich tyle, że nie dało się ich zliczyć.

Jimowi nie mieściło się to w głowie. Tyle stworzeń mających tylko jedno pragnienie? To było niewiarygodne.

–Z pewnością mieli jeszcze jakiś cel oprócz krzywdzenia ludzi – powiedział. – Przecież nie mogli chcieć tylko tego!

–A jednak, milordzie. Byliśmy my, skrzaty – chociaż wtedy jeszcze nas tak nie nazywano. Jednak wszyscy pozostali, milordzie, po prostu lubili być okrutni. Żyli tym. Wielkie Demony władały straszliwymi magicznymi siłami. Wykorzystywały je, by wpływać na ludzi mających władzę lub wielkie ambicje – królów, cesarzy lub innych, którzy w danym momencie mogli wyrządzić wiele zła. Pod wpływem demonicznych mocy takie osoby w końcu robiły to, czego chciał demon, i setki lub tysiące ludzi głodowały, cierpiały i umierały, a demon będący sprawcą ich cierpień obserwował to i radował się swoim dziełem.

O mój Boże, pomyślał Jim. Królestwo sadystów? Nie do wiary!

–...a kiedy było już po wszystkim – ciągnął Hob – Wielki Demon, który to spowodował, znów był niezadowolony, nieszczęśliwy i wściekły, i nie mógł się doczekać, kiedy znowu zrobi coś takiego. Tak samo było z Pomniejszymi Demonami, a nawet z goblinami – chociaż nasza magia była tak słaba, że mogliśmy liczyć najwyżej na to, że uda się nam zakraść do jakiegoś domu i płatać złośliwe figle, które nie były w stanie nikogo zabić. Na przykład mogliśmy sprawiać, że podkuchenne oblewały się wrzątkiem.

Hob zamilkł.

–Potem zaczęły się kłopoty! – powiedział, po czym znów zamilkł i Jim zrozumiał, że przerwy te nie miały być końcem opowieści, a tylko ją udramatyzować. – Ludzie na całym świecie zaczęli się bronić, osłaniać tym, w co wierzyli. A wtedy, gobliny nie mogły już więcej zakradać się do ich domostw. Pomniejsze Demony też nie miały do nich dostępu. W końcu nawet Wielkie Demony przekonały się, że są miejsca, do których nie mogą wejść, i ludzie, których nie mogą dotknąć ani skrzywdzić.

Niektórzy ludzie potrafili stawić czoło nawet takim potężnym demonom jak Aryman, tak jak zrobiliśmy to my. Oczywiście musieli w coś wierzyć. Ja wierzyłem w ciebie i twoją magiczną różdżkę, milordzie – i demon musiał się wycofać, tak jak Aryman, kiedy spotkaliśmy się z nim podczas wyprawy po ojca lady Geronde...

Niech mnie licho! – pomyślał Jim. Wiedziałem, że to siła ducha każdego z nas, trzymających się wówczas za ręce, odpychała demona, a nie laska, choć zdobyłem ją z takim trudem. Ona tylko skupiła moc, która była w nas wszystkich. Jednak nigdy nie przypuszczałem, że Hob też o tym wiedział.

–...w królestwie demonów i diabłów wybuchło ogromne zamieszanie, kiedy okazało się, że nie mogą się dostać do waszego świata – ciągnął Hob. – Wszyscy obwiniali się wzajemnie o bezmyślność i zaniedbania. Wielkie Demony winiły Pomniejsze, a te z kolei miały za złe Najmniejszym Demonom, że w ogóle wchodziły do domów i innych budynków.

Hob znów zamilkł.

–A Najmniejsze Demony, gobliny, zwróciły się przeciwko nam, skrzatom! – powiedział. – Tak było, milordzie, winiły tych z nas, którzy nie chcieli robić złych rzeczy!

–Tak zazwyczaj bywa – mruknął Jim.

–Wypędziły nas z królestwa, zabijając opornych, więc musieliśmy ruszyć w świat.

–Jak zdołaliście przetrwać? – zapytał Jim. – Wiem, że właściwie nie musicie jeść, a przynajmniej niewiele, ale samotność, zimno... zmiany pogody...

–Odkryliśmy coś cudownego, milordzie. – Hobowi dosłownie rozbłysły oczka. – Wszystko to, co nie pozwalało innym mieszkańcom naszego królestwa wejść do ludzkich siedzib, nie mogło powstrzymać nas!

Jim gapił się na niego przez całe piętnaście sekund.

–Oczywiście! – rzekł w końcu. – Nie mieliście żadnych złych zamiarów, więc nikt nie bronił wam wstępu.

–Tak, milordzie. W każdym razie, z początku ostrożnie, zakradaliśmy się do domów, chroniąc się przed kaprysami pogody, o których wspomniałeś. Ukrywaliśmy się, ale w końcu zaczęliśmy badać budynki, w których zamieszkaliśmy, i znajdowaliśmy kominki, czasem z płonącym w nich ogniem. Ciepło, milordzie! W naszym królestwie zawsze było ciepło lub gorąco, choć wszystkie inne gobliny nie znosiły ognia, a teraz mieliśmy kominki i kominy, w których mogliśmy się ukryć!

–I oczywiście – dodał Jim – po pewnym czasie mieszkańcy domów zaczęli od czasu do czasu was dostrzegać, aż w końcu poznali was. W ten sposób staliście się skrzatami.

–Tak, milordzie, i jakże jestem rad z tego, że jestem twoim skrzatem! Żal mi tylko tego, że jako gobliny dysponowaliśmy bardzo niewielką magią, a jedyna jej część, jakiej nam nie odebrali, wypędzając nas, bo była już dla nich bezużyteczna, to pospolita magiczna zdolność zakradania się do obcych domów i innych miejsc. Żałuję, że nie mam już żadnej magii, nawet takiej, jaką powinien mieć być Najmniejszy Demon, którą mógłbym się posłużyć, żeby ci pomóc.

–Żadnej magii? – powtórzył Jim. – A co z umiejętnością jazdy przez pół świata na smużce dymu i stawania się tak cienkim, że możesz przedostać się przez szparę w dobrze dopasowanych, zamkniętych drzwiach?

Hob patrzył na niego przez chwilę.

–Och, wybacz mi, milordzie! – rzekł. – Czy to naprawdę magia...? Chciałem powiedzieć, taka magia jak twoja? I czy tak powinienem wymawiać to słowo?

–Wymawiaj je, jak chcesz.

–Och, a więc będę je wymawiał tak jak ty magia. Dziękuję, milordzie. Jednak wszystkie skrzaty potrafią robić takie rzeczy. Dlaczego?

–Podejrzewam – odparł Jim – że byliście przyzwyczajeni do posługiwania się magią, chociaż niewielką, jak powiadasz, a kiedy pozbawiono was tych umiejętności, w ich miejsce po prostu pojawiły się inne. Tylko tym razem była to magia pomagająca wam w waszym nowym środowisku, tak jak poprzednia miała pomóc wam w waszym dawnym życiu.

–Naprawdę tak uważasz, milordzie?

–Tak.

–Mam magię! Mam magię! – zawołał uszczęśliwiony Hob.

Więcej, niż sądzisz, pomyślał Jim, przypominając sobie jak w Liones Hob rozgrzał lodowate serce królowej Północnych Wichrów. Teraz podniecony skrzat wywinął koziółka, ale natychmiast spowaźniał.

–Och! Wybacz mi, milordzie. Przepraszam.

–Wszystko w porządku.

–Dziękuję, milordzie, ale powinienem zachować powagę. To bardzo ważne, żebyś wszystko zrozumiał. Krótko mówiąc, w końcu inne demony wyгнаły wszystkie gobliny z królestwa i zaczęły je tępić. Broniąc się, gobliny schowały się pod ziemią – bardzo, bardzo głęboko, gdzie demony i diabły nie lubią się zapuszczać. Tam ich jedynymi wrogami są sękaci, choć ci są tak twardzi i silni, że ewentualne zwycięstwa nad nimi kosztują zbyt wiele. Dzisiaj te gobliny zwane są podziemnymi; są ich niezliczone tysiące. Jednak najbardziej nienawidzą nie demonów, które ich wyгнаły, a nawet nie nas, spokojnych skrzatów. To was, ludzi, nienawidzą i mają wam za złe to, że zrobiliście coś, żeby nie mogły się dostać do waszych domów. Już od bardzo dawna chciały się wam za to odplacić, a teraz, kiedy pomaga im zaraza, podjęły taką próbę

Zamilkł. Jim spoglądał na niego.

–A co to ma wspólnego z tym, że chcesz mieć miecz? – zapytał.

–Miniona noc to dopiero początek, milordzie – rzekł bez ogródek Hob. – Ja znam gobliny. Jestem tu jedynym, który może to powiedzieć. Pozwoliły, abyśmy je

zobaczyli, czego nigdy by nie zrobili, gdyby nie sądziły, że w końcu zdołają odplacić ludziom, którzy wypędzili je ze swoich siedzib. Albo znalazły sposób, by pokonać powstrzymujące ich dotychczas osłony wiary, albo potrafią dostać się do domów i budynków pomimo niej. Będziemy musieli z nimi walczyć na śmierć i życie, milordzie, a ja muszę walczyć razem z tobą. Powinni zobaczyć skrzata, który stawi im czoło z bronią w ręku. Potrzebny mi miecz, prawdziwy miecz!

–Nic umiesz się nim posługiwać.

–Nauczę się.

Jim wytrzeszczył oczy. Ten malec naprawdę mówił poważnie.

–Chodź – powiedział do skrzata. – Pójdziemy porozmawiać z zamkowym kowalem.

* * *

–Oczywiście – powiedział niemal wesoło kowal. Nie potrafił zdobyć się na prawdziwą radość jako człowiek, który zwykle warczał na ludzi, tak że reszta zamkowej służby odwiedzała kuźnię tylko w razie potrzeby. Jednak nawet najrzęczniejszy rzemieślnik nie powinien warczeć na swego pana. – Zrobię mu śliczny mieczyk.

–Chcę mieć prawdziwy miecz! – zawołał Hob. – Do zabijania!

–A jakże – odpowiedział kowal, mrugając do Jima.

Ten nie odpowiedział mrugnięciem.

–No właśnie – powiedział. – Miecz taki jak mój, tylko odpowiednich dla niego rozmiarów. Słyszysz, mistrzu? To ma być porządna broń.

Kowal wybałuszył oczy i rozdziawił usta.

–Chyba słyszałeś – warknął Jim.

Kowal dosłownie załamał rękę.

–Milordzie, nie mogę tego zrobić!

–Możesz, jeśli ci każę.

–Ależ nie mogę. Chcę powiedzieć, że zrobiłbym to od razu, z miłą chęcią. Jednak po prostu nie mogę. Nie mam odpowiedniego metalu. Nie znam Tajemnicy. Nie umiem tego robić. Milordzie, tylko płatnerz potrafi wykuć taki oręż, jakiego żądasz!

Jim zamilkł. Ten człowiek miał rację. „Tajemnica”, czyli metoda wykuwania i hartowania stali była pilnie strzeżonym sekretem. Wiele cechów miało swoje tajemnice, a cech płatnerzy z pewnością nie wyjawilby swej tajemnej wiedzy zwyczajnemu kowalowi. Tu potrzebny był ekspert.

–Sprowadźcie Theolufa! – krzyknął Jim.

–Sprowadź tu giermka jego lordowskiej mości, pospiesz się! – warknął kowal do czeladnika, który stał opodal, gapiąc się i nadstawiając uszu.

–Natychmiast, milordzie! Już lecę, mistrzu!

Czeladnik ruszył biegiem, nawet nic zdjawszy fartucha. Wrócił po chwili w towarzystwie dwóch osób. Jedną z nich był Brian, a drugą rycerz, który najwidoczniej był jego gościem i przybył z nim do Malencontri na zaproszenie Jima. Najwyraźniej dopiero co wrócili z polowania. Obaj mieli na sobie ubrania z grubych skór, przydatne w razie konieczności galopowania przez chaszczę, i byli uzbrojeni nie tylko w miecze, ale i myśliwskie noże.

Jim zdziwił się na widok gościa Briana; była to ostatnia osoba, jaką spodziewałby się znaleźć w gościnie u swego przyjaciela. Był to sir Harimore Kilinsworth, którego Jim po raz pierwszy spotkał na zamku earla Somerset. Mężczyzna ten był nieco wyższy od Briana, lecz o podobnej budowie ciała oraz zwinnych i pewnych ruchach. Miał cienki wąsik, modny w tym okresie, lecz poza tym był równie ogolony, jak Brian.

Brian i sir Harimore z pewnością szanowali się za ściśle przestrzeganie rycerskich ślubów oraz znajomość wojennego rzemiosła – w czym byli nieźrównani. Jednak Jim zawsze sądził, że nie darzą się szczególną sympatią.

Tymczasem teraz nadchodzili za zdyszany czeladnikiem, który biegł przed nimi, by zapowiedzieć przybycie giermka Jima, Theolufa – zupełnie niepotrzebnie, gdyż Theoluf zdążył pojawić się przed nim.

–Nie masz odpowiedniego metalu, żeby zrobić miecz? – zapytał spoconego kowala. – Nie mów mi, że nie masz zapasów połamanych mieczy i innego oręża! Wyjmij je!

–Wyjmij je! – warknął kowal na swego czeladnika. – Nie stój jak słup przez cały dzień!

–Tak, mistrzu... tak milordzie... – wysapał czeladnik i zniknął w drzwiach prowadzących na tyły warsztatu.

Usłyszeli postękiwanie i brzęk metalu, po czym czeladnik wyniósł naręcze złomu: połamanych mieczy, sztyletów, kordów, naramienników, grotów włóczni, popękanych halabard, pik oraz innego zepsutego lub zużytego oręża. Rzucił je na dziedziniec pod nogi kowala, razem z pękniętą piłą i kilkoma sierpami – zardzewiałymi, wyszczerbionymi lub mającymi inne uszkodzenia.

Brian i sir Harimore natychmiast zaczęli grzebać w tej stercie żelastwa, przetrząsając ją i oglądając jak chłopcy szukający skarbów, zdradzając w ten sposób przynajmniej jeden z powodów, jakie skłoniły ich do przyścia tu za Theolufem. Kowal i czeladnik siali jak wryci, nie próbując im przeszkadzać. Ci dwaj mężczyźni byli pasowanymi rycerzami. Jeśli zapragnęli osobiście grzebać w stercie żelastwa, kto mógł im tego zabronić? Jednakże Theoluf, który przez wiele lat był dowódcą straży, zanim po prostu z braku odpowiedniego kandydata został wyniesiony do godności giermka, umiał postępować ze szlachcicami.

–Za łaskawym pozwoleniem, panowie – rzekł z leciutkim zniecierpliwieniem w głosie – mój pan przybył tu w niezwykle ważnej sprawie i muszę sam jak najszybciej obejrzeć to stare żelastwo.

Zarówno Brian, jak i Harimore doskonale zdawali sobie sprawę z tego, że każdy z nich mógłby pokonać Jima, mając jedną rękę przywiązaną za plecami, a łokieć drugiej przytwierdzony do boku, będąc w dodatku na solidnym kacu. Mimo to obaj natychmiast się cofnęli.

Jim był ich gospodarzem. To był jego zamek i jego żelastwo, a oni znaleźli się tutaj tylko dzięki jego uprzejmemu zaproszeniu. Theoluf zaczął grzebać w stercie i wybierać to, co jego zdaniem się nadawało.

–Powiadasz, że nie masz metalu, żeby wykuć miecz, mistrzu? – rzekł Theoluf, wymachując zardzewiałym ostrzem z odłamaną jedną trzecią klingi. – Na tej stercie

leży dość żelaza, by uzbroić wszystkich zbrojnych w naszym zamku. Wystarczy je tylko przyciąć, naostrzyć i dodać nowe rękojeści! Jednak nie żąda się od ciebie, żebyś uzbroił nas wszystkich, tylko zrobił jeden porządny miecz dla małego skrzata... i może jeszcze sztylet i tarczę?

–Cóż, wątpię, czy tarcza... – zaczął kowal, zebrawszy się na odwagę, ale i tak zabrzmiało to bardzo nieśmiało.

–Rusz głową, człowieku! Tarcze nie są z grubego żelaza – gdyby były, wiele potyczek zakończyłoby się znacznie wcześniej z powodu omdlewających ramion. Tarcza służy do odbijania ciosów. Jasne, przyjemnie mieć dobrze wypolerowaną, lśniącą i gładką powierzchnię, na której można namalować herb. Jednak w tym wypadku nie ma takiej potrzeby, tak samo jak u naszych zbrojnych, więc tarcza z kilku połączonych ze sobą pasów metalu odbije ostrze miecza równie dobrze jak lite żelazo. To prawda, że grot kopii mógłby trafić między pasy, ale ten skrzat na pewno nie będzie potykać się na kopie!

–To prawda... – zaczął kowal.

–No to bierz się do roboty. Może będzie ci potrzebna pomoc mistrza ciesielskiego i innych, ale troskę o szczegóły pozostawiam tobie.

–Cieszę się, że was tu widzę – rzekł Jim do Briana i Harimore. – Zamierzałem odszukać was i poradzić się w tej sprawie. Brianie, ty oczywiście dobrze znasz naszego skrzata, ale ty, sir Harimore, nic o nim nie wiesz. Oto i on, Hob w całej okazałości.

Skinął na skrzata, który zdążył już dyskretnie odejść na bok. Hob wyglądał zarazem na wzburzonego, pełnego nadziei i zaniepokojonego, a kiedy słuchał słów Jima, na jego twarzy malowało się pół tuzina innych uczuć, zmieniających się jak w kalejdoskopie. Powstrzymał jednak chęć stanięcia na jednej nodze i nadal stał sztywno wyprostowany, tak jak wcześniej w słonecznej komnacie.

–Istotnie, Harry – włączył się do rozmowy Brian. – Był z Jamesem i ze mną na wielu niebezpiecznych wyprawach, wykazując się wielką odwagą i bystrością umysłu. Nie sądzę, by jakikolwiek inny skrzat przeżył tyle przygód i spisał się równie dobrze.

–To prawda. Dziękuję, Brianie – rzekł z wdzięcznością Jim. Przyjacielnieświadomie ułatwił mu zadanie: teraz Jim mógł przekazać im najnowsze wiadomości. – Tak się złożyło, że właśnie dziś Hob powiedział mi coś bardzo ważnego dla całej Anglii, a może i całego świata. Niestety, nie mogę zdradzić wam szczegółów, gdyż są związane z magią. Jednak z tego powodu powinien teraz nie tylko nosić broń, ale i umieć się nią posługiwać, by walczyć u naszego boku.

–Nosić broń? Walczyć? Skrzat? – zdumiał się sir Harimore.

–Tak! – odparł Jim. – Jak już powiedziałem, chciałbym wyjawić wam więcej, żebyście dostrzegli taką potrzebę, lecz jako mag muszę zachować milczenie.

W duchu skrzyżował palce. Pamiętał, że Brian mówił mu, że sir Harimore równie ściśle jak on przestrzega swych rycerskich ślubów i obowiązków. Czy w tym wypadku będzie skłonny zaakceptować uzbrojonego i gotowego do walki skrzata, czy też okaże się temu przeciwny? Jim nie mógł go okłamywać, ale... nagle przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

–Jak już mówiłem – dodał – muszę zachować milczenie. Mogę jedynie dać wam słowo, że on musi mieć broń i powinien nauczyć się nią posługiwać.

–Oczywiście, twoje słowo mi wystarcza, sir Jamesie – rzekł poważnie sir Harrimore. – Nie mówmy już o tym.

–Cóż, jest jeszcze jedna sprawa – powiedział Jim. – Zamierzałem udzielić mu kilku krótkich lekcji posługiwania się tarczą i mieczem...

–James, to niemożliwe! – rzekł zakłopotany Brian. – Tej sztuki nie można się nauczyć w godzinę czy jeden dzień...

–Wiem o tym – pospiesznie odparł Jim. – Jednak jest kilka najważniejszych rzeczy, które trzeba wiedzieć, na przykład jak trzymać miecz i jak nim uderzać, niezależnie od tego, co w tym momencie robi przeciwnik. Miałem nadzieję, że pokażę Hobowi choć tyle. – W duchu znów skrzyżował palce, po czym mówił dalej: – A później, raczcie mi wybaczyć, panowie, przyszło mi do głowy, że dwaj tak zacni i doświadczeni w sztuce wojennej rycerze jak wy może zechcieliby nauczyć go kilku najprostszych zasad i zrobiliby to znacznie lepiej niż ja...

Zakończył z nadzieją w głosie. Wiedział, że Brian uwielbia uczyć, lecz nigdy nie słyszał, by sir Harimore Kilinsworth uczył kogokolwiek tego, co sam robił tak dobrze.

–Ha! Niewątpliwie! – rzekł Harimore. – Najpierw jednak musimy sprawdzić, czy się nadaje... Łap!

Przy ostatnim słowie wyrwał z pochwy ostry jak brzytwa sztylet i cisnął nim w Hoba, a zrobił to tak błyskawicznie, że Jim ledwie to zauważył. Skrzat ze zdziwioną miną patrzył na nadlatujące ostrze, a kiedy znalazło się blisko, zrobił krok w bok, złapał je za rękojeść i ruszył, by oddać sztylet właścicielowi.

–Hmm! – mruknął z wyraźnym zdziwieniem Harimore, po czym podniósł głos i ponownie zwrócił się do skrzata: – Nie! Trzymaj go! Wróć na poprzednie miejsce.

–Tak, panie.

Hob wykonał polecenie. Harimore pogrzebał w stercie żelastwa i wyjął z niej uszkodzoną pikę z ułamanym drzewcem.

–Podejdź tu – polecił, a kiedy Hob podszedł, wręczył mu pikę. – Zobaczmy, jak tniesz ją moim sztyletem.

–Tak, panie.

Hob uniósł sztylet nad głowę i opuścił ostrze na czarne drzewce. Odłupał się kawałek twardego drewna, ale to wszystko.

–Widzimy więc – rzekł Harimore, zwracając się do Jima i Briana, którzy podeszli bliżej, żeby się przyjrzeć. – Ma szybkość, oko i ruchy urodzonego szermierza, ale cóż to warte, jeśli brak mu siły?

–Wybacz mi, szlachetny panie – powiedział cichutko Hob – ale czy chcesz powiedzieć, że powinienem był przeciąć to drzewce na dwie części?

–Oczywiście.

–Och!

Hob jedną ręką chwycił drzewce piki, a drugą podniósł sztylet. Ponownie opuścił ostrze, ale tym razem inaczej. Teraz poparł uderzenie całym ciężarem ciała, aż jego stopy oderwały się od ziemi w chwili, gdy ostrze zetknęło się z drewnem. Twarde,

suche drzewce rozłupało się, wprawdzie nie do końca, lecz gdyby cięcie było pół centymetra głębsze, rozcięłoby je na dwie połowy.

Brian i Harimore spojrzeli po sobie z nieskrywanym zdumieniem.

Widzicie, co potrafi, jeśli się postara! – zamierzał powiedzieć Jim, ale stwierdził, że nie ma takiej potrzeby.

Brian wykrzyknął do oniemiałego Harimore'a:

–Cięcie z pociągnięciem! Wykonał cięcie z pociągnięciem! sam widziałeś, Harry!

Tego rodzaju cios polegał na przeciągnięciu ostrzem w momencie uderzenia, aby zadać głębszą ranę. Brian wspominał o tym od czasu do czasu, ale nigdy nie próbował nauczyć tego Jima.

–Widziałem – odparł Harimore. – Nadal sądzę, że tylko łaska boska pozwoli mu stawić czoło uzbrojonemu przeciwnikowi – mówiąc to przeżegnał się – ale miałeś rację, Brianie, i ty także, sir Jamesie. Ten malec ma zadatki na dobrego szermierza. Jeżeli zechcesz, Brianie, nauczyć go podstaw posługiwania się orężem, to ja również.

Rozdział 10

Zadowolony Jim opuścił ich, aby zająć się swoimi sprawami. Teraz mógł w końcu sprawdzić, jak postępują przygotowania izby chorych, a także zorientować się, jak mieszkańcy Malencontri reagują na wiszący nad ich głowami cień zarazy. Odnalazł pomieszczenie w kwaterach służby, które zostało wybrane na izbę chorych, na pewno zdecydowała tak Angie, znająca tę część zamku znacznie lepiej niż Jim.

Duża sala już została odgradzona ścianą działową od pozostałych pomieszczeń. Zapewne Angie dopilnowała tego, kiedy Jim spał. Z pewnością czuwała nad przebiegiem prac aż do końca.

Drzwi w nowej ścianie były otwarte na oścież i dobiegał zza nich głośny gwar. Zamiast od razu wejść do środka, Jim przystanął i ostrożnie tam zajrzał. W pomieszczeniu unosił się silny zapach poleju – ziela, którego woń odstraszała pchły.

Pracujący w środku ludzie już wybili dziurę na okno w kamiennej ścianie budynku, jednak jeszcze nie przynieśli potrzebnych do szklenia szyb z magazynku znajdującego się na tym samym piętrze co słoneczna komnata. Przy przenoszeniu czegoś tak wspaniałego i drogiego, a przede wszystkim kruchego, potrzebny był nadzór.

W sali umieszczono w rzędzie osiem zapasowych łóżek oraz kilkanaście materaców. Kominek, który znajdował się tu przed wzniesieniem ścianki działowej, trzykrotnie powiększono i zaopatrzone w odpowiedniej wielkości przewód kominowy. A teraz wznoszono podium podobne do tego, na którym stał główny stół w wielkiej sali, tylko o połowę mniejsze.

Uwijający się tam ludzie byli w dziwnie dobrych humorach. Ku zaskoczeniu Jima, zachowywali się tak, jakby przygotowywali przyjęcie weselne mające się tu odbyć pod koniec tygodnia. Najwyraźniej cieszyli się z tego, że jeszcze nikt nic zachorował, a to odstępstwo od rutynowych zajęć traktowali jako okazję do zabawy, żartów i przekomarzań.

Jim przestał podglądać i wszedł do komnaty.

–Cóż to, bawicie się? – zagrzmiął z udawanym oburzeniem.

Natychmiast zapadła głucha cisza. Nikt się nie poruszał. Wszyscy mieli poważne, niemal ponure miny. To jednak nie zwiódło Jima. Chociaż udawali oniemiałych i skamieniałych na widok swego pana, doskonale wiedział, że gdy tylko znajdzie się za drzwiami, natychmiast znów zaczną dowcipkować. Zdradzały ich wesołe błyski w oczach. Zbyt dobrze go znali. Może Angie nie rozpuszczała służby aż tak, jak twierdziła Geronde, ale do tej pory wszyscy w Malencontri wiedzieli, że pokrzykiwania Jima są równie groźne jak radosne powarkiwanie psa dla szczerzącego kły wilka.

Staął na środku pomieszczenia.

–Tylko tyle zrobiliście do tej pory? – rzekł oburzonym tonem. – Chyba będziecie musieli zacząć od nowa!

Zobaczył, że wesoły błysk znikł z niektórych oczu, ale tylko niewielu.

–Panie – zaczął mistrz murarski, którego siwe włosy, wiek i stanowisko pozwalały zadawać pytania. – Czy zaraza naprawdę dotarła do Londynu?

–Tak! – odparł Jim.

–Stąd do Londynu daleka droga.

–Może to nie jest zaraza – rzekł Jim. – Zeszłej nocy, kiedy eskortowałem biskupa wracającego do domu, zaatakowały nas demony jadące na szczurach i uzbrojone we włócznie z diamentowymi grotami.

Wszyscy jednakowo zareagowali na słowo „demony”. Najwidoczniej czterej zbrojni, zgodnie z przyjętym zwyczajem, wzięli po powrocie do Malencontri wolny dzień i opowiedzieli mrożącą krew w żyłach historię potyczki na wzgórzu.

Jim dodał pospiesznie, zanim kamieniarz zdążył przytoczyć inne argumenty przemawiające za tym, że zaraza jest jeszcze daleko.

–Co to takiego? Trącił nogą podium.

Kilka stojących tam osób pośpiesznie zeskoczyło, ujawniając, że podium było zbite, ale jeszcze nie zostało pomalowane ani zabudowane. Było to po prostu podwyższenie, na którym znajdowało się krzesło, stolik, stały dwie kobiety oraz coś, co wyglądało na dolną połowę baryłki na wino. Na krześle siedziała ochmistrzyni – Gwynneth Plyseth. Obok niej stała May Heather, oficjalnie jej uczennica, która ostatnio pełniła funkcję jej nieoficjalnej zastępczyni.

Jim wskoczył na podium i z groźną miną ruszył ku kobietom (na wypadek gdyby to któraś z nich przekroczyła swoje uprawnienia, gdyż ani on, ani Angie nie wspominali o takiej konstrukcji). Panna Plyseth wstała dość niezgrabnie z powodu swego artretyzmu i dygnęła. May poszła za jej przykładem. Jim zauważył, że ten uprzejmy dyg ostatnio wychodził jej coraz lepiej.

–Usiądź! – warknął Jim do Gwynneth. Ochmistrzyni z wyraźną wdzięcznością usiadła na krześle, gdyż jesienią zawsze bolały ją stawy. – Co to takiego?

Machnął ręką, wskazując na podium, połowę beczki i obie kobiety.

–Za pozwoleniem, panie – odparła Gwynneth – to dla pielęgniarki i na wszystko.

–Na wszystko? Na co?

–Och, na rozmaite rzeczy, panie. Dla tej pary terierów z psiarni...

Jim musiał w duchu przyznać, że nawet nie przyszło mu do głowy, iż te niezwykle żywotne teriery, trzymane do łowów na drobną zwierzynę, mogą wyłapywać ocalałe szczury, które trafiałyby do izby chorych, podążając za zapachem pożywienia.

Tymczasem Gwynneth recytowała najwidoczniej nie kończącą się listę.

–...więcej materaców i pościeli, jak tylko zdążymy je uszyć, skrzynkę z piaskiem na palenisko do podgrzewania zupy przynoszonej z kuchni dla chorych...

–Rozumiem – przerwał jej Jim – że zamierzasz zostać przełożoną pielęgniarek w izbie chorych?

–Tak, milordzie, jeśli tylko zwolnisz mnie na kilka godzin dziennie z obowiązków ochmistrzyni, gdyż – jeśli wolno mi to powiedzieć – ze względu na wiek i doświadczenie nadaję się do tego lepiej niż ktokolwiek. Jeśli wyrazisz na to zgodę, panie, May Heather będzie mnie zastępować tam i tutaj.

Znowu zaczęła gramolić się z krzesła, żeby dygnąć.

–Siedź! – rzucił Jim, a kiedy z westchnieniem ulgi opadła na siedzenie, dodał: – Powiedz mi tylko jeszcze jedno. Po co ta beczka?

–No, na smołę, panie.

–Smołę?

–Właśnie, milordzie. Powiadają, że chorzy na tę zarazę mają straszne obrzęki, a na opuchliznę nie ma to jak ciepły okład. Do nakładania i zmieniania ciepłych kompresów chorym potrzebowalibyśmy wielu pielęgniarek. Tymczasem chochła gorącej – ale nie za gorącej – smoły wylanej na opuchliznę utrzyma przez jakiś czas ciepło i nie ześlizgnie się tak jak okład. Będziemy podgrzewali tę beczkę, żeby smoła była gotowa dla każdego przybywającego chorego. Na tym podium wszystko będzie pod ręką i stąd od razu zobaczę, jeśli wezwie mnie któraś z pielęgniarek.

Uśmiechnęła się promiennie, najwyraźniej oczekując pochwały.

Jim chrząknął. Na myśl o nieszczęsnych pacjentach – a przynajmniej tych z nich, którzy będą mieli obrzęki czy też „opuchliznę”, już cierpiących okropne męki z powodu bolesnych guzów pod pachami i w pachwinach – oblewanych gorącą smołą i usiłujących znieść to ze stoicyzmem właściwym dla tych czasów, robiło mu się niedobrze. Przez chwilę zabrakło mu słów i nie był w stanie znaleźć żadnej szybkiej odpowiedzi, jakie zazwyczaj przychodziły mu na myśl z łatwością.

Trzeba będzie powstrzymać Gwynneth przed stosowaniem tej barbarzyńskiej i bezużytecznej metody leczenia, ale w tym momencie nie mógł wymyślić żadnego sposobu, aby to zrobić, nie raniąc jej uczuć. No cóż, zastanowi się nad tym, a może Angie podsunie mu jakiś pomysł.

Odwrócił się do pozostałych i podniósł głos.

–Dobrze się spisaliście – powiedział – ale trzeba zrobić więcej i szybciej. Osadźcie to okno i oszklijcie je. Tylko pamiętajcie, okno ma się otwierać, żeby do izby wpadało świeże powietrze. A teraz do roboty, wszyscy. Każę wam tu przysłać trochę piwa.

Zamkowa służba uważała, że wiwaty po takim stwierdzeniu nie licowałyby z jej godnością, ale wychodząc z izby, usłyszał głośny pomruk zadowolenia.

Gdyby Angie nie spała, dobrze byłoby się dowiedzieć, co zrobiła pod jego nieobecność i co zamierzała jeszcze zrobić. Jeśli jednak ktoś potrzebował teraz snu, to na pewno ona. Nie miał zamiaru jej budzić. Nieważne. Służba powie mu wszystko, a reszty będzie musiał się domyślić. Najwyraźniej gdzieś w pobliżu znalazła spore zapasy poleju. Izba chorych cuchnęła miętowym, stęchłym zapachem tego ziała.

Jedno było pewne. Nie powinien biegać po zamku, by oceniać stan przygotowań, tak jak to zrobił, odwiedzając izbę chorych. „Centrum dowodzenia” w zamku Malencontri zawsze mieściło się przy głównym siole w wielkiej sali. Służba od początku starała się nauczyć tego Jima i Angie. W takich sytuacjach jak ta powinien zasiadać przy stole i przyjmować meldunki swoich zarządców.

Tak więc wpadł do kuchni i wydał dyspozycje odnośnie do obiecanego piwa, po czym ruszył do wielkiej sali najkrótszą drogą przez kwatery służby. Przechodząc przez pustą teraz gotownię, usłyszał głosy kobiet siedzących przy głównym stole w sali. Jeden z nich – w tym momencie lekko wzburzony – należał do Geronde, drugi do Danielle, a trzeciego nie rozpoznał. Przystanął, niezdecydowany. Oczywiście, to był jego stół i gdyby po prostu wszedł tam i stanął z lekko zdziwioną miną, kobiety natychmiast pojęłyby aluzję i przeniosły się gdzie indziej.

Jednak wyniesione z dwudziestego wieku zasady dobrego wychowania stały w sprzeczności z tym, co zamierzał zrobić. Dlatego zawahał się, a kiedy przystanął, wyraźnie usłyszał słowa rozmowy.

–...wszyscy są tacy sami! – mówiła Geronde z wyraźnym rozgoryczeniem. – Stali jak pogoda na wiosnę! Mój przyszły małżonek umawia się ze mną, że jadąc z Malvern, ominę Malencontri, żeby zajeżdżać do zamku Smythe i rzucić okiem na mój przyszły dom! Tymczasem kiedy, się tam zjawiam, okazuje się, że wyjechał z jakimś swoim gościem. Wracam tutaj pędem, po czym znajduję ich obu... gdzie?

Zamilkła, najwidoczniej by nabrać tchu. po czym prawie warknęła:

–Na łowach! – Znów zaczerpnęła tchu. – Teraz, po tych wszystkich latach oczekiwania na ślub, on pojechał na łowy! Gdy tylko wróci i zdołam zamienić z nim słowo, powiem mu...

Jim kichnął.

Przeklęty polej! – pomyślał. Może mam uczulenie...

Zaraz zapomniał o alergii, W żaden sposób nie mógł powstrzymać tego kichnięcia, było tak niespodziewane i donośne, że nie stłumiłby go nawet, gdyby wiedział, że kichnie. Głosy w wielkiej sali nagle ucichły.

Teraz nie było innego wyjścia. Im szybciej to załatwi, tym lepiej.

Starając się robić jak najwięcej hałasu, przeszedł kilka ostatnich metrów dzielących go od drzwi wielkiej sali, po czym przystanął w progu, udając zaskoczonego widokiem siedzących przy stole kobiet.

–Wybaczcie mi, moje panie – rzekł, wymownie sapiąc. – Nie wiedziałem, że was tu zastanę.

–Nie, to ty mi wybacz, Jamesie – odparła Geronde. Wszystkie trzy wstały. – To ja zaproponowałam, żebyśmy tułaj coś zjadły i porozmawiały. Zapewne nie widziałeś nigdzie Briana?

–Kilka minut temu – powiedział Jim. – Na dziedzińcu. On i sir Harimore właśnie wrócili z polowania. Natknąłem się na nich, sprawdzając, jak postępują przygotowania na wypadek zarazy, a także twoich zaślubin z Brianem.

–Zaślubin! – syknęła przez zaciśnięte zęby Geronde. – Och, wybacz mi, Jamesie. Pozwól, że przedstawię ci lady Joannę Montague, hrabinę Kentu. Milady, oto baron sir James Eckert, nasz gospodarz.

–Domyśliłam się tego – powiedziała Joanna. Nie starała się nadać swemu głosowi szczególnie ciepłego brzmienia, lecz niewymuszona swoboda w połączeniu z charakterystycznym dla Plantagenetów młodzieńczym wyglądem twarzy okolonej jasnymi włosami czyniła to powitanie niezwykle przyjaznym, czego Jim nie mógł nie wyczuć. – To dla mnie zaszczyt i przyjemność poznać cię, milordzie, jednakże najwyraźniej jesteś bardzo zajęty. Tak więc pospiesznie cię opuścimy. Tak też zrobiły.

Jim usadowił się przy stole, na którym stały jeszcze talerze z jedzeniem i kilka nie dopitych pucharów z winem. Cicha jak myszka służąca – najwidoczniej następna niedawno przyjęta, najwyżej dwunastoletnia – wybiegła ze swojej kryjówki i stanęła przy jego krześle.

–Czy mogę coś ci przynieść, wasza lordowska mość?

–Na co dzień wystarczy „milordzie” – odparł uprzejmie Jim. – Nie chcę nic jeść ani pić. Sprowadź tu mojego giermka. Znasz Theolufa?

–Och tak, wasza milordowska mość.

Jim westchnął w duchu. Mała musi się nauczyć.

–Przyprowadź go tu. A także głównego łowczego, koniuszego oraz ochmistrzynię, pannę Plyseth... Nie, ona jest potrzebna gdzie indziej. Niech tu przyjdzie jej uczennica, May Heather. Ona nauczy cię tu wszystkiego. Powiesz jej, że kazałem, żeby ci pomogła.

–Tak jest, wasza milordowska mość.

Pobiegła. Kto wie? Może za dwadzieścia lat okaże się jedną z najbardziej przydatnych na zamku osób.

–Do usług, milordzie – powiedział Theoluf, wchodząc do sali.

–Theolufie – zapytał Jim – ilu zbrojnych mamy teraz na zamku? Pytam o zdrowych.

–Frank Short jeszcze całkiem nie wydobrzył, milordzie, z ran odniesionych podczas zwady z człowiekiem biskupa, ale nikt go nie utrzyma w łóżku, gdy będzie potrzebny. Razem z nim mamy dwunastu, wliczając w to Yves'a Mortaina, który jest dowódcą.

–Jeśli zaraza dotrze tak daleko na zachód i rozejdzie się wieść, że nas ominęła, będziemy mieli pod murami mnóstwo ludzi pragnących dostać się do środka. Być może nawet sąsiadów, w tym szlachetnie urodzonych. Na zewnątrz rozstawimy namiot dla przechodzących kwarantannę, lecz szlachta i inni mogą zażądać wstępu na zamek.

–To prawda, milordzie.

–Odmówimy im, Theolufie.

–Tak jest, milordzie!

–Czy powinniśmy zebrać więcej zbrojnych, dopóki możemy zwerbować zdrowych?

–Chciałbym co najmniej miesiąc przyglądać się każdemu z nich, zanim go zatrudnię. Czy mamy tyle czasu?

–Nie. Nie sędzę.

–A zatem raczej nie powinniśmy werbować nowych ludzi. Może byliby przydatni w polu. Tu mamy mocne mury i służbę, dla której włócznie i hełmy to nie nowina. Mógłbym ich trochę przeszkolić, jak mają wbiegać na mury i ustawiać się, tak aby w tych hełmach i z włóczniami wyglądali na dobrze wyszkolonych żołnierzy.

–Zrób to – powiedział Jim. – Posłuchaj, może mnie tu nie być, kiedy zaczną się kłopoty... albo mogę zachorować...

–Boże broń, milordzie! – Theoluf przeżegnał się.

–Jednak może się tak stać. Czy razem z panią zdołacie obronić zamek? Powiedz, co myślisz.

–Zdołamy, milordzie. Pani i ja już odpieraliśmy ataki, chociaż przeważnie niezbyt groźne, podczas twojej nieobecności. W takich wypadkach myślimy podobnie. Wolę,

by to ona dowodziła obroną niż wielu pasowanych rycerzy, których znałem. Ona nie działa pochopnie, a to bardzo cenna zaleta.

–Doskonale.

–Istotnie, milordzie, a jeśli wybaczysz mi śmiałość, może okaże się to zupełnie niepotrzebne. Pod twoją nieobecność być może będzie tu sir Brian lub mistrz łucznictwa. A gdyby spotkało mnie jakieś nieszczęście, to ani lady Geronde, ani pani Danielle nie brak doświadczenia w dowodzeniu ludźmi.

–Dobrze, że mi o tym przypomniałeś...

Jim urwał w pół zdania i wstał na widok księcia Edwarda, który rażno zmierzał ku nim przez gotowalnię.

–Wasza miłość! – powiedział. – Sądziłem, że opuściłeś nas wcześniej rano!

–Miałem taki zamiar – odparł niedbale książę – jednak... Wyjdź z za stołu, Jamesie, dobrze? Przejdźmy się trochę. Muszę z tobą porozmawiać.

–Oczywiście, wasza miłość – rzekł Jim, w duchu zgrzytając zębami. – Theolufie, dokończymy naszą rozmowę później. Zaczekaj tu na mnie.

Zszedł z podium, na którym stał główny stół. i poszedł za księciem przez gotowalnię, gdzie zobaczył łowczego, koniuszego oraz May Heather z myszowatą służką, czekających na rozmowę.

–Zajmowanie się domowymi sprawami to strata czasu – orzekł książę, pochwywszy spojrzenie Jima rzucone czekającym. Zaraz jednak zapomniał o nich, jakby w ogóle nie istnieli. – Nieważne, James. Znajdźmy jakieś ustronne miejsce, gdzie będziemy mogli porozmawiać.

Wyszli z komnaty i książę skręcił w kierunku krętych schodów wiodących na dach wieży. W pobliżu nie było nikogo. Edward przystanął i odwrócił się do Jima, który też się zatrzymał.

–Twoja wczorajsza odpowiedź była dla mnie poważnym ciosem, Jamesie – rzekł książę. – Nie mam ci za złe tego, że musisz przestrzegać praw waszego stowarzyszenia, ale mimo wszystko był to dla mnie cios. Kiedy prosiłem cię o pomoc, ani przez chwilę nie wątpiłem, że chętnie mi jej udzielisz... ale dość już o tym. My, Plantagenetowie, umiemy przyjmować ciosy, James...

I gadać o tym w kółko, pomyślał Jim.

–... tak więc byłem gotów pojechać dziś rano do Tiverton i poszukać gdzie indziej tego, czego mi trzeba. Jednak zeszłego wieczoru hrabina Joanna podsunęła mi wspaniały pomysł. Ona naprawdę jest nie tylko piękna, ale i mądra. O wiele mądrzejsza ode mnie, choć zapewne nie miałyby pojęcia, jak poprowadzić oddziały do bitwy. Podczas gdy ja... ale nie o tym mowa. Pomysł jest prosty, niezwykle prosty. Pojedziesz ze mną do Tiverton i poznasz mojego ojca! O ile wiem, nigdy go nie spotkałeś, napisałeś tylko do niego list z prośbą o pozwolenie na uwolnienie kraju od zła ukrytego w Wieży Loathly, za co później otrzymałeś jego listowne podziękowanie...

Umilkł.

–Nie pojmujesz, jaki to sprytny plan? Ja też tego nie rozumiałem, James, ja też! Kiedy jednak mi wyjaśniła...

Książę nie zauważył, że Jim zacisnął zęby, słysząc wzmiankę o swoim liście do króla. Nigdy nie napisał takiego listu, był on wymysłem bardów krążących po kraju i zarabiających na życie ubarwianiem prawdy. Uważali taką wersję wydarzeń za znacznie bardziej heroiczną niż ratowanie kobiety, którą zamierzał poślubić.

–Tak więc – zakończył Edward – od dawna należy ci się audiencja u króla, a skoro jest w pobliżu, to dlaczego by nie skorzystać z okazji?

–W jaki sposób moje spotkanie z nim może ci pomóc? – spytał Jim, chcąc dotrzeć do sedna sprawy.

–No cóż, kiedy jego wysokość cię pozna, będę mógł częściej cię odwiedzać jako bliskiego sąsiada. Co więcej, okaże się, że jednym z twoich gości jest moja dawna towarzyszka zabaw, Joanna z Kentu, którą bardzo lubię. Dzięki temu będę miał powód, by podróżować między Tiverton a Malencontri. Sir Verweather będzie mógł przyjechać tu pod moją nieobecność, żeby zawiadomić cię o audiencji, i podczas tej wizyty zapłonie afektem do jednej z panien na zamku. On również będzie przyjeżdżał tu jak najczęściej, choć nigdy w tym samym czasie co ja. A ponieważ w Tiverton garderobiany ma niewiele zajęć przy jego wysokości, nasze drogi często będą się przecinać, kiedy ja będę tu jechał, a on wracał, lub odwrotnie.

Edward zamilkł i triumfalnie spojrzał na Jima.

–A podczas tych spotkań – dodał – będziemy mieli okazję, by przystanąć i porozmawiać o tym, o czym musimy! Czy widzisz jakieś wady tego planu?

Cały wszechświat wad! – pomyślał gniewnie Jim. Najwyraźniej Edward nie brał pod uwagę niebezpieczeństwa zarazy. Jednakże takiego nastawienia nie da się zmienić kilkoma naprędce skleconymi zdaniami. W tym momencie najlepiej będzie udać, że akceptuje ten pomysł, dopóki go nie omówi z Angie.

–Z pewnością warto to rozważyć, wasza miłość – odparł – choć niewątpliwie pojawią się pewne nieuniknione trudności, kiedy dotrze tu zaraza...

–Daj spokój, James! – odrzekł Edward. – Nie dotrze dalej jak do Londynu, a gdyby nawet dotarła, to jeśli mój plan się powiedzie, dam ci słowo, że zabiorę cię, twoją żonę i podopiecznego, jak również rodziny twoich towarzyszy – sir Briana i tego łucznika, którego nieangielskie imię w tym momencie wyleciało mi z głowy – do bezpiecznego Tiverton. Verweather zapewnia mnie, że tamtejsza służba utrzymuje taki porządek na zamku, że zaraza w żadnym razie nie dostanie się do środka!

Odwrócił się, by zejść na schody.

–Teraz muszę się odziać i osiodłać konia, jeśli chcę dotrzeć do Tiverton przed zachodem słońca.

Rozdział 11

Jim wrócił do stołu, zabrawszy po drodze troje cierpliwie czekających na niego sług. Usiadł za stołem i jako pierwszego wezwał łowczego.

–To świetna myśl, żeby umieścić parę terierów w izbie chorych – powiedział mu, siadając. – Kto wpadł na ten pomysł?

–Ja, milordzie. Mój ojciec był młynarzem i zawsze mieliśmy w domu teriery, które tępiły szczury.

–Ile jeszcze mamy takich psów?

–Ani jednego, milordzie. Proszę mi wybaczyć, że to mówię, ale jeszcze w marcu wspominałem, że moglibyśmy wziąć cztery szczeniaki z miotu suki należącej do sir Huberta.

–W marcu w Anglii jeszcze nie było zarazy.

Jim nauczył się, że nigdy nie należy przyznawać się do błędu w rozmowie ze swymi podwładnymi. Oni po prostu oczekiwali takiego postępowania, bo dawało im poczucie bezpieczeństwa. Chcieli uważać swego pana za godnego zaufania i nieomylnego. Główny łowczy miał za złe Jimowi, że niemal nigdy nie poluje, a poza tym miał swoje zdanie na temat tego, jak powinna wyglądać psiarnia w takim zamku jak ten.

–Gdzie możemy zdobyć więcej terierów? Czy można by zamiast nich użyć ogarów?

–Nie, milordzie. Nikt w okolicy nie ma terierów na zbyciu, a ogary na pewno goniłyby szczury, lecz te są tak zwinne, że tylko terier może je złapać.

–Dobrze. Możesz odejść. Przyślij do mnie koniuszego.

–Tak, milordzie – odparł łowczy i trochę poirytowany poszedł warczeć na swoich podopiecznych, cisnących się do niego, liżących go po twarzy i usiłujących go udobruchać.

–Powiedz mi coś – zaczął Jim. – Być może czeka nas coś w rodzaju sześciomiesięcznego oblężenia. Czy mamy tyle paszy dla koni?

–Na sześć miesięcy wystarczy, w razie potrzeby nawet na dwanaście – odparł mały, żylasty koniuszy. – Dopiero co zwieziono siano i stodoła jest pełna.

–Dobrze. Kto mógłby zająć twoje miejsce w stajniach, gdyby coś... no, gdyby coś przez jakiś czas nie pozwoliło ci pełnić obowiązków?

–Masz na myśli to, gdybym zachorował, milordzie? Mam dwóch młodych pomocników, których od dawna przyuczam. Potrafią nawet podkuwać konie, gdyby zaraza pozbawiła nas kowala. W pracy stajennego najważniejsza jest znajomość koni, gdyż każdy rumak ma swoje kaprysy, a oni już posiadli niezbędną wiedzę. Czy jaśnie pan chciałby ich zobaczyć?

–Może później – powiedział Jim. – Dziękuję ci. To na razie wszystko. No cóż, May – rzekł, kiedy ostatnia z trojga czekających osób podeszła do stołu – co sądzisz o izbie chorych?

–Myślę, że to mądra i dobra rzecz, mój panie.

–Czy chcesz mi coś powiedzieć, cokolwiek, dobrego lub złego, na temat tego pomieszczenia?

May przez chwilę, za ledwie przez mgnienie oka, dziwnie na niego patrzyła, a potem odparła stanowczo:

–Nie, milordzie. Nie!

–To dobrze – powiedział Jim. – Wiesz co, May, kiedyś moja pani w rozmowie ze mną bardzo pochlebnie wyraziła się o tobie. Powiedziała, że od ciebie zawsze usłyszę szczerą odpowiedź. Zawsze powiesz prawdę, bez względu na to, ile miałoby cię to kosztować.

–Mówię, co myślę, milordzie. Zawsze taka byłam.

–Tak sądzę i dlatego zamierzam zadać ci pytanie. Jeśli nie możesz lub nie chcesz na nie odpowiedzieć, nic nie szkodzi. Gdybyś jednak mogła udzielić mi odpowiedzi, pomogłoby mi to rozwiązać pewien poważny problem.

–Tak, milordzie?

–Co sądzisz o hrabinie Salisbury, czyli o Pięknym Dziewczęciu z Kentu, gdyż pod takim imieniem jest znana większości świata?

–To wielka dama, panie.

–Owszem, ale co poza tym? Jaką jest osobą... jaką kobietą? May zastanawiała się, marszcząc brwi w zadumie.

–Ona nie jest słaba, milordzie. Potrafi walczyć i nie obawia się skutków niewłaściwego wyboru. Jest także miła.

–Miła?

–Tak, panie. No, po prostu miła.

Jim zastanawiał się. Opisując Joannę, Angie użyła tego samego słowa, a nie używała go często. Teraz, kiedy się nad tym zastanowił, doszedł do wniosku, że nigdy nie słyszał, by w tym czternastowiecznym świecie jedna kobieta mówiła w ten sposób o drugiej, a skoro o tym mowa, to nie przypominał też sobie, by słowo to było często używane, jeśli w ogóle, przez kobiety ze świata jego i Angie. Co oznaczało tutaj? Mężczyźni nie określali siebie słowem „miły”, gdyby zaś to robili, zapewne nie byłby to komplement, a w ustach May tak to zabrzmiało. Dziwne...

–No cóż, dziękuję ci, May – powiedział. – Spełniłaś oczekiwania lady Angeli. Teraz możesz odejść.

Jednak zawahała się, patrząc mu w twarz.

–Czy to, co powiedziałam, przydało ci się do czegoś, panie?

–Bardzo mi pomogłaś.

–To dobrze! – zawołała i uciekła.

Później zapytał o to Angie. Byli razem w słonecznej komnacie i szykowali się do kolacji w wielkiej sali, chociaż za oknem jeszcze trwał długi letni dzień. Angie była wyspana i ożywiona.

–Powiedziałaś, że Joanna jest „miła” – zaczął bez dłuższych wstępów. – Dziś po południu May Heather określiła ją tym samym słowem. Co właściwie przez to rozumiecie?

–Oczywiście – wykrztusiła Angie w fałdach sukni, którą wkładała przez głowę – nie mam pojęcia, co miała na myśli May. Ja po prostu uznałam Joannę za miłą osobę.

–Niewiele mi to pomoże – mruknął Jim. – Chciałbym wiedzieć, czy ona jest w

stanie wywierać znaczny wpływ na księcia.

–Pod pewnymi względami na pewno. A przynajmniej tak sędę. Sam jednak będziesz musiał wyrobić sobie o niej zdanie, a jeszcze nie zdążyłeś jej poznać. Dlaczego miałyby nie być w stanie wywierać wpływu na Edwarda? I czemu właściwie miałyby to robić?

–Wcale tego nie pragnę. Ja tylko chcę wiedzieć, w jakim stopniu to, co on robi, jest jej dziełem. On i biskup ścierają się ze sobą, ona obiecuje, że do rana mu przejdzie – i tak się dzieje. Ja mu mówię, że nie może wmieszać Malencontri i nas w coś, co Cumberland mógłby okrzyknąć zdradą. Znowu o mało nie wybucha. Tymczasem rano zjawia się pogodzony z tą myślą, ale z zupełnie nowym planem, który podsunęła mu Joanna. Ona sprawia wrażenie raczej doświadczonej intrygantki niż „miłej” kobietki.

–Jaki plan? – zapytała Angie.

–Mam wszystko zostawić i jechać do Tiverton na spotkanie z królem.

Dokładnie powtórzył jej rozmowę z Edwardem.

–Też wybrał sobie porę na wyciąganie cię z domu!

–Właśnie.

–Szczególnie kiedy trwają przygotowania na wypadek zarazy, nie mówiąc już o zaślubinach. Geronde dostanie szału, jeśli jej ślub z Brianem znowu się odwlecze!

–Z pewnością – przytaknął Jim, który znał Geronde.

–Możesz być tego pewien – ciągnęła Angie. – Musiałam jej powiedzieć, że ślub trzeba będzie przełożyć co najmniej o tydzień. Szkoda, że nie widziałeś jej miny! Przez chwilę się obawiałam, że zabiłaby mnie, gdyby miała broń pod ręką!

–Jeszcze tydzień? Nie mam jej tego za złe. Z jakiego powodu?

–Na przykład z powodu przygotowań na wypadek zarazy. Przyjadą tu sąsiedzi z całego Somerset. Jeśli wtedy będę miała wszystko przygotowane i na swoim miejscu, to przez ten czas zdążą się przyzwyczaić. Powiedzą sobie, że jesteśmy panikarzami, albo dojdą do wniosku, że też powinni zacząć przygotowywać się na wypadek, gdyby plaga dotarła aż tak daleko na zachód. Nawet nie przyjdzie im do głowy, że mogą się znaleźć wśród tych, którzy zechcą wjechać do Malencontri, a tymczasem zostaną odesłani do namiotu na kwarantannę.

–No tak, ale...

–Tyle trzeba zrobić... Ponadto nikt się nie spodziewał, że biskup pojawi się tutaj i poświęci kaplicę. Teraz, kiedy to zrobił, trzeba ją wysprzątać i przygotować do uroczystości, a także sprowadzić z zamku Malvern kapelana Geronde, żeby odprawił nabożeństwo.

–Przecież nikt nie musi brać udziału we mszy po zaślubinach na stopniach kaplicy, prawda? Większość ludzi rezygnuje z tego.

–Nie wtedy, kiedy nagle pojawia się taka możliwość, tak jak teraz. Jakby kaplica została specjalnie pobłogosławiona na ich ślub!

–Nigdy nie rozumiałem tego zamieszania ze zbezczeszczeniem kaplicy – mruknął Jim. – Nikt nie potrafił mi tego wyjaśnić. Przecież zmagazynowano w niej tylko siodła, ziarno i inne rzeczy.

Zamieszanie, o którym mówił, wybuchło po krótkotrwałym władaniu sir Hugh'a de Bois w zamku Malencontri. Jak Jim właśnie wspomniał, nie używaną kaplicę powoli zmieniono w magazyn. Dopiero później stugębna plotka zaczęła zamieniać ją w miejsce, gdzie oddawano cześć diabłu i odprawiano straszliwe rytuały, gwałcono dziewice, rzucano czary i tak dalej. Choć te budzące strach i zgrozę opowieści nie opierały się na faktach, a były płodem wyłącznie bujnej wyobraźni plotkarzy, kilkuletnie warstwy kurzu, sadzy i biota bezsprzecznie zrobiły swoje. Jim bez trudu mógł uwierzyć, że trzeba będzie przesunąć ślub o tydzień, żeby wyczyścić kaplicę, nie przerywając przy tym przygotowań na wypadek zarazy.

–A co z królem, który chce cię...? – przerwała mu Angie. – Jeśli księżę już odjechał, a jego ojciec zechce zaraz cię zobaczyć... Skoro o tym mowa, to na pewno zechce spotkać się z tobą od razu! Edward już pewnie kilka godzin temu zapowiedział twoje przybycie... Jim, po namyśle uważam, że powinieneś jechać od razu i najszybciej, jak możesz.

–Od razu? Po tym, jak właśnie skończyłaś wyliczać mi wszystko, co trzeba tu zrobić?

–Poradzę sobie. Później będzie ci znacznie trudniej się wyrwać. Jakże mógłbyś wyjechać kilka dni przed ślubem czy nawet w dniu zaślubin, czy też pięć lub osiem dni po nich, skoro większość gości będzie świętować przez tydzień po ceremonii. A władcy nie lubią, kiedy wezwani ludzie ociągają się z przybyciem! A przecież właśnie tak było, pamiętasz? Nie zostałeś zaproszony, tylko wezwany!

–Tak – odparł Jim, nagle sobie to uświadamiając. – Ponadto wcale nie zdziwiłbym się, gdyby Brian i Harimore zorganizowali coś w rodzaju turnieju, podczas którego mogliby się potykać, żeby pokazać, jak należy to robić. Potem wszyscy młodzi giermkowie i szlachcice mogliby spróbować pojedynków na kopie.

Miał rację. W czternastym wieku też nie brakowało pomysłów na dobrą zabawę.

–I nie zapomnij – szepnęła Angie, gdy w końcu weszli do wielkiej sali, odświętnie i elegancko ubrani. – Powinieneś poznać Joannę. Tam jest – dodała jak matka strofująca małego, nieznośnego syna. – Ty jesteś gospodarzem, więc powinieneś powiedzieć jej cześć!

–Cześć – powiedział Jim, podchodząc do Joanny – i zaraz się poprawił: – Co w mowie tej odległej krainy, z której pochodzimy ja i moja małżonka, oznacza: wybacz mi, że nie powitałem cię bardziej uroczyście w naszym zameczku, lecz wróciłem późno w nocy, a ze względu na pogłoski o zarazie było kilka spraw, których musiałem dopilnować i które wymagały mojej bacznej uwagi. Co oczywiście wcale nie usprawiedliwia tego, że nie czekałem tu na ciebie, pani, aby zaproponować ci wszystko, co Malencontri ma do zaoferowania...

Joanna uśmiechnęła się szeroko. Uśmiech dobrze pasował do świeżej, młodej twarzy okolonej jasnymi włosami. Zauważył dwa dołeczki w jej policzkach, po jednym nad każdym kącikiem ust.

Jim raczej nie należał do tych, którzy zauważają dołeczki w policzkach, i prawie zapomniał, że w tym okresie historycznym słowo *fair* oznaczało przede wszystkim jasne włosy, a dopiero potem urodę. Jednak Joanna z Kentu zdawała się mieć obie

te cechy – a może to jej głos i czarujący sposób bycia sprawiały, że uznał ją za piękną? Żona Dafydd, Danielle, bezsprzecznie była piękną – i zdawała sobie z tego sprawę – lecz z jakiegoś niewiadomego powodu Jim doszedł teraz do wniosku, że gdyby ona i Joanna stanęły obok siebie, Joanna niewątpliwie przyćmiła by ją urodą...

Gwałtownie otrząsnął się z tych dziwnych myśli. Joanna mówiła coś do niego.

–Nie musisz tak gorąco przepraszać, mój dobry baronie. Wiem równie dobrze jak ty, że Edward ze swymi kłopotami znacznie powiększył brzemię obowiązków, jakie teraz na ciebie spadły. To raczej ja powinnam przeprosić za to, że moja obecność tutaj jeszcze zwiększyła ten ciężar.

–Nie. Wcale nie...

–No, no, milordzie... Pozwól, że będę zwracała się do ciebie „sir Jamesie”, jak chyba wszyscy tutaj. Bądźmy ze sobą szczerzy.

–Oczywiście, milady...

–A ty mów mi po prostu „lady Joanno”.

–Będę zaszczycony – odparł Jim, dopiero w tym momencie pojmując, że istotnie mogłaby czuć się niezręcznie, formalnie tytułując wszystkich wokół, podczas gdy oni zwracaliby się do siebie ze swobodą wynikającą z zażyłości. – I zgadzam się mówić bez ogródek. To zawsze ułatwia rozmowy.

Ponownie się uśmiechnęła, przy czym dołeczki jeszcze bardziej się uwydatniły.

–Co do szczególnych wymagań jego miłości księcia...

–Umówmy się, że nie będziemy o nich mówić. – To zadziwiające jak zręcznie potrafiła komuś przerwać, nie sprawiając wrażenia nieuprzejmej. – Przyjechałam z nim, ponieważ lord Salisbury już od czterech miesięcy bawi we Francji, a Edward potrzebował kogoś, kto wierzy, że on jest w stanie pokonać Cumberlanda. To, co powiedział mi o swoich planach, i co wyjawiał tobie, może stanowić dwie różne części całości. Gdyby chciał, żebyśmy oboje znali całość, z pewnością powiedziałby nam o tym. Skoro tego nie zrobił...

Tym razem to jej przerwano. W końcu przybyli ostatni dwaj z oczekiwanych gości. Spóźnialskimi byli Brian i sir Harimore.

–Jesteś nieco spóźniony, sir Brianie! – powiedziała Geronde dziwnie zgrzytliwym głosem.

Jim zaniepokoił się. Najwidoczniej Brian jeszcze nie zdążył udobruchać Geronde. Jim pospiesznie powiedział do Harimore'a:

–Panie, hrabina Joanna Salisbury jeszcze nie miała przyjemności cię poznać. Może przedstawię cię jej teraz. Milady, przedstawiam ci sir Harimore'a Kilinswortha.

Harimore po raz pierwszy spojrzał na Joannę i w tym momencie zaszła w nim jakaś przedziwna zmiana. Wyprostował się, przeszedł trzy kroki do przodu i skłonił się Joannie. Ten ukłon być może udałby mu się podczas prezentacji na królewskim dworze, lecz tutaj gwałtowne zeszytnienie ciała i niezborne ruchy kończyn o mało nie zmieniły go w parodię uprzejmego gestu.

Wyprostował się z zaciętą i posępną miną.

–To wielki zaszczyt cię poznać, milady – rzekł ochryplym głosem. – Zachowam w

pamięci to cenne wspomnienie.

Joanna bynajmniej nie wyglądała na urażoną. Uśmiechnęła się do niego równie ciepło jak przedtem do Jima. Jednakże uśmiech ten nie złagodził surowej miny Harimore'a.

–A więc będzie uczciwie – odrzekła Joanna – jeśli i ja je zachowam. Słyszałam o tobie jako o sławnym rycerzu.

–Moja pani – wychrypiał Harimore – odniosłem kilka skromnych sukcesów.

–Musisz opowiedzieć mi o nich przy kolacji. Uwielbiam słuchać opowieści o walecznych czynach.

Jim doznał olśnienia. Oczywiście, tych dwoje trzeba posadzić obok siebie. W ten sposób za jednym zamachem rozwiąże dwa problemy: rozsadzi gości odpowiednio do ich rangi i odseparuje Harimore'a od Briana, dzięki czemu wszyscy przy stole nie będą musieli przez cały wieczór słuchać ich rozmowy o uzbrojeniu, która mogłaby jeszcze bardziej podsycić gniew Geronde.

–Będę oczekiwał tego z niecierpliwością – odparł Harimore z miną człowieka, którego właśnie skazano na tortury.

–I ja również. – Joanna zerknęła na Jima. – Zatem może skoro jesteśmy już wszyscy, nasz gospodarz...

–Ależ oczywiście! – zawołał Jim. – Och, milady, nie przedstawiłem ci jeszcze sir Briana Neville'a-Smythe'a z Neville'ów z Raby.

–Spotkałam dziś sir Briana, tak więc już się znamy.

–A także – dodał Jim, obrzucając zebranych uważnym spojrzeniem i nie ścisząc głosu – mistrza łucznictwa Dafydd'a ap Hywela i jego małżonkę...

–Jeszcze nie poznałam mistrza Dafydd'a, ale miałam już okazję porozmawiać, choć krótko, z lady Danielle... – Joanna z lekkim, lecz wyraźnym naciskiem wymówiła słowo „lady”. – Będzie mi niezwykle przyjemnie zasiąść do stołu z łucznikiem znanym jako mistrz nad mistrzami.

–A zatem – rzekł Jim, odprężywszy się trochę, lecz wciąż bacznie przypatrując się gościom – nie ma potrzeby dłużej zwlekać. Jeśli zechcesz zająć honorowe miejsce przy stole, lady Joanno...

Zasiedli do kolacji.

Pomimo smakowitości i różnorodności potraw, sprawnej służby i troski, z jaką wszyscy obecni starali się unikać drażliwych tematów, nie był to zbyt udany posiłek. Geronde i Brian wciąż najwidoczniej boczyli się na siebie, a mimo usilnych starań lady Joanny sir Harimore ani trochę się nie rozluźnił, a nawet wydawał się jeszcze bardziej sztywny, ponury i spięty.

Jim przyglądał mu się przez dłuższą chwilę, gdy służba odnosiła półmiski z mięsiwem, robiąc miejsce na desery, po czym zerknął w bok, pochwycił spojrzenie Angie i lekko uniósł brwi. Odpowiedziała nieznacznym wzruszeniem ramion i spojrzała na Briana, kierując do niego nie wypowiedziane pytanie.

Jednakże ani cechy charakteru, ani doświadczenia życiowe nie nauczyły Briana czytać z ludzkich twarzy jak z otwartej księgi. W ogóle nie zauważał zabiegów Jima, który usiłował zwrócić jego uwagę.

W końcu niezbyt udana wieczerza dobiegła końca i wszystkie kobiety wyszły razem, kiedy Angie zaproponowała, żeby zostawiły mężczyzn, aby spokojnie porozmawiali o ważniejszych rzeczach. Takie postawienie sprawy sugerowało, że to spotkanie miało jakiś szczególny, ukryty cel, nie tylko zwykły posiłek – i być może wyjaśniało, dlaczego szlachetnie urodzeni zasiedli do stołu ze zwykłym łucznikiem i jego małżonką... Chociaż z drugiej strony, w tych okolicznościach może i nie wyjaśniało.

Jim był pewny tylko jednego, mianowicie tego, że nic będą rozmawiać o dziwnym zachowaniu sir Harimore'a – na pewno nie wtedy, gdy ten wciąż siedział przy stole sztywno, jakby połknął kij, który zdawał się uśmiercać go równie skutecznie, jak zrobiłaby to strzała wypuszczona przez mistrza nad mistrzami z drugiej strony stołu. Kiedy jednak kobiety zniknęły im z oczu, zacierając w kierunku krętych schodów wiodących na wieżę, sir Harimore wydał ledwie słyszalne westchnienie ulgi i wyraźnie się odprężył. Napełnił swój puchar winem, ignorując stojący tuż obok dzban z wodą, po czym pociągnął tęgi łyk.

–Na polowaniu dzisiejszego ranka nie napotkaliśmy niczego większego od królika –oznajmił pozostałym. – I to mimo że trwa jeszcze sezon na jelenie. Jednakże w tym roku wszędzie spotyka się je dziwnie rzadko. Śmiem twierdzić, że nikt z was...

Jego spojrzenie padło na Dafydd, który siedział cicho przez cały posiłek, nie mając z kim rozmawiać oprócz Danielle lub Jima zajmującego miejsce na drugim końcu stołu. Ale Dafydd i tak nigdy nie był zbyt rozmowny.

–...nie miał wiele szczęścia w tym sezonie – dokończył Harimore. – Czyż nie tak, sir Brianie?

–Co? Ach, z jeleniami. Mniej więcej – wykrztusił Brian, który najwidoczniej miał w tym momencie głowę zaprzątniętą tym wszystkim, czego w porę nie powiedział Geronde.

–Niewątpliwie za wszystko są odpowiedzialne deszcze – rzekł Harimore, pociągając następny tęgi łyk wina i wyciągając nogi pod stołem, wygodnie usiadłszy na krześle. – Zda się, iż...

Najwidoczniej nagle uświadomił sobie, że pozostali trzej siedzący przy stole mężczyźni bacznie mu się przyglądają, nie pijąc i nie próbując podjąć rozmowy. Znow zesztywniał.

–Panowie... – odkaszlnął – milordzie, za łaskawym pozwoleniem twoim i pozostałych panów... Poczulem nagły nawrót zadawnionej choroby, na którą jedynym lekarstwem jest sen. Ta dolegliwość nachodzi mnie nagle i niespodziewanie, jak sami widzicie. Zatem będę bardzo wdzięczny, jeśli racycie mi wybaczyć, że was teraz opuszczę.

Siedzący przy stole wyrazili uprzejmą zgodę. Harimore wstał, istotnie nieco blady i nieswój, chwiejnie zszedł z podwyższenia i pomaszerował w kierunku schodów na wieżę.

–Dziwne – rzekł Brian, spoglądając za nim. – W przypadku mniej odpornego człowieka powiedziałbym, że nie posłużył mu zbyt szybko wypity trunek.

–Sądzę – powiedział Dafydd, odzywając się po raz pierwszy tego wieczoru,

dwornie i bez nieśmiałości – że ten szlachetny rycerz może być jednym z tych, którzy czują się nieswojo w obecności kobiet.

–Wobec kobiet? – Brian wytrzeszczył oczy, a potem zmarszczył brwi. – Dafyddzie, muszę ci powiedzieć, że sir Harimore bardzo interesuje się...

–Źle mnie zrozumiałeś, sir Brianie – odparł Dafydd. – Istotnie, jestem skłonny uwierzyć, że bardzo interesuje się kobietami. Im bardziej jednak jest zainteresowany, tym mniej jest pewny, jak powinien się zachowywać i co mówić, nie licząc niektórych sytuacji, w których już nauczył się postępować. We wszystkich innych nie wie, co robić, więc udaje, że kobiety go nie obchodzą.

Ach tak? – mówiły miny innych.

–Podczas gdy naprawdę – ciągnął Dafydd – im bardziej podoba mu się dama, tym bardziej stara się tego nie okazywać, w wyniku czego jego zachowanie można uznać za obraźliwe. Obawiam się, że hrabina bardzo mu się spodobała.

–Istotnie? – zdziwił się Brian. – Nigdy o czymś takim nie słyszałem. Co każe ci sądzić, że twoje przypuszczenia są słuszne?

–Znałem co najmniej dwóch szlachciców cierpiących na taką przypadłość – oraz jedną damę.

–Damę? – znów wytrzeszczył oczy Brian.

–W jej wypadku objawy były oczywiście trochę inne. Bardzo zależało jej na rycerzu, który by ją adorował, ale tak bardzo obawiała się wszystkich mężczyzn, że nigdy z żadnym nie nawiązała choćby przyjacielskich więzi. Spotykała się i rozmawiała wyłącznie z kobietami. Smutna historia.

–Jamesie? – spytał Brian. – Czy słyszałeś o takiej przypadłości i wiesz, jak ją uleczyć?

–Spotkałem się z czymś takim raz czy dwa – odparł Jim, popierając Dafydda – ale nigdy nie widziałem równie ciężkiego przypadku jak sir Harimore.

–Czy możemy mu jakoś pomóc, Jamesie? To bardzo szanowany rycerz i znakomicie włada każdą bronią. Chętnie uwolniłbym go od tej przypadłości, gdybym tylko mógł.

–Jeśli masz na myśli magiczne zaklęcie, Brianie, to nie znam odpowiedniego – odrzekł Jim. – Może się tylko modlić.

–Nie zaprzeczam – powiedział Dafydd. – Są jednak pewne sposoby zachowania podczas rozmów z kobietami, pozwalające pozbyć się nieśmiałości i z czasem poczuć się swobodnie. Mógłby ćwiczyć rozmowę z wieloma damami, aż będzie mu to przychodziło zupełnie naturalnie, niczym się to nie różni od ćwiczeń w strzelaniu z łuku czy posługiwaniu się bronią. Na królewskich dworach, takich jak ten, który jest mi znany, często prowadzi się takie rozmowy. Potrzebna jest tylko odwaga, żeby zacząć.

–Jestem pewien, że odwagi mu nie brak – mruknął Brian. Dafydd nic nie powiedział.

–Myślę, że Dafydd miał na myśli innego rodzaju odwagę – powiedział Jim.

–Tak więc za twoim pozwoleniem, sir Brianie – rzekł Dafydd, wstając z krzesła. – Wprawdzie nie wiem, czy zechce mnie wysłuchać, bo jak wiesz, nie jestem osobą

znaczącą czy wpływową, lecz jeśli uważasz, że to może mu pomóc, ośmielę się poprosić go teraz o chwilę rozmowy.

–Uważasz, że to odpowiedni moment? – spytał Brian. Chociaż Harimore był dzielnym rycerzem i godnym szacunku rywalem, to Dafydd już kilkakrotnie walczył u boku Briana od czasu szturmu na Wieżę Loathly, który przypuścili przed paroma laty. Nie ulegało wątpliwości, po czyjej stronie opowiedziałby się Brian, gdyby musiał wybierać między tymi dwoma. Co więcej, Harimore nie miał pojęcia – ponieważ Dafydd prosił przyjaciół, żeby zachowali to w sekrecie – że Dafydd jest prawowitym następcą tronu Zatopionej Krainy, tak więc rycerz mógł niezbyt przychylnie przyjąć propozycję pomocy ze strony łucznika. – Sir Harimore jest jednym z najlepiej władających orężem ludzi, jakich znam, może z wyjątkiem Chandosa – dodał Brian. – Oczywiście nikt nie może się z tobą równać w strzelaniu z łuku... jednak on nie jest teraz w najlepszym humorze.

–Nie martw się, Brianie – rzekł Dafydd, schodząc z podium i podążając w kierunku, w którym odszedł Harimore. – Choć, jak powiedziałem, nie jestem wpływową osobą, jednak umiem posługiwać się słowami. Moja rozmowa z tym rycerzem pozostanie tylko rozmową, a jak wszyscy wiecie, najlepiej wyjaśnić jeźdźcowi, co zrobił źle, mówiąc mu to zaraz po tym, jak spadł z konia.

I odszedł, wysoki, spokojny jak zawsze, znikając za narożnikiem, za którym zaczynały się schody na wieżę.

Przy stole w wielkiej sali zapadła długa cisza.

–To nie miejsce na dłuższą rozmowę na ten temat – rzekł Brian do Jima. – A ponieważ wieczera już się skończyła, ja również poproszę o wybaczenie. Moja lady Geronde zapewne jest z pozostałymi damami w słonecznej komnacie, a od kiedy tu zjechała, jeszcze nie miałem okazji się usp... to znaczy zamienić z nią paru słów. Chodź, Jamesie, przejdźmy do mojej komnaty, gdzie będziemy mogli posiedzieć i porozmawiać jak przyjaciele.

Słyszając to niezbyt zręczne zaproszenie, przekazane w typowy dla Briana bezpośredni sposób, Jim wstał razem z nim.

Rozdział 12

Ze względu na bliski termin ślubu, mającego zakończyć ich wieloletnie narzeczeństwo, Brian i Geronde otrzymali największą sypialnię w Malencontri. Przydzielając im ją, Jim i Angie niewątpliwie brali pod uwagę liczbę gości, którzy zechcą się tam wepchnąć w noc poślubną, gdy młodzi położą się spać.

Angie była za tym, żeby w ogóle nie wpuszczać tam hałaśliwego tłumu, który zechce wejść za małżonkami na górę, aby zobaczyć, jak młoda para kładzie się do łóżka. Jim z trudem zdołał ją przekonać, że Brian i Geronde życzą sobie tego, gdyż choć zasłony łoża zostaną zaciągnięte, ludzie ci będą świadkami mogącymi poświadczyć fakt skonsumowania małżeństwa, co było konieczne, by uprawomocnić małżeństwo w oczach Kościoła.

Ponieważ kobiety po odejściu od stołu z pewnością udały się do słonecznej komnaty, tak jak podejrzewał Brian, jego znajdujący się piętro niżej pokój powinien być wolny. Brian z Jimem stanęli pod jego drzwiami, otwartymi oczywiście, podobnie jak drzwi wszystkich komnat w całym zamku. Rycerz pchnął je, pierwszy wszedł do środka... i obaj stanęli jak wryci.

Geronde jednak tam była. Stała sama przy jednym z wąskich okienek strzelniczych, które wychodziło na tę samą stronę wieży co okna słonecznej komnaty. Odwróciła się do wchodzących z miną, jakiej Jim jeszcze nie widział na jej twarzy.

–Geronde! – rzekł Brian, podchodząc do niej. – My... ja myślałem, że będziesz z innymi damami w słonecznej komnacie.

Obronnym gestem wyciągnęła rękę i Brian przystanął. Stali zaledwie o krok od siebie, a jednak wydawało się, że dzieli ich spora odległość.

–Wybacz mi, mój panie – powiedziała dziwnie szorstkim tonem. – Gdybym wiedziała, że zechcesz skorzystać z tej komnaty...

–Tak się złożyło, że James i ja zostaliśmy sami przy stole w wielkiej sali i postanowiliśmy poszukać innego miejsca, żeby spokojnie porozmawiać.

–Nie wątpię. Męska rozmowa. Zauważyłam, mój panie, że zawsze wolałeś rozmawiać z mężczyznami niż z kobietami, a przynajmniej tą kobietą, która teraz stoi przed tobą. Natychmiast opuszczę tę komnatę, żebyście mogli czuć się swobodnie. Wybaczcie...

–Geronde! – rzekł Brian. – Zaczekaj. Nie ma powodu, dla którego nie moglibyśmy usiąść i porozmawiać we troje. James i ja nie zamierzaliśmy omawiać żadnych innych spraw prócz tych, o jakich mówi się po dobrym posiłku. Proszę... przyłącz się do nas.

–Jesteś zbyt uprzejmy, sir Brianie. Jestem pewna, że moja obecność byłaby tu zbędna...

Była to bardzo przykra chwila dla nich wszystkich, nie wyłączając Jima.

–Nie, błagam cię. Jestem pewien, że James nie będzie miał nic przeciwko temu, żeby zostawić nas samych... – Nagle Brian wybuchnął: – Do licha, Geronde, o co chodzi? Dlaczego mi nie powiesz?

–Nasz ślub został odłożony co najmniej o tydzień! – krzyknęła Geronde. – Całe

życie pracuję, kocham i czekam, pędzę na złamanie karku do zamku Smythe, gdzie nie zastaję cię i nie możemy razem objechać włości, aby zaplanować, jak na nich gospodarzyć! Bo ty... jesteś tutaj! Pojechałeś sobie, niczym się nie przejmując... na polowanie!

Niespodziewanie rzuciła się w jego ramiona i Jim ujrzał łzy spływające po jej twarzy, po brzydkiej bliźnie pozostawionej przez nóż sir Hugh'a de Bois.

–Jak mogłeś mi to zrobić"? – załkała.

Jim dyskretnie wymknął się za drzwi i cicho zamknął je za sobą.

Idąc korytarzem i czując, jak pot wysycha mu na czole, przełknął ślinę na wspomnienie tych łez. Nigdy nie sądził, że Geronde potrafi płakać. Ta kobieta plunęła w twarz sir Hughowi, kiedy rozciął jej policzek i zagroził, że to dopiero początek.

Jim zatrzymał się. Rozmawiał z Carolinusem i znowu zapomniał go zapytać, czy istnieje magia mogąca całkowicie usunąć tę szramę – co nie leżało w skromnych możliwościach adepta -tak by twarz Geronde znów była nietknięta i zachwycała swą delikatną urodą. Obiecał sobie, że jeśli tylko zdoła, to usunie tę bliznę przed jej ślubem z Brianem.

–Do diabła! – zaklął w duchu. Przecież może poradzić się Carolinusa. Najlepiej zaraz, nieważne, czym jest teraz zajęty stary mag.

–Carolinusie! – powiedział głośno, a jego głos zwielokrotnionym echem odbił się od kamiennych ścian, posadzki i sklepienia. W korytarzu położonym na wysokości piętnastu metrów nie było żadnych okienek czy choćby wąskich otworów strzelniczych.

–O co chodzi? – zapytał Carolinus, pojawiając się przed nim.

–Przepraszam, że przeszkadzam...

–Przepraszasz, że przeszkadzasz... – zaczął Carolinus, unosząc brwi i podnosząc głos. – Czy przyszło ci kiedyś do głowy, że mogę być zajęty... no, nieważne czym. Masz mnie wzywać tylko w nagłych wypadkach! Kiedy sam nie możesz sobie poradzić!

–No właśnie nie mogę sobie z czymś poradzić – powiedział nieśmiało Jim. – Chodzi o bliznę na czyjejs twarzy. Nie wiem, jak ją usunąć za pomocą magii.

–Bliznę? Teraz? Znasz kogoś, kto ma bliznę?

–Ty także! – odparł Jim, jak zwykle zirytowany roztargnieniem maga. – To Geronde.

–Hm... – mruknął Carolinus. – Rzeczywiście.

Jim otworzył szeroko oczy ze zdziwienia.

–Nigdy nie zwróciłeś na to uwagi? – zapytał.

–Ja... cóż, oczywiście, że ją zauważyłem. Ma ją...

–Od kilku lat – rzucił szorstko Jim.

–Kilka lat. No właśnie. Oczywiście, że ją zauważyłem, ale tyle się dzieje i mam tyle spraw na głowie... – Carolinus nie patrzył Jimowi w oczy i mamrotał coś pod nosem. – A dlaczego wezwałeś mnie akurat teraz? – dokończył nieco wyraźniej, wciąż jednak unikając jego wzroku.

–Myślę, że obaj zapomnieliśmy o tym – powiedział Jim i od razu poczuł się

znacznie lepiej. – Jednak ta brzydka szrama szpeci jej twarz, a Geronde ma właśnie wyjść za mąż...

–Ach tak – stwierdził Carolinus prawie normalnym tonem. Spojrzał wreszcie na Jima. – No tak, oczywiście. Od jak dawna ma tę bliznę?

–Sir Hugh de Bois okaleczył ją wkrótce po tym, jak przybyłem tutaj z Angie. Cztery? Nie, pięć lat.

–A zatem nic nie mogę zrobić. Świeże rany potrafisz goić sam. Natomiast blizna, szczególnie stara, jest częścią otaczającego ją ciała. Może specjalista... w Zgromadzeniu musi być jakiś mag, który zajmuje się leczeniem starych ran lub okaleczeń. Sprawdzę to.

–Mamy mało czasu – przypomniał Jim.

–Ile?

–Sądzę, że niewiele więcej niż tydzień. Według poprzedniego planu mielibyśmy tylko trzy dni, ale ślub zostanie trochę przesunięty.

–Dzięki za to wszystkim dobrym duchom! – rzekł Carolinus. – No cóż, zrobię co w mojej mocy...

–Jak sądzisz, ile to będzie kosztowało? – zapytał niespokojnie Jim, pamiętając, cenę białego jedwabiu, który on i Angie podarowali biskupowi, a który Carolinus zdobył za pośrednictwem jakiegoś znajomego maga z Dalekiego Wschodu. Po raz pierwszy zdał sobie sprawę z tego, jak ogromne ilości magicznej energii przechodzą z rąk do rąk podczas wszelkich transakcji pomiędzy magami. Zazwyczaj mag miał monopol na dany towar i starał się wyśrubować cenę.

–Nieważne. Ty dysponujesz tylko zasobami adepta, a ja też zapomniałem o tej bliźnie – powiedział Carolinus i znikł.

Jim poszedł w kierunku schodów na wieżę. Teraz było mu lżej na sercu, ale tylko trochę. Usunięcie blizny byłoby znacznie łatwiejszą sprawą, gdyby mógł tego dokonać sam Carolinus. Teraz rodziły się pytania. Czy mag zdoła znaleźć odpowiedniego specjalistę? A jeśli tak, to czy ten specjalista potrafi to zrobić, a przede wszystkim, czy znajdzie się w porę?

W każdym razie ta sprawa nie leżała już w gestii Jima. Stał przy schodach, a także przed koniecznością dokonania wyboru: na górę czy w dół? Na górze kobiety zapewne jeszcze rozmawiały w słonecznym pokoju. Piętro niżej znajdowała się komnata zajmowana przez sir Harimore'a, lecz ten mógł teraz niechętnym okiem patrzeć na gości, a jeśli był u niego Dafydd, to lepiej zostawić ich samych i pozwolić, by słowa łuczniaka odniosły pożądaną skuteczną, zakładając, że rycerz w ogóle zechce go wysłuchać.

W końcu Jim postanowił wrócić do swojego punktu dowodzenia przy stole w wielkiej sali i wysłuchać raportów o postępach prac, składanych przez tych, którzy kierowali przygotowaniem na wypadek zarazy. Zanim skończy, będzie już dostatecznie późno, żeby mógł pójść na górę do słonecznej komnaty i samym swoim pojawieniem się dać do zrozumienia, że czas, by przestała pełnić rolę salonu i znów stała się sypialnią jego i Angie.

To był sprytny plan i był z niego dumny, lecz w połowie drogi na dół poczuł

wyrzuty sumienia. Angie rzadko przebywała w towarzystwie innych kobiet. W Malencontri nieczęsto pojawiały się damy, z którymi mogłaby rozmawiać. A sztywne normy społeczne obowiązujące w tych czasach nie pozwalały na zawieranie przyjaźni z przedstawicielami klas niższych. Ponadto jako kasztelanka zamku Malencontri musiała unikać wszystkiego, co mogłoby sprawiać wrażenie, że faworyzuje niektórych członków służby.

Kilka lat wczesnego zasypiania i wstawania sprawiło, że przywykł kłaść się o wiele wcześniej niż kiedyś. Dotarł na dół i powlókł się do wielkiej sali. Może posiedzi tam, dopóki Angie nie przyjdzie po niego. Zazwyczaj podczas takich wizyt żony musiały szukać, odnajdywać i zaciągać swoich mniej lub bardziej wstawionych mężów do łóżek.

Tak jak oczekiwał, wielka sala była uprzątnięta, we wszystkich trzech dużych kominkach palił się ogień, a stół nakryto świeżym białym obrusem. Na jednym końcu postawiono kilka talerzy z przekąskami, parę karafek z winem, jedną z wodą oraz pół tuzina kubków do wina. Był to teraz szwedzki bufet: otwarty przez całą dobę dla każdego gościa, który w nocy poczułby głód lub pragnienie, lub dla każdego przybywającego późną porą i potrzebującego pokrzepienia. To prawda, że brama zamku była zamknięta, lecz ten kasztel był siedzibą maga i wszystko mogło się zdarzyć.

Cały zamek, rozmyślał ponuro Jim, siedząc i gapiąc się na zastawiony jedzeniem i winem koniec stołu. Mam cały zamek i nie mam w nim miejsca, gdzie mógłbym się położyć, ani nikogo, z kim mógłbym porozmawiać...

Nagle uświadomił sobie, że siedzi tu już od kilku minut i nikt się nie pojawił, by zapytać, czego sobie życzy. To niezwykle. W gotowni ktoś powinien być we dnie i w nocy. Zazwyczaj przed każdą komnatą, w której przebywał, czuwał zbrojny i ktoś ze służby, tak że nie mógł się ruszyć, żeby wieść o tym nie rozeszła się po zamku. Co prawda ostatnim pomieszczeniem, w którym przebywał, była komnata Briana i Geronde, a tam jeszcze nie ustawiono wartownika.

Mimo wszystko było to dziwne.

Wstał, zszedł z podium i wkroczył do gotowni. W pierwszej chwili pomyślał, że nikogo tam nie ma, a potem odkrył myszowatą podkuchenną śpiącą w ciasnej niszy między piecykiem a szafą z kielichami i inną zastawą. Ciepłe miejsce, ponieważ w obu piecach tlił się ogień pozostawiony na noc, żeby można go szybko podsyć, gdyby trzeba było podgrzać posiłek. Przez chwilę stał, patrząc na dziewczynkę zwiniętą w kłębek jak kociak. Wzdragał się na myśl, że trzeba będzie ją obudzić.

Musiał jednak to zrobić. W ten sposób nie wolno pełnić nocnej służby w gotowni, zwłaszcza gdy w zamku bawią goście, którzy mogą się pojawić przy stole. Dziewczynka była zapewne nie tylko nowa, ale i najmłodsza, nie mogła więc protestować, kiedy przydzielono ją do tej służby. Miałyby jednak kłopoty, gdyby zaskoczył ją ktoś oprócz Jima czy Angie. Trzeba ją obudzić.

Nachylił się i delikatnie ujął wąskie ramię. Uniosła ciężkie powieki i przez sekundę patrzyła na niego, nie poznając go, a potem szeroko otworzyła oczy i zerwała się na równe nogi.

–M... milordowska mość!

Wygładziła krótką sukienczynę, tak spraną, że nie dało się określić pierwotnego koloru materiału.

–Wystarczy „milordzie” – rzekł łagodnie Jim. – Jeśli wciąż będziesz nazywać mnie „milordowska mością”, inni będą się z ciebie śmiać. Obudziłaś się już?

–Tak, mil... milordzie!

–Dobrze. Idź do kwatery służby i przyprowadź tu May Heather albo pierwszą napotkaną osobę. Powiedz, że ma jak najprędzej tu przyjść. Nie mów, że spałaś i ja cię obudziłem.

–Tak, milordzie.

–No to idź już.

Patrzył, jak czmychnęła. Nie miał ochoty wracać do stołu, obszedł więc pomieszczenie, oglądając piece, szafki zawierające wszystko – od czystych i starannie złożonych obrusów po suszoną i łatwą do szybkiego przyrządzenia żywność – oraz stojaki z naczyniami kuchennymi i sztućcami. Doszedł do wniosku, że w tej niewielkiej przestrzeni udało się naprawdę bardzo dużo pomieścić.

May Heather nadeszła korytarzem od strony kwater służby. Wyglądała tak, jakby już od pewnego czasu była na nogach. Myszowata truchtala za nią.

–Milordzie? – powiedziała May.

–May! Tu jesteś! – powiedział, jakby zmaterializowała się tak nieoczekiwanie jak Carolinus. – To niedopuszczalne. Nie pozwolę na to, szczególnie teraz, kiedy w zamku są goście! – Wskazał na myszowatą, która chciała schować się za plecami May, ale w końcu zrezygnowała. – Ona jest o wiele za młoda i zbyt niedoświadczona, żeby sama mogła pełnić nocną służbę w gotowni!

–Oczywiście, milordzie – powiedziała May. – Ale ja w jej wieku...

–Ile masz teraz lat, May?

–Trzydzieści, łaskawy panie.

–A ile ona ma?

–Nie wiem. – May obejrzała się na myszowatą. – Ile masz lat, Lise?

–Nie wiem – powiedziała myszowatą, kuląc się. Czyżby to oznaczało, że jest zbyt młoda, by pracować w zamku? – Proszę wybaczyć, milordzie. Proszę, panienko. Może jedenaście?

–Mając jedenaście, ważyłaś o połowę więcej od niej, May, i Tom Kuchcik z trudem dawał ci radę. Możesz sobie wyobrazić Lise na twoim miejscu? Teraz jesteś już praktycznie prawą ręką panny Plyseth.

–Tylko z powodu jej kolan i jesiennego chłodu, milordzie.

–Mimo wszystko – odparł Jim. – Nie wszyscy jesteśmy tacy sami. Wydaję ci polecenie, May. Chcę, żebyś osobiście miała na oku Lise. Nie pozwól, aby inni nią pomiatali...

–Musi przejść szkołę życia, milordzie.

–Wiesz, o czym mówię, May – powiedział Jim, poczym zwrócił się do Lise. – Jeśli zostałaś wyznaczona do nocnej służby w gotowni, powinnaś wyspać się w dzień. Kiedy próbowałaś spać, czy inni cię budzili?

–No... – Lise zerknęła na May.

–Powiedz milordowi! – rozkazała May.

–Tak jakby, milordzie... trochę – wymamrotała Lise, niepewnie spoglądając na May.

–Co robili? Pryskali na ciebie zimną wodą? Położyli ci coś na materacu, żebyś się obudziła? Próbowali w ciebie wmusić dodatkowy kufel piwa przy kolacji?

–Tak, milordzie... i nie tylko – powiedziała Lise, kuląc się ze zmieszania.

–Słyszałaś, May? Koniec z tym, dopóki się nie zadomowi. Powiedz, że tak kazałem. To źle wpływa na moją magię! Chyba nie chcecie mi przeszkadzać, co? Obrzucił je gniewnym spojrzeniem.

–Och nie, milordzie! – zawołały zgodnym chórem.

–No to załatwione – stwierdził Jim. – May, skoro już się nią opiekujesz, naucz ją walczyć. Lise, zostań tu i zdrzemnij się teraz chwilę. – Mówiąc to, szedł w kierunku stołu w wielkiej sali, a May Heather posłusznie szła za nim.

–Posłuchaj, May – powiedział. – Kto pilnuje stawiania pawilonu, który ma stanąć przed bramą i służyć jako schronienie podczas kwarantanny? Chcę z nim porozmawiać. Teraz!

–Cieśla, milordzie – odparła z wahaniem May. Mistrz ciesielski był jedną z najważniejszych osób w zamku. Ten nieco zdziwaczały staruszek stał o niebo wyżej od niej w zamkowej hierarchii. – Sądzę jednak, że już trzy godziny temu położył się spać.

–Och, mój panie – usłyszał za swoimi plecami głos Angie. – Nie budź mistrza o tak późnej porze po jednym z najcięższych dni w jego życiu. Wszyscy moi goście już opuścili słoneczną komnatę i czas, abyśmy oboje trochę odpoczęli przed jutrzejszym dniem.

–A co będzie jutro? – spytał Jim, odwracając się i patrząc, jak Angie nadchodzi od strony schodów wiodących na wieżę.

–Powie ci, kiedy będziemy na górze – odpowiedziała Angie. – May, załatw to, jak chcesz, ale dopilnuj, by ktoś pełnił nocną służbę w gotowalni. I połóż to dziecko do łóżka, zanim upadnie na nos.

Rozdział 13

–... to nie była wina Lise – zakończył Jim. Leżał już w łóżku i patrzył, jak Angie kończy przygotowywać się do snu. – Ponieważ jest mała i nie zna zasad ani układów wśród służby, inni stroili sobie z niej żarty, przynajmniej w ich pojęciu, zabawiając się jej kosztem. Kazałem jej przyprowadzić May, żeby ta zaopiekowała się nią do czasu, aż sama będzie umiała sobie radzić. Co mówiłaś o jutrzejszym dniu? Wspomniałaś, że będziemy bardzo zajęci.

–Och, tylko po to, żeby wśród służby rozeszła się wieść, że możemy oczekiwać od nich jeszcze większego wysiłku. Będą mieli mnóstwo pracy, nawet mając pięć dodatkowych dni na przygotowania.

Wgramoliła się do łóżka.

–A więc Geronde pogodziła się z myślą, że będzie musiała poczekać jeszcze pięć dni?

–Nie przyszło jej to łatwo, ale ona wie równie dobrze jak wszyscy, że jeśli ślub nie odbędzie się w tym tygodniu, to na pewno w przyszłym. To oznacza więcej czasu i więcej gości, a także dwie msze zamiast jednej. Zaraz po ceremonii ślubnej odbędzie się również niedzielna msza, ponieważ kaplica do tego czasu będzie już przygotowana i kapelan z Malvern przyjedzie tu, by ją odprawić. Niewielu naszych sąsiadów ma własnego kapelana, a w żadnym zanku nie ma kaplicy... Muszę ci coś powiedzieć.

–To dobra czy zła wiadomość? – spytał Jim, przygotowując się na najgorsze.

–I dobra, i zła – odparła Angie, uklepując poduszkę, moszcząc się i przybierając ulubioną pozycję. – Chodzi o ten pomysł, żebyśmy wszyscy pojechali z tobą do Tiverton. Geronde nie była zachwycona dodatkowym czasem czekania na swój ślub, delikatnie mówiąc. Chodzi o to, choć nie sądzę, aby Geronde zdawała sobie z tego sprawę, nie wiedząc tyle co my o królach i ich dworach, że przez ten wyjazd jej ślub mógłby się odwlec jeszcze odrobinę. Ona sądzi, że to zaledwie kilka dni, podczas których król udzieli ci audiencji, podczas gdy pozostali tylko pokażą się na chwilę, żeby jego wysokość ich zobaczył.

Jim oparł się na łokciu i spojrzał jej w oczy.

–Odwlec się jeszcze bardziej? Dlaczego? O czym ty mówisz?

–Och, teraz znacznie lepiej – powiedziała Angie, z zadowoleniem układając się wreszcie w swoim gniazdku. – No cóż, musisz zrozumieć, że to był pomysł Joanny, która bardzo się starała przekonać do niego Geronde. To bardzo sprytna kobieta, Jim, bardzo sprytna!

Jim prychnął.

–No dobrze. Tylko o jakim pomysle mówisz?

–O twojej audiencji u króla, oczywiście. No cóż, Joanna najpierw musiała namówić na to Edwarda – młodego księcia – i zrobiła to, zanim stąd wyjechał. Ponieważ nie pozwoliłaś mu sprowadzić tutaj tego Verweathera, martwił się, jak sprowadzić Joannę do Tiverton, tak aby stary Edward nic dostał jednego z tych swoich ataków furii. No wiesz...

–Wiem – powiedział Jim. – Słynny temperament Plantagenetów i tak dalej. Tak się

składa, że znam co najmniej tuzin rycerzy, którzy mają taki sam, jeśli nie większy temperament, lecz nikt się tym nic przejmuje, ponieważ nie są z królewskiego rodu. Ale o czym mówiłaś?

–Zaraz do tego dojdę. Zanim młody Edward odjechał, Joanna przypomniała mu, że nigdy nie spotkałeś króla, choć ten darował ci zamek Malencontri, nadał tytuł szlachecki i oddał nam pod opiekę małego Roberta...,

–To wszystko przez tych przygłupiastych bardów – warknął Jim.

–No cóż, stary Edward jest królem i lubi być w centrum uwagi... W każdym razie twoje czyny zrobiły na nim ogromne wrażenie, a od tamtego czasu słyszał wiele innych opowieści o tobie, Brianie i Dafyddzie. Joanna przypomniała księciu, że zamek Tiverton być może ma najlepszą na świecie służbę i jest zabezpieczony przed zarazą, ale i tak nie może się równać z królewskim pałacem w Londynie, z jego intrygami, pojedynkami, nieustannym potokiem przyjezdnych szlachciców z pięknymi młodymi córkami, tłumami dworek i nieustanną gadaniną Cumberlanda. W Tiverton król ma tylko swoją służbę i nic innego do roboty prócz jedzenia, spania i picia oraz podpisywania nielicznych dokumentów przysyłanych przez Cumberlanda. Krótko mówiąc, jest pewnie śmiertelnie znudzony i to jeden z powodów, dla których chętnie pojedna się z młodym Edwardem.

–Przed weselem pojawią się tu tłumy żonglerów, tancerzy i innych sztukmistrzów. Pewnie moglibyśmy podesłać mu paru.

–Mam lepszy pomysł. Pamiętasz, że za miodu był dzielnym żołnierzem. Ta morska bitwa pod Sluys albo niedawny wypad do Normandii, zakończony zwycięstwem pod Crécy.

–A cóż to? – zapytał Jim. Zaczynał go już boleć prawy łokieć, na którym opierał cały ciężar ciała. – Chcesz mnie dręczyć, celowo nie podając najważniejszych informacji? Na jaki pomysł wpadła Joanna?

–Zamiast wezwać tylko ciebie – co wystarczyłoby na jedną audiencję czy dwie, i mnie, ponieważ mógłbyś uznać za zupełnie oczywiste, że małżonka będzie ci towarzyszyć – młody Edward sprowadziłby tam Briana z Geronde i Dafydda z Danielle, tak by król miał tam całą grupę i relacje o twoich czynach z pierwszej ręki, zdawane przez ludzi, którzy brali udział w tych potyczkach.

–Dobry Boże! Teraz?

–Właśnie teraz – powiedziała Angie – a raczej gdy tylko młody Edward wróci i dowiemy się, czy jego ojcu spodobał się ten pomysł. Oczywiście przyniosłoby to pewną korzyść, gdyż byłoby ci niezręcznie wyjechać z Malencontri ze wszystkimi rycerzami i damami, pozostawiając tu w samotności osobę należącą do rodu Plantagenetów, tak więc zapewne Joanna pojechałaby także. Mówiła, że stary Edward zna ją i zawsze ją lubił. Wierzę jej, bo najwyraźniej jest powszechnie lubiana, a jako dziecko miała wiele okazji, by się przypodobać królowi.

–A co z Geronde? Nie mów mi, że była uszczęśliwiona tym planem, który odsuwa jej ślub w nieokreśloną przyszłość, a który Joanna wymyśliła, nie pytając jej o zgodę?

–Z początku nie była, ale Joanna, mówiłam ci, że jest sprytna, miała z góry

przygotowane wytłumaczenie. Przyznała, że przede wszystkim w ten sposób zamierza się dostać do Tiverton razem z młodym księciem, ale uświadomiła też Geronde, że wszyscy skorzystają, jeśli plan się powiedzie i król wszystkich polubi. Brian ma wspaniałą reputację jako zwycięzca turniejów, ale nigdy nie brał udziału w prawdziwej wojnie. W rezultacie nikt nie wymienia jego nazwiska, kiedy mówi się o dowódcach.

–Był za młody, by walczyć pod Crécy – przypomniał Jim. – Nie miał też odpowiednich koneksji, by zabrał go tam jako giermka jakiś sławny rycerz, gdyż każdy z nich miał już chmarę giermków ze szlacheckich rodów. Oto powód tego, że Chandos, Audley i inni uznani rycerze są prawie w tym samym wieku co Brian. Nie możesz wykazać się jako dowódca, jeśli żadna wojna nie toczy się wtedy, kiedy jesteś w odpowiednim wieku, żeby zabłysnąć,... No nic, w jaki sposób ma to pomóc Brianowi?

–No cóż – powiedziała – jeśli król pozna Briana i polubi go, a sądzę, że tak na pewno się stanie, wówczas Brian uzyska pewną pozycję na królewskim dworze. Gdyby on lub Geronde potrzebowali kiedyś królewskiej łaski, tak jak my, kiedy chcieliśmy uzyskać prawo do opieki nad Robertem, będzie miał większe szanse. Sądzę, że Brian wie więcej o broni i posługiwaniu się nią niż jakikolwiek człowiek, z którym król rozmawiał w ciągu ostatnich lat. Pamiętaj, że sam Chandos nazwał go jednym z najlepszych szermierzy królestwa. To dla jej przyszłego męża szansa, jakiej Geronde nie może zaprzepaścić.

–Rozumiem.

–Nie muszę przypominać – ciągnęła – że tobie też nie zaszkodziłoby zaprzyjaźnić się z królem, a nie wyobrażam sobie, żeby cię nie polubił przy bliższym poznaniu.

–Nawet gdyby – rzeki Jim i poczuł, że jest śmiertelnie znużony, bardziej niż kiedykolwiek w życiu – to jeśli Cumberland potrafi poróżnić go z jego własnym synem, pierworodnym i następcą tronu, równie dobrze potrafi nastawić go przeciwko mnie. Ponadto wcale nie chcę, żeby mnie polubił. Tak niewiele dzieli mnie od awansu na pełnoprawnego maga. Postanowiłem aktywnie włączyć się w prace Zgromadzenia i spróbować zdobyć pozycję, która pozwoliłaby mi skierować jego działania w zupełnie innym kierunku...

–Nie mówiłeś mi o tym! – powiedziała Angie.

–Powie ci, gdy tylko będziemy mieli chwilę dla siebie. Magia, jakkolwiek wymawiać to słowo, nie pozostawia wyboru. W końcu zrozumiałem to w Liones, podczas rozmowy z Merlinem. Jeśli staniesz w miejscu, w ostatecznym rozrachunku przegrasz. Musisz podążać naprzód i wiedzieć, dokąd zmierzasz... ale nie mówmy teraz o tym. Chodzi o to, że nie chcę uwikłać się jednocześnie w politykę Zgromadzenia oraz działania królewskiego dworu, ze wszystkimi jego spiskami i intrygami,

–Opowiesz mi o tym więcej, gdy tylko będziesz mógł?

–Od razu, ale teraz mamy dla siebie nasz maleński świat, słoneczny pokój. Zapomnijmy o zarazach, książętach, królach, magii i tym całym niemożliwym średniowiecznym świecie. Muszę się trochę przespać!

Odciążył obolałą łokieć i upadł twarzą w poduszkę. Usłyszał, że Angie mówi coś niewyraźnie, coś, czego nie rozumiał, ale zapadał już w głęboki jak studnia sen.

Obudził się. Był już jasny dzień, chociaż miał wrażenie, że zaledwie przed sekundą słyszał, te ostatnie niezrozumiałe słowa Angie. Rozejrzał się wokół, ale nie było jej w pobliżu. Słoneczny pokój był rozświetlony słońcem, a więc Jim spał o wiele dłużej niż zwykle. Całkiem zaschło mu w gardle.

–Hej! Służba! – zdołał z trudem wykrztusić.

Drzwi uchyliły się. W szparze pojawiła się pociągła twarz Ellen Cinders, pokojówki.

–Potrafisz zaparzyć herbatę? – zapytał.

–Z przyjemnością, milordzie! – odparła. – Pani już przed laty pokazała mi, jak się to robi, na wypadek takiej potrzeby. Mam zaparzyć, panie?

–Owszem. Im prędeziej tym lepiej.

–Tak, milordzie. Jak tylko zagotuje się woda.

Weszła do środka – grubokoścista kobieta w średnim wieku, o orlim nosie, niezwykle wysoka, a za nią pulchna i brązowowłosa nastolatka, której Jim nie rozpoznał, zapewne była to następna nowo przyjęta. Najprawdopodobniej ze względu na zbliżający się termin ślubu. Cała służba już pewnie zwija się jak w ukropie, tak jak powinna to robić Ellen Cinders. Angie z pewnością kazała jej czekać tutaj, aż Jim się obudzi. Wepchnął sobie pod głowę dodatkowe poduszki i usiadł.

–Dobrze! Teraz uważaj! – szorstko rzuciła Ellen do dziewczyny. – Przyglądaj się wszystkiemu, co robię i jak to robię, żebyś mogła... Uważaj, mówię!

–Tak, panienko – powiedziała pospiesznie dziewczyna. – Będę pilnie patrzeć. Już patrzę.

Mimo to raz po raz ukradkiem zerknęła na siedzącego na łóżku Jima. On i Angie już dawno przyjęli średniowieczny zwyczaj sypiania nago, więc siedząc teraz na łóżku, Jim pokazywał całą górną połowę ciała. Widok sławnego maga bez ubrania to coś, o czym dziewczyna będzie mogła długo opowiadać swoim krewnym, kiedy w końcu dostanie wolny dzień i będzie mogła ich odwiedzić.

Podał herbatę. Była gorąca i słodka, spełniała więc dwa warunki, dzięki którym Jim w końcu zaakceptował ten napój jako kiepską namiastkę porannej kawy, do której przywykł w poprzednim świecie. Wykonując polecenia Ellen, dziewczyna podała mu kubek na małej tacy, podczas gdy Ellen obserwowała ją czujnie jak jastrzęb, do którego była podobna. Dziewczyna niezdarnie dygnęła i wycofała się.

–Jeśli wybaczysz, panie – powiedziała Ellen – moje dziewczki mają teraz mnóstwo pracy i powinnam przy nich być, żeby wszystkiego dopilnować. Czy mogę już odejść? Lettice spróbuje mnie zastąpić.

–Oczywiście – przytaknął Jim, chociaż wcale nie był taki pewien. Drzwi zamknęły się za Ellen. – A więc masz na imię Lettice?

–Tak, milordzie – dygnęła Lettice. Może snuła jakieś, niemożliwe do spełnienia marzenia, że od razu wpadnie w oko Wielkiemu Magowi i Rycerzowi... który już leżał w łóżku, bez ubrania...

–Od jak dawna jesteś w Malencontri?

–Trzy tygodnie bez jednego dnia, milordzie.

–Nigdy cię nie widziałem.

Jej podświadomość i wyobraźnia wkładały w jego usta słowa; „Chodź tu do mnie!

Rozkazuję ci!”

–Sprzątałam te piękne komnaty razem z innymi służącymi, milordzie. – I

zebrawszy całą odwagę, dodała: – Czy jaśnie pan życzy sobie jeszcze kubek herbaty?

Herbata przygotowana przez Ellen nie była zła, chociaż nie mogła się równać z parzoną przez Angie. Lettice mogła być w tym dużo gorsza. Ponadto już się przebudził i miał ochotę wstać.

–Nie – odparł. – Zaczekaj na zewnątrz, zawołam cię, gdybyś była mi potrzebna. Marzenia prysły jak bańka mydlana.

–Tak, milordzie – powiedziała ze smutkiem Lettice, wychodząc z komnaty.

Wstał i ubrał się, Z zaskoczeniem stwierdził, że jest wypoczęty i pełen energii. To napełniło go optymizmem. Miał wrażenie, że doskonale poradzi sobie ze wszystkim, co może przynieść mu ten dzień.

Już miał zawołać, by jak zwykle podano mu śniadanie, ale powstrzymała go wrodzona ostrożność.

–Hej! Służba! – zawołał. W drzwiach pojawiła się głowa Lettice. – Czy wiesz, kto ma teraz służbę w kuchni?

–Nie, milordzie.

–Nic nie szkodzi. Możesz odejść

–Tak, panie.

Zniknęła. Wziął jabłko z półki, na której Angie ułożyła zapasik tych, które nadawały się do przechowywania, po ulewnych deszczach bowiem trudno było znaleźć dobre, zatopił w nim zęby i wyszedł z komnaty.

–Ładny ranek, Adamie – powiedział z pełnymi ustami do zbrojnego, który wraz z Lettice pełnił wartę pod drzwiami słonecznej komnaty.

–Ładny, milordzie – odparł Adam, kryjąc uśmiech, gdyż słońce weszło kilka godzin temu.

Jim przystanął i przełknął.

–Schodzę do gotowni, Adamie.

–Tak, milordzie.

Skończył jabłko i cisnął ogryzek przez okienko strzelnicze, obok którego przechodził. Natychmiast skarcił się w duchu – przejmował średniowieczne zwyczaje. Ogryzek wpadnie do fosy. On i Angie wciąż i z niewielkim powodzeniem starali się nauczyć służbę, że fosa powinna być czysta. Przynajmniej w Malencontri nie śmierdziało tak okropnie jak w innych zamkach.

Zastanawiał się, w jaki sposób można by jeszcze poprawić tę sytuację, gdy minąwszy dwa kolejne zakręty schodów, stanął oko w oko z sir Harimore'em, dzielnie i ze stanowczą miną maszerującym w górę. Stanęli w odległości jednego stopnia od siebie, w wyniku czego Jim spoglądał z góry na rycerza, lecz podczas swych sporadycznych kontaktów z Harimore'em nigdy nie zauważył, by ten przejmował się

tęgo rodzaju symbolicznymi podkreśleniami pozycji społecznej. Pod pewnymi względami Harimore przypominał Dafydd, nazbyt dobrze znającego swoją wartość, aby zginać przed kimkolwiek kark.

Teraz jednak w zachowaniu rycerza zaszła jakaś dziwna zmiana. Determinacja widoczna na jego pobladłej twarzy skrywała coś, co Jimowi wydawało się zmieszaniem.

–Milordzie – powiedział rycerz – dotychczas nie miałem sposobności, by cię przeprosić, co jest pożałowania godnym uchybieniem ze strony gościa. Pamiętasz naszą krótką rozmowę podczas ostatniego Bożego Narodzenia i związanych z tymi świętami uroczystości u earla, kiedy to uznałem za stosowne, co ze wstydem przyznaję, wygłosić kilka uwag odnośnie do sposobu, w jaki posługujesz się mieczem i innym orężem? Wiedziałem już wtedy, że jesteś magiem, lecz wziąłem cię za takiego, który niewielką znajomością sztuki wojennej łączy z równie nikłą znajomością magii. Później dowiedziałem się, nie tylko od sir Briana, ale i od innych osób, że istotnie jesteś wielkim magiem, który dokonał już znacznych czynów. Tak więc moje uwagi były niewybaczalne.

–Hmm, nie ma o czym... – zaczął Jim.

–Błagam, racz mnie wysłuchać. Darzę ogromnym szacunkiem każdego, kto poświęca się jednej spośród wielu sztuk. W wypadku maga jest najzupełniej zrozumiałe, że jeśli jest zmuszony nosić broń i posługiwać się nią, nie może tego robić z dbałością i uwagą, jakiej można by oczekiwać od kogoś innego. Po prostu całą swą uwagę poświęcił wybranej sztuce, a broń nosi tylko po to, by dać do zrozumienia, że jest szlachcicem i potrafi się bronić. Dlatego u takich wyjątkowych mężów jak ty, panie, pewien brak wprawy w posługiwaniu się bronią jest jak najbardziej dopuszczalny i zrozumiały. Natomiast niewybaczalne byłoby, przynajmniej moim zdaniem, zachowanie człowieka, który tylko powierzchownie poznał tajniki obu tych sztuk, lecz oczekuje uznania.

Zamilkł, ale znów podjął wątek, zanim Jim zdążył się odezwać.

–Tak więc błagam, abyś łaskawie i wielkodusznie wybaczył mi tamte słowa. Nie będę miał ci za złe, jeśli uznasz, że powinienem niezwłocznie opuścić twój zamek, wymówiwszy się czymś przed innymi, tak by cała sprawa pozostała wyłącznie między nami.

Jim skręcał się w duchu. Twarz Harimore'a była bardziej kamienna niż zwykle i oddychał nieco ciężiej, niż powinien oddychać mężczyzna będący w doskonałej formie, pokonawszy zaledwie kilkadziesiąt schodków. Ponadto jego słowa sprawiały wrażenie długo przygotowywanej przemowy. Jim nie chciał, by Harimore wyjechał, nie tylko ze względu na jego ewentualne wymówki, które z pewnością byłyby nieprzekonujące dla pozostałych gości, ale głównie z powodu Briana. Ten natychmiast wyczułby, że coś jest nie tak, intuicyjnie i poprawnie interpretując zachowanie rycerza, po czym poprosiłby Jima o wyjaśnienie przyczyn nagłego wyjazdu Harimore'a. Dla Briana byłaby to sprawa honoru. To on wprowadził Harimore'a do Malencontri i w ten sposób, według przyjętych zwyczajów, zagwarantował, że jest on mężem godnym, by go gościć. Gdyby Harimore z jakiegoś

powodu okazał się tego niegodny, Brian byłby za to odpowiedzialny. Gdyby zaś ktoś z mieszkańców zamku obraził gościa, zniewaga obejmowałaby również Briana.

–Sir Harimore – rzekł Jim najserdeczniej, jak umiał. – Nie potrafię opisać, jak cieszy mnie nie tylko twoje zrozumienie mojej sytuacji jako rycerza i maga, ale także sposób, w jaki mi je okazałeś. Twoje przeprosiny zaś wydają mi się tyleż szlachetne, co zbyteczne, gdyż całkowicie oddając się sztuce magicznej, często spotykam się z brakiem zrozumienia. Podaj mi rękę, mój zacny panie, i błagam cię, nawet nie myśl o opuszczaniu mojego zamku z innego powodu prócz twej własnej chęci!

–Ha! – odpowiedział Harimore, posługując się tą wygodną sylabą, używaną przez szlachetnie urodzonych panów (a także wiele szlachetnie urodzonych dam) do wyrażania uczuć trudnych do wyrażenia w inny sposób, Jim podejrzewał, że w tym wypadku chodziło o zakłopotanie i ulgę. Dłoń Harimore'a była twarda jak skała i nagle Jim zrozumiał, ile te przeprosiny kosztowały rycerza. Harimore wyraził chęć opuszczenia zamku, wiedząc, że to pozbawi go widoku i towarzystwa Joanny z Kentu, która, jeśli Dafydd miał rację, być może skradła jego serce. Ten człowiek z poczucia honoru dałby się ugotować w oleju, powiedział sobie w duchu Jim.

Przypieczętował tę rozmowę męskim uściskiem dłoni i zamknął temat, obaj rozeszli się w przeciwne strony, radzi, że mają to już za sobą.

Jim zmierzał szybkim krokiem do kuchni, mając nadzieję, że dostanie tam coś na śniadanie, Jednak skręciwszy w korytarz prowadzący do tego miejsca, wpadł na Angie, która równie pospiesznie podążała w przeciwnym kierunku.

–Nic ci się nie stało? – spytał zaniepokojony, złapawszy ją, zanim upadła.

–Nic – jęknęła Angie. – Jestem tylko potłuczona i posiniaczona. Zderzyć się z tobą, to jak wpaść na mur. Nieważne. Księżę cię szuka.

–Księżę! – Jim wytrzeszczył oczy. – Nie może być! Musiałby wyjechać z Tiverton przed trzecią rano!

–Może to zrobił – odparła.

Rozdział 14

–Jest w wielkiej sali – dodała. – Czeka, aż podadzą mu coś do jedzenia.

–Do jedzenia – powtórzył Jim, któremu na samą myśl ślina napłynęła do ust.

–I chce jak najszybciej z tobą porozmawiać – oznajmiła. – Natychmiast i w cztery oczy. Lepiej zabierz go do słonecznej komnaty. Z pewnością już tam posprzątało i pościelono łóżko.

Jim myślał o zastawionym stole w wielkiej sali.

–Tak szybko? Poza tym w słonecznej komnacie książę robi się zbyt gadatliwy – stwierdził stanowczo. – Spróbuję najpierw się dowiedzieć, czego chce. Powiedz służbie, że zabraniam podsłuchiwać – pod karą klątwy.

–Nie jedz za dużo – ostrzegła go. – Obiad za trzy godziny.

Zignorował ostrzeżenie, zmierzając już do wielkiej sali. Rzeczywiście, zastał tam młodego Edwarda opychającego się ciastkami oraz zimnym mięsiwem i popijającego, oczywiście wino.

–James! – zawołał z pełnymi ustami, po czym przełknął. – Szybko cię znaleźli. Doskonale!

–Szedłem tutaj, żeby coś przegryźć – powiedział Jim, zabierając się do ciasta, wołowiny i wina.

–Mm... – mruknął Edward, zbyt zajęty jedzeniem, by prowadzić bardziej ożywioną rozmowę.

–Mm... – odmruknął Jim, energicznie kiwając głową.

W końcu Edward przestał jeść, pociągnął ostami łyk wina i wygodnie rozparł się na krześle.

–Ha! – powiedział. – Nie, James, proszę nie przerywaj sobie posiłku.

–Już się najadłem, wasza miłość – odparł Jim, również sadowiąc się wygodniej. – Musiałeś dosiąść konia co najmniej trzy lub cztery godziny przed Świtem, żeby przybyć tutaj o tak wczesnej porze.

–Istotnie. Czas miał ogromne znaczenie. Kuj żelazo póki gorące, jak powiadają. Mój ojciec po przebudzeniu zawsze jest w nie najlepszym humorze, ale później przeważnie staje się znacznie weselszy. Zachodziła obawa, choć niewielka, że może cofnąć zaproszenie. Dlatego wyruszyłem, zanim otworzył oczy. Odniosłem sukces, Jamesie. Wszyscy są zaproszeni.

–Wszyscy? – powtórzył Jim. – Zaproszeni?

–Do Tiverton, na audiencję u króla. Zaskoczyłem cię, Jamesie. Przecież nic o tym nic wiesz. – Książę roześmiał się. – Hrabina jest sprytna i nigdy nie traci głowy. Tym razem wymyśliła coś, co otwiera ogromne możliwości przed nami wszystkimi.

–Skoro o tym mowa, wasza miłość, to wiem o tym. Przynajmniej o tym, że zamierzałeś porozmawiać z królem. A więc wszystko dobrze poszło, tak? Zdziwiłem się tylko, słysząc, że wszyscy jesteśmy zaproszeni. Naprawdę wszyscy?

–Naprawdę, nawet ten drętwy rycerz – aczkolwiek rozumiem, że on lepiej niż przeciętny człowiek włada wszelakim orężem i podobnie jak Brian jest zwycięzcą wielu turniejów. Mój ojciec był nieco bardziej niż zwykle... wesoly... kiedy rozmawialiśmy o tym, kogo chciałby zobaczyć. Otóż pragnie widzieć wszystkie damy

i panów goszczących obecnie pod twoim dachem, w tym oczywiście również Joannę... chciałem powiedzieć hrabinę. Przekazuję ci jego polecenie, by wszyscy obecni tutaj niezwłocznie stawili się w Tiverton.

–Nadzwyczajne! – machinalnie powiedział Jim, rozważając w myślach nowe możliwości, jakie pojawiły się teraz, kiedy ta wycieczka była już przesądzona.

–Prawda? – powiedział z zadowoleniem Edward. – Nie sądzę, żeby komukolwiek udało się coś takiego. On jest moim ojcem i pod pewnymi względami znam go lepiej niż ktokolwiek na świecie. Cała sztuka polegała na tym, żeby najpierw was wychwalać, a potem wybrać odpowiedni moment, by zapytać, kogo z was najbardziej pragnąłby spotkać.

–To istotnie niemałe osiągnięcie – znowu machinalnie potwierdził Jim. – Jestem pewien, że wszyscy z radością usłuchają rozkazu króla. – Już zaczynał się zastanawiać, jak najlepiej wykorzystać tę wizytę. – Możemy przyjechać całą gromadą za jakieś dziesięć dni, zaraz po ślubie.

–Dziesięć dni! – Edward zeszywniał. – Nie, nie! Dwa dni! Najwyżej trzy! Król was wzywa, Jamesie! Co to za sprawa z tym ślubem?

–Zakładałem, że wasza miłość wie... że hrabina wspomniała o tym. Lady Geronde ma poślubić sir Briana po wielu latach czekania i pokonaniu wielu przeszkód, gdyż poznali się i pokochali, kiedy byli jeszcze dziećmi. Tak samo jak ty i hrabina znacie się od dziecka. Teraz nadeszła ta długo oczekiwana chwila. Byłoby okrucieństwem ją odwlekać.

Jim zaryzykował, rzucając tę uwagę o wspólnym dzieciństwie Edwarda i Joanny. Angie nie mówiła mu, czy ta część ich życiorysów taktycznie pokrywa się z wersją historii znaną w dwudziestowiecznym świecie, jako absolwent mediewistyki doskonale orientował się w tym, co mówiły książki. Gdyby jednak ten fragment dziejów nie pokrywał się z wersją prezentowaną w dwudziestowiecznych podręcznikach, wywarłoby to znaczny wpływ na historię Anglii i musiałoby spowodować pewne zmiany, których Jim nie dostrzegał.

–Co tam okru... – Edward urwał. – Dziesięciodniowa zwłoka absolutnie nie wchodzi w grę, Jamesie, szczególnie z takiej błahej przyczyny. Jeśli muszą wziąć ślub, to mogą wziąć go w Tiverton, gdzie król może zaszczyścić ich swą obecnością i błogosławieństwem. Powiedz im o tym. Jestem pewien, że ochoczo skorzystają z takiej okazji! I nie mówmy już o tym.

–Chociaż szczerze pragnąłbym uspokoić waszą miłość – powiedział ostrożnie Jim – to obawiam się, że kwestia wyboru miejsca zaślubin nierozzerwalnie wiąże się ze Świętym Kościołem. Z pewnością z poprzedniej wizyty pamiętasz biskupa Bath i Wells...

–Tego nadętego kle... – Książę w ostatniej chwili ugryzł się w język. – A co on ma z tym wspólnego?

–No cóż – zaczął wyjaśniać Jim. – Zgodnie ze zwyczajem zapowiedzi odczytano w zamku Malvern, który jest rodzinną siedzibą narzeczonej. Jednakże pożar zniszczył tamtejszą kaplicę do tego stopnia, że nie nadawała się na miejsce ślubnej ceremonii, nie mówiąc już o zaplanowanej potem mszy. Dlatego postanowiono przenieść

ceremonię tutaj, do Malencontri.

–Joanna wspomniała coś o tym... – mruknął Edward.

–Niefortunnie się złożyło, że tutejsza kaplica została zbezczeszczona przez poprzedniego właściciela zamku, nie tylko przez jego niedbalstwo, ale także przez pewne niestosowne praktyki, które uczyniły kaplicę nieczystą w oczach Kościoła...

Księżę odruchowo się przeżegnał.

–Tak więc ona również nie nadawałaby się do użytku, gdyby zacny biskup Bath i Wells nie przybył do Malencontri, żeby poświęcić ją i pobłogosławić, a także udzielić Geronde zgody na powtórne zapowiedzi ze zmianą miejsca ślubnej ceremonii. W ten sposób Kościół zatwierdził wybór miejsca zaślubin.

–Ha!

–Poznałeś biskupa – ciągnął Jim – więc równie dobrze jak ja możesz wyobrazić sobie jego reakcję na wieść o ponownej zmianie miejsca ślubnej ceremonii i mszy, nie mówiąc już o zmianie treści trzecich zapowiedzi.

–Aż za dobrze, Jamesie! – powiedział Edward. – Aż za dobrze. A chociaż osobiście nie obawiałbym się stawić czoła biskupowi, to muszę wziąć pod uwagę stosunek mojego ojca do Kościoła oraz drobny spór, który z nim toczy w zupełnie innej sprawie...

Edward gwałtownie wstał z krzesła, odwrócił się i zaczął chodzić tam i z powrotem po podwyższeniu, wąskim przejściem obok stołu.

–No cóż, Jamesie – rzucił ostro, obróciwszy się na pięcie. – Co mamy robić?

Jim pospiesznie wstał. W wąskim przejściu za krzesłami wyglądali trochę zabawnie, stojąc twarzą w twarz. Nie mógł jednak siedzieć, jeśli księżę stał.

–To istotnie problem, wasza miłość – odrzekł. – Sprawę komplikuje fakt, że zaślubiny były już dwukrotnie odkładane. W innym wypadku sugerowałbym, żebyśmy wszyscy pojechali do Tiverton przed ślubem. Ponieważ jednak zapowiedzi odczytano powtórnie, a data ceremonii została już ustalona i pozostał do niej zaledwie tydzień...

–James! – przerwał mu gwałtownie księżę. – Nie prosiłem, byś wyliczał mi wszystkie trudności komplikujące, jeśli nie uniemożliwiające wykonanie królewskiego rozkazu. Chciałem usłyszeć, w jaki sposób można się z nimi uporać. Jako doradca pozostawiasz wiele do życzenia.

–Oczywiście – odparł Jim. – Błagam o wybaczenie, wasza miłość. Po prostu całą moją uwagę zaprzęta ten krótki czas, jaki pozostał do zaślubin. Oczywiście wizyty u króla nie można by uznać za kurtuazyjną, gdyby trwała, odliczając czas niezbędny na przejazd tam i z powrotem, zaledwie trzy dni i noc...

–Racja – przytaknął ponuro Edward. – Trzydniowa wizyta byłaby zdecydowanie za krótka. To nie do pomyślenia.

–Tak też sądziłem, wasza miłość – przytaknął Jim. – Można by wziąć to pod uwagę jedynie wtedy, gdyby jakiś ważny powód – lub człowiek, taki jak earl Cumberland – przekonał króla, że wizyta powinna być tak krótka.

–Oszalałeś, James? – warknął Edward. Najeżył się w chwili, gdy Jim wspomniał o Cumberlandzie. – Może to i prawda, że Cumberland potrafi czasami wmówić mojemu ojcu, że czarne to białe. Jednak nie tylko on i wcale nie jest w tym najlepszy.

Powinieneś o tym pamiętać, Jamesie!

–Błagam o łaskawe wybaczenie, wasza miłość. My tutaj, na zapadłej wsi...

–Naturalnie. Zapomniałeś, kim jestem, a także o tym, że w pewnych sprawach ojciec chętnie słucha moich rad. Ten problem z biskupem, zapowiedziami i tak dalej... Jeśli wszystko mu wyjaśnię i podam inne rozsądne argumenty, jakie może przyjdą mi do głowy, zanim z nim porozmawiam, a także obiecuję szybki powrót gości po ślubie... Tak, mogę go skłonić, by zaakceptował tak krótką wizytę. Co więcej, kiedy po upływie trzech dni wyjedziesz ze swymi gośćmi, hrabina będzie mogła zostać, by go pocieszać i bawić rozmową. W ten sposób osiągniemy przynajmniej jeden z celów, które sobie wyznaczaliśmy. Mój ojciec zawsze bardzo ją lubił.

–Istotnie, wasza miłość – powiedział Jim, usilnie starając się, by w jego głosie zabrzmiał nieskrywany podziw. – Udało ci się rozwiązać ten problem, a było to możliwe jedynie dla człowieka o takiej pozycji jak twoja.

–Rad jestem, że to dostrzegasz, Jamesie – powiedział Edward. – Nigdy nie lekceważ kogoś takiego jak ja. Umiejętność dowodzenia bardzo przydaje się w życiu. Naszym obowiązkiem i sztuką, którą musimy opanować, jest układanie planów batalii z okruchów myśli.

–Tak, wasza miłość.

–No cóż – rzekł Edward, miną i tonem głosu zdradzając, że odzyskał dobry humor. – Teraz muszę się zdrzemnąć po wczesnym wyjeździe z Tiverton, a ty w tym czasie możesz powiadomić pozostałych, że zgodnie z moją decyzją przed ślubem złożą trzydniową wizytę królowi. Zostanę tu na noc i wczesnym rankiem wyruszę, by powiedzieć ojcu... albo może zaczekam i pojedę razem z wami jutro. Nie będzie mógł zmienić zdania, gdy zaproszeni goście staną u bram zamku.

Zadowolony książę odwrócił się, zeskoczył z podium i odszedł w kierunku schodów na wieżę. Jim odprowadził go wzrokiem, czekając, aż Edward zniknie za załomem muru, a potem głośno zawołał w kierunku gotowni:

–Hej! Służba!

Nie usłyszał tupotu nóg na kamiennej posadzce i nikt się nie pojawił. Jim jeszcze przez chwilę spoglądał w kierunku drzwi, za którymi znajdowały się schody na wieżę. Nasłuchiwał. W ciszy nie było słyhać, by ktoś wbiegał po schodach czy też zbiegał z nich. Cała ta część zamku sprawiała wrażenie wymarłej. Zapewne był to znak najlepszy z możliwych, gdyż świadczył o tym, że wszyscy uwijali się jak pszczołki przy zabezpieczaniu zamku przed zarazą. Mimo to cisza była odrobinę upiorna i budziła pewne podejrzenia. Do licha, kiedy pan zamku woła, ktoś powinien się zjawić.

–Mogę ci czymś służyć, mój panie?

Słowa były właściwe, ale głos – nie. Gwałtownie się odwrócił i ujrzał stojącą opodal i uśmiechającą się do niego Angie. Jednym susem zeskoczył z podium i podszedł do niej.

–Co się dzieje? – zapytał. – Wołałem służbę, a zjawiasz się ty.

–Wybacz, mój panie – odparła, wciąż się uśmiechając – ale w gotowni nie było nikogo innego, więc przyszłam. Jeśli jednak milord nie chce mnie...

–Daj spokój, Angie! Przestań! Gdzie się wszyscy podziali? Pewnie są zajęci przygotowaniami... A więc co tutaj robiłaś, skoro nie ma tu służby, którą mogłabyś nadzorować?

Angie spoważniała.

–Oczywiście, że są zajęci, co do jednego. A stałam w gotowalni, słuchając, co ty i Edward macie sobie do powiedzenia.

–Słyszałaś?

–Wszystko, od chwili gdy tu przyszedłeś!

–Przecież kiedy powiedziałaś mi, że księżę tu jest... wydawało mi się, że masz czegoś dopilnować.

–To prawda – odrzekła. – Poszłam sprawdzić, jak postępują prace przy stawianiu pawilonu. Cieśla powiedział, że potrzebuje więcej ludzi do najcięższych prac. Tak więc poszłam do izby chorych, żeby podesłać mu kilku pracujących tam mężczyzn, a potem przyjechał księżę. Wchodziłam na górę, kiedy się spotkaliśmy.

–Cóż, przynajmniej nie muszę powtarzać ci tego, co powiedział. Teraz pozostaje nam tylko zawiadomić wszystkich o podróży.

–Lepiej ustalmy, z kim będziemy rozmawiać. Sprawy i tak dostatecznie się skomplikowały, nie powinniśmy więc tracić czasu na dwukrotne powiadamianie tych samych osób i wchodzenie sobie w drogę. Ja porozmawiam z Geronde, co zapewne potrwa dobrą chwilę, a ty z Brianem.

–Dobrze, że przynajmniej zdążyłem coś zjeść.

–Ty i księżę tworzycie dobraną parę – mruknęła. – Obżerał się tak, że myślałam, że naje się w kilka minut, ale nie. To niewiarygodne, ile ci ludzie potrafią pochłoniąć...

–Nic dziwnego. Żyjemy w temperaturach rzędu trzydziestu stopni, doświadczamy dużych wahań pogody. Jeśli opuścimy posiłek, musimy uzupełnić kalorie... W każdym razie najważniejsze jest to, że byłaś tu i wszystko słyszałaś.

–No właśnie. – Złagodniała. – Doskonale to załatwiłeś, Jim. Ten chłopak ma zbyt wysokie mniemanie o sobie. Dowódcy z prawdziwego zdarzenia nigdy nic uznają go za jednego ze swoich. Pod Poitiers miał Chandosa i innych, którzy prowadzili go za rączkę.

–Jasne, ale wtedy miał dopiero szesnaście lat. To wysokie mniemanie o sobie wynika z tego, że chciałby cieszyć się szacunkiem jako następca tronu, a tymczasem prawie nikt ważny nie liczy się z nim, Cumberland zaś robi wszystko, żeby go zdyskredytować i poróżnić z królem. W każdym razie, jak słyszałaś, pojutrze wszyscy wyjeżdżamy do Tiverton. W ten sposób wrócimy tu w czwartek i w sobotę odbędzie się ślub.

–Geronde będzie zachwycona! – powiedziała Angie.

–Połóż nacisk na to, że dzięki temu Brian zawrze znajomość z królem.

–Ta piosenka staje się już nudna. Geronde i ja powinniśmy teraz zajmować się wyłącznie przygotowaniami do ślubu. Gdyby nie zaraza...

–Wiem. – Głos Jima też złagodniał. – Czekala na to tyle lat... No cóż, jeśli weźmiesz na siebie przekazanie jej tej wiadomości, to ja zawiadomię wszystkich pozostałych. Goście, którzy nie zechcą nam towarzyszyć, mogą zostać lub

wyjechać.

–Wszyscy będą chcieli jechać.

–Mam nadzieję. Gdzie jest teraz Geronde? Nie widziałem jej dziś rano.

–Liczyłam na to, że przyjdzie do słonecznej komnaty. To jedyne miejsce, gdzie jest dość miejsca, by porozkładać suknie i wszystko.

–A ja myślałem, że w tych czasach zaślubiny na stopniach kościoła były tylko zwyczajną transakcją.

–Odjedźcie stąd prosto do zamku Smythe. Będą jej potrzebne co najmniej trzy juczne konie, żeby przewieźć wszystko co niezbędne podczas pierwszych trzech miesięcy pobytu.

–Przecież nie musi tkwić tam przez trzy miesiące bez przerwy.

–Powiedz jej to.

–Hmm... – mruknął Jim. – To nie moja działka. Zostawię to wam.

–A Danielle i Joanna... nie możemy odsunąć ich od przygotowań. Wiesz co, Jim, przy pierwszej nadarzającej się okazji powinieneś porozmawiać z hrabiną i lepiej ją poznać. Jest tego warta, i ma ogromny wpływ na młodego Edwarda. Tylko poczekaj, a zobaczysz, jak uspokoi go dzisiejszego wieczoru! No nic, muszę już iść do Geronde. Powodzenia!

Pocałowała go w policzek, odwróciła się i ruszyła ku schodom na wieżę.

–Tobie też! – zawołał za nią.

Nie oglądając się, pomachała mu ręką i znikła za rogiem. Został sam i kiedy się zastanawiał, czy najpierw pójść do izby chorych czy do pawilonu, z zadumy wyrwał go cichutki głosik dobiegający z kominka.

–Milordzie?

Odwrócił się i zobaczył Hoba wychodzącego z płomieni i trzymającego w obu rękach odpowiedni do jego rozmiarów miecz, jakby chciał złożyć tę broń w ofierze. Podszedł do Jima i podał mu miecz.

Coś nie tak z tym mieczem? – zapytał Jim.

Hob pokręcił głową.

–Nie, milordzie – odparł najsmutniejszym głosem, jaki Jim u niego słyszał. – Ze mną. Ci szlachetni panowie mówią, że nigdy nie nauczę się walczyć. Nigdy w życiu.

Rozdział 15

–Sir Brian powiedział, że nigdy nie nauczysz się walczyć mieczem, który dla ciebie zrobiliśmy? – spytał z niedowierzaniem Jim, gdyż Brian dobrze znał skrzata z ich wypraw i nie raz widział odwagę małego Hoba. Z pewnością znalazłby łagodniejszy sposób przekazania mu takiej wieści.

–Nie sir Brian, milordzie. Ten drugi szlachetnie urodzony rycerz...

–Mów po prostu sir Brian i sir Harimore. Żaden z nich nie jest szlachcicem. Obaj jednak są rycerzami, co większości ludzi zupełnie wystarcza.

–Ty jesteś szlachcicem, panie?

–Od niedawna – odparł Jim. – Jednak nie mówmy o mnie. A więc to sir Harimore tak ci powiedział?

–Tak, milordzie. Ten rycerz, który rzucił mi sztylet. Pamiętasz, milordzie? Powiedział, że nigdy nie nauczę się walczyć, nigdy w życiu. Sir Brian nic nie mówił, ale miał smutną minę i kręcił głową.

–Hmm, to bez sensu – rzekł Jim, bardziej do siebie niż do Hoba. – Co robiłeś, kiedy sir Harimore tak powiedział?

–Tylko to, co mi kazali. Nazywali to ćwiczeniami i miałem wrażenie, że podobało im się to, co robiłem. Powiedzieli, że szybko się uczę. Tylko że potem sir Brian chciał, żebym spróbował ciąć go mieczem, a ja nie byłem w stanie tego zrobić. Nie miał zbroi.

–I zrobiłeś to?

–Och nie, milordzie! A gdybym go skaleczył?

–Hobie – powiedział Jim. – Zarówno sir Brian, jak i sir Harimore są doświadczonymi szermierzami. Mógłbyś przez cały dzień próbować zranić któregoś z nich, lecz gdyby tylko miał w ręku miecz, nie zdołałbyś osiągnąć go swoim ostrzem. Zawsze zdążyłby się zastawić. Sir Brian po prostu chciał ci to zademonstrować.

–Och!

–Właśnie.

–A gdyby zdarzył się jakiś wypadek, gdybym się poślizgnął albo coś... Nie mógłbym znieść myśli, że skaleczyłem któregoś z nich.

–A potrafiłbyś zranić podziemnego goblina?

–Och tak! To co innego. Ponadto podziemny goblin próbowałby mnie zabić. Chętnie zraniłbym go, a nawet wielu z nich!

–Prawdę mówiąc – powiedział Jim – one wydają się niezbyt groźnymi przeciwnikami. Są takie małe, że jeżdżą na szczurach. Tylko boleśnie kłują swoimi włóczniami.

–Jednak uderzenia tych włóczni zabijają, milordzie, po pewnym czasie. Tak są zrobione. Gobliny chcą, żeby ludzie cierpieli przed śmiercią.

–Ach! – zawołał Jim. – Cieszę się, że mi o tym powiedziałaś. Mimo to są niegroźne dla człowieka w zbroi. Te, które widzieliśmy, były za małe.

–One zmieniają kształty, milordzie. Napadając na ciebie i biskupa, stały się małe, żeby móc dosięść szczurów. Pamiętasz, że niektóre z nich usiłowały przybrać postać rycerzy? W rzeczywistości są takie małe jak ja.

–Czy ich włócznie też robią się większe?

–Owszem, milordzie, to część ich magii. Zmienianie kształtów to część magii, jaką odebrały nam, skrzatom, kiedy wypędziły nas z królestwa diabłów i demonów.

–Czy wiesz, gdzie teraz jest sir Brian i sir Harimore? – zapytał Jim.

–Sir Brian oprowadza Blancharda po dziedzińcu, sprawdza, jak rumak chodzi – odpowiedział skrzat. – Blanchard mocno kopnął w ścianę zagrody i sir Brian obawiał się, że koń mógł okuleć. Sir Harimore pojechał gdzieś z lady hrabiną, we dwoje.

–Ach tak! – zawołał Jim i pomyślał, że rady Dafyddda musiały być bardzo przydatne, jeśli rycerza tak szybko i skutecznie przewyciężył nieśmiałość. – Kiedy sir Harimore zaprosił ją na tę przejażdżkę?

Byłoby to raczej głupie pytanie, gdyby skierował je do każdego innego mieszkańca zamku, gdyż opierało się na założeniu, że zapytany był z tym dwojgiem w momencie, gdy rozmawiali. Jednakże Hob dzięki licznym przewodom kominowym, którymi się poruszał, mógł się dostać do prawie każdej komnaty na zamku, a wrodzona ciekawość sprawiała, że nieomylnie wyczuwał, gdzie są omawiane ważne sprawy, i w rezultacie zdawał się wiedzieć wszystko.

–Och, on jej nie zaprosił, milordzie. To ona zaprosiła jego.

–Ach!

A więc to nie siła przekonywania Dafyddda. Ta wersja wydarzeń bardziej pasowała do charakterów obu postaci.

–Jak do tego doszło? – spytał Jim.

Z relacji Hoba wynikało, że Joanna pojawiła się na dziedzińcu, żeby zabrać swego rumaka z zamkowej stajni i wybrać się na przejażdżkę. Była to ulubiona rozrywka miłośników koni, a ponadto utrzymywała wierzchowca w dobrej formie, co było niezwykle istotne w czasach, gdy koń był najważniejszym środkiem transportu. Polem jednak, już będąc w siodle, zawahała się i powiedziała do Briana oraz Harimore'a, że pewnie zachowuje się jak głupie kobieciątko, ale trochę się obawia wyruszać bez eskorty w nie znane sobie lasy. Sir Brian był w tym momencie całkowicie zaabsorbowany swoim wspaniałym rumakiem, uważała więc Joanna, że nie może go prosić...

–Miło z twojej strony, pani. Żałuję, ale nie mogę służyć pomocą – odparł z roztargnieniem Brian lekko zirytowanym tonem, ledwie odrywając wzrok od Blancharda.

–... gdyby jednak zacny sir Harimore był tak uprzejmy... – ciągnęła Joanna, uśmiechając się do rycerza.

–Będę zaszczycony! Uszczęśliwiony! – Harimore zeszywniał z wrażenia. – Stajenny! Mojego siwka!

I tak pojechali razem. Zdecydowanie nie dzięki skuteczności rad Dafyddda, lecz skoro Joanna wzięła sprawę w swoje ręce, pomyślał Jim, to jeszcze nie wszystko stracone.

W każdym razie mógł teraz działać. Ruszył w kierunku drzwi wiodących z wielkiej sali na dziedziniec. Na szczęście Brian był tam i właśnie wprowadzał Blancharda z powrotem do zagrody.

–Lepiej pozwól, że sam porozmawiam o tym z Brianem – rzekł Jim do skrzata, który zajął swoje ulubione miejsce za koszulą. Jak zdołał się tam wcisnąć razem z mieczem? Niewątpliwie kolejny dowód skrzaciej magii. – Zostaw nas samych – mruknął Jim do malca. – Brian nie chciałby, żeby ktoś nas słuchał.

–Tak, milordzie. Hob ulotnił się.

–Brianie – powiedział Jim, gdy przyjaciel z zadowoloną miną wyszedł ze stajni. – Muszę z tobą porozmawiać w jakimś spokojnym miejscu.

–Sądzę, że w wielkiej sali nie ma teraz nikogo – odparł Brian. – Przydałby mi się kielich wina, bo trochę się niepokoilem o Blancharda... – Rozwijał ten temat, dopóki nie usiedli naprzeciwko siebie przy stole z kielichami wina w dłoniach. – No, Jamesie, o czym chciałeś rozmawiać?

–O Hobie. O nim i o jego mieczu. Brian skrzywił się. Upił łyk wina.

–Zatem przekazał ci słowa Harimore'a?

–Tak. A przecież wiesz, jak dzielny, prawie nieustraszony potrafi być ten skrzat. Nic nie powiedziałaś, kiedy Harimore wyraził tę opinię?

–Cóż mogłem rzec? – Brian znów pociągnął łyk wina. – Wiem, że to, co mówisz o Hobie, to prawda. Jest nieustraszony, tak. Oczywiście, wiem o tym.

–Czemu więc nic nie powiedziałaś?

–Głównie dlatego, James, że moim zdaniem Harry miał rację. – Brian odsunął kielich. – Wysłuchaj mnie, James. Hob jest za mały i zbyt lekki, by nosić zbroję i stawić czoło człowiekowi, pieszo czy konno. Tylko w starciu z przeciwnikiem nie większym od niego, a nawet w regularnej bitwie ze stworzeniami o podobnych rozmiarach...

–Gobliny nie są większe od skrzatów. W końcu mają wspólnych przodków.

–W takim razie – rzekł Brian – istotnie mógłby być groźny. Jednak nigdy nie będzie.

Znowu upił łyk ze swego kielicha.

–Rozumiesz, co usiłuję ci powiedzieć, James?

–Nie.

–Nigdy nie będzie groźny. Potrzeba czegoś więcej niż biegłości w posługiwaniu się orężem, aby mieć nadzieję, że ujdzie się cało. On powinien być gotów zabić wroga, który usiłuje pozbawić go życia. Ciebie i mnie nie trzeba tego uczyć, James. Kiedy ktoś chce nam poderżnąć gardło, nie wahamy się odpowiedzieć pchnięciem. To naturalny odruch większości dwunożnych i czworonożnych stworzeń. Tymczasem Hob powaliłby wroga na ziemię i opuścił miecz, mówiąc: „Och, przepraszam. Zraniłem cię? Pozwól, że ci pomogę...” I kiedy pomagałby mu wstać, wróg pchnąłby go nożem i zabił.

Brian ze smutkiem spojrział na Jima.

–Oddałbyś mu kiepską przysługę, posyłając go na pewną śmierć.

–Przecież on jest gotów zginąć! – powiedział Jim. – Właśnie w tym rzecz.

Spodziewa się, że zginie, ale tylko z rąk podziemnych goblinów, zabierając ze sobą tyłu z nich, ilu zdoła. Chciał mieć miecz, żeby umrzeć otoczony zwałem ich trupów.

Brian wciąż spoglądał na Jima, lecz teraz miał dziwną minę.

–A więc taka jest natura tej waśni między skrzatami a goblinami? Tego nam nie powiedział.

–On pewnie nawet nie zna słowa „waśń”. Jednak to szczerą prawdą. Skrzaty wywodzą się z tego samego plemienia co mieszkające głęboko pod ziemią gobliny. Były najmniejszymi z diablików w królestwie diabłów i demonów, z którego przybył Aryman... Pamiętasz Arymana? Spotkaliśmy go podczas tamtej wyprawy, kiedy znaleźliśmy i sprowadziliśmy do domu ojca Geronde.

–Pamiętam – mruknął Brian.

–W ich królestwie zaczęło się źle dziać, kiedy ludzie zamknęli przed nimi drogę do swych siedzib dzięki wierze i symbolom wiary. Największe i wielkie demony obwiniały o to najmniejsze spośród nich, gobliny, które teraz nie potrafiły nawet wchodzić do ludzkich domostw. Z kolei gobliny zwróciły się przeciwko takim odmieńcom jak Hob, który nikogo nie chciał krzywdzić, i rzuciły na nich całą winę. Potem wyгнаły ich i pozbawiły całej magii. Jednak znalazłszy się w nowym świecie, pozbawione magicznych umiejętności i bezbronne, skrzaty stworzyły własną magię. Jako nieszkodliwe stworzenia mogły wchodzić do domów, grzać się w ciepłe kominków i jeździć na smużkach dymu. Mimo to nigdy nie zapomniały o krzywdzie, jaką wyrządziły im gobliny.

–Niech mnie licho, jeśli nie zachowałbym się tak samo na ich miejscu! – zawołał Brian. – To jakby zdradziła cię własna rodzina!

–Tymczasem wielkie demony nie dały się udobruchać. Przepędziły wszystkie pomniejsze, a także gobliny, które założyły swoje królestwo głęboko pod ziemią, zięjąc nienawiścią do ludzi i skrzatów, obwiniając je za wszystko, co im się przydarzyło.

Jim zamilkł. Przez długą chwilę ani on, ani Brian nie odzywali się. Brian sączył wino, spoglądając w przestrzeń.

–Mimo to – orzekł w końcu – trudno powiedzieć, czy skrzat, nasz Hob, potrafi zmierzyć się z goblinami, gdy przyjdzie na to czas.

–Cóż, widziałeś, jak radził sobie w sytuacjach takich jak ta, kiedy królowa Północnych Burz wysłała rycerza, który miał mnie zabić, i niewątpliwie zrobiłby to, gdyby Hob nie odezwał się i nie odesłał go z powrotem do jej zamku.

–Ha! Wówczas jednak wiedział, że jesteśmy z nim, ty i ja!

–Myślisz, że na to liczył? Nie sądzę! A pamiętasz, jak...,

–Cóż, może. Jednak te argumenty nie przekonają Harry'ego. On skreślił Hoba raz na zawsze. Pomyślał, że Hob bał się zadać mi cios, kiedy obaj trzymaliśmy miecze, a Harry niełatwo zmienia zdanie.

–Wierzę – powiedział Jim. – Brianie, to nie dotyczy sir Harimore'a. Czy nie mógłbyś nauczyć Hoba tylko jednego: jak bronić się mieczem przed włóczyniami o zatrutych grotach?

–Trzeba najpierw odrąbywać groty. To żadna sztuka.

–A jeśli kopijnik zna się na rzeczy i wystrzega się tego? – dopytywał się Jim.

–Ach, tak. Rozumiem, do czego zmierzasz, Jamesie. Być może mógłbym nauczyć Hoba kilku sztuczek.

–Zrobisz to?

–Cóż, tak – odparł Brian. – Zatem Hob chce zginąć z honorem. W takim wypadku nikomu nie można odmówić pomocy, człowiekowi czy skrzatowi.

–Przekażę mu to – powiedział z ulgą Jim. – Zaczekaj, lepiej nie. Czy mógłbym cię prosić, żebyś był tak uprzejmy i sam mu to powiedział? Nie chciałbym, żeby to wyglądało tak, jakbym...

–Oczywiście, rozumiem – odparł pośpiesznie Brian. – Domownicy nie powinni odnieść wrażenia, że kogokolwiek faworyzujesz. Geronde zawsze powtarza... No, sam wiesz, co ona o tym mówi. Z pewnością ma to sens, lecz – na niebiosa! – jeśli zamierzam kogoś pochwalić, to po prostu to robię. Jeżeli inni nie rozumieją, że chwałę kogoś dlatego, że jest od nich lepszy, to albo się dowiedzą, albo mogą odejść. Mimo to rozumiem cię. Nie chcesz słuchać jego podziękowań, prawda? Oczywiście nie ma powodu, żebyś musiał tego wysłuchiwać. Dokąd idziesz?

–Do namiotu rozstawionego przed bramą, w którym w razie potrzeby przybywający mogliby przechodzić kwarantannę – odparł Jim, schodząc z podium. – Próbuję tam zająć już od dwóch dni.

–Dla mnie wygląda jak zwyczajny namiot – mruknął Brian, lecz Jim był już w połowie drogi do drzwi i udał, że tego nie słyszy.

Przeszedł przez dziedziniec, przemierzył zwodzony most i pas otwartej przestrzeni wokół zamku. Już na pierwszy rzut oka stwierdził, że pawilon nie może stać tam, gdzie go postawiono, tuż nad fosą. Jednak w jaki sposób powiedzieć o tym mistrzowi ciesielskiemu?

Cieśla – nikt w zamku nie pamiętał, jak się nazywa – był, jak wszyscy wiedzieli, trochę trudnym człowiekiem. Wiek i umiejętności sprawiały, że niemal nie uznawał żadnych autorytetów. Był gotów każdemu rozwlekle przedstawiać swoje racje. Cieśla już dawno zapomniał, ile ma lat: z pewnością dawno przekroczył sześćdziesiątkę, a może nawet osiemdziesiątkę. Był jednak niezwykle lojalny, jak mało kto znał się na swojej pracy i był gotów pracować do upadłego, czasem kilkakrotnie przebudowując całą konstrukcję, żeby uzyskać pożądany efekt.

Jim znalazł go w pawilonie. W środku było jasno i przewiewnie. Będzie zbyt jasno i przewiewnie z nadejściem jesieni, kiedy zaczną się nocne chłody. Stary rzemieślnik nadzorował teraz robotników, którzy rozpinali na środku płócienne przepierzenie, mające przedzielić duży namiot na część męską i kobiecą.

–O, mistrzu – powiedział Jim, podchodząc do cieśli. – Tu jesteś!

Cieśla powoli odwrócił się, by zobaczyć, kto go zagaduje.

–Mam dla ciebie wiadomość.

–Ha! – stwierdził lakonicznie cieśla, poznawszy Jima. Pospólstwo zazwyczaj nie używało tego wykrzyknika, którym tak często posługiwali się szlachetnie urodzeni, a w ustach cieśli oznaczał on: „Dobra wiadomość? Nie sądzę”. – ... milordzie – dodał jak zwykle niewyraźnie.

Kiedy Jim szedł po zwodzonym moście, ledwie rzuciwszy okiem na namiot, zdecydował, że bywają chwile, kiedy kłamstwo jest całkowicie dopuszczalne.

–Tak. Przykro mi to mówić, mistrzu, lecz właśnie otrzymałem magiczną drogą

wiadomość od Zgromadzenia Magów, że każda konstrukcja taka jak ten pawilon musi być wznoszona wewnątrz zamkowych murów. Oczywiście nie możemy złamać tego nakazu.

–Oczywiście.

–Tak.

–Trzeba rozebrać to wszystko i postawić ponownie na dziedzińcu, jeśli będzie tam dość miejsca – powiedział cieśla.

–Och, poradzisz sobie. Znam cię.

–Pewnie tak. Trudno, skoro tak musi być.

–No właśnie, mistrzu – odparł rażno Jim.

–No cóż, już bierzemy się do roboty... milordzie.

Cały problem z tym cieślą, myślał sobie Jim, wracając do zamku, polega na tym, że człowiek wciąż ma wrażenie, że powinien go przeprosić. Zazwyczaj umiem rozmawiać z ludźmi, rozmyślał, ale kilkakrotne powtarzanie przeprosin zdaje się tylko umniejszać ich znaczenie. Och, gdyby tylko potrafił przyjąć nastawienie Briana: mówić prawdę bez ogródek, a każdy, komu to się nie podoba, może odejść. Nie był jednak Brianem.

Każdy urodzony w średniowieczu człowiek uznałby go za pomyłonego, gdyby wyznał, że przejmuje się tym, co powiedział, słudze, choćby i najlepszemu. Deszcz, pech, katowski topór czy głód – dopusty boże są niezależne od woli człowieka. Każdy musi pogodzić się z tym, co przyniosło mu życie.

Angie nie było w izbie chorych ani w żadnym innym pomieszczeniu w dolnej części zamku. Mógł po prostu posłać służbę, żeby szybko ją odnaleźli i zawiadomili, że chce się z nią zobaczyć, ale zazwyczaj unikał tego i tak też było teraz. Wszedł po schodach na wieżę i znalazł ją tam, gdzie powinien szukać najpierw, czyli w słonecznej komnacie. Podśpiewywała sobie, znów rozkładając na łożu podróżny strój, tym razem kobiecy, dzięki Bogu.

–Jesteś – powiedziała, gdy opadł na fotel. – Zawiadomiłeś wszystkich?

–Przepraszam – powiedział. – Nie, zupełnie o tym zapomniałem.

Spojrzała na niego badawczo.

–No to nie zaprzataj sobie tym głowy. I tak już się tym zajęłam. Powiedziałam Joannie, która już wiedziała o tym od księcia. Potem tak się składało, że co chwilę wpadałam na jedną z tych osób, z którymi ty miałeś porozmawiać. Tak więc powiadamiałam je, tak na wszelki wypadek. Wszyscy chcą jechać, tak jak przewidywałam.

–To dobrze – powiedział, znów czując to niespodziewane znużenie, jakie ogarniało go ostatnio. Nie był w nastroju, by rozwijać ten temat. – Angie, kazałem cieśli przestawić pawilon dla przechodzących kwarantannę. Ma go postawić na zamkowym dziedzińcu.

–Jim! – wykrzyknęła, upuszczając na łożko trzymaną w ręku oponę. – W ten sposób będziemy mieli w zamku dwa ogniska zarazy. Myślałam, że chodzi o to, aby zatrzymać potencjalnych nosicieli za murami! W jaki sposób służba będzie wchodzić do kuchni i stajni oraz wychodzić z nich? Wszyscy się pozarządzają, a my od nich!

–Zastanawiałem się nad tym – odparł. – Otoczę pawilon zaklęciem, tak że nawet pchła się z niego nie wymknie. Słudzy będą mogli przenosić żywność i inne rzeczy przez ten ochronny krąg, ale nie przedostanie się przezeń nic żywego, a szczególnie chorobotwórczego. Ponadto potrzebne będą swego rodzaju służby po obu stronach, męskiej i żeńskiej. Trzeba będzie też przeszkolić niektórych z przechodzących kwarantannę, żeby potrafili pielęgnować chorych i robić inne rzeczy. Wszystko to można osiągnąć za pomocą magii, a Carolinus użyczy mi jej trochę w razie potrzeby.

–Ale...

–Wiem, wiem. Myślę jednak, że damy sobie radę, a kiedy spojrzałem na ten namiot stojący za murami... Nawet magia nie zapewniłaby im bezpieczeństwa – ani tym, którzy zanosiliby im jedzenie i picie. Pomarliby z głodu w tym namiocie, gdybym otoczył ich ochronnym zaklęciem i regularnie ich nie żywił. Jeśli zaś nie głód, to zabiliby ich zbójcy albo pożarli nocni drapieżcy. A przecież mogliby to być nasi sąsiedzi i przyjaciele. Musimy wprowadzić ich do zamku, tu będziemy mogli ich bronić.

Angie pokręciła głową i ponownie zajęła się opończęą.

–Pewnie masz rację – powiedziała po chwili.

–Miałem nadzieję, że to powiesz – rzekł Jim.

–Cieszę się, że tak uważasz – dodała. – Ja również mam dla ciebie niespodziankę. Jak już mówiłam, wszyscy chcą jechać, włącznie z Harimore'em. Tylko że wyruszamy jutro rano, nie pojutrze.

Rozdział 16

–Jutro! – Jim podskoczył.

–Tak – powiedziała łagodnie Angie. rzucając opończę na łożę i odwracając się do męża. – Przykro mi, kochanie. Jednak Geronde chce mieć jak najwięcej czasu na przygotowania do ślubu.

–A inni... czy wiedzą o tym i są gotowi wyruszyć rano?

–Co do jednego. Księżę i Joanna nie mogą się doczekać, a pozostali, Brian, Harimore, Dafydd i Danielle, przywykli podróżować z niewielkim bagażem i w każdej chwili są gotowi do drogi. Troje dzieci Dafydda i Danielle zostanie tutaj. Strasznie się cieszą z tego powodu, traktując to jako wakacje bez mamy i taty. Czeka ich niespodzianka, bo uzgodniłam z Danielle, że weźmie je pod opiekę May Heather.

–Czy ona nie będzie dla nich zbyt surowa? – spytał Jim, wspominając swoje dzieciństwo.

–Nie bardziej niż ich rodzice.

–Cóż...

–Nie martw się, Jim. Ona po prostu jest taką osobą, która gdy powie dziecku „nie”, to ono nie odpowie jej „och, proszę!”

–To prawda – mruknął Jim.

May miała wrodzone zdolności przywódcze i bez trudu znajdowała posłuch u innych, ponieważ jej zachowanie wyraźnie dawało do zrozumienia, że zawsze dotrzymuje słowa i robi to, co zapowiedziała.

Chciałbym być taki, pomyślał z żalem Jim. Chandos był jednym z takich ludzi... i Brian. Nagle Jim uświadomił sobie, że Angie coś do niego mówi.

–... i chciałabym, żebyś wykorzystał tę okazję i lepiej ją poznał...

–May? W jaki sposób?

–Nie, nie! Joannę z Kentu, hrabinę Salisbury. Pewnego dnia księżę może zostać królem, a ona królową. Ta podróż do Tiverton to idealna okazja. Tutaj byłeś jej gospodarzem. Poza tym jesteś baronem, a nikt z pozostałych nie ma szlacheckiego tytułu. To zupełnie oczywiste, że powinniście jechać razem.

–A co z samym księciem?

–On będzie wyprzedzał nas o jakieś piętnaście czy trzydzieści minut, tak by mógł przysiąc na Biblię, że chciał wcześniej zawiadomić o naszym przybyciu, ale nie na tyle wcześnie, żebyśmy nie zdążyli wjechać do zamku, zanim przyniesie tę wiadomość swemu ojcu.

–Rozumiem.

–No tak. Wszystko zaplanowane. Zaraz spakuję nasze rzeczy i pozostanie tylko załadować je na jucznego konia. Jako mężczyźnie na taką trzydniową wizytę w zupełności wystarczyłoby ci jedno ubranie, ale zabrałam dwa, żebyś zrobił wrażenie na królu. Z tego, co mówi Joanna, wynika, że królowie są jak banki z naszych czasów: chętnie pożyczą ci pieniądze, jeśli tylko masz ich mnóstwo. Władcy też chętnie obdarowują ludzi, którym na niczym nie zbywa. No tak! A teraz przygotujmy się do obiadu, bo już czas.

Obiad był mniej uroczysty niż zwykle. Geronde nie zeszła na dół, więc posłano jej

posiłek do komnaty, którą dzieliła z Brianem. Wszyscy pozostali zjedli w pośpiechu, mając wiele do zrobienia przed porannym wyjazdem. Ponieważ wcześniej Joanna podróżowała z niewielkim bagażem przebrana za giermka, Angie pożyczyła jej kilka sukni. Obie były podobnego wzrostu, ale stroje wymagały drobnych przeróbek. Książę miał przywieźć jej odpowiednią suknię z Tiverton, ale nie zrobił tego. Ponadto jak zwykle na skutek swej bez troski był kompletnie splukany.

– „Jeśli potrzebuję nowego ubrania...” – Joanna powtórzyła Angie jego słowa wypowiedziane w zaciszu ich komnaty.

– A przeważnie potrzebujesz – wtrąciła Angie.

– „...mogę podejść do pierwszego lepszego dworzanina mojego wzrostu i powiedzieć: «Podoba mi się twój strój. Chciałbym taki mieć». I oczywiście zaraz zamienimy się ubraniami”,

– Tylko że ja nie mogę powiedzieć czegoś takiego do damy, bo wyszłabym na idiotkę – powiedziała Joanna do Angie.

Jim przez całe popołudnie instruował cieślę, jak ma ustawić namiot na dziedzińcu, a pannę Plyseth, jak należy prowadzić izbę chorych. Wysłuchali go i obiecali wykonać polecenia, po czym odszedł, wiedząc, że i tak zrobią wszystko po swojemu. Odbył także dłuższą i bardziej satysfakcjonującą rozmowę z Johnem Stewardem, majordomusem, który obiecał przypilnować, by wszyscy uwijali się jak w ukropie. W tej sprawie Jim mógł na niego liczyć.

Kolacja minęła spokojnie, wszyscy byli zmęczeni, śniadanie zaś zjedzono w pośpiechu, korzystając z zimnego bufetu. Wszyscy byli gotowi do drogi.

Po wczesnym śniadaniu książę uroczyście pożegnał Jima i Angie, po czym odjechał galopem, aby wyprzedzić pozostałych podróżnych. Oni też ruszyli w drogę. Słońce weszło i nastał ciepły dzień. Joanna podjechała do Jima i razem z nim znalazła się na czele całej kawalkady.

– Chciałabym cię zapewnić, sir Jamesie – powiedziała – że doceniam to, iż zechciałeś wyruszyć w tę podróż w tak gorącym dla ciebie okresie. Jesteś wielce uprzejmy dla księcia Edwarda i dla mnie.

– Ta podróż nam również przyniesie korzyści, milady – odparł. – Niecodziennie spotyka się króla.

– Spotkanie z królem to nic takiego – powiedziała. – Jego pot ma taki sam zapach jak pot innych ludzi. Błagam, sir Jamesie, czy mogę ci mówić po imieniu, skoro jesteś starym przyjacielem Edwarda, a ja już polubiłam i zaprzyjaźniłam się z twoją mądrą i piękną żoną? Ona zwraca się do mnie „Joanno”, ciebie też o to proszę, kiedy spotykamy się nieoficjalnie, a ja nazywam twoją żonę „Angelą”.

– Będę musiał trochę poćwiczyć – stwierdził Jim. Ciepłe promienie słońca i tak łatwy początek rozmowy sprawiły, że trochę odtajał. – Angie... Angela bardzo wysoko cię ceni. Powiedziała, że jesteś bystra.

Joanna zaśmiała się.

– Jak woda?

– Nie, nie – odparł Jim. – Błagam o wybaczenie. Angie i ja rozmawiamy ze sobą trochę dziwnym językiem, gdyż tak mówią ludzie tam, skąd pochodzimy. Angie

chciała powiedzieć, że twoje myśli są czyste i klarowne. Chciała, żebym skorzystał z okazji i porozmawiał z tobą podczas tej podróży.

Joanna nagle spoważniała.

–A więc wykazała się również wielką rozważą. Powiem ci, że pod wieloma względami uważam ją za niezwykłą kobietę. Większość żon dostrzega tylko moją twarz i ciało. Wolą trzymać swoich mężów z daleka ode mnie.

–Angie jest wyjątkowa!

Joanna uśmiechnęła się.

–Widzę.

–Widzisz? – Jim spojrzał na nią ze zdziwieniem. – Co takiego widzisz?

–Na czym to polega. Masz szczęście, mając taką żonę, James. Niewiele jest równie szczęśliwych małżeństw. Bóg wie, że moje takie nie były, a zawarłam dwa, chociaż pierwsze z nich wciąż noszę w sercu.

–Dwa? – spytał z lekkim zdziwieniem Jim. Studiując historię, dość dobrze poznał dzieje Pięknego Dziewczęcia z Kentu, lecz teraz obok niego jechała osoba wyglądająca na nastolatkę... Zaraz jednak przypomniał sobie, że w tych czasach ludzie żyli szybko, a umierali młodo i nagle. – Przepraszam. Nie chciałem być wścibski.

–Wścibski? Wielkie nieba, skądże! Nie znasz mojej historii? Myślałam, że wszyscy ją znają. Mój pierwszy mąż nazywał się Holland, a dla mnie słońce wschodziło i świeciło na jego rozkaz. Był, wciąż jest, rycerzem. Miałam dwanaście lat, kiedy się pobraliśmy – całkiem legalnie, ale w tajemnicy. Potem jednak rodzina sprawująca nade mną opiekę zaczęła się martwić, że zbyt szybko dorastam i zachowuję się jak dorosła kobieta. W pośpiechu wydali mnie za mąż.

Jim w milczeniu pokręcił głową. Nie przychodziło mu do głowy nic, co mógłby powiedzieć.

–Holland był wówczas na wschodzie, walcząc z poganami, a ja byłam jeszcze bardzo młoda. Wiedziałam, że król wpadłby w szal na wieść, że wyszłam za mąż bez jego zgody. Nic nie powiedziałam o moim pierwszym małżeństwie i pozwoliłam wydać się za Salisbury'ego. On nie jest złym człowiekiem. Znosi wszystkie moje wybryki, jeśli tylko nie są zbyt ostentacyjne, ale ja go nie kocham. Zgodnie z prawem kościelnym Holland mógłby mnie odzyskać, gdyż nasze małżeństwo jest prawomocne, co unieważnia mój ślub z Salisburyem. Ponieważ jednak pochodzę z królewskiego rodu, potrzebny jest w tej sprawie edykt papieski, a to kosztuje. Holland nie ma na to pieniędzy ani też nadziei na ich pozyskanie, chyba że weźmie sowity okup za jakiegoś jeńca. Teraz znasz już całą moją historię.

–Jest jeszcze Edward – usłyszał swój głos Jim. Takie uwagi nie leżały w jego charakterze, lecz po tym wszystkim, o czym tak otwarcie mówiła Joanna, pękły tamy jego ciekawości.

–Ach tak – powiedziała. – Edward, mój Edward, młody Edward, to zupełnie inna sprawa. Dorastaliśmy razem na królewskim dworze i zawsze go kochałam. Są w nim zadatki na wielkiego władcę i jeśli zdołam go ochronić, zanim zostanie królem, nic mu w tym nie przeszkodzi. Ja wprawdzie mam tylko moją urodę i rozum, ale zdziwiłbyś

się, choć Angela na pewno nie, ile można dzięki nim osiągnąć.

–Zapewne – przyznał pokornie Jim.

Joanna znów się roześmiała, głośno i swobodnie.

–Nie pozwól, by skromność przywiodła cię na skraj głupoty – powiedziała. –

Niewielu mężczyzn przyznaje się do swych zalet, niewielu wierzy w to, że naprawdę są tak dobrzy. To cenna zaleta, na świętego Piotra! Jednak nadmierna skromność ociera się o głupotę. Sądzę, że wasze towarzystwo dobrze wpływa na młodego Edwarda: twoje, sir Briana i tego łuczniaka, którego imienia nie potrafię wymówić. Przypominacie księciu, że na tym świecie żyją ludzie, którzy nie są złośliwi, chciwi i samolubni. Wy trzej jesteście dla niego jak haust świeżego powietrza. Dotrzymujecie ślubów.

Jim, rozbrojony szczerością Joanny, o mało nie powiedział, że nigdy nie składał żadnych ślubów – rycerskich ani innych. W porę ugryzł się jednak w język. Takie wyznanie nic by mu nie dało, a prawdę mówiąc, mogłoby tylko ściągnąć na niego kłopoty. Mimo to odczuwał taką pokusę. Szczerość wyzwala szczerość.

–Co zamierzasz... – zaczął, lecz tym razem powstrzymała go wrodzona ostrożność.

–W Tiverton? Muszę przypomnieć się staremu Edwardowi. Do tego zmierzałam od początku, ale musiałam poczekać, aż Cumberland zejdzie mi z drogi. On też nie jest głupi. Gdyby tylko zobaczył, że pozostaję w dobrych stosunkach z Edwardem, natychmiast domyśliłby się, co zamierzam, i podjął odpowiednie kroki, żeby pokrzyżować mi plany. Jest bogaty i dostatecznie wpływowy, aby nakłonić Salisbury'ego, by ten trzymał mnie z daleka od obu Edwardów. A chcąc uzyskać to, czego pragnę, muszę ich widywać. Listy nic nie dadzą.

Jim przypomniał sobie pewien smutny fakt, który poznał, pisząc pracę dyplomową. W historii świata, z którego przybyli tutaj z Angie, jadąca teraz obok niego kobieta, tylko już znacznie starsza, napisała list do jednego z synów, których miała z Edwardem – syna, który tymczasem stał się królem Ryszardem II – błagając, by oszczędził swego skazanego na śmierć przyrodniego brata, będącego synem jej i Hollanda. Ryszard zignorował tę prośbę i kazał go ściąć.

Czy to samo miało się zdarzyć w tym świecie? Podobno egzekucja przyspieszyła śmierć Joanny, postarzałej, owdowiałej i załamanej... Przykro było pomyśleć, że taka przyszłość czeka tę pełną życia młodą kobietę, która tak pewnie i ufnie jechała obok niego.

Odepchnął od siebie tę myśl. Tutaj, tak samo jak w ich świecie, nie dało się przewidzieć przyszłości.

–Czy masz pojęcie, jak wygląda Tiverton? – zapytał. – I czego możemy się tam spodziewać?

–Nic nie wiem o samym zamku – odparła wesoło. – Pewnie składa się ze schodów i komnat. Ponieważ jednak rezyduje tam król, mogę opowiedzieć ci o wszystkim innym.

–Właśnie to mnie interesuje – odparł Jim. – A najbardziej zależy mi na tym, żeby odjechać stamtąd najpóźniej po trzech dniach.

–Pomogę ci w tym – powiedziała. – Mogę opowiedzieć ci o dworskich manierach i zwyczajach...

–Bardziej interesuje mnie opis zamku i to, gdzie kogo w nim szukać.

–Z pewnością. Jednak znajomość manier i zwyczajów również może się okazać użyteczna, baronie,

Na chwilę zapadła cisza, a Jim uświadomił sobie, że został delikatnie skarcony za przerywanie hrabinie.

–Oczywiście! – rzeki pospiesznie. – Nie pomyślałem o tym. Powinienem wiedzieć, że to, co chcesz mi powiedzieć o dworskich obyczajach, jest niezwykle ważne, ale znajomość rozkładu pomieszczeń Tiverton może pomóc nam wydostać się z zamku, gdy przyjdzie na to czas. Na chwilę zapomniałem, że ty tam zostaniesz.

–Miejmy nadzieję – powiedziała. – To mi przypomina, że ja ze swej strony kompletnie nie znam manier i zwyczajów twojej ojczyzny. Czy mogę za to przeprosić, najpierw opisując ci to, co nazywasz „rozkładem pomieszczeń” Tiverton?

–Będzie, jak zechcesz – rzekł Jim najdawniej, jak umiał.

–Dobrze. Zatem najpierw o zamku. Jak już powiedziałam, jeszcze nigdy go nie widziałam, ale wiem, że zbudowano go w tym stuleciu i podobno ma wspaniałą architekturę. Rozmawiałam z kilkoma Courtnayami, którzy byli jego właścicielami. Ich rodzina wybudowała nie tylko Tiverton, ale także Bickleigh i Powderhame w Devon, również w tym stuleciu. Jeśli mowa o Tiverton, to pod wieloma względami jest podobny do twego Malencontri...

–Doskonale – mruknął Jim.

–Król z pewnością zajmuje najlepsze i najbezpieczniejsze pokoje w zamku. Podobnie jak w Malencontri, znajdują się one na najwyższym piętrze zamkowej wieży, tylko zamiast jednej dużej słonecznej komnaty jest tam zapewne kilka mniejszych pomieszczeń, nie większych od tego, które oddzieliliście na pokój dla małego Roberta Falona. Goście króla zostaną ulokowani piętro niżej, tak samo jak zazwyczaj w Malencontri. Aby zrobić dla nich miejsce, król po prostu każe przeprowadzić się tym, którzy teraz je zajmują.

–W Malencontri tak nie postępujemy – powiedział Jim. – Oczywiście jeśli zapytalibyśmy kogoś, czy zechciałby zwolnić pomieszczenie, na pewno by się zgodził.

–Z pewnością. W wypadku gdy pytający przewyższa go majątkiem lub urodzeniem...

Tak więc przez resztę podróży rozmawiali o zamku, manierach i obyczajach, a gdy wreszcie wjechali na wewnętrzny dziedziniec Tiverton, stało się oczywiste, że król nie zmienił zdania, kiedy książę zapowiedział przybycie gości. Uśmiechnięci stajenni pomogli zsiąść im z koni, a uśmiechnięta służba zaprowadziła ich do pokojów.

Jim ze zdziwieniem poczuł, że schowany pod jego koszulą Hob, trzymający swój miecz, trzęsie się jak listek, ale nie miał czasu zapytać, co tak przeraziło małego skrzata. Książę bowiem zapukał do drzwi i nie czekając na zaproszenie, wszedł do środka.

**–Mój ojciec zobaczy się z wami od razu. Wprost nie może się tego doczekać –
oznajmił. – Natychmiast wzywa was przed swoje oblicze. Nie przejmujcie się pyłem
po podróży. Do licha, chodźże, James!**

Rozdział 17

Angie dygnęła przed królem, a za nią już zbliżała się Joanna z księciem. Kiedy żona odsunęła się na bok, Jim zrobił krok naprzód i złożył najgłębszy i najbardziej uroczysty ukłon w swoim życiu. Ten „manewr” był bardziej skomplikowany, niż podejrzewał, zanim zaczął ćwiczyć. Przede wszystkim jeśli nie zrobiło się tego jak należy, łatwo można było stracić równowagę i upaść. Tym razem jednak udało mu się tego uniknąć i kiedy się wyprostował, ujrzał przed sobą twarz króla, porośniętą brodą, która była już bardziej siwa niż blond. Zobaczył też parę niebieskich oczu Plantageneta, niemal niewidoczne siwe brwi oraz białe i mocno już przerzedzone włosy.

Jednak w swej ciemnoczerwonej szacie król bynajmniej nie wyglądał tak niechlujnie, jak głosiła wieść gminna.

–Ha! Mój paladyn! – powiedział, taksując wzrokiem Jima. – W końcu mnie odwiedziłeś!

–Nie mogłem się doczekać tego dnia, wasza wysokość – powiedział Jim. Już zaczynam mówić jak dworak, pomyślał.

–Czemu więc nie przybyłeś wcześniej?

–Nie chciałem przeszkadzać, przybywając bez zaproszenia, wasza wysokość – odparł Jim, myśląc o ekspresowym tempie tej podróży. Grzecznie, zawsze grzecznie.

–Dlaczego do tej pory go nie wezwałem? – król pytająco spojrzał na księcia.

–Wiadomo mi, że przynajmniej raz miałeś już taki zamiar, wasza wysokość – odparł jego syn. – Zdaje się, że earl Cumberland przypomniał ci wówczas, że czeka cię wizyta w Parlamencie i lepiej będzie odłożyć to na później.

–Hmm... – mruknął król, gładząc swą brodę. – Zapewne masz rację, Edwardzie, chociaż mógłbym przysiąc, że jeszcze przy innej okazji chciałem go wezwać i wtedy nie przeszkadzał mi nawał obowiązków. Jednak jakoś... No cóż, teraz tu jest razem ze swoimi trzema wspaniałymi towarzyszami. Najwyższy to czas – ciągnął król, zwracając się do Jima. – Jest wiele spraw, o które chcę was spytać. Jakże bardzo pragnąłem tam z wami być!

Oczywiście „tam” mogło być tylko jednym miejscem: Wieżą Loathly z ubarwionej przez bardów ballady o pierwszej przygodzie, jaką przeżyli z Angie wkrótce po tym, jak niespodziewanie przybyli do tego świata. Jim już miał dyplomatycznie powiedzieć, że ta historia nie jest warta czasu jego królewskiej mości, gdy zrozumiał, że w ostatnich słowach władcy dźwięczała nuta szczerego żalu. Nagle pojął, że ten człowiek pragnie czegoś niemożliwego: powrotu rycerskich trudów swych młodych lat, życia, które – jak wszystkich młodzieńców z wyższych sfer – nauczono go kochać.

–Żałuję, że cię tam nie było, wasza wysokość – powiedział Jim, łącząc jak z nut. Podstarzały monarcha tylko by przeszkadzał. Nawet taki wspaniały szermierz jak Brian potrzebował całego dnia, żeby zabić Worma, a czy jakikolwiek inny łucznik prócz Dafyddda potrafiłby odpierać ataki harpii niespodziewanie wypadających z nisko wiszących chmur i atakujących rycerzy? I jakiż mag prócz Carolinusa potrafiłby powstrzymać te obłoki od opadnięcia niżej? Był to paskudny, a nie

wspaniały dzień. Długi i ciężki dzień, kiedy wszyscy starali się pozostać przy życiu, żeby zabić to coś, z czym walczyli.

A król żałował, że nie wziął w tym udziału! We współczesnym świecie jego ubolewanie wydałoby się zabawne. Zaraz jednak Jim przypomniał sobie prawdziwą historię o Trzydziestu spod Oak, kiedy to dowódca piętnastu doborowych francuskich rycerzy rozpaczliwie zawołał po kilkugodzinnej bitwie:

–Muszę się napić, bracia!

A któryś z nich odkrzyknął mu:

–To napij się swojej krwi, Beaumanoir!

I z wyschniętych gardeł równie spragnionych i strudzonych rycerzy wydobył się ryk śmiechu.

Jim nie widział niczego pociągającego w bitwie o Wieżę Loathly. Wziął w niej udział dlatego, że postanowił uwolnić Angie, nawet gdyby miał przy tym zginąć. Tymczasem ci urodzeni rycerze marzyli o takiej potyczce. Przypomniał sobie młodego sir Gilesa de Mer, który przy obozowym ognisku nieśmiało wyznał jemu, Brianowi i Dafyddowi, że przed śmiercią chciałby dokonać jakiegoś wielkiego czynu. Był wtedy tak młody, że ledwie zaczął mu się sypać płowy wąs, a już marzył o chwalebnej śmierci.

A ten podstarzały człowiek, zajmujący tak wysokie stanowisko i mający taką władzę, najwyraźniej podzielał to marzenie i kultywował je, choćby w formie podkoloryzowanej ballady, której prawdziwość Jim miał teraz potwierdzić, aby uczynić ją bardziej realną.

Król zwrócił się do Angie:

–Zechcesz usiąść, pani? Niewątpliwie będziesz tak uprzejma... – urwał. – Co mówisz?

Księżę, który podszedł i stanął tuż obok wyściełanego królewskiego fotela, szepnął coś królowi do ucha.

–Przecież nie zrobiłem go baronem! – zauważył dość głośno monarcha. – Ach, chcesz powiedzieć, że był nim już, kiedy przybył do Anglii.

Ponownie zwrócił się do Angie, która skorzystała z zaproszenia i zajęła miejsce na czymś w rodzaju taboretu z niewysokim oparciem. Jim wciąż stał.

–Wybacz nam, lady Riveroak i Malencontri, że nie zwróciliśmy się do ciebie we właściwej formie – rzekł. – Jesteśmy również przekonani, iż okażesz nam wyrozumiałość, z jakiej znana jest płeć piękna, jeśli będziemy mówić o walkach i bitwach, jak to często robią mężczyźni.

Ta przemowa, wyrecytowana z szybkością i wprawą świadczącą o wieloletniej praktyce, w sposób nie pozostawiający cienia wątpliwości wyjaśniła Angie, że monarcha uprzejmie przeprosza ją za to, że nazwał ją „panią”, a nie „lady”, który to tytuł przysługiwał jej jako małżonce szlachcica. Ponadto poinformował ją, że jej obecność ma jedynie dodać smaczku klasycznej opowieści o damie w opałach i nie będzie się od niej wymagać żadnych komentarzy.

–Oczywiście, wasza wysokość – przytaknęła.

Król znów zwrócił się do Jima.

–Sir Jamesie, jednym z obowiązków rycerza jest walka z wszelkim złem. Dlaczego uznałeś za konieczne napisać do mnie list z prośbą o zezwolenie na zaatakowanie Wieży Loathly?

Ponieważ Jim zrobił to tylko w nazbyt bujnej wyobraźni bardów, to pytanie go zaskoczyło. Najwyraźniej będzie musiał potwierdzić prawdziwość właśnie tej wersji.

–Obawiam się, że zrobiłem to przez nieznaną angielskiego prawa, wasza miłość – odparł. – Prawo dokładnie reguluje zasady polowań na zwierzynę, która jest własnością waszej wysokości, aby nadmiernie jej nie wytrzebiono łowami poza sezonem. Wprawdzie nie sądziłem, aby odnosiło się to również do Ciemnych Mocy, ale wolałem się upewnić...

–Zaiste – powiedział król – taka rozważa dobrze o tobie świadczy, sir Jamesie. Istotnie, osobiście rozprawiłbym się z Ciemnymi Mocami, gdybym tylko miał na to czas. Jednak jestem zajęty, tak strasznie zajęty! Dlatego twój list był mile widziany i z prawdziwą przyjemnością udzieliłem ci pisemnej zgody... Jeśli dobrze pamiętam, to nawet niezwłocznie.

Jim bacznie wpatrywał się w niebieskie oczy starego Edwarda. Czy król naprawdę w to wierzył, czy też sobie wmawiał... a może...? Może właśnie w taki sposób tworzy się historię.

–Zamierzałem zatrzymać ten list na pamiątkę twojej niezwyklej uprzejmości – ciągnął król – ale gdzieś się zapodział. Mamy tyle korespondencji, a nawet nasi najlepsi sekretarze bywają niedbali, w przeciwieństwie do służby tego zamku. Bardzo mi się podoba w Tiverton. Mam jednak kopię pisma, które wysłałem ci w odpowiedzi. Pomyślałem, że może cię to zainteresuje. Edwardzie, zechciej wezwać...

Ale sługa już stał przy fotelu króla, podając mu zwój pergaminu.

–Earl Cumberland obiecywał mi tu nadzwyczajne usługi – mówił monarcha – ale muszę przyznać, że rzeczywistość przekroczyła moje najśmielsze...

Urwał i wręczył pismo Jimowi, który wziął je, ale nie był w stanie odczytać ani słowa, gdyż było napisane najbardziej ozdobnym ze stylów urzędniczej kaligrafii.

–Godne uwagi – rzekł Jim, patrząc na pergamin i niczego nie rozumiejąc. – Teraz wszystko sobie przypominam. Jakże mam dziękować waszej wysokości za tak uprzejmy list?

–Nie musisz. Zatem znasz również łacinę, sir Jamesie. To jeszcze jedna z twoich zalet, rzadka wśród paladynów. Zawsze utrzymywaliśmy, że rycerzowi nie zaszkodzi odrobina znajomości łaciny, nie mówiąc już o angielszczyźnie. Francuski też bywa przydatny, nie widzę jednak żadnych korzyści płynących ze znajomości greki. My, monarchowie, musimy posiadać takie umiejętności i przeważnie nabywamy je za młodu, choć niektórzy kształcą się pilniej od innych...

Rzucił pełne dezaprobaty spojrzenie księciu, który zacisnął usta, ale nic nie powiedział.

Król wyciągnął rękę i wziął od Jima list.

–Każe sporządzić dla ciebie kopię tego pisma – powiedział – na wypadek, gdyby znajdujący się w twoim posiadaniu oryginał uległ zniszczeniu lub zaginął. Teraz jednak porozmawiajmy o samej bitwie. Bardzo chciałbym usłyszeć prawdziwą relację

z twoich ust. I proszę, bez fałszywej skromności, sir Jamesie.

Znowu! Jim miał wrażenie, że już tysiąc razy opowiadał o wydarzeniach tamtego dnia. Zazwyczaj trzymał się prawdy – do diabła z tym, że nie zgadzała się z wersją bardów – pozostawiając słuchaczom wybór jednego z dwóch przekazów. Wszyscy niezmiennie naciągali jego relację do ballad, które były znacznie atrakcyjniejsze. Woleli, by Jim w swoim własnym ciele i zbroi potykał się z ogrem, niczym legendarny święty Jerzy walczący ze smokiem.

Teraz jednak doszedł do wniosku, że powinien nieco nagiąć prawdę, aby spełnić oczekiwania króla.

Słuchacze zawsze domagali się długiej i szczegółowej relacji. W połowie opowieści król litościwie pozwolił mu usiąść, a także kazał przynieść wina i wody do przepłukania gardła oraz taki sam taboret, na jakim siedziała milcząca Angie. Stółek był mały i twardy, lecz w tym momencie wydał się Jimowi najwygodniejszym z foteli, na jakich zdarzyło mu się siedzieć.

Na szczęście król nie zamierzał przedłużać posiedzenia po tym, jak wszystkie stwory Ciemnych Mocy zostały zabite, a same Moce zmuszone przez Carolinusa do opuszczenia Wieży Loathly. Pociągnął tęgi łyk nie rozcieńczonego wina i rzekł:

–Ach, wreszcie wszystko wiem. Teraz udamy się na spoczynek. Możecie odejść. Edwardzie, dopilnujesz, aby zaprowadzono ich do komnat?

–Tak, wasza wysokość – odparł syn.

–W samą porę – mruknął potem Jim. – Jeszcze pięć minut na tej namiastce krzesła i pękłby mi kręgosłup.

–Nikommu nie wolno patrzeć z góry na króla – zauważyła Angie. – Pamiętasz? A co ze mną? Ja siedziałam na czymś takim dłużej niż ty.

–To prawda – i nie powiedziałaś ani słowa. Powinien był cię odprawić po tym, jak zostałam przedstawiona. Zastanawiam się, dlaczego kazał ci zostać?

–Byłam elementem obrazu. Dama, jej wybawca i król, który go posłał, wszyscy razem słuchają twojego opowiadania.

–Może masz rację. To ma sens, sądząc po tym, co tu widzę.

–Poprosiłam Joannę, żeby cię ostrzegła. Pomyślałam, że bardziej weźmiesz to sobie do serca, jeśli usłyszysz to z jej ust. I chyba tak się stało. W otoczeniu króla dobre maniery są najwyższym prawem. Rozmawiałeś z nią przez całą drogę. Co o niej sądzisz?

–Miałaś rację – odpowiedział. – Ona naprawdę jest bystra i najwyraźniej więcej wie o królewskim dworze, niż ja zdołałbym się dowiedzieć przez całe życie. Bardzo mi się spodobała. Czy moja opinia wreszcie pokrywa się z twoją?

–Uff! – sapnęła Angie, zeskakując z łoża, na którym leżała, i strzepując coś z ręki.

–Co to?

Jim zerwał się z miękkiego fotela, na którym rozprostowywał zeszywniałe plecy.

–Pchła! – Angie patrzyła na podłogę. – Zamierzałam ją rozdeptać, ale uciekła. Powinnam uważać, ale wszystko tutaj było tak lśniące i eleganckie...

Jim natychmiast otoczył ją ochronnym zaklęciem, a potem tak samo zabezpieczył wszystkich, którzy przyjechali z nim z Malencontri, gdziekolwiek teraz się znajdowali.

Przeklął się w duchu za to, że nie zrobił tego wcześniej.

–Angie, ucięła cię? Możesz mi powiedzieć, czy cię ucięła? – pytał niespokojnie.

–Nie zdążyła. Zobaczyłam ją, jak tylko na mnie skoczyła, i strząsnęłam z ręki.

Żałuję jedynie, że dałam jej uciec.

–Ja też – warknął Jim, gniewnie spoglądając na podłogę. W *Encyclopédie Necromantic* powinno być jakieś zaklęcie działające jako „środek owadobójczy” ogólnego stosowania, tymczasem według Carolinusa w księdze nie było żadnej magii mogącej zabijać. Taka magia była zakazana, gdyż magowie mogli posługiwać się swą sztuką wyłącznie w celach obronnych.

Hob niepostrzeżenie wyślizgnął się spod koszuli Jima, nieświadomie wykorzystując swoją magię w sposób typowy dla wszystkich naturalnych. Stał pomiędzy Jimem a kominkiem. Miecz u jego boku wyglądał tak, jakby skrzat nosił go już wtedy, kiedy Jim zobaczył go pierwszy raz.

–Milordzie, czy mogę pójść poszukać tutejszego skrzata?

–Co...? Och tak.

Hob w mgnieniu oka znikł pod okapem kominka.

Jim zmarszczył brwi, patrząc w ślad za nim. Hob był dziwnie blady i miał taką minę, jakiej jeszcze u niego nie widział. Jim miał nadzieję, że posiadanie miecza nie uderzyło skrzatowi do małej główki i Hob nie zrobi niczego głupiego, na przykład wyzywając miejscowego skrzata na pojedynek, aby rozstrzygnąć, który z nich jest lepszy.

–Hobie, wracaj tu! – zawołał. Skrzat niemal natychmiast znów się pojawił.

–Tak, milordzie?

–Chyba nie zamierzasz... – Jim zawahał się. – Pochopnie zrobić użytku z miecza, który nosisz?

–Nie, milordzie – odparł skrzat z pewną dyskretną godnością, która była u niego czymś zupełnie nowym. – Jednak najlepiej ci się przysłużę, jeśli dowiem się o tym zamku wszystkiego, co miejscowy skrzat może mi powiedzieć.

–Och, rozumiem. – Jim trochę się zmieszał. – Z pewnością. Oczywiście. Mam nadzieję, że nie uraziło cię to, co powiedziałem o twoim mieczu.

–W żadnym razie, milordzie. On może się okazać zbawienny dla mnie i dla miejscowego skrzata. One nie mogą dotykać zimnego żelaza, podczas gdy my, skrzaty, nie tylko możemy go dotykać, ale i posługiwać się nim.

–Rozumiem. No cóż, zatem powodzenia.

–Dziękuję, milordzie.

Hob wskoczył do kominka i znikł.

One, pomyślał Jim, to na pewno gobliny, a przecież podczas podróży nie zauważyli ani jednego.

–Czas spać – powiedziała Angie.

Rozdział 18

Ich pierwszy cały dzień w Tiverton rozpoczął się od pochmurnego poranka. Jim i Angie, już stosownie ubrani, spokojnie jedli śniadanie, które przyniesiono im do pokoju, kiedy ktoś głośno zapukał do drzwi.

W pierwszej chwili Jim miał ochotę wrzasnąć „idź precz!”, ale w porę przypomniał sobie, że tak puka młody Edward. Potem zamierzał zignorować pukanie, ale uświadomił sobie, że księżę i tak może po prostu wejść, gdyż drzwi gościnnych komnat zazwyczaj nie mają zamków, a nawet zasuwek.

Pukanie powtórzyło się, jednak księżę nie wszedł do środka. Jego głos dobiegł zza pięciocentymetrowej grubości drzwi.

–James! James! To ja, Edward. Jest tu ktoś, kogo powinieneś poznać, i musimy porozmawiać!

Jim pospiesznie rzucił zakłęcie na drzwi i ścianę, w której były osadzone. Po namyśle sprawił, że zakłęcie pozwalało mu słyszeć, co mówiono po drugiej stronie, ale nie przepuszczało żadnych dźwięków na zewnątrz.

W samą porę. Usłyszał słabe, lecz zrozumiałe głosy księcia i pokojowego pełniącego służbę pod drzwiami komnaty.

–Mówiłeś, że widziałeś, jak oboje weszli do środka?

–Tak, wasza miłość.

–I od tamtej pory nie wyszli?

–Nie, wasza miłość.

–Cóż, niech przyjdzie tu ktoś z toporem albo jakimś innym narzędziem. Te drzwi się zacięły.

–Tak, wasza miłość.

Potem księżę dodał nieco ciszej:

–... cierpliwości. Sir James jest magiem i jedynie święci wiedzą, co w tym momencie robi. Słudzy szybko wyważą drzwi, a wtedy się dowiemy.

–Lepiej go wpuść – powiedziała Angie. – Prędzej czy później będziesz musiał z nim porozmawiać.

Jim zdążył już ochłonąć i doszedł do tego samego wniosku.

–Masz rację – powiedział.

–Zatem zrób to teraz, zanim narobi szkód.

–Dobrze – zgodził się Jim i podchodząc do drzwi, zdjął zakłęcie. – Ach, wasza miłość. Tak mi się zdawało, że słyszałem pukanie. Wejdz, proszę, razem ze swoim towarzyszem.

–Te drzwi się zacinają! – zauważył księżę, wchodząc pierwszy do komnaty. – Milady!

–Wasza miłość – powiedziała Angie z uśmiechem i dygnęła.

Księżę zamknął drzwi.

–Z niecierpliwością oczekiwałem chwili, James, kiedy będę mógł przedstawić ci tego zacnego męża: wicehrabia sir Mortimer Verweather, obecnie garderobiany króla...

–Jestem zaszczycony, milordzie – powiedział Jim, który od razu przypomniał

sobie tego człowieka. Mężczyzna wciąż był wysoki i chudy, a jego modny cienki wąsik nadal wydawał się zbyt czarny przy mysiobrazowych włosach. Długim nosem, sterczącym z opalonej twarzy, zdawał się węszyć w komnacie, szukając nieprzyjemnych zapachów.

–To wielki zaszczyt cię poznać, milordzie – rzekł gładko. – Chyba już się kiedyś spotkaliśmy, ale z pewnością tego nie pamiętasz.

–Tym bardziej powinienem się wstydzić – odparł równie dwornie Jim. – Może u diuka...

–W każdym razie – przerwał mu niecierpliwie książę – przyprowadziłem Mortimera, aby uzgodnił z tobą szczegóły dotyczące stroju, jakim zamierza obdarować cię mój ojciec. Jednakże ta rozmowa z pewnością znudzi damę. Może milady ma coś innego...

–Nie ma – powiedział odruchowo Jim, natychmiast stając okoniem, podobnie jak wtedy, kiedy książę chciał porozmawiać z nim w cztery oczy w słonecznej komnacie w Malencontri. Teraz nie znajdowali się na zamku Jima, lecz – na Boga! – chwilowo była to jego komnata i zgodnie ze średniowiecznym obyczajem miał prawo czuć się jak u siebie. Edward musi się nauczyć, że magiem nie można pomiatać.

–Zapomniałeś, mój panie – wtrąciła pospiesznie Angie. – Obiecałam zaraz odwiedzić Geronde...

–Ha...! Skoro tak – powiedział Jim. Angie jak zwykle miała rację. Nie ma sensu wszczynać kłótni, jeśli nie jest to konieczne. – Cóż, jeśli obiecałaś, to oczywiście musisz dotrzymać obietnicy. Okazuje się, że nawet dobrze się składa.

Odwrócony plecami do księcia, mrugnął do niej i powiedział najsurowszym tonem, na jaki mógł się zdobyć:

–Powinnaś mi o tym przypomnieć, do licha!

–Wybacz mi, mój panie – pokornie powiedziała Angie. – Najwyraźniej wyleciało mi to z głowy.

–No cóż, idź już.

Angie opuściła komnatę.

–Kobiety! – westchnął wymownie Jim.

–No tak – zgodził się Edward. – Nawet najlepsze z nich, do których niewątpliwie zalicza się twoja małżonka... Ale teraz mamy ważniejsze sprawy do omówienia.

–Jak najbardziej, wasza miłość – odparł Jim. – Czy zechcesz usiąść?

–Oczywiście. Sir Mortimerze.

Goście zajęli oba krzesła. Jim usiadł więc na łóżku.

–Najpierw jednak chcę cię o coś spytać, Jamesie – oznajmił Edward. – Czy znasz jakiś sposób na to, żeby nikt nie podsłuchał, o czym tu mówimy?

–Znam, wasza miłość, ale jak już wspomniałem przy innej okazji, prawa Zgromadzenia Magów...

Edward machnął ręką.

–Mój drogi Jamesie – rzekł konfidencjonalnie i z ujmującym uśmiechem – zrozum. Bynajmniej nie nakazuję ci tego jako twój książę, tylko proszę o przysługę jak starego przyjaciela. Jeśli masz taką umiejętność, byłbym bardzo wdzięczny, gdybyś

wykorzystał ją teraz, aby nikt nie podsłuchał naszej rozmowy.

–No cóż, dobrze – mruknął Jim, schwytany w pułapkę konwenansów. – Już. Zrobione, wasza miłość. Możemy spokojnie rozmawiać.

–Tak szybko? – zdziwił się Edward. – Sądziłem, że będziesz musiał palić jakieś okropne magiczne proszki albo wypowiedzieć magiczne inkantacje... inkan...

–Inkantacje, wasza miłość? Nie. Tych potrzebują tylko początkujący. Adept sztuki magicznej jest jak władca mówiący „niech tak będzie” i staje się wedle jego woli. Teraz możecie już mówić, co chcecie. Nikt nie zdoła tego podsłuchać.

Edward po raz pierwszy spojrzał na Jima ze szczerym podziwem.

–Tak twierdzisz? – wykrztusił.

–Istotnie.

–To dobrze! To mi wystarczy. No cóż, Jamesie, chodzi o to... ale po kolei. Mój ojciec zaczyna mieć o mnie coraz lepsze mniemanie. Czasem myślę, że nasze stosunki mogłyby powrócić do takiego stanu jak w tych szczęśliwych czasach francuskiej ekspedycji, która zakończyła się zwycięstwem pod Crécy... Muszę jednak spojrzeć prawdzie w oczy. Cumberland nie da się na długo odseparować od króla, aby nie stracić wszystkiego, co uzyskał przez lata zabiegów. Znowu zacznę oczerniać mnie przed ojcem. Potrzebujemy kogoś, kto mógłby zabrać głos pod moją nieobecność i obronić mnie przed kłamstwami i oszczerstwami mojego przyszywanego wuja.

Zamilkł i posłał Jimowi przenikliwe spojrzenie.

–Rozumiesz to?

–Tak, istotnie, wasza miłość. Niestety, ja oraz ci, którzy ze mną przybyli, będziemy tu tylko przez trzy dni...

–Tak, tak, zobaczymy, jak będzie. Jeśli jednak mądrze wykorzystamy waszą obecność, możemy wiele osiągnąć. Mój ojciec ceni sobie Mortimera. Sir Verweather zdołał wyjaśnić mojemu ojcu, że to on, a nie Cumberland zaproponował zamek Tiverton z jego czystością i wspaniałą służbą jako bezpieczne schronienie dla króla na czas zarazy.

–Ach tak? – mruknął Jim.

–No właśnie – odparł Edward. – I dobrze, że to wyjaśnił, gdyż Cumberland nigdy by nie przyznał, że to nie jego zasługa. W rezultacie mój ojciec wysoko ceni Mortimera, ale nie aż tak, by jego głos był ważniejszy od głosu earla i przybranego brata. Nie chodzi tu o pozycję, czego najlepiej dowodzi przykład Chandosa, który mimo licznych okazji awansu nie chce być nikim innym jak tylko zwykłym rycerzem, a mimo to ze wszystkich dworzan tylko jego ojciec ceni bardziej od Cumberlanda.

–Chandos jest niezrównanym rycerzem – rzekł Jim i naprawdę tak uważał.

–Istotnie. Jednak przede wszystkim Mortimer ma pewną wadę, która zawsze będzie czynić jego głos mniej ważnym od głosu Cumberlanda. Nie chodzi o to, że jest Francuzem, choć właściwie to nieprawda. Nie jest nim, chociaż i we Francji nie brak dzielnych ludzi noszących zbroje i złote ostrogi... Po prostu Chandos jest wodzem, w dodatku najlepszym w całej Anglii. Oczywiście, nie licząc Cumberlanda i mojego ojca. Tymczasem biedny Mortimer, nie ze swojej winy, jeszcze nigdy nie widział bitwy

i nie zdobył sławy w rycerskich pojedynkach.

–Przecież mężczyzna mimo to może być mężczyzną – powiedział Jim, dając zwyczajową odpowiedź na tego rodzaju wynurzenia.

–No właśnie. Jednak hrabina powiedziała coś, zapomniałem co też to było, co podsunęło mi pewną myśl. Z zadowoleniem obserwowałem radość, z jaką mój ojciec słuchał opowieści o pojedynkach na miecze lub kopie, i nagle przyszło mi do głowy, że gdyby Mortimer w obecności króla potykał się z jednym z was trzech, oczywiście na stępione miecze, i dobrze się spisał... Chociaż nie mógłby marzyć o zwycięstwie, z pewnością ogromnie zyskałby w oczach mojego ojca, który wtedy znacznie bardziej ceniłby jego słowa niż kłamstwa Cumberlanda. Oczywiście nie walczyłby z tobą, gdyż byłby to dla niego zbyt wielki zaszczyt, a poza tym nie mógłby dobrze wypaść.

Żebyś wiedział, pomyślał Jim.

–...Łuczniczka zaś rzecz jasna nie jest godnym przeciwnikiem dla pasowanego rycerza. Sir Brian byłby jednak wspaniałym rywalem.

Edward zamilkł, promieniejąc i najwyraźniej czekając na aplauz.

Do wszystkich diabłów! – zaklął w duchu Jim. Nawet pomijając to, czy powinno się nakłaniać gościa do fingowanego pojedynku na stępione miecze, zaledwie odrobinę mniej niebezpieczne dla życia i zdrowia niż ostre, był to najgorszy pomysł na świecie. Musiał jakoś odwieść od niego księcia, nie obrażając go przy tym, i powinien to zrobić od razu.

–Świetny pomysł, wasza miłość – rzekł. – Sir Brian z pewnością nie posiadałby się z radości. Gdybym jednak mógł zwrócić uwagę na pewną sprawę...

–Jaką sprawę? – promienny uśmiech znikł z twarzy Edwarda, który groźnie zmarszczył brwi.

–No cóż, wasza miłość wybaczy. Sądzę, że powinieneś wiedzieć, iż w Malencontri pewnego dnia po takim pojedynku sam Chandos nazwał sir Briana jednym z najlepszych szermierzy w Anglii.

Edward wytrzeszczył oczy.

–Chandos tak rzekł? – mruknął po chwili. – Zapewne mówił o tobie.

–Wybacz mi, wasza miłość, ale zapewniam cię, że nie. Tamtego dnia nie miałem miecza w ręku i tak się złożyło, że sir Brian i Chandos potykali się na ostre, chociaż dla rozrywki, kiedy Chandos bawił w moim zamku.

–No, no! – powiedział z podziwem lekko wstrząśnięty książę. – A więc istotnie powiedział tak do sir Briana!

–Właśnie – ciągnął Jim – i powiedział to donośnym głosem, tak że słyszeli wszyscy wokół. – Tak więc obawiam się, że sir Brian może okazać się lepszy od sir Mortimera w stopniu, który całkowicie zniweczy oczekiwany skutek tego pojedynku. A ponieważ, jak mówisz, Dafydd ap Hywel nie jest odpowiednim przeciwnikiem dla pasowanego rycerza, a moje zobowiązania wobec Zgromadzenia Magów...

–No tak, oczywiście! – rzekł Edward, zdając się unosić jak statek na potwornych falach nagle wzburzonego morza. – Jednak Mortimer całkiem zręcznie posługuje się mieczem, a ty mógłbyś... sam rozumiesz... napomknąć sir Brianowi, ile ja, a także

on, możemy zyskać, gdyby... cóż... rozumiesz...

Dopiero teraz Jim naprawdę poczuł ogarniający go gniew.

–Obawiam się, wasza miłość – odparł ponuro – że nie wiedziałbym, jak to zrobić.

–Co? – Edward zeszywniał i wyraźnie spochmurniał, słysząc tę niemal niegrzeczną odmowę.

–Sir Brian, podobnie jak Chandos, zawsze ściśle przestrzega swych rycerskich ślubów, z których jeden nakazuje w walce zawsze dawać z siebie wszystko. Nie sądzę, by inne postępowanie licowało z jego honorem, i prawdę mówiąc, nie sądzę, aby honor pozwalał mi zaproponować mu coś takiego.

Jim przygotował się na burzę z piorunami, lecz ze zdumieniem zobaczył, że chmura zniknęła z czoła księcia. Edward żałośnie się uśmiechnął i odprężył.

–No cóż, wszystkie moje nadzieje opierają się na tym, że sir Mortimer pokaże się mojemu ojcu z jak najlepszej strony. Jednak niech Bóg broni, by nadszedł taki dzień, kiedy zażądam od jakiegoś rycerza złamania ślubów! Musimy zaufać prawicy Mortimera oraz umiejętnościom, jakich nabył od kilku dobrych szermierzy, a wszyscy wiemy, że tych we Francji nie brakuje. Idziemy, Mortimerze?

Zaczął odwracać się do drzwi, lecz powstrzymały go słowa Mortimera.

–Za pozwoleniem, wasza miłość – rzekł garderobiany. – Jeszcze chwileczkę. Chciałbym powiedzieć słówko milordowi.

Edward ponownie się odwrócił.

–Mam do powiedzenia dwie rzeczy, milordzie – ciągnął Mortimer, zwracając się do Jima. – Po pierwsze, że pomimo kaprysu losu, który sprawił, że wychowałem się we Francji, krainie drogiej memu sercu, ale nie będącej moją ojczyzną, i otrzymałem francuskie nazwisko...

Jim nagle przypomniał sobie, że angielskie prawa dziedziczenia różnią się od tych, jakie obowiązywały we Francji. W Anglii tylko najstarszy syn dziedziczył prawo do tytułu. We Francji, podobnie jak w wielu innych krajach Europy, wszyscy synowie mieli do niego prawo. Jeśli Mortimer był drugim lub trzecim synem, to wyjaśniałoby trudne chwile, jakie przeżył, zanim udało mu się zaczepić przy królewskim dworze.

–...można powiedzieć, że czuję się Anglikiem, ze strony ojca i matki. Tylko zbiegowi okoliczności zawdzięczam to, że zostałem wychowany we Francji. Po drugie, chcę rzec, że Francja wciąż jest droga memu sercu, a złożone tam przeze mnie śluby były nie mniej rycerskie niż te, jakie składa się tutaj, a więc nie przyjąłbym żadnych forów w pojedynku!

–Brian będzie zachwycony takim podejściem – rzekł Jim z przekonaniem, na jakie zdołał się zdobyć. – On z pewnością podziela ten pogląd. Powtórzę mu twoje słowa.

–Dziękuję, milordzie. Wasza miłość, wybacz, że musiałeś na mnie czekać – powiedział Mortimer.

–Nie szkodzi. James, czy możemy stąd tak po prostu wyjść?

Czy też twoje zaklęcie jest niebezpieczne dla każdego, kto spróbuje wejść do komnaty lub ją opuścić?

–Jest zupełnie nieszkodliwe, wasza miłość, a poza tym już je zdjąłem.

–Zatem zobaczymy się później. Pięknie powiedziane, Mortimerze. Chodź.

Wyszli.

Jim odetchnął. Jeszcze jedna rozmowa z Edwardem, podczas której nie zgodził się spełnić żądań młodzieńca, nie urażając jego uczuć. Teraz jednak powinien niezwłocznie przekazać Brianowi niepomysłne wieści.

Odwrócił się do stołu, na którym prócz dwóch karafek z winem i wodą, zamiast zwyczajnych kubków stały puchary, gdyż właśnie z pucharów powinien pić szlachcic. Napełnił jeden z nich wodą. Jako szklana kula puchar wyglądał dość dziwacznie, ale powinien spełnić swoją rolę. Jim wydał odpowiednie polecenie i na nieruchomej powierzchni wody pojawił się pomniejszony wizerunek rycerza.

–Brianie – rzekł.

Przyjaciel ze zdumieniem rozejrzył się wokół.

–James? – rzucił w pustkę.

–Nie musisz nic mówić, Brianie – rzekł Jim. – Rozmawiam z tobą bez słów. Jeśli jest przy tobie ktoś, kto mógłby się dziwić, dlaczego mówisz do siebie, po prostu pomyśl to, co chciałbyś mi powiedzieć. Przed chwilą złożyli mi wizytę księżę i sir Mortimer Verweather. Chodziło im o ciebie. Jestem w naszej komnacie na górze. Możesz do mnie przyjść?

–Oczywiście – powiedział Brian. – Jestem tylko... powiem ci później.

Najwyraźniej miał kłopoty z formułowaniem słów bez ich wypowiedziania.

–Świetnie – powiedział Jim. – Teraz cię opuszczę.

Odwołał polecenie, opróżnił kielich, wziął drugi i nalał do niego trochę wina, ale nie rozcieńczył go wodą. Miał już przykre doświadczenia z zasobami studni znajdujących się gdzie indziej niż w Malencontri, choćby były to zamki mające nie wiedzieć jak sprawną służbę. Nie minęło dziesięć minut, a Brian zapukał do drzwi.

–To ja, Brian! – zawołał przez nie.

–Jestem sam! – odkrzyknął Jim. – Wejdz.

Brian wszedł, niosąc w jednej ręce wypchany worek, z którego wydobywał się chóralny skowyt i sporadyczne piski. Przystanął, by drugą ręką napełnić sobie puchar winem, również nie rozcieńczając go wodą, lecz w jego wypadku ze względu na smak, po czym niedbale wręczył worek Jimowi.

–Masz, Jim – powiedział. – Zaszedłem do tutejszej psiarni, i mieli tu kilka szczeniaków. Mówiłeś, że potrzebne ci teriery do Malencontri, więc wziąłem kilka. Inaczej utopiliby je.

–Dzięki – mruknął Jim, niepewnie trzymając worek w wyciągniętej ręce. Nie było sensu mówić Brianowi, że te pieski są o wiele za małe, by zdążyły dorosnąć, zanim zaraza dotrze z Londynu do Malencontri, choć jeśli plaga utrzyma się przez jakiś czas w Somerset, to może da się je wykorzystać w izbie chorych. Nie mógł przyznać, że rozczulił go żaloszny skowyt tych szczeniaków, pewnie urodzonych najwyżej przed dwoma dniami i wepchniętych do worka jak rzeczy. Co ma z nimi zrobić przez resztę pobytu w Tiverton?

Nagle wpadł na pewien pomysł. Hob lubił zwierzęta. Niech zabierze je do komina i zajmie się nimi. Jednak na razie... Wskazał palcem na worek, powiedział: „Spać!” i odgłosy natychmiast ucichły. Przez moment przestraszył się, że przedawkował.

Potem jednak zdał sobie sprawę, że przecież użył magii, nie leków nasennych. Jeśli tylko nie przetrzyma ich zbyt długo w tym stanie, nic im nie będzie. Ostrożnie położył worek na krześle.

–Jak to zrobiłeś, James? – zapytał wyraźnie zaintrygowany Brian.

–Dzięki magii – wyjaśnił Jim. – Mamy ważne sprawy do omówienia.

–Tak przypuszczałem, kiedy usłyszałem twój głos w mojej głowie – odparł Brian. – James, czy wiesz, jak trudno wypowiadać słowa, nie poruszając wargami?

–Wiem. Nabierasz jednak wprawy, jeśli robisz to często. Teraz być może będziemy musieli częściej porozumiewać się w ten sposób, więc sam się o tym przekonasz.

Brian z powątpiewaniem zmarszczył brwi i napił się wina.

–A ta ważna sprawa, James?

Teraz z kolei zmarszczył brwi Jim. Zastanawiał się, jak przekazać tę wieść Brianowi.

–Przed chwilą był tu książę z sir Mortimerem. Obiecałem Mortimerowi, że powtórzę ci to, co mi powiedział: że oboje jego rodzice byli Anglikami, a on tylko przypadkiem wychowywał się we Francji. Jednakże rycerskie śluby, które tam złożył, w niczym nie ustępują tym, jakie składa rycerz tutaj, od nikogo nie oczekuje więc forów.

–Cóż, słowa godne rycerza... Wybaczysz mi, James, jeśli doleję sobie jeszcze trochę wina? A właściwie dlaczego przyszedł ci to powiedzieć?

–Właściwie zrobił to dlatego, że książę, wiesz jaki on jest, nagle wpadł na pomysł, żebyście stoczyli pojedynek na stępione miecze ku uciesze króla, i poczynił po temu przygotowania, nawet nie pytając cię, czy tego chcesz.

–A czemu miałbym nie chcieć?

–Byłoby grzeczniej najpierw cię zapytać.

–Cóż, on jest jeszcze bardzo młody. Ponadto jako syn króla czasem wykazuje beztroskę... Czy to jest ta ważna sprawa, o której chciałeś ze mną mówić?

–Nie wiedziałem, jak przyjmiesz tę wiadomość.

–Zabawiając króla, okażę mu po prostu uprzejmość. To zacny staruszek, chociaż trochę śmierdzi mimo pięknego stroju. Cały rano poił mnie hiszpańskim winem i chciał, bym opowiadał mu o wszystkich turniejach, w których brałem udział. Zabrakło mi jednak czasu, żeby zdać sprawę ze wszystkich, które pamiętam. Nie można mieć za złe mężczyźnie, jeśli trochę śmierdzi, chociaż osobiście wolę być czysty, jak zapewne pamiętasz z czasów naszego pierwszego spotkania. Na przykład mój dziad... ale o tym innym razem.

Jim doskonale pamiętał. Zbudził się pewnego ranka, kilka dni po tym, jak poznali się z Brianem, i ujrzał go nagiego, z wyraźną przyjemnością zażywającego kąpieli w lodowatym strumieniu.

–Cóż – powiedział. – Cieszę się, że tak to przyjąłeś, zwłaszcza że książę nie zapytał cię najpierw o zgodę.

–To świetna zabawa, James. Oczywiście nie może się równać z potykaniem na kopie czy prawdziwą walką na ostre. Teraz, kiedy mi o tym powiedziałeś, już nie

mogę się doczekać tego spotkania.

–Zrozumiałem – rzekł ostrożnie Jim – że książę ma nadzieję, iż Mortimer dobrze się spisze. Dzięki temu mógłby być lepszym adwokatem księcia w tych sprawach, o których sam książę nie będzie mógł rozmawiać z królem.

–Cóż, może tak się stanie.

–Może. Książę mówił też, że Mortimer ćwiczył z najlepszymi szermierzami Francji. Tak więc może się okazać groźnym przeciwnikiem.

–Phi! Liczy się nie nauczyciel szermierki, ale sam szermierz. I musisz pamiętać, że to tylko zabawa. Przecież nie będziemy walczyć na ostre miecze.

–Skoro tak twierdzisz – zgodził się Jim, z trudem powstrzymując chęć przypomnienia przyjacielowi, że w wyniku takich zabaw podczas bożonarodzeniowego przyjęcia u earla kilku rycerzy zniesiono z placu z połamanymi rękami i nogami, a jednego ze wstrząsem mózgu.

–No cóż – rzekł Brian, dopijając wino i wstając. – Dziękuję ci, że mi o tym powiedziałaś, Jamesie. Teraz wybac mi, ale muszę wrócić do psiarni. Nie mam pojęcia, jak ich zarządca dostał to stanowisko! Zgadzał się ze wszystkim, co mu mówiłem, lecz kiedy usiłowałem coś z niego wyciągnąć, wykazał całkowitą niewiedzę. Większość psiarczyków – czy też łowczych, jakkolwiek ich zwać – zazwyczaj ma głowy tak napchane niewzruszonymi i odwiecznymi zasadami, że każdy nowy pomysł trzeba by im wbijać za pomocą topora. Tymczasem ten człowiek jest zupełnie inny. Wydaje się nie mieć żadnych własnych poglądów. Przytakiwał wszystkiemu, co mówiłem. „Tak, sir Brianie” i „Oczywiście, sir Brianie”. Miałem wrażenie, że nie rozumie, co do niego mówię. Mimo to jeszcze wbiję mu trochę rozumu do głowy. W każdym razie przyniosłem ci już pieski. Miło z twojej strony, że posiedziałaś ze mną i wysłuchałaś mnie. Dziękuję, James.

–Nie dziękuj mi, Brianie. – Jim wstał. – To ładnie z twojej strony, że znalazłaś dla mnie chwilę i jeszcze raz dziękuję za te szczeniaki.

–Mają dopiero kilka dni – odparł wesoło Brian, zmierając w stronę drzwi – i jak już chyba wspomniałem, wcale ich nie potrzebowali, bo mają aż za dużo terierów...

W tym momencie drzwi otworzyły się, zanim zdążył ująć klamkę, i o mało nie wpadł na wchodzącą Angie.

–Ogromnie przepraszam, lady Angelo! Racz mi łaskawie wybaczyć moją niezręczność!

–Nie masz powodu przepraszać, Brianie – odparła Angela. – Ja też nie uważałam. Nic się nic stało.

–Dzięki za to Bogu, gdyż nie wybaczyłbym sobie... I dziękuję ci za to, że tak chętnie mi przebaczyłaś.

–Ależ nie ma za co. Do widzenia, Brianie.

–W przyszłości postaram się uważać – obiecał Brian i wyszedł.

Angie przeszła przez pokój i opadła na zwolnione przez niego krzesło.

–Brian czasem przesadza z dobrymi... – urwała. – Wszyscy święci? A co to takiego?

–Szczenięta – odparł Jim, który właśnie je obudził.

-Szczenięta?

Rozdział 19

–Małe teriery. – Jim pokazał jej worek, z którego dobiegały chóralne piski. – Brian wiedział, że potrzebne nam teriery, a najwyraźniej w tutejszej psiarni było kilka niepotrzebnych, więc zabrał je i przyniósł tutaj.

–Natychmiast połóż ten worek! Wypuść je! Nie nosi się szczeniąt w worku, jakby były kawałkami drewna! Jak mogłeś je tak trzymać?

–Nie miałem czasu... – zaczął Jim, ostrożnie opuszczając mocno już śmierdzący worek na podłogę, rozwiązując go i wypuszczając więźniów.

Angie uklękła przy nich.

–Wszystkie żyją i są takie głodne, biedactwa! – zawołała. Jedno ze szczeniąt złapało ją za koniec palca i próbowało ssać, przy wtórze skomleń i pisków pozostałych. – To cud, że jeszcze żyją. Nie rozumiem Briana. To najmilszy człowiek, jakiego znam, a tak traktuje biedne zwierzęta.

–Myślę, że dostał je w worku od zarządcy psiarni. W żaden inny sposób nie mógł ich tu przynieść, a ja nie miałem czasu...

–I są za małe, żeby zabierać je matce – ciągnęła Angie. – Muszą natychmiast do niej wrócić, jeśli mają przeżyć. Ponadto nie urosną w porę, żeby można je wykorzystać w izbie chorych.

Poza tym, jak jego zdaniem mamy zaopiekować się tu nimi i dowieźć je do Malencontri?

–Zapewne tak samo, jak zrobiłby to on. Oddamy je pod opiekę służby.

–Cóż, zajmiemy się nimi! Idź do tego, kto pełni służbę pod naszymi drzwiami, i powiedz mu, że ma natychmiast przyprowadzić tu matkę szczeniąt. Ponadto niech sprowadzi zamkowego cieślę i pokojówkę, a także przyniesie trochę ciepłego, świeżego mleka! Powiedz mu, że ma być ciepłe – nie gorące czy lodowato zimne! Ma to załatwić natychmiast. Takie maluchy powinny wciąż jeść i mieć suche, ciepłe poślanie. Chcę to wszystko mieć tu niezwłocznie. Nie za piętnaście minut.

–Wiesz co, Angie? – powiedział Jim. – Sądzę, że jeśli sama przekażesz im to polecenie w taki sposób, jak powiedziałaś to mi, to będziesz miała większą pewność, że uwiną się tak szybko, jak sobie życzysz..

–Zapomniałaś, w jakich czasach żyjemy! Oni mnie nie znają, ale dobrze wiedzą, kim ty jesteś, a ponadto zdają sobie sprawę z tego, że jesteś magiem. Postraszą ich magią, jeśli się nie pośpieszą!

–W porządku – zgodził się Jim. – Może masz rację. Wyszedł na korytarz.

–Ha! – krzyknął do stojącego tam wartownika i służki. – Chcę natychmiast mieć tu tę sukę, która urodziła szczeniaki przyniesione mi przez sir Briana, ciepłe mleko, zamkowego cieślę i pokojówkę – tak szybko jak się da. Jeśli nie zobaczę was tu z powrotem, zanim wypiję kielich wina, zamienię was wszystkich w chrząszcze. Wartowniku, ty skocz po łowczego i cieślę. Ty, kobieto, biegnij po mleko i pokojówkę. Żwawo!

Obrzucił ich groźnym spojrzeniem, ale oni już pobiegli. Wrócił do komnaty.

–Słyszałam każde słowo – powitała go Angie. Wychodząc na korytarz, Jim zostawił uchylone drzwi, a teraz zrozumiał, że w ten sposób Angie mówiła mu coś

jeszcze. Przypomniał sobie ochronne zakłęcie, które wcześniej rzucił, by słyszeć, co młody Edward mówi na korytarzu, pozwalające obecnym w komnacie słyszeć wszystko, co mówią ludzie na zewnątrz. Przecież później je zdjął.

–No cóż, przecież to ty mi przypominałaś, w jakich żyjemy czasach – bronił się.

–Musiałaś nazywać ją „kobietą” w taki sposób?

–Nie jesteśmy w Malencontri i nie znam jej imienia. Powiedziałbym „człowieku”, gdyby była mężczyzną.

–No tak, wiem. Przepraszam. Możesz podać mi nakrycie z łóżka? Te szczeniaki usiłują wgramolić się na mnie i pod moją suknię. Szukają ciepła i sutków do ssania. Jak długo będziemy czekać?

–Na pewno niedługo – odparł Jim. – Wszyscy, włącznie ze smokami z Cliffsida, zawsze bardzo poważnie traktują groźbę zamienienia w chrząszcza.

–Dla mnie to i tak za długo... – zaczęła Angie. – Ach, już ktoś idzie! – zawołała. Ktoś zapukał do drzwi. – Wejść!

–Matilda, pokojówka, milady – powiedziała pulchna kobieta z dużym nosem, nie okazując zdziwienia na widok Angie owiniętej nakryciem i siedzącej na podłodze w otoczeniu piszczących i skomlących szczeniaków. – Czego milady sobie życzy?

–Koców! Sporo. I miękkich szmat wielkości chusteczek. Szybko!

–Niezwłocznie, milady. Jaką liczbę koców milady rozumie przez „sporo”?

–Sześć... osiem. Co najmniej osiem! – odparła Angie. – I chcę je mieć natychmiast!

–Tak jest, milady – powiedziała Matilda, po czym wybiegła z komnaty.

–Jim – poprosiła Angie – pomóż mi policzyć te małe diablęta. Nie chcę, by ktoś nadepnął któregoś, kiedy schowa się pod kocem, albo by jeden zagubił się i wyzionął ducha w kącie.

–Nie martwiłbym się o to, że któryś może się zgubić – odrzekł Jim. – Kiedy matki nie ma w pobliżu, trzymają się razem. Tak nakazuje im instynkt.

Razem doliczyli się dwunastu szceniąt.

–Tylko tyle? – zdziwiła się Angie. – Mogłabym przysiąc, że jest ich pięćdziesiąt... Znów ktoś puka do drzwi. To pewnie Matilda z kocami. W samą porę.

–Wejść! – krzyknęli jednocześnie. Nie była to jednak Matilda, lecz zasapana służąca pełniąca wcześniej dyżur przed drzwiami. Przyniosła pół dzbanka mleka.

–Dobrze – powiedziała Angie. – Podaj go tutaj... No, daj mi ten dzbanek.

Służąca wykonała polecenie. Angie ostrożnie spróbowała mleka.

–Świeże – orzekła – ale nie nazwałabym go ciepłym.

Służąca padła na kolana, błagalnie załamując ręce.

–Och litości, milady, nie każ milordowi zamieniać mnie w chrząszcza! To ktoś inny podgrzał mleko i dał mi do przyniesienia!

–Nie przemieni cię – obiecała Angie. – Prawda, Jim?

–Nie tym razem – obiecał.

Znów ktoś zapukał do drzwi.

–Wejść! – zawołał Jim. Pojawił się chłopiec wyglądający na dwunastolatka, a więc zapewne mający piętnaście lat, o czym świadczyły rzadkie jasne włoski na górnej

wardze. Przyniósł przyjaźnie wyglądającą sukę, która widząc i niewątpliwie wyczuwając zapach szceniąt, zaczęła wyrywać mu się z rąk.

–Adam, pomocnik łowczego – przedstawił się. – Łowczy przekazuje wyrazy uszanowania. Co mam zrobić z suką?

–Połóż ją na kocu, obok szceniąt! – warknęła Angie. – I powiedz swojemu łowczemu, że psów nie przenosi się w workach jak kamienie!

–Zdechłyby, zanim zostałyby dowiezione na miejsce – powiedział mu Jim, kiedy chłopak postawił teriera na podłodze. – Przekaż mu to ode mnie. Musi znaleźć jakiś inny sposób.

Radośnie popiskując, terierki podbiegły do matki i po chwili wszystkie tuliły się do niej i ssały.

–Tak, milordzie. On wciąż rozmawia z sir Brianem. To twój zbrojny powiedział, że mam przynieść sukę.

–Dobrze – powiedział Jim. – Już cię tu nie ma!

Adam najwyraźniej miał ochotę zostać i dowiedzieć się, o co właściwie chodzi.

Pokojówka pojawiła się z jeszcze jedną kobietą niosącą – jak się okazało – dziesięć koców.

–Połóż je w kącie – poleciła Angie. – Gdzie szmatki? Kobieta pokazała je. Trzymała je wepchnięte za pasek.

–Świetnie – pochwaliła Angie. – Teraz możecie odejść. Posłuchały. Szczeniaki napełniły brzuszki. Ich matka leżała na boku, deptana przez swoje potomstwo, starając się wylizać te szczenięta, które były najbliżej. Wyglądała na zadowoloną, być może poczuła się lepiej, kiedy psiaki uwolniły ją od nadmiaru pokarmu.

Angie odłożyła na stolik szmatki i postawiła, tam dzbanek z mlekiem.

–No dobrze – stwierdziła, odwijając się z koca. – Teraz mogę pozbyć się tej togi. Znowu ktoś zapukał.

–Chwileczkę! – wrzasnął Jim w kierunku drzwi. – Czekać!

Angie pospiesznie zaczęła się przebierać.

–Gotowe – oznajmiła po chwili. – Suknia będzie wymagała czyszczenia. –

Podniosła szmatki. – Teraz już nie będą nam potrzebne. Zamierzałam moczyć ich rogi w mleku i dawać do ssania małym, dopóki nie znajdziemy ich matki. Teraz możesz już wpuścić pukającego.

–Wejść! – zawołał Jim i do komnaty wszedł cieśla.

Wyglądał jak typowy cieśla – stary, zgarbiony, zapewne kłótlivy i zgorzkniały – prawdziwa ulga po kontaktach z innymi członkami tutejszej służby, dziwacznej, choć tak sprawnej.

–Milord chciał mnie widzieć? – zapytał Jima.

–Tak – powiedziała Angie, zanim Jim zdążył odpowiedzieć. – Potrzebny nam kojec.

–Tak, milady.

Cieśla odwrócił się i ruszył w stronę drzwi.

–Czekaj chwilę! – warknęła Angie. – Nie wiesz, jaki to ma być kojec ani jakiej wielkości.

–Nie wiem, milady. Jaki kojec i jakiej wielkości?

Jim poczuł lekkie rozczarowanie. Ten cieśla wcale nie przypominał swojego kolegi po fachu z Malencontri.

–Już mówię – powiedziała energicznie Angie. – Ma mieć metr kwadratowy, solidną drewnianą podłogę i taką wysokość, żeby te szczeniaki nie mogły z niego wyjść, lecz nie aż taką, żeby ich matka nie mogła do niego wskoczyć.

–Matka, milady?

–Ta... – Angie niechętnie wymawiała to słowo – suka, która teraz z nimi leży. A myślałeś, że o jakiej matce mówię?

–Błagam o wybaczenie, milady. Nie miałem pewności.

–No to teraz masz. Chcę, by kojec ograniczał ruchy szczeniakom, ale nie ich matce.

–I chcemy mieć go zaraz! – dodał Jim.

–Tak, milordzie.

–No to idź i zrób go.

–Tak, milordzie.

Cieśla odwrócił się i odszedł, powłócząc nogami.

–Dzięki Bogu – westchnęła Angela – już po wszystkim... Och, trzeba wytrzeć podłogę! Służba! – zawołała.

W drzwiach stanęła służąca.

–Trzeba zetrzeć podłogę zabrudzoną przez szczeniaki – oznajmiła Angie. – Czy pokojówka ma mydło?

–Mydło, milady?

–Chyba wiesz co to takiego? – rzuciła Angie, lecz kobieta tylko patrzyła na nią nierozumiejącym wzrokiem. – Służy do mycia – wyjaśniała cierpliwie Angie. – Jeśli pokojówka go nie ma, idź i zapytaj w pralni. Tam będą wiedzieli co to takiego. Przynieś mydło, wodę i umyj podłogę.

Angie opadła na krzesło i sięgnęła po dzban z winem, żeby napełnić sobie kielich. Potem wyciągnęła rękę po dzbanek z wodą, ale zmieniła zdanie i już zaczęła wstawać, zanim przypomniała sobie, kim jest i gdzie się znajduje.

–Czekaj! – zawołała na służącą, która już zniknęła za drzwiami. – Widzisz te zrolowane koce na podłodze w nogach łóżka? W środku jest butelka. Zawsze dolewam sobie do wina trochę wody święconej. Podaj mi ją, dobrze?

Służąca zamarła.

–O co chodzi? – spytała Angie. – Co cię niepokoi?

–Och, milady! Bałabym się dotknąć czegoś tak cennego! Służąca zalała się łzami. Angie wytrzeszczyła oczy. Jednak i ona, i Jim przywykli już do najróżniejszych dziwnych poglądów, zwyczajów i przekonań żyjących w średniowieczu ludzi.

–Nieważne, nieważne! – powiedziała. – W porządku. Idź już po wodę i mydło.

Zapłakana służąca wymknęła się za drzwi i zamknęła je za sobą.

–O rany – mruknęła Angie, opadając na krzesło po tym, jak już rozcieńczyła wino bezpieczną wodą z butelki. – Co teraz? Nie widziałam Hoba, od kiedy tu przyjechaliśmy. Gdzie on się podziewa?

–Poszedł szukać tutejszego skrzata – powiedział Jim. – A skoro o nim mowa, to już dawno powinien być wrócić.

Wstał, podszedł do kominka, w którym wesoło trzaskały dobrze wysuszone drwa, i zawołał:

–Hobie! Gdziekolwiek jesteś, wracaj natychmiast! Chcę z tobą pomówić.

Przewód kominowy tego kominka mógł się łączyć z innymi lub nie, ale dym z pewnością zanieśie tę wiadomość skrzatowi, w jakiegokolwiek części zamku znajdował się teraz Hob.

Jim i Angie usiedli wygodnie i w milczeniu przez kilka minut popijali wino. Potem z kominka wyszedł Hob, ale nie sam. Na rękach trzymał innego skrzata, niosąc go jak dziecko. Chociaż Jim doskonale wiedział, że każdy skrzat jest lekki jak piórko, trochę go zdziwił widok małego naturalnego dźwigającego kogoś swojej wagi i wzrostu. Hob trzymał skrzata tak, że cały ciężar ciała tamtego spoczywał na jego ramionach i barkach. Drugi skrzat miał zamknięte oczy. Bezwładnie zwiisał w rękach Hoba, a jego znacznie bledsze ciało pokrywała masa skaleczeń i siniaków.

Na twarzy Hoba malowała się rozpacz.

–Tak okrutnie go potraktowały! – zawołał do Jima i Angie. – Tak okrutnie jak... ludzie! Zawsze... – Urwał. – Och, milordzie! Nie miałem na myśli ciebie i milady! Błagam, wybacz...

–W porządku, Hobie – odparł Jim. – Masz rację. My, ludzie, potrafimy być okrutni – celowo albo po prostu z czystej bezmyślności. Nie musisz nas przeproszać. Potrafimy być okrutni zarówno dla siebie, jak i dla innych stworzeń. Czy to jest skrzat z Tiverton?

–Tak, milordzie. Możesz mu pomóc? Wygląda jak nieżywy, ale wiem, że żyje.

–Sądzę, że tak – odpowiedział Jim, nachylając się i uważnie oglądając skrzata spoczywającego w ramionach Hoba. – Prawie na pewno. Po prostu jeszcze nigdy nie próbowałem leczyć naturalnego, ale przecież to tylko skaleczenia i sińce, nie choroba... Niech zobaczę...

Najpierw uleczył rany i ich skutki. Siniaki także zniknęły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Mimo to udręczony skrzat nie otwierał oczu i wciąż bezwładnie zwiisał w objęciach Hoba. Ściskając w myślach kciuki, Jim spróbował usunąć wszystkie niewidzialne obrażenia, takie jak wstrząśnienie mózgu.

Przez długą chwilę nic się nie działo, po czym miejscowy skrzat zatrzepotał powiekami i otworzył oczy. Ze zdumieniem rozejrzał się wokół i na widok Jima podjął słabą, rozpaczliwą próbę ucieczki za plecy Hoba.

–Wszystko w porządku, kolego – powiedział mu skrzat z Malencontri, wciąż delikatnie, lecz mocno trzymając go w ramionach. – To prawdziwi ludzie. Przyjaciele, a jeden z nich jest potężnym magiem i właśnie cię uzdrowił. Już dobrze się czujesz?

–Tak, chyba tak... – odparł po chwili skrzat z Tiverton. Mówił ochryplym i nieco bardziej piskliwym głosem niż Hob. – Czy dobry mag mógłby sprawić, żebym zapomniał o... Jim pokręcił głową.

–Obawiam się – odparł – że tego nie potrafię.

–W każdym razie dziękuję ci, magu... Puść mnie, skrzacie! Hob niechętnie

postawił go na podłodze, ale na wszelki wypadek stał w pobliżu.

–To mój pan, sir James Eckert de Malencontri – rzekł Hob do swojego kolegi z Tiverton. – A tam, na krześle, siedzi piękna lady Angela, która jest jego żoną. Oboje są dobrymi, uprzejmymi, prawdziwymi ludźmi.

–Zatem ty musisz być tym magiem, o którym mówią wszystkie skrzaty!

Hob niespokojnie zerknął na Jima.

–Nie, pewnie myślisz o magu Carolinusie – powiedział Jim. – Ja nie zrobiłem niczego szczególnego. Po prostu brałem z niego przykład.

–Skądże, milordzie. Oczywiście wszyscy wiedzą o tamtym magu, ale jestem pewien, że mówi się o tobie. Nikt nie przeżył tylu przygód co ty! – Skrzat z Tiverton odwrócił się i uściskał Hoba. – Jakież mam szczęście, że zostałem ocalony przez takiego skrzata i takich sławnych ludzi jak milord i milady! Kiedy pomyślę, co mogło się stać...

Rozpromieniony, ponownie odwrócił się do Jima i Angie, ale potknął się przy tym i o mało nie upadł. Hob podtrzymał go w ostatniej chwili.

–Będę musiał go zabrać do Malencontri – powiedział cicho Hob. – Tam znajdzie się w przyjaznych, bezpiecznych kominach, gdzie wszyscy lubią skrzaty, i powoli będzie mógł wrócić do zdrowia. Czy milord pozwoli mi na to?

–Oczywiście – zgodził się Jim.

–Och, Hobie – westchnęła Angie. – Czy odjeżdżając stąd na smudze dymu z tym drugim skrzatem, mógłbyś zabrać też tego psa i szczeniaki?

Hob spojrzał na sukę przygniecioną przez stadko szceniąt. Niektóre spały, inne walczyły ze sobą lub bawiły się, a wszystkie wydawały podobne odgłosy.

–Przykro mi, milady, ale nie sądzę. Mogę zabrać skrzata albo psy, ale nie jednocześnie. Nie chodzi o ciężar, ale o to...

–W porządku, rozumiem – powiedziała. – Przede wszystkim zajmij się tym skrzatem. Poradzimy sobie z psami.

–Dziękuję, milady. Wrócę, jak tylko będę mógł zostawić skrzata z Tiverton samego. Gdyby obudził się sam w obcym kominie, mógłby zrobić coś głupiego.

–Oczywiście. Zajmij się nim.

Trzymając w ramionach skrzata z Tiverton, Hob odwrócił się, wskoczył do kominka i zniknął w kominie.

–Muszę się umyć – oznajmiła Angie. – Żałuję, że nie mamy tu wanny i ciepłej wody, tak jak w domu.

–Mogłabyś jej zażądać – przypomniał Jim.

–Zamierzam to zrobić. Tylko że nie ma sensu prosić o wannę, nawet gdyby zdołali szybko zagrzać tyle wody. Poza tym powinnam się ubrać do kolacji. Ty też.

–Ja już jestem ubrany do kolacji.

–Nie, ponieważ w ostatniej chwili zostaliśmy zaproszeni do królewskiego stołu. Włóż kubrak. – I głośno zawołała: – Służba!

Weszła ta sama służąca, którą posłała po mydło i wodę.

–Jeszcze nie umyłaś podłogi – przypomniała Angie.

–Wybacz mi, pani! – załamała ręce służka. – Te wstrętne praczki wciąż szukają

mydła dla waszej lordowskiej mości.

–Niepotrzebnie – odparła Angie. – Mam własne mydło. Posłałam cię po mydło do zmycia podłogi. Wystarczy zwykłe, szare.

–Zaraz je przyniosę, milady! – Służąca odwróciła się na pięcie i chciała skoczyć do drzwi.

–Zaczekaj chwilkę! – Służąca zatrzymała się tak gwałtownie, że o mało nie upadła. – Chcę, żebyś najpierw coś zrobiła. Idź do gotowalni czy gdziekolwiek trzymacie w cieple dania z kuchni, zanim podacie je na stół, i każ im tam podgrzać dzban wody – jak najszybciej. Potem idź do pralni, weź zwykłe szare mydło, wróć do gotowalni, weź dzban z gorącą wodą, tylko tym razem niech będzie gorąca, a także drugi dzban z zimną wodą i miskę, w której będę mogła się umyć. Jeśli będzie ci potrzebny ktoś do pomocy przy niesieniu tego wszystkiego, powiedz, że kazałam przydzielić ci kogoś. Zapamiętałaś?

–Och tak, milady. Mam pójść do got...

–Nie musisz wszystkiego powtarzać. Wierzę, że pamiętasz. Idź!

Służąca natychmiast wybiegła.

–Nie zdążyłem zapytać Hoba, kto tak urządził tutejszego skrzata – powiedział Jim, niezadowolony z siebie,

–Zastanawiam się, czy to nie tutejsza służba – mruknęła Angie. – To dziwna banda!

Spojrzała na zamknięte drzwi.

Zapiawszy guziki ciasnego, dopasowanego kubraka, Jim za późno przypomniał sobie, że swędzi go ręka pomiędzy nadgarstkiem a łokciem, i nie zdążył się podrapać. Teraz spróbował to zrobić przez materiał, lecz sztywna gruba wełna i wąski rękaw chroniły rękę tak dobrze jak zbroja. Jim zrezygnował. Stopniowo zaczynał przekonywać się do średniowiecznej zasady, że jeśli nic się nie da zrobić, to nie ma sensu się nad tym zastanawiać. Zasada ta była odpowiednikiem zalecanego w starożytnej Grecji sposobu na pozbycie się bólu głowy.

–Och, coś mi się przypomniało – powiedział, – Jeszcze nie mówiłem ci o Brianie.

Rozdział 20

–Co z Brianem? – Angie rozłożyła podróżny materac i uważnie oglądała dodatkowe ubrania, które weń zawinęła.

–On i sir Mortimer mają jutro stoczyć pojedynek, żeby zabawić króla. Na stępione miecze – dodał pospiesznie.

Angie nagle zapomniała o strojach i z rozmachem usiadła na krześle.

–Dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej?

–Nie miałem kiedy!

–To znacznie ważniejsze niż worek szceniąt!

Matka szceniaków popatrzyła na nich i z zadowolenia wysunęła język, dając w ten sposób do zrozumienia, że naprawdę cieszy się z tego, że została domowym psem. Podobali jej się oboje i miała nadzieję, że zaraz przestaną się kłócić.

–Zajęłaś się szczeniakami, zanim zdążyłem ci powiedzieć.

–A jeśli Brian odniesie ranę, która unieruchomi go tutaj na wiele dni, a może tygodni? Co wtedy będzie ze ślubem?

–To tylko zabawa, Angie!

–Dobrze wiesz, co to za zabawa. I ja też!

–Angie, to śmieszne. Brianowi nic się nie stanie. Jest zbyt doświadczonym, starym szermierzem, nawet jeśli jest młodszy ode mnie.

–O ile młodszy? – spytała nagle zaciekawiona Angie.

–Dwa lub trzy lata. Nie pamiętam dokładnie.

–Wygląda na starszego.

–Wiem. To dlatego, że wcześniej ode mnie zaczął dorosłe życie.

–W każdym razie, nawet jeśli jest doświadczonym szermierzem, może się zdarzyć jakiś wypadek!

–Nie zostajesz starym, doświadczonym szermierzem, jeśli nie umiesz unikać wypadków.

–Przecież kiedyś sam trafiłeś go kopią.

–W zamieszaniu. Obaj siedzieliśmy na koniach i tłum walczących wepchnął nas na siebie, a i wtedy trafiłem go tylko dlatego, że podniósł kopię, żeby mnie nie przebić.

–A widzisz? Tak jak mówiłam. Wypadki się zdarzają.

–Przecież Brian nie opuści miecza, starając się nie trafić Verweathera.

Angie, częściowo przekonana, westchnęła.

–Być może – powiedziała. – Jednak Geronde nie będzie tym uszczęśliwiona i bynajmniej nie uspokoi jej fakt, że Brian jest doświadczonym szermierzem. No nic, teraz muszę się już ubierać.

Zajęła się zawartością zrolowanego materaca. Suka znów wywiesiła język, a Jim zaczął się zastanawiać, czy zdjąć kubrak i podrapać swędzące miejsce, ale porzucił ten pomysł. Zapomni o tym, gdy tylko wyjdą z komnaty.

–Pojedynek niemal na pewno odbędzie się zaraz po śniadaniu – rzekł. – Zanim król wypije zbyt wiele wina.

Tak też się stało. Zamek Tiverton miał mały wewnętrzny dziedziniec, otoczony budynkami, które osłaniały go od wiatru. Choć słońce nie grzało zbyt mocno, i tak

było tam stosunkowo ciepło jak na tę porę roku. Ponadto nikt z obecnych, odzianych w stroje noszone zarówno w domach, jak i na zewnątrz, nie zwracał uwagi na temperaturę.

Przyniesiono miękki fotel dla króla.

–Ha! – powiedział władca Anglii do księcia i Jima, którzy stanęli obok niego. – Piękny dzień na próbę sił, nawet jeśli tylko dla zabawy.

Obaj pospiesznie przytaknęli.

Zza dwojga drzwi znajdujących się po przeciwnych stronach dziedzińca wyszli rycerze. Najwyraźniej to miejsce już nieraz wykorzystywano do pojedynków, a Jim podejrzewał, że większość z nich stoczono na ostre.

W zbroi Verweather sprawiał wrażenie ogromnego i sprawnego. Brian poruszał się swobodnie i zwinnie, lecz w porównaniu z przeciwnikiem wydawał się mały. Jim z niepokojem zauważył, że pochwa miecza Verweathera była chyba o połowę dłuższa od Brianowej. Zapewne był to tak zwany „bękart” o ostrzu dłuższym od zwykłego miecza, a krótszym od takiego, który trzeba trzymać oburącz. Jeśli Verweather potrafi wykorzystać tę dodatkową długość klingi, może to wyrównać szanse walczących.

–Miecz sir Verweathera jest znacznie dłuższy – powiedział Jim do księcia.

Obaj cofnęli się i stanęli obok fotela księcia, tak by uniknąć podejrzeń o jakikolwiek udział w tym pojedynku.

–Ha! Dłuższy nawet niż mój! – powiedział książę, nie pozostawiając żadnych wątpliwości, którego z rycerzy popiera. Jim porzucił nadzieję, że dowie się od niego czegoś użytecznego.

Obaj walczący podeszli do siebie, po czym skręcili i ramię w ramię pomaszerowali w kierunku króla, aby bez słowa zatrzymać się kilka kroków przed nim.

–Walczcie dobrze! – rzekł król i niedbale skinął dłonią, nie odrywając łokcia od poręczy. Drugą rękę miał zajętą, gdyż trzymał w niej spory kielich z winem. Słyszając ten nieformalny rozkaz, obaj rycerze wycofali się na środek dziedzińca, w lewe ręce chwycili tarcze, a prawymi dobyli mieczy. Przez moment stali w milczeniu, spoglądając na siebie, po czym zaczęli walczyć.

W pierwszej chwili był to grad błyskawicznych ciosów, tak szybkich, że Jim – wciąż mając zbyt małe doświadczenie i mimo lekcji udzielanych mu przez Briana – nie był w stanie ocenić ich skuteczności, ani orzec, kto ma przewagę.

Brian był w nieustannym ruchu. Swoim krótszym mieczem mógł uderzać znacznie szybciej niż Verweather długim ostrzem.

Z kolei Verweather mógł zadawać znacznie potężniejsze ciosy. Jednakże Jim widział, że Brian niemal wszystkie przyjmuje na tarczę albo zręcznie je nią odbija. Z zadowoleniem zauważył też, że przyjaciel przez cały czas krąży po dziedzińcu, nie pozwalając, by Verweather przyparł go do muru lub zapędził w kąt. Jim zerknął na księcia i króla, sprawdzając, czy oni również to zauważyli, ale na ich twarzach nie dostrzegł oznak zrozumienia.

–Nacieraj, sir Brianie! – krzyczał król, uderzając wolną dłonią o poręcz fotela. – Pokaż mu!

W tej samej chwili Brian zadał dwa błyskawiczne ciosy, tak szybkie, że zdawały się jednym uderzeniem – najpierw z pełnego zamachu, a potem na odlew. Powstrzymały natarcie Verweathera, który wyraźnie się zachwiał, lecz Brian znów zaczął się cofać i robić uniki.

–Neville-Smythe wie, że nie da mu rady – rzekł książę do ojca. – Verweather jest od niego silniejszy.

Jim żałował, że nie ma tu Dafydd, z którym mógłby wymieniać uwagi. Dafydd bowiem jako zwykły łucznik nie został zaproszony. Jim zerknął w kierunku kobiet, które stały opodal i, jak wszyscy widzowie, za monarchą. Twarz Angie nie zdradzała żadnych uczuć. Za to na twarzy Geronde malowało się ich wiele.

Pierwszy impet wymiany ciosów powoli osłabł i obaj walczący czujnie krążyli po placu, uderzając głównie w nadziei, że przeciwnik straci równowagę, i czekając, aż na moment się odłoni. Najwyraźniej obaj jeszcze nie opadli z sił i starali się je zachować, aby wykorzystać w sprzyjającej chwili.

Od czasu do czasu wymieniali serie błyskawicznych ciosów, lecz nie wkładali w nie wszystkich sił, zachowując je na później, kiedy któryś z nich zdradzi oznaki zmęczenia lub słabości – zazwyczaj niewidoczne dla widzów, a przynajmniej dla Jima.

Krótko mówiąc, pojedynek wszedł w swą środkową fazę, którą Jim zawsze uważał za najnudniejszą część potyczki. Dotychczas żaden z walczących nie otrzymał poważnego ciosu. Teraz jednak, po kolejnej wymianie pozornie lekkich uderzeń, po policzku Briana spłynęła cienka strużka krwi. Po chwili poszerzyła się, gdy krew z rozcięcia tuż nad brwią popłynęła obficie. Brian nie zwrócił na to uwagi.

–Sądziłam, że miecze mają być stępione – usłyszał Jim głos Angie, który rozbrzmiał głośno w ciszy przerywanej tylko szczękiem metalu. – Czy to nie dotyczy końców?

Widzowie popatrzyli na nią gniewnym wzrokiem i nawet Geronde przeszyła ją ostrym spojrzeniem. Nikt nic nie powiedział. Jim zauważył jasną rysę z boku hełmu Briana, biegnącą od skaleczonego miejsca na czole. Teoretycznie nawet stępione ostrze mogło spowodować takie skaleczenie, jeśli uderzyło pod odpowiednim kątem. A może Brian otrzymał tak silny cios w okrytą stalowym hełmem głowę, że aż pękła mu skóra na czole. Jim wolał o tym nie myśleć. Przez chwilę ze zdwojoną uwagą obserwował poczynania Briana, obawiając się, że zauważy oznaki słabości. Żadnych jednak nie dostrzegł. Krew spływała coraz cieńszą strużką po policzku Briana, aż całkiem przestała płynąć.

Był to właściwie pierwszy pojedynek, który Jim mógł obserwować wprawnym okiem. Podczas wielu godzin ćwiczeń z Brianem, zazwyczaj odbywanych w lesie, gdzie nie mógł ich zobaczyć nikt z mieszkańców zamku, Jim wiele się nauczył od przyjaciela. Jednak świadomość tego, co należy zrobić, a skłonienie ciała do wykonania tego – w dodatku równie odruchowo jak palce pianisty wydobywają dźwięki z instrumentu – to dwie całkowicie różne sprawy. Mimo to w wyniku ćwiczeń Jim poznał technikę Briana, a także uświadomił sobie, że sam byłby bezradny w starciu z przeciwnikiem o umiejętnościach Verweathera. Ta świadomość sprawiła, że teraz niemal pokornie przyjąłby słowa sir Harimore'a, który w zeszłym roku podczas

bożonarodzeniowego przyjęcia u earla Somerset powiedział bez ogródek, że człowiek o umiejętnościach Jima okazałby się głupcem, próbując stawić mu czoło z mieczem w dłoni.

Jim aż nazbyt dobrze zdawał sobie sprawę z tego, że to było – i zapewne zawsze będzie – prawdą. Można by sądzić, że podobnie jak Brian, Harimore chyba się urodził z mieczem w ręku. Poza tym było też wielu innych, nawet jeśli znacznie mniej zręcznych od Briana, Harimore'a czy sir Johna Chandosa, którzy z łatwością pokonaliby Jima. Uświadomiwszy to sobie już dawno, Jim starał się jak najwięcej nauczyć od Briana – który nigdy nie miał dość ćwiczeń z bronią – dzięki czemu obecnie mógł równie wprawnym okiem jak książę czy król ocenić działania i formę obu walczących.

W rezultacie dostrzegał to, czego nie zauważyłby jeszcze przed rokiem.

Najważniejsze było to, że Brian najwidoczniej nieustannie dokładnie sprawdzał umiejętności Verweathera, pozwalając mu nawet zademonstrować przewagę dłuższego ramienia i miecza. Verweather też zdawał sobie z tego sprawę i z pewnością starał się oszczędzać siły na decydujący moment, chcąc wykorzystać przewagę dłuższego i cięższego miecza dopiero wtedy, kiedy obaj się zmęczą. Ta chwila się zbliżała. Jim już dawno przegrałby taką walkę, opadłszy z sił. Ci dwaj, chociaż we wspaniałej formie, też byli tylko ludźmi, a nie robotami. Zadawane przez nich ciosy stały się mniej precyzyjne. Poruszali się coraz wolniej.

Jim podupadł na duchu, widząc, że to Brian wyraźniej zdradza oznaki zmęczenia. Poruszał się znacznie wolniej i coraz niżej unosił miecz, zadając kolejne ciosy.

Co się z nim dzieje, zastanawiał się gorączkowo Jim. Nigdy nie widział, by Brian był tak zmęczony, nawet podczas walki z olbrzymem zwanym Krwawe Buty, na pokładzie pirackiego statku. Teraz zadał cios, który o mało nie minął przeciwnika. To dziwne... chyba że tamta strużka ściekającej po policzku krwi świadczyła o poważnych obrażeniach i tylko żelazna siła woli oraz lata wprawy pozwoliły Brianowi wytrwać tak długo.

Walka trwała już prawie trzy godziny, lecz nagle przybrała zupełnie nieoczekiwany obrót.

Verweather niespodziewanie pozwolił swej tarczy ześlizgnąć się z ramienia i upaść na ziemię. Jego miecz miał dostatecznie długą rękojeść, by można ją ująć oburącz. Zacisnął na niej dłonie i zasypał Briana gradem ciosów popieranym całym ciężarem ciała, wymierzonych w głowę i tarczę przeciwnika. Wkładał w te uderzenia całą siłę mięśni ramion, barków i pleców. Jednocześnie wykorzystywał przewagę dłuższego ostrza swego miecza, aby trzymać się w bezpiecznej odległości.

Wtedy, ku zdumieniu wszystkich, nie wyłączając Jima, Brian także odrzucił tarczę. Ujawszy oburącz swój krótki miecz, odparł atak.

Nagle znów był dawnym, szybkim i sprawnym Brianem, najwidoczniej równie wypoczętym jak przed rozpoczęciem tego pojedynku. Nie próbował blokować ani unikać ciosów, lecz wyszedł Verweatherowi na spotkanie, tak że padały na niego tylko stosunkowo lżejsze uderzenia górnej części długiego miecza, po czym oburącz zaczął zadawać potężne razy w tułów przeciwnika.

Stępione ostrze miecza nie było w stanie przeciąć kolczugi, lecz mięśnie brzucha nie mogły długo znosić takiego gradu ciosów.

Verweather upadł, przez chwilę spazmatycznie łapał powietrze, po czym stracił przytomność.

–Dobry cios! Och, dobry cios, sir Brianie! – zawołał król, zrywając się na równe nogi, zapomniawszy o swoim wieku, brzuszysku i kielichu z winem, które wylało się na rzadką murawę dziedzińca. – Dobra robota, sir Brianie! Widziałeś to, mój synu! Taki los czeka każdego, kto stanie do walki z paladynem!

Jim obejrzał się, czując, że ktoś pociągnął go za rękaw. Był to książę.

–Sir Mortimer dziwnie wygląda, sir Jamesie. Czy mógłbyś pomóc swoją magią?

Chyba zdołam mu pomóc, myślał Jim, podążając za księciem na środek dziedzińca. Verweather doznał obrażeń w pojedynku, a magia nie pomagała jedynie w wypadku chorób. Kiedy dotarł do leżącego, zobaczył, że ktoś już zdjął rycerzowi zbroję i wierzchnie odzienie, pozostawiając go w czternastowiecznej wersji bielizny, która była mocno nasiąknięta krwią.

–Został ranny? – spytał z niedowierzaniem Jim, gdyż ciosy Briana nie powinny zranić rycerza, a już na pewno nie powinny spowodować tak obfitego krwawienia.

–Myślę, że coś w nim pękło, milordzie i magu – powiedział młodzieniec ubrany, mówiący i zachowujący się jak giermek. Klęczał przy leżącym bez ruchu Verweatherze. – Na jego ciele nie znajduję żadnej rany, ale mocno krwawi z przodu i z tyłu.

Oczywiście. Jim wszystko zrozumiał, zanim jeszcze giermek skończył mówić. Krwotok wewnętrzny w wyniku uszkodzenia wątroby, a może nerki. Giermek spoglądał na niego ze łzami w oczach. Jim nie przypuszczał, że Verweather może być tak lubiany, ale zaraz przypomniał sobie, z jaką łatwością w tych czasach wszyscy ronili łzy, nie tylko kobiety, ale i mężczyźni. Może ten giermek uważał oplakiwanie rycerza za swój obowiązek. Mimo wszystko ten młodzik, podobnie jak wszyscy pozostali, spoglądał na Jima nie tylko z nadzieją, ale i ufnością.

–Hm... – mruknął Jim. Rana to rana, wewnętrzna czy zewnętrzna. Jego magia powinna zadziałać.

Podziałała. Rozchylona koszula Verweathera odsłaniała miejsce, w którym sącząca się przez skórę krew nagle przestała płynąć. Mimo to ranny nie odzyskał przytomności.

Jim przez chwilę zastanawiał się, czy nie umieścić utraconej krwi z powrotem w żyłach Verweathera, ale doszedł do wniosku, że do tej pory zdążyła się już zmieszać z rozmaitym materiałem zakaźnym, bo na przykład gacie rycerza nie były pierwszej czystości.

–Zatamowałem krwotok! – oznajmił Jim z przekonaniem, którego wcale nie czuł. – Nie mogę jednak odtworzyć krwi, którą utracił. Będzie musiało to zrobić jego ciało.

Przyklęknął, ujął bezwładną rękę rycerza i sprawdził puls.

–Musi przez tydzień leżeć w łóżku i odpoczywać. W tym czasie nie wolno mu pić wina ani innego silnego trunku. Tylko woda i czasem kubek piwa do posiłku. Powinien jeść jak najczęściej.

–Do licha! – rzekł z irytacją książę. – Przez tydzień będzie do niczego?

–To mi przypomina – mówił stanowczo Jim – że powinien też unikać zbyt silnych emocji. Przykro mi, wasza miłość, ale te zalecenia muszą być ściśle przestrzegane, jeśli ma przeżyć.

–Nic więcej nie można zrobić?

–Nic.

–No cóż – rzekł książę. – Widocznie taka była wola nieba... Dlaczego tak rozglądasz się wokół, milordzie?

–Szukam sir Briana.

–Oj... król zabrał go na swoje pokoje, żeby to uczcić. Niewątpliwie sir Brian ponownie będzie musiał stoczyć ten pojedynek, tym razem słownie, chociaż zapewne sam też powinien się położyć. – Książę zaśmiał się.

–Ach – mruknął Jim. – Oczywiście. Dziękuję, wasza miłość. Chciałem mu tylko powiedzieć, że spędzę teraz kilka godzin w moim pokoju, oddając się w samotności medytacjom, do których jestem zobowiązany, wykorzystawszy magię w taki sposób, jak teraz do uzdrowienia sir Verweathera.

–Och, oczywiście – rzekł książę. – Niech te med... myd...

–Medytacje, wasza miłość. Chyba niewyraźnie wymówiłem to słowo. Błagam o wybaczenie.

–Medytacje. Nie, nie szkodzi. Niech te medytacje przebiegną pomyślnie. Nie będziemy cię zatrzymywać ani chwili dłużej.

–Dziękuję, wasza miłość. Życzę wszystkim miłego dnia. Panowie, teraz ostrożnie przenieście sir Verweathera do łóżka.

Odszedł, odprowadzany chóralnym przytakiwaniem. Kiedy znalazł się w swojej komnacie, zastał tam Angie w towarzystwie Dafyddda i Geronde.

–Właśnie wychodziłam, James – powiedziała Geronde, wstając.

–Ależ zostań.

–Nie mogę. Muszę sprawdzić, czy Joannie nie udało się uwolnić Briana, zanim król postanowi zatrzymać go do wieczora – przytomnego czy śpiącego! Po rozmowie z Angelą czuję się znacznie lepiej, a poza tym jest tu Dafydd, który z pewnością przybył omówić ważne sprawy.

Nie czekając na protesty, znikła za drzwiami, niemal zanim skończyła mówić.

–Musiałem skorzystać z magii, żeby uleczyć Verweathera – rzekł Jim, opadając na krzesło zwolnione przez Geronde. – Usiądź, Dafyddzie!

Angie siedziała na łóżku, pozostawiając drugie krzesło dla gościa.

–Dziękuję, James.

–Właściwie, Jim, ja chyba również powinnam tam pójść -powiedziała Angie, wstając.

–Nie, nie – zapewnił pospiesznie Jim. – Chcę tylko opowiedzieć Dafyddowi, którego nie było na dziedzińcu, o pojedynku i zwycięstwie Briana. Wolałbym, żebyś została, ponieważ ty też tam byłaś i wszystko widziałaś. Prawdę mówiąc, Geronde też powinna przy tym być, ale uciekła, zanim zdążyłem ją zatrzymać, a poza tym to, co miała zamiar zrobić, jest teraz o wiele ważniejsze. Usiądź.

–Błagam, zostań z nami – dorzucił pospiesznie Dafydd.

–Na pewno nie chcesz usiąść na krześle? – Angie ponownie przysiadła na łóżku.

–Dziękuję, milady.

–Daj spokój z lady – powiedziała. – Dla ciebie po prostu Angela. Przecież wiesz.

–Dziękuję, Angelo. – Dafydd ciężko opadł na krzesło. – Muszę ci jednak

powiedzieć, Jamesie, że widziałem wszystko, co działo się na dziedzińcu, patrząc przez okienko strzelnicze w murze za tronem króla Anglii. Nie spodziewałem się niczego innego po Brianie, a mimo to chwala jego zwycięstwa rozgrzewa mi serce. Zawsze zachwyca mnie dobra walka.

–Właśnie chciałem cię o coś spytać – powiedział Jim. – Dziś znacznie lepiej niż kiedykolwiek przedtem potrafiłem ocenić to, co się działo na placu. Chcesz powiedzieć, że Brian zaplanował wszystko, zanim jeszcze zaczęli walczyć?

–Sądzę, że wiedział, co chce zrobić, zanim skrzyżowali miecze – odparł Dafydd. – Jest o wiele lepszym i bardziej doświadczonym szermierzem, niż ja będę kiedykolwiek, a nie jestem skłonny do pochopnych sądów. Jednakże oprócz tego, że dokładnie zaplanował zakończenie pojedynku, całkowicie oddał inicjatywę Verweatherowi, pozwalając mu się wykazać, decydować i nabrać pewności siebie, zanim go pokonał.

–Angie? – zapytał Jim. – Czy ty też byłaś pewna wyniku tego pojedynku?

–Skądże. Miałem duszę na ramieniu. Może Geronde była pewna, bo zna Briana lepiej niż my. Jednak wynik takiej potyczki zawsze jest wielką niewiadomą.

–A więc on wszystko sobie zaplanował – mruknął Jim. – Tak podejrzewałem, ale – tak jak mówisz, Dafyddzie – za słabo się znam na szermierce, żeby mieć pewność. Zapytam go o to, kiedy znajdziemy chwilę na rozmowę. Muszę się jeszcze wiele nauczyć.

–Jak każdy – powiedział dyplomatycznie Dafydd.

–Chyba nie zamierzasz brać udziału w takich pojedynkach – powiedziała Angie do Jima. – Wystarczająco się denerwowałam, oglądając dziś walkę Briana.

–Nie. Zawsze mogę się wymówić prawami Zgromadzenia Magów. Mimo to zdarzało się, że nie mogłem uniknąć walki, i niewątpliwie zdarzy mi się to jeszcze nie raz. Im więcej się nauczę, tym lepiej.

–A co się stanie, jeśli napotkasz jakiegoś rzeczywiście doświadczonego, starego szermierza?

–Doświadczeni szermierze zazwyczaj nie robią niczego niespodziewanie. Są zbyt pewni swych umiejętności. Mogę poprosić o łaskę, poddać się czy co będzie trzeba. Moim jedynym zmartwieniem są ci, którzy mogą zaatakować bez uprzedzenia.

Angie nie wyglądała na przekonaną. Jednak nie powiedziała już nic więcej, choć Jim podejrzewał, że przyszło jej to z najwyższym trudem i tylko z uwagi na obecność Dafydda.

Ktoś zapukał do drzwi.

–Wejść! – krzyknął Jim.

Drzwi otworzyły się i stanął w nich zbrojny, lecz nie ten, który pełnił wartę przed drzwiami komnaty.

–Przynoszę ci wiadomość, milordzie. Lady Geronde przysłała mnie z wieścią, że sir Brian Neville-Smythe jest już w ich komnacie, ale teraz śpi i nic należy go budzić. Jednakże jego miłość książę Edward może złożyć ci wizytę. Nie oczekuje odpowiedzi.

Mimo to zbrojny odczekał jeszcze chwilę na wypadek, gdyby Jim chciał przekazać jakąś wiadomość za jego pośrednictwem,

–Dobrze. Możesz odejść – rzekł Jim rozkazującym tonem odpowiednim do jego pozycji.

–Pójdę już. – Dafydd wstał, gdy tylko drzwi zamknęły się za posłańcem.

–Nie musisz jeszcze odchodzić – zaprotestowała Angie. – Może książę wcale nie przyjdzie.

–Przyjdzie – odparł Dafydd, zmierzając w kierunku drzwi. – I lepiej, żeby nie widywał nas zbyt często razem. Ponadto ja także mam żonę i komnatę, do której już dawno powinienem wrócić. Dziękuję ci jednak za uprzejmość, lady Angelo.

Zamknął za sobą drzwi.

–Nie chciał stawiać mnie w kłopotliwej sytuacji, bo musiałbym go wyprosić, gdyby zjawił się tu książę. Te średniowieczne zwyczaje są czasem piekielnie męczące.

–Z całą pewnością! – przytaknęła Angie.

Rozdział 21

Król nie przysłał im zaproszenia na obiad.

–Pewnie też jest zmęczony po takich emocjach. Prawdopodobnie nie przeżywał tutaj podobnych od dawna – stwierdził Jim.

–Mamy pół godziny, a najwyżej godzinę do obiadu w wielkiej sali.

Zaczął zdejmować kubrak.

–Nie zdejmuj – powiedziała Angie. – Skoro masz go już na sobie, zostań w nim. Chciałabym, by księżę i inni zobaczyli, że masz jakieś porządne rzeczy.

–Swędzi mnie ręka, a nie mogę się podrapać przez ten materiał!

–Nie zważaj na to. Bądź mężczyzną.

–Jestem – odparł rozzłoszczony Jim i mimo wszystko nie zdjął kubraka.

Ten wysiłek został nagrodzony. Zza drzwi dobiegł głos zbrojnego: – Jego miłość księżę Walii chce cię zobaczyć, milordzie!

–Znów fanaberie i gładzenie... – mruknął pod nosem Jim. Podszedł do drzwi i otworzył je.

–Wasza miłość! – powiedział. – Jak to uprzejmie, że do nas zaszedłeś!

–Chyba nie przychodzę nie w porę? – Edward minął go i wszedł do pokoju. – Nie, widzę, że już jesteście ubrani do obiadu... Och, miło mi cię widzieć, lady Angelo.

Tym razem jednak Angie nie wyszła pod lada pretekstem z komnaty, żeby zostawić ich samych, Podniosła się, uśmiechnęła, dygnęła i usiadła z powrotem.

–Czy wasza miłość zechce spocząć na krześle?

–Nie, nie. Raczej nie. Lepiej myśli mi się na stojąco, James. Teraz, kiedy biedny Verweather leży zdjęty niemocą z paskudnymi obrażeniami wewnętrznymi, moje zabiegi zmierzające do odzyskania łask ojca utknęły w martwym punkcie. Mówiliście, że być może zostanieie tu, tylko trzy dni i wyjedziecie pojutrze. Niewątpliwie jednak nie sprawi wam kłopotu, jeśli pozostaniecie tu, dopóki znów nie stanie na nogach?

–Obawiam się, że nie możemy zostać dłużej jak trzy dni, wasza miłość – powiedziała Angie. – Nie mamy czasu na dłuższą wizytę przed zaślubinami Geronde, a James zapewne mówił ci, że biskup specjalnie z tej okazji poświęcił naszą zamkową kaplicę i termin ślubu został już ustalony z Kościołem.

Księżę obrzucił ją tak nieprzychylnym spojrzeniem, na jakie pozwalało dobre wychowanie. Nie odpowiedziawszy, mówił dalej do Jima:

–Z pewnością w tych okolicznościach...

–Błagam o wybaczenie, wasza miłość – rzekł Jim – ale jak właśnie wspomniała moja małżonka, nie mamy wyboru. W żadnym wypadku nie ośmielimy się rozczarować Świętego Kościoła.

–No tak, pewnie nie. Jednak dzielny człowiek został ranny i na pewno umarłby... Oczywiście wzięłeś to pod uwagę, jako że sam uratowałeś go przed wykrwawieniem się na śmierć. Muszę jednak rzec, iż to niepomyślna, bardzo niepomyślna...

Przygryzł dolną wargę i gwałtownie odwrócił się do drzwi.

–No cóż, skoro tak... Zobaczymy się przy obiedzie, jeśli hrabina nie będzie wołała zjeść w naszej komnacie. Zatem życzę dobrej nocy.

Wyszedł, nieco zbyt energicznie zamykając za sobą drzwi.

–Hrabina, akurat! – powiedziała Angie. – Zatrzyma ją w pokoju, żeby wymyśliła jakiś nowy plan, nie zważając na to, czego my chcemy i co zamierzamy zrobić!

–Ona chyba nie jest aż tak pozbawiona uczuć, żeby nadal zatrzymywać nas tutaj.

–Ależ tak, jeśli chodzi o księcia. Gdyby mogła, przewróciłaby dla niego świat do góry nogami, nie przejmując się ludźmi, którzy przy tym ucierpią. Nie zdążyłam ci powiedzieć, ale właśnie o tym rozmawialiśmy z Geronde, zanim przyszedłeś tu po pojedynku. Ona myśli podobnie jak ja: niemal na pewno to Joanna podsunęła księciu pomysł pojedynku w nadziei, że przegra Brian i nie będziemy mogli odjechać, dopóki nie stanie na nogi, co trwałoby co najmniej kilka dni.

–Sądziłem, że lubisz, a nawet podziwiasz Joannę.

–Owszem. Ona ma dobre serce i jest mądra. Zbyt mądra w takich sytuacjach jak ta, przynajmniej jeśli chodzi o nas. Założę się o złotego florena, że do jutra rana wymyśli coś nowego.

–No cóż, skoro tak – powiedział zdecydowanie Jim – to ja wymyślę coś, co raz na zawsze przesądzi sprawę naszego wyjazdu. Chodź, zbliża się pora obiadu i trzeba zejść na dół. Ani księżę, ani Piękne Dziewczę z Kentu nie sprawią nam kłopotu w obecności wszystkich zasiadających przy stole.

–Nie licz na to – powiedziała Angie, gdy wychodzili. Potem jednak ujęła jego dłoń i uścisnęła ją. – Wiem, że potrafisz nas stąd zabrać, jeśli będziesz chciał.

On też krzepiąco uścisnął jej rękę.

–Ciekawe, czy Brian po tak długim posiedzeniu z królem będzie na obiedzie? – zastanawiała się Angie przed wejściem do wielkiej sali zamku Tiverton, podając Jimowi butelkę czystej wody, którą zabrali ze sobą. – Nawet jeśli już trochę odpoczął, to z pewnością wciąż jest bardzo zmęczony.

–Pewnie tak – odparł Jim. – Mimo to nie opuści posiłku tylko z tego powodu, a ponadto w tej sytuacji chętnie przyjmie gratulacje od wszystkich obecnych. Założę się, że wszyscy siedzą już przy stole.

–Król też?

–Tu mnie masz. Wątpię. Porwał Briana zaraz po pojedynku. Weszli i istotnie wiele miejsc przy stole było już zajętych. Wśród gości Jim zobaczył pięciu dobrze ubranych mężczyzn, których wziął za wysokich urzędników królewskiego dworu. Chociaż wcześniej ich nic widział, najwidoczniej byli szlachcicami, a niektórzy również rycerzami. Na jego widok wstali, co oznaczało, że uważali go za wyżej postawionego. Brian i Geronde jeszcze nie przyszli.

Jedyną przykrą stroną tego spotkania było to, że Dafydd nie został zaproszony na ucztę. Sir Harimore był obecny, równie sztywny jak wtedy, gdy po raz pierwszy zobaczył Joannę. Na początku długiego bocznego stołu po prawej stronie siedzieli trzej młodzieńcy wyglądający na giermków, wśród nich ten, który klęczał przy powalonym Verweatherze.

Jim i Angie zasiedli na wyznaczonych miejscach. Żaden z obecnych mężczyzn nie wstał na powitanie małżonki Smoczego Rycerza, gdyż ten zwyczaj jeszcze się nie upowszechnił. Przedstawiono Jimowi pięciu szlachciców, których już zauważył: naprzeciw niego siedział sir Mathew Stairbridge, najstarszy z nich,

trzydziestokilkuletni, a może nawet po czterdziestce. Dalej kolejno siedzieli: sir Osborne Leeds, sir William z Bowe, sir Tore de Main i sir John Crait. Wszyscy oni zwracali się do Jima jako do maga i najwidoczniej wiedzieli wcześniej, z kim będą siedzieć przy stole. Wychwalali magiczne umiejętności Jima, który uratował Verweathera od niechybnej śmierci.

–To był mój obowiązek – odparł Jim.

Słudzy nalewali wino i podawali przekąski. Jim wyjął butelkę z wodą i odkorkował.

–Jestem pewien, że żaden z obecnych mężów nie poczuje się urażony, jeśli rozcieńczę nasze wino tą magiczną wodą. Jestem, zobowiązany pić ją za każdym razem, kiedy użyję mej sztuki. A ponieważ moja małżonka również jest narażona na działanie magii, jaką stosuję, zawsze daję odrobinę i jej.

Wszyscy pospiesznie zapewnili, że bynajmniej nie poczują się urażeni. Jednakże najstarszy z nich, sir Mathew Stairbridge, miał jeszcze coś do dodania.

–Najpokorniej błagam o wybaczenie i proszę, powstrzymaj mnie, jeśli uznasz moje pytanie za zbyt śmiałe, magu...

–Teraz ty racz mi wybaczyć, panie, ale muszę sprostować – rzekł Jim. – Nie jestem magiem, choć posiadam pewną znajomość tej sztuki. Taki tytuł przysługuje jedynie najwyższym i najlepszym z magów, zaakceptowanych przez Kościół. Za pozwoleniem, ale wolałbym, abyście zwracali się do mnie sir Jamesie.

–Ależ oczywiście – powiedział sir Mathew. – Teraz zadam moje pytanie i mam nadzieję, że powstrzymasz mnie, jeśli uznasz je za niestosowne. Nigdy dotychczas nie znałem ani nie słyszałem o magu, który miałby żonę, Czy to...

–Łatwo to wyjaśnić – rzekł Jim, ponownie mu przerywając. – Ożeniłem się, zanim zacząłem studiować sztukę magiczną.

–Oczywiście! Nie przyszło mi to do głowy. Jakże to uprzejmie ze strony waszej mag... przepraszam, sir Jamesa, że zechciał odpowiedzieć na moje niemądre pytanie. Może jednak, skoro jesteście tak uprzejmy, zechciałbyś powiedzieć...

Na szczęście przybycie Briana i Geronde oszczędziło Jimowi dalszych wścibskich indagacji. Brian był nieco blady, ale poza tym wyglądał zupełnie dobrze. Tym razem wstali wszyscy obecni w komnacie, nie wyłączając Jima i Angeli. Wszyscy mężczyźni trzymali w dłoniach puchary i Jim pospiesznie też podniósł swój.

–Sir Brianie – rzekł sir Mathew. – To zaszczyt dla nas wszystkich, że taki znakomity rycerz jak ty zechciał spożyć z nami posiłek. Za twoją zgodą, sir, wzniesiemy teraz toast za ciebie i błyskawiczne ciosy twego miecza.

–Panowie, zaszczycać mnie bardziej, niż na to zasługuję – odparł jak zwykle skromny Brian, wchodząc wraz z Geronde na podium. – To było tylko ćwiczenie, które jest czymś zupełnie zwyczajnym dla rycerza.

–Mimo wszystko chcemy wypić za wszystkie twoje sukcesy, sir Brianie, nie tylko dzisiejszy. Mówi się, że sir Chandos nazwał cię jednym z najlepszych szermierzy Anglii. Z przyjemnością napijemy się z tobą, aby później opowiadać o tym naszym dzieciom. Jeśli nie masz nic przeciwko temu.

–Sir Chandos zaszczyca mnie ponad mój stan i zasługi. – Blade policzki Briana odrobinę się zaróżowiły. – Jeśli jednak chcecie się napić, panowie, to nikt nigdy nie

powie, iż Neville-Smythe stanął między zacnymi mężami a ich winem.

Wszyscy przy głównym stole spełnili toast i to samo, chociaż mniej uroczyście, zrobili siedzący przy bocznym. Jim z lekkim zdziwieniem zauważył, że nikt z tych ostatnich nie wiwatował i nie odezwał się ani słowem. W Malencontri w takim momencie przy bocznych stołach rozległyby się zwykle zakazane okrzyki radości, natychmiast surowo stłumione przez majordomusa lub ochmistrzynię. Pod pewnymi względami służba w Tiverton była aż nazbyt zdyscyplinowana.

Tymczasem przy głównym stole toast spełniła nawet Angie, która podniosła swój kielich, oraz Geronde, która dostała właśnie jeden od sługi.

Wszyscy usiedli. Brian i Geronde zajęli miejsca na drugim końcu stołu. Puste miejsca obok nich najwidoczniej czekały na księcia i Piękną Dziewczę z Kentu, którzy jeszcze się nie pojawili. Siedzący przy samym końcu bocznego stołu sir Harimore znalazł się po lewej ręce Briana i bez wahania z tego skorzystał.

–Sir Brianie – rzekł – muszę pogratulować ci wspaniałego planu oraz pięknej jego realizacji.

Jim nie był pewien, czy dobrze widzi, ponieważ jedna z palących się na stole świec znalazła się pomiędzy nim a Brianem, ale odniósł wrażenie, że policzki przyjaciela znów się zarumieniły. Pochwała z ust szanowanego rycerza i znawcy tematu zawsze miała większe znaczenie od pochlebstw laików.

–Och – mruknął sir Brian. – Nie przygotowywałem żadnego szczegółowego planu. A co do wykonania, to po prostu skorzystałem z okazji.

Sir Harimore posłał Jimowi spojrzenie, które Smoczy Rycerz odczytał jako „my obaj wiemy lepiej, prawda?” Mimo to nie rozwijał tematu.

–Jestem pewien, że sir Brian ma rację – rzekł sir Mathew, marszcząc brwi. – Walczył jak rycerzowi przystało, nie myśląc o niczym prócz następnego ciosu.

Sir Harimore obrzucił wysokiego rycerza przenikliwym spojrzeniem.

–Tak twierdzisz, panie?

–Istotnie, sir – odparł poważnie sir Mathew.

–Interesująca różnica zdań – rzekł sir Harimore. – Być może moglibyśmy razem, ty i ja, panie, dokładniej przedyskutować tę kwestię po posiłku, albowiem byłoby nieuprzejmie, gdybyśmy tylko we dwóch zajęli się rozmową, w obecności wszystkich siedzących przy stole.

–Panie, z niecierpliwością oczekuję na równie przyjemnej... Jim poczuł, że atmosfera przy stole zaczyna grozić wybuchem.

Pospiesznie, chcąc odwrócić uwagę od rodzącego się sporu, powiedział to, co naprędce przyszło mu do głowy, a co mogło zwrócić uwagę wszystkich obecnych.

–Mam teraz w mojej komnacie sukę teriera i cały miot jej szczeniaków – poinformował.

Zadziałało.

–W komnacie? – powtórzył sir Mathew. – Czy wolno spytać dlaczego, ma... sir Jamesie?

–Och, dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności i uprzejmości sir Briana – odparł Jim. – Obecnie przygotowuję mój zamek Malencontri na wypadek, gdyby zaraza

dotarła za Londyn, aż na zachód. – Zagłębił się w szczegóły przygotowań, skupiając uwagę wszystkich i kończąc relację wypowiedzią na temat przydatności terierów do tępienia szczurów. – Jedynym mankamentem trzymania tych psów pod nosem, że się tak wyrażę, jest to, że moim zdaniem mogły przynieść z psiarni kilka pcheł.

Przebywasz w Tiverton dłużej niż ja, sir Mathew. Czy zauważyłeś tu wiele pcheł?

Tak zagadnięty rycerz musiał odpowiedzieć.

–Och, niewiele, od czasu do czasu – powiedział. – Pchły są wszędzie, jak wiemy, lecz służba w zamku Tiverton tak przestrzega czystości i porządku, że zamek jest prawie wolny od wszelkiego robactwa.

–Nigdy nie da się wytępić wszystkich pcheł – orzekł jeden z pozostałych rycerzy, przedstawionych tego wieczoru Jimowi i Angie.

–Racja – rzekł Jim.

Skoro już wspomniano o mieszkańcach psiarni, dalsza rozmowa nieuchronnie zeszła na polowanie. Okazało się, że w pewnej związanej z tym sprawie Harimore i sir Mathew mają identyczne zdanie, i obaj rycerze przyjaźnie uśmiechnęli się do siebie. Angie i Geronde, oddzielone od siebie trzema mężczyznami, z których każdy chciał wziąć udział w rozmowie, mając własne poglądy na temat polowania, patrzyły na siebie w wymownym milczeniu. Kiedy jednak zaczęto roznosić półmiski z pierwszym daniem, rozmowy ucichły, gdyż wszyscy zaczęli zaspokajać głód.

Gdy konwersacja ponownie się ożywiła, przerodziła się w szereg dialogów pomiędzy najbliższymi osobami. Geronde i Angie, chociaż oddzielone od siebie, zaczęły rozmawiać o sposobie utrzymywania zamków w nieustannej gotowości na wypadek nieprzewidzianych wydarzeń, a siedzący między nimi mężczyźni słuchali tego nie tylko uprzejmie, ale i z szacunkiem, gdyż Angie była żoną sławnego maga, a Geronde przyszłą małżonką dzisiejszego zwycięzcy.

Brian i sir Harimore pograżyli się w niezwykle fachowej dyskusji dotyczącej rozsądnego kompromisu pomiędzy grubością pancerza rumaka (należyście zabezpieczającego go przed obrażeniami przy zderzeniu z innym wierzchowcem) a szybkością konia, na którą ujemnie może wpływać ciężar tej zbroi.

Jim zauważył, że Harimore od czasu do czasu zerka ukradkiem i z rozczarowaniem w kierunku schodów, po których zeszłoby Piękne Dziewczę i księżę, gdyby postanowili oni dołączyć do ucztujących. Jednakże para arystokratów nie pojawiła się do końca posiłku. Gdy ten już się kończył i wszyscy wstali, Geronde i Angie wreszcie mogły podejść do siebie. Kasztelanka szepnęła Angie na ucho:

–Brian powinien znów się położyć. Po dzisiejszym ranku ten obiad był dla niego bardzo męczący. Kiedy zaśnie, przyjdę do waszej komnaty, jak tylko będę mogła, i przyprowadzę Danielle oraz Joannę. Musimy z nią porozmawiać o naszym wyjeździe pojutrze.

–Masz rację – powiedziała Angie. – Zatem zobaczymy się później.

Geronde wróciła do Briana, którego zostawiła tylko na moment. Łagodnie skierowała go w kierunku schodów.

–Co to za czteroosobowy sabat zwołujecie w naszej kwaterze? – zapytał Jim, gdy zaczęli wchodzić po schodach, gdzie już nie mogli usłyszeć ich pozostali.

–Och, taką małą naradę wojenną – odpowiedziała. – Nie masz się czym przejmować. Po prostu zamierzamy wyjaśnić Joannie, że bezwarunkowo musimy wrócić do Malencontri zgodnie z planem. To Joanna podsuwa różne pomysły młodemu Edwardowi. Niech przestanie to robić, a przynajmniej nie próbuje nas tutaj zatrzymać.

–To brzmi groźnie.

–Jak już powiedziałam, nie przejmuj się tym. Tylko porozmawiamy. Nie ma obawy, że Geronde skoczy na nią z rohatyną na niedźwiedzie.

Było powszechnie wiadomo, że rohatyna – włócznia z poprzeczką mającą zapobiec ześlizgnięciu się rozwścieczonego niedźwiedzia po drzewcu i rozszarpaniu trzymającego je człowieka – jest ulubionym orężem Geronde. Jim dobrze pamiętał, że właśnie tą bronią groziła mu, kiedy pierwszy raz zobaczyła go w jego smoczym ciele.

–Hmm... – mruknął Jim, który wciąż miał złe przeczucia. Doszli do swojej komnaty i kiedy się w niej znaleźli, Jim z westchnieniem ulgi zdjął kubrak i podwinął rękaw. Już miał się podrapać po rękę, lecz nagle zamarł, spoglądając na trzy wyraźne ślady ukąszeń. Angie przemówiła pierwsza.

–Jim! Myślałam, że rzuciłeś zaklęcie zabezpieczające nas wszystkich przed pchłami!

–Zrobiłem to! – powiedział zaskoczony Jim, patrząc na swoją rękę. Przecież żadne żywe stworzenie nie mogło się przedostać przez krąg ochronnego zaklęcia, jakim otaczała go magia. Jeśli zaklęcie zawiodło...

–Wiem, że to zrobiłeś. Sama słyszałam.

–No właśnie!

–Chyba że... – ciągnęła z namysłem – zapomniałeś zabezpieczyć siebie. Nie pamiętam, żebyś to robił.

Jim usilnie próbował przypomnieć sobie tamten moment. On i Angie właśnie wrócili z pierwszego spotkania z królem...

–Może masz rację – przyznał smętnie. – Pamiętam, że najpierw zabezpieczyłem ciebie, potem wszystkich pozostałych... Mój Boże, zapomniałem o sobie!

Pospiesznie otrząsnął się z zaskoczenia i za pomocą magii usunął ślady ukąszeń. Widząc, że Angie przygląda mu się z niepokojem, powiedział wesoło:

–W końcu to też rodzaj ran, a usuwanie takich ranek to bardzo pospolita umiejętność. Masz rację. Zapomniałem się zabezpieczyć. Nic się nie stało.

–Mam nadzieję – odparła Angie. Ton jej głosu i mina świadczyły jednak o tym, że wcale nie rozwiązał jej obaw. – Jeśli dobrze pamiętam, kiedy zarażona dżumą pchła ukąsi człowieka i wysysa krew, wprowadza do jego organizmu wirusy, i w ten sposób ofiara zostaje zarażona. Byłabym znacznie spokojniejsza... Och, dlaczego nie pozwoliłam ci się wtedy podrapać? Od razu wiedzielibyśmy, że to ukąszenia pcheł, i może nawet zdołalibyśmy je złapać! Ale kiedy usunąłeś ślady ugryzień, wszystko co zostało przez nie wprowadzone do organizmu, znikło wraz z ranami... Tak właśnie działa magia, prawda?

–Oczywiście! – przytaknął Jim. – Magia eliminuje wszystkie obce substancje, jeśli usuniesz je, zanim zostaną przyswojone przez organizm. Poza tym nie ma powodu

przypuszczać, że tutejsze pchły roznoszą dżumę. Kiedy ostatnio o niej słyszeliśmy, zaraza była w Londynie, pamiętasz? To kawał drogi stąd i nikt w Tiverton nie zdradza objawów choroby. Pchły są wszędzie, jak powiedział przy obiedzie sir Mathew czy któryś z pozostałych rycerzy. Nie, pomysł, że pchła czy pchły, które mnie pokąsały, były zarażone, to nonsens!

Angie wyglądała na przynajmniej częściowo przekonaną.

Jednak Jim trochę podupadł na duchu. Po raz pierwszy poczuł swędzenie poprzedniej nocy, ale był już tak śpiący, że je zignorował. Jeśli zarazki zadomowiły się w jego ciele, jak przed chwilą wyjaśniał Angie, magia usuwająca obce substancje z ciała nie będzie już działać. Ukąszenie wywoła chorobę.

Mimo wszystko, nawet jeśli nieszczęśliwym zrzędzeniem losu został zarażony, nie ma sensu mówić Angie o tym, że swędzenie poczuł już poprzedniej nocy. To tylko zwiększyłoby jej niepokój. Nie, niczego by to nie zmieniło, gdyby jej powiedział.

Rozdział 22

Wydawało się, że minęła tylko chwilka od ich przyjścia, gdy stojący przed drzwiami komnaty zbrojny zapowiedział hrabinę Joannę, lady Geronde i...

–Tak, tak! – zawołała Angie. – Wszystkie będą mile widziane! Trzy panie weszły. Pierwsza szła Joanna, wcale nie sprawiając wrażenia stropionej czy rozzłoszczonej tym, że znalazła się w towarzystwie żony zwykłego łuczniaka, Danielle bowiem również została zaproszona.

–Dobry wieczór, sir Jamesie – powitały Jima dość miło, ale zrozumiał, że powinien wyjść.

Chrząknął.

–Dobry wieczór paniom – powiedział. – Angie, zamierzam porozmawiać z łowczym, który dał Brianowi szczeniaki, i przy okazji dowiedzieć się, czy cieśla zrobił zamówiony kojec. Tak więc, jeśli mi wybaczycie...

Grzecznie wyraziły żal, że zostaną pozbawione jego towarzystwa, i Jim wyszedł.

–Domyślam się – rzekł do zbrojnego i dyżurującej służki – że zarówno łowczego, jak i zamkowego cieślę znajdę na głównym dziedzińcu?

–Och tak, milordzie – odpowiedzieli.

Skierował się ku schodom. Nie miał żadnego interesu do łowczego, ale był bardzo zainteresowany tym, dlaczego jeszcze nie ma kojca. Gdyby zamówili go w Malencontri, byłby gotowy już kilka godzin później, a służba w Malencontri wcale nie udawała dobrze naoliwionej ludzkiej maszyny, za jaką uważano tutejszy personel.

Kiedy już się dowie, co opóźniło wykonanie kojca, może znajdzie jeszcze kogoś, z kim powinien porozmawiać.

Chcąc wyjść na główny dziedziniec, musiał przejść przez główną salę Tiverton. Zastał tam sir Harimore'a, który samotnie siedział przy uprzątniętym już stole, pijąc wino.

–Sir Harimore! – rzekł, zamierzając minąć go, wymieniwszy tylko uprzejme pozdrowienia. Okazało się to niemożliwe.

–Sir James! – powiedział Harimore. – Miałem nadzieję, że zdołam jeszcze z tobą porozmawiać w cztery oczy, jeśli to będzie możliwe. Przyłączysz się do mnie i wypijesz kielich wina?

Jim nie mógł odrzucić takiego zaproszenia, nie mając wystarczająco ważnego i wiarygodnego usprawiedliwienia. A nie miał.

–Chętnie – odparł, wchodząc na podium i zajmując miejsce naprzeciw rycerza, chociaż w tej chwili wcale nie miał ochoty na wino. – Zarówno w Malencontri, jak i tutaj mieliśmy za mało czasu, żeby porozmawiać.

„Kielich”, o którym mówił Harimore, był oczywiście pucharem mogącym pomieścić co najmniej trzy zwykłe kubki. Nalawszy sobie odrobinę, Jim zerknął na siedzącego naprzeciwko rycerza i stwierdził, że trunek w pucharze Harimore'a nie jest rozcieńczony, a co więcej, rycerz prawdopodobnie siedział tu i popijał od obiadu. Mimo to trzymał się prosto jak trzcina i wcale nie bełkotał.

–I owszem – przytaknął Harimore – a mam kilka spraw, o których bardzo chciałbym z tobą porozmawiać. Przede wszystkim zapomniałem również wyrazić

moje szczere ubolewanie i przeprosić za to, że tak niegrzecznie zwróciłem się do ciebie, kiedy jechaliśmy razem po bożonarodzeniowym przyjęciu u earla Somerset.

–Nie pamiętam, abyś był nieuprzejmy – rzekł pospiesznie Jim.

Następne przeprosiny ze strony tego rycerza mogły ich obu postawić w niezręcznej sytuacji. Pochylił się nad pucharem i upił łyk wina, aby skryć twarz przed wzrokiem tego wrażliwego człowieka, zwykle nie okazującego żadnych uczuć.

–Jesteś wielkoduszny – powiedział Harimore – ale to było nieuprzejme.

Grubiańskie. Nie zamierzam umniejszać mojej winy, sir Jamesie...

–Mów mi James – rzekł Jim. Odrobina poufałości mogła załagodzić napiętą sytuację.

–Zatem muszę nalegać, abyś mówił mi Harry. Nie zamierzam jednak bagatelizować nieuprzejmości, jaką okazałem, wspominając, racz wybaczyć, że często przemawiasz w dziwny sposób i – jak już mówiłem, przepraszając cię w Malencontri – bezmyślnie i błędnie sądziłem, iż nie sprawiasz wrażenia urodzonego szlachcica, i brałem cię za wyniesionego do rycerskiej godności giermka.

–Zwróciłeś mi wówczas uwagę, najzupełniej słusznie – powiedział Jim – że noszę mój miecz w niewłaściwy sposób. Od tego czasu wielokrotnie dziękowałem ci w duchu za tę uwagę i nie popełniam już tego błędu.

–Słuszne uwagi i kurtuazja, nawet między równymi sobie, to jedno – odparł Harimore – lecz dworne zachowanie, to co innego, szczególnie w obecności wyżej postawionej osoby.

–Nie jestem... – zaczął Jim, czując, że chyba nie zna aż tak dobrze czternastowiecznych zwyczajów grzecznościowych, obowiązujących wśród angielskich wyższych sfer.

–Błagam, James, pozwól mi skończyć. Takie przeprosiny nie są czymś, do czego jestem przyzwyczajony. Jednak prawda nade wszystko. Później dowiedziałem się od sir Briana, że nie tylko jesteś wielkim magiem – niezależnie od przysługującego ci tytułu – ale opowiedział mi on również o odwadze, jaką wykazałeś, walcząc z ogrem w Wieży Loathly oraz przy wielu innych okazjach, których był świadkiem, mówił mi o potyczkach, w jakich ja zapewne do śmierci nie zdołam wziąć udziału. Dlatego też ponownie błagam cię o łaskawe wybaczenie.

–Jeśli jest potrzebne, w co wątpię... – Jim zaczął rozumieć wyrzuty sumienia, które skłoniły do przeprosin tego nienawykłego człowieka, i poczuł wielką sympatię do sir Harimore'a. – ...to z chęcią ci go udzielam. A teraz zapomnijmy o tamtym i napijmy się jak przyjaciółom przystało, Harry.

–James – powiedział Harimore – nie masz pojęcia, jaki ciężar zdjąłeś mi z serca. Zawsze starałem się jak najprędzej naprawić krzywdę, jeśli komuś ją wyrządziłem. Inaczej nie zaznałbym spokoju.

Napili się, co Jim zrobił z większym zapalem, niż się spodziewał w chwili, kiedy Harimore go zagadnął.

–Co sądzisz o sytuacji w tym zamku, James?

–Niezbyt mnie cieszy – powiedział Jim z rzadką u niego otwartością. Stało się bowiem coś dziwnego, co jednak zdarza się czasem wśród mężczyzn: Jim stwierdził,

że nie tylko lubi, ale także ufa swojemu rozmówcy, rozumie go i szanuje.

–Ha! – rzekł Harimore. – Miałem jakieś złe przeczucia. Jednak przed przyjazdem do Briana nie tylko wypowiadałem się, ale zapewniłem też sobie odpuszczenie wszystkich grzechów, jakie mogę jeszcze popełnić przed powrotem do domu. Załatwiwszy te dwie sprawy, rycerz musi jedynie dbać o swój honor i zginąć chwalebną śmiercią, jeśli taka będzie wola boska. Tak więc czym mielibyśmy się przejmować? Jestem jednak ciekaw, jakie jest twoje zdanie.

–Obawiam się, że nie pojmuję różnych rzeczy tak samo jak ty.

–Ach, tu się mylisz, James. W pewnych sprawach wiesz o wiele więcej ode mnie. Przede wszystkim jesteś najwidoczniej szczęśliwy w małżeństwie.

–No... chyba tak – rzekł Jim.

–Dziwne – głośno myślał Harimore. – Niewiele znam takich przypadków. Tylko ty, pewnie wkrótce Brian i chyba mógłbym dodać tego łuczника... Jak on się zwie?

–Dafydd ap Hywel – podpowiedział Jim, żałując, że nie może wyjawić nowemu przyjacielowi, że Dafydd w rzeczywistości jest księciem Zatopionej Krainy.

–Zapewne mężczyźni – rzekł Harimore – przedkładają braterstwo broni nad delikatniejsze uczucia. Żaden z nas nie wie, kiedy będzie potrzebował towarzysza, który stanie przy nim, by stawić czoło... ale nie o to chciałem cię zapytać. Zatem można powiedzieć, że znasz się na kobietach?

–Panie Boże, nie! – wykrzyknął Jim, na moment zupełnie zapominając o czternastowiecznym stylu mówienia. – Każdy mężczyzna, który twierdzi...

Był tak poruszony, że zabrakło mu słów.

–Z drugiej strony – dodał po chwili – one też nas nie rozumieją, chociaż i tak wiedzą o nas więcej niż my o nich. Może dlatego, że za mało z nimi rozmawiamy, a one trajkoczą jak najęte... chciałem powiedzieć, że nie mają kłopotu z wysławianiem się. My musimy się do tego przykładać i zmuszać, a przynajmniej większość z nas. Oczywiście są również małowówne kobiety, tak samo jak są gadatliwi mężczyźni. Nie ma reguły bez wyjątku, Jednak większości z nas wystarczy kilka słów, by zaprzyjaźnić się na całe życie lub zrobić sobie wroga, który nie spocznie, dopóki cię nie zabije lub sam nie zginie, Dwie płci, mające zupełnie odmienne problemy i zupełnie różne światy... Jeśli jednak naprawdę kochasz kobietę... nie jestem w stanie tego opisać. Jim opanował się.

–Wybacz mi te niezręczne słowa – rzekł – ale nie sądzę, by nawet Merlin zdołał wyjaśnić tę różnicę... I nigdy by nie próbował, dodał w duchu.

–Właśnie o tym tak bardzo chciałem z tobą porozmawiać – powiedział Harimore. – Widzisz, sądzę, że kocham pewną kobietę w sposób, jaki opisałeś...

O nie! – pomyślał Jim. Przyjaciel czy nie, niech nie każe mi tego słuchać!

To jednak był czternasty, a nie dwudziesty czy też dwudziesty pierwszy wiek, który pewnie już się zaczął w dawnym świecie Jima. Harimore zamierzał zwierzyć mu się ze swego problemu i Jim był zobowiązany pomóc mu w miarę swych możliwości.

–...i honor nie pozwoli mi nawet wspomnieć jej o tym. Jak rozumiem, jej mężem jest earl Salisbury. A towarzyszący jej księżę Walii...?

–Jest jej kuzynem i bliskim przyjacielem od dziecka.

–Hm... – mruknął Harimore. – W każdym razie jest zameżna. Związana z innym mężczyzną. Nie mogę wyjawić jej moich uczuć. Poza tym i tak zabrakłoby mi słów. Jednak nie to mnie martwi, James. Rzecz w tym, że widuję ją codziennie, co jest dla mnie udręką. Mam wrażenie, że wszystko, co do niej mówię, źle brzmi. Poza tym nie wiem, co mężczyzna powinien mówić kobiecie. Przecież nie może opowiadać o broni i walce, trudno stale rozmawiać tylko o koniach i polowaniu, nawet jeśli je lubi, a tylko bufon usiłowałby zabawiać ją opowieściami o swoich czynach. Czy mógłbyś mi jakoś pomóc? Może... magią?

A więc do tego zmierzał Harimore. Powinieneś być zostać w Malencontri, gdzie po naszym wyjeździe do Tiverton nie dręczyłaby cię całymi dniami nieumiejętność prowadzenia rozmowy, pomyślał Jim.

–Obawiam się – odparł – że magia nie uczyni cię złotoustym. Po prostu nie pomaga w takich sprawach.

–A ty, doświadczony i najwyraźniej szczęśliwy w małżeństwie, czy masz dla mnie jakąś dobrą radę?

–To, co w moim wypadku daje dobre rezultaty, w twoim mogłoby przynieść wręcz przeciwny skutek. Jak chyba już mówiłem, ludzie są różni, zarówno mężczyźni, jak i kobiety.

–Z pewnością jednak możesz coś mi doradzić.

–Traktuj ją jak siostrę – powiedział zdesperowany Jim.

–A czy nie będzie to niehonorowe postępowanie? Jeśli czuję do niej...

–Bynajmniej – przerwał Jim. – To jedynie ćwiczenie mające ułatwić wam rozmowę. Będziesz traktował ją w ten sposób, ponieważ tak nakazuje dobre wychowanie. Jako rycerz jesteś do tego wręcz zobowiązany, być może wówczas znajdziesz w jej towarzystwie słowa, których wcześniej ci brakowało, kiedy usiłowałeś z nią rozmawiać.

Harimore wyraźnie się ożywił.

–Tak sądzisz?

–To bardzo prawdopodobne.

W rzeczy samej, pomyślał Jim, może ona nie zechce być cały czas traktowana jak siostra i spróbuje zrobić pierwszy krok.

–To wspaniała rada, za którą ci dziękuję, James. Niestety, nigdy nie miałem siostry.

Ten facet jest niemożliwy, pomyślał Jim.

–Czy kiedy byłeś młody, miałeś jakąś kuzynkę zbliżoną do ciebie wiekiem?

–Och, tak. Nie lubiłem jej.

Coraz lepiej, stwierdził w duchu Jim.

–Mimo to spróbuj – poradził. – Co masz do stracenia? I nie ma w tym niczego niehonorowego, to zwyczajna uprzejmość.

–Hm, może spróbuję. Musisz wiedzieć, James, że z trzech synów ja byłem jedynym, który nie umarł przed ukończeniem pięciu lat. Mój ojciec był surowym człowiekiem. Mieliśmy bogate włości i nigdy nie brakowało mi funduszków, lecz on przede wszystkim był rycerzem. Oddawał się niewielu rozrywkom i na niewiele mi

pozwalają. Zostałem wychowany jak mnich, mnich wojownik. Nie mam mu tego za złe. Wszystko, co dzisiaj wiem o broni, zawdzięczam takiemu wychowaniu, poza tym jednak posiadałem niewiele umiejętności potrzebnych szlachcicowi. Spojrzał bacznie na Jima.

–Staram się powiedzieć, James, że kiedy pomyślę o tym, by pójść za twą radą, zawodzi mnie odwaga, choć nigdy nie brakowało mi jej, gdy stawałem z bronią w rękę. Czy sądzisz, że takie postępowanie pomoże mi, jeśli się postaram?

–Tak sądzę – odparł Jim.

–Serdecznie ci dziękuję. Pokazałeś mi światełko w ciemnościach.

–Nie powiedziałem ci nic nadzwyczajnego – odparł szorstko Jim. – Teraz jednak muszę już zająć się tym, co zamierzałem zrobić, zanim cię tu zastałem.

–Oczywiście. Jeszcze raz zapewniam cię o mej dozgonnej wdzięczności.

Jim z ulgą umknął na zamkowy dziedziniec, na którym podobnie jak w Malencontri i wielu innych zamkach, znajdowały się przybudówki. Zazwyczaj sławiono je w pewnej odległości od zamku, ponieważ były z drewna, budulca łatwiejszego do uzyskania i obróbki, a także tańszego niż kamień, poza tym drewniane zabudowania mogłyby zagrozić głównemu kasztelowi, gdyby w wyniku prowadzonych tam prac wybuchł pożar.

–Gdzie znajdę cieślę? – zapytał pierwszego napotkanego na podwórzu człowieka, którym był obdarty, najwyżej dwunastoletni chłopiec.

–Czwarta przybudówka na prawo, panie – odparł chłopiec – Ta, przed którą leży stos desek.

–Ach tak, widzę – powiedział Jim.

Podszedł tam i przed budynkiem zastał następnego urwisa, ale nikogo innego.

–Cieśla! – rzucił. – Prowadź do niego, ale już!

–Nie ma go tutaj, panie.

–Sam widzę! – warknął Jim. – Zatem natychmiast go tu sprowadź!

–Zechciej łaskawie wybaczyć, milordzie. Nie wiem, gdzie on jest. Odchodząc, nie powiedział, gdzie go szukać.

Jim obrzucił go podejrzliwym spojrzeniem. Ten chłopiec, podobnie jak pierwszy, którego zagadnął na dziedzińcu, mówił wyraźnie i poprawnie, niemal w sposób właściwy dla osób z wyższych sfer. Zwykle ci członkowie służby, którzy pracowali w samym zamku, starali się wysławiać jak najlepiej, lecz pozostali nie przywiązywali do tego wagi i mówili z wyraźnym lokalnym akcentem.

–Poszedł uciąć sobie drzemkę, jak co dzień?

–Och nie, milordzie. Skądże.

–No to gdzie się podział?

–Błagam o wybaczenie, panie, ale nie wiem.

Jim skreślił chłopca jako źródło informacji. Minał go i wszedł do warsztatu.

Rozglądając się tam i wdychając przyjemny zapach świeżego drewna, znalazł to, co mogło być zamówionym przez Angie kojcem. Wyglądał on jednak tak, jakby zrobił go początkujący czeladnik, nieudolny ośmio- lub dwunastolatek niedbale zbijający deski w letnie popołudnie.

Mimo to może wystarczy na te dwa dni.

–Poniesiesz to – powiedział do chudego młodzieńca, który był jedyną osobą w warsztacie.

–Milordzie, mam tu zostać i pilnować...

Jim przerwał mu. Nie miał wyboru: musiał trzymać się roli, jaką przyjął w tym średniowiecznym świecie. Człowiek zajmujący taką pozycję jak on nie mógł tolerować sprzeciwów ze strony pomocnika cieśli. Powiedział to, co musiał powiedzieć:

–Chłopcze! – krzyknął, – Śmiesz tak mówić do rycerza i gościa tego domu? Każę cię....,

–Panie, zrobię to! Już biegnę! Błagam, nie gniewaj się, natychmiast to zrobię!

Chłopak sprawiał wrażenie mocno wystraszonego. Podczas gdy jego wcześniejsze odpowiedzi wydawały się Jimowi nieszczerze, teraz niewątpliwie był po prostu przerażony. Jim odwrócił się i ruszył przodem do komnaty, którą zajmował z Angie. Kobiety z pewnością jeszcze tam są, ale kiedy chłopak wniesie kojec, przeproszą i natychmiast opuszczą pokój.

Kiedy jednak zapukał do drzwi i zawołał do Angie, że chce wejść, otworzyła niemal natychmiast i zobaczył, że komnata jest pusta. Nie odzywali się, dopóki chłopak nie wniósł kojca i nie odszedł.

–Hm, nie rozmawiałyście długo – powiedział do Angie, zajętej matką szceniąt, która przejawiała pewne niezadowolenie z powodu utraty koca, gdyż zdążyła go już uznać za swoją własność. Koc został wcześniej uprany i złożony, a teraz Angie rozłożyła go i pozwoliła suce ostrożnie i dokładnie go obwąchać, zanim zastąpiła nim ten, który zabrano. Potem złożyła go z powrotem, umieściła w kojcu i poszła umyć ręce w misce.

–Gdzie moje mydło? – powiedziała zirytowanym głosem. – Ach, tu jest.

Suka wskoczyła do kojca, znów starannie obwąchała koc, upewniając się, że to ten sam, a następnie rozejrzała się wokół, odpychając nosem szczeniaki, które próbowały do niej dołączyć. W końcu zaczęła zagarniać łapami koc, moszcząc odpowiednie posłanie dla siebie i swojej rodziny. Wystawiła jęzor w kierunku Angie, przepraszając za to zamieszanie, po czym położyła się i pozwoliła szczeniętom zgromadzić się dookoła niej. Delikatnie biorąc je kolejno między przednie łapy, zaczęła je wylizywać.

–No cóż, przynajmniej kojec jeszcze się nie rozleciał – mruknął Jim.

Oboje patrzyli zafascynowani, jak pies przyzwyczaja się do nowego otoczenia.

–Tak – dodała Angie. – I ma dostatecznie wysokie boki, żeby szczeniaki nie rozlażyły się po całym pokoju, brudząc podłogę.

–A co z pozostałymi paniami?

–Och, oprócz mnie nikt chyba się tym nie przejmuje.

–Chcę powiedzieć – wyjaśnił Jim – że nie przypuszczałem, że wasza rozmowa będzie taka krótka.

–Ach, o tym mówisz. – Angie zostawiła szczeniaki, odwróciła się i spojrzała na Jima. – Krótko mówiąc, postawiłyśmy Pięknemu Dziewczęciu z Kentu ultimatum, które ma przekazać księciu.

–Jakie ultimatum?

–No więc, powiedziałyśmy jej, że wszystkie mamy mężów, którzy nas słuchają...

–Ach tak? – mruknął Jim, a jego męskie ego nagle podniosło łeb jak czujny wilk.

–...i w razie potrzeby wszyscy razem pójdą do króla, żeby się z nim pożegnać, gdyż – jak mu wiadomo – mieliśmy tu zostać tylko trzy dni. Przyjęła to całkiem spokojnie. Pewnie przywykła do takich sytuacji.

–A ty po prostu powiedziałaś to jej, nie uprzedzając mnie i składając taką deklarację w moim imieniu.

–Chciałyśmy sprawdzić, czy to zadziała, zanim zaczniemy zawracać ci głowę.

–Mogłaś mnie uprzedzić...

–Cóż, może powinnam – przyznała dyplomatycznie Angie. – Zrobisz to, jeśli cię poproszę?

–Cóż, pewnie mógłbym. Tylko jak mam zaproponować coś takiego Brianowi albo Dafyddowi, który, nie zapominaj o tym, oficjalnie jest tutaj tylko łucznikiem, a tacy nie rozmawiają z królem ot tak po prostu. A skoro o tym mowa, to zwykli rycerze, tacy jak Brian i ja, również. Szczególnie dotyczy to Briana, któremu król może mieć za złe zwycięstwo nad Verweatherem.

–Przecież król polubił was wszystkich, a zwłaszcza Briana i ciebie!

–Nie aż tak bardzo, żeby rozmawiać z nami jak z równymi sobie! On jest królem Anglii, Angie! A to jest czternasty wiek!

–Jim...

–Nie patrz tak na mnie, Angie.

–Ale zrobisz to, jeśli poproszę, prawda?

–Pewnie mógłbym, i to prędzej niż pozostali. W końcu jestem magiem... No, prawie magiem, jeśli Zgromadzenie zaakceptuje moją kandydaturę. Król zapewne nie chciałby obrazić nie tylko magów Anglii, ale i całego świata, podejmując jakieś drastyczne kroki przeciwko mnie. A co z Brianem i Dafyddem?

–Oni zgodzą się na to, jeśli ty wyrazisz zgodę.

–Pięknie! A więc ich los spoczywa teraz w moich rękach.

–Wszystko będzie dobrze. Widzisz, Joanna jest teraz po naszej stronie. Mówiłam ci, że jest bystra. Ona rozumie, że będzie lepiej dla niej i dla księcia, jeśli ty będziesz cały i zdrowy. Namówi młodego Edwarda, żeby poszedł do króla i przetaił ci drogę.

–Obiecała to?

–Nie wprost, ale obiecała. Ona nie kłamie, Jim, ani prosto w oczy, ani przez niedomówienia.

–Nawet jeśli tak, to wierzysz, że młody Edward to zrobi?

–A ty nie?

Jim zastanowił się.

–Nie wiem – odparł w końcu. – Czasem wydaje się mężczyzną, a czasem małym chłopcem. Jest odważny, według herolda Chandosa dowiódł tego pod Crécy. Tylko że to była wojna. A teraz rozpaczliwie usiłuje wrócić do łask swojego ojca.

–Co więc właściwie myślisz?

–No cóż, może to zrobi. Niedawno mnie zaskoczył. Wydawało mi się, że

ekspłoduje ze złości, kiedy powiem mu, że Brian złamałby rycerskie śluby, gdyby zrobił to, o co zamierzał go poprosić. On jednak natychmiast ochłonął, spokojnie przyjął odmowę i pokrył wszystko uśmiechem. I był to szczery, a nie udawany uśmiech. Powiedział, że niech Bóg broni, by kiedykolwiek miał prosić rycerza, aby ten złamał śluby. Dziewięciu na dziesięciu ze znanych mi rycerzy nie odpowiedziałoby w taki sposób.

–To dobrze! – zawołała Angie i uściśnęła Jima. – Zaparzę ci filiżankę herbaty.

–Po wysłuchaniu tego wszystkiego wolałbym coś mocniejszego.

–Zrobię herbatę – powiedziała. – Dzień jeszcze się nie skończył...

Były to prorocze słowa. Zanim woda zdążyła się zagotować, ktoś bardzo nieśmiało zapukał do drzwi.

–Co znowu? – mruknął Jim, a głośno rzucił: – Wejść!

Książę wszedł do komnaty i zawahał się na widok Angie.

–Hmm... James – powiedział książę. – Czy pozwolisz na słówko?

–Oczywiście – odparł Jim. – Będę zaszczycony, wasza miłość.

–Dobrze. Och, dobry wieczór, milady.

–Dobry wieczór, wasza miłość.

–Twój małżonek zaraz wróci.

–Dziękuję ci, wasza miłość, że uprzejmie mi o tym mówisz.

–Nie ma za co – rzekł szorstko książę.

Odwrócił się i wyszedł na korytarz. Jim poszedł za nim, przez ramię spojrzawszy na Angie. Podniosła ręce nad głowę i splotła dłonie, potrząsając nimi w triumfalnym geście, niczym zwycięski bokser.

Rozdział 23

Książę odszedł od drzwi, a także od służącej i zbrojnego, którzy spoglądali na nich z nieskrywanym zaciekawieniem. Jim wiedział, że taki całonocny czy całodniowy dyżur przed drzwiami to piekielnie nudne zajęcie. W Malencontri on i Angie nie życzyli sobie czegoś takiego. Ich służba uparła się jednak to robić. Mieliby zostawić drzwi do komnaty państwa niestrzeżone? Jakby ich pan był jakimś zwykłym rycerzem, a nie paladynem i w dodatku słynnym magiem, który walczył u boku króla Artura? Tutaj, w Tiverton, z pewnością tak samo pilnowano monarchy i jego szlachetnie urodzonych gości.

W końcu służba wszędzie sama wie najlepiej, jak należy pełnić obowiązki w jej zamku.

Chcąc uniknąć ciekawskich uszu, książę odprowadził Jima na bezpieczną odległość, za załom muru w korytarzu biegnącym spiralnie przy zewnętrznej ścianie wieży, tam mogli porozmawiać w cztery oczy.

Byli teraz zupełnie sami, niedaleko schodów. Wpadające przez otwory strzelnicze, popołudniowe słońce oświetlało twarz królewicza, na której malowała się powaga, jakiej Jim jeszcze u nie go nie widział.

W pobliżu nie było żadnych drzwi ani komnat, a mimo to młody Edward zniżył głos:

–To szaleństwo, James!

–Wasza miłość?

–Na pewno wiesz, o czym mówię. Ten plan waszych żon, żebyś poszedł z Brianem i łucznikiem do mojego ojca i powiedział mu prosto z mostu, że wyjeżdżacie, czy mu się to podoba, czy nie.

–A co innego możemy zrobić, wasza miłość? Data ślubu została ustalona, kaplica przygotowana do mszy, która zostanie odprawiona zaraz po zaślubinach, a nasze zobowiązania wobec Kościoła...

–Tak, tak, wiem o tym wszystkim! – powiedział książę. – Jednak, na miłość boską, ten plan, obmyślony przez was czy też wasze żony, jest ryzykowny i arogancki. Mój ojciec nawet nie wysłucha do końca, tylko wtrąci was do lochu, całą szóstkę, żebyście zgnili tam, nawet gdyby wstawił się za wami sam Chandos, którego tu nie ma! Żony i twoi przyjaciele może tego nie rozumieją, ale ty z pewnością zdajesz sobie z tego sprawę!

–Istotnie – westchnął Jim. Ale czy istnieje jakieś inne honorowe wyjście?

–Musi jakieś być! Ja w niczym nie będę mógł wam pomóc, jeśli spróbowacie, popełnić takie głupstwo. Pewnie będę miał szczęście, jeżeli sam nie wyląduję w lochu za to, że sprowadziłem was tutaj, żebyście go obrazili. Bo on z całą pewnością uzna to za zniewagę! Nie wolno przeciwstawiać się woli króla!

–Wiem – odparł Jim.

–Nie myślę o sobie. To prawda, że to zniweczyłoby mój plan odzyskania przychylności króla, ale musisz mi wierzyć, James, kiedy mówię, że w tym wypadku mam na uwadze dobro twoje i pozostałych, gdyż to ja namówiłem was do przyjazdu i na mnie spadnie odpowiedzialność za ewentualne skutki. Co więcej, szczerze miłuję

ciebie i Briana, a nawet tego łucznika, chociaż biedaczysko pochodzi z pospólstwa i w dodatku jest Walijczykiem.

W takich chwilach Jima korciło, by powiedzieć takim jak książę, że Dafydd jest im równy, jeśli nie lepszy od nich, jako dziedzic tronu. Jednak nie pozwalała na to obietnica, jaką dał przyjacielowi. Młody Edward mówił dalej:

–Czyż nie uratowaliście mnie wszyscy z rąk tego szalonego maga, który więził mnie i ulepił mojego sobowtóra ze śniegu, żeby wprowadzić go między francuskich rycerzy i pokazać, że zwróciłem się przeciw porządnym Anglikom? Ocaliłbym was wszystkich, gdybym mógł, ale jeśli uprzecie się, żeby podłożyć głowy pod topór, to cóż na to poradzę!

–Chętnie uwolniłbym cię od tej odpowiedzialności, wasza miłość – powiedział Jim zgodnie z wymogami czternastowiecznej grzeczności. – Jednak nie wiem, co mógłbym zrobić.

–Ależ, człowieku! – rzucił niecierpliwie książę. – Jesteś magiem. Z pewnością możesz coś wymyślić!

–Hmm... – Jim w zadumie spojrzał przez okienko strzelnicze. – Może przy twojej uprzejmej pomocy...

–Cokolwiek zechcesz! Chciałem powiedzieć – cokolwiek będzie w mojej mocy. Tylko powiedz.

Jim westchnął z powątpiewaniem.

–Niech pomyślę... musiałbyś szepnąć słówko czy dwa królowi, zanim przyjdziemy się z nim pożegnać, gdyż i tak zamierzaliśmy to zrobić, wasza miłość...

–Dobrze, dobrze! Co mam powiedzieć?

–Cóż, wystarczy, jeśli wasza miłość poprosi go, żeby nie zwracał uwagi na plotki.

–Plotki? Jakie plotki? Żadne tu nie krążą.

–Ale mogłyby krążyć. Posłańcy Cumberlanda przybywają i odjeżdżają w sprawach Korony, z papierami do podpisania i w tym podobnych sprawach. Jeden z nich mógłby się okazać byłym sługą hrabiny, który tak ją uwielbiał, że podczas pobytu tutaj odważył się zamienić z nią kilka słów. Ona oczywiście nie może go pamiętać.

–Tak sądzę!

–Mimo to mógłby przekazać jej najnowszą londyńską plotkę.

–Tak? A jaką?

–Pogłoskę, którą mógł już też słyszeć earl Cumberland, że król podejmuje i zabawia w Tiverton nieprzyjaciół earla. Kiedy hrabina dowie się o tym, uzna oczywiście za swój obowiązek przekazać ci tę wiadomość. Powie, że niestety nie zapamiętała nazwiska tego posłańca, a nie przyszło jej do głowy, by go o nie spytać, nie jest nawet pewna, czy rozpoznałaby go przy ponownym spotkaniu.

–Ależ, James! – rzucił zniecierpliwiony książę. – Przecież mój ojciec nie gości wrogów earla!

Jim odwrócił się do księcia i poważnie spojrzał mu w oczy.

–Ależ, wasza miłość, czyżbyś nie zdawał sobie sprawy z tego, że według earla ja, Brian i Dafydd ap Hywel, wszyscy jesteśmy wrogami króla? Kiedyś udało mu się nawet wysunąć przeciwko nam oskarżenie o zdradę, jednak szybko musiał je

wycofać, zapewne w wyniku zabiegów sir Johna Chandosa... W tym czasie oskarżył również innych.

Księżę przez chwilę tylko wytrzeszczał oczy. Potem wpadł w lekką euforię.

–Tak jak mnie, na wszystkich świętych! Chociaż mój ojciec nigdy nie pozwoliłby Cumberlandowi, obojętnie jak wielki byłby jego wpływ, oskarżyć mnie o coś takiego! Prędzej osadziłby go w londyńskiej Tower, a ta nie jest tak przyjemną kwaterą jak te, do których przywykł! Tylko jak... ach! Rozumiem. Król nie darzy prawdziwą miłością swojego ambitnego przyrodniego brata. Mówię ci to otwarcie, James. Jednak Cumberland jest dla niego najbardziej użytecznym z magnatów, a mój ojciec, będąc w podeszłym wieku, stara się unikać kłopotów, jeśli to możliwe. Chce tylko żyć w spokoju i podpisywać papiery.

–Z pewnością, wasza miłość – rzekł taktownie Jim – znasz swego ojca lepiej niż ktokolwiek.

–Właśnie, właśnie! – Księżę klepnął Jima w ramię. – Wiedziałem, że ten twój umysł maga znajdzie jakieś wyjście z tej sytuacji! Muszę powiedzieć o tym hrabinie i jeśli wszystko dobrze pójdzie, zobaczymy się z moim ojcem jeszcze dzisiaj albo jutro z rana.

–Może wasza miłość dasz mi znać, czy się z nim widziałeś?

–Zrobię to. Masz moje słowo. A teraz pozwolę ci wrócić do twojej małżonki. Przy okazji, co cię napadło, żeby trzymać w komnacie sukę i jej szczenięta?

–To długa opowieść, wasza miłość.

–Aha. No cóż, teraz nie mam czasu jej słuchać. Może później. Życzę ci miłego dnia, James.

Odwrócił się i po chwili od strony schodów dobiegł tupot jego nóg. Jim wrócił do komnaty.

–I co? – zapytała Angie, gdy tylko wszedł.

–I nic – odpowiedział Jim, opadając na krzesło.

–Jamesie Eckert...

–Zaraz ci powiem. Ostrzegł mnie, że jego ojciec zamknie w lochu za bezczelność całą naszą trójkę... nie, szóstkę, włącznie z naszymi żonami, jeśli porozmawiamy z nim tak, jak proponowałaś. Uzna to za zniewagę. Ja westchnąłem i powiedziałem, że honor oraz złożone obietnice nie pozostawiają nam wyboru... A potem, kiedy już był bliski rozpaczy, pokazałem mu wyjście z sytuacji.

–Mów dalej – zachęcała Angie. – Nie siedź i nie uśmiechaj się głupio.

–Nigdy głupio się nie uśmiecham! – obraził się Jim.

Angie nie odpowiedziała.

–Zaproponowałem, żeby poszedł do króla i poprosił go, by nie zważał na plotkę krążącą po Londynie. Teraz powinnaś mnie zapytać jaką plotkę.

–Jaką plotkę?

–Powtórzył ją Joannie jeden z tych niemal codziennie przybywających tu posłańców przywożących z dworu dokumenty do podpisu i tym podobne rzeczy. Podobno ostatnio na dworze mówi się, że król podejmuje w odległym Tiverton nieprzyjaciół earla Cumberlanda.

–Przecież król nie obawia się Cumberlanda. Jako monarcha może robić, co chce.

–Och tak, oczywiście. Może nawet ściąć mu głowę. Cumberland, podobnie jak Oxford, mógłby zebrać liczną armię, ale króla w każdej chwili może poprzeć cała Anglia. Tylko że król nie jest już młody, a Cumberland wykonuje za niego mnóstwo nudnej roboty. Dlatego król będzie chciał uniknąć zamieszania i z ulgą przyjmie wieść o naszym wyjeździe. Jednak jeszcze nie powiedziałem ci najlepszego. Młody Edward zapytał mnie, „jakich wrogów?”, a wtedy ja przypomniałem mu, że Brian, Dafydd i ja jesteśmy uznawani za nieprzyjaciół Cumberlanda. Natychmiast załapał i nawet przyznał, że on też.

–Spryciarz z ciebie.

–Dziękuję – odparł z satysfakcją Jim. – Tak więc nie sądzę, żebyśmy napotkali jeszcze jakiś opór ze strony księcia, kiedy jutro rano poprosimy jego ojca o audiencję i łaskawą zgodę na powrót do Malencontri.

Podniósł się z krzesła.

–Myślę, że trzeba to oblać – stwierdził, podchodząc do stołu, na którym stała karafka i czyste kielichy.

–Tym razem zgadzam się z tobą – powiedziała Angie, dołączając do niego. – Mój kielich tylko do połowy, a nie pół litra...

–Milordzie! Milady! – pisnął za ich plecami znajomy głosik. – Wróciliśmy!

Odwrócili się i ujrzeli nie tylko Hoba z mieczem u boku, ale także skrzata z Tiverton z nieco zardzewiałym sztyletem w pochewce z popękanej skóry, wetkniętej za sznurek, którym malec przewiązał się w pasie. Jim natychmiast poznał, że to jeden z puginałów, które zdobiły ściany wielkiej sali Malencontri.

–Chcę im odpłacić! – rzekł skrzat z Tiverton z niezwykle groźną miną. – Wyrwać im wątroby i płuca!

–Wątroby i płuca? – zapytał zaintrygowany Jim. – Czy gobliny mają wątroby i płuca?

Skrzat z Tiverton spojrzał na Hoba.

–A nie mają? – zapytał. – Sądziłem...

–Nie wiem – odparł Hob. – My mamy. – Hob popatrzył na Jima. – Prawda?

–Trudno mi powiedzieć – odparł Jim. – Mam wątpliwości co do płuc.

Oba skrzaty popatrzyły po sobie.

–Nieważne – orzekł skrzat z Tiverton niespodziewanie ponurym głosem. – Wytnę im coś innego, jeśli nie mają wątroby i płuc!

–No cóż, to zamyka sprawę wątroby i płuc – stwierdził Jim. – Poza tym raczej nie spotkacie tu już żadnego goblina, ponieważ jutro wracamy do domu.

Oba skrzaty spojrzały na niego z takimi minami, że Jim wytrzeszczył oczy.

–O co chodzi? Czyżbyście z jakiegoś powodu nie mogli poczekać do jutra i zamierzali poszukać jakiegoś goblina?

–Ależ, milordzie! – wybuchnął Hob. – Przecież one są wszędzie! W Tiverton są same gobliny, oprócz tej starowinki, którą trzymają tu, by rozpałała ogień, którego się boją. Jedynymi ludźmi jesteście wy oraz ci, którzy przyjechali tu z królem, i pan Verweather!

–Same gobliny? – powtórzyła Angie.

–No właśnie! – zdziwił się Jim. – Jak to „same gobliny”? A co ze zbrojnymi, pokojówkami i całą zamkową służbą?

–Co do jednego gobliny, milordzie! Mówiłem ci, że one potrafią zmieniać postać! Pamiętasz, jak wyjaśniałem ci, że stały się małe, żeby dosięść szczurów, kiedy zaatakowały ciebie i świętobliwego biskupa wracającego do swej siedziby? I sam widziałeś, jak niektóre usiłowały przybrać postać ludzi w zbrojach, chociaż niezbyt im to wychodziło.

–Pamiętam – powiedział Jim. – Nawet nie były podobne do ludzi, a zbroje wcale nie były pancerzami.

–Potrafią zmieniać postać, milordzie. To część tej magii, której my, skrzaty, już nie mamy. Jednak my możemy wchodzić do budynków, nawet jeśli są na nich namalowane święte znaki – a gobliny nie – a także przechodzić przez ogień i rozkazywać dymowi, czego one nie potrafią.

–W rzeczy samej – dodał skrzat z Tiverton – one boją się ognia. Dlatego myślałem, że mogę zostać w zamku i poczekać na powrót prawdziwych ludzi, bezpiecznie ukryty za ścianą płomieni. Tylko że one zgasiły ogień wodą i złapały mnie.

–I sam widziałeś, co mu zrobiły, milordzie – powiedział Hob. – A potem znalazłem go na strychu, w królestwie nietoperzy.

–Udało mi się odczołgać i ukryć, kiedy zostawiły mnie samego po jednej z takich sesji, bo tak to nazywali, milordzie – dodał skrzat z Tiverton. – Co i tak nic by mi nie dało, gdyby Hob nie zjawił się w porę. W końcu znowu by mnie znalazły. Miały cały zamek dla siebie, zanim przyjechał tu król ze swą nieliczną świtą. Wszyscy ludzie opuścili zamek na rozkaz tej osoby, która wydaje polecenia Verweatherowi. A oni dręczyli mnie i dręczyli!

–Biedny Tiv – powiedział Hob, obejmując go ramieniem. Skrzat z Tiverton strząsnął je.

–Już nie! Teraz mam broń i następny goblin, który się do mnie zbliży, poczuje to ostrze na swej wątrobie i płucach! Zobaczymy, czy to się im spodoba! Właśnie o to zamierzam ich pytać: „Zabawnie było? Chcesz, żebym zrobił to jeszcze raz?” Tak jak one pytały mnie!

–Wróc z nami do Malencontri – zaproponowała Angie. – Tam nikt cię już nie skrzywdzi.

Oba skrzaty były mocno zaskoczone, choć nie tak jak przed chwilą.

–Och, pani, nie mógłbym tego zrobić – rzekł skrzat z Tiverton. – W domu może być tylko jeden skrzat. To nasze prawo...

–Tak jest – poparł go Hob.

–Ponadto – dorzucił jego kolega – muszę zostać tutaj i zająć się moim zamkiem.

–To też prawda – rzekł Hob. – Skrzat nie może pozostawić swego domostwa bez opieki.

–Kim jest ta osoba, która wydaje polecenia Verweatherowi? – zapytał Jim. – Chyba nie macie na myśli samego króla Edwarda?

–Myślę, że to dama, milordzie. Czasem jednak zjawiał się mężczyzna – odparł skrzat z Tiverton. – Ona sprowadza go za pomocą magii, a potem odsyła w ten sam sposób. Jednak to on przekazuje jej rozkazy goblinom.

–Czy to lord? – spytał Jim, wiedząc, że skrzat nazywa tak każdego szlachcica.

–Mówił jak dobrze urodzony – odparł ostrożnie skrzat.

–Widziałeś i słyszałeś jego oraz tę damę tutaj, na zamku Tiverton?

–Tak, milordzie, dwukrotnie.

–I oboje pojawiali się tu i znikali za pomocą magii?

–Tak, panie.

–Skąd wiesz, że to była magia?

–Sześć goblinów siedziało na podłodze komnaty, w której stały tylko dwa krzesła. Siedziały półkolem na posadzce, ramię w ramię, ze skrzyżowanymi nogami. Nagle ta dama i ten lord, jeśli rzeczywiście nim był, panie, pojawili się na tych krzesłach, a potem zniknęli. On mówił groźnym tonem, nawet do niej. Ponadto wyczułem magię, kiedy pojawiali się i znikali. Obserwowałem ich z kominka, zanim mnie złapali.

–Potrafisz wyczuć magię?

–Oczywiście – odparły oba skrzaty jednocześnie.

–Każdy to potrafi, z wyjątkiem ludzi – dodał Hob. – Ma zapach palonego pożywienia... może palonego chleba. Myślę, że to był ten krzykliwy człowiek i ta Agatha, która zawsze mu towarzyszy.

Mianem „krzykliwego” lub „hałaśliwego” Hob zawsze określał earla Cumberlanda, od kiedy po raz pierwszy go zobaczył i usłyszał.

–Czy to możliwe, że Agatha skłoniła gobliny do współpracy i potrafi przenosić się za pomocą magii? – zapytała Angie. – W dodatku nie sama? Myślałam, że nauczyła się tylko trochę czarów i zaniechała nauki.

–Sądzę, że nauczyła się więcej niż „trochę” – rzekł Jim. – Masz jednak rację. Przenoszenie siebie i kogoś świadczy o całkiem dobrej znajomości magii, a kiedy się nad tym zastanowić, to już kiedyś przeniosła siebie i paru ludzi, zdaje się, że z królewskiego dworu w Londynie do Liones, usiłując wciągnąć nas w zasadzkę. Podczas gdy ja wciąż nie potrafię tego zrobić bez pomocy Carolinusa lub KinetetE. Mimo to założę się, że znam wiele innych czarów, o jakich nawet jej się nie śniło.

–Poza tym – dodała w zadumie Angie – Agatha jest sprytna. Oczywiście nie tak jak Joanna, ale wystarczająco. Mogła się sporo nauczyć metodą prób i błędów.

–Zapewne masz rację – zgodził się Jim. – Pewnie tak było. Tak postępuje każdy liczący się mag, wypracowując sobie własne sposoby. Ponadto jako dziecko spędziła jakiś czas w zamku earla Somerset, gdzie była ulubienicą starego trolla.

–Przecieżtrolle to tylko naturalni, a ich magia jest instynktowna. Troll nie mógł jej niczego nauczyć.

–Mimo to mogą mieć jakieś magiczne umiejętności. Tamten troll ma ponad tysiąc lat, a jego towarzystwo i rady mogły odpowiednio ją ukierunkować. Dzieci szybciej się uczą, niż dorośli przypuszczają. No, ale to teraz nieistotne.

Ponownie zwrócił się do słuchających go z szacunkiem skrzatów.

–Czego chciał tamten lord? – zapytał.

–Żeby król zachorował – odparł skrzat z Tiverton.

–Zachorował? – Jim i Angie wymienili zaskoczone spojrzenia. Angie pierwsza zrozumiała, co chciał im powiedzieć.

–Chyba nie mówisz o zarazie, która panuje teraz w Londynie? Skrzat kiwnął głową.

–O niej, pani – powiedział. – Te gobliny, na które milord natknął się, odwożąc jego świątobliwość do domu... Być może niektóre z nich jechały na szczurach mających pchły.

–Skąd wiedzą, że szczury mają pchły, które przenoszą chorobę na ludzi?

–Może powiedziała im o tym ta dama – odparł skrzat z Tiverton. – A może widziały chore pchły, które pogryzły ludzi, żeby się pożywić ich krwią.

–Widziały? – powtórzył Jim.

–Tak, milordzie. Ty nie widziałeś?

–Nic. Ślady po ich ukłuciach są małe, a one za szybko skaczą.

–My, skrzaty, możemy je zobaczyć, prawda, Hobie? – skrzat z Tiverton zwrócił się do swego kolegi z Malencontri.

–Tak, milordzie – potwierdził zapytany. – Może dlatego, że jesteśmy mniejsi od ludzi. Pchły kłują cały czas, czy są chore, czy nie.

–Nie do wiary – powiedział Jim, kierując te słowa do Angie. – Nawet Cumberland nie próbowałby zamordować króla... prawda?

–Może namówiła go do tego Agatha. Ona nie miałaby żadnych skrupułów. A sam mi mówiłeś, że earl chce zostać królem albo regentem.

–A więc może byłby do tego zdolny – rzekł Jim. – Co za bagno! Nikt w to nie uwierzy, a już na pewno nie król. Może księżę też nie, Angie, jeśli oni naprawdę zamierzają to zrobić, musimy ich jakoś powstrzymać! Carolinus wbijał mi w głowę, że moim pierwszym i najważniejszym obowiązkiem jest utrzymać króla przy życiu, ale nie wyjaśnił dlaczego. Może nie chciał mi powiedzieć dlatego, że nie jestem jeszcze rzeczywistym członkiem Zgromadzenia.

–Jim... – zaczęła Angie.

–Najwyraźniej jednak – ciągnął – jest to najważniejszy obowiązek każdego maga i powiedzą mi o tym, jak również o innych sprawach, jeśli kiedyś zostanę członkiem Zgromadzenia i jednym z nich. Tymczasem będzie najlepiej, jeśli wy wszyscy niezwłocznie opuścicie zamek. Natychmiast – Czuł, że lista spraw do załatwienia rośnie szybciej, niż jest w stanie zapamiętać. – Za pomocą magii uczynię was niewidzialnymi na czas podróży, a potem w jakiś sposób upozoruję waszą obecność, kiedy będę prosił króla o zgodę na nasz jutrzejszy wyjazd.

–Nie pojedę bez ciebie! – powiedziała Angie. – Dafydd również i Brian oczywiście też, co oznacza, że Danielle i Geronde także tu zostaną. Tak, Geronde z pewnością. Po namyśle uważam, że Danielle powinna wyjechać, żeby miał kto zająć się dziećmi na wypadek, gdyby Dafydd nie wrócił, ale wszyscy poza nią zostaną.

Teraz z kolei ona zamilkła, żeby nabrać tchu.

–Jim, czy jesteś pewien, że właśnie na tym polega plan Agathy i Cumberlanda? – zapytała.

–Masz rację. Potrzebny mi dowód. Skrzacie z Tiverton!

–Tak, panie?

–Skąd wy, skrzaty, wiecie, że oni chcą sprawić, by król zachorował? – zapytała

Angie.

–Pewnego wieczoru widziałem z kominka, jak ta dama wydawała rozkazy lordowi Verweatherowi – odparł skrzat.

–Kiedy to było?

–Dwa... nie, trzy tygodnie temu.

–To niewiele nam pomoże – stwierdziła Angie. – Słowa skrzata, szczególnie żywiącego urazę do goblinów... Skąd mamy pewność, że cała służba tutaj to gobliny?

–Gdybym rozpoznał choć jednego z nich, miałbym punkt zaczepienia – stwierdził Jim. – Mógłbym spróbować zdjąć czar, który czyni goblina... mógłbym sprawić, żeby przybrał swoją prawdziwą postać. Tylko że w ten sposób ostrzegłbym pozostałe...

Zastanawiał się chwilę. Potem nagle pstryknął palcami.

–Możemy posłużyć się naszym lustrem ze słonecznej komnaty, tym, które dla ciebie posrebrzyłem. Zaczekajcie chwilkę. Zaraz je tu sprowadzę!

Rozdział 24

Angie uważnie przyjrzała się wielkiemu zwierciadłu, które Jim właśnie sprowadził ze słonecznej komnaty w Malencontri. Lustro było rzeczywiście piękne, jedyne w swoim rodzaju w całej Anglii. To prawda, że odbity w nim obraz był trochę „pofałdowany”, ponieważ zrobiono je z czternastowiecznego szkła okiennego, – i tak będącego ogromną rzadkością. Wykorzystano jedną z szyb, które Jim sprowadził, by w ich komnacie na szczycie wieży cieszyć się rzadkim luksusem, jakim było posiadanie oszklonych okien. Zamkowy cieśla opracił je w najpiękniejszą ramę, jaką potrafił wykonać. Oczywiście nie była rzeźbiona, ale ozdobiona na brzegach wspaniałym wzorem.

– Mam nadzieję, że nic mu się tu nie stanie – powiedziała Angie. – Nie zdążyłam tego zaproponować, bo ściągnąłeś je tutaj tak szybko, ale czy nie mogłeś zrobić po prostu kopii, skoro dysponujesz oryginałem?

– Nie mogłem – odparł. – Magia nie obejmuje srebrzenia, głównie dlatego, że nawet ja sam nie rozumiem tego procesu. Musiałbym zrobić je od nowa, a pamiętasz, ile czasu straciłem na to, żeby srebro trzymało się szkła?

– Masz rację – przyznała Angie. – Zapomniałam. Wcale się nie martwię o lustro.

– No dobrze. Teraz odrobina magii, aby uczynić je niewidzialnym. Tak. I jeszcze trochę, aby ukazywało obraz.

– Przecież nie stało się niewidoczne... – zaczęła Angie.

– Ależ tak. Nie dla nas. Jednak będzie niewidzialne dla każdego goblina czy kogokolwiek, kto za pomocą magii będzie próbował przybrać inną postać. Teraz zawołamy służącą albo zbrojnego. Może lepiej niech skrzaty też staną się niewidzialne.

– Tiv i ja możemy się schować w kominie – zaproponował Hob. – Stamtąd będziemy wszystko widzieć i słyszeć.

– Świetnie – rzekł Jim. – Liczy się każda odrobina zaoszczędzonej magii. Angie, zechcesz zawołać tutaj służącą lub wartownika?

– Służba! – zawołała Angie. Weszła służąca.

– Podejź tu do mnie – powiedziała do niej Angie. – Stań tutaj, dobrze. Teraz spójrz na ten kojec. Chcę, żeby był sprzątnięty cztery razy dziennie i za każdym razem, gdy spodziewam się gości. Rozumiesz?

Przywołana w ten sposób przed lustro służąca nagle ukazała się w nim nie jako kobieta, lecz stworzenie podobne do skrzata, tylko pokryte rzadką ciemnożółtą sierścią.

– Och, tak, pani – odpowiedziało stworzenie udające służącą.

– Dobrze – powiedziała Angie opanowanym głosem. – Możesz teraz odejść. Służąca zamknęła za sobą drzwi.

– Jim!

– Tak, widziałem – rzekł.

Oba skrzaty wróciły do pokoju. Jim już zaczął je rozróżniać. Skrzat z Tiverton był nieco niższy od Hoba i bardziej krępy, jeśli można tak powiedzieć o skrzacie.

Jim stał jak zauroczony, spoglądając na skrzaty. Jego mózg pracował na

najwyższych obrotach, ale bez rezultatu, jak elektryczny silnik, który wyrwał się spod kontroli. Nagle otrząsnął się z transu, przyklęknął i zaczął wykonywać dziwne ruchy rękami, jakby rzeźbił w powietrzu.

–Co robisz? – zapytała Angie.

–Model Tiverton. – Po chwili Jim wstał. Stworzył niewyraźny kształt przypominający zamek – ale tylko wieżą połączoną z niższą, szerszą częścią budowli oraz otaczającym ją murem. – Teraz niech zielone światełko zapali się wszędzie tam, gdzie w tym momencie znajduje się jakiś goblin... Mój Boże!

Cały model rozświetlił się niezliczonymi zielonymi światełkami.

–Ile ich jest? – zapytał Jim.

Skrzaty popatrzyły po sobie.

–Nie wiem, milordzie – odparł Hob.

–Ponad dwieście – rzekł skrzat z Tiverton.

–Przecież na zamku, takim jak Tiverton, nie potrzeba aż tak licznej służby, prawda, Angie? – spytał oszołomiony Jim.

–Wystarczyłby siedemdziesięcioosobowy personel – odparła Angie jako doświadczona kasztelanka Malencontri. – Jim, jeśli one się zorientują, że o nich wiemy...

–Nie musisz mi tego... – zaczął Jim. – Przepraszam, Angie. Nie chciałem być nieuprzejmy. Postaramy się, żeby się nie zorientowały.

–Jak tego dokonasz, milordzie? – zapytał z wyraźnym zaciekawieniem skrzat z Tiverton.

Jim spojrzał na niego.

–Po prostu nie dając niczego po sobie poznać – rzekł. – A jeśli ty i skrzat z Malencontri zostaniecie w kominach i nie będziecie się pokazywać, nie dowiedzą się, że dzieje się coś niezwykłego.

–Och, przecież i tak szybko się zorientują, milordzie – powiedział Hob.

–Właśnie – pisnął skrzat z Tiverton, zanim Jim zdążył coś powiedzieć. – Rozumiem, co masz na myśli, Hobie.

–A ja nie! – powiedziała Angie. – Jim, o czym one mówią?

–Myślę – zaczął powoli Jim – że skrzaty chcą nam powiedzieć, że służąca, która przed chwilą tutaj była, wyczuła działanie magii w tej komnacie. – Pokręcił głową. – Powinienem być pamiętać, że Hob ostrzegał mnie, iż gobliny potrafią wyczuć magię.

–Przecież używasz magii przez cały czas – przypomniała. – Tak więc otaczający cię zapach nie powinien budzić ich podejrzeń.

–Co o tym sądzicie, skrzaty? – zapytał Jim. – Znacie je lepiej niż my. Czy nabiorą podejrzeń?

–Może nie od razu, milordzie – odparł Hob, wymieniwszy spojrzenia z kolegą, który tylko kiwnął głową. – Potem jednak ten goblin przypomni sobie, że milady kazała mu stanąć w miejscu, z którego rozchodził się zapach magii. Wtedy zaczniesz podejrzewać, że rzuciłeś jakiś czar.

–I co z tego, jeśli nie będzie wiedział, że ujrzeliśmy jego prawdziwą postać?

–Powie innym goblinom – rzekł Hob – a jeden z nich domyśli się, że przejrzałeś

ich dzięki magii. Gobliny są bardzo podejrzliwe.

–I domyśla się w czym rzecz? – powiedziała Angie. – Musiałyby być bardzo domyślne.

Skrzat z Tiverton skinął głową i spojrzał na skrzata z Malencontri, który mówił dalej do swoich państwa:

–Gobliny wiecznie się boją. Szczególnie magii. W królestwie diabłów i demonów zawsze muszą się bać. gdyż wielkie demony w każdej chwili mogą je dopaść.

Gobliny cierpiące na paranoję, pomyślał Jim. Paranoja pewnie pomaga im przetrwać.

–A więc zapewne nie ma większego znaczenia, czy zorientują się, że je przejrzelśmy – powiedział na głos. – Sam strach może popchnąć je do podjęcia wrogich działań.

–Tak – potwierdził Hob. – Zapewne się nie domyśla, że zdemaskowałeś je dzięki magii, którą wyczuł ten goblin udający służącą, ale tego najbardziej będą się obawiać.

–Zaczekaj chwilę, Hobie... Te gobliny, które zaatakowały nas podczas podróży z biskupem, bez powodzenia usiłowały przybrać postać rycerzy. A ci słudzy wyglądają jak ludzie!

–Miały czas, żeby się do was upodobnić – powiedział skrzat z Tiverton – i wykorzystały go. Obserwowałem je z kominków. Na bramie tego zamku chyba nie ma krzyża albo też mieszkający tu ludzie nie wierzyli w jego moc. Gobliny wtargnęły tu, zmniejszywszy się do rozmiarów robaczek, żeby nikt ich nie zauważył, po czym przez jakiś czas przyglądały się mieszkającym tu ludziom, aż nauczyły się doskonale ich udawać. Potem się powiększyły, pozabijały wszystkich w zamku i pewnie ich pożarły.

–To wyjaśnia, dlaczego ta służąca posłusznie wykonuje wszystkie polecenia – zauważyła Angic – ale nie chciała dotknąć butelki z przegotowaną wodą z Malencontri, kiedy powiedziałam jej, że to woda święcona!

–No tak – mruknął Jim. – Skrzacie z Tiverton, czy sądzisz, że one szybko domyśla się prawdy, kiedy wysłuchają relacji tego, któremu kazaliśmy stanąć przed lustrem?

–Nie wiem, milordzie. Pewnie bardzo szybko. W wielu sprawach nie są zbyt bystre, ale nie kiedy chodzi o magię. Może potrwa to kilka minut, a może...

–Zatem nie traćmy czasu! – zawołał Jim. – Musimy działać. Powinniśmy wynieść się stąd wszyscy. Wy, skrzaty, też!

Angie zaniepokoiła się. Oba skrzaty miały zaciekawione miny.

–Co chcesz zrobić? – zapytała Angie.

–Na początek zewrzeć szyki! – odparł Jim. – Znajdujemy się na najwyższym piętrze, pod samym dachem wieży. Najpierw zbierzemy tu wszystkich ludzi, tak abyśmy mogli bronić schodów. Potem przeniosę nas wszystkich do królewskich komnat. Odetniemy całe ostatnie piętro i kwatery króla, po czym policzymy obecnych... resztę wyjaśnię ci później. Gdzie dzbanek z wodą?

–Masz go pod ręką.

–Dobrze. – Jim zajął się dzbankiem. – Edward... książę... tutaj!

Książę pojawił się na środku pokoju i wytrzeszczył oczy. Otworzył usta, chcąc coś powiedzieć, lecz Jim nie zwrócił na to uwagi.

–Joanno? Ach, już tu jesteś.

Pojawiła się. Miała zaskoczoną minę. Głos Jima rozbrzmiewał w komnacie.

–Teraz rycerze króla. Do mnie! Milczeć! Zaraz wszystko wyjaśnię!

–Co to ma znaczyć?! – zawołał gniewnie książę.

–Nagły wypadek! – odparł Jim. – Błagam o chwilę cierpliwości, wasza miłość.

Brian? Czy Geronde jest z tobą?

Z dzbanka wydobył się cichutki, ledwie słyszalny głosik.

–Nieważne, jak jest ubrana. Do mnie! Jesteś wystarczająco odziana, Geronde. Już jesteście tu oboje? Dobrze. Dafyddzie, jesteś sam? Gdzie Danielle? Och, przepraszam, Danielle. Zrobiło się tu tak tłoczno, że cię nie zauważyłem. Danielle, Dafyddzie, macie tu wasze łuki i tyle strzał, ile dacie radę unieść!

Komnata Jima i Angie była przepelniona ludźmi. Jim pospiesznie powiększył ją, włączając do niej korytarz i zamykając go ścianami, tak że służba pozostała na zewnątrz. Wszyscy domagali się wyjaśnień.

–Powiedziałem, że wszystko wyjaśnię za chwilę, i zrobię to. Nie, Geronde – rzekł.

– Ty, Angie, Dafydd i Brian podejdźcie tu do mnie i do jego wysokości księcia i Joanny. Stańcie blisko, żebyście słyszeli mnie przez ten harmider. Proszę o ciszę! Najpierw muszę porozmawiać z miłościwym księciem i Joanną. Potem z Angie, Brianem, Dafyddem, Geronde i Danielle.

Otoczył ich dodatkowym zaklęciem ochronnym.

–Wszyscy milczeć! – zawołał. W magiczny sposób odebrał mowę wszystkim obecnym. W tym momencie uświadomił sobie, że przestraszona suka szczeka i warczy na stojących obok kojca ludzi. – Cicho! – zawołał. – Od tej chwili nie wolno ci szczekać!

Pod wpływem emocji zapomniał, że magia nie działa na zwierzęta. Najwidoczniej jednak terier był dobrze wytresowany i zrozumiał polecenie. Suka przestała szczekać i tylko cicho skomlała.

–I nie skowycz mi tu! – powiedział. – Później będziesz mogła hałasować, kiedy skończę mówić.

To zadziwiające, ale usłuchała.

–Hobie – ciągnął pospiesznie Jim – możesz z nią porozmawiać i uspokoić, że wszystko będzie dobrze? Och, no tak... Pozwalam wam mówić, skrzaty.

–Porozmawiam z tym psem, panie – rzekł pospiesznie skrzat z Tiverton.

–Milord mnie kazał to zrobić! – warknął Hob na kolegę. – Ona już rozumie, milordzie.

–W porządku, Hobie. Teraz ty i skrzat z Tiverton milczcie, chyba że was o coś zapytam.

Jim rozejrzał się wokół, po czym ponownie odwrócił się do księcia i Joanny. Umieścił model zamku w takim miejscu, w którym mogli dobrze mu się przyjrzeć.

–Najpierw chcę porozmawiać z wami, wasza miłość i lady Joanno, ponieważ wy najprędzej zrozumiecie, co nam grozi. Widzicie to? To rodzaj obrazu zamku, który

sporządziłem za pomocą magii. Wszystkie te zielone światełka ukazują miejsca, w których na zamku są gobliny. Przybrały postać służących.

Wszyscy słuchacze mieli zdumione miny i niewątpliwie zasypaliby go gradem pytań, gdyby mogli mówić.

–Tak – dorzucił pospiesznie Jim. – Potrafią zmieniać postać i udają ludzi, ponieważ chcą zarazić króla dżumą i w ten sposób go zabić. Nie wiem dlaczego. Dowiem się, a potem zabiorę stąd nas wszystkich.

Zamilkł na moment. Gniew malujący się na twarzy księcia zmienił się w ponurą determinację. Jim zaryzykował i zdjął czar ze stojących najbliżej. Został nagrodzony głuchą ciszą.

–W tym czasie – powiedział – musimy rozprawić się z goblinem stojącym przed drzwiami oraz strażą na schodach. Zabezpieczyłem zaklęciem całe to piętro, ale chcę wziąć jeńców, wkrótce więc otworzę schody. Moim zdaniem moglibyśmy powstrzymać tu całą armię. Wasza miłość, jeśli obejmiesz dowodzenie nad rycerzami ze świty króla, będziemy mogli czuć się bezpiecznie... ale jeszcze jedno. Brian, Dafydd i ja od lat walczyliśmy razem z różnymi wrogami, chciałbym więc, abyś pozostawił ich pod moją komendą.

Księżę zmarszczył brwi, lecz Joanna odezwała się, zanim zdążył odpowiedzieć:

–To zdumiewające, sir Jamesie! – zawołała, zgodnie z jego oczekiwaniami natychmiast zrozumiawszy sytuację. – Gdyby powiedział nam to ktoś inny, a nie tak znakomity mag jak ty, nie uwierzylibyśmy w ani jedno słowo! – Zaczepnęła tchu. – Dzięki Bogu, że jesteś z nami, James – dodała nieco spokojniej. – Ty wiesz, jak sobie radzie z demonami i goblinami! Sądzę, że twój plan zatrzymania sir Briana i łucznika pod swoimi rozkazami to wspaniały pomysł, prawda, wasza miłość?

–Nie jestem taki... jako dowódca... – księżę urwał i odkaszlnął, – Tak, zapewne. Dzięki wszystkim świętym, że jesteś z nami w taki dzień, James!

–Dobrze – powiedział Jim. – Robimy postępy. Teraz popatrzmy, kogo zdołałem ocalić. – Nie przestając mówić, wszedł w sporą grupę ludzi i zdjął z nich zaklęcie. – Wiesz lepiej niż ja, wasza miłość, ile osób król przywiódł tutaj ze sobą. Gdzie są jego rycerze? Ach, sir Mathew i pozostali. Dobrze!

Sir Mathew, odziany jedynie w pludry, koszulę i buty, posłał mu ponure spojrzenie.

–Panie, szanuję twoje magiczne umiejętności, ale czy wolno spytać... Och, dzień dobry, wasza miłość!

–Mathew! – rzucił ostro księżę. – Chciałbym, abyś nieco uprzejmiej zwracał się do szlachcica, który właśnie uratował życie tobie i nam wszystkim.

Powiedział to tak, aby usłyszeli go wszyscy obecni w powiększonym już pomieszczeniu. Jim był mu wdzięczny, ale tylko przez chwilę. Był zbyt zaprzątnięty innymi sprawami, które wymagały natychmiastowego załatwienia.

–Słuchajcie mnie, wszyscy! – ciągnął księżę, podnosząc głos. W komnacie natychmiast zrobiło się cicho. – Za chwilę wszyscy obecni tu panowie, oprócz naszych trzech paladynów, stawiają czoło hordzie goblinów. Zналиście ich jako służbę i zbrojnych zamku Tiverton, lecz w rzeczywistości są bandą przeklętych demonów,

które przybrały ludzką postać, aby zamordować naszego władcę. Musimy zapobiec temu lub zginąć!

–Niestety, wasza miłość – rzekł sir Mathew. – Jestem prawie nagi i nie mam broni.

Jim zupełnie o tym zapomniał, teraz na moment oderwał się od innych spraw, by bezgłośnie rzucić zaklęcie, które odziało, uzbroiło i oblekło rycerzy w zbroje. Chór męskich głosów przyjął to z zadowoleniem i w komnacie rozległ się szcęk metalu, gdy rycerze zaczęli sprawdzać swój ekwipunek.

–A teraz, Brianie i Dafyddzie... – zaczął Jim, zwracając się do przyjaciół. O mało się nie przewrócił, zawadzając nogą o coś miękkiego. – Uważaj, dziecko! – powiedział, ale zaraz zobaczył, że to nic dziecko, lecz drobna, stara kobieta w stroju służącej, mająca najwyżej metr wzrostu,

–Błagam o łaskawe wybaczenie, magu – powiedziała wysokim, piskliwym głosem. – Tylko ja pozostałam tu z całej służby Tiverton. Trzymały mnie, żebym rozpałała ogień, i były dla mnie bardzo niedobre! Nigdy dobrego słowa, musiałam sama szukać sobie jedzenia i pracować we dnie i w nocy, ilekroć chciały napalić w komnacie króla czy innego z gości. Nawet nie obiecywały mi za to złamanego szylinga!

–Wybacz, milordzie – pisnął skrzat z Malencontri – ale to dlatego, że one boją się ognia, jak już mówiłem.

–Pamiętam – uciał Jim. Skupił uwagę na służącej. – Jak się zwiesz?

–Proszę łaskawie mówić na mnie Meg, wasza magowska mość.

–No cóż, Meg, cieszę się, że tu jesteś. Może pomożesz nam, odpowiadając na kilka pytań. Jak szybko twoim zdaniem gobliny domyśla się, że wszyscy jesteśmy tutaj?

–One już to wiedzą, wasza magowska mość. I nie wszyscy jesteście tutaj, Młody giermek sir Mathew leży zimny jak głaz w swoim łóżku, tak naszpikowany ich małymi włócznie, że wygląda jak jeżozwierz. Okropnie krzyczał z bólu, biedaczysko, bo te włócznie były zatrute, ale wbiły ich w niego tyle, że szybko umarł. Widziałam to na moment przed tym, zanim znalazłam się tutaj. Nie miałam pojęcia, dlaczego to zrobiły. Teraz już wiem.

–Walter Thorncraft! – wykrzyknął sir Mathew. – Biedaczysko! Biedaczysko! Zabiję za niego kilka tych diabłów. Williamie, dlaczego nie pomogłeś swemu towarzyszowi?

–Błagam o wybaczenie, mój panie, ale szedłem do wychodka, kiedy nagle znalazłem się tutaj!

–Jeśli już wiedzą, to musimy szybko działać – rzekł Jim. – Brianie i Dafyddzie, zajmijcie się wartownikami na dachu! Wasza miłość, zechciej wybrać rycerza, by pilnował schodów. Gobliny nie zdołają się przedrzeć przez zaklęcie, którym objąłem całe piętro, ale trzeba mieć je na oku...

–Mathew! – rzucił książę. – Schody. Poślij na nie najlepszego ze swoich rycerzy!

–Sam pójdę, wasza miłość! – Zbity tłum zafalował, gdy sir Mathew przedzierał się przezeń. Po chwili usłyszeli jego głos: – Błagam o wybaczenie, wasza miłość, ale nie mogę znaleźć drzwi!

–Zamurowałem je, kiedy poszerzałem komnatę – wyjaśnił Jim. – Drzwi! Już są, sir Mathew!

–Dzięki, magu!

Usłyszeli dźwięk otwieranych i zamykanych drzwi.

–Angie, wasza miłość i Joanna – mówił Jim, ponownie nakazawszy pozostałym milczenie. – Wasza miłość, powinniśmy przenieść się do kwatery króla. Trzeba go zawiadomić o tym, co się tu dzieje, więc może mógłbyś...

–Może najlepiej będzie, jeśli ja to zrobię – wtrąciła pospiesznie Joanna. – Mnie przynajmniej zechce posłuchać przez moment.

–A ten moment wystarczy, żebyś przykuła jego uwagę – powiedział z nieskrywaną ulgą książę. – Ona ma rację, James. Mnie urwałby głowę, zanim powiedziałbym trzy słowa, albo nie chciałby słuchać. Musimy natychmiast się tam przenieść, nim ta horda wpadnie do jego komnat. Lady Angelo, może powinnaś razem z hrabiną...

–Obowiązek nakazuje mi zostać tutaj – odparła ostro Angie. – Przy moim mężu!

Jim nie mógł nie zrozumieć takich sygnałów. Zamierzał udać się do króla osobiście i zabrać ze sobą Angie, żeby razem ocenili reakcję monarchy na perswazje Joanny i księcia. Miała jednak rację: powinien zostać tutaj, żeby wszystkiego dopilnować, a jak zwykle w takich sytuacjach nie zostawiłaby go samego.

–Oczywiście – powiedział, błyskawicznie znajdując wyjście z sytuacji. – Posłałbym ją tylko po to, żeby wróciła tu i powiedziała, co się stało, gdybyście oboje musieli pozostać u króla dłużej, niż się spodziewamy.

–Mądra decyzja, mój panie – powiedziała Joanna, opowiadając się po stronie Angie.

To przesądzało sprawę. Jim w magiczny sposób odesłał księcia i Joannę.

–Jak ci idzie, Jamesie? – spytał Brian, wyłaniając się zza jego pleców.

Jim i Angie odwrócili się i zobaczyli obu przyjaciół, którzy wrócili z dachu.

–Zdjęliście wartownika? – zapytał Jim, przewyciężając lekki niesmak na myśl o tym, co przed chwilą wydarzyło się nad jego głową. Wartownik nie miał nawet cienia szansy.

–Istotnie, zdjęliśmy – odparł wesoło Brian. – Wyglądał jak prawdziwy zbrojny, włącznie z ubraniem i włócznią, bo te były prawdziwe. Jednak on sam po śmierci wyglądał jak skrzat w za dużym ubraniu.

–Lepiej, żeby nie usłyszały tego nasze skrzaty! – mruknął Jim. – One uważają, że gobliny są do nich zupełnie niepodobne. Poczłyby się urażone i zranione, gdybyś im to powiedział.

–Jeśli sobie tego życzysz, James, będę trzymał język za zębami. Jednak niech mnie licho, jeśli dostrzegłem jakąś różnicę prócz tej, że wartownik miał ciało pokryte sierścią.

–Ta różnica kryje się głębiej. Żaden goblin nie mógłby i nie chciałby zabrać cię na przejażdżkę na smudze dymu, żeby poprawić ci humor, kiedy jako chłopiec tęskniłeś za domem, chociaż pewnie tego nie pamiętasz. Ponadto gdyby chodziło o dwa gatunki stworzeń, z których tylko jeden jest zwierzyną łowną, z pewnością od razu dostrzegłbyś różnicę i już zawsze je rozróżniał.

–Doskonale pamiętam tę przejażdżkę, James, a przynajmniej od kiedy przypomniał mi o niej twój Hob. Masz jednak rację, mówiąc, że gdyby gobliny w

przeciwieństwie do skrzatów były łowną zwierzyną, bardzo szybko zauważyłbym różnicę. Skrzaty to mili naturalni i będę zważał na swoje słowa. Nawiasem mówiąc, zastanawialiśmy się z Dafyddem, czy zrzucić trupa z wieży, ale doszliśmy do wniosku, że będzie lepiej, jeśli inne gobliny nie zorientują się, że zdjęliśmy ich wartownika...

–Uwaga! – z korytarza dobiegł krzyk sir Mathew. – Gobliny na schodach! Jesteśmy atakowani!

–Obejmij dowodzenie nad ludźmi na schodach, dobrze, Brianie? Powiedz sir Mathew, że to mój rozkaz – polecił Jim. Pozostali rycerze już cisnęli się do drzwi. – Powiedz im, że wyznaczyłem cię na ich dowódcę. Dafyddzie, ty może lepiej zostań tutaj. Schody będą dostatecznie dobrze bronione i nie ma potrzeby marnować strzał. Oszczędzaj je, bo mogą nam się przydać później.

–Istotnie – odparł Dafydd, jak zwykle spokojny. Nie odezwał się słowem, kiedy Brian rozmawiał z Jimem. – Sądzę jednak, że powinienem się przyjrzeć tym goblinom. Wcale nie rwę się do boju, ale powinniśmy wcześniej poznać wroga, jeśli to tylko możliwe.

Odwrócił się i ruszył za Brianem, który dołączył już do tłoczących się w drzwiach rycerzy.

–Chyba powinienem usiąść na chwilę – rzeki cicho Jim do Angie i opadł na najbliższe krzesło.

–Dobrze się czujesz? – spytała, uważnie mu się przyglądając. Położyła chłodną dłoń na jego czole, – Jesteś rozpalony.

–Jakżeby nie, po takim zamieszaniu? Ponadto magia jest formą energii, a ja zużyłem jej tyle, że członkowi Zgromadzenia wystarczyłoby na miesiąc. Trochę się spociłem. To zapewne uboczne skutki przepływu energii, którym kierowałem.

–Skoro tak twierdzisz – zgodziła się Angie. – Mimo to może byłoby dobrze, gdybyś trochę zwolnił, szczególnie z posługiwaniem się magią. Księżę i Joanna poradzą sobie z królem, a Brian pewnie lepiej od ciebie potrafi dowodzić ludźmi na schodach.

–Niewątpliwie – odparł ponuro Jim. – W tych sprawach nigdy nie będę wiedział tyle co on. Gdyby nie to, że w takich nagłych sytuacjach dowodzenie zawsze obejmuje najwyższy rangą, niezależnie od swych umiejętności... Przepraszam, Angie, ale sądzą, że mimo wszystko będzie lepiej, jeśli rzucę okiem na sytuację na schodach. Wiesz, Dafydd miał rację, że należy poznać nieprzyjaciela. Dotychczas widziałem ich tylko przez chwilę, podczas starcia, kiedy eskortowałem biskupa. Wtedy nie zdążyłem dobrze się im przyjrzeć.

Nieco ociężale podniósł się z krzesła.

–Idę z tobą – powiedziała stanowczo Angie.

Rozdział 25

Kiedy oboje dotarli do schodów, rycerze spojrzeli z ulgą na Jima, a z niepokojem na Angie.

–Przygotuj się – mruknął Jim w jej stronę. – Będę musiał cię ofuknąć. Postaraj się udawać uległą żonkę.

Podniósł głos.

–Moja pani! – warknął. – Patrz, jeśli musisz, ale trzymaj się z daleka i nie przeszkadzaj nam swą gadaniną!

–Tak – odparła Angie ze wspaniale udawaną pokorą i spuszczonego wzrokiem. – Skoro tak każesz, panie.

Zatrzymała się. Stali zaledwie dwa metry od rycerzy.

–Milordzie – powitał go uprzejmie Brian. – Radzi jesteśmy cię widzieć. Z jakiegoś powodu gobliny nie atakują, chociaż jest ich bardzo dużo...

Jim spojrzął na schody. Gobliny czekały tam, tym razem przybrały swą prawdziwą postać: były nieco większe od skrzatów, a nie takie małe jak wtedy, gdy zaatakowały w lesie jego i ludzi biskupa. Stały stłoczone na stopniach, jak daleko Jim sięgał wzrokiem. Ich włócznie były nieco dłuższe niż poprzednio i wyglądały dziwnie groźnie w popołudniowym słońcu wpadającym przez wąskie otwory strzelnicze w murze. Lśniące jak diamenty groty błyskały przy każdym ruchu, a ślepie goblinów rzucały równie groźne błyski jak groty ich włóczy.

–One atakują – wyjaśnił Jim – ale powstrzymuje je zaklęcie, którym otoczyłem całe to piętro, żeby nikt nie dostał się tu z dołu. Nie mogą się przez nie przedrzeć. Pytanie tylko, czy zdjąć czar i zaatakować, czy na razie się wstrzymać. Atak mógłby nauczyć je moresu. Ta zgraja, która zaatakowała nas, kiedy eskortowałem biskupa Bath i Wells, z początku wydawała się sądzić, że nasze zbroje też są magiczne. Próbowali je odtworzyć, zmieniając kształt i upodabniając się do nas, ale nie wyglądali zbyt przekonująco.

Myślał na głos, na użytek rycerzy, którzy stali wokół i niecierpliwili się. Nie po to cieszyli się z odzyskania swoich zbroi i mieczy, żeby teraz stać na schodach i czekać.

–Tak – rzekł Jim. – Atakujemy!

Rycerze odpowiedzieli chóralnym okrzykiem radości i zaczęli się przepychać w stronę schodów.

–Stać! – warknął Jim. – Posuwamy się szeregiem i tylko po dwóch, pamiętajcie! Jest ich tyle, że samą siłą natarcia mogą zepchnąć każdego, kto się znajdzie na skraju schodów. Sir Brianie, poprowadź panów!

Brian pewnie i sprawnie poprowadził atak. Jim stanął z boku, by obserwować, ale nagle przyszło mu do głowy, że według przyjętych zwyczajów powinien ruszyć w pierwszym szeregu razem z Brianem. Tymczasem rycerze już o mało nie pobili się o to miejsce. Miejmy nadzieję, pomyślał Jim, że uznają moje postępowanie za łaskawe ustępstwo na rzecz tych, którzy chcą po raz pierwszy spotkać się z wrogiem.

Potem przypomniał sobie, że podobnie jak przedtem zapomniał zabezpieczyć siebie, otaczając swoich towarzyszy zaklęciem chroniącym przed ukłuciami

roznoszących dżumą pcheł, tak teraz zapomniał włożyć zbroję. O mało się nie zaczerwienił i już miał naprawić to niedopatrzenie, kiedy uświadomił sobie, iż wszyscy obecni niewątpliwie uznali, że poważnie traktując swoje obowiązki dowódcy, w podziwu godny sposób powstrzymuje swój (niewątpliwy) zapal popychający go do boju.

Gdy Brian zajął pozycję, Jim zdjął ochronne zakłęcie i rycerze – z Brianem i sir Mathew na czele – ruszyli po schodach.

Napierające gobliny nagle poczuły, że niewidzialna bariera znikła. Zaczęły sunąć po schodach w górę jak czarny i jadowity gad mieniący się gwiazdzistymi błyskami grotów włóczy.

Obie grupy spotkały się.

Tym razem jednak starcie wyglądało inaczej niż potyczka w lesie. W świetle biskupa Jim był jedynym rycerzem, a nawet on nie miał na sobie pełnej zbroi. Teraz gobliny napotkały rycerzy nie tylko całkowicie zakutych w stal, ale w dodatku mających tarcze i umiejących należycie się bronić. Diamentowe groty grzęzły w drewnianych osłonach, lecz nie przebijały ich, a ostre jak brzytwy miecze rycerzy kosiły wrogów jak łąn żyta.

Jim zobaczył, jak Brian – idąc po zewnętrznej krawędzi schodów – używa swej tarczy, już najeżonej drzewcami włóczy, jak miotły, którą zmiatał stojące mu na drodze gobliny, strącając je w objęcia śmierci czyhającej na kamiennej posadzce na dole wieży.

Rycerze oczyszczali schody z goblinów, zabezpieczeni przed zatrutymi grotami ich włóczy. Jednak miejsce zabitych natychmiast zajmowali nowi członkowie niezliczonej hordy. Jim zrozumiał, że to tylko kwestia czasu, zanim rycerze opadną z sił. Goblinom nie brakowało odwagi. Nacierające w pierwszym szeregu szły na śmierć jak bohaterowie ludzkich legend.

Jim usilnie szukał jakiegoś rozwiązania, wyteżając swój i tak już strudzony umysł, gdy nagle do zgiełku dołączył niespodziewany dźwięk. Gdzieś niedaleko słychać było szczekanie, co było szczególnie irytujące w tym momencie. Jim pomyślał, że zapewne ktoś z pozostałych w komnacie zdenerwował teriera, biorąc na ręce jedno ze szczeniąt.

Tymczasem wyjaśnienie okazało się bardziej skomplikowane. Szczekanie stało się głośniejsze, przybliżyło się i zanim Jim zdążył się odwrócić, mały piesek śmignął obok niego i zbiegł po schodach między walczącymi rycerzy. Terier, czyli przedstawiciel rasy znanej z tego, że się nic boi żadnego przeciwnika, niezależnie od jego rozmiarów czy broni, a jeśli w dodatku jest matką małych szczeniąt, nie leży spokojnie, czekając na nadejście wrogów mogących zagrozić jej potomstwu. Suka wepchnęła łeb między nogi sir Briana i sir Mathew, po czym zaczęła warczeć i szczekać na gobliny.

Te zaś nieoczekiwane cofnęły się w panice, wpadając na siebie i zrzucając kilkunastu swoich, którzy roztrzaskali się na kamiennej podłodze wieży.

Rycerze przystanęli. Jim wraz ze stojącą obok niego Angie zostali na miejscu, a suka warczała i poszczekiwała triumfalnie na wycofujących się wrogów.

Oba skrzaty przybiegły z komnaty i dołączyły do Jima oraz Angie.

–Wybacz, panie – wysapał skrzat z Malencontri, pod wpływem emocji odrobinę zbyt poufale zwracając się do Jima. – Zapomniałem ci powiedzieć. Gobliny śmiertelnie się boją psów!

–Ach tak? – zdziwiła się Angie. – Dlaczego?

–Ponieważ – jak na pewno pamiętasz, pani – magia nie działa na zwierzęta, które przy sprzyjającym wietrze potrafią je wyczuć z daleka. Dla psów zaczarowane groty włóczy są zwyczajnymi grotami, a pies podczas walki nie czuje bólu z powodu ran. Dlatego gobliny nauczyły się omijać psy z daleka, gdyż te zabijają je, jeśli uznają, że gobliny wkroczyły na ich terytorium. Podobnie traktują je domowe koty...

–Koty? – powtórzyła Angie. – Przecież gobliny są znacznie większe od kotów!

–To żadna różnica, pani – wtrącił pospiesznie skrzat z Tiverton, który w końcu zdołał się włączyć do rozmowy. – Koty nienawidzą goblinów. Gonią je i próbują zabić, a gobliny uciekają. Koty mają ostre kły i pazury. Potrafią dogonić goblina i rzucić mu się do gardła, a kota niełatwo zabić!

–Właśnie miałem to powiedzieć – rzekł Hob, posyłając mu gniewne spojrzenie.

–Ale nie powiedziałaś. Ja to zrobiłem.

–Uspokójcie się – powiedziała Angie.

–Tak, pani – odpowiedzieli zgodnym chórem.

–Mój pan myśli i nie powinniście mu przeszkadzać waszą gadaniną.

–Błagam o łaskawe wybaczenie, milordzie – powiedzieli chórem.

–Wybaczam – rzucił machinalnie Jim. Tymczasem rycerze wrócili na górę.

–No, milordzie? – zagadnął Brian, zdejmując hełm i ukazując zlepione potem włosy. – Uznałem, że mądrzej będzie nie ścigać ich za daleko. Jakie rozkazy?

–Hm... – mruknął Jim, jednakowo niechętnie słuchając szumu w swojej głowie, jak i Briana, który o wiele lepiej znał się na wojennym rzemiośle. – Z chęcią wysłucham twojej rady, sir Brianie.

–Zatem sugerowałbym, milordzie, abyś ponownie umieścił tę magiczną tarczę na poprzednim miejscu. Goblinów jest mrowie i chociaż moglibyśmy wyprzeć je z zamku, potrzebowalibyśmy pomocy psa, a nie wiadomo, jak daleko suka zechciałaby odejść od swych szczeniąt, obawiając się, że ścigani prześlizgną się obok i zrobią im krzywdę.

–To dobra rada – odparł Jim.

Rycerze, którzy uznali potyczkę z goblinami za nieco monotonną – bardziej bowiem niż bitwę przypominała koszenie zboża w czasie żniw, kiedy to wszyscy od panów po sługi wychodzą na pola, aby zebrać plony, zanim nastaną słoty – najwyraźniej zgadzali się z tym. Woleli walczyć z wrogiem, który oddaje ciosy, pod warunkiem że nie tak silne jak ich.

Terier wciąż czekał i warczał na gobliny, ponownie zatrzymane przez ochronne zaklęcie. Angie wzięła sukę na ręce, żeby zanieść ją do komnaty.

–Może ja ją zaniosę – szepnęła do niej Jim.

–Nie, w porządku – powiedziała. – Ona jest lekka. Szczeknąwszy jeszcze kilka razy, pies zapomniał o goblinach i odwrócił łeb, żeby polizać twarz, która znalazła się

tak blisko. Angie odchyliła głowę.

–Ona tylko usiłuje ci powiedzieć, jak bardzo cię lubi – próbował uświadomić jej Jim.

–Pomyśl, co robiła tym języczkiem, szczególnie szczeniakom – prychnęła Angie. Mocno trzymając pieska, podsunęła go Jimowi. – Masz, chcesz, żeby polizała ciebie?

–Nie, nie. Pewnie masz rację.

–Możesz być tego pewien.

Razem z rycerzami wrócili do zatłoczonego pokoju i umieścili sukę w kojcu. Dafydd, który obserwował wszystko w milczeniu, oraz ci, którzy także poszli przyjrzeć się potyczce, wrócili wraz z nimi.

–Milordzie – powiedział znajomy głos.

Jim odwrócił się i ujrzał oba skrzaty depczące mu po piętach.

–Nie teraz – uciał, odwracając się.

Zauważył księcia i Joannę, którzy właśnie wchodzili do komnaty, niewątpliwie wracając od króla, którego pokoje znajdowały się na końcu korytarza. Taki szybki powrót świadczył o tym, że uzyskali zgodę monarchy na przeniesienie wszystkich do jego kwatery. Dobra robota. Jim chciał poznać szczegóły. Wszystkie królewskie komnaty były połączone ze sobą, nie miały natomiast drzwi wychodzących na korytarz, co sprawiało, że były znacznie łatwiejsze do obrony niż to zatłoczone pomieszczenie – dopóki Jim, obecnie dziwnie otępiały, nie zdoła wymyślić jakiegoś lepszego rozwiązania.

Przecisnął się przez tłum do Joanny i księcia, po czym otoczył ich wszystkich ochronnym zaklęciem, włącznie z Angie, która szła tuż za nim.

–Jak się czujesz? – spytała cicho, pochwycając jego spojrzenie.

–Świetnie – odparł, nie mając teraz czasu martwić się o swoje zdrowie. Mimo to rozszerzył ochronny krąg, żeby swobodniej oddychać.

–Wróciliście – powiedział do Joanny i księcia. – To dobrze.

–Wcale nie, sir Jamesie – powiedziała Joanna. – Król nie chce nawet słyszeć o przeniesieniu wszystkich do jego kwatery. Obawiam się, że ja...

–To wyłącznie moja wina! – wtrącił książę. – Powinienem był dać mu więcej czasu na oswojenie się z tą myślą. Zawsze lubił Joannę i traktował ją łaskawie. Jednak odezwałem się za szybko – pochopnie, pochopnie! Brak rozwagi bywa fatalny również w wojskowych sprawach, jak zapewne się domyślasz, James. Hrabina robiła wspaniałe postępy, kiedy ja wyjawilem mu wszystko, a on zawsze lubił mnie poprawiać i z zasady nie zgadzał się ze wszystkim, co mówiłem. W końcu stracił cierpliwość i nie uwierzył, że pchły w tym zamku przenoszą zarazę, kategorycznie zaprzeczył, by tutejsza służba była goblinami, a wreszcie stwierdził, że gobliny nie istnieją, a gdyby nawet istniały, to on, jako prawowity król, nie ma się czego obawiać z ich strony!

–Och, wspaniale! – mruknął Jim, widząc, jak jego plan bierze w łeb. Zaskoczone gobliny mogły z przyzwyczajenia raz uciec przed psem, ale trudno przypuszczać, by terier zdołał długo powstrzymać takie mrowie wrogów, którzy mogą w ostateczności przygnieść go swoimi ciałami, żeby utorować drogę swoim towarzyszom.

–Wspaniale, James? – księżę spojrział na niego ze zdziwieniem, nie wyczuwając ironii.

–Sądzę, że sprawa wymaga ponownego przemyślenia – odparł z rozpaczą Jim, chociaż w tym momencie nie mógł zebrać myśli. Przyzwyczaił się do tego, że zaczyna mówić, zanim jeszcze znajdzie sposób na wyjście z tarapatów, i zawsze znajduje jakąś zręczną odpowiedź, aby w najgorszym wypadku zyskać na czasie, nim wymyśli lepszą wymówkę lub rozwiązanie problemu.

Z przerażeniem stwierdził, że teraz to nie działa, ponieważ żaden pomysł nie przychodził mu do głowy.

–Milordzie! – usłyszał za plecami ponagląący głosik Hoba i nagle uświadomił sobie, że oba skrzaty również znalazły się w kręgu ochronnego zaklęcia, kiedy tuż za nim weszły do komnaty.

Dobry pretekst, który da mu czas do namysłu. Gwałtownie odwrócił się i rzekł porywczo:

–Hobie, co wy tu robicie? Prowadzę bardzo ważną rozmowę z księciem Edwardem i lady Joanną. Otworzę ochronny krąg, żebyście mogli wyjść i...

–Ależ milordzie, błagam o wybaczenie! – krzyknął Hob. – Możemy złapać goblina, żeby pokazać królowi, że naprawdę istnieją i są tutaj!

–Nonsens! A teraz obaj...

–Wybacz, mój panie – powiedziała Angie grzecznie, lecz stanowczo – ale czy w tej groźnej sytuacji nie byłoby rozsądnie przynajmniej go wysłuchać?

–Och! – Jim nadal nie był w stanie znaleźć choćby tymczasowego wyjścia z sytuacji. – No dobrze. W jaki sposób? I jacy „my”?

–Ja i skrzat z Tiverton, milordzie, oraz ten piesek.

–Wy dwaj i pies? – wytrzeszczył oczy Jim.

–Tak, możemy to zrobić! – zawołał skrzat z Tiverton. – Nikt nie zna zamku tak dobrze jak ja.

–A w czym to pomoże?

–Jak wiesz, my, skrzaty, umiemy rozmawiać ze zwierzętami – ciągnął niezrażony Hob.

–Tak, wiem.

–Zatem wyjaśnię suce, co zamierzamy zrobić, i obiecuję, że milady przypilnuje szczeniąt, dopóki nie wrócimy. Potem Tiv i ja zabierzemy ją na smudze dymu do kominów i znajdziemy jakiegoś goblina – lub kilka – w komnacie z kominkiem.

Hob zamilkł, czekając na jakiś gest zrozumienia lub aprobaty ze strony Jima.

–Mów dalej – zachęcił go Jim.

–Potem złapiemy goblina, a nawet jeśli będzie ich tam więcej, to żaden nie odważy się poruszyć z obawy przed psem. Powiem terierowi, żeby tylko warczał i nie atakował. Wtedy jeden z nas, to będę ja, chwyci goblina, a drugi psa, i wlecimy do komina, gdzie pozostałe nie będą mogły nas ścigać...

–Ja chcę nieść goblina – przerwał gwałtownie skrzat z Tiverton. – To mój zamek!

–Cóż, chyba masz do tego prawo... W każdym razie, mój panie, przyniesiemy ci goblina, ty otoczysz go magicznym zaklęciem, żeby nie mógł uciec, suczka wróci do

swoich szczeniaków, a ty będziesz mógł pokazać goblina królowi.

–Czy to możliwe? – zapytał księżę Jima.

–Czemu nie – odparł z namysłem Jim. Właściwie wydawało się to przynajmniej prawdopodobne.

–A jak ci dwaj przelecą przez komin, w dodatku niosąc goblina i psa?

–Och, oni mogą latać na smugach dymu. Skrzat z Malencontri przeleciał tak kiedyś z Ziemi Świętej do Anglii, a potem z powrotem. Raz nawet przewiózł mnie na smużce dymu.

–Každy o tym wie – powiedział skrzat z Tiverton.

Księżę zignorował tę uwagę.

–No cóż, uwierzę ci na słowo – zwrócił się do Jima. – Czy kiedy sprowadzą tu tego goblina, zdołasz rzucić na niego czar, żebyśmy mogli pokazać go mojemu ojcu?

–Bez wątpienia, wasza miłość.

–I tym razem – rzekła Joanna do księcia – pozwól mi mówić, dopóki cię nie poproszę o zabranie głosu.

–Jeśli tak sobie życzysz – odrzekł nieco nastroszony księżę.

–Teraz, kiedy już widzieliśmy ten tłum na schodach, może wykorzystasz swój tubalny głos, żeby dokonać oceny sytuacji – zachęciła księcia Joanna.

Jim pojął, że w drodze powrotnej tych dwoje musiało przejść obok schodów i zapewne ktoś z obecnych na korytarzu ludzi opowiedział im o stoczonej bitwie.

–Twój ojciec z pewnością zechce tego wysłuchać – ciągnęła Joanna. – Tylko pozwól, że to ja przypomnę mu o tym, że to Cumberland przysłał go tutaj, żeby zachorował i umarł. Twemu ojcu, wasza miłość, niełatwo przyjdzie zaakceptować ten fakt.

–No tak, na niebiosa! Będzie, jak mówisz, moja droga... hrabino. Zawsze umiałaś okręcić go wokół palca.

–Nie zawsze – powiedziała sucho Joanna. – W przeciwnym wypadku nie wyszłabym za Salisbury'ego, tylko powiedziała królowi o moim ślubie z Hollandem. Wtedy jednak miałam tylko dwanaście lat... a obecnie znacznie lepiej umiem z nim rozmawiać.

–To wszystko moja wina... ale cóż – powiedział księżę, nagle przypominając sobie o tym, że wiele osób słucha jego przeprosin. – A więc gwarantujesz powodzenie tej ekspedycji skrzatów, James?

–Niczego nie gwarantuję – warknął Jim, który w tym momencie nie miał ochoty być uprzejmy. – Powiedziałem, że moim zdaniem to się uda, a wtedy będę tutaj, żeby użyć takiej magii, jaka będzie potrzebna, wasza miłość!

–Twoje słowo mi wystarczy, James – powiedział księżę najbardziej przepaszającym tonem, na jaki było go stać. – Jestem twoim dozgonnym dłużnikiem.

–Niepotrzebnie, wasza miłość – odparł Jim, podejmując równie wielki wysiłek, by zabrzmiało to jak najuprzejmiej.

–Mimo to – rzekł księżę – nie zapomnę o tym.

–To mi wystarczy, wasza miłość. Skrzaty, lepiej weźcie się do roboty!

–Chodź, Tiv – powiedział Hob. – Muszę najpierw porozmawiać z tym pieskiem. Potem tobie też dam z nim pomówić, jeśli będziesz chciał.

Odwrócił się i poprowadził skrzata z Tiverton przez tłum ludzi. Nie uderzyli nosami o twardą, niewidzialną barierę, gdyż Jim pośpiesznie zdjął ochronne zaklęcie otaczające ich wszystkich.

–Chodź, najd... hrabino – powiedział księżę. – Przejdźmy się korytarzem w kierunku schodów, żeby zaczerpnąć trochę powietrza.

Kiedy wyszli, Jim zwrócił się do Angie. Spojrzała mu prosto w oczy.

–Zamierzam zrobić ci miejsce na łóżku – zapowiedziała. – I położysz się w nim! Nie żartuję!

Rozdział 26

–Nie żartuję! – powtórzyła Angie. – Z każdą minutą coraz bardziej przypominasz śmierć na chorągwi. Połóż się. Natychmiast!

–No... – zaczął Jim, myśląc o tym, jak śmiesznie będzie wyglądał, leżąc w łóżku, podczas gdy pozostali nie mają nawet na czym usiąść. Potem przypomniał sobie, że ludzie w tych czasach przywykli być na nogach przez długi czas. Ponadto uświadomił sobie, jak przyjemnie będzie wyciągnąć się na chwilę... – Tylko dopóki skrzaty nie wrócą z goblinem – powiedział.

Istotnie, kiedy położył się na łożu (co opętało tych średniowiecznych meblarzy, żeby robić łóżka dla Pigmejów?), nabrał przekonania, że może rzeczywiście potrzebuje odpoczynku.

Leżał, a cały otaczający go tłum spoglądał na niego z zaciekawieniem, lecz nikt nie ośmielił się o nic pytać. Wszystkich onieśmiała Angie, która stała obok z miną mówiącą, że to sprawa maga-rycerza i nic nikomu do tego. Jim poczuł, że kręci mu się w głowie.

Jesteś wyczerpany, mówiło mu całe ciało. Do diabła, co mu się stało? Przecież wyspał się zeszłej nocy... Zamknął oczy i wydawało mu się, że otworzył je sekundę później, czując dotyk dłoni Angie, która budziła go, delikatnie gładząc jego czoło.

Wytrzeszczył oczy.

Tuż przy łożu stał goblin z wykręconymi do tyłu rękami, przytrzymywany przez triumfującego Hoba i skrzata z Tiverton. Goblin miał złowrogi błysk w oczach. Najwidoczniej nie było wśród nich tchórzy.

Księżę i hrabina stali jak para olbrzymów za trzema małymi naturalnymi, a zgromadzeni w komnacie zdolali się jakoś ścisnąć, tak by zachować pełen szacunku odstęp od zebranych przy łożu.

Jim odruchowo rzucił zakłęcie, otaczając stojącą przy jego łóżku grupkę kręgiem nie przepuszczającym dźwięków. Zdziwiło go, jak wiele wysiłku musiał włożyć w to proste zakłęcie..., Może dlatego, że zrobił to na leżąco. Usiadł na łóżku, co również przyszło mu z trudem. Dobre maniere nakazywały stać w obecności stojącego księcia, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa.

–Macie go! – wychrypiął do skrzatów.

–Ja... – zaczął Hob.

–My... – powiedział w tej samej chwili skrzat z Tiverton. Przez moment spoglądali na siebie gniewnie, po czym przemówił skrzat z Malencontri.

–Melduję – powiedział – że więzień został schwytany, jak zaplanowano, milordzie.

–W końcu znaleźliśmy komnatę, w której było ich tylko pięć – dorzucił pospiesznie skrzat z Tiverton.

–Piesek zawarczał na nich i nie odważyły się ruszyć – znów zabrał głos Hob. – Wybrałem największego, złapaliśmy go i wpadliśmy z powrotem do komina...

–Ja niosłem jeńca... – wtrącił drugi skrzat.

–Tak – przyznał Hob – i przez całą drogę pytałeś go, czy to zabawne i czy masz to powtórzyć! Co mu robiłeś?

–Nieważne – uciął jego kolega. – Może przypadkiem uszczypnąłem go od czasu

do czasu, poprawiając chwyt.

–A ty niosłeś psa? – zapytał Jim Hoba. Z trudem wymawiał słowa. Chciał jednak zakończyć te przekomarzania.

–Tak! – potwierdził Hob. – Zobacz, milordzie, jest już z powrotem w kojcu!

Jim spojrział we wskazanym kierunku. Ponieważ tłum cofnął się trochę, zobaczył kojec w kącie komnaty. Suka była tam, znów pospiesznie i energicznie wylizując szczeniaki.

–Dość pogaduszek! – przerwał im książę. – Mamy goblina. Spraw, by był bezradny, James, i niezwłocznie przenieś nas do mojego ojca!

–Wasza miłość... – zaczęła Angie tonem, który dziwnie kojarzył się Jimowi z pomrukiem szykującej się do skoku pумы.

–Moja pani – rzucił pospiesznie – jego wysokość ma rację. Szkoda czasu na rozmowy.

Z wysiłkiem stworzył nieprzekraczalny krąg wokół jeńca, uwalniając go przy tym z więzów. Z jeszcze większym trudem przeniósł goblina, hrabinę i księcia do komnat zajmowanych przez króla.

Zawirowało mu w głowie, padł na łożku, pogrążając się w głębokim śnie.

Znów się ocknął – a może został zbudzony? Miał wrażenie, że istnieje w dwóch postaciach: jedna leży nieprzytomna na łożku, a druga – bezcielesna, niewyczuwalna i niewidzialna – stoi na nim z nogami zagłębionymi do kolan w materacu. Ku jego zdumieniu tłum nadal zachowywał pełną szacunku odległość, a obok stała nie tylko Angie, ale również KinetetE i Carolinus.

–Carolinusie – zawołał bezdźwięcznie. – Czy możesz przenieść wszystkich tych ludzi, włącznie z królem, do Malencontri? Jakoś... jakoś nie mam siły...

Carolinus nagle znalazł się tuż przy łożku, pochylał się nad Jimem, chociaż ten nie zauważył, by stary mag się poruszył.

–Spij! – rozkazał Carolinus.

Jednak Jim – a przynajmniej jego astralny sobowtór – nie miał zamiaru zasnąć ani się położyć.

–Nie reaguje na polecenie snu! – wykrzyknęła KinetetE. – Jak to możliwe, na wszystkich...

–Sam i tak nie zdołałbyś tego zrobić, Jim! – rzekł Carolinus do astralnego Jima, jakby wyraźnie go widział. – Nie zostało ci nawet tyle magii, żeby połaskotać mysz!

–Co się dzieje? – zapytała KinetetE swego kolegę maga. – Nigdy nie widziałam, żeby to polecenie zawiodło. Może ja spróbuję?

–Nie, nie – mruknął zirytowany Carolinus. – To nic nie da! – I znacznie łagodniejszym tonem dodał; – Wcale się nie dziwię, Kin, że nie widziałas czegoś takiego. Ja dotychczas tylko raz spotkałem się z takim przypadkiem, a i to nie tak ciężkim jak ten. On po prostu zużył całą swoją energię. Przez ostatnią godzinę zużył więcej magii niż szanujący się mag klasy C w ciągu miesiąca. W wyniku tego doszło do całkowitego oddzielenia ducha od ciała, ale nie do śmierci. Spójrz tam, nad łożko. To jego duch z nami rozmawia.

–Wszyscy święci! – wykrzyknęła KinetetE. – Widzę go... a przynajmniej jego

ducha. James, jak mogłeś zrobić coś takiego?

–Daj chłopakowi spokój! – powiedział Carolinus. – On nie jest teraz w stanie sobie pomóc. My musimy to zrobić – ty i ja. A potem powinien odpocząć. Najpierw musimy przenieść go z powrotem do Malencontri...

–I wszystkich pozostałych! – zawołał Jim ustami swego astralnego ciała. – Mówię wam, że tutaj grozi im niebezpieczeństwo. Mogą zachorować na dżumę i umrzeć, wszyscy włącznie z królem! Jedynym bezpiecznym miejscem będzie dla nich Malencontri!

–Ha! – wykrzyknęli jednocześnie mag i czarodziejka. – Król?

–Przecież mówię!

–Jak...? – zaczęła KinetetE, patrząc na Carolinusa.

–Nie wiem. A on nie jest w stanie nam powiedzieć!

–Sprowadźcie skrzaty! – zawołał bezgłośnie a rozpaczliwie Jim.

–Dobrze. Skrzaty, do mnie! – zawołał Carolinus.

–Niech wam powiedzą,... – zaczął Jim i zamilkł, wyczerpany. Miał wrażenie, że komnata zaczęła powoli wirować wokół niego.

Pojawiły się oba skrzaty.

–Sir James śpi? – spytał skrzat z Malencontri, niespokojnie spoglądając na leżącą na łożu postać.

–Zgadza się – odparł Carolinus. – Ja jednak mogę z nim rozmawiać. Życzy sobie, żebyście opowiedzieli mi o wszystkim, co tu robiłyście. Natychmiast!

–Och tak, magu Carolinusie – odparł Hob, wykonując skomplikowany sceniczny ukłon, jakiego nauczył go wędrowny aktor, kiedy Hob marzył o tym, żeby zostać giermkim Jima.

–Następny mag? – skrzat z Tiverton rozdziawił usta ze zdumienia. Spróbował powtórzyć ukłon Hoba, ale bez powodzenia.

–Sir James nie jest magiem – rzekł Carolinus. – Jednakże jest tu ze mną KinetetE, która jest członkiem Zgromadzenia.

–Dwoje... – zdołał wykrztusić skrzat z Tiverton, ponownie próbował się uklonić i runął jak długi.

–Wstań! Wstań! – rzuciła gniewnie KinetetE. – Nie musicie się kłaniać każdemu napotkanemu magowi, Tiv. Może Carolinus to lubi...

–Niekoniecznie – wtrącił Carolinus. – A teraz, skoro sir James nie może mówić, wy musicie mi opowiedzieć. Co tu robiliście?

–Złapaliśmy goblina, żeby jego miłość i hrabina mogli pokazać go królowi – odparł Hob. – Król nie uwierzył, że tu są gobliny.

–Przecież w zamku roi się od nich – zdziwiła się KinetetE.

–Tak – rzekł skrzat z Tiverton, odzyskawszy odwagę na widok śmiało rozmawiającego z magami Hoba. – One są częścią planu, zgodnie z którym król miał zachorować i umrzeć. Na zarazę!

–Skąd o tym wiesz? – zapytał go Carolinus.

–Podśluchałem, jak sir Verweather rozmawiał z wodzem goblinów – odparł skrzat z Tiverton, dumny z tego, że znalazł się w centrum zainteresowania. Dodał z

zadowoleniem: – Gobliny musiały bardzo się natrudzić, żeby udawać ludzi. Nie tylko zmieniły postać, upodabniając się do służby, ale przez dwa dni obserwowały ich, ucząc się mówić i zachowywać tak jak ludzie. Niektóre świetnie naśladowały służące lub zbrojnych, ale nie umiały udawać takich szczególnych, charakterystycznych osób jak rycerze czy damy, kowale lub stajenni, a ponadto nie mogły zrozumieć, dlaczego król nie zachorował, chociaż podrzucali mu do komnat całe stada chorych pcheł.

–Widziałeś to? Słyszałeś, jak rozmawiali?

–Och tak, magu.

–To dziwne – powiedziała KinetetE.

–Oczywiście króla chroniło przeznaczenie. Najwidoczniej przeznaczenie Edwarda III ma dla niego znacznie ważniejsze zadania, niż przypuszczałem. No nic, Kin, natychmiast musimy zabrać Jima i pozostałych z tych zapchlonych pomieszczeń. Tiv, pomyśl o tej komnacie, w której widziałeś goblina rozmawiającego z... z...

–Verweatherem – odpowiedziała KinetetE. – Tiv, po prostu wyobraź sobie ten pokój... No, tak lepiej!

I natychmiast skrzaty, magowie, Angie i nawet łóżko, na którym leżał Jim, znaleźli się w jednym z gościnnych pokoi na dolnym piętrze wieży. W komnacie znajdowało się co najmniej tuzin goblinów. które błyskawicznie odwróciły się w stronę przybyłych.

–Bezruch! – rozkazał z roztargnieniem Carolinus. – Albo nie, jest was tu zbyt wielu.

Machnął ręką.

–Do... do kuchni! Gobliny zniknęły.

–W porządku, Tiv – powiedział Carolinus. – Kiedy ostatnio widziałeś ich razem?

–Wieczorem tego dnia, kiedy przyjechał tu sir James z innymi. Dwie noce temu, wielki magu.

–Tylko magu, skrzacie. Bardzo dobrze.

Carolinus dwukrotnie machnął w powietrzu kościstym palcem, jak dyrygent dający znak muzykom, i nagle w komnacie pojawili się nowi goście.

Byli nimi sir Verweather i jakiś goblin. Wydawali się nikogo nie zauważać. Mimo to skrzat z Tiverton schował się za KinetetE.

–To on! – syknął do Hoba. – Ten dręczył mnie najokrutniej!

–Nie bój się. – Hob wyjął miecz. – Zabiję go, zanim znów się do ciebie zbliży.

–Nie! Ja sam chcę go zabić! – odparł skrzat z Tiverton, wyjmując sztylet z popękanej skórzanej pochewki.

–To nie po skrzaciemu, Tiv – skarcił go Hob z surową i poważną miną. – Jeśli ja go zabiję, to w twojej obronie. Jeżeli zabijesz go ty, będzie to akt zemsty. Mój pan wykorzystuje magię wyłącznie do obrony, tak jak wszyscy magowie!

Jim, patrzący i słuchający w swoim astralnym wcieleniu, zamrugał powiekami. Skąd mały skrzat dowiedział się o tym? Prawdopodobnie usłyszał, jak Jim mówił Angie o prawach magów, zanim zabronił mu podsłuchiwać prywatne rozmowy pana i pani.

–Schowajcie broń! – syknął zirytowany Carolinus. – Żaden z tych dwóch nie widzi nas i nie słyszy. Oglądacie obraz z przedwczoraj. Spójrzcie na otwory strzelnicze!

Wszyscy obecni, oprócz KinetetE, popatrzyli we wskazanym kierunku. Przez okienka wpadał słoneczny blask.

–Po co tu przyjechali? – pytał goblin. Jim po raz pierwszy słyszał, jak jeden z nich mówi, nie udając człowieka. Miał suchy, nieprzyjemny, piskliwy głos pasujący do złośliwego błysku w ślepiach.

–Ponieważ zaprosił ich księżę. Sam słyszałeś, jak mówił o tym ojcu! – odparł Verweather. – Nie bój się. Oni tak samo chcą pozostać tutaj, jak ty ich oglądać. Szepnę królowi słówko na ten temat, kiedy znajdę się z nim sam na sam.

–A jeśli twój człowiek-król zachoruje, zanim stąd wyjadą, i wszyscy to zobaczą? I dlaczego jeszcze nie zachorował? Od początku mówiłem, że najlepiej byłoby zabić ich wszystkich. To zawsze najlepsze wyjście.

–Oszalałeś? – rzekł Verweather. – Malencontri... Smoczy Rycerz jest również magiem i bliskim przyjacielem Carolinusa, który jest stary, mądry i potężniejszy, niż możemy sobie wyobrazić. Carolinus dociekłby przyczyny śmierci Smoka i przejrzał nasze plany!

–No to czemu pozwoliłeś przyjechać tu jemu i pozostałym?

–Sądziś, że mogę powstrzymać zimową zawieruchę? Mam pewien wpływ na króla jako zausznik lorda Cumberlanda, ale nie na księcia. Podobnie jak ojciec, ten młodzik jest gotowy na wszystko, byleby spełnić swoje zachcianki, nie zastanawiając się nad konsekwencjami. Król wciąż go kocha, ale nie przyzna się do tego, a już na pewno nie wyzna tego samemu Edwardowi, który jest jego pierworodnym i dziedzicem tronu. Nie wchodzi między lwa a jego młode, panie goblinie, a jeśli chcesz to zrobić, to beze mnie!

–Może wcale cię nie potrzebujemy – powiedział piskliwym głosem goblin. – Mamy własnych wojowników, tak licznych, że nikt nie zdoła nas powstrzymać. Mamy szczury i zarażone pchły, więcej, niż zdołaliby zliczyć. Odbierzemy ten świat tchórzliwym skrzatom i zajmiemy ich miejsce, a ludzie będą naszymi niewolnikami w swych zamkach i domach...

Skrzat z Tiverton, wydawszy nieartykułowany okrzyk, ruszył naprzód, sięgając po sztylet.

–Spokój! Bezruch! – rzekł Carolinus. – Czy nie mówiłem, że to tylko cienie sprzed trzech dni? Wasza broń nie wyrządzi im krzywdy. Teraz możesz już się ruszać, Tiv. Cofnij się. No cóż, chyba słyszeliśmy już dosyć... – Verweather i goblin zniknęli. – Wróćmy do pozostałych.

–Myślę... – zaczął Jim, gdy znów się znaleźli w zatłoczonym pokoju.

–To nie myśl! – warknął Carolinus. – Za dużo już myślałeś i korzystałeś z magii. Kin i ja zajmiemy się wszystkim. Ty masz odpoczywać przez kilka następnych dni. To jedyne lekarstwo na magiczny szok! Wydział Kontroli!

–Jestem tutaj – odezwał się znajomy głos, mniej więcej półtora metra nad ziemią.

–W jaki sposób do tego stopnia przekroczył swoje konto? Nadal jest moim praktykantem i obejmują go ograniczenia!

–Nie potrafię tego wyjaśnić. Moim zadaniem jest jedynie rejestrować przepływ magicznej energii. Najwidoczniej uzyskał dostęp do dodatkowej czystej energii samego kontinuum. To jedyny sposób, w jaki ktoś obdarzony magicznymi umiejętnościami może uzyskać to, czego mu nie dałem, dotychczas jednak nikomu się to nie udało. Ja daję tylko to, na co zasłużyli w wyniku swych wielkich osiągnięć. Jednak on ostatnio żadnych nie miał. Dałem mu tylko tyle, ile miał na koncie.

–Wynoś się! – warknął Carolinus.

–Już mnie nie ma, magu...

I to były ostatnie słowa, jakie Jim usłyszał. Pokój, ludzie, światła i samo życie wydawały się odpływać w dal. Nagie wszystko się skończyło.

Rozdział 21

Jim powoli odzyskiwał świadomość. Całe ciało miał zdrętwiałe. Znajdował się w innym, obcym miejscu... Nie, to wcale nie było obce miejsce, lecz izba chorych, którą przygotowali w Malencontri. Spoczywał w nietypowo długim i szerokim łożu stojącym na zbudowanym tam podwyższeniu, ze spuszczoneymi i zaciągniętymi zasłonami.

Nagle zupełnie zapomniał o tym, gdzie się znajduje. Wraz ze świadomością obudził się dotkliwy, przeszywający ból pod pachami i w podbrzuszu. Narastał, aż stał się nie do zniesienia, wydzierając z jego ust ochryply jęk. Potem następny. I jeszcze jeden.

Zasłony rozchyliły się i ujrzał Angie, bladą i spiętą. Coś niosła. Położyła to na łóżku obok jego nóg i objęła go – ale tylko przez chwilę.

–Dzięki Bogu! – powiedziała. – Jesteś przytomny! Podniosła z łóżka przyniesiony przedmiot i włożyła go Jimowi do ust. Była to fajka o zabawnie małej główce i długim, czworobocznym cybuchu. Angie wzięła maleńką czarną kulkę jakiejś substancji i wepchnęła ją do fajki.

–Ogień! – zawołała gniewnie i May Heather przybiegła do niej, rozchyliwszy zasłony. W rękę trzymała szczapę drewna, palącą się na obu końcach. Wręczyła ją Angie i wycofała się.

–Masz, mój drogi – powiedziała Angie. Miała łzy w oczach. Przytrzymała mu fajkę. Ustnik był gładki i chłodny. Przyłożyła płonącą szczapę do substancji wypełniającej główkę. Poczł kwaśną woń spalonego drewna, zmieszaną z jakimś innym, dziwnym zapachem. – Wdychaj – powiedziała. – Wdychaj głęboko, najdroższy. Pal. To złagodzi ból.

–Co to jest? – wymamrotał Jim przez ustnik. – Przecież ja nie palę. Wiesz o tym. –To opium. Carolinus zdobył je dla ciebie od maga w Chinach. Pal. To ci pomoże. Zakaszlał, ale spróbował. Po chwili przestał kaszleć. Usta i nos miał pełne tego dziwnego zapachu, zagłuszającego woń spalonego drewna.

–Opium? – usiłował powiedzieć, lecz z powodu przejmującego bólu i fajki, którą trzymał w ustach, ledwie zdołał to wymamrotać.

–Nic nie mów. Pal – poprosiła. – Nie przestawaj palić. To ci pomoże, zobaczysz. Zgadza się, potwierdziła jakaś, jakby oderwana, autonomiczna część jego umysłu, na Wschodzie opium było używane jako środek przeciwbólowy znacznie wcześniej niż w czternastym wieku.

Ból był jednak tak okropny, że ulga długo nie nadchodziła. W końcu zaczął odczuwać działanie narkotyku. Ból osłabł, a co więcej, zdawał się oddalać, jak głos rozbrzmiewający coraz ciszej w miarę oddalania się mówiącej osoby.

Ręka Jima bez udziału jego woli uniosła się i na chwilę wyjęła fajkę z ust.

–To działa – powiedział do Angie. Tylko że i ona się oddaliła, razem z łożem i zasłonami. Mimo to widział, że uśmiecha się do niego. Pochyliła się nad nim. Znów poczuł obejmujące go ramiona i jej ciepłe łzy na swojej szyi.

–Jesteś moim życiem! – usłyszał jej słowa, ale z daleka, jakby się oddalała od niego. Otaczały go kolory, przepływające i zmieniające się. Były przyjazne, kojące. Ból niewątpliwie osłabł. Jim usłyszał, że Angie mówi coś jeszcze, ale nie rozumiał

co, zupełnie jakby przemawiała w jakimś nie znanym mu języku. Mimo to wiedział, że otacza go jej miłość. Czuł ją równie wyraźnie jak przed chwilą dotyk jej ramion. To jego umysł odchodził, spokojnie zapadał w ukojenie i szczęście. Angie...

Musiał wypuścić fajkę z rąk, ale nie mógł jej dostrzec nigdzie na łóżku. Wszystko znów było na swoim miejscu, lecz Jim wciąż był spokojny, i chociaż ból powrócił, nie był już tak straszny... a przynajmniej dało się go znieść.

–Angie! – zawołał Jim.

W mgnieniu oka znalazła się przy nim.

–Czuję się znacznie lepiej – powiedział.

–Och, mój drogi – powiedziała i znów łzy popłynęły jej z oczu. – Zaraziłeś się, a ja żartowałam! Żartowałam sobie, kiedy mówiłeś, że swędzą cię ślady po ugryzieniach pcheł!

Oparta głowę na jego piersi, kryjąc twarz w jego koszuli. Niezdarnie pogładził jej włosy.

–Oczywiście – powiedział ochryple. – Naturalnie. Czemu nie? Ja też bym z ciebie żartował.

Nie odpowiedziała, tylko leżała przytulona do niego. Po chwili szepnęła:

–Tak mi przykro.

–Bzdura! – odparł, nie mogąc znaleźć słów, aby ją przekonać. – To śmieszne.

Natychmiast przestań!

Poczuł, jak drży, przytulając się do jego piersi, i wpadł w rozpacz. Nie mógł tego znieść. Nagle uświadomił sobie, że Angie się śmieje.

Uścisnęła go i usiadła, ocierając oczy.

Znów odplynał po opium, moment po tym, jak uświadomił sobie, że obok pojawił się Carolinus, i usłyszał słowa maga:

–Nie powinno działać w ten sposób...

Obudził go straszny ból. Ponownie pojawiła się Angie z fajką. Ból znów osłabł i Jim przez jakiś czas śnił sny pełne kolorów. Jedyną rzeczą, jaką zapamiętał, była Geronde bez blizny na twarzy.

Znowu przez jakiś czas był prawie przytomny i nie czuł bólu. Rozmawiał z Angie.

–Nie powinnaś być przy mnie – powiedział jej. – Zarazisz się ode mnie, jeśli będziesz się tak pochylać. Złapiesz płucną odmianę dżumy.

–Za późno, by się tym przejmować – odparła z niezmaconym spokojem.

–Na wszelki wypadek powinnaś wrócić do słonecznej komnaty i zostać tam...

–Nie mogę.

–Dlaczego?

–Teraz zajmuje ją król – powiedziała.

–Król jest tutaj? Co on tu robi?

–Carolinus i KinetefE przenieśli tutaj wszystkich ludzi z Tiverton, tak jak prosiłeś. Od króla po przykutego do łóżka Verweathera.

–Do łóżka? – Umysł Jima pracował na zwolnionych obrotach, lecz teraz już go to nie niepokoiło. Spokojnie czekał na zakończenie procesu myślowego, jak na bochenek chleba dochodzący w piecu. – Dlaczego król zajął naszą słoneczną

komnatę?

–Król zawsze dostaje najlepszy pokój w każdym zaniku, który odwiedza – odparła.
– Przecież wiesz. Zajął całe najwyższe piętro, oprócz pokoiku małego Roberta i jego piastunki. Poprosiłam go, żeby pozwolił im tam zostać, i zgodził się.

Jim rozważył to. Chciał zapytać o coś znacznie ważniejszego. W końcu przypomniał sobie o co.

–Angie, czy pamiętasz, która odmiana dżumy daje większe szanse przeżycia: płucna czy roznoszona przez pchły?

Z jej twarzy znikł uśmiech. Pożałował, że o to zapytał.

–Ta, którą ty się zaraziłeś! – powiedziała. – Z tymi straszliwymi obrzmieniami pod pachami i w pachwinach.

–Hm... – mruknął. – Jesteś tego pewna? Naprawdę?

–Och, Jim!

–W porządku. Muszę to wiedzieć i nie boję się prawdy.

–Jestem... prawie pewna. Chorzy z obrzmieniami mają większe szanse przeżycia i szybciej wracają do zdrowia, chociaż z początku bardziej cierpią.

–No to się nie martw. Przeżyję. Mocno go objęła.

–Oczywiście! Oczywiście!

Znów wszystko odpłynęło. Na przemian spał, budził się z powodu bólu, palił i drzemał... Przez jakiś nieokreślony czas zasypiał i budził się. W końcu przyszła chwila, kiedy ocknął się przytomniejszy i trzeźwiejszy, nie czując tak okropnego bólu, mimo że jeszcze nie palił fajki.

Tym razem przy jego łóżku stał Carolinus, a nie Angie.

–Mam nadzieję, że się nie uzależniłem – powiedział Jim. – To znaczy, że od tej pory nie będę musiał wciąż palić fajki,

Jednak nie miał zbyt wielkiej nadziei na to, że jeszcze cokolwiek w życiu będzie musiał robić.

–Nie powinieneś – zaskoczył go Carolinus. – Mag, który znalazł dla mnie opium, powiedział, że ci, którzy zażywają go tylko jako środek przeciwbólowy, a nie z potrzeby ducha, nie będą musieli zażywać go po tym, jak ból minie.

–Kim był ten mag?

Zadawszy to pytanie, Jim przypomniał sobie, że Carolinus nie lubił, kiedy wypytywano go o jego kontakty. Najwidoczniej jednak tym razem nie miał nic przeciwko temu.

–Son Won Phon – powiedział.

Umysł Jima nie był już tak odurzony narkotykiem, lecz mimo to jeszcze nie całkiem doszedł do siebie. Przez moment zastanawiał się nad tym, co usłyszał.

–Zrobił to, wiedząc, że to dla mnie?

–Czemu to cię tak dziwi? – rzekł Carolinus dawnym swarliwym tonem, którego Jim nie słyszał podczas ich dotychczasowej rozmowy. – Mówiłem ci, że to człowiek z zasadami!

–No cóż, podziękuj mu w moim imieniu. I bez tego bym przeżył, za wiele mam do zrobienia, ale piekielnie bym cierpiał!

–Zrobię to – odparł Carolinus niezwykle – jak na niego – uprzejmię. – Najwyraźniej postanowiłeś przeżyć.

–Masz cholerną rację! – potwierdził z całą mocą Jim, zaskakując sam siebie tymi słowami. Uświadomił sobie, że chociaż niespodziewane, były jednak prawdziwe. Był o tym głęboko przekonany. Miał powody, by chcieć żyć: Angie, Roberta... oraz niegdyś mglisty cel w tym świecie pełnym magii.

Tym świecie, którego w pełni nie rozumiał, dopóki nie porozmawiał z Merlinem, w ciemnym lesie Liones, gdzie stary czarodziej dał się w magiczny sposób uwięzić w drzewie, stamtąd usiłował ogarnąć całą historię świata, od początku do końca. A mały Robert Falon powinien dorastać, nie odczuwając żadnych ujemnych skutków tego, że jego przybrani rodzice przybyli z odległej przyszłości.

–Teraz coś z innej beczki – powiedział Carolinus. – Król codziennie o ciebie pytał, od kiedy się tu znalazł. Dzisiaj ucięliśmy sobie długą pogawędkę. Ani ja, ani KinetetE, młody Edward, a nawet piekło czy niebo nie zmuszą go, by przyznał, że to Cumberland stoi za tą aferą z goblinami... ale to nieistotne. Jest ci bardzo wdzięczny i chce jak najprędzej zwolnić waszą słoneczną komnatę. Zajmie pokoje piętro niżej, tylko muszą być cztery i powinny być połączone ze sobą oraz odpowiednio umeblowane.

–Służba poradzi sobie z tym – rzekł Jim.

–Niewątpliwie. W razie potrzeby sam się tym zajmę. Nie tylko ty zachorowałaś i straciłaś kilku ludzi, chociaż nie było tak źle, jak mogłoby być, gdybyś wcześniej nie poczynił odpowiednich kroków. Zaraza dotarła tutaj, ale dzięki temu, co zrobiłaś, nie zebrała tak licznych ofiar jak zwykle... Musiałem urobić sobie ręce po łokcie, przenosząc tu wszystkich z Tiverton przez te ochronne zaklęcia, które rzuciłaś. Chyba zabezpieczyłaś wszystko oprócz kuchennego kota!

–Czy ja mam kuchennego kota?

–Oczywiście, że masz. Czy twój skrzat nie powiedział ci o tym? Koty i skrzaty to serdeczni przyjaciele.

–Nie, nie powiedział – mruknął Jim. – Tylu rzeczy nie wiem!

–Jeśli sądzisz, że to dla mnie nowość, to jesteś w błędzie!

–A gobliny? Co z goblinami?

–Twój skrzat był z nimi w stałym kontakcie. Skrzat z Tiverton nie chciał opuścić swojego zamku, po tym jak wszyscy wróciliście tutaj, Hob odważnie nawiązał regularne kontakty z goblinami. Kiedy pokazał im się pierwszy raz, były tak zaskoczone jego tupetem, że nie zabiły go, nie zapytawszy wpierw, czego chce. Powiedział, że jest ambasadorem wszystkich skrzatów, które teraz uzbroiły się tak samo jak my, ludzie. Powiedział im to prosto z mostu, tak jak zapewne ty sam byś to zrobił. Ponadto codziennie składał im raporty o twoim stanie zdrowia – ani przez chwilę nie wątpiąc, że wyzdrowiejesz – co bardzo je niepokoiło. Bo jeśli nie dasz się zarazie, to może tak samo będzie z wieloma innymi niebezpiecznymi ludźmi.

–Tak uważają?

–A czemu nie? – nasrożył się Carolinus. – Mogłoby tak być. My, magowie, jak również sporo zwyczajnych mężczyzn i kobiet, mamy powody, by żyć, jak sam przed

chwilą stwierdziłeś.

–Może powinienem się im pokazać... – Jim spróbował usiąść na łóżku, ale nie zdołał.

–Później, kiedy nabierzesz sił.

–No cóż, przecież mógłbyś uczynić mnie silniejszym. Carolinus wytrzeszczył oczy, a potem odwrócił się i wściekle tupiąc, zaczął odchodzić, przystanął, odwrócił się, przytuptał z powrotem do łóżka i przeszył Jima gniewnym spojrzeniem.

–Jak mogę uczynić cię silniejszym? – warknął. – A nawet gdybym mógł, musiałbyś zapłacić za to później, właśnie wtedy, kiedy powinieneś być silny! Jak sądzisz, skąd bierze się tego rodzaju siła? Ty jesteś jej jedynym źródłem! Musiałbyś później za to zapłacić długim odpoczynkiem – i to wtedy, kiedy będziesz potrzebował tej siły bardziej niż teraz!

–Magu Carolinusie, mój mistrzu magii... – Jim też zaczął tracić cierpliwość. – Widziałem, jak robiłeś rzeczy, które kiedyś uważałeś za niemożliwe. Czy to jest naprawdę niemożliwe? Dla ciebie?

–Tak! – wrzasnął Carolinus. Angie wypadła zza zasłon, trzymając w ręce fajkę, o której zupełnie zapomniała.

–Obiecałeś go nie denerwować! – krzyknęła na Carolinusa.

–To on mnie denerwuje! – ryknął mag. – Na... nie, już nigdy nie użyję tego przekleństwa! Jamesie Eckert, jesteś praktykaniem! Nie możesz się ze mną spierać, kiedy mówię, że czegoś nie da się zrobić. Wiem, co mówię...

–Czy magicznej energii nie da się przekształcić w zwyczajną? – przerwał mu Jim. Carolinus zamilkł z otwartymi ustami. Potem powoli je zamknął.

–Jim – rzekł po długiej chwili zupełnie normalnym i spokojnym głosem – albo będziesz najlepszym, albo najgorszym magiem wszech czasów. Na samą myśl o tym dostaję dreszczy! Zamierzam ci coś powiedzieć, mimo że nie jesteś uprawniony do tego, by to usłyszeć, i nie zasługujesz na to. To, co przed chwilą zaproponowałeś, nigdy nie przyszło do głowy ani mnie, ani żadnemu znanemu mi magowi. Za chwilę poprosisz, żebym pomógł ci podejść do wrót piekła, żebyś mógł zażądać kubka zimnej wody!

–Wybacz, że w ten sposób to ująłem – rzekł szczerze skruszony Jim – ale musiałem o to zapytać.

–No tak, pewnie! A najgorsze jest to, że w ten sposób stworzyłeś problem, który kiedyś trzeba będzie rozwiązać!

–Może Merlin... – zaczął Jim.

Carolinus prychnął.

–W przypadku Merlina wszystko jest możliwe – odparł. – Tylko że nic nam to nie da. Mógłbym przez tysiąc lat pukać w jego drzewo, a on i tak by nie odpowiedział! A gdybyś ty zapukał?

–Podczas naszej ostatniej rozmowy powiedział, żebym już nigdy więcej go nie niepokoił. Jednak ciebie bardzo ceni, Carolinusie. Powiedział mi to podczas naszej pierwszej rozmowy. Jak mówiłem, rozmawiał ze mną dwa razy i raz przysłał mi wiadomość, żebym więcej go nie niepokoił. Nie sądzisz, że warto byłoby spróbować?

–Nie mam zamiaru! Dla niego jestem młodym magiem, zaledwie kilka lat... nieważne. Ty i Angie nie pochodzicie z tego świata, jesteście więc interesujący. Ja nie. Podczas tego tysiąca lat rozmyślań przychodziły do niego dziesiątki takich jak ja, a poza tym on zawsze robił i mówił tylko to, co chciał!

–Przecież...

–On patrzy i widzi cały czas, od zarania do końca świata. Czy rozumiesz, jak nieistotnymi czyni to nasze problemy? Są zbyt mało znaczące, aby poświęcić im choć jedną myśl! Tymczasem mamy tu człowieka, który – pomimo swych ludzkich przywar – był dobrym królem Anglii i jest jej potrzebny jeszcze przez kilka lat. Pozwól, że pokażę ci, z czym musimy się uporać.

–Nie podoba mi się to! – warknęła Angie. – Jim jeszcze nie ma siły na...

–W porządku, Angie. Dałem sobie radę z chorobą. Już prawie nie czuję bólu!

–To z emocji!

–Pozwól, że ci pokażę – powtórzył Carolinus. – Słoneczna komnata!

Jim razem z łóżkiem, Angie i Carolinus nagle znaleźli się w słonecznym pokoju. Nigdzie nie było widać monarchy, który najwidoczniej zwolnił już tę komnatę dla jej prawowitych właścicieli. Wszędzie jednak widoczne były ślady królewskiej obecności.

–Widzicie, jak tu wygląda? – powiedziała Angie. – Służba, do mnie!

Drzwi się uchyliły i pojawiła się w nich głowa służącej.

–Milady! – wykrzyknęła ze zdumieniem i radością pokojówka. Weszła do środka i dygnęła. – Strasznie mi przykro, pani, ale on nie pozwalał sobie przeszkadzać...

–No cóż, zróbcie tu porządek! Sprowadź pokojową. Powiedz jej, żeby przyprowadziła tu kilka panien. Powiedz, że to moje polecenie. Jeśli nadal będziemy tutaj, kiedy przyjdą, mają mimo to zabrać się do roboty.

–Natychmiast, pani. Służąca wyszła.

Tymczasem Carolinus przemieścił łóżko Jima – które unosiło się w powietrzu nad podłogą na tej samej wysokości, na jakiej znajdowało się na podium w izbie chorych – do jednego z okien słonecznej komnaty i otworzył je, wpuszczając zimne powietrze. Przyzwyczajony do cieplarnianej temperatury izby chorych, Jim odruchowo podciągnął kołdrę pod szyję.

–Dobry pomysł – rzekł obserwujący go Carolinus. – Postaraj się, żeby cię nie zauważyły. Wyrzyj i zobacz, z czym mamy do czynienia.

Jim spojrział przez okno. Zobaczył gobliny. Cała ich armia kręgiem otaczała zamek, trzymając się jednak poza zasięgiem strzał. Wszystkie były uzbrojone we włócznie, żaden nie podchodził bliżej niż do połowy otwartej przestrzeni wokół zamku.

–Skąd wiedziały, że przenieśliśmy się tutaj? – zapytał Carolinusa.

–A gdzie na ich miejscu szukałbyś najpierw swoich niedoszłych ofiar? – odpowiedział pytaniem stary mag.

–Oczywiście w zamku Smoczego Rycerza – odrzekł Jim. – No tak, rozumiem. Ile ich tam jest?

–Kilkaset wokół zamku, a jeszcze więcej w lasach. Nie wiadomo, ile jeszcze

rozproszyło się po Somerset. Rzecz jasna leśni drapieżcy mają teraz wspaniałą ucztę.

Jimowi zrobiło się niedobrze.

–Mówisz, że są pożerane?

–Oczywiście – stanowią łatwy łup. Dobre mięso, bez kości czy grubej skóry. Tak samo byłoby ze skrzatami, gdyby zwierzęta już dawno temu nie nauczyły się, że skrzaty są ich przyjaciółmi.

–Ale zjadane...!

–Muszę ci powiedzieć, że twoi smoczy przyjaciele z Cliffsides Eyrie też na nie polują. No wiesz, smoki też muszą jeść. Dlaczego goblin miałby być gorszy od jagnięcia czy jałówki?

–No nie... moje smoki?

–Nie wiem, czy możesz nazywać je swoimi. Twoje smocze wcielenie zostało przyjęte do ich społeczności, to wszystko – warknął Carolinus. – Nie wiem, czy któryś z nich byłby zadowolony z tego, że mówisz o nich, jakby były twoimi poddanymi.

–Wcale nie to miałem na myśli – rzekł Jim. – A co z tymi włóczykami? Wyglądają bardzo groźnie.

–To dlatego, że ich groty są zatrute, a...

–Pamiętam – mruknął Jim. – Magia nie działa na zwierzęta.

–No właśnie – rzekł Carolinus. – Tylko na tych, którzy jej używają: ludzi, naturalnych i wszelkiego rodzaju duchy...

–A nie, jak przed chwilą powiedziałem, na zwierzęta! – gniewnie dokończył Jim.

–Należy korzystać z każdej okazji, by nauczyć czegoś praktykanta – zauważył niewinnie Carolinus. – A wracając do ważniejszych spraw, co myślisz o obecnej sytuacji?

–Musimy się ich pozbyć. Zapędzić je z powrotem pod ziemię, skąd przyszły.

–I jak byś to zrobił?

–Nie wiem – odparł Jim. – Carolinusie, wciąż czuję piekielny ból i jestem bardzo zmęczony. W tym momencie nie nadaję się do obmyślenia planów. Czy ty coś wymyśliłeś?

–Jeśli sądzisz, że pstryknę palcami i przeniosę je wszystkie pod ziemię, to się mylisz. Jest ich zbyt wiele. Jim – dodał znacznie łagodniejszym tonem Carolinus – wybac mi. Powinienem dać ci jeszcze dzień czy dwa na odzyskanie sił.

–Nic nie szkodzi. Dobrze, że wiem o tym wszystkim. Poza tym dziękuję ci za sprowadzenie opium, Carolinusie. Wspaniale podziałało, chociaż nie chciałbym się do niego przyzwyczaić, życie byłoby wtedy jak zły sen.

–Nie dziękuj mi.

–Oczywiście. Chciałem cię prosić, żebyś przekazał moje podziękowania Son Won Phonowi, kiedy będziesz miał okazję.

–Zrobię to.

–A teraz – powiedziała stanowczo Angie, pojawiając się przy łóżku – najwyższy czas, żeby Jim trochę odpoczął.

–Oczywiście – przytaknął Carolinus i już go nie było.

–Sądzę, że on specjalnie pojawia się i znika – zauważył Jim.

–Teraz, kiedy go nie ma, czy chcesz zapalić fajkę? – spytała Angie, popychając wciąż wiszące w powietrzu łóżko w głąb komnaty, gdzie powoli opadło na podłogę. – Możesz zostać w tym kącie, dopóki cała komnata nie zostanie posprzątana, ale potem każę cię przenieść na nasze łóżko. Na pewno będzie przy tym sporo zamieszania. Może moglibyśmy przenieść cię od razu?

–Tak. Nie! Do licha! Będę musiał znów przywołać Carolinusa. Chandos!

–Chandos?

–Jeśli ktoś wie, jak poradzić sobie z tą armią na zewnątrz, to tylko on. Skończyła mi się magia, a Carolinus z pewnością powiedziałby, że nie powinienem jej używać, nawet gdybym ją miał. Jednak mógłby w mgnieniu oka sprowadzić tu Chandosa...

–Już próbowałem – rzekł Carolinus, ponownie się pojawiając. – Chociaż nie leży to w moim zwyczaju. On nie może przybyć. Toczy samotną walkę, usiłując nie dopuścić do tego, by Cumberland przejął władzę pod nieobecność króla. Chandos powiedział, że nie może nam pomóc. Otacza nas zbyt liczna armia, a on nic nie wie o goblinach.

–Czyżbyś nas podsłuchiwał? – Jim obrzucił go podejrzliwym spojrzeniem.

–Oczywiście, że nie. Po prostu przybywam, kiedy mnie potrzebujesz.

Najwidoczniej teraz już nie jestem ci potrzebny.

I ponownie znikł.

–Daj mi tę przeklętą fajkę, Angie! – powiedział Jim.

Rozdział 28

Odurzony opium Jim ledwie kątem oka rejestrował krzątanicę służby, która przywracała słoneczną komnatę do takiego stanu, do jakiego przywykli on i Angie. Zaczynał nienawidzić tego świństwa. Uniemożliwiało mu sprawne myślenie, a to go irytowało. Do tej pory zdrowy rozsądek pozwalał mu przeżyć i rozwiązywać wszelkie problemy, a także czynił jego życie interesującym, nie chciał się więc z nim rozstawać.

Z drugiej strony, obrzęknięte węzły pachwinowe wciąż tak mu dokuczały, że nie mógł obejść się bez opium. Fajeczka sprawiała, że ból odpływał daleko. Co więcej, Jim dopiero teraz zaczął zdawać sobie sprawę z tego, jak bardzo jest wyczerpany – jak po całym dniu ciężkiej pracy. Sen kusił, uległ więc tej pokusie.

Obudził się w środku nocy własnym łóżku, w miłym towarzystwie śpiącej obok Angie. Objął ją ramieniem. Poruszyła się, ale nie zbudziła. To jedna z największych zalet małżeństwa, pomyślał: ta ciepła, znajoma bliskość. Prawie nie czuł bólu i niemal odzyskał jasność myślenia... Znow zasnął.

Zbudził się ponownie, tym razem zupełnie przytomny, trzeźwy i nadal niemal nic go nie bolało. Za oknami słonecznej komnaty wciąż było ciemno, a sądząc po odgłosie, deszczyk spływał po kosztownych, lecz bardzo przydatnych szybach.

Jim zastanawiał się, jak gobliny radzą sobie na deszczu. Pochowały się pod drzewami? Jako stworzenia podziemne na pewno nie były przyzwyczajone do opadów, a najwidoczniej nie miały niczego, z czego mogłyby ustawić namioty czy inne schronienia. Pod tym jednym względem skrzaty miały przewagę nad tymi, którzy wygnali je z ich królestwa: zawsze było im ciepło i sucho...

Doznawszy nagłego olśnienia, Jim usiadł na łóżku. Wyczuwając to, a także brak obejmującego ją ramienia, Angie zaczęła się budzić.

–Nic, nic – rzekł do niej cicho. – Spij dalej.

Zasnęła znowu, a on siedział z głową opartą o wezglowie, rozmyślając...

Oczywiście! Ci, którzy mogli sobie na to pozwolić, zawsze podróżowali z namiotami, jeśli spodziewali się spędzić noc pod gołym niebem. Biedacy nie mieli tyle szczęścia. Zapomniał o ogromnej różnicy cywilizacyjnej między ludźmi czternastego wieku a właściwie prymitywnymi goblinami, którzy różnili się od neandertalczyków jedynie pewnymi magicznymi umiejętnościami i posiadaniem włóczni.

Chyba że w jakiś magiczny sposób potrafili chronić się przed deszczem. Na przykład rzucając ochronne zaklęcia... ale nigdy nie słyszał, aby jakiś naturalny posiadał takie instynktowne, wrodzone umiejętności. Może Carolinus mógłby mu to wyjaśnić. Czy powinien obudzić starego maga i zapytać go?

Nie.

Jednak Hoba mógł wezwać o każdej porze, a skrzat może to wie... prawie na pewno będzie wiedział.

Jim wstał z łóżka – ostrożnie, żeby nie zbudzić Angie – po czym podszedł do promieniującego miłym ciepłem kominka, przykucnął przed nim i zajrzał w głąb komina.

–Hobie! – szepnął.

Sekundę później nad płomieniami pojawiła się głowa skrzata, wiszącego do góry nogami i wyglądającego zza okapu kominka.

–Milordzie – powiedział skrzat.

–Cii! – syknął Jim i zerknął w stronę łoża. Angie jednak nie poruszyła się.

Hob wyszedł z komina i stanął, gapiąc się na Jima. Ten zdał sobie sprawę z tego, że mały naturalny po raz pierwszy widzi swego pana bez ubrania. Zarówno Jim, jak i Angie przyjęli średniowieczny zwyczaj sypiania nago. Właściwie skrzatowi nie powinno to robić żadnej różnicy. Hob nigdy w życiu nie nosił żadnego odzienia, a Jim, Angie ani nikt inny nie zwracał na to uwagi. Prawdę mówiąc, w tych czasach ludzie nie przejmowali się wieloma sprawami, które później urosły do rangi problemu.

–Czy milordowi jest zimno? – szepnął Hob. – Może mam otulić milorda ciepłym dymem? Nie pozwolę, by dostał się do oczu.

–Tak – odparł Jim, nagle uświadamiając sobie, że wyszedłszy z ciepłej pościeli, w chłodnej komnacie dostał gęsiej skórki. Smuga dymu uniosła się z płomieni i spowiła go po samą szyję, a jej koniec wpłynął z powrotem do kominka. Dym istotnie był ciepły i miły. Gęsia skórka zniknęła.

–Hobie – powiedział Jim. – Czy gobliny potrafią w jakiś magiczny sposób schronić się przed deszczem?

–Nie, milordzie. Ich jedyna magia to umiejętność sporządzania takich rzeczy jak groty włóczni z diamentów lub Wielkiego Srebra.

Wielkie Srebro było substancją, którą takie stwory jak sękaci potrafiły znaleźć w zwykłym srebrze i ogromnie ją sobie cenili. Wyglądała jak metal szlachetny. Nic dziwnego, że gobliny, mieszkające głęboko pod ziemią, potrafiły ją znaleźć, wydobyć i wykuć z niej groty włóczni.

–A więc teraz są bardzo zmoknięte.

–Tak, milordzie, bardzo zmoknięte – odparł z zadowoleniem Hob. – Oczywiście one nie boją się wody tak jak ognia.

–Podczas gdy wy, skrzaty, czujecie się w ogniu jak w domu.

–Och tak, milordzie. Ogień jest dobry dla skrzata, a jak milord wie, dym jeszcze miłszy.

–A więc jaką magią one dysponują w porównaniu do magii skrzatów?

–Prawie żadną, milordzie. Jak wiesz, my potrafimy przejść przez przyjazny nam ogień, jeździć na smużkach dymu i robić rozmaite inne rzeczy, jakich one nie umieją. Och tak, możemy polecieć na dymie wszędzie, nawet oblecieć świat. Czy milord wiedział, że świat jest okrągły?

–Tak.

–Oczywiście. Wybacz mi moją głupotę. To oczywiste, że taki wielki mag jak milord o tym wie!

–Gdzie tam wielki – mruknął Jim. – Nie o to jednak pytałem. Chciałem wiedzieć, co takiego potraficie, czego nie umieją gobliny.

–Bardzo przepraszam, milordzie. No cóż, umiemy prawie wszystko. Mieszkać w ogniu, przyjaźnić się z niektórymi ludźmi, jesteśmy odważne... Och, i możemy poprosić dym, by robił, co tylko zechcemy – na przykład owinął się wokół ciebie tak

jak teraz. Gdybym poprosił, dym spowiłby cały zamek, od fundamentów po szczyt wieży. Czy chciałbyś, żebym zrobił coś takiego dla ciebie, panie?

–Wspomniałeś o odwadze skrzatów. Gobliny nie są odważne?

–O nie, milordzie. Nigdy nie były. One są po prostu dzikie.

–Rozumiem – rzekł Jim. – To coś innego?

–A nie, milordzie?

–Cóż, może i tak. Mimo to podaj mi jakiś przykład wyjaśniający tę różnicę.

–No, my, skrzaty, nie boimy się znaku krzyża na budynku, tak jak gobliny.

Możemy wejść do środka, zazwyczaj przez komin, ale niekoniecznie. I wszystkie lubimy się wzajemnie!

–Teraz sobie przypominam – powiedział w zadumie Jim. – Mówiłeś mi o tym. A gobliny się nie lubią?

–One się nienawidzą, podobnie jak wszystkich innych. Nienawidziły nawet Wielkich Demonów, kiedy jeszcze wszyscy mieszkaliśmy w królestwie diabłów i demonów. Najbardziej jednak nienawidziły nas, skrzatów, i dlatego nas wypędziły. Mówiły, że jesteśmy dziwolągami i nie pasujemy tam, ale tak naprawdę zrobiły to, ponieważ wszystkie inne diabły i demony winiły je o to, że nie mogą się dostać do żadnego budynku ze świętym znakiem. A kiedy nas już nie było i wciąż trzeba było kogoś za to obwinić, one też zostały wygnane z królestwa... Milordowi nie przeszkadza to, że z pochodzenia jestem goblinem?

Przy tych ostatnich słowach Hobowi lekko zadrżał głos.

–Wcale – odparł Jim. – Tam, skąd pochodzę, liczy się tylko to, kim ktoś jest, a nie kim był. Jedyne to ma znaczenie.

–To musi być wspaniałe miejsce, milordzie – rzekł tęsknie Hob.

–Cóż, ma też swoje wady – rzekł Jim z lekkim poczuciem winy, mając świadomość, że jego słowa nieco odbiegały od rzeczywistości. – Zatem wy, skrzaty, zaadaptowaliście się do nowych warunków?

–Zawsze byliśmy takie jak teraz, ale pomogło nam... – Zamilkł. Po chwili zapytał cichutko: – Wybacz, że pytam, panie, ale co oznacza „zaadaptować”?

–Zmienić się tak, by móc robić to, czego przedtem nic umieliście.

–Och, rozumiem.

–No właśnie.

–A więc my zaadap... – Hob zawahał się i zerknął na Jima. – ...towaliśmy się?

–Tak.

–W takim razie mogę tylko powiedzieć, że bardzo się z tego cieszę. Znacznie przyjemniej być skrzatem niż goblinem. Kiedy chcę, mogę nawet dotykać zimnego żelaza, takiego jak ten miecz, który kazałeś dla mnie zrobić, i nie spalę się przy tym, co niechybnie spotkałoby mnie, gdybym pozostał tym, kim byłem.

–A więc żelazo parzy je, kiedy go dotkną lub zostaną nim dotknięte?

–Och, tak. Może je nie tylko oparzyć, ale i zabić.

–Naprawdę? – zainteresował się Jim. – Skrzat z Tiverton mówił, że one nie lubią też ognia.

–Płoną w nim jak słoma, tylko pojedynczo. Chciałem powiedzieć, milordzie, że nie

zapalają się jeden od drugiego.

–Do licha! – zaklął Jim, porzucając pomysł podpalenia całej hordy goblinów wokół Malencontri przez dotknięcie pochodnią jednego z oblegających. Może i dobrze, powiedział sobie w duchu. Żadne stworzenie, nawet goblin, nie powinno być palone żywcem.

–Co mówisz? – zapytał, bo Hob zaczął coś mówić.

–Ja tylko pytałem, milordzie, za pozwoleniem, czy on naprawdę jest królem... Ten człowiek, który do dzisiaj mieszkał w słonecznej komnacie?

–Owszem, jest – odparł Jim. – Wyglądasz na rozczarowanego.

–Cóż, milordzie... – wiał się skrzat, co u niego było wyraźną oznaką zmieszania. – Myślałem, że będzie większy.

–Większy?

–Dwa razy wyższy od ciebie... bez urazy, milordzie!

–Oczywiście – rzekł Jim. – Dlaczego większy?

–Nie wiem. Tak się spodziewałem. Wydawało mi się to rozsądne. Gdybyś widział teraz Hilla, zobaczyłbyś, o ile większy stał się od innych sękatych, od kiedy został ich królem. On też nie lubi goblinów.

–Wiem. Tak samo jak my wszyscy.

–Czemu więc król nie pośle po armię swych rycerzy, aby przybyli tutaj i rozpędzili je? W zbrojach byliby bezpieczni, a zaczarowane groty nie działałyby na ich wierzchowce.

Jim doznał olśnienia.

–Hobie – powiedział – jesteś geniuszem!

–Wiem, milordzie. Już mi to kiedyś mówiłeś. Wybacz mi moją niewiedzę, ale nadal nie jestem całkiem pewien... kim właściwie jest geniusz.

–Wyjaśnię ci innym razem, kiedy będziemy mieć więcej czasu – odparł Jim. – W tej chwili... Hobie, ten twój dym jest bardzo wygodny i ciepły, ale muszę pomyśleć, a najlepiej myśli mi się w łóżku. Tak więc powiem dobranoc resztce dymu, po czym wrócę do łóżka. Pamiętaj, że tutaj obowiązuje zasada niepodśluchiwania?

–Och tak, milordzie. Ja już nigdy nie słucham rozmów twoich i milady.

–Oczywiście, że nie. Nie powinienem był ci przypominać. Pewnie zrobiłem to z przyzwyczajenia.

–Dobranoc, milordzie. Czy chcesz, by dym cię otaczał, dopóki nie wejdiesz do łóżka?

–Byłoby to uprzejme.

–Dym nie jest uprzejmy, milordzie, ani nieuprzejmy. Po prostu robi to, co mu się każe.

–Rozumiem – rzekł Jim, szybko odbiegając myślami od rozmowy ze skrzatem. Ależ z niego głupiec, że nie wpadł wcześniej na to, co teraz przyszło mu do głowy, chociaż i tak był to zaledwie zarys pomysłu. Będzie musiał dopracować szczegóły, zanim komuś o tym wspomni. Wstał i ruszył w stronę łóżka. – Dobranoc, Hobie.

–Dobranoc, milordzie, chociaż już prawie rano.

–Aha – powiedział niejasno Jim i ostrożnie zaczął się gramolić do łóżka. Udało mu

się wejść pod kołdrę i skulić w kłębek, nie budząc śpiącej Angie.

–Jim! – powiedziała Angie, nagle otwierając oczy. – Czujesz dym?

–Nie – odparł.

Leżał i rozmyślał, gdy pierwsze promienie słońca przedarły się przez grube zasłony wiszące w oknach. Wydawało mu się, że deszcz przesiał padać, ale wszystko wskazywało na to, że to będzie ponury dzień. Angie zasnęła ponownie – co zawsze przychodziło jej bez trudu – kiedy tylko się upewniła, że zapach dymu nie oznacza pożaru.

Jim doszedł do wniosku, że czuje się niemal doskonale. Wzburzenie koło cierpienie wywołane ustępującymi obrzękami, tak że odczuwał raczej odrętwienie niż ból.

Angie spała. Jim leżał z otwartymi oczami, układając rozmaite plany, kontrproponowania, schematy postępowania, które mogły przynieść pożądane wyniki – aż jego zmęczony umysł w końcu się poddał i sen niespodziewanie pochwycił go w swoje objęcia.

Ocknął się w biały dzień, podejrzewając, że jest już po południu.

–Chcesz trochę herbaty? – zapytała Angie. – Trzymałam czajnik na ogniu. Jak się czujesz?

Rozejrzał się wokół, zobaczył żonę stojącą przy kominku i usłyszał wesół szum wody w dzbanku wiszącym nad ogniem na długim metalowym ramieniu, które można było obracać i przesuwac, tak by naczynie zawisło nad płomieniami.

–Świetnie – odparł, wyskakując z łóżka, a raczej próbując to zrobić. Nie tylko nie wyszedł mu podskok, ale kiedy wylądował na podłodze, zachwiał się i o mało nie upadł.

–Długo leżałeś w łóżku – powiedziała Angie. – Jeszcze nie odzyskałeś sił. To trochę potrwa.

–Nie mam na to czasu – rzekł Jim, ciężko opadając na jedno z krzeseł przy stole.
– Gdzie moje ubranie?

–Spaliliśmy je – odparła.

–Spaliliście wszystkie moje ubrania? – zapytał z niedowierzaniem.

Angie zabalgotała, wydając dźwięk przypominający skrzyżowanie chichotu z rechotem.

–Nie, oczywiście, że nie. Są już z powrotem w twojej garderobie, gdzie ich miejsce. Służąca przyniosła wszystkie przed chwilą... – Jim z trudem próbował stanąć na nogi. – Zapewne wszystkie oprócz tych, które będziesz chciał dzisiaj włożyć. Rozłożyłam je po mojej stronie łóżka. Czekaj, podam ci.

–Dlaczego nie mówisz tak od razu, tylko opowiadasz mi o mojej garderobie?

–Przepraszam – powiedziała Angie, przekładając rzeczy ze swojej strony łóżka na jego połowę, gdzie łatwo mógł ich dosięgnąć. – Ale po kilku dniach i nocach czuwania przy tobie i modłów, abys wyzdrowiał, musiałam się jakoś rozładować. – Pocałowała go w czoło. – Wybaczysz mi?

–Pewnie tak – mruknął. Potem jednak poniechał wkładania spodenek, które trzymał w rękach, i popatrzył na nią. – Musiało ci być naprawdę ciężko. Wiem, jak

bym się czuł na twoim miejscu... A ja nawet ci nie podziękowałem!

–Och tak, podziękowałeś. Zrobiłeś to, pozostając przy życiu. Nawet nie zdajesz sobie z tego sprawy.

Podeszła i usiadła mu na kolanach. Pocałował ją.

–Kocham cię – powiedział.

–I ja cię kocham – odpowiedziała.

–Co znowu? – zapytał Carolinus, pojawiając się nagle. – Ach, przepraszam. I zniknął.

Rozdział 29

–Carolinus wyraźnie nie spieszy się z powrotem. Gdyby zaczekał chwilkę, sam by się przekonał, że to był tylko niewinny pocałunek – rzekł Jim jakieś pół godziny później.

–Niewątpliwie wykazuje więcej delikatności niż ktokolwiek inny w tym średniowiecznym świecie – powiedziała Angie. – Każdy równy nam pozycją, od Briana począwszy, powiedziałby coś w rodzaju: „Ha! A więc to robicie! Cóż, zostawiam was w spokoju!” A każda służąca gorąco by przepraszała, ale z takim samym zapalem, jaki wykazałaby, gdyby przerwała nam kłótnię.

–Masz rację. – Jim spojrzał w kierunku kominka. – Herbata. Chętnie wypiłbym jeszcze jedną. Jak długo...

–Minutę – powiedziała. – Woda już wrze. Zaleję... Gotowe! Jeszcze trzy minuty i oboje się napijemy... Jak to dobrze, że służba nauczyła się już przygotowywać wszystko, czego możemy potrzebować. Co to za ulga wrócić do domu!

Przyniosła parujący dzbanek do stolika, w drugiej ręce trzymając za drewniane uszka dwa metalowe kubki oraz łyżeczkę i słoiczek z cukrem.

–Masz – powiedziała, stawiając to wszystko na stoliku przed Jimem. – Mleka już dołałam, ale cukier wsyp sobie sam, bo za każdym razem słodzysz inaczej.

Jim wziął kubek, napełnił go płynem z czajnika i podniósł cukierniczkę.

–Muszę się wzmocnić – oznajmił. – Dziś postodzę mocniej. Czy minęła już pora obiadu?

–Będzie za około pół godziny.

–To dobrze. W Londynie też będą mieli przerwę na posiłek. Chcę porozmawiać z Chandosem, więc nie zdążę zjeść... Hmm, zapomniałem. Chandos nie może przyjechać. A poza tym nie mam magii. Jeśli Carolinus nie zjawi się za dwie minuty, to uznam, że o nas zapomniał, i będę musiał wezwać go ponownie.

–Będzie zadowolony, widząc, jak dobrze wyglądasz – powiedziała Angie. – On cię kocha, jakbyś był członkiem jego rodziny... Jak syna.

–Ha! – rzekł Jim. – Jestem dla niego interesujący, ale to wcale nie oznacza, że mnie lubi. Poza tym nie mamy tu żadnych krewnych, nie licząc małego Roberta, którego właściwie nie możemy tak nazywać, gdyż jest tylko naszym podopiecznym.

–Jeśli o mnie chodzi, to Robert jest moim dzieckiem! – oznajmiła stanowczo Angie. – I twoim także, tylko jeszcze nie zdajesz sobie z tego sprawy. Fakt, że nosi inne nazwisko, nie ma żadnego znaczenia. Mylisz się również co do Carolinusa. Kiedy leżałeś w izbie chorych, pojawiał się tu codziennie przez te dwanaście dni, żeby sprawdzić, jak się miewasz, i robił wszystko, co było w jego mocy, żeby ci pomóc. Nie było łatwo zdobyć opium, jak się pewnie domyślasz. On cię kocha, Jim. Może z początku było inaczej, ale nie teraz. Nie wiesz, że on ma naprawdę wielkie serce?

–Może uwierzą w to nasze praprawnuki – mruknął Jim.

Pamiętał jednak nie kończąca się paradę stworzeń przybywających do Carolinusa po pomoc. Leśne nimfy, duszki, inni naturalni mieszkańcy leśnych ostępów i zwierzęta: od polnych myszy po odyńca wielkości osła, którego mag przekonał, by

dał się zamienić w rumaka. Dosiadł go Nieznany Rycerz na turnieju podczas ubiegłorocznego bożonarodzeniowego przyjęcia u earla Somerset.

–Pewnie masz rację – stwierdził powodowany wyrzutami sumienia. Przypomniał sobie coś jeszcze. – Prawdę mówiąc, zdaje mi się, że pamiętam, jak mówił coś w rodzaju... „to nie powinno działać w ten sposób”. Jak sądzisz, o co mu chodziło?

–Twoja choroba nie rozwijała się w sposób typowy dla pacjentów z obrzmieniami.

–Nie?

–Nie – powiedziała Angie. – My w izbie chorych zauważylibyśmy to dopiero kilka dni po twoim powrocie, ale Carolinus spostrzegł to od razu. W tej odmianie choroby obrzmienia powinny pojawić się najpóźniej na trzeci dzień, a tymczasem u ciebie w pełni rozwinęły się dopiero piątego dnia po powrocie.

–Piątego dnia! – Jim pokręcił głową.

–Carolinus uważał, że powodem były dwa czynniki działające jednocześnie: zaraza i ta rzadka przypadłość występująca tylko u magów. Powiedział, że bardzo ucierpiełaś z powodu nadmiernego zużycia magii: w zbyt krótkim czasie zużyłaś całą, jaką dysponowałaś, a dodatkową zaczerpnęłaś z eteru.

–Naprawdę? – zapytał Jim, żywo zainteresowany tym, że zdołał wykorzystać jakąś dodatkową magię.

–Tak – potwierdziła. – Fakt, że stworzyłaś magię z niczego, w połączeniu z tym, że już byłeś chory i nie oszczędzałaś się, spowodował podwójnie silny wstrząs.

–Nie powiedział nic więcej o tym, skąd wzięła się ta dodatkowa magia?

–Najwidoczniej nie wiedział. KinetetE też nie ma pojęcia. Domyślają się, że – świadomie lub nie – zrobiłaś coś, czego nie dokonał żaden z magów tego świata. Ponieważ potrzebowałaś magii i nie miałaś jej, zaczęłaś czerpać czystą, nieznaną magiczną energię, która otacza nas wszystkich na tym świecie, jak atmosfera. Pamiętasz, jak podejrzewałaś, że coś takiego istnieje, kiedy wróciłaś z Liones? Ponieważ tacy magowie jak Morgan le Fay czy Merlin nie mają Działu Kontroli, który wyliczałby przysługującą im ilość magii?

–Rzeczywiście. Zatem Carolinus przez cały czas wiedział o tej energii i nigdy mi o tym nie wspomniał, niech go licha!

–Chyba wspomniał, że powiedziano by ci o tym, jak również o wielu innych sprawach, po przegłosowaniu twojej kandydatury na maga klasy C.

Angie usiadła na krześle po drugiej stronie stołu, naprzeciw Jima.

–To nie jest krótka historia – powiedziała. – Zamierzałam opowiadać ci ją po kawałku, kiedy zapytasz, ale skoro już się w to zagłębiasz... Jesteś pewien, że chcesz, żebym opowiedziała ci wszystko? Jeszcze nie jesteś zupełnie zdrowy.

–Owszem, jestem! – zawołał. – Trochę osłabiony, ale co z tego? Już prawie mnie nie boli. Opowiedz mi wszystko i nie spiesz się. Skoro jednak o tym mowa, to na pewno jesteś bardzo zmęczona opieką nade mną. Masz, najpierw się napij...

–No dobrze, powiem ci, jeśli nie będziesz się zbyt ekscytował. Na tym polega twój problem: zabierasz się do czegoś i nawet kiedy nie masz już sił, nie przestajesz, starając się osiągnąć cel siłą woli.

–Nie ekscytuję się. Nie będę się ekscytował.

–Ha! Bardzo wątpię. Gdybym ci jednak nie powiedziała, zamęczyłbyś mnie pytaniami. Będę cię bacznie obserwować i jeśli zauważę, że za bardzo się podniecasz...

–Nie będę. Siedzę spokojnie i słucham. Widzisz?

–No cóż, Carolinus usiłował zrozumieć, co ci się stało. Przez pierwsze dwa dni pojawiał się i znikał. Mimo to nie potrafił orzec, co jest skutkiem wstrząsu, a co choroby. Ani on, ani KinetetE nie potrafili cię z tego wyciągnąć. Prawie cały czas byłeś nieprzytomny...

–Nic nie pamiętam oprócz tego, co powiedział Carolinus: że to nie powinno działać w taki sposób.

–Cóż – ciągnęła Angie – w każdym razie on i KinetetE debatowali nad tobą bez końca i nie mogli dojść do żadnych wniosków. Dwa najlepsze umysły Zgromadzenia Magów były zupełnie bezradne. Wezwali nawet trzeciego z żyjących magów klasy AAA+. Znasz go: taki ruchliwy człowieczek w średnim wieku lub nieco starszy, zwany baronem jakimśtam... a może Barronem coś-tam. Carolinus i KinetetE nazywali go Barronem.

–Ten pajac!

–Może i pajac, ale zna się na magii – powiedziała Angie. – To on zasugerował, że może wstrząs i choroba będą się zwalczać w takim samym stopniu, w jakim walczą z układem odpornościowym twojego organizmu. Powiedział też, że powinniśmy przekłuć obrzmienia, żeby ropa wypłynęła i nie zatrąła krwi. Jednak ja... my wszyscy w izbie chorych... mówię o zwykłych ludziach, nie magach... już o tym wiedzieliśmy i na pewno nie zapomnielibyśmy tego zrobić! Powiedziałam mu to. Kin i Carolinus poparli mnie. Zadarł nos i zniknął.

–Nie był wam już potrzebny. I tak nie powiedział niczego sensownego. Dlaczego twierdzisz, że zna się na magii?

–Bo tak jest. Zarówno Carolinus, jak i KinetetE byli zaskoczeni jego sugestią, że oba te czynniki zwalczają się wzajemnie. Carolinus powiedział, że pewnie dlatego choroba miała łagodniejszy przebieg niż zwykle...

–Łagodniejszy! – wybuchnął Jim. – Angie, gdybyś wiedziała, jak to bolało...

–Tak, mój drogi. Nie zamierzam bagatelizować twoich cierpień. Jednak opiekowałam się nie tylko tobą, ale i innymi chorymi, a chociaż nie skarżyli się tak, jak na ich miejscu robiłby to człowiek z dwudziestego wieku, widziałam, jak bardzo cierpieli. Naprawdę przechodzili tę chorobę ciężiej niż ty. Możesz mi wierzyć.

Jim, który prawie nie czuł już bólu i nadal był żywy, podczas gdy – jak wiedział – większość chorych na dżumę umierała w ciągu kilku dni – lekko się zawstydził.

–I tylko ja dostawałam opium – powiedział.

–Tak, kochany. Jednak nie powinieneś się tym trapić. Carolinus nie był w stanie zdobyć więcej i żaden z tych, którzy zachorowali, nie miał ci tego za złe. Oni wszyscy wierzą, że Bóg zesłał na nich tę chorobę za ich grzechy i wszyscy uważali, że musieli nagrzeszyć bardziej niż ty. Ponadto ty jesteś ich panem.

–Oczywiście – mruknął z goryczą Jim. – Zawsze o to chodzi... Carolinus wybrał sobie ten moment, żeby znów się pojawić.

Odkasznął.

–Przeszkodziłem, prawda? – rzekł. – Przepraszam. Przyzwyczailem się, że zastaję cię chorego w łóżku, Jim.

–Rozumiem – odparł Jim. – Nie musisz przepraszać. Tylko co miałeś na myśli, mówiąc „Co znowu?” na moment przed tym, zanim zniknąłeś?

–Zamierzałeś mnie wezwać.

–Skąd wiesz?

–Wiem. Tyle musi ci wystarczyć. Byłem w tym momencie zajęty i... No, po co chciałeś mnie wezwać?

–Hob przypomniał mi o czymś. Gobliny nie znoszą dotyku żelaza...

–Jajko uczy kurę! I co z tego?

–Zapytał mnie, czemu król nie przyśle armii zakutych w zbroje rycerzy, by pokonali gobliny i przepędzili je. W pełnych zbrojach byłiby całkowicie okryci żelazem, które powstrzymałoby włócznie goblinów, a wierzchowce jako zwierzęta niewrażliwe na magię...

Carolinus podniósł rękę, prosząc w ten sposób, by zamilkł.

–Już tego próbowałem.

–Tak? – zdziwił się Jim. – A więc królewskie wojska są w drodze?

–Wcale nie – warknął Carolinus. – Jak mówiłem, byłem zajęty...

Teraz z kolei Jim dostrzegł okazję, by podnieść rękę.

–Wiem. Straciłeś wiele czasu na odwiedzanie mnie, kiedy leżałem chory. Dziękuję.

–To była tylko jedna z moich licznych trosk. Miałem właśnie rzec, że już to zrobiono. KinetetE zaniósł list od Zgromadzenia królowi, a on podyktował pismo do Cumberlanda w Londynie, opisując, co zaszło, i prosząc, by earl przysłał zbrojnych, którzy przepędzą gobliny. Wspomniał również o złej radzie, jakiej udzielił mu Cumberland, polecając Tiverton jako bezpieczne schronienie przed zarazą...

–Ach tak! – zawołał Jim. – Skoro o tym mowa, to czy już ci mówiłem, że Verweather...

–James – rzekł Carolinus – nie chcę być niemiły, ale czasem denerwujesz mnie tymi bezustannymi pytaniami, którymi wciąż mi przerywasz. Nie pamiętasz, że już o tym wiem? Wyjaśnijmy to raz na zawsze: masz czekać, aż skończę mówić, zanim coś powiesz. Czy to jasne?

–Mógłbym ci przypomnieć, magu Carolinusie – nasrożył się z kolei Jim – że to ty pierwszy wprowadziłeś zwyczaj przerywania.

–Mistrz magii może przerywać swojemu praktykantowi. To praktykant nie może przerywać jemu. A teraz, jak już mówiłem, ponieważ byłem zajęty, a nikt oprócz wykwalifikowanego maga nie może teraz wydostać się z twojego zamku ani dostać się do niego, Kin zaniósł list do Cumberlanda, który jako królewski szambelan powinien podjąć odpowiednie kroki.

Carolinus zamilkł.

–I? – zachęcił go Jim.

–I oczywiście Cumberland obiecał zebrać zbrojne oddziały, tak szybko jak tylko będzie to możliwe.

–Dobrze. Zatem pomoc jest w drodze!

–W polityce jesteś jak dziecko, Jim. Te oddziały przybędą tu dopiero wtedy, kiedy już będzie za późno. Okaże się, że zbieranie ich trwało zbyt długo, pomimo wysiłków Cumberlanda. Kin natychmiast to zrozumiała.

Carolinus znów zamilkł. Jim pomyślał, że najwyraźniej prowokuje go, żeby się wtrącał w jego wypowiedź.

–No i co? – zapytał po chwili milczenia. – Co było dalej?

–Kin przypomniała Cumberlandowi, że Zgromadzeniu Magów i oczywiście całej Anglii zależy na utrzymaniu króla przy życiu. Edward był dobrym królem, pomimo wygórowanych podatków, na jakie namówił go Cumberland...

–Jak to zrobił i czym to tłumaczył? – zapytał zaintrygowany Jim, zapominając o ostrzeżeniu.

Carolinus posłał mu gniewne spojrzenie.

–Jim, to moje ostatnie ostrzeżenie – warknął. – Jeśli znowu mi przerwiesz, będziesz musiał obejść się bez wyjaśnień.

–Dobrze, już dobrze – rzekł pospiesznie Jim.

–No cóż, skoro musisz wiedzieć... Cumberland powiedział, że królewski skarbiec jest pusty i Korona potrzebuje pieniędzy. Na czym to ja skończyłem? Oczywiście Kin wiedziała, że Cumberland dopilnuje, by pomoc nie przybyła na czas. Z całą mocą – a ta kob... czarodziejka potrafi być przekonująca, jeśli tego chce – dała Cumberlandowi do zrozumienia, że Zgromadzenie może powiązać ten nagły atak goblinów z jego osobą. A wtedy inne dowody jego zdrady mogą się okazać zbyt mocne. Nawet inni magnaci i wielcy panowie osobiście nie przepadający za królem nie chcieliby jego śmierci, dopóki Edward jest za młody, żeby zasiąść na tronie. Zwłaszcza że uważają – głównie dzięki wysiłkom Cumberlanda, który zaszargał opinię księcia – że następca tronu jest słaby i niedoświadczony...

Mag na chwilę przerwał.

–To nie zrobiło żadnego wrażenia na Cumberlandzie. Tylko uśmiechnął się do Kin i powtórzył swoją bezwartościową obietnicę. Kin uważa, że on zbyt polega na czarach Agathy Falon. W każdym razie nie ma pojęcia, co magowie całego świata mogą mu zrobić, jeśli podejmą wspólne działania.

–Na przykład co? – zainteresował się Jim.

–Nie twój praktykancki interes! – uciął Carolinus. – Sam się przekonasz, jeśli zostaniesz przyjęty do Zgromadzenia, co wcale nie jest pewne. Na przykład Kin zastanawia się, czy nie głosować przeciwko temu.

–A myślałem, że mnie lubi!

–Bo tak jest. Niebiosa wiedzą dlaczego. To, jak zagłosuje, to też nie twoja sprawa.

–A jak ty będziesz głosował?

–Ładnie by to wyglądało, gdybym głosował przeciwko praktykantowi, którego kandydaturę zgłosiłem!

–No cóż, teraz to i tak nie ma znaczenia – powiedział Jim. – Jeśli Cumberland nie przyśle tu pomocy, to jak król – nie mówiąc już o nas – ucieknie goblinom? Czekaj chwilkę. Mógłbyś przenieść go gdzieś za pomocą magii. W jakieś bezpieczne

miejsce.

–Nie mogę tego zrobić, dopóki sam mnie nie poprosi. Mówiłem ci, że chroni go przeznaczenie, ponieważ jest królem. Czy zechce mnie poprosić?

Jim zastanawiał się.

–Nie sędzę – odparł w końcu. – Nie sędzę, by zechciał poprosić kogokolwiek o cokolwiek.

–Ja też tak uważam – powiedział Carolinus – a znam go lepiej niż ty. Rozkazywać, ale nie prosić. Przywykł być królem i prędzej by umarł, niż poprosił o pomoc kogoś stojącego niżej – czyli kogokolwiek w Anglii lub na całym świecie.

Jim powoli kiwał głową.

–Poza tym – ciągnął Carolinus – co z pozostałymi? Nie mów mi, żebym przeniósł gdzieś cały zamek wraz ze wszystkimi jego mieszkańcami. Nie mam tyle magii, a Zgromadzenie nie pomogłoby mi w takim przedsięwzięciu.

Jim ponuro skinął głową.

–No cóż – rzekł Carolinus – a ty nie masz jakiegoś pomysłu, chłopcze? Zazwyczaj masz ich aż za wiele!

–Ha! – powiedział Jim. – Prawdę mówiąc, mam pomysł czy dwa. Tylko ile magii możesz mi użyć na jego zrealizowanie?

–Na ocalenie króla użyczę ci tyle, ile będzie trzeba. W razie potrzeby mogę czerpać z zasobów każdego członka Zgromadzenia.

–To dobrze – powiedział Jim. – Ponieważ to może się okazać kosztowniejsze, niż sobie wyobrażacie. Przy okazji, może zechciałbyś usiąść?

–Nie zechciałbym. Nie jestem jednym z tych, którzy odpoczywają przy każdej okazji. Ponadto lepiej mi się myśli na stojąco.

–Mimo to pozwól, że zaproponuje ci, żebyś zrobił mi grzeczność i usiadł. Wyjaśnienia mogą potrwać chwilę, a łatwiej zbiorę myśli, jeśli nie będę musiał zadzierać głowy.

–Przecież możesz wstać!

Jim chwycił się krawędzi stołu i chwiejnie stanął na nogi.

–Siadaj! Siadaj! – zawołał Carolinus. – Wybacz, chłopcze. Oczywiście, że usiądę. Zrobił to, zajmując ostatnie wolne krzesło, tak że wszyscy troje usiedli blisko siebie przy stole, niczym spiskowcy.

–W porządku – rzekł Jim – rozważmy sytuację. Jeśli nikt nie przyjdzie nam z pomocą, będziemy musieli sami przepędzić gobliny.

–Pięciu rycerzy i jeden giermek ze świty króla, ponadto ty, Dafydd i Brian oraz twoi zbrojni... Ilu ich pozostało? Postradałeś rozum, Jim?

–Jest jeszcze Hob i może skrzat z Tiverton. Jednak na chwilę zapomniałem o zarazie. Angie, ilu ludzi straciliśmy w wyniku zarazy?

–Dwadzieścia trzy osoby – powiedziała Angie. – Dziesięć kobiet z niższego personelu i trzynastu mężczyzn, w tym dziewięciu szeregowych zbrojnych, ponadto mistrz ciesielski leży w izbie chorych bliski śmierci. Ma takie same obrzęki, jakie miałaś ty, Jim, a jest bardzo starym człowiekiem!

–Carolinusie! Pożycz mi trochę magii! – Jim zerwał się na równe nogi. – Tylko

tyle, by przenieść mnie do izby chorych i z powrotem! Angie, gdzie opium i fajka?

–Jest tutaj. Ja przyniosę! – zawołała, zrywając się z krzesła i podbiegając do szafy.

–Przeniesiemy się tam wszyscy – oznajmił Carolinus. – Masz już wszystko, Angie? No to jesteście.

I rzeczywiście byli na miejscu. Stali przy jednym z łóżek obok podwyższenia i patrzyli na cieślę. Z powodu swego wieku już dawno skurczył się i zmałał, lecz teraz, leżąc w łóżku, wydawał się jeszcze mniejszy i starszy. Leżał cicho z zamkniętymi oczami, a jego pierś unosiła się nieznacznie w płytkim oddechu.

–Podajcie ogień! – zawołał Jim. – Angie, nabiłaś fajkę? Daj mi ją. No, gdzie ten ogień?

May Heather już biegła do niego z płonącym łuczywem, jakby przejrzała jego myśli w chwili, gdy wszyscy troje weszli do izby chorych. Jim usiłował wsunąć ustnik fajki między mocno zaciśnięte wargi cieśli.

–Zapał ją, May!

Jim pyknął fajkę, po czym spojrzał na leżącego w łóżku staruszka.

–Otwórz usta, stary uparciuchu! – warknął.

Słyszając podniesiony głos Jima, cieśla otworzył oczy i rozdziawił usta. Jim natychmiast włożył w nie fajkę.

–Teraz wdychaj! – rozkazał. – Wdychaj. Dobrze...

Pierś cieśli unosiła się w głębokim oddechu. Nagle dostał gwałtownego ataku kaszlu, podobnie jak Jim, kiedy pierwszy raz zapalił fajkę. Jim przytrzymał ją między popękkanymi i spierzchniętymi wargami starca.

–Oddychaj – powiedział. – To złagodzi ból!

Cieśla odwrócił głowę na bok, tak że ustnik wysunął się spomiędzy warg.

–Dajcie ją komuś młodszemu – zdołał wyszeptać. – Komuś, kto ma jeszcze życie przed sobą...

–Nie! – Jim ponownie wsunął mu fajkę w usta. – Ty, mistrzu, masz wydobrzeć. Tylko ty się znasz na wszystkim! Posłuchaj! Masz palić tę fajkę, aż poczujesz się lepiej. Ten zamek cię potrzebuje! To rozkaz!

–Tak, milordzie. Wieczny pośpiech... Urwał, ale nadal palił fajkę.

–Uważaj na niego, May – rzekł Jim. – Nie pozwól, by przestał palić lub oddał fajkę komuś innemu.

–Tak, milordzie.

Carolinus, Jim i Angie wrócili do słonecznej komnaty i zebrali się przy stole. Usiedli.

–No i po co to było? – rzekł Carolinus. – Mogłeś dać tę fajkę jednemu ze zbrojnych, a przynajmniej komuś młodszemu.

–Ty byś tak zrobił?

–Być może! – Carolinus nie patrzył mu w oczy. – No i co to za nonsens z tym liczeniem na pomoc skrzatów?

–Jeśli rozejdzie się wieść, że mamy walczyć z goblinami, skrzaty ściągają tu ze wszystkich stron. Dziesiątkami, a może nawet setkami.

–Przecież, te zatrute magią groty włócznie są dla nich równie niebezpieczne jak dla nas, a ponadto żaden z nich jeszcze nigdy nie trzymał broni w ręku. I skąd weźmiesz dla nich oręż?

–Przyniosą ze sobą, co tylko będą mieli. Włócznie goblinów nie będą dla nich groźne, jeśli damy im zbroje.

Carolinus wybałuszył oczy.

–A jak, na Wielką Magię, zamierzasz tego dokonać?

–Zaraz ci powiem – odparł Jim. – Tylko proszę, pozwól mi skończyć, zanim zaczniesz zadawać pytania. To będzie trochę skomplikowane.

Rozdział 30

–Nie byłbym magiem klasy AAA+ – rzekł Carolinus – gdybym nie potrafił słuchać.

–Ani przez chwilę w to nie wątpiłem – powiedział Jim. – Krótko mówiąc: nie mogą spodziewać się pomocy z Londynu, musimy zebrać taką armię, jaką zdołamy. I jak już powiedziałem, możemy liczyć tylko na skrzaty.

–To będzie jak posyłanie owieczek, żeby walczyły z wilkami – stwierdził Carolinus, zupełnie zapominając o złożonej wcześniej obietnicy. – Czy skrzaty będą walczyć z goblinami?

–Będą – odparł Jim. – Nie zapominaj, że miały wspólnych przodków. Nasz Hob, który jest chyba najłagodniejszym stworzeniem na świecie i pomógłby pewnie nawet goblinowi, gdyby ten był w potrzebie, sam prosił mnie o miecz, żeby wziąć udział w walce, a skrzat z Tiverton, który w tamtym zamku został schwytany i był torturowany przez gobliny, nie może się doczekać zemsty. Och, skrzaty będą walczyć. Sądzę, że będziemy musieli je powstrzymać, żeby zbyt wcześnie nie rozpoczęły bitwy.

–No dobrze, więc będą skrzaty. I kto jeszcze?

–Może część sąsiadów, jeśli zdołamy ich zawiadomić i zapytać, czy się przyłączą. Nie zapominaj, że oni wszyscy widzieli już skutki zarazy, która teraz szaleje w Somerset, a śmierć w bitwie jest znacznie łżejsza niż w wyniku choroby. Oni mają broń oraz zbroje i dołączą do nas bez wahania, kiedy usłyszą, że to gobliny sprowadziły tu dżumę. Są jeszcze smoki.

–Smoki! Jim, ja znam smoki lepiej niż ty, chociaż przyjęły cię do swego klanu w twojej smoczej postaci. One mają pewne zalety, ale nie będą narażały życia dla przyjaźni. Myślą równie trzeźwo i rozsądnie jak twój przyjaciel Aargh, angielski wilk!

–Nie będą musiały walczyć. Sądzę, że jeśli nic nie będą ryzykować, to ochoczo skorzystają z okazji, żeby trochę się rozerwać, szczególnie młode smoki ze Smoczego Patrołu zorganizowanego przez Secoha. Mogą też latać na bezpiecznej wysokości i przenosić informacje.

–Cóż, może – mruknął Carolinus. – Skoro o tym wspomniałeś, to Secoh jest smokiem, który mógłby walczyć u twego boku. Chciałby dorównać tobie, Brianowi, Dafyddowi i Aarghowi. Zrobiłby wszystko, by dowieść, że jest waszym towarzyszem.

–Ponadto – ciągnął Jim – są jeszcze zwykli ludzie, którzy tak samo jak rycerze wolą szybką śmierć w bitwie niż na skutek choroby. Oni też będą walczyć. Jeśli zdołamy przenieść ich do zamku nad głowami goblinów, to będą stanowić największą część naszych sił.

–Hmm, no tak. Tylko jak zamierzasz ich tu sprowadzić?

–Jeszcze nie wiem. Jest kilka możliwości... No i, oczywiście, mamy jeszcze earla Somerset. On ma rycerzy, a w końcu znajdujemy się w jego hrabstwie.

–Hmm... – zastanawiał się Carolinus. – To prawda, że on mógłby udzielić ci większego wsparcia niż ktokolwiek... – Nie dokończył, ale po chwili dodał: – Zamierzasz go poprosić?

–Właściwie zamierzałem poprosić ciebie, żebyś to zrobił.

–Ja?

–On ceni cię bardziej niż jakikolwiek człowiek na świecie -wtrąciła Angie. – Jego

żona powiedziała mi to w Boże Narodzenie.

–Ach tak? No cóż...

–Ponadto jesteś magiem wysokiej rangi, a ja nie – przypomniał ostrożnie Jim. – Uwierzy ci na słowo.

–Jest tylko jeden problem z daniem mu słowa – zauważył kwaśno Carolinus. – Muszę być przekonany, że mówię prawdę. Pokaż mi skrzaty gotowe do walki, szykujące się do niej pospólstwo i rycerzy. Kiedy to zobaczę, opowiem mu o tym. Nie wcześniej.

–Oczywiście – rzekł Jim. – Cały czas o tym pamiętam. Wcześniej jednak możesz zrobić coś więcej. Zebranie i uzbrojenie takiej armii będzie wymagało sporo magii, a ja teraz nie mam jej ani odrobiny, co mi przypomina, że gdybyś mógł mi użyczyć choć odpowiednik kieszonkowego, na dobry początek...

–Och, dobrze. Jestem zbyt hojny i wielkoduszny dla ciebie, Jim. Powinienem się hamować. Jeszcze trochę, a poprosisz mnie o całą magię potrzebną na wprowadzenie tego planu w życie.

–Z pewnością to zrobię – powiedział Jim. – Jednak, jak już kilkakrotnie wspomniałeś, najważniejszą rzeczą jest uratowanie życia królowi. Nie mam pojęcia, w jaki sposób zdołał uniknąć zarażenia w Tiverton i w Malencontri.

–Ha! – rzekł Carolinus w zadumie. – Oczywiście jako prawowitego władcę chroni go siła przeznaczenia, ale nie wiadomo, jak długo zdoła uchronić go przed chorobą. Jim, jeśli naprawdę zdołasz jakoś zebrać tę armię, by zapędzić gobliny z powrotem pod ziemię i obronić króla, to możesz liczyć nie tylko na mnie, ale na wszystkich członków Zgromadzenia. Do licha! Powinniśmy wcześniej przyjąć cię do naszego grona!

–Dziękuję za komplement – powiedział Jim. – Chcę zostać członkiem Zgromadzenia, jeśli zostanę przyjęty.

–Oto jedyne właściwe podejście! – pochwalił Carolinus. – Tylko... czy wziąłeś pod uwagę, że król może zachorować, zanim rozpoczniesz i wygrasz bitwę?

–Sądzę, że mogę go przed tym uchronić za pomocą magii – odparł Jim. – Ponieważ jednak zamierzasz wstrzymać się z użyczeniem mi magii potrzebnej do zebrania armii, czy ja mogę na razie wstrzymać się od wyjaśnień? I tak będę potrzebował niewielkiej ilości zwyczajnej magii, żeby zacząć.

–Uczciwie stawiasz sprawę – rzekł Carolinus. – A więc masz magię. Jim obrzucił go uważnym spojrzeniem.

–Czy nie powinieneś zawiadomić Wydziału Kontroli o tym, że mam tę magię? KinetetE zrobiła to, kiedy pożyczyłem od niej trochę, gdy musiałem wyruszyć do Liones.

–Kin – odparł sucho Carolinus – ma swoją magię, a ja swoją. Wydział Kontroli już został zawiadomiony o tej transakcji. Otrzymałeś pewną ilość magii.

–Och, przepraszam – mruknął Jim. – Powinienem był się domyślić.

–Istotnie – przytaknął Carolinus. – No, na mnie już czas. Powodzenia chłopcze. A przy okazji, kiedy i jeśli zabiorę cię na sesję Zgromadzenia, żeby przedstawić twoją kandydaturę, czy postarasz się poprawnie wymawiać słowo „magia”? Nietypowy

przebieg twojej praktyki i tak wywołuje liczne wątpliwości. Nie chcę, by członkowie Zgromadzenia niepokoiili się jeszcze twoim dziwnym dialektem i akcentem.

–Masz moje słowo.

–Liczę, że go dotrzymasz. Porozmawiam z earlem Somerset, jak tylko zbierzesz swoją armię.

Carolinus znikł.

–O co chodziło z tym chronieniem króla przed zarazą? – spytała Angie. – Jeśli masz magię i możesz z niej korzystać, mógłbyś ocalić naszych ludzi leżących w izbie chorych, a przynajmniej złagodzić ich cierpienia!

–Nie mam jej tyle, żebym mógł tego dokonać. Wpadłem na ten pomysł w chwili, gdy Carolinus zapytał mnie, w jaki sposób ochronię króla do czasu odparcia goblinów. Wtedy przyszło mi to do głowy, ale to jeszcze nie jest konkretny plan. Muszę dopiero opracować szczegóły i dlatego nie mogłem podać ich Carolinusowi. Nie chcę, żeby ta sprawa wymknęła mi się spod kontroli.

–Ach tak. Jak zwykle improwizowałeś.

–Właśnie – przytaknął Jim. – Jak już ci mówiłem, zawsze mi się to udawało, od dziecka. W ostatniej chwili zawsze przychodziła mi do głowy jakaś wymówka.

–No dobrze – przyznała Angie. – Jednak powiesz mi, jak tylko coś wymyślisz. Jeśli będzie jakaś nadzieja na ocalenie tych biedaków, którzy leżą umierający w izbie chorych, to chcę zaraz o tym wiedzieć!

–Powiem ci, gdy tylko coś wymyślę. Nie wiem, kiedy to nastąpi, ale dam ci znać natychmiast.

–Wiem, że tak zrobisz – powiedziała Angie. – No cóż. chodźmy. Czas usiąść do stołu razem z innymi, Jestem gotowa. A ty?

W średniowieczu obiad jadano w południe. Posiłek, który spożyli, niczym nie różnił się od innych. Wypito sporo wina, spierano się, oczywiście nie przekraczając granic dobrego wychowania, i zdaniem Jima oraz Angie zjedzono dwa razy więcej, niż zdołaliby zjeść ludzie z dwudziestego wieku.

Jim i Angie wcześniej wymówili się od dalszego udziału w uczcie.

–Czasem dziwię się, że oni wszyscy nie są spasieni jak wieprzki – zauważyła Angie, kiedy znaleźli się z powrotem w słonecznej komnacie. – Dlaczego tak ci się spieszyło?

–Nie są otyli z tej samej przyczyny, z jakiej my nie jesteśmy – odparł Jim. – Wszystko spalają, biegając po schodach, jeżdżąc konno i prowadząc zdrowy tryb życia, jak my wszyscy tutaj. Właściwie chciałem jak najszybciej zabrać się do zbierania armii, o której mówiłem Carolinusowi.

–Oczywiście – dorzuciła w zadumie Angie – pomaga im także to, że często muszą obywać się bez jedzenia, czasem nawet przez kilka dni. – Spojrzała na męża. – Od czego zaczniesz?

–Od skrzatów – odparł. Odwrócił się do kominka. – Hobbie!

–Rzecz w tym, jak je zjednoczyć i skłonić, by walczyły razem,

–Zjednoczy je chęć walki z goblinami. Muszę tylko przekonać je wszystkie, że potrzebują się wzajemnie. Gdybym miał choć pięćdziesięciu łuczników i

neograniczony zapas strzał... – Podniósł głos: – Zbrojny, do mnie!

–Milordzie? – usłyszał znajomy piskliwy głosik.

–Ach, tu jesteś, Hobie... Wejść! – W drzwiach pojawił się wartownik. – Wejdz! Ty jesteś Tim Tyler?

–Tak, milordzie.

–Tak myślałem. Jesteś tu nowy. Nie musisz pukać, kiedy cię wzywam. Jak najszybciej przekaż tę wiadomość sir Brianowi, mistrzowi łucznictwa Dafyddowi oraz księciu. Poproś, by przybyli tu, jak tylko będą mogli. Zrozumiałeś?

–Tak, milordzie. Sir Brian i...

–Nie musisz powtarzać mi całego rozkazu. Spieszmy się. Po prostu zanieś im tę wiadomość. Poślij innych napotkanych zbrojnych z tą samą wieścią, jeśli uznasz, że tak będzie szybciej.

–Tak, milordzie. Zbrojny odszedł.

–A teraz. Hobie – powiedział Jim – razem zbierzemy armię, która będzie walczyć z goblinami.

–Och dziękuję, milordzie!

–To leży w interesie nas wszystkich. Potrzebuję pomocy. Szczególnie potrzeba mi jak najwięcej zdolnych do walki skrzatów. Powinny znaleźć sobie jakiś oręż i przybyć z nim tutaj. Ile skrzatów możesz ściągnąć tutaj w ciągu dnia, najwyżej dwóch, jeśli pojedziesz do nich na smudze dymu i zaprosisz tutaj?

–Och, milordzie! – zawołał uszczęśliwiony Hob. – Wcale nie muszę jechać. One już tu są, całe mnóstwa, i z każdą chwilą przybywają następne. Mimo to mogę posłać dym z wiadomością do wszystkich znanych mi skrzatów, które przekażą ją swoim znajomym. Będą bardzo wdzięczne, milordzie!

–Wdzięczne – powtórzyła Angie. – To nie piknik. Wy, naturalni, możecie ucierpieć od włóczy goblinów tak samo jak ludzie.

–Może nie, milady. Być może magia goblinów nie działa na skrzaty. A nawet jeśli działa, warto zaryzykować. Czy mam natychmiast wysłać dym z wiadomością, panie?

–Tak – odparł Jim.

Hob znikł w kominku.

Angie wymamrotała coś o owieczkach idących na rzeź.

–Owce? Jakie owce? – zdziwił się Jim.

–Nic, nic – odparła. – Tylko że oprócz Hoba żaden z nich nigdy nie widział prawdziwej bitwy.

–No cóż, widziałaś, co Hob o tym myśli. Wszyscy będziemy się narażać. A jak zawiadomić sąsiadów? Nie sądzę, żebyśmy mieli dość gołębi, żeby wysłać wieść do każdego z nich.

–Mamy gołębie z zamku Malvern – powiedziała Angie. – A Geronde jest tutaj. Może wysłać jednego ze swoich gołębi z rozkazem, aby służba w Malvern zawiadomiła sąsiadów. Mam ją o to poprosić?

–Doskonale! – zawołał Jim. – Tak.

–Zrobię to. Ona na pewno się zgodzi. Powiem jej, żeby wysłała wiadomość do swego zarządcy. Geronde ma na zamku gołębie co najmniej z tuzina innych

posiadłości hrabstwa, a mieszkające w nich rodziny roześlą wieść – w taki sam sposób lub przez gońców – wszystkim swoim znajomym.

–Lepiej być nie może – orzekł Jim.

–Pójdę poszukać Geronde. Wyszła.

Jim w zadumie nalał sobie wina i usiadł, by się zastanowić nad szczegółami planu. Pomysł zaczął przybierać konkretne kształty, kiedy ktoś głośno zapukał do drzwi. Po chwili do komnaty wszedł Brian, a tuż za nim Dafydd. Krewni i przyjaciele zazwyczaj wchodzili w taki sposób, nie zważając na strój ani na to, czym właśnie zajmują się obecni w danym pomieszczeniu.

–Szybko się zjawiliście – zauważył Jim. – To dobrze. Będziemy walczyć z goblinami.

–Ha! – rzekł Brian i rozpromienił się. Dafydd też uśmiechnął się z zadowoleniem.

–Usiądźcie – zaprosił ich Jim. – Napijcie się wina. Ktoś delikatnie zapukał do drzwi.

–Giermek Theoluf przybywa na rozkaz, panie – rozległ się głos Tima Tylera stojącego na warcie pod drzwiami.

–Wejść! – zawołał Jim.

Wszedł Theoluf. Miał na głowie hełm świadczący o tym, że giermek jest na służbie. Po wejściu do komnaty natychmiast go zdjął.

–Theolufie – rzekł Jim. – Ilu mamy zbrojnych nadających się do walki?

–Dwunastu, panie.

–Ilu łuczników?

–Trzech, panie.

–Tylko trzech?

–Przykro mi, panie, ale zaraza...

–No trudno, mogłem się tego spodziewać. Możesz odejść, ale być może jeszcze cię wezwę.

–Tak, milordzie. Wrócę natychmiast, gdy tylko mnie wezwiesz. Wszedł. Jim spojrzał na Dafydda.

–Dafyddzie, przydałaby się nam setka łuczników i tyle strzał, ile zdołaliby wypuścić w czasie bitwy trwającej trzy dni. Czy jest jakaś nadzieja, że zdołamy ich znaleźć?

–Tylu dobrych łuczników? – odparł Dafydd swym rozważnym, spokojnym głosem. – Nie w ciągu dwóch miesięcy, nawet gdybyś był bogaty jak Krezus.

–Może i dobrze – zauważył Brian. – Z tej odległości byłoby to jak strzelanie do kaczek pływających po wiejskiej sadzawce. Chyba nie chcielibyście pozbawić nas dobrej zabawy, w niczym nie uchybiając twoim umiejętnościom, Dafyddzie? Kim jest ten Krezus?

–Przed wieloma wiekami był bogatym królem Lidii – rzekł Jim, pospiesznie interweniując, zanim Dafydd zdążył udzielić pełniejszej i dłuższej odpowiedzi. – No trudno. Zatem będziemy musieli obyć się bez...

–Jeśli jednak – dodał Dafydd – zamierzasz tylko nękać wroga, to chciałbym zauważyć, że obecnie w zamku udzieliłeś schronienia wielu wieśniakom i

dzierżawcom. Pomimo zarazy co najmniej trzydziestu z nich nadaje się do walki...

Brian przeżegnał się. Chociaż pochodzili z pospólstwa, ludzie ci mieli jednak dusze.

–Oczywiście nie można ich nazwać łucznikami – ciągnął Dafydd. – Mimo to nie ma wśród nich nikogo, kto nigdy nie trzymałby w ręku łuku i nie strzelał do takiej zwierzyny jak króliki a nawet jelenie – chociaż na te nie wolno polować pospólstwu – żeby mieć co włożyć do garnka. Jeśli dasz im łuki i strzały, każąc nękać gobliny, to mogą się okazać przydatni. Jak powiada Brian, będzie to jak strzelanie do kaczek na stawie: niewielka odległość i powoli poruszające się cele, łatwo do nich trafić. Mogą też strzelać wysoko w powietrze, wszyscy razem, tak jak robią to teraz łucznicy w czasie bitew, mając nadzieję, że ich strzały spadną niczym deszcz na zwarte szeregi wroga.

–To dobra myśl – orzekł z powagą Brian. – Ostatnio łucznicy z niezwykłym powodzeniem bywali wykorzystywani w bitwach, a chociaż ci kmiecie i osadnicy nie są lepszymi łucznikami ode mnie.

–Ty całkiem nieźle strzelasz, Brianie – rzekł Dafydd – jak na kogoś, kto tylko sporadycznie i dla rozrywki bierze łuk do ręki. Jesteś zbyt skromny.

–Ha! Cóż – mruknął zmieszany Brian – do takiego łatwego celu... Czy w ten sposób możemy uzyskać potrzebnych ci łuczników, James?

–Hmm, tak – odparł Jim – tylko że zamierzałem wykorzystać tych ludzi jako piechurów z włócznie, gdy nadejdzie odpowiednia chwila.

–Nie ma powodu, żeby nie mogli wystąpić w obu tych rolach – orzekł Dafydd. – Odłożą łuki i chwycą włócznie.

–Trzeba będzie tylko nauczyć ich poruszać się w szyku – powiedział Brian. – Mogę się tym zająć, jeśli chcesz. Jednak to wszystko nie ma znaczenia, James. Aby pokonać tak liczną armię, jaka stoi pod murami, chociaż słabą i niezorganizowaną, potrzebujemy rycerzy i konnych, dobrze uzbrojonych i opancerzonych. To, o czym tu mówimy, tylko rozdrażni nieprzyjaciela, nie wyrządzając mu poważnej krzywdy. W bitwie trzeba zabić lub pokonać przeciwnika, a nie zirytować go.

–Wyślemy do sąsiadów gołębice pocztowe z prośbą o pomoc.

–Oby przybyła – rzekł Brian. – Mamy tu tylko pięciu rycerzy i jednego giermka z królewskiego orszaku, nie licząc nas i sir Harimore'a, który jest zacnym rycerzem, ale to tylko jeden człowiek. Nie twierdzę, że nie sprawimy się dobrze w starciu z tak liczną armią stojącą pod murami, ale nie zdołamy jej pokonać. Nie powstrzymasz przyływu za pomocą kilku łopat.

–Carolinus obiecał porozmawiać z earlem Somerset. Jeśli jego zamek nie ucierpiał w wyniku zarazy, earl może przysłać nawet tuzin w pełni wyekwipowanych rycerzy.

–Bardzo by nam pomogli, James – rzekł Brian wciąż z lekkim powątpiewaniem.

–I zapomniałeś o księciu. Pomyślałem, że mógłby być naszym dowódcą...

–Książę? Mówisz poważnie, James? – wybuchnął Brian. Nawet na twarzy Dafydda Jim chyba po raz pierwszy dostrzegł coś w rodzaju zdziwienia. – On pod wieloma względami jest jeszcze chłopcem – ciągnął Brian. – Tak, tak, wiem, że dobrze się spisał pod Poitiers i dowiódł, że w pełni zasługuje na rycerski pas, który otrzymał od

ojca w chwili, gdy tylko stanął na brzegu. Tylko że wówczas miał przy sobie Chandosa i pół tuzina innych doświadczonych wodzów, którzy mu doradzali! Chyba że masz na myśli jedynie tytularne dowództwo.

–I tak, i nie – odparł Jim. – Miałem nadzieję, że pomogę mu się wyróżnić i odzyskać przychylność ojca. Otrzymałem poufną wiadomość, że król zapewne pragnie tego równie usilnie jak młody Edward, nie może bowiem uczynić dziedzicem tronu tak słabego i nieroztropnego człowieka, jakim na skutek nieustannych intryg Cumberlanda wydaje się być młody książę.

–Z pewnością, Jamesie – zauważył Brian – zechcesz rzeczywiste dowodzenie pozostawić w swoich rękach?

–Za pozwoleniem – rzekł Dafydd – byłoby lepiej, gdybyś wyznaczył Briana na dowodzącego w twoim imieniu.

–Istotnie! Jednak chyba najlepiej będzie, jeśli wszyscy trzej obejmiemy dowodzenie i w sekrecie pokierujemy księciem! – orzekł Brian. – Gdyż przysięgam, że w innym wypadku z pewnością znajdzie sposób, by przegrać tę bitwę, przy pierwszej okazji popełniając jakiś błąd wynikający z braku doświadczenia!

–Oczywiście, macie rację! – przytaknął Jim. – Nie chciałem sam tego proponować, ale jeśli obaj tak uważacie...

Tamci energicznie pokiwali głowami.

–No cóż – dodał Jim. – Teraz ośmielę się wspomnieć o zbrojnym wsparciu, jakie możemy otrzymać z jeszcze jednej strony. Mówię o skrzatach.

Brian wytrzeszczył oczy, a Dafydd jeszcze bardziej spoważniał.

Rozdział 31

–James! – powiedział Brian. – Czy mówiłeś zbrojnym „wsparciu”?

–Tak – potwierdził Jim.

–James, dobrze wiesz, że nie mam zwyczaju wysuwać nieuzasadnionych wątpliwości. Z pewnością każda żywa istota podejmie walkę w obronie swojego życia. Jednak nawet jeśli skrzaty w takiej sytuacji zechcą walczyć z goblinami, to nie są wojownikami. O ile mi wiadomo, nigdy nie brały udziału w żadnej bitwie. Nie znają się na wojennym rzemiośle i nie potrafią posługiwać się bronią. Jaki posiadają oręż?

–Powiedziałem Hobowi, żeby każdy z nich zabrał jakąś broń.

–Pewnie połamane sztyleciki i kuchenne noże! – prychnął Brian. – James, co cię napadło, żeby zlecać Hobowi takie zadanie?

–Hob i skrzat z Tiverton rwali się do walki...

–Hoba mogę zrozumieć. Towarzyszył ci w niejednej potyczce i podczas wielu przygód. Nie twierdzę, że brak mu odwagi. Jednak co do skrzata z Tiverton... Nie widzę powodu, jakiego miałyby to robić, chyba że zaraził się entuzjazmem od twojego skrzata.

–Został pojmany i był okrutnie torturowany przez gobliny, które zajęły zamek Tiverton, Brianie.

–Aha. Zatem ma nawet ważniejsze powody niż wasz skrzat z Malencontri. Mimo to, James, znałem Hoba, będąc jeszcze chłopcem, pozostawionym na nie wiedzieć jak długi czas wśród obcych, i uważam go za najłagodniejsze stworzenie na świecie... No cóż, zapewne pojawi się tu tylko garstka skrzatów. Jakoś nie wyobrażam sobie mojego skrzata z zamku Smythe, jak ze złamanym nożem w ręku atakuje wroga.

–Nie mam pojęcia, ile ich tu przybędzie – odparł Jim. – Jeśli jednak się zjawią, mogą okazać się bardzo przydatne. Jak obaj wiecie, potrafią jeździć na smugach dymu, będą więc mogły obserwować gobliny, a może nawet podsłuchiwać ich dowódców...

–Czy gobliny mają dowódców, James? – zapytał Dafydd.

–Nie wiem – przyznał Jim – ale jeśli mają, to może nasze skrzaty zdołają poznać ich plany... Och, skoro mowa o planach, to zapomniałem wspomnieć, że jeszcze nie rozmawiałem z Secohem. ale jestem pewien, że młode smoki ze Smoczego Patrolu...

–Mówisz o tych, które od czasu do czasu przelatują za dnia lub nocą nad zamkiem Smythe? – spytał Brian.

–Właśnie o nich. Nie możemy pozwolić, żeby wzięły udział w walkach, nawet gdybyśmy tego chcieli. Czy musieliście kiedyś stawić czoło smoczycy, która uważa, że naraziliście na niebezpieczeństwo jej sześćdziesięcioletniego synka lub córkę?

–Nie – odparł Brian – ale domyślam się, o czym mówisz.

–Ja też – dodał Dafydd. – Widziałem moją żonę, Danielle, kiedy jeden z naszych synów zapędził się w tę część lasu, gdzie mogą żyć niedźwiedzie, a nawet trolle. Mówiłem jej, że chłopcy są żądni przygód, co jest częścią dorastania, ale w takich wypadkach nie mogę dostrzec w niej tej łagodnej damy, którą poślubiłem.

Jim nic nie powiedział, chociaż „łagodna” nie było słowem, którym określiliby

Danielle. Była równie dobrym tropicielem jak każdy z banitów jej ojca, nie licząc Dafyddda oczywiście. Ten jednak w zdumiewający sposób potrafił zazwyczaj zwycięsko wychodzić ze wszystkich sporów z małżonką.

–W każdym razie – powiedział raźnie Brian – jeśli zamierzasz wykorzystać dzierżawców i kmieci, a nawet niektórych członków zamkowej służby jako łuczników i piechurów, to Dafydd i ja niezwłocznie zaczniemy ich szkolić, ucząc podstaw rycerskiego rzemiosła. Mogło być gorzej, nawet jeśli sąsiedzi nie przyjdą nam z pomocą. Biedny Verweather nie nadaje się do walki...

Jim już chciał przypomnieć, że Verweather pracował dla nieprzyjaciół, ale doszedł do wniosku, że lepiej będzie to przemilczeć.

–... licząc – ciągnął Brian – mamy dwóch giermków, twojego Theolufa i tego z orszaku króla, oraz ośmiu pasowanych rycerzy: pięciu królewskich, ciebie i mnie oraz Harimore'a...

Przerwał mu donośny dźwięk gongu na dachu wieży, tuż nad ich głowami. Wszyscy trzej wybiegli ze słonecznej komnaty: Brian pierwszy, Dafydd tuż za nim, a Jim – chociaż biegł najszybciej, jak mógł – w sporej odległości za nimi. Wartownik na dachu krzyczał coś, ale na wąskiej klatce schodowej brzęk gongu zupełnie zagłuszał jego słowa.

Wypadli na dach i dopiero teraz zrozumieli, co woła wartownik.

- *Aux armes* - do broni! – krzyczał na cały zamek. – Wspinają się na mury i na wieżę!

Znajdujący się najbliżej skraju dachu Dafydd podbiegł do muru i wyrżał. W następnej chwili Brian i Jim dobiegli do niego i spojrzeli przez ten sam wykusz.

–Tu jest jedna – rzekł jak zawsze spokojnie Dafydd, a Brian już chwycił jedną z długich i grubych tyczek leżących pod murem, przygotowanych właśnie na taką ewentualność. Dafydd z Jimem pomogli mu ją podnieść i wsunąć w prześwit między blankami, kierując ku topornej drabinie opartej o, boczną ścianę wieży. Górny koniec drabiny prawie sięgał krenelażu, podczas gdy dolny głęboko zapadł się w muł fosy pod ciężarem wspinających się goblinów. Napastnicy nieśli włącznie o lśniących grotach, trzymając je – nie do wiary – w zębach.

Na wieży nagle zaroilo się od ludzi. Mężczyźni i kobiety przybiegli z wiadrami oleju, by wlać go do wielkiego kotła stojącego na wysypanym piaskiem palenisku i gotowego do podgrzania. Inni chwycili za drągi i zaczęli wsuwać w prześwity między blankami, tak jak zrobili to Brian, Jim i Dafydd, aby odepchnąć drabiny przystawione do ścian.

Theoluf był już na dolnym murze z drugiej strony zamku.

–Rozstawić się! Rozstawić! – wołał do wbiegających po kamiennych schodkach zbrojnych. – Weźcie służbę między siebie. Po czterech do każdej drabiny. Niech oni pchają, a wy przygotujcie się do walki z każdym, kto zdoła wejść na mury! Rozstawić się! Rozstawić!

Drabina, którą odpychał Jim i jego dwaj towarzysze, zaczęła się odchylać, podczas gdy jej środek wygiął się w stronę ściany, jak olbrzymi łuk.

–Te gobliny są o wiele lżejsze – mruknął Brian – niż zbrojni w pancerzach... No,

gotowe!

Drabina nagle złamała się i gobliny z przeraźliwym wrzaskiem runęły do fosy.

–Ha! – rzekł z satysfakcją Brian. – Która następna? Wlokąc drąg, okrążyli mury, lecz obrońcy zdążyli już odepchnąć wszystkie drabiny. Odłożyli więc tyczkę na miejsce, z którego zabrał ją Dafydd. Jim podbiegł do najbliższego komina sterczącego z dachu wieży.

–Hobie! – zawołał do otworu.

–Tu jestem, milordzie! – odpowiedział skrzat, wyskakując jak zabawka na sprężynie. – Przyglądałem się stąd, żeby nie przeszkadzać.

–Chcę złapać jednego goblina. żeby go wypytać.

–Zatem wpuście jednego na mury, milordzie – odparł Hob, zeskakując na dach. – Ja go złapię.

Jim zwrócił się do najbliższej grupki ludzi manewrujących drągiem.

–Przepuście jednego! – rozkazał. – Brianie, Dafyddzie, lepiej stańmy po obu stronach na wypadek, gdyby wdarło się ich więcej.

Zajęli pozycje. Brian stał z dobytym i uniesionym mieczem, a Dafydd trzymał w ręku długi nóż, którym posługiwał się równie sprawnie jak rycerz mieczem. Hob przycisnął się do muru obok Briana.

Jakiś goblin z włócznią w zębach przeskoczył przez mur, dziko błyskając czarnymi ślepiami. Hob uderzył mieczem, przecinając drzewce włóczni pół metra od grotu. Pod wpływem potężnego ciosu napastnik zachwiał się i zatoczył w bok. Hob uderzył płazem w okrągłą kosmatą głowę i goblin padł.

–A niech mnie! – zakrzyknął Brian ze zdumieniem i podziwem. – Całkiem nieźle! Goblin poruszył się. Hob ponownie uniósł miecz.

–Nie – pokręcił głową Jim. – Bezruch! – rozkazał goblinowi, który przestał się ruszać, ale powoli odzyskiwał przytomność. Mierzył Hoba złowrogim spojrzeniem.

–Stań! – rozkazał Jim. Goblin wstał i znieruchomiał.

–W porządku – rzekł Jim, podchodząc do niego. – Kto powiedział wam, żebyście zrobili drabiny i użyli ich do ataku na zamek? Sami nie wpadliście na to, bo spróbowalibyście tego już dawno. Odpowiadaj! Nie możesz się ruszać, ale możesz mówić.

Goblin oderwał pełen nienawiści wzrok od Hoba i spojrzał na Jima, ale nic nie powiedział.

–Czy mam go zabrać na smudze dymu do komina i tam przesłuchać, milordzie? Na dole w wielu kominkach pali się ogień.

Goblin wydal zduszony charkot i zaczął mówić.

–Samica! – rzekł piskliwym głosem.

–Mówi o jakiejś kobiecie, milordzie – wyjaśnił skrzat. – Gobliny są bardzo głupie. Jeniec ponownie posłał mu nienawistne spojrzenie, ale nic nie powiedział.

–Dobrze – mruknął Jim. – Do fosy! Goblin znikł.

–Milordzie! – zaprotestował Hob.

–No właśnie, James – rzekł Brian. – Na siedmiu głupich grzeszników, dlaczego go wypuściłeś?

–Zaniesie wieść – odparł Jim – która w końcu dotrze do Agathy Falon, ponieważ to ona za tym stoi, gdyż Cumberland sam nie zdołałby przywołać goblinów z głębi ziemi. Agatha dowie się, że wiem o jej obecności, a ona zdaje sobie sprawę z tego, że nawet bez pomocy Carolinusa moja magia jest silniejsza niż jej. Może nie będzie tak chętnie pomagać goblinom. Im więcej zyskamy czasu, tym bardziej prawdopodobne będzie nadejście posiłków przysłanych przez earla Somerset, Ponadto dobrze ją nastraszyć...

–James! – przerwał mu gniewny głos. – Dlaczego nie zawiadomiłeś mnie od razu, zamiast działać, jakby mnie tu nie było?

Książę podszedł do nich.

–Ach, jesteś, wasza miłość – odparł Jim i wskazał na mury. – Nie mieliśmy czasu. Większość obrońców stała w niedbałych pozach, spoglądając na księcia, Jima i pozostałych. Najwyraźniej atak goblinów został odparty na całej linii.

–Musimy porozmawiać, wasza miłość – dorzucił pospiesznie Jim, widząc zagniewaną twarz księcia. – Myślę, że słoneczna komnata będzie najlepszym miejscem do tej rozmowy.

W mgnieniu oka przeniósł ich obu do słonecznej komnaty.

–Nigdy więcej nie przenoś mnie bez mojej zgody! – wrzasnął książę. – Za kogo ty się...

–Bezruch! – rozkazał Jim. Książę zastygł i zamilkł, utrzymując gniewny wyraz twarzy. – Edwardzie – rzekł Jim – przemówię do ciebie jak mag, którym jestem, działający z upoważnienia Zgromadzenia. To prawda, że tylko najwyżsi rangą spośród nas mają prawo rozmawiać z królami i cesarzami jak równy z równym, jak ze zwykłymi ludźmi, zwracając się do nich po imieniu. Jednak w razie konieczności może sobie na to pozwolić każdy mag, nawet skromny praktykant, jeśli zamierza wykorzystać magię, by wypełnić swój najważniejszy obowiązek.

Zamilkł na moment, pozwalając, by te słowa dotarły do księcia.

–W tym momencie naszym obowiązkiem – ważniejszym od wszystkich innych, nawet od powinności względem następcy tronu – jest utrzymanie twojego ojca przy życiu. Teraz możesz już poruszać się i mówić.

Książę patrzył na niego ze zdumieniem, zapomniawszy o urazie.

–Przecież... – zaczął po chwili prawie spokojnym głosem – jeśli mój ojciec uniknął niebezpieczeństwa ze strony tych przebranych goblinów w Tiverton, to tutaj też nic mu nie grozi.

–Sytuacja się zmieniła, Edwardzie... – przez moment twarz księcia znów wykrzywił groźny grymas, ale zaraz znikł. – W Tiverton wrogowie chcieli, by król zaraził się i umarł, tak by nikt niczego nie podejrzewał. Teraz mają nadzieję, że zginie w Malencontri z rąk goblinów. W ten sposób wrogowie twojego ojca również pozostaną poza wszelkimi podejrzeniami, gdyż gobliny ukryją się pod ziemią, skąd nikt nie zdoła ich wyciągnąć bez pomocy magii. Ty nie zdołasz temu zapobiec.

–Przecież to ja jestem tu jedynym doświadczonej dowódcą!

–Edwardzie, zaatakował nas nie znany ci nieprzyjaciel. Jesteśmy w sytuacji, z jaką nigdy nie miałeś do czynienia. Obie strony tego konfliktu będą posługiwać się magią.

Ty nie jesteś magiem i nie znasz się na tych sprawach. Nie masz też u swego boku skrzata, który niegdyś sam był goblinem, zna ich sposób myślenia oraz słabe punkty.

Niedowierzenie na twarzy księcia graniczyło z rozpaczą.

–Z pewnością moja wiedza i umiejętności mogą się do czegoś przydać – powiedział. – To mój ojciec!

Prawie błagał o zrozumienie.

–Z pewnością – odparł Jim. – Przygotuj się, książę, gdyż będę brutalnie szczery. Dowiodłeś swojego męstwa i rycerskości podczas interwencji, która zakończyła się zwycięstwem pod Poitiers. Miałeś wówczas Chandosa i innych, którzy służyli ci radą. Bardzo nam wszystkim pomożesz, jeśli obejmiesz tu dowodzenie, ale tylko formalnie. Tak jak pod Poitiers, tak tutaj ja, Brian i Dafydd będziemy kierowali twoimi poczynaniami we wszystkich sprawach wymagających naszego doświadczenia!

Książę ponownie wpadł w furję.

–Zaściankowy rycerz i zwyczajny łucznik?! – wykrzyknął.

–Właśnie. Będą dowodzili razem ze mną, a ty będziesz słuchał ich, podobnie jak ja będę słuchał ich, ciebie czy kogokolwiek, kto może znać się na czymś lepiej ode mnie. Ponadto doskonale zdajesz sobie sprawę z tego, że Brian nie jest zwykłym zaściankowym rycerzem. Natomiast nie wiesz, że Dafydd nie jest zwyczajnym łucznikiem, i chociaż obiecałem nigdy nikomu tego nie wyjawić, sądzę, iż nadszedł czas, kiedy jestem zmuszony ci powiedzieć, że w rzeczywistości wywodzi się z rodu równie znamienitego jak twój.

Książę oniemiał.

–Czy to... jak to możliwe? – spytał w końcu zdumiony.

–Nie mogę powiedzieć nic więcej – odparł Jim. – W tym momencie istotne jest tylko to, że za wszelką cenę musimy uratować twego ojca, a w tym celu musimy działać zgodnie. Nieprzyjaciel jest prymitywny, ale ma ogromną przewagę liczebną...

Przerwało mu pukanie do drzwi.

–Nie teraz! – zawołał Jim.

–Wybacz, panie – odkrzyknął męski głos. – To ja, Theoluf. To sprawa najwyższej wagi!

–Wejdz! – zawołał Jim.

Theoluf wszedł. Na jego poznaczonej bliznami twarzy malowała się powaga.

–Sir Verweather chce jak najszybciej się z tobą widzieć, panie! Zdaje się, że jest bliski śmierci. Przygotowuje się na nią i już wyspowiadał się przed kapelanem lady Geronde. To ten ksiądz kazał przekazać jego życzenie.

Zwrócił się do księcia.

–Rycerz jeszcze bardziej pragnie się widzieć z tobą, wasza miłość, z hrabiną Joanną i sir Brianem, a potem... może nawet z królem.

–Chce mnie widzieć? – spytał książę.

–Tak, wasza miłość.

–Oczywiście każdego z osobna.

–Nie, wasza miłość. Czuje, że śmierć jest bliska, i błaga, abyście wszyscy przyszli

razem. Lady hrabina już czeka z sir Brianem na waszą miłość i milorda.

–Zaczekaj na zewnątrz – polecił Jim. – Niebawem do ciebie dołączymy.

Kiedy Theoluf wyszedł, Jim zwrócił się do księcia.

–Ja zamierzam pójść – oznajmił – i to niezwłocznie. Od ciebie zależy, czy odwiedzisz go z nami.

–Pójdę – rzekł książę. – To rycerz na służbie mojego ojca. Tylko dlaczego umiera? Czy mógł zarazić się tak, że nikt tego nie zauważył? Ciosy zadane przez sir Briana były istotnie potężne, ale z pewnością nie mogły zabić rycerza w kolczudze.

–Nie wiem – odparł Jim. – To niezwykle, ale czasem się zdarza, że jakieś wewnętrzne schorzenie ujawnia się pod wpływem stosunkowo lekkiego ciosu. W tym przypadku nawet magia nic nie pomoże. Z pewnością nie zaraził się tutaj, w Malencontri, ale może chorował na coś wcześniej.

Ruszył w kierunku drzwi.

–Jeszcze chwilę – powiedział książę, a poważny ton jego głosu sprawił, że Jim przystanął i odwrócił się. – Hrabina czasami zarzuca mi, że postępuję jak chłopiec, kiedy powinienem działać jak mężczyzna. Pamiętając o tym i mając w pamięci także twoje słowa, po raz pierwszy pragnę cię zapewnić, że ogromnie kocham ojca, wbrew rozpowszechnianym przez Cumberlanda kłamstwom, jakich słuchał. I masz rację – jego życie jest najważniejsze. Muszę także już bez fałszywej dumy przyznać, że pod Poitiers pozwoliłem sobą kierować rycerzom starszym i bardziej doświadczonym ode mnie. Tylko głupiec nie wie, kiedy schować dumę do kieszeni. Teraz widzę, że powinienem słuchać rad waszej trójki, i godzę się z tym. We wszelkich innych sprawach pozostaję księciem Walii i następcą tronu. Rozumiemy się?

–Całkowicie! – odparł Jim.

–Zatem prowadź do Verweathera najszybciej jak to możliwe, tak jak tego chce. Nie zawiodę rycerza, który pragnie mnie widzieć przy swoim łożu śmierci!

Wyszli ze słonecznej komnaty na korytarz.

–Theolufie – zwrócił się Jim do czekającego giermka – odśwież mi pamięć. W której komnacie znajduje się sir Verweather?

–Trzy piętra niżej, czwarta z kolei, panie.

–A hrabina i sir Brian? Gdzie są teraz?

–Czekają pod jego drzwiami, panie.

Jim w magiczny sposób przeniósł tam ich wszystkich, po czym wyciągnął rękę, by otworzyć drzwi.

–Wasza miłość, hrabino – powiedział do księcia i Joanny, usuwając się na bok. – Sir Brian i ja zaczekamy.

Leżący na łożu sir Verweather istotnie wyglądał na umierającego. Twarz miał bladą, a oczy zapadnięte, był również znacznie chudszy, niż kiedy widzieli go ostatnio. Zdawał się nie widzieć Jima i Briana, którzy stanęli za pochyłającą się nad rycerzem parą.

–Wybacz mi, wasza miłość – przemówił ochryplym szeptem – jeśli można wybaczyć taki grzech, że okłamałem cię i zamierzałem bez twojej wiedzy wykorzystać, by sprowadzić śmierć na twego ojca. Dałem słowo, że nigdy nie wyjawię imienia tego,

kto stał za tym planem, i nie zamierzam ponownie zgrzeszyć, wyjawiając je wam teraz. Mimo to bez trudu się domyślicie. Niechaj Bóg da długie i szczęśliwe życie królowi, jak również tobie i tej damie stojącej przy tobie. Wiem, że ona jest równie droga tobie jak ty jej.

Zamknął oczy, zupełnie wyczerpany.

–Jeśli nie zdołasz mi przebaczyć – rzekł po chwili – zrozumiem to. Masz do tego prawo.

–Wybaczam ci – rzekł książę. – Bóg wie, iż sam nieraz popełniałem błędy. Ponadto w innych sprawach prócz tych, o których teraz mówisz, byłeś zacnym i dzielnym rycerzem.

–Ja również ci przebaczam, jeśli to cię pocieszy – powiedziała Joanna.

Verweather otworzył oczy.

–Dziękuję, waszej miłości i miłady. Zaiste to dla mnie ogromna pociecha.

–Dobrze więc – powiedział książę. – Chciałeś widzieć również sir Jamesa i sir Briana. Są tutaj.

Razem z Joanną odsunęli się na bok, a Jim i Brian zajęli ich miejsce. Verweather ponownie otworzył oczy, które zamknął przy ostatnich słowach.

–Sir Jamesie... – wyrzęził – wybacz mi, że wniosłem zdradę do twego domu.

–Wybaczam – rzekł Jim.

–Dziękuję ci najgoręcej, jak potrafi umierający, który niczego nie może już naprawić. Sir Brianie?

–Jestem tutaj.

–Przebacz mi grzech i niegodny rycerza występki, jaki popełniłem podczas naszego pojedynku, który miał być przyjacielską rozrywką...

Urwał, z trudem łapiąc oddech. Potem dodał:

–... uciekając się do podstępów i *używając nie* tylko dłuższego, ale i ostrego miecza. Zamierzałem ciężko cię zranić, a nawet zabić. Wybacz mi to, jak również moje rozgoryczenie po przegranej walce i to, że w duchu przeklinałem cię w sposób niegodny rycerza. Jeśli znajdziesz w swym sercu odrobinę wyrozumiałości, błagam cię, pomódl się za mnie, aby czekający mnie ogień oczyścił moją duszę.

–Tak uczynię, masz na to moje słowo – odparł Brian. – Wcale też nie mam ci za złe tego, co nazywasz grzechem i występkiem. Nie pierwszy to raz walczyłem z przeciwnikiem uzbrojonym w długi miecz, a co do twej urazy, to ja również czasem czułem niechęć do tych, którzy mnie pokonali. Zawsze uważałem cię za zręcznego i – pomijając to, o czym teraz wspomniałeś – zacnego rycerza.

–Dziękuję ci za te uprzejme słowa – rzekł Verweather. – Teraz chciałbym zamienić jeszcze słowo z księciem.

Brian cofnął się i książę zajął jego miejsce.

–Wasza miłość – powiedział Verweather ledwie słyszalnym głosem. – Przede wszystkim muszę wyznać wszystko jego wysokości, twojemu ojcu, gdyż przeciwko niemu zgrzeszyłem najciężej. Czy byłoby to możliwe? Ponieważ czuję, że mój czas szybko się kończy.

–Mogę do niego pójść i jeśli zechce mnie wysłuchać, poproszę, by udzielił ci

audiencji.

–O nic więcej nie proszę.

–James – rzekł książę – zbliża się pora obiadu, który jego wysokość zazwyczaj spożywa samotnie w swej komnacie. Może mógłbyś użyć swej magii, aby przenieść mnie do niego, a także towarzyszyć mi, żeby potem przenieść nas tu razem?

–Oczywiście – powiedział Jim.

–Rozmowę pozostaw mnie.

–Jak najbardziej, wasza miłość.

Jim przeniósł ich obu do jednej z komnat przydzielonych monarsze. Król był sam. siedział na krześle przy stoliku, na którym stał wysoki kielich z czerwonym winem. Monarcha z zaskoczeniem i irytacją, trochę nieprzytomnie, spojrział na niespodziewanych gości, wyraźnie skupiając złość na księciu.

Do licha! – pomyślał Jim. Czyżby zdążył się już upić?

–Wasza wysokość – rzekł pospiesznie książę – wybacz nam zuchwalstwo, jakim jest nasze nagłe i nieoczekiwane przybycie tutaj za pomocą magii...

Jednak król nagle zupełnie oprzytomniał. Usiadł prosto na krześle.

–Niedawno zostaliśmy zaatakowani – powiedział. – Obserwowałem to przez strzelnice i widziałem, że szturm został odparty. Czy znowu przypuścili atak? Jestem potrzebny?

–Nie, wasza wysokość – powiedział książę. – Chodzi tylko o rycerza, którego zabrałeś ze sobą, przenosząc się z Londynu do Tiverton. Jest bliski śmierci i otrzymał już ostatnie namaszczenie. Mimo to czuje, że ciężko zgrzeszył przeciwko waszej wysokości, i pragnie jeszcze za życia osobiście wyznać ci swój grzech.

–Verweather? – spytał król z przenikliwością, jakiej Jim się po nim nie spodziewał. Książę skinął głową. – Dlaczego umiera? Czy nikt nie potrafi mi wyjaśnić... Sir Jamesie?

Popatrzył na Jima. Ten, stojąc i przysłuchując się rozmowie, nie spodziewał się tego pytania. Wyprostował się i spróbował odpowiedzieć równie bystrym spojrzeniem.

–Trudno powiedzieć, wasza wysokość. Być może ciężkie ciosy, które otrzymał pod koniec potyczki z sir Brianem, uszkodziły jakiś narząd wewnętrzny, już osłabiony w przeszłości. Stracił wiele krwi, której jego organizm nie zdołał odtworzyć. Tylko tyle mogę powiedzieć waszej wysokości, nawet z pomocą magii.

–Verweather... – mruknął król. – Edwardzie, jeśli on jest umierający, to oczywiście muszę do niego pójść. Od kiedy za namową Cumberlanda zabrałem go do Tiverton, traktowałem go jak jednego z moich własnych rycerzy i wedle mojej wiedzy zawsze wiernie mi służył. Gdzie on jest?

–Piętro niżej – odparł książę. – Hrabina i sir Brian są teraz przy nim, gdyż chciał wyznać im kilka pomniejszych grzechów. Ich obecność jest dla niego pociechą w ostatniej godzinie życia, lecz zarówno oni, jak i ja oraz James możemy zostawić was tam samych. Oczywiście można by przenieść go tutaj razem z łóżem, ale nie wiem, czy tak długo pożyje.

–Nie, nie – król zabębnił palcami w blat stołu obok zapomnianego kielicha z

winem. – Jeśli ten jego grzech istotnie jest tak ciężki, to nie chcę, by słyszano, jak z nim rozmawiam. Muszę do niego pójść, ale nawet to może wywołać gadaninę i plotki, szczególnie jeśli wszyscy obecni natychmiast opuszczą komnatę, pozostawiając mnie z nim sam na sam. Cała służba musi oczywiście opuścić to pomieszczenie!

–Juz została odesłana, wasza wysokość.

–Dobrze. Mimo to dojście tam niepostrzeżenie stanowi pewien problem... James, w twoim zamku nie ma ukrytych przejść?

–Są, ale nie przydadzą się w tym celu, wasza wysokość. Mamy jedno, którym w razie potrzeby mogą uciec z zamku ci, którzy są zbyt ważni, by wpaść w niewolę lub zginąć. Jednak, za zgodą waszej wysokości, mogę szybko i niepostrzeżenie przenieść nas tam za pomocą magii.

–Oczywiście. Oto właściwe rozwiązanie! Musisz mi towarzyszyć, ty też, Edwardzie. Jeśli to, co on ma do powiedzenia, dotyczy tronu, powinienes o tym wiedzieć. Ci, którzy są z nim tam teraz, też niech nie odchodzą, dopóki tu nie wrócę.

Król wstał zadziwiająco zwinnie.

–Prowadź, sir Jamesie!

Wszyscy trzej błyskawicznie znaleźli się przy łożu Verweathera. Joanna, która wyglądała poślanie, szybko usunęła się na bok, a król pochylił się nad umierającym. Jim i książę dyskretnie trzymali się z daleka.

–Twój król jest przy tobie – rzeki stary Edward. – Przykro mi cię widzieć w tak oplakany stan. Chciałeś wyznać mi coś, zanim staniesz przed Bogiem?

–O, gdybym przed Nim stanął! – jęknął Verweather. – Wiem jednak, że moja droga w zaświaty wiedzie w inne miejsce, bo grzeszyłem, a najcięższy z tych grzechów, gdyż popełniony przeciwko twej królewskiej osobie, muszę ci wyznać, zanim odejdę.

–Jakiż to grzech, człowieku?

–Najgorszy z możliwych. Grzech zdrady. Miałem dopilnować, abyś zachorował i umarł w Tiverton, gdzie wyglądałoby to tylko na nieszczęśliwy przypadek. W tym celu sprzymierzyłem się z goblinami udającymi ludzi i zamierzałem wykorzystać twojego syna, który o niczym nie wiedział.

Król nasrożył się.

–Kto cię do tego namówił?

–Poprzysiągłem nigdy nie wyjawić jego imienia i choć tyle rycerskiej czci mam nadzieję zachować. Jednak, jak powiedziałem synowi waszej królewskiej mości, bez trudu odgadniesz jego imię.

Król obrzucił Joannę, Briana i Jima pospiesznym, prawie ukradkowym spojrzeniem.

–Ponieważ stoisz teraz w obliczu Boga, musisz mi je wyznać! Pochylę się i szepniesz mi do ucha – rzeki król.

Nachylił się i przyłożył prawe ucho niemal do samych ust Verweathera. Pozostali zobaczyli, jak suche, pobladłe wargi rycerza poruszyły się. Monarcha najpierw zamarł, a potem gwałtownie się wyprostował. Twarz miał bladą i ściągniętą groźnym grymasem.

–Nie wierzę ci! – wybuchnął. – Kłamiesz!

–Ponieważ stoję przed Bogiem i miałem nadzieję na... nadzieję na twoje zrozumienie, królu... dla obcego rycerza bez grosza, przybyłego z obczyzny, ale Anglika... – mówił z najwyższym trudem Verweather -...wyjawiłem ci nazwisko tego człowieka. Czy nie znajdziesz dla mnie odrobiny zrozumienia i przebaczenia?

Król uspokoił się.

–Gdyby nie to, że cała sprawa musi pozostać tajemnicą – powiedział – nawet martwego czy umierającego spotkałaby cię kara przewidziana dla takich renegatów. Nie jestem kapłanem, aby cię rozgrzeszyć, jeśli w ogóle można rozgrzeszyć z takiej zbrodni. Podniosłeś rękę na tron – na tron! Co więcej, zwróciłeś się nie tylko przeciwko mnie. Władam Anglią z woli Boga, a zatem obraziłeś i Jego. Uważałem cię za wiernego rycerza i darzyłem zaufaniem, dopóki nie wyznałeś mi tego grzechu... Jednak poległeś w boju, czego życzyłbym każdemu z moich rycerzy, z powodu ran odniesionych w walce, choć stoczony jedynie dla mojej rozrywki, a więc to ja jestem odpowiedzialny za twoją śmierć. Dlatego, jeśli o mnie chodzi, możesz odejść w pokój. Nic więcej nie mogę ci rzec.

–Dziękuję waszej...

Verweather nie dokończył. Zamknął oczy i już ich nie otworzył. Wszyscy obecni przeżegnali się, oprócz Jima, który pospiesznie poszedł w ich ślady.

Właśnie dlatego Angie i ja nigdy nie będziemy tacy jak ci ludzie z ich niewzruszonymi zasadami, pomyślał ponuro. Ja miałbym więcej litości dla tego biedaka!

Rozdział 32

Jim obudził się nagle, wydawało mu się, że zdrzemnął się tylko chwilkę przed obiadem. Był jednak zupełnie rozebrany i przykryty, a Angie parzyła herbatę, jaką tylko ona potrafiła zaparzyć w całym zamku, a może i na całym tym świecie.

–Gotowe! – oznajmiła, widząc, że oparł się o zimne wezglowie łoża. – Dobrze się czujesz? Lepiej wypij i zbieraj się. Będziesz miał dziś pełne ręce roboty.

–Tak. Czuję się świetnie. Czy to już rano? – spytał. – Jestem w znakomitej formie, a przynajmniej tak mi się zdaje. Kto by pomyślał, że tak prędko wydobrzeję?

–Nie bądź zbyt pewny siebie – odparła, podając mu posłodzoną herbatę z mlekiem. Napój był słodszy niż zwykle. – Wieczorem zgasłeś jak świeca – ciągnęła – i chrapałeś prawie całą noc, a kiedy przewróciłam cię na bok, żebyś przestał, nawet się nie obudziłeś, a po chwili znów leżałeś na wznak i chrapałeś tak, że pękały ściany. Wczorajszy dzień był dla ciebie zbyt wyczerpujący. Wypij herbatę póki gorąca. Zaraz zaparzę ci następną.

–Dobra – powiedział Jim, łapczywie pijąc gorący, słodki płyn. – Chętnie wypiję jeszcze jedną. Czy wieczorem zszedłem na kolację?

–Nie. Kazaliśmy ją przynieść na górę. Prawie nic nie zjadłeś, tylko rozebrałeś się, padłeś na łóżko i zasnąłeś. I spałeś do tej pory. Przez pięć minut próbowałam cię obudzić,

Spojrzał w najbliższe okno. Jasno świeciło poranne słońce i późna jesień była pogodna. Opróżnił kubek.

–Masz! – powiedziała Angie, podając mu następny.

–Dlaczego mówisz, że będę miał pełne ręce roboty? – zapytał, nieco wolniej opróżniając drugi kubek.

–Ponieważ masz dziś do załatwienia sporo spraw, które od początku wprowadzą cię na wysokie obroty. Teraz posłuchaj.

Usiadła obok niego na brzegu łóżka.

–Słucham – powiedział. – Ten drugi kubek nie był takim życiodajnym nektarem jak pierwszy, ale i tej herbacie niczego nie brakowało.

–Zamierzam odbyć z tobą bardzo poważną rozmowę – oznajmiła Angie, usiadłszy.

–Jak już powiedziałem, słucham cię.

–Nawet będąc w najlepszej formie, nie jesteś Brianem ani Dafyddem.

–Wiem o tym – odparł, czując się trochę dotknięty. – Nic musisz mi mówić.

–Zatem nie zachowuj się tak, jakbyś był.

–Nie robię tego.

–Właśnie, że tak. Robisz to, nawet nie zastanawiając się nad tym. Poza tym dopiero co wstałeś z łóżka, Zaledwie wczoraj przeforsowałeś się – i to bardzo. Mogłeś też doprowadzić się do zapaści – czy jak to tam nazwać – kiedy przenosiłeś tu nas wszystkich z Tiverton.

–Sądziłem, że zrobił to Carolinus.

–Owszem, ale dopiero wtedy, kiedy ty mu to umożliwiłeś. Carolinus zgadza się ze mną. Jeszcze jeden taki dzień i możesz znów dostać zapaści w wyniku zbyt gwałtownego zużycia magii.

–Carolinus! – rzekł Jim, odstawiając pusty kubek na nocny stolik. – Myślę, że wiem o sobie więcej niż on!

–Nie wiesz więcej od niego o tym, co może spowodować magia. Jim, mówię poważnie. Obserwowałam cię wczoraj. Byłeś półprzytomny i nawet nie zdawałeś sobie z tego sprawy.

Jim otworzył usta, by zaprzeczyć, ale przypomniał sobie, jak stał otumaniony w kwaterze króla i w milczeniu słuchał, jak księżę namawia ojca, by odwiedził umierającego Verweathera, a potem przysłuchiwał się rozmowie Briana i króla z rycerzem. Zamknął usta.

–Może i tak – rzekł. – Teraz jednak jestem wyspany, zdrowy i przytomny. Dlaczego uważasz, że mnóstwo spraw do załatwienia znowu wprowadzi mnie na wysokie obroty?

–Znam cię.

–A właściwie co cię tak bardzo niepokoi?

–Pytasz o to wszystko, co znowu cię zdenerwuje. Właśnie dlatego chcę, żebyś mi solennie obiecał, że będziesz panował nad sobą, kiedy zejdziesz na dół, by zobaczyć się ze wszystkimi. Nawet nie próbuj wychodzić, nie obiecawsz mi tego! Poza tym Carolinus rzucił zaklęcie na słoneczną komnatę i nie zdołasz z niej wyjść, dopóki mi tego nie obiecasz. Nie żartuję.

–Do licha! – wrzasnął Jim. Był przekonany, że potrafi złamać większość takich zaklęć, ale rzucone przez Carolinusa...

Ostrożnie sprawdził moc zaklęcia. Uff! Było mocne i obejmowało cały pokój – podłogę, ściany i sufit. Dobre, solidne zaklęcie.

–Niech go licho porwie!

–Złość się, ile chcesz – powiedziała Angie. – Zaklęcie nie wypuści cię, dopóki nie obiecasz... nie dasz mi słowa honoru, jak mówią rycerze. A co do Carolinusa, to przecież jest twoim mistrzem magii.

–Dobra – warknął Jim. – Masz to cholerne słowo. A teraz daj mi wstać, umyć się, ogolić i ubrać.

Angie wstała z łóżka.

–Masz całą komnatę dla siebie – oznajmiła. – A ja wychodzę z tobą. Jeśli znów zaczniesz się słaniać na nogach, zapakuję cię do łóżka na długo. Ostrzegam cię, Jim. – Spojrzał na nią i ze zdziwieniem zauważył, że ma łzy w oczach. – Nie rozumiesz, że nie chcę cię stracić?

Wymamrotał coś niezrozumiale, nie patrząc jej w oczy, odrzucił kołdrę, wstał z łóżka i ruszył w kierunku ich sprytnie zmodernizowanej łazienki z niespotykaną w tych czasach splukiwaną toaletą, połączoną ze zbiornikiem wody na dachu wieży, prysznicem oraz marmurową wanną, zasilanymi z tej samej cysterny.

Kiedy ubrany wrócił do komnaty, znalazł śniadanie na stole.

–Nie mam czasu jeść – powiedział. – Bardzo ci dziękuję, ale wstałem za późno i muszę natychmiast wziąć się do pracy.

–Zdążysz zjeść – odparła. – Już posłałam po Briana i Dafydd. Potrwa chwilkę, zanim ich znajdą i przekażą zaproszenie. Poza tym musisz coś zjeść. Od paru dni

prawie nic nie jesz.

–To dlatego herbata była słodsza niż zwykle. Ukradkiem wsypałaś do niej więcej cukru! Ha!

–Wcale nie ukradkiem. Po prostu posłodziłam ją mocniej, żeby dostarczyć ci więcej kalorii! Teraz ja mówię „ha”!

–Dlaczego Brian i Dafydd mają tu przyjść?

–Po to, żeby nikt nie zawracał ci głowy. Zamierzałam przydzielić ci eskortę paru naszych zdrowych zbrojnych, ale większość naszych sąsiadów po prostu przeszłaby przez nich. Dlatego ściągnęłam tu Briana i Dafydda.

–A zatem kilku sąsiadów już tu jest? Jak zdołali się przedrzeć przez krąg goblinów?

–Pokażę ci, kiedy wejdziemy na dach – odparła. – Teraz zjedz, zanim przyjdzie tu Brian z Dafyddem.

Zjadł. Okazało się, że naprawdę był głodny. Poza tym i tak postanowił pochłonąć to wszystko, gdyż najwidoczniej Angie nie zamierzała niczego mu powiedzieć, dopóki tego nie zrobi. Nawet nie było sensu pytać.

Usłyszał znajome, mocne stukanie do drzwi i zaraz po tym do komnaty wszedł Brian, a tuż za nim Dafydd. Jim pospiesznie pochłonął ostatnie z jajek na twardo.

–No, James! – zawołał Brian. – Już ci lepiej?

–Miejmy nadzieję. Mimo to nie pozwólcie go niepokoić... poza tym ja też będę z wami – oznajmiła Angie. – Jeśli powiem, że trzeba zabrać go na dół, to ma natychmiast znaleźć się na dole, nieważne, co będzie twierdził.

–Czy tak kazał Carolinus? – rzucił ostro Brian, gdyż nie aprobował żon rozkazujących mężom i tolerował takie wyjątkowe zachowanie Angie tylko dlatego, że najwidoczniej Jimowi ono nie przeszkadzało. Oczywiście w innych krajach panują inne zwyczaje, a Jim i Angie nie byli Anglikami, biedactwa. Ponadto kochał ich oboje.

–Tak – potwierdziła Angie. – Długo o tym rozmawialiśmy. Powiedział, że jeśli się przemęczy, znowu wyląduje w łóżku.

–Boże broń – rzekł Brian, przeżegnał się i chwycił Jima za rękę.

–Sam potrafię wstać z krzesła! – powiedział Jim równie ostro, jak przed chwilą Brian do Angie.

–Zatem zrób to – odparł niewzruszony Brian. Jim wstał.

–Dobrze widzieć was obu – powiedział, ze wzruszeniem spoglądając na obu przyjaciół.

Brian ucałował go w oba policzki, a Dafydd posłał mu jeden ze swych uśmiechów, cieplejszy niż zwykle.

–Chodźmy więc – powiedział i wyszli.

Spodziewał się dosłownie wszystkiego. Na wieży było pełno sąsiadów, była ich nie garstka, jak oczekiwał, ale co najmniej dwudziestu. Spoglądali na hordę goblinów, spierali się lub wysuwali rozmaite propozycje, które niemal zawsze spotykały się ze sprzeciwami. Sir Hubert White – krzykliwy i apodyktyczny człowiek, który był najbliższym sąsiadem Jima i niefortunnym zrzędzeniem losu jego posiadłości graniczyły z ziemiami Malencontri – jako pierwszy zauważył nadchodzących.

–Sir James! – wykrzyknął i na czele zbrojnej i opancerzonej grupki ruszył mu na spotkanie.

–Tylko nie on! – jęknęła Angie do Briana i Dafydd, którzy natychmiast odgrodzili Jima od sir Huberta.

–Nie teraz, Hubercie – rzeki Brian. – Za pozwoleniem, on teraz nie może rozmawiać, z rozkazu maga Carolinusa.

Słowa były uprzejme, lecz ton głosu Briana nie pozostawiał wątpliwości, że ta decyzja nie podlega dyskusji. Sir Hubert natychmiast zatrzymał się, lecz tłumek za jego plecami nadal hałasował.

–Niech podejdą – mruknął cicho Jim. – W końcu prosiłem ich o pomoc.

–Zdaje się, że musisz to zrobić – powiedziała równie cicho Angie. Brian i Dafydd odsunęli się.

–Do mnie, szlachetni panowie! – powiedział głośno Jim, starając się przemawiać w czternastowiecznym stylu. Uroczyście, nie używając dwudziestowiecznych słów, które byłyby dla słuchaczy na pół niezrozumiałe, mylące lub wręcz niepojęte. Usiłował sobie przypomnieć, w jaki sposób przemawiali znani mu dwudziestowieczni politycy.

Starsi rycerze, będący głowami rodów, przecisnęli się przez tłum synów i giermków, starając się stanąć jak najbliżej. Pierwszy rząd składał się z największych i najbogatszych ziemian, dzięki czemu sir Hubert został zepchnięty do tyłu, skąd nie mógł tak łatwo rozpocząć rozmowy.

–Panowie, proszę o ciszę – rzekł Jim.

Nie zamilkli, tylko ciszej wymieniali uwagi i komentarze, tak by słyszeć, co ma im do powiedzenia. Jim z rozmysłem jeszcze ściszył głos, aby wymusić głęboką ciszę, w której rzeczywiście będą mogli go usłyszeć. Był to tłum niebezpiecznych indywidualistów, który mógł stać się groźny, gdyby wymknął się spod kontroli. Musiał natychmiast wziąć ich w garść, w przeciwnym razie później wciąż musiałby spierać się o wszystko z każdym z nich.

–Panowie! – powtórzył. – Rad jestem, mogąc wam rzec, iż tym razem mamy tu cieszącego się zasłużoną sławą dowódcę, który poprowadzi nas do zwycięstwa. A jest nim nie kto inny, lecz sam książę Walii. Wszyscy wiecie o wiekopomnych czynach, jakich dokonał, walcząc z wrogiem podczas interwencji zakończonej bitwą pod Poitiers. Razem z naszym miłościwie panującym królem, który w swoim czasie stoczył niezliczone bitwy, przemówią do was moimi ustami. Z tego względu rozkazy, które będę wam przekazywał, nie podlegają dyskusji.

Zamilkł. Ku jego zaskoczeniu rozległy się głośne wiwaty. Trzeba szybko kończyć, pomyślał, dopóki są w tak dobrych humorach.

–Tymczasem jest wiele rzeczy, których jeszcze nie wiemy. Wróg ma ogromną przewagę liczebną i posługuje się magią -włóczykami o zatrutych grotach...

Krótko opisał im pokłutych włóczykami ludzi biskupa, którzy wili się z bólu.

–Jednak, jak wszystkim wiadomo, magia jest również moją siłą, a w dodatku pomaga nam mag Carolinus.

Znowu wiwaty.

–W tym momencie Wielki Mag sprawdza, czy nasz earl Somerset – jeśli tylko Bóg ochronił jego domostwo i nie pozwolił mu zanadto ucierpieć od zarazy – może przysłać nam z pomocą oddział swoich zbrojnych. Mamy nadzieję, że tak się stanie. Mamy też wiele do zrobienia, z pomocą earla czy bez niej.

Znowu donośny, chóralny okrzyk aprobaty. Czy nigdy im się nie znudzi to wiwatowanie? – zadawał sobie pytanie Jim. Potem przypomniał sobie, gdzie się znajduje i z kim ma do czynienia. Mimo ogromnej przewagi liczebnej wroga ci ludzie wciąż mieli nadzieję, że spłynie na nich chwała zwycięstwa.

–Na razie to wszystko – rzekł. – Przemówię do was ponownie, gdy tylko dowiemy się więcej i opracujemy odpowiednie plany.

Ryknęli radośnie, jak stado wygłodniałych lwów. Najwyraźniej mylił się, biorąc ich dotychczasowe okrzyki za wiwaty. Cofnął się, a Brian i Dafydd, nie czekając na zachętę Angie, wysunęli się przed niego, dając do zrozumienia, że rozmowa skończona i Smoczy Rycerz nie zamierza słuchać żadnych propozycji czy pytań.

Oni wszyscy będą za mną albo przeciwko mnie, pomyślał Jim, jeśli nie wezmę ich w karby. Chcąc wzmocnić efekt swej przemowy, podszedł do blanków i spojrzał stamtąd w dół na swój zamek i na dziedziniec. Rycerze z szacunkiem rozstąpili się przed nim, Angie, Brianem i Dafydem, robiąc im dość miejsca, by mogli spokojnie się rozejrzeć, a nawet porozmawiać.

–Dobrze – pochwaliła cicho Angie. – Zejdźmy na dół, dopóki są pod wrażeniem.

Lecz Jim tylko zamrugał oczami, patrząc na dachy i dziedziniec. Podszedł do blanków tylko po to, aby zerwać kontakt wzrokowy z tłumem. Teraz jednak nie wierzył własnym oczom.

–Dlatego mówiłam ci, żebyś przygotował się na wstrząs – powiedziała stojąca obok niego Angie. – Nie z powodu sąsiadów, ale ich.

–Przecież, tylu skrzatów nie ma w całej Anglii! – powiedział Jim.

–Najwidoczniej się mylisz, bo wciąż przybywają nowe. Nic widzisz nawet jednej dziesiątej – ciągnęła. – Cały zamek jest ich pełny i pomagają ludziom we wszystkim. Próbują pocieszać chorych. Kilka wyruszyło, by zdobyć więcej opium i fajek dla ofiar zarazy. Inne odleciały, mając różne misje do spełnienia. Kilka skrzatów zabrało najodważniejszych pacjentów na krótkie przejażdżki na smugach dymu, żeby dodać im otuchy.

–Skąd... skąd wzięli się tu tak szybko?

–Chyba nie doceniasz możliwości dymu – odparła Angie.

–Muszę porozmawiać z naszym Hobem – rzekł Jim, kierując się do najbliższego komina sterczącego z dachu wieży. Potem przypomniał sobie o obecności tłumu sąsiadów i przystanął. – Masz rację. Do słonecznej komnaty. Chodźmy!

Zeszli po schodach, nie zatrzymywani i nie nagabywani przez nikogo. Sąsiedzi już zaczęli spierać się między sobą. Kiedy czwórka przyjaciół zamknęła za sobą drzwi i usiadła przy stole. Jim odruchowo rzucił na słoneczną komnatę zakłęcie, które pozwalało wyraźnie słyszeć wszystko, co będzie mówione na zewnątrz, a jednocześnie zapobiegało wydostawaniu się dźwięków z pomieszczenia. W tym momencie nad ich głowami znów uderzył gong, wybijając dziwny, miarowy rytm,

jakiego Jim jeszcze nigdy nie słyszał.

Bum, przerwa, bum, bum – zadźwięczał gong kilkakrotnie. Jim zaczął podnosić się z krzesła, kiedy powstrzymały go słowa Briana.

–Jakiś smok ląduje na dachu – oznajmił zwięźle Brian.

–Smok? – powtórzył Jim, znów zaczynając się podnosić.

–Siadaj, Jim! – powiedziała Angie. – Wszystko zostało uzgodnione. Sąsiedzi wiedzą, że mają cofnąć się pod mur, by zrobić mu miejsce do lądowania.

Jim wyczuł swój słuch tak, że był w stanie wychwycić każdy głośniejszy dźwięk na dachu. Po chwili usłyszał charakterystyczny łoskot i szum skrzydeł lądującego smoka.

–To z pewnością będzie Secoh, James – oznajmił spokojnie Dafydd. – Chociaż dorosły, jednak jest mniejszy niż większość młodych smoków z Clifftide, które zwerbował do Smoczego Patrolu.

–Co tu się dzieje? – wykrzyknął Jim. – W jaki sposób ci ludzie dostali się tutaj tak szybko? Można by pomyśleć, że przespałem dwie noce, a nie jedną.

–Trzy noce, mój drogi – powiedziała łagodnie Angie, kładąc mu dłoń na ramieniu. – Miałam nadzieję, że powiem ci to w jakiejś spokojniejszej chwili, bo wiedziałam, że będziesz się złościł, ale nie miałam okazji. Spałeś jak zabity przez dwa dni i trzy noce. Carolinus powiedział mi, żeby cię nie budzić, ponieważ zwalczyłeś zarazę, ale nie skutki nadmiernego magicznego wysiłku, które może uratowały ci życie – jeśli Barron miał rację. „Pozwól mu spać” – powiedział Carolinus – „dopóki sam się nie zbudzi. W ten sposób najprędzej dojdzie do siebie”.

Od strony schodów dobiegły jakieś hałasy, szmer czegoś trącego o ściany, pomruki, stłumione kobiece wrzaski, a potem coś, w czym Jim rozpoznał smocze przekleństwa, i odgłos ciężkich kroków na korytarzu. Kroki ucichły przed słoneczną komnatą i w następnej chwili usłyszeli skrobanie długich i ostrych pazurów, co było nieco zbyt energiczną formą uprzejmego pukania do drzwi.

–Wejść! – krzyknęła Angie, drzwi otworzyły się i Secoh przecisnął się przez nie, gdyż na szczęście zostały kiedyś specjalnie poszerzone, by wnieść do łazienki rzymską wannę.

–Jak się masz, milordzie? – zapytał Secoh, przyjmując pozycję, którą u innego zwierzęcia można by nazwać kuczną, i sadowiąc się przy jednym końcu stołu, przy którym nagle zrobiło się zdecydowanie ciasno.

–Dobrze, dziękuję – odparł Jim i przypomniawszy sobie o obowiązkach gospodarza, podniósł głos. – Służba, do mnie!

Jedna ze służących ostrożnie otworzyła drzwi i stanęła w progu. Wszyscy wiedzieli, że Jima łączą braterskie więzy z tym ostatnim gościem, ale smok pozostaje smokiem i od czasu do czasu pożera na obiad zabląkaną dziewicę, traktując ją jako łatwą zdobycz.

–Puchary i trzy karafki wina oraz dwa galony wina w specjalnym wiadrze, które znajdziesz w gotowni.

–Dwa galony, panie? – pobladła służąca.

–Oczywiście. Dla naszego smoczego gościa. Niech ci ktoś pomoże, jeśli będzie

trzeba, ale przynieś je migiem!

–Tak, milordzie. Natychmiast.

Służąca dygnęła i wyszła, nieco spokojniejsza. Nie pamiętała tych czasów, kiedy Secoh co chwilę pod lada pretekstem odwiedzał Jima w wielkiej sali, żywiąc nadzieje, które spełniły się dopiero teraz. W końcu Jim zdołał delikatnie mu wyjaśnić, że powinien ograniczyć te wizyty i składać je tylko z ważnych powodów. Mały bagieny smok już nigdy potem nie pojawiał się bez potrzeby. Teraz w jego ślepiach pojawił się radosny błysk, kiedy Jim wspomniał o wiadrze wina. Smoczy Rycerz prawie nie zwrócił na to uwagi.

–Trzy dni i dwie noce! – powiedział, z niedowierzaniem kręcąc głową.

–Uspokój się, James – powiedział Brian. – Kiedy spałeś, wszystko szło jak z płatka.

Jim spojrział na niego i już chciał zapytać, czy i w jaki sposób księżę wściubiał nos we wszystko, co tu robiono, wydając rozkazy mogące jedynie narobić zamieszania, ale nagle przypomniał sobie, po co właściwie wrócili do słonecznej komnaty.

–Hobie! – zawołał w kierunku wielkiego kominka. – Skrzacie z Malencontri!

–Tak, panie? – odezwał się Hob, wyskakując z kominka i stając przed nim.

–Podejdź tu i dołącz do nas.

Hob wezwał smużkę dymu, usiadł na niej i podleciał do stołu, zajmując miejsce naprzeciw Secoha – i przypadkiem tuż obok Jima – unosząc się w powietrzu tak, że tylko smok przewyższał go o głowę.

–Miło mi cię widzieć, milordzie, pani – skłonił się Angie – a także sir Briana i mistrza Dafydd... oraz tego smoka.

Hob doskonale wiedział, kim jest Secoh. Ten nic nie powiedział.

–Ponieważ przez trzy dni spałem jak zabity... – zaczął Jim.

–Zabity, milordzie?! – wykrzyknął skrzat.

Brian sprawiał wrażenie lekko wstrząśniętego, Secoh był wyraźnie zaniepokojony, Dafydd niewzruszony.

–To tylko takie wyrażenie! – pospiesznie wyjaśniał Jim. – Po prostu mocno spałem. Chciałem jednak powiedzieć, że nie wiem, co tu się działo, i byłbym wdzięczny, gdybyście mi to wyjaśnili. Na początek, Hobie, w jaki sposób inne skrzaty znalazły się tu tak szybko?

–Och, rozesłałem dym do wszystkich moich przyjaciół. Smużka dymu może przenieść taką krótką wiadomość: „Przybywajcie walczyć z goblinami. Zabierzcie broń. Zawiadomcie wszystkich”.

–I przybyli? A skąd dowiedzieli się o tym inni?

–Och, każdy z moich przyjaciół zawiadomił wszystkich swoich znajomych... i w ten sposób wieść szybko się rozeszła. Każdy skrzat chciał wziąć w tym udział.

–A w jaki sposób dostali się tu sąsiedzi? I skoro o nich mowa, to co z ich końmi? Pewnie kilka skrzatów może przenieść w pełni uzbrojonego rycerza w zbroi. Ale rumaka?

–Ja mogę to wyjaśnić, milordzie – wtrącił się Secoh. – Każdy, nawet najmłodszy członek naszego Smoczego Patrolu, może unieść piętnaście do szesnastu skrzatów.

Sam wiesz, że one niewiele ważą. Właściwie nie tyle ogranicza nas ich waga, ile fakt, że nie możemy pozwolić, by siedziały nam na skrzydłach i wszędzie. To byłoby nieprzyzwoite, Oczywiście potrzeba było bardzo wiele skrzatów, żeby przenieść wielkie bojowe zwierzę jergo do Malencontri.

–Ściśle mówiąc – wtrącił ostrym tonem Hob – wystarczy piętnaście skrzatów, aby za pomocą dymu przenieść wierzchowca szlachetnie urodzonego rycerza nad głowami goblinów i poza zasięgiem ich włóczni. Oczywiście jeden znający końską mowę skrzat musi najpierw porozmawiać z koniem i wyjaśnić mu sytuację, żeby rumak nie spłoszył się w powietrzu. Jednak wiele skrzatów zna końską mowę.

Z wyższością spojrział na Secoha, pokonawszy go znajomością takich słów jak „rycerz” i „rumak”.

–A jak... – Jim zwrócił się do Angie. – Czy mieliśmy tyle gołębi, żeby zawiadomić wszystkich sąsiadów?

–Milady i ja najpierw poleciliśmy na dymie do każdego z nich, a oni mówili nam, którzy z sąsiadów mogliby zechcieć...

–Pozwól, że lady Angela odpowie mi na to pytanie, Hobie.

–Tak, panie. Błagam o wybaczenie.

–Wybaczam. Jednak niech odpowiadają tylko ci, których pytam, inaczej w końcu wszyscy zaczniemy mówić jednocześnie... Co chciałaś powiedzieć, Angie?

–Och – powiedziała – poleciliśmy i rozmawialiśmy z każdym po kolei.

Wszyscy, nawet ci, którzy stracili wielu ludzi na skutek zarazy, bardzo chcieli przybyć, Wielu z nich straciło krewnych i teraz, kiedy są pewni, że to sprawka goblinów, wszyscy chcą się zemścić.

Jim doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że w tych czasach zemstę uważa się za obowiązek.

–Czy armie goblinów otaczają również ich zamki? Większość z tych zamków była w zasadzie jedynie warownymi rezydencjami i Jim oczami duszy już widział hordy goblinów zalewające całe hrabstwo Somerset.

–Nie – odparła Angie – ale wszyscy widzieli oddziały goblinów ciągnące na Malencontri. Wciąż przybywają nowe.

Jim w duchu powinszował sobie pomysłu przedstawienia księcia jako ich wodza, a siebie jako herolda jego rozkazów. Usprawiedliwione kłamstwo w słusznej sprawie. Nie będą spierać się z księciem, który nie tolerowałby takiego zuchwalstwa. Jim też nie zamierzał go znosić.

–No dobrze. Najpierw zapytam Secoha, Hobie, ponieważ on pewnie ma mniej do powiedzenia. Secohu, co robi teraz twój patrol?

–Obserwuje, milordzie. Malencontri jest oczywiście pilnowane we dnie i w nocy. Inni członkowie patrolu ustawicznie krążą nad Somerset, sprawdzając, co się dzieje. Milordzie, gdybyś nie miał nic przeciwko temu, to czy po rozpoczęciu działań bojowych członkowie naszego patrolu mogliby wziąć w nich udział...

–Czy chcesz powiedzieć, że matki pozwoliłyby tym sześćdziesięcioletnim smarkaczom wziąć udział w bitwie?

–Och nie, panie! – niespokojnie wiercił się Secoh. – Nie zniosłyby czegoś takiego!

Mówię o tym, że smoki mogłyby szybko przenosić rozkazy, bo sam wiesz, że latają znacznie szybciej niż skrzaty...

–Na dłuższych dystansach dym stopniowo przyspiesza, aż nikt nas nie prześcignie! – zawołał Hob.

–Hobie! – uciął Jim.

–Przepraszam, milordzie.

–Hmm... przenoszenie wieści lub zrzuty zaopatrzenia... być może. Secohu.

Zobaczmy.

–Dziękuję, milordzie.

–Zatem to wszystko, co masz mi do powiedzenia?

–Tak, panie. Oprócz tego, że nasze młode smoki są nieustraszone...

–Właśnie tego się obawiam – rzekł Jim. W swoim smoczym wcieleniu sam doświadczył tych nagłych przyływów euforii i wściekłości, które skłaniają smoka, by rzucił się w wir bitwy, nie zważając na to, co nakazuje zdrowy rozsądek. Kiedyś w wyniku tego rycerz przeszył kopią ciało Gorbasha – smoka, w którego wcielił się Jim, przybywając do tego świata.

–Nic więcej nie chcę słyszeć – powiedział – dopóki sam cię nie zapytam. Hobie, teraz mówię do ciebie. Czym zajmują się inne skrzaty, oprócz przenoszenia zbrojnych i ich wierzchowców oraz, jak mówiła mi Angie, opiekowania się chorymi i pomagania wszystkim ludziom w Malencontri?

–Och, milordzie, skrzaty lubią pomagać! To poprawia im humor. A co do innych spraw, to podsłuchujemy rozmowy otaczających nas goblinów, szczególnie nocami, ponieważ one boją się ognia i nie mogą nas dostrzec w ciemnościach, możemy więc podsłuchiwać, co planują. Ta niedobra kobieta, która zawsze towarzyszy krzykaczowi...

Jim wiedział, że skrzat mówi o Agacie Falon. O złośliwej przyrodniej siostrze małego Roberta, znacznie starszej od malca. „Krzykaczem” Hob zawsze nazywał lorda Cumberlanda.

–Sam Cumberland jeszcze się nie pokazał? – zapytał.

–Nie, panie. I gobliny chyba nic o nim nie wiedzą. Jednak niektóre z pomysłów, które podsuwa im ta kobieta, mogą pochodzić od niego, na przykład użycie drabin. Same nigdy by na to nie wpadły.

–Skrzaty naprawdę bardzo nam pomagają – powiedziała Angie. – Czy mówiłam ci, że każdy chory ma przy łóżku skrzata, który natychmiast spełnia jego prośby? Zaproponowały nawet, że zabiorą pacjentów na przejażdżki na smużkach dymu, żeby poprawić im samopoczucie. Kilku mężczyzn skorzystało z tej propozycji – chyba wyłącznie z brawury. W każdym razie polecili i wrócili oczarowani. Bardzo im się to podobało i tak zachęcająco o tym opowiadali, że kilkoro innych również dało się namówić. Sądzę, że to pomogło im zwalczyć chorobę. I wiesz, Jim, bo już ci o tym mówiłam, że kilka skrzatów próbuje zdobyć opium i fajki dla cierpiących.

–Dziękuję ci, pani. Czy mogę powiedzieć tym skrzatom, że twoim zdaniem pomogły chorym wyzdrowieć?

–Tak.

–Będą bardzo dumne i szczęśliwe!

–Dobrze – powiedział Jim. – Hobie, ty lepiej zostań tutaj i opowiedz mi o tym, czego twoi przyjaciele dowiedzieli się o planach goblinów. Pozostałym na razie dziękuję. Zaraz, chwileczkę, gdzie one chcą zdobyć fajki i opium? Carolinus sprowadził je dla mnie od kogoś z drugiego końca świata.

–Wiem, panie. Jednak niektóre skrzaty mieszkają z rodzinami, w których dziadkowie lub pradziadkowie brali udział w krucjatach i nauczyli się palić opium. W niektórych z tych rodzin zachował się ten zwyczaj, oczywiście utrzymywany w tajemnicy... Ci ludzie mają wielu znajomych na całym świecie, za pośrednictwem których otrzymują opium...

–Rozumiem – rzekł Jim. – To nie jest takie ważne, ale wszystko dzieje się tak szybko, że postanowiłem zapytać, dopóki nie wypadnie mi to z głowy. No cóż, zatem na razie zamknęliśmy sprawę skrzatów. Teraz sprawy dotyczące sir Briana i mistrza Dafydd.

Wypowiedziawszy te słowa, spojrzął na obu wymienionych i zauważył wyraźne niezadowolenie na twarzy Briana.

Rozdział 33

Jim dostatecznie długo znał Briana, by odgadnąć przyczynę niezadowolenia rzadko malującego się na twarzy rycerza.

–Bardzo przepraszam, sir Brianie – powiedział – może powinienem rozmawiać z każdym z was z osobna, ale uznałem, że wszyscy powinniśmy mieć jasny obraz sytuacji, ponieważ każdy z nas będzie wydawał rozkazy.

–Nie każdy, James – odparł Brian. – Jeśli jednak te wiadomości nie są poufne, to czemu nie mówić otwarcie... – Zawahał się nieznacznie, gdy jego spojrzenie padło na Hoba i Secoha. – Skoro tak, to czy mógłbym spytać, czemu nie zaprosiliśmy do udziału w tej naradzie sir Harimore'a?

–Sir Harimore – odparł Jim, starając się, by zabrzmiało to wiarygodnie i przekonująco – w tym momencie nie dowodzi żadnymi siłami. Później może się to zmienić. W tym momencie uważam, że będzie wykonywał twoje rozkazy, podobnie jak inni rycerze spośród naszych sąsiadów i ci od earla Somerset, jeśli tu przybędą.

–Będzie mi trudno – rzekł ponuro Brian – przekazać tę wieść sir Harimore'owi. Uważam go za równego sobie.

–Zatem może ja mu o tym powiem? – zaproponował Jim.

–Nie, James – odparł Brian, opuścił skrzyżowane na piersiach ramiona i nagle złagodniał. – Lepiej, żeby usłyszał to ode mnie. Jest szlachcicem, którego darzę szacunkiem, choć nie jest moim bliskim przyjacielem.

–Cóż, dziękuję, Brianie. Prawdę mówiąc, niechętnie bym to zrobił. On wie, jak słabo znam się na wojennym rzemiośle.

Brian i Dafydd taktownie zignorowali tę ostatnią uwagę.

–Ha – rzekł Brian. – A teraz czy mogę spytać, dlaczego nie ma wśród nas księcia Edwarda, jeśli ma być naszym wodzem?

–On przewyższa nas wszystkich pozycją i urodzeniem. W istocie ty, ja i mistrz łucznictwa Hywel będziemy z nim w stałym kontakcie, co wyjaśnię wam później, może wtedy, kiedy nasi przyjaciele nas opuszczą...

Hob i Secoh błyskawicznie pojęli aluzję Jima. Prawdę mówiąc, obaj wyglądali na lekko przestraszonych (choć w wypadku Secoha było to widoczne tylko dla Smoczego Rycerza) tym, co wyglądało na początek kłótni między Brianem a Jimem. Coś takiego jeszcze nigdy się nie zdarzyło.

Hob przemówił pierwszy, a Secoh szybko mu zawtórował.

–Jeśli panowie wybaczą... – rzekł skrzat.

–Te młode smoki – zawarczał Secoh. – Nie wiadomo, co nabroją, jeśli ich nie przypilnuję. Jeśli panowie wybaczą, ja również się oddalę.

Pospiesznie wlał sobie resztę wina do gardzieli i podniósł się.

–Idźcie z Bogiem – powiedział życzliwie Brian, być może – jak pomyślał Jim – już żałując swych wcześniejszych ostrych słów. Zarówno naturalny, jak i smok zawahali się, a potem, najwidoczniej uznawszy, że wypowiedź Briana nie ma żadnych ukrytych podtekstów, opuścili komnatę. Hob znikł w głębi kominka, a Secoh wyszedł przez drzwi. W chwilę później usłyszeli, jak przeklina wąskie schody, przeciskając się na dach wieży.

–Zacne stworzenia – rzekł Brian, spoglądając na drzwi, za którymi znikł Secoh. Potem dorzucił raźniej: – A teraz, James, wyjaśnij, o co chodzi z młodym Edwardem i z nami... a także z królem, chociaż jeśli on zechce wziąć udział w bitwie, co niech Bóg broni, w jego wieku i w jego... stanie.

–Wspomniałem o królu wyłącznie jako o osobie mogącej ewentualnie udzielać nam rad, Brianie – odparł Jim. – Co do księcia, to odbyłem z nim krótką rozmowę. Nie będę wdawał się w szczegóły, po prostu powiedziałem mu, że choć jest nie tylko pożądane, ale i konieczne, by został naszym wodzem, to swe dotychczasowe sukcesy osiągnął dzięki pomocy takich ludzi jak Chandos i takiej samej pomocy będzie potrzebował teraz z naszej strony. W rezultacie uzgodniłem z nim, że będzie dowodził tylko formalnie – o czym, rzecz jasna, nigdy nie powinniście wspominać. Nie chciałby, żeby wszyscy się dowiedzieli, że dowodzi tylko pozornie, a w rzeczywistości wszystkim kierujemy my trzej.

–Ach – odetchnął Brian.

–Słucham tego z ulgą – rzekł Dafydd. – Sądzę, że on niewiele wie o łucznicach, nie mówiąc już o sztuce łuczniczej.

–Ja też tak podejrzewam – powiedział Jim. – A skoro o tym mowa, Dafyddzie, to ilu mamy łuczników?

–Nie licząc mojej drogiej małżonki i mnie, siedmiu, w tym czterech chorych, a trzech zdolnych do walki. Na szczęście to sami dobrzy Walińczycy, łucznicy, jakich rzadko spotyka się tak daleko od pogranicza.

–Trzech! – wykrzyknął Brian, nie zważając na uwagę o pochodzeniu łuczników.

–Dobrze o tobie świadczy, Brianie – powiedział Dafydd – to, że jak mało który z angielskich rycerzy zdajesz sobie sprawę z wartości wyszkolonych łuczników w takich sytuacjach jak ta. Chciałem powiedzieć, że skoro smok bez trudu może przenieść rycerza w pełnej zbroi, a dwa skrzaty też potrafią to zrobić, to może któryś z tych smoków mógłby zanieść mnie i parę skrzatów do znanych mi łuczników przebywających w pobliżu, którzy mogliby zechcieć przyłączyć się do nas, gdyż służąc na Wschodzie, stracili bliskich w wyniku zarazy przywleczonej przez gobliny? Jeden czy dwa skrzaty mogłyby przenosić ich tu, podczas gdy ja poleciałbym na smoku do następnych.

–Dobry pomysł – stwierdził Jim. – Sądzę jednak, że będzie lepiej, jeśli skorzystasz tylko z pomocy skrzatów. Dym nabiera prędkości na większych dystansach. Smok, nawet młody, szybko się zmęczy.

–Doskonale. – Dafydd podniósł się z miejsca. – Wyruszę natychmiast, gdyż czas nagli.

–Hobie! – zawołał Jim, zwracając się w stronę kominka. Hob pojawił się w sekundę później. – Mistrz łucznictwa Dafydd potrzebuje paru skrzatów. Wyjaśni ci w jakim celu.

–Tak, panie. Jeśli podejdziesz do kominka, milordzie Dafyddzie...

–Nic jestem lordem, Hobie, jak już ci mówiłem...

Dafydd, który mówiąc to, podchodził do kominka, został wciągnięty weń, zanim jeszcze skończył mówić, i Jim po raz pierwszy dostrzegł zdumienie na twarzy

łuczniaka.

–A teraz – powiedział Jim, zwracając się do Briana – jeśli chodzi o dowodzenie rycerzami i pieszymi...

–Jeśli mi wybaczycie – powiedziała Angie – teraz was opuszczę. Nie jestem tu potrzebna, natomiast potrzebują mnie w wielu miejscach zamku, poczynając od izby chorych.

–Daj mi znać, czy skrzaty rzeczywiście zdobyły opium! – zawołał do niej Jim, kiedy zamykała za sobą drzwi. Znów odwrócił się do Briana, który dolał sobie wina i starannie odmierzył do kielicha trzy krople wody. – A przy okazji, Brianie, jak się ma Geronde? Od kiedy zachorowałem, prawie jej nie widziałem.

–Dzięki Bogu, ominęła ją zaraza – odparł Brian i upił łyk wina. – Wiesz co, James, ona może mieć rację, że powinienem przywyknąć do picia wina z wodą. Nie jest takie złe. Chciała pomagać w izbie chorych, zanim zaroziło się tu od skrzatów. Zabroniłem jej. Spierała się oczywiście, ale w końcu ustąpiła – choć raz. Jednak zazwyczaj ma mnóstwo zajęć, więc beczynność okrutnie ją męczy. Chciałbym coś dla niej zrobić.

–Zatem nie pobraliście się, kiedy leżałem chory?

–James, jak na wszystkich cierpliwych świętych mogliśmy wziąć ślub w tym zamieszaniu?

–Pomyślałem, że może po tym, jak Carolinus przeniósł nas tutaj, a ja leżałem nieprzytomny...

–A sąsiedzi mieli problemy z zarazą i nie mogli przedrzeć się tu przez pierścień goblinów...

–No tak – mruknął Jim. – Oczywiście. Rozumiem. Musi być bardzo rozczarowana tak długą zwłoką. Czy jest bardzo nieszczęśliwa?

–Kiedy Geronde jest nieszczęśliwa, robi się zła – bardzo zła – i zaczyna pracować jak szalona. Ponadto zamartwia się o rozmaite nieistotne rzeczy. Na przykład wczoraj zapytała mnie, czy sądzę, że podczas naszych zaślubin – kiedy Bóg łaskawie na nie zezwoli – ludzie nie będą gapić się na tę bliznę, którą pozostawił jej przeklęty sir Hugh de Bois. Jak taki łotr może chodzić po ziemi, nawet między takimi nędznikami, wśród których znaleźliśmy go w Liones? Następnym razem to ja się z nim zmierzę.

–Nie było innego wyjścia. Wtedy ja musiałem z nim walczyć – odparł łagodnie Jim. – I pamiętasz, że to było dawno temu.

–Och tak, James, wiem. Tylko daję upust zadawnionej złości, ale mimo wszystko...

Rozległ się głośny trzask i kryształowy puchar króla, pozostawiony przez monarchę, gdy ten dobrowolnie zwolnił komnatę Jima i Angie, przenosząc się do innej, trzypokojowej kwatery piętro niżej, skruszył się w garści Briana.

–A niech to szlag! – zaklął mocno poirytowany rycerz.

–Nic nie szkodzi. Skaleczyłeś się? – spytał Jim, zerwawszy się na równe nogi.

–Nie, nie. To tylko kilka zadrapań. Nie zwracaj na mnie uwagi! – rzucił gniewnie Brian, krwawiąc z pół tuzina ran dłoni. – Jeśli tylko dasz mi obrus albo coś do owinięcia... – Jim dyskretnie zasklepił rany. – Ach, dobrze. Dziękuję ci, James, chociaż to nie było konieczne.

–Nalej sobie drugi puchar – rzekł dyplomatycznie Jim, za pomocą magii wycierając stół i podłogę. – A teraz wróćmy do siły bojowej naszych sąsiadów.

–Och, poradzą sobie, jeśli każę im uderzyć w szeregu i równo trzymać kopie. Poza tym czego można oczekiwać? Giermkowie nie umieją walczyć, a ich panowie w najlepszym razie brali udział w kilku potyczkach przed laty i zdążyli już zapomnieć wszystko, co umieli. Mimo to będą walczyć zaciekle. Mieszkańcy Somerset zawsze przykładają się do tego, do czego się wezmą. Na szczęście wszyscy mnie znają i nie będą się ze mną spierać.

–A piechurzy? – spytał Jim. – Mówię o pieszych kopijnikach, gdyż jako takich zamierzamy wykorzystać moich poddanych i dzierżawców.

–Nie mam pojęcia – rzekł Brian. – Czy utrzymają szyk, jeśli dostaną taki rozkaz?

–Co? – Jim ze zdziwienia rozlał swoje wino. – A czemu nie?

–A skąd mam to wiedzieć, James? To twoi ludzie. Oczywiście pospólstwo, lecz zazwyczaj i pospólstwu nie brak odwagi. Nie przychodzi mi do głowy żaden powód, z którego mieliby stchórzyć, ale trochę mnie to niepokoi. Wszystkie stworzenia takie jak gobliny jawią się pospólstwu jako obdarzone magicznymi zdolnościami, co wielu może przerazić. Sądzę jednak, że jako ludzie doskonale znający teren i niewątpliwie co do jednego kłusownicy, w razie potrzeby...

–Miejmy nadzieję. Och, Hobie! – Skrzat pojawił się ponownie, był sam. – Co do poddanych i dzierżawców, którzy wciąż są w domach...

–Tak, milordzie? – powiedział skrzat. – Mistrz łucznictwa i ja rozmawialiśmy o nich. Będą nam potrzebni. Skrzat z Tiverton już wyruszył do nich wraz z trzydziestoma innymi skrzatami, aby sprowadzić tutaj tych, którzy pozostali jeszcze w domach. Przejazdka na smużce dymu powinna ich przekonać, że magia jest po naszej stronie.

–Dobrze. Zatem na razie zostawmy tę sprawę. Zastanawiam się tylko, dlaczego nie przybyli tu wcześniej?

–Za bardzo obawiali się złych czarów goblinów.

–Czy ci ludzie nie zdają sobie sprawy z tego, jakie niebezpieczeństwo grozi im w chatkach z gliny i gałęzi? Przecież gobliny w każdej chwili mogą wdrzeć się do środka i pożreć ich. Hobie, czyż nie mówiłeś mi, że one jedzą wszystko – nawet siebie nawzajem?

–Och nie, milordzie, wybac. Dzierżawcy i wielu ludzi uważa, że gobliny posiadają straszliwą magię, o jakiej nikt nigdy nie słyszał, ale znają sposób, żeby jej się oprzeć. Wszyscy namalowali krzyże na swoich drzwiach.

–I myślą, że dzięki temu są bezpieczni?

–Przecież tak jest, panie.

–Bardzo bym się zdziwił, gdyby było inaczej! – wykrzyknął Brian.

Jim zrezygnował z dalszego omawiania tematu. W duchu zaś gryzł palce. Powinien być jakiś magiczny sposób, żeby przenieść ich tu wszystkich, jeśli skrzatom się to nie uda. Szukał go, ale nic nie wymyślił, a pospieszne wertowanie w myślach opasłego tomiszcza *Encyclopédie Necromantic*, które Carolinus kazał mu połknąć przed laty, też nie dało żadnych rezultatów. Przygryzł wargę – tym razem jak

najbardziej realnie.

–Hmm... Carolinusie? – zawołał nieśmiało. – Przykro mi cię odrywać...

–Od czego? – spytał Carolinus, nagle pojawiając się na krześle naprzeciwko. – Mam jeszcze tylko porozmawiać z kilkoma nimfami i świerszczami, które długo czekały na mój powrót.

–Moi poddani obawiają się opuszczenia swoich domów, a my potrzebujemy tych ludzi jako łuczników i kopijników wspierających załogę zamku. Przeniesienie tu jednego po drugim byłoby dla mnie sporym zużyciem magii, a ponadto nie mam teraz na to czasu. Hob z kilkoma skrzatami próbuje przenieść ich tutaj, ale czy oni zechcą tu przybyć? Nie przychodzi mi do głowy żadne inne rozwiązanie; Gdybyś tym razem mógł mi podpowiedzieć...

–Nigdy nie podpowiadam. Dobrze wiesz, że w takich wypadkach sam musisz znaleźć rozwiązanie – powiedział Carolinus. – Sądzę, że możemy ufać, że skrzaty przeniosą ich tutaj. Na szczęście, dysponujesz niemal niezliczoną rzeszą skrzatów... Wszystkie najlepsze skrzaty z całej Anglii... Mimo to takie przedsięwzięcie zajmie im sporo czasu, a ponadto będą musiały lądować na ziemi, gdzie mogą dopaść je gobliny... No dobrze, tym razem zrobię to dla ciebie – już, gotowe. Poddani i dzierżawcy tłoczą się na twoim dziedzińcu, który i tak był już pełen. Niech to będzie dla ciebie nauczką.

–Nie wiem, jak ci dziękować, magu. Po prostu mamy tak mało czasu i potrzebujemy całej magii, jaką możemy...

–Nie dziękuj mi. Muszę powiedzieć, że to nie uchodzi praktykantowi, który wkrótce może zostać członkiem Zgromadzenia Magów.

–Wiem...

–Magu – odezwał się niespodziewanie Brian. – Zawsze chciałem cię o coś spytać. Jeśli znak krzyża nie pozwala goblinom wejść do chat, to czemu nie namalujemy jednego wielkiego krzyża na bramie zamku i nie zaczekamy w środku, aż cała ich armia wymrze na deszczu i śniegu?

Rozdział 34

Carolinus wytrzeszczył oczy.

–Masz w sobie pewne zadatki na maga, Brianie – rzekł w końcu. – Mimo to nie chciałbym mieć cię za praktykanta.

–Jestem rycerzem – odparł nieco nastroszony Brian. – Wcale nie pragnę być magiem. Wybacz mi, magu, ale nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

Jim też to zauważył. On również gapił się na Briana. Dlaczego nie wpadł na pomysł, aby ochronić Malencontri znakiem krzyża? Odpowiedź natychmiast podsunął mu instynkt, który w sprawach związanych z magią coraz częściej podpowiadał mu właściwe rozwiązania. Nie wiadomo czemu był pewien, że to nie obroniłoby zamku. Nie miał zielonego pojęcia dlaczego. Na szczęście Brian zapytał o to Carolinusa, a nie jego. Na co czekał stary mag'?

Na to pytanie także szybko znalazł odpowiedź. Zrozumiał, dlaczego Brian zadał to pytanie Carolinusowi. Była to reakcja wiernego przyjaciela na krytyczne słowa maga, skierowane do Jima. Zareagował na to, zadając Carolinusowi pytanie, które mogło okazać się bardzo trudne, a nawet kłopotliwe, gdyby mag nie znalazł na nie odpowiedzi. A w końcu Carolinus nie był wszechwiedzący. Brian rzucił śmiało wyzwanie jednemu z największych, jeśli nie największemu z magów na świecie...

Brian był uosobieniem dworności i kurtuazji, ale nie znał strachu. Jim wstrzymał oddech, czekając na odpowiedź Carolinusa.

–Brianie – rzekł mag. – Spróbuję wyjaśnić ci to w prostych słowach. Załóżmy, że zostałeś wysłany z pokojową misją jako poseł mający zawieźć wiadomość potężnemu nieprzyjacielowi, który rozbił obóz na twoich przedpolach. Zanim wyruszysz, z pewnością zostawisz wszelaką broń, Mam rację?

–Tak, magu.

–Bardzo dobrze. Zatem pojedziesz z wiadomością i wrócisz bezpiecznie, ponieważ pokojowa flaga chroni cię przed napaścią. Czyż nie?

–Tak.

–A teraz pomyśl, że wyruszasz z Malencontri, usiłując zanieść wrogowi wieści pod taką flagą. Załóżmy, że upuszczasz ją w połowie drogi. Czy nieprzyjaciel uzna wówczas, że nadal ją masz, i uszanuje twoją nietykalność?

–Nie, magu – odparł szczerze zdziwiony Brian, – Obawiałby się, że to jakiś podstęp i moi sojusznicy mogą zaatakować, kiedy będziemy paktować.

–No dobrze. Teraz pomyśl o magii. My, ludzie, a także naturalni i wszystkie znane nam istoty podlegamy działaniu magii. Dzieje się tak dlatego, że i my, i oni, sami posługujemy się magią dla osiągnięcia własnych celów, przy czym ludzie robią to świadomie, a naturalni instynktownie. Jednak zwierzęta, drzewa, pogoda, choroby oraz mnóstwo innych rzeczy nie ulegają magii ludzi czy naturalnych. Są niewinne. Tak więc dla nich magia nie istnieje, a posługujący się nią nie mogą użyć jej przeciwko nim – jeśli tylko oni uważają, że magia nie istnieje. Oto co my, ludzie, nazywamy Wiarą. Czy rozumiesz już, do czego zmierzam?

–Nie... tak, magu – odparł Brian. – Chcesz powiedzieć, że krzyż na drzwiach powstrzyma gobliny, ale tylko wtedy, jeśli w domu nie ma maga.

–Słuszniej byłoby powiedzieć „użytkownika magii” – poprawił go Carolinus.

–Przecież Malencontri nie jest... zamek nic może posługiwać się magią.

–Robi to James, a ponieważ zamek jest jego własnością i domem, krzyż nie powstrzyma goblinów, nawet gdyby czasowo wyjechał. Zarówno my obaj, jak i gobliny, posługujemy się magią. Dla nas nie ma pokojowej flagi. Możemy wykorzystywać magię, aby obserwować się nawzajem, podobnie jak troll może oświetlać nas swym magicznym światłem, a my możemy bronić się przed nim magią, jeśli... – Carolinus posłał kose spojrzenie Jimowi -... wiemy, jak to zrobić. Teraz już rozumiesz, Brianie?

–Tak, magu.

–Zatem myśl o tym w taki sposób i zachowaj to w pamięci. My używamy magii. Ci, którzy tego nie robią, są niewinni. Nie korzystają z niej, a więc ona nie może ich dotknąć. Tymczasem my zrezygnowaliśmy z naszej niewinności dla mocy, a teraz ta moc może zostać użyta przeciwko nam.

Powiedziawszy to, stary mag zniknął. Jego słowa mocno wryły się Jimowi w pamięć. Nie wątpił, że Brian, ze swą wyćwiczoną z konieczności pamięcią, zachowa je w niej na zawsze.

–Cóż, James – rzekł Brian. – Przysięgam, że wyjaśniając bardzo prostą sprawę, użyto tu więcej słów, niż słyszałem od śmierci mojego dziadka. Mimo to sądzę, że jestem teraz mądrzejszy, podobnie jak po niektórych wywodach mojego dziada. Czy zgadzasz się z magiem?

–Oczywiście – odparł Jim. – On wie o wiele więcej niż ja. Cieszę się, że zapytałeś jego, a nie mnie. Ja nie umiałbym ci tego tak dobrze wyjaśnić.

–Tak twierdzisz? – Brian popatrzył na niego z zaciekawieniem, jakby zdumiony tym, że jest coś związanego z magią, czego Jim nie wie. – Przyszło mi to do głowy dopiero w jego obecności.

W każdym razie musimy zająć się teraz tymi, z których trzeba uczynić piechurów... Wróćmy do naszych planów. Zejdiesz ze mną na dół, żeby obejrzeć tych ludzi?

–Chciałbym – powiedział Jim – ale sądzę, że powinienem najpierw zobaczyć się z księciem i powiedzieć mu, co tutaj postanowiliśmy, żeby się nie czuł ubezwłasnowolniony przez ciebie, Dafydd i mnie. Wyżywieniem i zakwaterowaniem tych ludzi zajmie się Angie, która wyda odpowiednie polecenia służbie. Z nią też powinienem porozmawiać.

–Doskonale – rzekł Brian. – Powiem ci, co sądzę o tym pospolitym ruszeniu, kiedy przyjrzę się tym ludziom.

Pozostawiwszy nie dopity kielich wina, wyszedł z komnaty. Jim pomyślał o Angie i w magiczny sposób przeniósł się do niej.

Znalazł się obok niej na podwyższeniu, na którym stało jego łóżko, kiedy leżał w izbie chorych. Najwyraźniej spierała się z May Heather, która obstawała przy czymś, co często jej się zdarzało.

–...przecież skrzaty mają całkowitą rację! – mówiła do May. – Nie mogą zarazić się od chorych, podczas gdy ty możesz. To cud, że jeszcze do tego nie doszło... Och,

Jim! Powinam już się przyzwycząić do tego, że zjawiasz się tak niespodziewanie, ale nie mogę. May, panna Plyseth potrzebuje cię w gotowalni. Artretyzm naprawdę jej dokucza.

–Jeśli Bóg zechciał zesłać na nią artretyzm, pani, to powinna to znosić, tak jak my wszyscy godzimy się z jego wyrokami. Ktoś musi dopilnować tu wszystkiego. Nie powiem złego słowa o skrzatach. To dobre stworzenia, ale ktoś musi nimi pokierować, inaczej może się stać coś strasznego.

Czas był zbyt drogi, żeby marnować go na jałowe spory. Jim wtrącił się.

–Teraz to nieistotne – powiedział. – Wszyscy nasi poddani znaleźli się w zamku, ponieważ wykorzystamy ich jako piechurów w walce z goblinami. Trzeba ich nakarmić i zakwaterować.

–Dziedzinię! – jęknęła Angie. – I tak był już zapchany ludźmi i wierzchowcami, a teraz już sama nie wiem, gdzie pomieścimy tyle osób. Ilu ich tam jest?

–Powinnaś wiedzieć lepiej ode mnie – odrzekł Jim. – To ty prowadzisz księgi robotników rolnych i leśnych. Są też ich rodziny. Może dwustu?

–Dwustu! – wykrzyknęła May. – Gdzie my ich pomieścimy? A fosa już jest zapchana ogryzionymi gnatami i gó... różnościami, milordzie! W półtora miesiąca przejemy całe zapasy żywności. Jak potem przetrwamy zimę?

–Jeszcze nie wiem – odparł Jim. – W każdym razie ten problem z goblinami trzeba rozwiązać znacznie wcześniej. Teraz zaś należy zająć się przybyłymi. May, to rozkaz. Jesteś potrzebna, aby nakarmić ich i zakwaterować. Zostaw izbę chorych skrzatom. Ja mam mnóstwo spraw do załatwienia – najpierw muszę zobaczyć się z księciem i jakoś go ugłaskać – a wy też macie pełne ręce roboty. Sprawdźcie, jak zajęto się tymi, którzy przybyli, a potem zdajcie mi z tego sprawę!

–Ja to zrobię – powiedziała stanowczo Angie.

–Nie, nie, pani! Ja się tym zajmę. Potrafię to zrobić. Błagam o wybaczenie, milordzie.

–Cóż – mruknął Jim, zmieszany swoim gwałtownym wybuchem, lecz starając się tego nie okazywać. – Muszę już iść. Żegnam.

Przecież nie jestem Carolinusem, żeby pojawiać się i znikać bez pożegnania, powiedział sobie. Odruchowo przeniósł się do kwatery księcia. W sekundę później uświadomił sobie, że powinien był przenieść się pod drzwi jego komnaty, żeby uprzejmie zapukać i poczekać na zaproszenie. Na szczęście okazało się, że książę był w swoim pokoju. On i Joanna, ubrani w eleganckie stroje, siedzieli na krzesłach z twardymi oparciami, zajęci rozmową.

–Wybaczcie mi, wasza miłość, hrabino – powiedział pospiesznie Jim. – Zamierzałem stanąć pod waszymi drzwiami. Jesteśmy jednak tak zajęci przygotowaniami do bitwy z goblinami, że zapomniałem najpierw zapukać.

Spojrzeli na niego z łagodnym zdziwieniem. Zapomniał, że ludzie średniowiecza niewiele przejmują się niespodziewanym przybyciem gości przeszkadzających im w ich codziennych zajęciach, nawet takich, które w dwudziestowiecznym świecie Jima uważano za bardzo intymne. Ponadto był ich gospodarzem i jako właściciel zamku miał prawo wchodzić, gdzie i kiedy chciał.

–Czy mogę się do czegoś przydać? – zapyłała Joanna, natychmiast wstając z krzesła.

–Jak najbardziej, jeśli tylko chcesz, pani. Angie przed chwilą była na parterze. Zapewne znajdziesz ją tam. Zapytaj służbę, gdybyś miała z tym kłopot.

Joanna pospiesznie wyszła z komnaty.

–Wina, James? – spytał lekko przygnębiony książę, wskazując mu opuszczone przez hrabinę krzesło.

–Dziękuję, wasza miłość – powiedział Jim. Nie miał ochoty na wino, ale uprzejmość nie pozwalała mu odmówić. Usiadł. – Przybyłem zdać raport o postępach przygotowań do natarcia.

Nalewający wino książę zawahał się, ale tylko przez moment. Natychmiast się rozpogodził.

–To dobra wiadomość!

–Błagam o wybaczenie, że nie przyszedłem wcześniej...

–Nic, nic – zaprotestował książę, machając ręką, w której trzymał kielich. – Przyznaję, że nie byłem szczególnie rad z naszej ostatniej rozmowy, podczas której powiedziałaś mi bez ogródek, że mam robić tylko to, co mi doradzicie, i w rezultacie być tylko tytularnym dowódcą. Od tego czasu jednak przeprowadziłem kilka długich rozmów z lady Joanną i teraz patrzę na to znacznie rozsądniej. W końcu.

–Nie chciałem...

–Ależ tak. Chciałeś wbić mi do głowy trochę rozumu, a jak już wspomniałem, Joanna w przeszłości robiła to wielokrotnie. Kimże bowiem jestem, aby dowodzić tak znamienitymi paladynami i wielkimi wojownikami jak ty, sir Brian i ten szlachetny Day... Daf...

–Dafydd – podpowiedział łagodnie Jim. Książę jeszcze raz pokazał swoje nowe oblicze, stając się, przynajmniej chwilowo, całkiem inną i znacznie miłszą osobą, co zapewne było jednym z powodów tego, że Joanna tak go kochała. – Skoro o nim mowa – dodał Jim – to być może, kiedy poznasz go lepiej, przekonasz się, iż w pełni zasługuje na taki rodzaj szacunku, o jakim mówiłem. Jednak pragnie, aby jego tożsamość pozostała tajemnicą. Brian i ja jesteśmy jedynymi, którzy ją znają. Nigdy nie wyjawilem tego sekretu nikomu prócz ciebie.

–Ja także tego nie zrobię – odparł stanowczo książę. – Daję na to słowo, słowo rycerza, które jest więcej warte niż obietnica księcia. Obaj możecie być tego pewni. Domyślam się, że on jest władcą jakiejś obcej krainy?

–Wybacz, wasza miłość – odparł Jim. – Nic więcej nie mogę powiedzieć.

–Oczywiście, oczywiście – rzeki pospiesznie książę, ale znów miał melancholijną minę. – Przez chwilę sądziłem, że akceptujecie mnie jako... ale masz całkowitą rację i słusznie powiedziałaś mi to wszystko. Chętnie zostanę waszym dowódcą i dam sobą kierować tym, którzy znają się na rzeczy. Jak już powiedziałem, Joanna... ale i ona miała rację. Rzadko bywam przyjemnym kompanem, ale obiecuję ci, tak jak obiecałem to jej, że od dziś postaram się być człowiekiem i rycerzem, który – ufając swym umiejętnościom posługiwania się bronią – zawsze uprzejmie traktuje innych.

–Oto słowa prawdziwego rycerza i księcia! – rzekł Jim, nadszpiewanie

poruszony słowami młodzieńca. Edward stanowił przedziwne połączenie dumnego autokraty i idealisty, posiadającego niezwykle – u człowieka z jego czasów – wrażliwe sumienie.

–Dziękuję ci za te słowa, James. Czy zawiadomisz mnie, gdy tylko opracujecie plan działania?

–Daję ci na to słowo, wasza miłość – odparł Jim. – Czy jednak nie zechciałbyś przyłączyć się do nas, kiedy zasiądziemy, by obmyślać plan bitwy z goblinami?

–Ha! – zakrzyknął książę z roziskrzonym wzrokiem.

–A zatem zawiadomię cię o terminie narady. Niemal na pewno spotkamy się w słonecznej komnacie. Jednak nie powinieneś się dziwić, jeśli za pomocą magii sprowadzę tam na chwilę inne osoby.

–Może będę zdziwiony, James, ale nie będę się sprzeciwiał.

–Doskonale – rzekł Jim. – A teraz, jeśli wybaczysz, wzywają mnie inne ważne sprawy.

–Błagam, James, nie pozwól, by uprzejmość wobec mnie przeszkadzała ci w pełnieniu obowiązków. Lepiej ode mnie wiesz, co należy robić. Żegnaj do następnego spotkania.

–Żegnaj – powiedział Jim i przeniósł się do słonecznej komnaty. Zastał tam Angie siedzącą przy biurku.

–Myślałem, że będziesz jeszcze zajęta na dole – powiedział. – Chyba nie zajmujesz się w takiej chwili księgowością zamku? Czy Joanna cię znalazła?

–Tak, chociaż wtedy już niewiele zostało do zrobienia. Nie zajmuję się rachunkami. Próbuję tylko ustalić na podstawie moich ksiąg, czy May miała rację, twierdząc, że do wiosny pozostało nam żywności na półtora miesiąca. Gdzie byłeś?

–Rozmawiałem z księciem. Wiesz co? Myślę, że powinien wziąć udział w naszych naradach, podczas których z Brianem, Dafyddem i innymi przygotowujemy plan bitwy. Wciąż się dziwię, że wróciłaś tu tak szybko. Myślałem, że będziesz zajęta, razem z May kwaterując nowo przybyłych.

–Och, May doskonale sobie z tym poradzi. To zabawne. Formalnie wciąż jest tylko uczennicą Plyseth, ale reszta służby wykonuje jej polecenia. Oczywiście nie wątpię, że bez wahania rąbnęłyby w łeb nawet największego z naszych zbrojnych, gdyby próbował się z nią spierać. To twarda mała diablica. Będziemy musieli na nią uważać. Jeszcze trochę, a spróbuje rozkazywać nam.

–Nie ma obawy – rzekł Jim. – Jesteś dla niej wzorem. Podziwia cię i uważa, że nigdy nie zdoła ci w niczym dorównać.

–Miejmy nadzieję – odparła Angie. – Wolelibyśmy, żeby to jej nie przeszło – dla dobra wszystkich. Czy widziałeś Carolinusa? Pojawił się tutaj, ale powiedział, że chce porozmawiać z tobą w cztery oczy, i zaraz znikł. Zapowiedział, że wróci...

–I wrócił – rzucił Carolinus, pojawiając się przed nimi. – Jesteś, James! Czy zdajesz sobie sprawę z tego, że magia pozostawia ślad, kiedy przenosisz się za jej pomocą? Uganiam się za tobą po całym Malencontri!

–Przykro mi – mruknął Jim. – Nie wiedziałem. Ja również chciałem się z tobą zobaczyć.

–To oczywiście. Niestety, mam dla ciebie złe wieści. Rozmawiałem z naszym earlem Somerset o przysłaniu ci z pomocą rycerzy oraz zbrojnych...

–Chcesz powiedzieć, że odmówił?! – wybuchnął Jim. – To jego hrabstwo! Malencontri jest królewskim lennem, ale większość naszych sąsiadów to jego lennicy. Hrabstwo należy do niego. Ma obowiązek go bronić – a w tym zamku sam król jest w niebezpieczeństwie!

–Może pozwolisz mi dokończyć? – spytał Carolinus.

–Mów dalej – powiedział Jim już nieco spokojniejszy, ale wciąż zjeżony.

–Dwa dni temu rozmawiałem z nim w sprawie pomocy dla was. To mój stary przyjaciel. Ufam mu. Powiedział, że osobiście dałby sobie uciąć prawą rękę, żeby wziąć w tym udział, i sądzi, że to samo można rzec o jego rycerzach i zbrojnych...

–Zatem... – zaczął Jim.

–Jednak powiedział mi też, że potrzebuje czasu, żeby zmienić nastawienie swoich poddanych. Szczęśliwy zbieg okoliczności bowiem sprawił, że zaraza całkowicie ominęła jego włości i zamek.

Jego poddani uważają, że zostali wybrani przez Boga, żeby przetrwać, i rzuciliby wyzwanie Najwyższemu, gdyby posłali kogoś cudem ocalonego tam, gdzie może zginąć – a earl sądzi, że być może mają rację. Z pewnością są wdzięczni za ocalenie i nie zamierzają lekkomyślnie narażać się na gniew Boga. Earl przeżegnał się przy tych słowach – dodał Carolinus.

Jim otworzył usta i zamknął je. Nie wiedział, co powiedzieć.

–W każdym razie – dokończył Carolinus – jest mu przykro. Na pewno to rozumiesz. Pan, a nawet earl może niemal zawsze robić, co chce, lecz kiedy jego poddani wbiją sobie coś do głów, nic nie można na to poradzić. Musiałeś zetknąć się już z takimi przypadkami.

I owszem. Jimowi przeszedł gniew.

–Liczyłem na to, że jego konni, w większości doświadczeni żołnierze, zmienią tłum naszych sąsiadów w zdyscyplinowany oddział,

–No cóż – powiedział Carolinus znacznie uprzejmiej niż zwykle. – Nie ma sensu się złościć... rozpacz nad wylanym mlekiem i tak dalej. Wciąż jestem z tobą i rozmawiałem już ze Zgromadzeniem. Mieli kilka zastrzeżeń, ale poradziłem sobie z tym. Każdy z członków użyje tyle magii, ile będzie potrzeba, aby uratować króla – ale tylko w tym celu. Ja mogę udzielić ci wszelkiej magicznej pomocy, jakiej potrzebujesz.

–Dzięki Bogu choć za to! – mruknął Jim.

–KinetetE też z radością pomoże.

–Jeszcze lepiej! – powiedział Jim trochę weselszym głosem. – Zapewne im szybciej zwołamy naradę wojenną, tym lepiej. Tymczasem skrzaty powinny sprowadzić kilku łuczników Dafydda.

–Dobrze – przytaknął Carolinus. – Muszę powiedzieć KinetetE, jak się przedstawia sytuacja.

Znikł.

Rozdział 35

–Powinni pojawić się lada chwila – stwierdziła Angie. Dochodziła dziesiąta następnego dnia. Był pogodny ranek. – Nawiasem mówiąc, czy wyglądałeś już dzisiaj przez okno?

–Nie – odparł Jim.

–Tak myślałam. Czekałam, jak zareagujesz. Popatrz.

Jim wstał z krzesła, podszedł do najbliższego okna, z którego widać było głównie dachy niższych budynków i dziedziniec.

–Co robią wszystkie te skrzaty na dachach? – zapytał. – Czy ktoś je tam wygonił?

–Przyjrzyj się dokładniej. To nie są te skrzaty, które były tu od początku. W nocy przyleciało ich dwa razy tyle. Siedzą w każdym wolnym miejscu, starając się nikomu nie przeszkadzać.

–Na wszystkie dzwony piekieł! – wykrzyknął poruszony Jim.

–Czemu tak mówisz?

–Ponieważ – odparł, prawie zgrzytając zębami – mówiąc między nami, nie mam pojęcia, co z nimi począć. Jeśli poślę je do walki, będzie rzeź.

–Skąd wiesz? Pewnie zachowały trochę goblinich odruchów. Może okażą się skuteczniejsze, niż przypuszczasz.

–Ha! – ponownie wykrzyknął Jim.

–Chcesz, żebym tu została? – spytała Angie, zręcznie zmieniając temat.

–Obawiam się, że nie, Angie – odrzekł. – To średniowiecze, chociaż dość późne. Joanna d'Arc pojawi się dopiero za sto lat. Kobiety nie biorą udziału w naradach wojennych.

–Dopiero za sto lat? No nic, nawet się cieszę, że nie muszę tu siedzieć. Mam mnóstwo spraw do załatwienia. Myślałam tylko, że mogę być ci do czegoś potrzebna.

–Nie tym razem. Teraz wszyscy spodziewają się, że cię tu nie będzie, chociaż oczywiście nie śmiałybym rozkazywać mojej kasztelance.

–Mój panie, wiesz dobrze, że każde twoje życzenie jest dla mnie rozkazem.

–Hmm... – mruknął Jim.

–Kto weźmie udział w naradzie?

–Brian, Dafydd, księżę...

–Chcesz ryzykować, włączając w to księcia? Zechce przejąć dowodzenie i rozłożyć naradę.

–Może. Mam nadzieję, że nie. W każdym razie i tak trzeba będzie go włączyć do przygotowań, a jeśli naprawdę zrozumiał swoją rolę, to im prędzej go zaangażujemy, tym lepiej. Przeprowadziłem z nim męską rozmowę...

–Milordzie! – zawołał zza drzwi zbrojny pełniący tam wartę. – Jakiś wilk chce się z tobą widzieć!

Jim i Angie spojrzeli na siebie ze zdumieniem. Tylko jeden wilk mógł się pojawić pod ich drzwiami, a ten nie znosił przebywać w jakichkolwiek budynkach wzniesionych przez człowieka.

–Aargh? – powiedział Jim.

–A któryby? – warknął ochryply głos, bardzo dobrze słyszalny nawet przez grube

drzwi. – Nie ma innych wilków na moim terytorium. Każesz mnie wpuścić czy też ten człowiek z mieczem, który stoi obok mnie, nie potrafi nawet otworzyć drzwi?

–Otworzyć! – krzyknął Jim.

Drzwi otwarto i do komnaty wkroczył Aargh. Wyglądał jak zawsze imponująco ze swymi sterczącymi uszami i puszystym ogonem. Był wielkości kuca, a wydawał się jeszcze większy, ponieważ już zaczął porastać zimowym futrem.

–Co ty tu robisz? – spytała Angie. – Przecież nie lubisz przebywać pod dachem.

–A jakież rozumne stworzenie to lubi? Ktoś musi was pilnować. Tym młodym smokom, którym Secoh polecił latać nad zamkiem, matki kazały latać powyżej czubków drzew, kiedy na ziemi są gobliny. Pewnie nie widzą więc, co się dzieje. Gobliny przez całą noc znowu sporządzały długie drabiny, tylko tym razem znacznie mocniejsze i tak szerokie, żeby dwóch napastników mogło stanąć obok siebie. Zrobiły ich tyle, że mogą ustawić jedną obok drugiej wzdłuż całego muru. O zmierzchu znowu spróbują zaatakować i za wszelką cenę wedrzeć się na mury. Jeśli parę goblinów dostanie się do środka, otworzą bramę innym, a wtedy przypadnie ich dziesięć na każdego człowieka, którego masz w tej kamiennej pułapce.

–Jak się o tym dowiedziałeś? – zapytał Jim.

–Odwiedziłem ich wcześniej, tuż przed świtem, żeby porwać jednego na śniadanie. Widziałem na pół ukończone drabiny leżące na ziemi. Gobliny zwartym tłumem stały nad nimi tak, żeby ukryć je przed wzrokiem młodych smoków. Miałem pracowitą noc, rankiem musiałem więc coś przegryźć, a potem uciąć sobie drzemkę.

–Dlaczego nie zawiadomiłeś nas wcześniej? – zdziwiła się Angie.

–Musiałem zjeść, zdrzemnąć się i pomyśleć o przyjsciu tutaj – powtórzył Aargh nieco łagodniejszym tonem. Jim zauważył, że z jakiegoś powodu wszystkie wilki wyraźnie darzyły kobiety większą sympatią niż mężczyzn. – Zamierzałem zostawić wam wiadomość, ale ludzie stojący przy bramie pewnie nie zdołaliby wiernie jej przekazać, bo zawsze, kiedy próbuję z nimi rozmawiać, wpadają w panikę. Teraz powiedziałem to wam i już mnie nie ma! Odwrócił się.

–Otwórz! – warknął, patrząc na drzwi.

–Dziękuję, Aarghu – powiedział Jim i też warknął w kierunku drzwi: – Otwierać!

–„Dziękuję” to jedno ze słów ludzkiej mowy... – zaczął Aargh i wypadł przez uchylone drzwi, nie dokończywszy zdania.

Ledwie znikł, gdy za zamkniętymi drzwiami ponownie rozległ się głos wartownika dumnie recytującego litanie nazwisk.

–Są tu jego miłość księżę Walii, sir Brian i Dafydd ap Hywel, milordzie.

–No to wpuść ich! – zawołała Angie, zawsze szybsza od Jima. Znalazła się przy drzwiach w chwili, gdy je otwarto, i goście zaczęli wchodzić do komnaty.

–Dzień dobry wasza miłość, panowie – powiedziała, zmierzając w przeciwnym kierunku. – Wasza wizyta to dla nas zaszczyt, ale właśnie wychodziłam.

Gdy Angie wyszła, a goście znaleźli się w komnacie, wartownik cicho zamknął drzwi. Odprawiono tradycyjny rytuał powitań, zajmowania miejsc i nalewania wina.

–Cóż, panowie – zaczął Jim – przybyliście w odpowiednim momencie. Właśnie otrzymałem ważną wiadomość. Zamiast w spokoju przygotowywać plan działań,

musimy szybko wymyślić jakiś sposób, aby niezwłocznie rozprawić się z wrogiem.

Przekazał im wieści przyniesione przez Aargha.

–Mówisz o tym ogromnym zwierzu, który minął nas na korytarzu? – zapytał książe. – Co za trofeum myśliwskie!

–To mój przyjaciel! – rzekł zimno Jim.

–Przyjaciel nas wszystkich, wasza miłość! – powiedział Brian jeszcze bardziej lodowatym tonem. – I walczył wraz z nami pod Wieżą Loathly.

–Właśnie – dodał Dafydd.

–Och, to ten wilk! – wykrzyknął książe. – Istotnie, teraz sobie przypominam, że on i ja odbyliśmy co najmniej jedną rozmowę. Oczywiście. Jak mogłem zapomnieć tak wspaniały okaz?

–W tych okolicznościach to najzupełniej zrozumiałe, wasza miłość – zapewnił go Jim, który też dopiero teraz przypomniał sobie o wcześniejszym spotkaniu księcia i Aargha.

–Nie, nie – zaprzeczył książe – nie należy zapominać o przyjaciółach, nawet jeśli to tylko zwierzęta. Wracajmy jednak do tematu.

–Podczas następnego ataku – rzekł Brian – gobliny będą świadome tego, że nasze dowództwo znajduje się w wieży, i choć niewątpliwie zaatakują także mury, najsilniejsze uderzenie skierują zapewne na nią, chcąc przede wszystkim jak najszybciej schwytać lub zabić tych z nas, którzy kierują obroną. Powinniśmy obsadzić wieżę ludźmi aż po dach. Przydałby się również wrzący olej.

–Na razie mamy tylko kilku łuczników, ale mogą pomóc, jeśli nie będą musieli oszczędzać strzał – powiedział Dafydd. – Strzelanie z góry będzie łatwe, jeśli tylko dostaniemy strzały...

–W magazynie mamy ich kilkaset – powiedział Jim.

–Ponadto właśnie miałem powiedzieć, że wśród ostatnio przybyłych wieśniaków może być paru takich, którzy umieliby napiąć łuk, gdyby go dostali – dodał Dafydd swym niezmiennie spokojnym głosem.

–Jestem pewien, że w zbrojowni mamy łuki, a wśród wieśniaków jest co najmniej trzydziestu leśników – powiedział Jim. – Łuk to dla nich nie nowina.

–Owszem, lecz ilu z nich można nazwać prawdziwymi łucznikami? – zapytał Dafydd. – Ilu potrafi napiąć łuk więcej niż dwa lub trzy razy, nie mówiąc już o robieniu tego przez kilka godzin, nie tracąc po tym zdolności do walki? Prawdziwy łucznik ćwiczy posługiwanie się łukiem od dziecka. Twoi leśnicy może potrafią sporadycznie strzelać do konkretnych celów, lecz ilu z nich umie przez dłuższy czas wypuszczać strzały w kierunku nadciągającego wroga? Jeleń to całkiem spory cel dla prawdziwego łucznika. Mimo wszystko wspinające się po drabinach gobliny będzie łatwiej trafić niż kaczki siedzące na wodzie. Będę musiał jeszcze raz przyjrzeć się tym twoim leśnikom.

–Dobrze... – zaczął Jim, lecz książe wtrącił niecierpliwie:

–Lepiej zebrać wszystkich rycerzy, poprowadzić zbrojną wycieczkę i spalić wszystkie te ciężkie drabiny!

–Wybaczcie, że nie wspomniałem o tym wcześniej – powiedział Jim – ale

Carolinus właśnie mnie zawiadomił, że earl Somerset nie może nam przysłać żadnych ludzi ani przybyć tu osobiście, chociaż powiedział, że dałby sobie uciąć prawą rękę, żeby tu być. Zaraza ominęła jego zamek, a jego poddani uznali, że stało się tak dzięki Bożej łasce. Uważają, że zostali oszczędzeni z woli Najwyższego i posyłanie uratowanych na śmierć byłoby zniewagą dla Pana.

Brianowi i księciu wyraźnie wydłużyły się miny. Obaj przeżegnali się.

–Jeśli taka jest Jego wola, musimy się bez nich obejść. Policzmy: pięciu rycerzy mego ojca i my sami, oczywiście...

–Nie zapominajmy o moich sąsiadach, którzy już są tu w zamku – przypomniał Jim.

–Ach tak! – zawołał książę. – Ilu?

–Nie wiem. Około dwudziestu – odparł Jim. – To ci, których dotychczas również ominęła zaraza. Nie miałem czasu ich policzyć.

Chciał mówić dalej, ale uprzedził go Brian.

–Gdybyśmy mieli za sobą całą armię, tak jak podczas interwencji zakończonej bitwą pod Poitiers, taki błyskawiczny wypad, jaki wasza miłość proponuje, istotnie byłby słusznym i rozsądnym posunięciem. Ja pierwszy bym temu przyklasnął. Jednakże mamy zaledwie garstkę rycerzy i giermków w ciężkich pancerzach. Narażanie ich w taki sposób, podczas gdy nieprzyjaciół może szybko przygotować nowe drabiny, byłoby kupowaniem za ostatni grosz łyżka wina, które szybko zostanie wypite, pozostawiając wyschnięte gardło i nie gasząc pragnienia.

Jim zdołał wtrącić się do tej rozmowy, z rozmysłem nie wspominając o magii wytargowanej od Carolinusa.

–Mógłbym również wspomnieć, wasza miłość, że groty goblinich włócznie są sporządzone z metalu zwanego Wielkim Srebrem. Mogą nimi trafiać w spojenia i inne słabe punkty nawet najgrubszej zbroi, a magiczna trucizna, tych grotów, wywołuje okropny ból.

–Ha! – zakrzyknął książę. – Prawdziwy rycerz nie obawia się takich ukłuć!

–Zapewniam waszą miłość, że żaden rycerz trafiony włócznią goblina nie będzie się śmiać. Sam widziałem, a nawet odczułem skutki ich działania, kiedy wraz z moimi zbrojnymi dołączyłem do eskorty biskupa Bath i Wells, aby dopilnować jego bezpiecznego powrotu do siedziby w Wells.

Jim krótko, lecz barwnie opisał reakcje tych, którzy zostali zranieni takimi włóczniami.

–Ta trucizna zabija, jeśli nie zostanie usunięta w magiczny sposób – powiedział. – Na szczęście byłem tam i mogłem uleczyć ich rany, tak więc wszyscy, włącznie z zacnym biskupem, przeżyli.

–Widzę, że się myliłem – przyznał książę w jednym ze swych niespodziewanych przyłyków skromności i pokory. – Wycofuję moją propozycję, która najwyraźniej zdradza brak znajomości tematu.

Wszyscy obecni zamilkli, słysząc tak nieoczekiwane stwierdzenie.

–Ja sam dowiedziałem się o tym w wyniku niezwykłego zbiegu okoliczności, wasza miłość – powiedział w końcu Jim. – Gdyby nie to, twoja propozycja miałaby

istotne zalety. Wątpię, czy oprócz obecnych w tej komnacie, w całej Anglii znalazłby się choć jeden rycerz, który posiadał taką wiedzę.

Mówiąc, że propozycja księcia miała jakieś zalety, mocno przesadził. To jednak na pewno nikomu nie zaszkodzi. Pospiesznie zmienił temat.

–Prawdziwym problemem, panowie, jest teraz nie to, w jaki sposób pokonać wroga mającego nad nami wprost niewyobrażalną przewagę liczebną, ale jak takimi skromnymi siłami, jakimi dysponujemy, zmusić go do odstąpienia. Jak wspomniałem zaledwie przed chwilą, earl Somerset nie może przyjść nam z pomocą, tak więc będzie nas mniej, niż sądziłem.

–Somerset! – ksiązę wyraźnie spochmurniał.

Chcąc uchronić earla przed popadnięciem w niełaskę, która nieuchronnie zrobiłaby z niego wroga Malencontri, Jim gorączkowo szukał dla niego jakiegoś usprawiedliwienia.

Zanim zdążył coś powiedzieć, ksiązę rozpogodził się.

–Przyznam, że spodziewałem się po nim czegoś lepszego. Zawsze opisywano mi go jako odważnego rycerza mającego rozliczne zalety, którymi wykazał się w bitwie o Sluys. Tymczasem, kiedy życie króla jest w niebezpieczeństwie... przypominam sobie jednak, iż wspomniałeś, że ma po temu powody. Niewątpliwie okażą się one istotne.

–Zaiste, wasza miłość – powiedział Jim – earl nie ma na nie wpływu. Jak już wspomniałem, jego poddani, których cudem ominęła zaraza, uważają to za przejaw boskiej łaski, wobec czego wysyłanie zbrojnych na śmierć byłoby zniewagą dla Najwyższego.

–Istotnie, byłby to źle spożytkowany dar naszego Pana – powiedział ksiązę. – Cofam moje ostatnie słowa i przyznaję, że nie mam żadnych innych pomysłów oprócz tej nie przemyślanej wycieczki.

–Sądzę, wasza miłość – rzekł spokojnie Dafydd, tak dwornie, że ksiązę obrzucił go uważnym spojrzeniem – że mając tych kilku łuczników i sporo piechoty, nie musimy tak bardzo się obawiać następnego szturmu goblinów. Sądzę też, że tym razem – chociaż nie zamierzam sprzeciwić się temu, co sir Brian powiedział o ataku na wieżę – na mury wespnie się jednak więcej napastników, tak więc to blanki powinniśmy szczególnie starannie obsadzić.

–Jasne – przytaknął Jim, na moment przyjmując amerykański styl. – Pozostaje pytanie jak ich przegnać. Zapytam was wszystkich: czy ktoś ma jakiś pomysł, w jaki sposób moglibyśmy odeprzeć i przepędzić gobliny taką siłą, jaką dysponujemy?

–Ja nie wiem i nie sądzę, aby w tym momencie było to rozsądne – odparł Brian, – Choć jeśli będziemy zmuszeni, po prostu stawimy im czoło.

–Ja również nie widzę w tym sensu – dodał ksiązę. – Choć oczywiście bardzo chętnie bym to zrobił.

–Mam trochę doświadczenia w takich sprawach – powiedział spokojnie Dafydd – lecz na podstawie tego, co tu widzę, sądzę, że nie mamy szans. Czy magia mogłaby w jakiś sposób wyrównać nasze szanse, James?

–Być może, lecz jeśli taki sposób istnieje, to jeszcze go nie znalazłem – powiedział

Jim. – Proponuję, żebyśmy porozmawiali z kimś, kto dobrze zna gobliny – z moim skrzatem, który podobnie jak wszystkie skrzaty, wywodzi się z gobliniego rodzaju. Chciałbym mu zadać kilka pytań i mam nadzieję, że pozostali również będą go pytać o sprawy, które ich interesują. Czy ktoś ma coś przeciwko temu, że go wezwę?

Nikt się nie sprzeciwił.

–Hobie! – zawołał Jim w kierunku kominka. Po dłuższej niż zwykle chwili oczekiwania, w czasie której książę już chciał coś powiedzieć, ale się rozmyślił, Hob wyskoczył z komina. Raźnie przeszedł przez płomienie i skłonił się wszystkim obecnym. Łście dworski ukłon wyszedł mu doskonale, gdyż jego smukłe ciało było jakby do tego stworzone.

–Wzywaleś mnie, panie?

–Owszem – odparł Jim. – Chcieliśmy zapytać... Przy okazji, ile skrzatów jest teraz w Malencontri?

–Nie jestem pewien, milordzie. Ponad dwie dziesiątki setek?

–Dwa tysiące?! – wykrzyknął Jim. – Angie... moja pani... mówiła, że połowa z nich przybyła zeszłej nocy...

–Och nie, wybacz, milordzie, ale przybywały tu przez cały czas. Chociaż to prawda, że bardzo wiele zjawilo się minionej nocy. I przybędzie jeszcze więcej.

–W zamku nie ma już miejsca! – jęknął Jim. Na chwilę zupełnie zapomniał o swoich trzech towarzyszach, a oni byli tak zaskoczeni liczbą dwóch tysięcy skrzatów, podczas gdy w zwykłym domostwie rzadko zauważano jednego, że nie odzywali się. – Tutaj nie ma już miejsca! – powtórzył Jim. – Nie możesz powiedzieć im, że mamy już dosyć skrzatów? Nie da się powstrzymać ich napływu?

–Obawiam się, że nie, milordzie. Wieść już się rozeszła. Jim z trudem powstrzymał się od powiedzenia na głos: „Nie potrzebujemy ich tutaj!”

–Cóż – powiedział w końcu – wezwałem cię tutaj, żebyś wyjaśnił nam kilka spraw związanych z goblinami, a skoro na zewnątrz jest dwa tysiące skrzatów i przybywają następne, to może lepiej zostań tutaj na wypadek, gdybyśmy później mieli do ciebie jeszcze jakieś pytania. Na początek: jak moglibyśmy przestraszyć gobliny, żeby odstąpiły od zamku?

–Może zabijając je wszystkie? – powiedział z nadzieją w głosie Hob.

–Nie sądzę, żeby nam się to udało – odparł Jim. – Jest ich zbyt wiele. Czy one mogą zaryzykować zmasowany atak, podczas którego poniosą ciężkie straty?

–Jak najbardziej, milordzie. Są do tego równie zdolne jak my, skrzaty.

Książę wytrzeszczył oczy, ale nic nie powiedział.

–Cóż – podsumował Jim – miejmy nadzieję, że uda nam się tak uprzykrzyć im życie, że same stąd odejdą. Czy jest jeszcze ktoś, kto mógłby nam pomóc? Wiem, że młodym smokom zakazano podejmować jakiegokolwiek działania, w wyniku których mogłyby ucierpieć.

–To prawda, panie. Są bardzo nieszczęśliwe, że nie będą mogły walczyć z goblinami. Wciąż nam to powtarzają.

–Rozmawialiście z nimi?

–Kiedy zobaczą któregoś z nas na smużce dymu, to podlatują, żeby pogadać.

Chciałem powiedzieć, że nadlatują i mówią do nas z góry, bo nie wolno im latać tak nisko nad ziemią. Wtedy wznosimy się do nich i pocieszamy je. Jak skrzatom przystało.

–A one was słuchają? – Jim wychwycił tę informację i zapamiętał ją, chociaż w tym momencie nie miał pojęcia, do czego może się przydać. – I dają się pocieszyć?

–Och tak, milordzie. Wiedzą, że jesteśmy o wiele starsze i mądrzejsze od nich, więc wierzą w to, co mówimy.

Teraz Edward spojrział na skrzata tak, jakby zobaczył go po raz pierwszy.

–Ile lat mają młode smoki? – zapytał.

–Od sześćdziesięciu do osiemdziesięciu – odpowiedział Jim.

–Zatem ile lat ma ten skrzat? Hob miał niewyraźną minę.

–To osobiste pytanie, którego nigdy mu nie zadałem – powiedział Jim. – Wasza miłość rozumie, uprzejmość nie pozwala...

–Uprzejmość? Wobec skrzata?

–Tak – odparł Jim takim samym lodowatym tonem, jakiego użył, wyjaśniając księciu, że Aargh jest ich przyjacielem. – Uprzejmość obowiązuje również wobec smoków, wasza miłość, a także wobec każdego zasługującego na to zwierzęcia czy naturalnego. Choćby z tego powodu, że wszystkie te stworzenia uważają magów za przyjaciół. Dzięki temu wiele uczymy się od siebie nawzajem!

–Aha... – mruknął książę, opadł na krzesło i pokiwał głową, ale wciąż miał zdumioną minę. – A zatem nie powinienem o to pytać?

–Nie – rzekł Jim.

–Przecież on wygląda tak... nieważne – powiedział książę i znów zaczął się gapić na Hoba.

–Czy młode smoki powiedziały ci coś, co mogłoby się nam przydać? – zapytał Hoba Jim.

–Tylko to, że ich ojcowie zaczynają wspominać o tym, że warto by wam pomóc w walce z goblinami. Ich matkom nie podoba się ten pomysł, ale Secoh tyle mówił o tym, że on zamierza walczyć razem z nami, że zaczęły się denerwować. Wiedzą, że on walczył z wami pod Wieżą Loathly, i szanują go za to. Nie chcą siedzieć w swoich jaskiniach i czekać, aż będzie po wszystkim, kiedy on rusza na wojnę z goblinami, żeby potem chełpić się swoimi czynami!

–Myślałem, że dorosłe smoki łapią i zjadają gobliny.

–Bo tak jest, milordzie, to dlatego gadanina Secoha tak je irytuje. One wiedzą, że potrafią walczyć z goblinami równie dobrze jak on. – I skrzat dodał nieśmiało: – Myślę, panie, że gdybyś udał się do nich i uprzejmie poprosił o pomoc, nie potrzebowałyby innych argumentów, żeby przekonać smoczyce.

–Ha! – rzekł Brian. – Trzy lub cztery tuziny smoków bardzo by nam się przydały!

–W najlepszym wypadku jeden lub dwa tuziny, Brianie – sprostował Jim, odwracając się od Hoba. – Wiele starych smoków nie przyleci, gdyż matki młodych postarają się zatrzymać je w domu ze względu na ich podeszły wiek lub z innych powodów. W siedlisku nie ma aż tyle dorosłych smoków.

–Może – podsunął Dafydd – mogłyby się przydać, nie biorąc bezpośredniego

udziału w walce, James. Jeśli tylko zdołasz utrzymać w ryzach Secoha, nie będzie z tym później kłopotów.

–Świetny pomysł – przytaknął Jim. Rzucił przez ramię: – Hobbie, przez chwilę posiedź tu spokojnie, a my omówimy tę sprawę.

–Tak, milordzie! – Hobbie usiadł na podłodze plecami do kominka i podwinął pod siebie nogi.

–Nie chciałem zbytnio roztrząsać tego problemu – oznajmił Jim – nie zapytawszy uprzednio, jak wygląda gotowość naszych pozostałych oddziałów. Czas ucieka. Dzisiaj dowiedziałem się, że zgromadzone w zamku zapasy żywności wystarczą zaledwie na półtora miesiąca. Do tego czasu na pewno spadną śniegi.

–Jest tu za wiele skrzatów – powiedział książę. – I z każdym dniem przybywa ich więcej. Ograniczając ich liczbę, z pewnością zaoszczędzimy sporo żywności.

–Skrzaty nie jedzą – odezwał się Hobbie z podłogi.

–Nie jedzą? – książę ponownie spojrzał na niego ze zdumieniem.

–Nie. Nie musimy. Chociaż lubimy próbować... – urwał, zorientowawszy się, do czego o mało się nie przyznał.

–Hobbie – skarcił go Jim – nie odzywaj się nie pytany. On ma rację, wasza miłość. Skrzaty nie muszą jeść. Wracając do tematu: rozumiem, że możemy liczyć na to, że jeśli postanowimy zaatakować, pół tuzina rycerzy i ten giermek pojedzie razem z naszą czwórką w środku, a nasi sąsiedzi na flankach.

–Ha! – wykrzyknął książę z roziskrzonym wzrokiem. – Nie musisz pytać. Rycerze ojca nie mogą się doczekać bitwy. Muszę tylko coś sprostować, James. Tych rycerzy jest tylko pięciu, lecz podobnie jak giermkowi, obowiązek nakazuje im stanąć w polu razem ze mną. Tak więc odpowiedź na twoje pytanie brzmi: tak.

–Jest jeszcze sir Harimore! – przypomniał ostro Brian.

–Harimore? – powtórzył książę. – Czy on nie jest banitą? Sądziłem, że od lat przebywa we Francji.

–Zdecydowanie nie, Edwardzie! – powiedział Carolinus, nagle pojawiwszy się przy stole. – Zapewne masz na myśli sir Harimore'a Wiltsa, pochodzącego z szanowanej rodziny, który roztrwonił więcej pieniędzy, niż była warta jego posiadłość, łącznie z podatkami. Kiedy wystawiono nakaz aresztowania, uciekł do Francji. Szlachcic zaś, który obecnie przebywa tu w zamku, to sir Harimore Kilinsworth, trzeci kuzyn Wiltsa, powszechnie szanowany i również majątny, ale przedkładający broń nad grę w kości i równie często zwyciężający w turniejach jak nasz Brian.

–Nie przypominam sobie tego rycerza – mruknął książę.

–Co najmniej raz siedział z tobą przy tym samym stole: kiedy spożywałeś z nami obiad w Tiverton, a od tego czasu widywałeś go również podczas posiłków tutaj, wasza miłość – powiedział Brian tonem, w którym pobrzmiwała lekka nagana. – On rzadko rozmawia z ludźmi, nawet tymi, którym został przedstawiony, a już na pewno nie próbuje nawiązać rozmowy z lepszymi od siebie.

–Ach tak? Jest tak nieśmiały?

–A ponadto z niedościgłą sprawnością włada wszelką bronią.

–Lepiej od ciebie?

–Ja... – zaczął Brian, ale Carolinus wtrącił się do rozmowy.

–Dość tych pogawędek. Będziesz rad, że Harimore stanął w polu wraz z tobą, Edwardzie. Szykują się nowe kłopoty. Agatha Falon znów jest wśród goblinów, a z nią czarownik z Zachodu.

–Czarownik z Zachodu? – zdziwił się Jim.

–Tak, Jimie. Niespełniony mag, na pół szalony, ale obdarzony niezwykłym talentem. Być może – wcale nie twierdzę, że na pewno – może udaremnić tę magiczną pomoc, którą ci obiecałem, Jim.

Rozdział 36

–Teraz przypominam sobie, że już mi o nim wspominałeś! – powiedział Jim. – Kiedy może się tu pojawić?

–Podejdź do okna i popatrz.

Carolinus wskazał mu okno, które wychodziło na wielką bramę zamku i wysoki mur po obu jej stronach. Jim wstał, podszedł do niego i wyjrzał. Pozostali mężczyźni wyjrżeli przez okienka po bokach. Hob zaczął się podnosić, ale widząc marsową minę zmierzającego w stronę okna Jima, opadł z powrotem na podłogę,

–Widzisz ten błękitny proporzec ze znakami przypominającymi dziecinne bazgroły? – zapytał Carolinus. – On nie robi tajemnicy ze swojej obecności, lubi być rozpoznawany i oklaskiwany. Właściwie nie przysługuje mu tytuł czarownika, który sam sobie nadał, a poza tym prawdziwych czarowników prawie już się nie spotyka. W dziewięciu dziesiątych to zwykły szarlatan, lecz na nieszczęście ma w sobie jedną dziesiątą prawdziwego maga – choć nie uznanego przez Zgromadzenie. Ta jedna dziesiąta nie wystarczy, nawet gdyby chciał przestrzegać naszych praw, czego jednak odmówił. Liznął zaledwie odrobinę prawdziwej magii i uzupełnił ją cyrkowymi sztuczkami.

–Czy potrafi otoczyć się ochronnym zaklęciem, magu? – zapytał Brian, który podczas kilkuletniej znajomości z Jimem przyswoił sobie kilka magicznych terminów.

–To potrafi każdy, kto umie otrzeć wargi z mleka i przesylabizować choćby najprostsze zaklęcie!

–Aha – mruknął Brian. – Zatem nie ma sensu próbować go...

–Sir Brianie – odezwał się książę. – Przypominam ci, że sam wyjaśniłeś nam konieczność oszczędzania naszych skąpych sił.

–Myślałem raczej o strzale wypuszczonej przez łucznika...

–To byłby daleki strzał – zauważył Dafydd – i niezwykle trudny dla każdego prócz prawdziwego mistrza, który musiałby przez dłuższy czas obserwować cel, zanim ten na moment ustawi się w pozycji umożliwiającej wypuszczenie śmiercionośnej strzały. Jeśli jednak takie będzie życzenie ogółu, postaram się tego dokonać.

–Strzała go nie zrani. Pamiętajcie, co Carolinus powiedział o ochronnym zaklęciu. Ponadto jesteś dla nas zbyt przydatny, abys miał tracić czas, czekając, aż czarownik się odsłoni – powiedział Jim.

–Racja. To nic nie da! – przytaknął Carolinus. – Poza tym nie macie na to czasu. Jego obecność tutaj świadczy o tym, że gobliny są gotowe przeprowadzić zmasowany atak, żeby zdobyć zamek lub zginąć.

–Czy one naprawdę są gotowe zginąć, skrzacie? – zapytał książę, spoglądając na małego naturalnego siedzącego na podłodze przy kominku. – Czy te stworzenia mają tyle odwagi? Słudzy zła przeważnie są tchórzliwi.

–Och tak, wasza miłość. My... one, gobliny... zawsze są odważne... A raczej „dzikie”, jak kiedyś powiedziałem milordowi, i walczą zażarcie!

–Hmm... – Książę znów wyjrzał przez okno. Po chwili zwrócił się do Carolinusa. – Naprawdę przypuszczasz, że wkrótce zaatakują nas wszystkimi siłami?

–Mag klasy AAA+ nie przypuszcza, Edwardzie! – warknął Carolinus. –

Pozostawiamy to zwykłym śmiertelnikom. Tym razem jednak odpowiem na to pytanie. Wiem, że to zrobią, ponieważ ten czarownik zawsze postępuje tak samo. Pokazuje się w ostatniej chwili, odprawia te swoje czary-mary, a potem znika, zanim ktoś zrobi mu krzywdę. Sam to zobaczysz, za trzy godziny.

–Magu – odezwał się Dafydd – czy mogę ci zadać pytanie?

–Możesz – odparł Carolinus, posławszy mu ponure spojrzenie.

–Dlaczego gobliny tak zaciekle usiłują zdobyć zamek i zabić króla? Jaką to przyniesie im korzyść?

–To się dopiero okaże – odparł mag.

–Hm... – chrząknął skrzat. Wszyscy odwrócili się i popatrzyli na niego. –

Powiedziano mi – zaczął nieśmiało – że gobliny chcą pozabijać nas, skrzaty, po czym zająć nasze miejsce w ludzkich domostwach. Ktoś wbił im do głów, że to im się uda, jeżeli najpierw zabiją króla tej krainy.

–Zatem nie traćmy czasu na pogawędki – powiedział Jim. – Panowie, jeśli zechcecie znów zasiąść przy stole, zaraz powiem wam, co moim zdaniem powinniśmy zrobić.

Wszyscy wrócili do stołu i usiedli – oprócz Carolinusa, który stanął nieco z boku, marszcząc brwi, jakby rozważał już szanse powodzenia i uznał je za niewielkie.

–Wasza miłość, szlachetni panowie – zaczął Jim. – Znawcy sztuki wojennej od niepamiętnych czasów utrzymywali, że najlepszą obroną jest atak.

Wcale nie był pewien słuszności tego stwierdzenia, ale żaden z jego słuchaczy nie zamierzał się z nim spierać, a Jim chciał od razu przykuć ich uwagę.

–Ha! – wykrzyknął uszczęśliwiony Brian. – Jak trzeba, to trzeba!

–Bez wątpienia – dodał książę.

Nawet skrzat wydał coś w rodzaju pisku aprobaty.

–Błagam – powiedział Jim, z rozmysłem używając tego popularnego czternastowiecznego słowa – abyście pozwolili mi dokończyć to, co mam do powiedzenia. Z tego, co powiedział nam mag Carolinus, jasno wynika, że nie mamy innego wyjścia. Tak więc atak jest dla nas nie tylko jedynym, ale i najlepszym posunięciem. Pamiętajcie, że jest nas za mało, aby stoczyć z nimi regularną bitwę. Zatem naszym celem powinno być nie pokonanie ich – gdyż to jest niewykonalne – ale przekonanie ich, że jeśli tu pozostaną, wybijemy ich do nogi.

Carolinus nieco się rozpogodził.

–Mag powiedział nam – ciągnął Jim, rozpędzając się i zapominając o postugiwaniu się czternastowiecznymi zwrotami – że nieprzyjaciel ma po swej stronie czarownika. Wykorzystamy nasze umiejętności oraz wszelkie możliwe środki, aby stawić im czoło i zwyciężyć. Mag uprzejmie zaoferował nam swą pomoc w dziedzinie magii. Nie będę się wdawał w szczegóły, gdyż zabraniają tego surowe przepisy Zgromadzenia.

Carolinus, który już miał zmarszczyć brwi, znów się rozjaśnił.

–Zamierzam więc skorzystać z jego pomocy. Chcę także, przynajmniej pozornie, skorzystać z pomocy smoków, które porywały i pożerały gobliny, od kiedy tutaj przybyły. Magiczna trucizna na grotach goblinich włóczni może zabijać ludzkie istoty, lecz nie działana smoki, które są zwierzętami.

–Istotnie! – wykrzyknął książę. – Jakież to dziwne!

–Wasza miłość...

–Mów dalej, James. Nie odezwę się już, dopóki nie skończysz.

–Jestem bardzo zobowiązany waszej miłości – powiedział Jim. – Tak więc

równocześnie uderzą na nich nasi łucznicy, piesi, konni oraz smoki, wspomagani magią rozważnie stosowaną przez maga Carolinusa. Ja również postaram się zrobić co w mojej mocy, aby w miarę możliwości wesprzeć nasze oddziały. Zaatakujemy niespodziewanie i postaramy się przekonać gobliny, że jednoczesne uderzenie naszych sił zadaje im cięższe straty, niż będzie to miało miejsce w rzeczywistości.

Zamilkł na moment, pozwalając, by te słowa do nich dotarły.

–Uważam, że nie mamy innej możliwości. Aby nasz atak dał spodziewane rezultaty, musimy przeprowadzić go w określony sposób i zgrać działania wszystkich oddziałów. W związku z tym zamierzam pozostać tutaj z magiem, ponieważ tylko on i ja możemy za pomocą magii szybko przenosić się od jednego oddziału do drugiego. Ponadto zaraz udamy się obaj, aby poprosić o pomoc smoki z Cliffside, jeśli tylko...

– Jim zerknął na Carolinusa.

–Dobrze – zgodził się stary mag, wyraźnie niezbyt uradowany tym pomysłem.

–W ten sposób załatwimy to z nimi, nie tracąc z wami kontaktu. Wasza miłość, racz zebrać i przygotować rycerzy króla, z którymi dołączysz do naszych sąsiadów przybyłych nam z pomocą. Poprowadzi ich sir Brian. Proponuję ci to, wasza miłość, ponieważ nie jest to zwyczajna bitwa i chodzi w niej o życie twojego ojca. W tej sytuacji zakładam, że wolisz wziąć udział w bitwie, niż brać na siebie brzemię dowodzenia i stać na uboczu. Poza tym mamy niewielu ludzi umięjących dobrze władać bronią.

Ponownie zamilkł. To była najbardziej drażliwa kwestia. Czy książę będzie się upierał przy swoim prawie do dowodzenia, którego pozbawił go Jim? Czy też bez zastrzeżeń odda się pod rozkazy Briana?

–Do licha, tak! – zawołał książę. – Od dziecka uczono mnie posługiwać się bronią. Czy ta umiejętność miałaby się zmarnować w godzinie takiej próby? Nigdy. Niech sir Brian prowadzi, tak jak radzisz!

Niezwykłe słowa jak na młodego księcia.

–Doskonale – rzekł Jim. Najtrudniejsze miał już za sobą. – Zatem nie tracmy czasu. Dafyddzie, zechcesz zebrać swych łuczników na dziedzińcu? Od tej chwili aż do odwołania mogą tam przebywać tylko zbrojni. Ten rozkaz obejmuje całą zamkową służbę. Zawiadomię ich, że to mój rozkaz.

Zwrócił się do Briana.

–Brianie, ty zbierz na dziedzińcu sąsiadów, rycerzy króla oraz wszystkich konnych. Piechurzy pójdą za nimi. Wasza miłość, czy mogę cię prosić, abyś wyjaśnił wszystko pokrótce królowi, biorąc pod uwagę to, że mamy niewiele czasu? Carolinus lub ja pojawimy się, aby dać wam sygnał do ataku. Sądzę, że to już wszystko. Teraz obaj powinniśmy pospieszyć do siedliska smoków.

Wszyscy wstali, szurając odsuwającymi krzesłami, gdy nagle usłyszeli krzyk siedzącego przed kominkiem skrzata.

–Milordzie! A co ze skrzatami? Co my mamy robić? Jim skrzył się w duchu i popatrzył na małego naturalnego.

–Przykro mi, Hobie – powiedział najłagodniej, jak mógł – lecz chociaż jest was bardzo wiele, przeważnie całą waszą bronią są sierpy lub inne narzędzia, a żaden z was nie ma zbroi. Nie uwzględniłem was w obecnym planie ataku. Może później...

–Ależ milordzie! – zawołał Hob. – Oni przybyli tu walczyć!

W komnacie zapadła głucha cisza i wszyscy stojący wokół stołu znieruchomieli. Podczas gdy pierwszy okrzyk Hoba przyjęli z mieszaniną irytacji i oburzenia, teraz ich nastawienie uległo wyraźnej zmianie. Jeśli ludzie średniowiecza cenili coś ponad wszystko, to odwagę – nawet u takich łagodnych, nieśmiałych stworzeń jak skrzaty. Nikt z obecnych nie wątpił, że zgoda na udział skrzatów w bitwie doprowadziłaby do ich masakry, o której pamiętano by przez długie lata. A jednak prawdą było, że skrzaty przybyły tu walczyć i miały prawo domagać się udziału w bitwie. Takie zachowanie było godne podziwu, zarówno u ludzi, jak i tych małych stworzeń żyjących w kominach.

–Przykro mi – powtórzył Jim. Najwidoczniej to zawsze jemu przypadła rola herolda złych wieści. – W tym momencie nic się nie da zrobić. Daję ci jednak słowo, a nawet przysięgam, że jeśli nadarzy się sposobność, ty i twoje skrzaty znajdziecie się w samym środku bitwy!

Wiedział, że do tego nie dojdzie. Jeśli prawdziwi rycerze nie zdołają pokonać nieprzyjaciela, nie będzie sensu wysłać dwóch tysięcy skrzatów na śmierć z rąk ich najgorszych wrogów. Sierpy były bronią przydatną w bezpośrednim starciu, ale włócznie goblinów mogły razić na odległość. Ich groty śmiertelnie raniłyby skrzaty, zanim te zdołałyby wystarczająco zbliżyć się do nieprzyjaciela, który jak nikt inny wiedział, gdzie zadawać ciosy. Mimo wszystko Jim czuł się jak Scrooge przed Wigilią i był pewien, że Hob domyślił się, że Jim go zwodzi.

Skrzat nic nie mówił, wbił wzrok w podłogę.

–Magu! – powiedział Jim do Carolinusa. – Możemy ruszać? Pozostali zaczęli wychodzić z komnaty – w ślad za księciem.

–Oczywiście – odparł Carolinus. – Czemu nie? Ruszyli.

Przykro mi, powtórzył po raz trzeci Jim, tym razem w myślach, na moment przed tym, zanim pojawili się w samym środku ogromnej jaskini będącej smoczym gniazdem. Jak zwykle była pełna smoków wylegujących się na jej pochyłym dnie i ryczących na siebie ile tchu w potężnych piersiach. Jim przezornie przybrał swoją smoczą postać, żeby go natychmiast rozpoznano. Naturalnie, Carolinusa rozpoznawali wszyscy i wszędzie.

Zapadła niezwykła w tym miejscu głęboka cisza. Wszystkie smoki wybałuszyły ślepie.

–Smoki Cliffsides! – krzyknął Jim swoim donośnym smoczym głosem. – Przybywamy, by prosić was o pomoc!

Smoki zmrużyły ślepie. Jim niemal słyszał, jak pomyślały: „Jeśli sądzi, że to złoto i klejnoty w moim mizernym skarbczyku...”

–Pomóżcie nam uratować życie! – pospiesznie wyjaśnił.

–Hmm! – sapnął Carolinus, ale zagłuszył go donośny ryk Jima oraz równie głośne okrzyki innych smoków. Mistrzowi najwyraźniej trudno było przełknąć słowa praktykanta. Mag nikogo nie musi prosić o ratunek.

Jednak wśród smoków rozległy się pomruki – a raczej porykiwania – zainteresowania. A więc to nie prośba o pożyczkę, tylko o pomoc innego rodzaju. Smoki nigdy nie widziały powodu, by ryzykować tak jak ludzie dla chwały lub z poczucia obowiązku, chyba że któryś z nich wpadał w szal, w takim wypadku zdrowy rozsądek gdzieś zniknął. Tymczasem prośba o udzielenie pomocy zawsze jest interesująca. Może da się na tym zarobić?

–Z pewnością już wiecie – ryknął Jim – że w pobliżu jest mnóstwo goblinów.

Oczywiście, że wiedziały. Niektóre z lubością oblizywały długimi czerwonymi językami cienkie wargi swych nieco krokodylich pysków.

–One zagrażają Malencontri, mojej rodzinie i moim ludziom, jak również niektórym z moich sąsiadów – powiedział Jim. – Oczywiście będziemy walczyć, lecz jest nas za mało, by powstrzymać taką nawałę. Jeśli nas pokonają, obrabują zamek...

W smoczym tłumie rozległy się groźne powarkiwania. Słowo „rabować” wywoływało równie żywą reakcję jak „pomoc”.

–W tej sytuacji – ryczał Jim, podczas gdy jaskinia wypełniała się smokami, które usłyszały hałas i przybiegały podziemnymi korytarzami, nie chcąc przegapić przedstawienia – pomyślałem o moich wiernych przyjaciółach, dzielnych smokach z Cliffside. Gdybym wymyślił jakiś sposób, żeby mogły nam pomóc, nie narażając się na żadne niebezpieczeństwo, gdyż nie chciałbym, by któryś z mych przyjaciół ucierpiał...

W ogłuszającym zgiełku wygłaszanych półgłosem smoczych komentarzy pojawiła się zdecydowanie przyjazna nuta. No, to naprawdę interesujące. Żadnego ryzyka i... co?

–Planujemy natychmiastowy atak, niezwłocznie po naszym powrocie do Malencontri. Mamy nadzieję, że w pierwszej chwili zaskoczy ich śmiały atak tak nielicznych sił. Gdyby ci z was, którzy będą zainteresowani, wylecieli zaraz po nas, mogliby krążyć wysoko w górze, kiedy uderzymy. Potem, kiedy przemówię moim smoczym głosem, tak jak teraz, mogliby pikować tak, jak to robicie, by porwać goblina na przekąskę... i bardzo słusznie, gdyż to łup, który wam się należy. Musicie jednak uważać na skrzaty, ale wy je lubicie i świadomie nigdy nie wyrządziłybyście im krzywdy, lecz w gorączce bitwy zdarzają się pomyłki. Z łatwością odróżnicie skrzaty od goblinów, gdyż te pierwsze nie są porośnięte złotym futrem i nie mają błyszczących ślepi ani włóczni.

Jim uznał, że mimo smoczych płuc musi zrobić przerwę, żeby nabrać tchu.

–Gdyby jednak choć jeden skrzat padł ofiarą takiej pomyłki... – ryknął groźnie Jim – to smoka, który by ją popełnił, osobiście pociągnąłbym do odpowiedzialności!

–I JA! – zagrzemiał Carolinus, nagle w magiczny sposób przybierając rozmiary Morskiego Diabła, którego wzrost Jim szacował na dziesięć metrów z okładem. – JA RÓWNIEŻ POCIĄGNĄŁBYM GO DO ODPOWIEDZIALNOŚCI!

Po raz drugi w jaskini zapadła wyjątkowa cisza. Żaden smok nie odezwał się ani

nie poruszył.

Jim pospiesznie kontynuował przemowę, zniżywszy głos do łagodniejszego ryku. Nie chciał przerazić smoków, już lekko wystraszonych groźbami ze strony nie tylko ich smoka-gerzego, który w pojedynkę zabił ogra, ale i legendarnego, potężnego maga Carolinusa.

–Sądzę jednakże – ciągnął Jim przyjaznym tonem – że skrzatom nie będzie groziło żadne niebezpieczeństwo, gdyż wcale nie chcę, abyście opadały tak nisko nad ziemię. Chciałbym, abyście trzymały się w bezpiecznej odległości, poza zasięgiem włóczy goblinów.

To powinno wystarczyć... przynajmniej taką mam nadzieję, żeby gobliny uwierzyły, że nagle zostały zaatakowane z powietrza przez potężne i żarłoczne smoki, powiedział sobie w duchu.

Głośno zaś mówił dalej.

–W ten sposób gobliny pomyślą, że oczekiwaliśmy waszego przybycia i to dało nam odwagę do poprowadzenia ataku na ich przeważające siły.

Smoki pokiwały łbami. Oczywiście, przecież wszyscy wiedzą, że one są nie tylko najstraszniejszymi, ale i najodważniejszymi stworzeniami na świecie. Naturalnie.

Kiedy Jim przemawiał, Carolinus dyskretnie skurczył się do swoich normalnych rozmiarów. Teraz Jim spojrzał uważnie na Gorbasha, który – chociaż kiedyś gorąco protestował przeciwko wykorzystywaniu jego ciała podczas bitwy o Wieżę Loathly – od tego czasu cieszył się wśród swych pobratymców znacznie większym szacunkiem i uznaniem, gdyż i jemu przypadła część chwały otaczającej zabójcę ogra. Doszedł wtedy do wniosku, że więcej zyska, udając, że wziął w tym udział dobrowolnie, a nie zmuszony przez Jima desperacko szukającego Angie. W każdym razie teraz sprostał sytuacji.

–Ja na pewno polecę, choćby sam! – ryknął. – Uderzę na te gobliny razem z jerym-smokiem, tak samo jak niegdyś na ogra!

I na tylnych łapach przetoczył się niezgrabnie kilka metrów do przodu. Pozostałe snuły radosne myśli: Chwała! Miejsce w legendach! Historia o heroicznej walce ze straszliwymi goblinami opowiadana niezliczonym pokoleniom! W dodatku bez odrobiny ryzyka. Wszystkie otaczające Gorbasha smoki, co do jednego, skoczyły naprzód, rycząc, że one też są z Jimem.

–Dziękuję wam, smoki z Cliffside. Wasza odwaga i sąsiedzka uprzejmość nigdy nie zostaną zapomniane! A teraz... – Jim zwrócił się do Carolinusa – nie powinniśmy tracić już ani chwili, lecz natychmiast wracać. Możemy, magu?

–Jak sobie życzysz! – odparł ponuro Carolinus, niechętnie udając, że on również wpadł na pomysł tej wizyty.

Obaj zniknęli i pojawili się w słonecznej komnacie. W pokoju pozostał tylko Hob. Wciąż siedział ze skrzyżowanymi nogami i wbijał wzrok w podłogę. Jim podszedł do niego i postawił go na nogi.

–Hobie – rzeki – nie rób takiej zawiedzionej miny. Nic miałem czasu, by wszystko ci wyjaśnić, a poza tym nie byliśmy tu sami.

Na szczęście do tej pory Jim zdołał wymyślić coś, co powinno poprawić

– samopoczucie skrzatów, a w dodatku było tylko połowicznym kłamstwem. Gdyby się okazało, że smoki istotnie przechyliły szalę bitwy na niekorzyść goblinów, przerażając je tak, by najeźdźcy uciekli z powrotem pod ziemię, wtedy w ostatniej chwili wprowadzi skrzaty do akcji. Uciekające gobliny nie powinny zadać im poważniejszych strat, a będzie to nagroda dla skrzatów, które przybyły tu tak licznie ze swoimi bezużytecznymi sierpami, kuchennymi nożami oraz innymi sztucami.

–Widzisz – powiedział Jim – w sztuce wojennej nazywa się to przeniesieniem do rezerwy. Nie mogłem wspomnieć o tym w obecności tamtych, ponieważ pomyśleliby, że podaję w wątpliwość to, co mogą osiągnąć z tak małą liczbą zbrojnych. Powiedziałem dokładnie to, co myślę. Jeśli nadarzy się okazja, dam ci znać, a wtedy poprowadzisz wszystkie skrzaty...

–Dokąd? – zapytała Angie i obróciwszy się, Jim zobaczył, że właśnie weszła do słonecznej komnaty. – Och, Carolinusie – dodała – jeszcze tu jesteś. Obawiałam się, że już nas opuściłeś.

–Czekam na rozkazy – rzucił sarkastycznie stary mag.

–Carolinusie! Wybacz mi! – wykrzyknął Jim. – Czyżbym sprawiał wrażenie, że ci rozkazuję? Przepraszam. Ani na chwilę nie zapomniałem o tym, że jesteś moim mistrzem magii i bez ciebie nie dałbym sobie...

–Nie ma o co robić zamieszania! – powiedział Carolinus już zupełnie innym tonem. – Znadto przyzwyczałem się mówić, odwykłem od słuchania. Nie zwracaj na mnie uwagi. Zostanę z tobą do końca – tak jak przy Wieży Loathly.

–Mimo wszystko... – Jim chciał dalej przeproszać, lecz przerwał mu podekscytowany Hob.

–Wybacz, milordzie, ale czy mogę teraz przekazać twoje słowa innym skrzatom?

–Możesz – powiedział z przygnębieniem Jim. Oczywiście inne skrzaty też muszą usłyszeć tę nieszczęsną obietnicę. – Potem jednak wróć tu i zostań przy mnie. Będziesz mi potrzebny jako źródło informacji o goblinach.

–Wróć, nim następna iskra zgaśnie w kominie! Jeszcze raz dziękuję, milordzie. Och, skrzaty będą uradowane, gdy dowiedzą się, że zostały przeniesione do rezerwy! Znikł w kominie. Jim skrzywił się.

–Zręczne wytłumaczenie – zauważył Carolinus.

–Może bylibyście tak dobrzy i wyjaśnili mi, o czym mówicie? – poprosiła Angie.

Rozdział 37

–...właśnie wyjaśniałem Hobowi, dlaczego nie wprowadzam skrzatów do walki, zanim nie nadejdzie odpowiednia chwila – powiedział Jim do Angie.

–Och tak? A więc jednak zamierzasz je wykorzystać?

Jim opadł na jedno z krzesel, nagle wyglądając na równie zniechęconego jak przed chwilą siedzący naprzeciw niego Hob. Angie przez długą chwilę przyglądała się mężowi.

–Carolinusie – powiedziała – wybaczone, że postąpię bardzo nieuprzejmie, i nie traktuj tego jako brak szacunku z mojej strony. Zamierzam cię prosić, żebyś na moment zostawił nas samych. Za chwilę cię zawołam i poproszę, żebyś wrócił.

–Nie musisz prosić – odparł Carolinus. – To wcale nie uważam tego za nieuprzejmość czy brak szacunku. Człowiek, który żyje tak długo jak ja, lepiej od innych rozumie takie żądania. Nie musisz prosić. Po prostu zawołaj, a zaraz tu wrócę.

Znikł, a w tej samej chwili z kominka wyskoczył Hob.

–Milordzie! – zawołał radośnie. – Pozwól, że ci powiem, jak skrzaty uszczęśliwiła wieść, że zostały przeniesione do rezerwy...

–Hobie – powiedziała stanowczo Angie. – Milord i ja chcemy zostać sami. Zmykaj, zawołamy cię za chwilę. Chyba nie musisz ci mówić, żebyś nie podsłuchiwał.

–Och nie, milady, dopilnuję też, żeby inne skrzaty nie... – I znikł. Angie odwróciła się do Jima, który ukrył twarz w dłoniach. Podeszła do niego, objęła go i pogładziła po pochylonej głowie.

–O co chodzi? – zapytała.

–Nie wiem – powiedział niewyraźnie. – Po prostu uszła ze mnie para. Mam kompletną pustkę w głowie. Może to skutki choroby albo nadużycia magii...

Nagle podniósł głowę, objął Angie, gwałtownie przyciągnął do siebie i przycisnął twarz do jej ciepłej i miękkiej piersi.

–Angie!

Pochyliła się nad nim i wciąż gładząc go po głowie, szepnęła:

–Jim, kochanie, mój drogi, powiedz mi.

–Chyba mi go zabrakło – wymamrotał. – A zawsze go miałem. Mówię o optymizmie.

Przytuleni, tworzyli jedność i jako część tej jedności usłyszała jego myśli niemal równie wyraźnie, jakby powiedział je głośno.

–Myślisz, że gobliny zwyciężą, nieważne, co zrobimy? – spytała.

Odpowiedział dopiero po chwili.

–Tak.

Czekała. Minęło jeszcze kilka sekund.

–Nie możemy zwyciężyć. Możemy dzielnie stawić im czoło, ale w końcu wygrają, ponieważ jest ich zbyt wiele. Są słabo uzbrojone, mają tylko włócznie, ale chcą zwyciężyć, i wiedzą, że mogą. Jest ich zbyt wiele!

–Skąd możesz to wiedzieć?

–Po prostu wiem. Zwerbowałem nawet smoki, schlebiając im jak cwany polityk.

Carolinus wspomóżę mnie magią, tak samo jak wszyscy członkowie Zgromadzenia, ale to nic nie da. Czegoś brakuje – we mnie. Zawsze potrafiłem wyciągnąć królika z cylindra i w ostatniej chwili wyjść z opresji obronną ręką, ale teraz kapelusz jest pusty... Robię co do mnie należy, ponieważ nasi ludzie chcą walczyć pod rozkazami człowieka, któremu ufają, nawet jeśli mają zginąć w starciu z przeważającymi siłami wroga. Mylą się, obdarzając mnie zaufaniem. Zawsze potrafiłem dać z siebie trochę więcej, wytrwać kilka minut dłużej, walczyć, nawet jeśli brakowało mi sił. Teraz już nie potrafię.

–Jim – powiedziała. – To ja, Angie. Znam cię, mój miły. Nie mogłeś tego stracić. To tam jest, to część ciebie. Gdyby tego zabrakło, nie byłoby cię tutaj. Jednak wciąż jesteś, a więc i to jest, mimo że wydaje ci się, iż to utraciłeś. Uwierz mi, wiem o tym. Po prostu rób swoje i ufaj, że odnajdziesz to w sobie, kiedy będzie ci potrzebne. Będzie tam. Byłeś chory i męczysz się szybciej, niż przypuszczasz, dlatego uznałeś, że czegoś ci zabrakło, ale tak nie jest. Mówię ci, że nie!

Odsunął się trochę od niej i spojrzał jej prosto w oczy.

–Chciałbym w to wierzyć... że nie mówisz tak sobie...

–Jim! – powiedziała z mocą. – Ja nigdy nie mówię tak sobie. Przecież wiesz! Czy kiedyś było inaczej?

–Nie – odparł z namysłem. – Nie było. Odetchnął i rozluźnił uścisk.

–W porządku – powiedział. – Zaufam ci. Tylko tobie mogę ufać w takich sprawach. Po prostu będę robił swoje i miał nadzieję.

–Nie miej nadziei. Miej pewność. Rób swoje.

–W porządku! – Puścił ją. – Boże, jak ja cię kocham, Angie! Miłość niemożliwe czyni możliwym.

–Oczywiście – powiedziała. – Każdy to wie. Do roboty. Wstał i otrząsnął się jak pies.

–Gdzie Carolinus? – zapytał. – I Hob?

–Zawołaj ich.

–Carolinusie! Hobie!

Mag natychmiast znalazł się przy nim. Hob pojawił się kitka sekund później, tak gwałtownie wypadłszy z kominka, że wywinął koziołka na podłodze, po czym zerwał się na równe nogi.

–Milordzie! – zawołał. – Mam ci coś do powie... – Urwał na widok Carolinusa. – Wybacz mi, jeśli przerwałem ci rozmowę z magiem...

–Nie – odparł Jim – ale uprzejmość nakazuje, aby przemówił pierwszy.

–Strasznie mi przykro, magu, milordzie...

–Nonsens! – jak zwykle warknął Carolinus. – Jim, malcy zawsze mają pierwszeństwo. Wszystkie problemy mają dla nich większy wymiar, każdy porządny mag powinien o tym wiedzieć.

–Teraz ja też to wiem – mruknął Jim. Odwrócił się do Hoba. – Cóż więc chciałeś mi rzec?

–Skrzaty, milordzie. Powiedziałem im, że zostały przeniesione do rezerwy, i wszystkie są z tego powodu dumne i szczęśliwe. Ufają ci, milordzie. Czekają tyle

wieków na okazję do rewanzu. Nie ma wśród nas nikogo, kto nie oddałby życia i wszystkiego, co ma, żeby odplacić goblinom! A teraz jesteśmy pewne, że pozwolisz nam walczyć – w taki czy inny sposób!

–Zatem lepiej zacznę szukać tego sposobu – powiedział Jim i nagle nabrał przekonania, że zdoła jakiś znaleźć. Oczywiście zawsze mógł wprowadzić je do bitwy później, tak by nie przeszkadzały ludziom, którzy naprawdę będą walczyć. Naprawdę miały prawo wziąć udział w tej bitwie. Zapomniał o tym z powodu przygnębienia, które już mu przeszło.

–Myślisz nad tym, jak nas wykorzystać! – zawołał radośnie Hob. – Czy mogę powiedzieć im i to, że myślisz o nas, milordzie?

–Chyba tak – odparł Jim i Hob znów zniknął w kominie. Angie przegnała poczucie klęski, jakby zdjęła z niego zły czar... a przecież nikt nie mógł rzucić na niego uroku, gdyż Ca-rolinus natychmiast zorientowałby się i powiedział mu o tym. Widocznie sam to sobie zrobił. Jak nazwano to kilkaset lat później? „Czarna rozpacz”?

W każdym razie to już minęło. Odzyskał pewność siebie.

–Teraz ty, Carolinusie! – powiedział. – Chciałbym móc nastawiać jakiś wewnętrzny budzik, który przypominałby mi, co powinienem zrobić – dodał. – Wtedy mógłbym zajmować się czymś innym i nie tracić czasu na zapamiętywanie, wiedząc, że przypomnę sobie wszystko w odpowiedniej chwili.

–Jak na praktykanta całkiem... – zaczął Carolinus. – Nie martw się, Jim. Znajdziesz na to własny sposób.

–Pewnie tak. – Ku swojemu zdziwieniu Jim uświadomił sobie, że nie tylko odzyskał pewność siebie, ale także dobry humor. Kochana Angie! – pomyślał i zwróciwszy się do niej, powiedział głośno: – Hob zaraz wróci...

–Tak – potwierdziła.

Zaczekali chwilę i skrzat wypadł z kominka, po czym podbiegł do Jima.

–Milordzie! – zawołał radośnie. – Powiedziałem skrzatom, że zastanawiasz się, jak je wykorzystać. Teraz wszystkie po kolei ostrzą swoje sierpy, na czym tylko się da. Bitwa nie zakończy się, zanim my dołączymy, prawda?

–Jeśli tylko będzie to w mojej mocy – odparł ponuro Jim, myśląc o zupełnie odmiennym znaczeniu, jakie obaj przypisywali słowu...zakończy". – Teraz zostań tu i czekaj na pytania.

–Tak, milordzie.

Jim rozejrzał się za Angie, chcąc dać jej znać, że znów jest w pełni sprawny, ale nigdzie jej nie było.

–Pani właśnie przed chwilą wyszła, milordzie – poinformował go skrzat.

–Och, a więc w porządku – powiedział Jim, zupełnie doszedłszy do siebie. – Wybacz mi, Carolinusie. – Znów odwrócił się do maga. – Nie zaprosiłem cię tutaj, żebyś musiał na mnie czekać. Dopóki tu jesteś, powinienem zapytać Briana, co z konnymi, a Dafydd a o jego łuczników i piechurów, żebyśmy obaj wiedzieli, czy są gotowi. Potem porozmawiamy o magii, jakiej będę potrzebował. Chciałem, żebyś ty też usłyszał to, co mi powiedzą.

–Bardzo dobrze, jeśli tylko nie potrwa to cały dzień!

Brianie. Dafyddzie, sformułował w myślach wiadomość. Przybądźcie jak najszybciej. Po prostu pomyślcie o mnie, a natychmiast znajdziecie się w słonecznej komnacie.

–To potrwa chwilę – powiedział.

–Nie powinno – rzekł Carolinus. – Musisz nauczyć się robić to szybciej.

–Chciałem powiedzieć – wyjaśnił Jim – że dotarcie tutaj zajmie Brianowi i Dafyddowi kilka minut.

–Nie przeniosłeś ich? Wstydź się! – prychnął Carolinus. – A ja wysunąłem twoją kandydaturę! Masz natychmiast się tego nauczyć!

–Jak tylko znajdę chwilę! – jęknął Jim. – A tymczasem... Hobbie, powiedziałeś kiedyś, że gobliny obawiają się ognia?

–Tak, milordzie. Śmiertelnie się go boją. Właśnie dlatego nie wchodzi do domów przez kominy, tak jak my. Oczywiście i tak nie mogą wejść żadną drogą, jeśli na drzwiach jest krzyż lub inny symbol wiary mieszkających w domu ludzi.

Hob bynajmniej nie krytykował Jima. Pomimo to przeczulony Jim doszukał się w jego słowach odrobiny dezaprobaty, ale pospiesznie odepchnął od siebie tę myśl. Nie jestem Hugh de Bois – powiedział sobie. Niestety, to nazwisko przypomniało mu od dawna nic spełnioną obietnicę usunięcia blizny z twarzy Geronde, skaleczonej przez Hugh de Bois.

Przywołał się do porządku i przypomniał sobie, że powinien się skupić na pilniejszych sprawach.

–Zatem ogień odstraszyłyby gobliny? – zapytał Hoba.

–Tak, milordzie. Mógłbyś wywołać wielki pożar lasu, który objąłby także tę otwartą przestrzeń, na której teraz tyle ich jest i spaliłby wszystkie.

–Zbyt ryzykowne – orzekł Jim, spoglądając na Carolinusa.

–Nie można palić żywych stworzeń! – zawołał Carolinus.

–Wcale nie zamierzałem wywoływać tego pożaru, Carolinusie – zapewnił go pospiesznie. – Mogę znacznie lepiej wykorzystać tę magię, którą mi pożyczysz.

–Pożyczę! Ha!

Jim stanowczo nie chciał rozważać znaczenia tego ostatniego okrzyku.

–Pamiętasz, że przed chwilą rozmawialiśmy ze smokami -przypomniał. – Chcę mieć pewność, że nie tylko nastraszą gobliny, pikując jak spadające na ofiary sokoły, ale chciałbym również w magiczny sposób sprawić, by ich skrzydła zdawały się płonąć. To powinno wywołać panikę wśród goblinów.

–Och! Tak, milordzie! – ucieszył się Hob. I dodał rozmarzonym tonem: – Gdybyś jednak mógł je naprawdę podpalić...

–Słyszałeś, co powiedział mag – skarcił go Jim.

–Splonęłyby jak pochodnie!

–Naprawdę? – spytał Jim, skręcając się w duchu. Jednak opracowany przez niego plan bitwy nie przewidywał palenia wrogów żywcem – nawet goblinów. Z trudem oswajał się z tym nowym, krwiożerczym obliczem skrzata. – Nie, zrobimy to tak, jak powiedziałem. A teraz, skoro magia nie działa na zwierzęta, czy magiczna trucizna na grotach włóczy nie zabije koni?

–Na pewno nie! – warknął Carolinus, zanim Hob zdążył odpowiedzieć. – Przecież już wyjaśniałem kwestię niewinności! Magia to sprawa wyłącznie ludzi i naturalnych. Tylko oni mogą ją tworzyć, wykorzystywać lub ulegać jej działaniu, nigdy nie działa ona na stworzenia, które się nią nie posługują – i bardzo dobrze. Drzewa – dorzucił znacząco – są niewinne.

–Racja – przyznał pokornie Jim i nagle zauważył, że Angie stoi tuż obok, ale tym razem w towarzystwie hrabiny Joanny.

–Nie przeszkadzaj sobie, James – powiedziała Joanna. – Mogę poczekać, aż załatwicie ważniejsze sprawy. Edward jest na dole, niech go Bóg ma w opiece, i pojedzie w pierwszym szeregu z pozostałymi rycerzami. Już nie może się tego doczekać. Ktoś z zamkowej służby uszył królewski sztandar, poniesie go jedyny giermek z orszaku króla. Zazwyczaj jest to obowiązek rycerza, ale tym razem wszyscy rycerze są potrzebni, by walczyć.

–Racja – ponownie zgodził się Jim, który dotychczas nie wiedział o sztandarze, jednak miało to sens, skoro Edward był następcą tronu. – Miło z twojej strony, że chcesz poczekać. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, przyślę po ciebie służącą lub zbrojnego, kiedy skończymy.

–Oczywiście, James.

Wyszła. Angie pozostała, pilnując go jak ochroniarz.

–Świetnie – powiedział Jim. – Dziękuję, moja pani. Carolinusie, o sztucznym ogniu na smoczych skrzydłach porozmawiamy za chwilę. Teraz bardziej mnie interesuje to, czy możesz zapewnić nam dość magii, aby ochronić nogi wierzchowców i jeźdźców. Pokłute włóczyniami goblinów konie nawet niewrażliwe na truciznę, mogą wpaść w szal, a nogi dosiadających ich jeźdźców będą łatwym celem. Gdyby można osłonić tę część ciała zaklęciem... Och, jesteś, Dafyddzie!

–Jestem. Zaczekam – rzekł łucznik.

–Sądzę, że będę mógł je osłonić, jeśli będzie to absolutnie konieczne – powiedział ze znużeniem Carolinus. – Później załatwię jakoś ze Zgromadzeniem sprawę tak znacznego zużycia magii.

–Wszyscy będziemy ci wdzięczni, magu – zapewnił go Jim. – Witaj, Brianie. Carolinus właśnie powiedział nam, że jego magia może osłonić nogi oraz brzuchy koni, jak również nogi jeźdźców przed włóczyniami goblinów. To niezwykle uprzejmie z jego strony...

–Ha! Dziękuję, magu – powiedział Brian. – Jestem bardzo wdzięczny. James siedzimy w siodłach na dziedzińcu, gdzie jest diabelnie tłoczno z tymi wszystkimi piechurami ciągnącymi długie piki, które ledwie mogą unieść...

–Chwała cieśli i kowalowi – stwierdził z ulgą Jim, bo nie zdążył sprawdzić, czy zamówione długie piki zostały wykonane, w razie potrzeby zamierzał zrobić je za pomocą magii. Teraz sporą jej ilość mógł spożytkować inaczej. – Brianie, Dafyddzie – dorzucił pospiesznie – właśnie w tym celu chciałem się z wami widzieć: żeby zapytać, czy wszyscy wasi ludzie są gotowi do ataku.

–Jesteśmy gotowi – zameldował Brian. – Księżę jedzie na czele, gdyż tak sobie życzył.

–Niech Bóg ma go w opiece! – rzekł Carolinus. Wszyscy obecni w komnacie odpowiedzieli głośnym „amen”. – I tak w żaden sposób nie zdołalibyśmy go powstrzymać, a jeszcze nie chroni go siła przeznaczenia.

–Właśnie – przytaknął Jim. – Za bardzo chciał wziąć udział w walce... Ale chciałem zapytać o twoich łuczników, Dafyddzie.

–Są gotowi już od dłuższego czasu – odparł Dafydd – i zaczynają się niecierpliwić. Nie zdołają utrzymać szyku, ale wierzę, że będą dobrze walczyć. Oczywiście pójdą za konnymi. Wśród twych poddanych znalazłem ośmiu ludzi obytych z łukiem. W ten sposób mamy piętnastu łuczników, podzieliłem ich na dwie grupy, gdyż zakładałem, że zechcesz rozmieścić ich na skrzydłach, aby powstrzymywali gobliny usiłujące okrążyć nacierających konnych. Tylko obecność naszych dzieci powstrzymuje moją małżonkę od udziału w bitwie. Danielle jest jednak tak dobrą łuczniczką, że z murów może razić wrogów równie skutecznie jak łucznicy z ziemi.

–To dobrze – zaczął Jim. – Ja...

W tym momencie zobaczył wchodzącą do komnaty Angie, za którą szła Joanna. Wyglądała świeżo, jeszcze bardziej elegancko i piękniej niż zwykle. Czy ta kobieta bywa kiedykolwiek nie uczesana? – zastanawiał się Jim. No nic, do rzeczy.

–Bardzo dobrze! – powiedział, odpowiadając Dafyddowi. – Zatem zaatakujemy w takim szyku. Konnica w razie potrzeby będzie mogła wycofać się za piechurów, podczas gdy łucznicy na chwilę zatrzymają gobliny, a potem kopijnicy utrzymają pozycję, dopóki konni nie przegrupują się do następnej szarży, a łucznicy, zużywszy wszystkie strzały, pobiegną do zamku po następne. Dafyddzie, co robisz doświadczeni łucznicy, jeśli wróg zaczyna oskrzydlać piechotę?

–To, co właśnie zaproponowałeś, James. Jeżeli nie będzie innego wyjścia, wycofają się do zamku. Te małe drzwi w bramie powinny zostać otwarte. Łucznicy są zbyt cenni, by ich stracić, a bez zbroi i uzbrojeni tylko w noże nie mogą walczyć jako piechurzy. Natomiast nawet zmuszeni do odwrotu będą bardzo przydatni na murach. Nie obciążeni zbrojami, mogą bardzo szybko biegać.

–W porządku, a więc uzgodnione. Możecie obaj odejść. W razie potrzeby przemówię bezpośrednio w twoich myślach, Brianie. Dafyddzie, nie sądzę, żebym musiał się z tobą kontaktować, prawda?

–Prawda – odparł Dafydd. – Bóg z tobą, James.

–Tak, zostań z Bogiem, James – przytaknął Brian. – Ty i mag jesteście głową, a my zbrojnym ramieniem.

Obaj z Dafyddem odwrócili się, aby odejść.

–Jeszcze chwilkę, jeśli pozwolicie, Brianie. Dafyddzie – powiedziała Joanna. Jim spojrzał na nią. Angie stała obok niej i domyślił się, że umówiły się, że hrabina zabierze głos, zanim tamci wyjdą. Brian i Dafydd przystanęli i odwrócili się.

–Wybacz, sir Jamesie – dodała Joanna niezwykle oficjalnym tonem. – Czas nagli, a chciałam zobaczyć się z wami wszystkimi. To, o czym rozmawialiście, wiąże się z jedną z dwóch spraw, które zamierzałam z wami poruszyć, drugą natomiast omówię z sir Jamesem po waszym odejściu... Co do pierwszej, to oczywiście nie znam się na sztuce wojennej, a z tego, co czytałam, wnioskuję, że przyjęty przez was plan bitwy

jest wypróbowanym i godnym zaufania sposobem. Niech mi jednak będzie wolno przypomnieć, że nie jest to bitwa ze zwyczajnym nieprzyjacielem, kiedy rycerstwo stara się przełamać szyk wroga, żeby piechurzy mogli wedrzeć się w wyłom i rozbić nieprzyjacielskie oddziały, Czy pozwolicie, że zaproponuję drobną zmianę w przyjętym przez was planie?

Bardzo odważne słowa w ustach kobiety żyjącej w czternastym wieku, pomyślał Jim. Trzeba przyznać, że ma tupet. Już miał jej uprzejmie odmówić, gdy dostrzegł, że Angie ukradkiem daje mu znak, żeby wysłuchał. Mamy mało czasu, ale Joanna chyba nie zajmie go nam wiele, uznał. Brian z dezaprobatą zmarszczył brwi i Jim czytał w jego myślach: „Bez obrazy, ale czy jej się wydaje, że zna się na sztuce wojennej?”

Jednak wcześniejsze przygnębienie Jima przeszło w radosny optymizm.

–Mów zatem, moja pani – zachęcił.

–Czy wolno mi zaproponować, sir Jamesie, panowie, że skoro mamy tak niewielu rycerzy, to może byłoby lepiej, gdyby najpierw uderzyła piechota? Wiemy, że w dawnych czasach taki atak bywał owocny: jeźdźcy zaś uderzali z obu skrzydeł, wjeżdżając pomiędzy oddziały piechurów, rozbijając chwilowo unieruchomionego nieprzyjaciela.

–Śmiały i interesujący pomysł, pani – rzekł surowo Brian. – Tylko co uczynią gobliny, kiedy za plecami naszych pieszych zauważą konnicę szykującą się do ataku z flanki? Przecież nie zignorują tego, co widać gołym okiem, i zdążą wykonać zwrot.

–Wówczas, sir Brianie, piechota ruszy naprzód, uderzając w ich odsłoniętą flankę. Gobliny mają tylko po jednej włóczni i po jednej parze oczu.

–Teoretycznie byłby to bardzo zręczny manewr, milady – odparł Brian – lecz w praktyce, co mówili mi tak doświadczeni dowódcy jak Chandos, skomplikowane manewry nie prowadzą do niczego prócz zamieszania. Kopijnicy musieliby w mgnieniu oka podjąć decyzję i uderzyć bez namysłu. Gdybyśmy mieli miesiąc na ich wyszkolenie lub gdyby jakiś cud odwrócił uwagę goblinów, dając naszym pieszym czas na podjęcie decyzji...

–Hmm. Brianie – wtrącił Jim, widząc, że sytuacja wymyka mu się spod kontroli – przypadkiem mam coś takiego. Wprawdzie nie cud, ale duże stado dorosłych smoków z płonącymi skrzydłami może przelecieć nad głowami goblinów, umożliwiając naszym oddziałom manewr zaproponowany przez hrabinę. Hobbie, ty jesteś naszym znawcą goblinów. Czy sądzisz, że stado smoków odwróci ich uwagę na wystarczająco długi czas, aby nasi jeźdźcy zdołali wyjechać z szeregów piechoty i uderzyć z flanki?

Tak się złożyło, że Jim stał najbliżej Briana, więc tylko on usłyszał mamrotanie przyjaciela:

–Książki, historia, kobiety, które nigdy nie trzymały w ręku miecza ani łuku, skrzaty... też mi narada!

Hob po krótkim namyśle odpowiedział:

–Sądzę, że tak, milordzie. Gobliny wiedzą, że smoki je pożerają. Ponadto nienawidzą ognia i boją się go. Jeśli choć jeden z nich zauważy nadlatującego smoka o płonących skrzydłach, z pewnością krzyknie, a wtedy wszystkie pozostałe

popatrzą i przestraszą się. W tym momencie szlachetni rycerze i konni zbrojni będą mogli uderzyć, korzystając z zamieszania. A jeśli piesi też zaatakują, powiadomieni wcześniej o przybyciu smoków, gobliny nie będą wiedziały, z kim walczyć najpierw.

Zapadło długie milczenie.

–I co o tym sądzicie, panowie? – zapytał Jim. Jednogłośnie zaaprobowali plan. Jim doszedł do wniosku, że tych doświadczonych i pragmatycznych wojowników po prostu urzekła wizja nadlatujących im z pomocą smoków o płonących skrzydłach. Carolinus bez słowa przyglądał się obecnym. Brian zapalał nagłym entuzjazmem.

–Jeśli Bóg da – rzekł – to wpadną w panikę, a wtedy rozbijemy je i przepędzimy z powrotem pod ziemię! Jeśli jednak tak mamy poprowadzić atak, to muszę niezwłocznie pójść do moich ludzi, aby powiedzieć im o tym i ostrzec, że smoki będą po naszej stronie. Uprzedzisz nas w porę o przybyciu smoków, James?

–Możesz na to liczyć, Brianie.

–Ja również muszę zawiadomić o tym łuczników i piechurów, James – powiedział Dafydd. – Aby nie tracić czasu, może mógłbyś przenieść Briana i mnie z powrotem tam, skąd nas przywołałeś?

–Myślę, że mogę. To niewielka odległość i dobrze znane mi otoczenie. – Jim zerknął na Carolinusa, wypatrując jakichś oznak aprobaty lub niezadowolenia, lecz twarz maga jak zwykle nie zdradzała żadnych uczuć. Jim dorzucił, zwracając się do Briana i Dafydda; – Powiedzcie wszystkim, żeby szykowali się do wypadu. Kopijnicy na przedzie. Ja jeszcze tylko przez chwilę pomówię z magiem, a potem odezwę się w waszych myślach, tak jak poprzednio. Wtedy wydacie rozkaz do ataku.

–Dobrze! – odparł stanowczo Brian, a Jim ich odesłał. Znikli.

–Milordzie – powiedziała Joanna. – Teraz, kiedy to już uzgodnione, może znalazłbyś jeszcze chwilkę na tę drugą sprawę, o której wspomniałam. – Zerknęła na Carolinusa, a potem na Hoba. – Wolałabym, aby pozostała ona wiadoma jedynie tobie i twojej małżonce, która już...

–Mów spokojnie – rzekł władczo Carolinus. – Ani ja, ani skrzat nie usłyszymy ani słowa, dopóki nie postanowisz włączyć nas do rozmowy. Masz na to moje słowo maga!

–Dziękuję ci, magu – odparła z wdzięcznością Joanna. Jednak Carolinus tylko uniósł brwi z miną człowieka, który nie dosłyszał. – Cóż, jestem wdzięczna i dziękuję ci ponownie, kiedy skończę. James, mam ci coś do powiedzenia o księciu.

–Tak? – Jim nagle się zaniepokoił. Od początku obawiał się, że księżę wpadnie na jakiś pomysł – pozornie znakomity, lecz niweczący wszelkie ich wysiłki...

–Jak wiesz, znam go od czasów, gdy oboje byliśmy dziećmi na królewskim dworze – powiedziała Joanna. – Możesz wierzyć w to, co ci o nim powiem.

–Chętnie posłucham – odparł Jim, woląc niczego nie obiecywać, nawet w takiej niezobowiązującej rozmowie.

–On zawsze był taki: wybuchowy jak wszyscy Plantagenetowie, gotowy bez namysłu podejmować gwałtowne i niebezpieczne działania. Zarazem jednak wielkoduszny dla pokonanych, nawet dla tych, którzy go zranili lub próbowali to

zrobić, narażając się na jego zemstę. On podziwia rycerskie czyny. Zrezygnowałby z tronu, byleby być z wami w Lionés, kiedy – jak powiadają – w ostatniej bitwie wziął udział sam król Artur i walnie przyczynił się do zwycięstwa.

–Taak – potwierdził Jim, czując dziwne ściskanie w gardle. – Dostrzegłem w nim te cechy.

–Nie jestem pewna, czy rzeczywiście się domyślam, o czym mówisz, ale mam wrażenie, że ze zrozumieniem wysłuchasz tego, co chcę ci powiedzieć. On nie może powiedzieć tego sam, muszę więc to zrobić za niego: uważa, że ma wobec ciebie ogromny dług, nie tylko za ocalenie z rąk czarnoksiężnika we Francji, ale również za uratowanie króla w Tiverton i wiele innych rzeczy. Zobowiązał się słuchać bez zastrzeżeń wszelkich rozkazów zarówno twoich, jak i twoich przyjaciół.

Zamilkła. Jim nie wiedział, co powiedzieć.

–A teraz – odezwała się – powiedziawszy to, odejdę. Magu i skrzacie, dziękuję wam za uprzejmość. Nie ma powodu, abyście nadal odgradzali się chłonnym dźwięki zaklęciem.

Ruszyła w kierunku drzwi.

–Pani – rzekł Jim, odzyskawszy wreszcie mowę. – Nie wiem, jak mam dziękować tobie i jemu...

–Nie ma za co – odparła. – Teraz was zostawiam. Bóg z tobą, Angelo.

Zamknęła za sobą drzwi.

Rozdział 38

–Szybko jej to poszło – stwierdził Jim, spoglądając na drzwi za którymi zniknęło Piękne Dziewczę z Kentu. – Powiedziała, co miała do powiedzenia, i poszła.

–Ona wie, że jesteś bardzo zajęty – przypomniała Angie.

–Mimo wszystko doceniam to. Dobrze wiedzieć, że księżę usłucha swych doradców. Mógłby wszystko zepsuć. Dziwny młodzieniec.

–Nie tak dziwny, jeśli postawić się w jego sytuacji – powiedziała. – W jednej chwili jest członkiem królewskiej rodziny, a w drugiej musi prosić o łaskę stojących niżej od siebie. Sądzę, że wykazał odwagę... ale ty jesteś bardzo zajęty.

Angie odwróciła się i ruszyła w kierunku drzwi.

–Nie. Nie odchodź! – zawołał Jim. – Możesz być mi potrzebna... Chcę, żebyś tu została.

Angie wróciła i usiadła na jednym z krzeseł, patrząc na męża. Jim nagle uświadomił sobie, że chociaż powinien oszczędzać siły, przez cały czas stał, podobnie jak Carolinus. Najwidoczniej plany bitew najlepiej układa się na stojąco. Teraz z ulgą usiadł i ponownie skupił uwagę na magu.

–O czym to mówiliśmy? – zapytał. – Ach tak, właśnie zgodziłeś się ochraniać nogi koni i piechurów. Jeśli chodzi o płonące skrzydła smoków... Będę musiał na chwilę zmienić się w smoka, polecieć i powiedzieć im, kiedy mają się pojawić oraz w jaki sposób, jeśli ma to wyrzucić odpowiednie wrażenie. Jak sądzisz, Carolinusie? Da się wywołać takie złudzenie? Będę musiał pokazać im, że ten ogień nie spali im skrzydeł ani nie wyrządzi żadnej krzywdy. To mi przypomina, że powinienem zawiadomić Secoha. Przywołam go. Ciekawe, gdzie on teraz...

Secoh pojawił się w słonecznej komnacie i spojrzał na nich z lekkim zdumieniem.

–O, dziękuję, Carolinusie – powiedział Jim. – Jak dobrze, że go sprowadziłeś. Zastanawiałem się, gdzie też się podział.

–Właśnie dlatego to ja go sprowadziłem. No, już tu jest, więc porozmawiaj z nim, Jim, ale przypominam ci, że musisz się liczyć z opinią Zgromadzenia. Wielu członków uważa, że te skromne magiczne sukcesy, jakie czasem udawało ci się odnosić, uderzyły ci do głowy...

–Skromne! – powtórzył Jim, pamiętając o duchowych i fizycznych wysiłkach, jakie włożył w zdobycie magicznej laski, za pomocą której zdołał stworzyć – w dodatku tylko dzięki grupce przypadkowo dobranych ludzi – „ludzką ścianę”, która powstrzymała potworną magiczną siłę. Tylko w taki sposób można było przegnać najpotężniejszego z wielkich demonów, Arymana, z powrotem do królestwa demonów i diabłów,

–No, może trochę więcej niż skromne jak na adepta. Nieważne. Oczywiście, iluzję płonących skrzydeł można stworzyć, zarówno w twoim przypadku, jak i dla nich – w razie potrzeby. Stwarzanie iluzji nie wymaga dużych ilości magii. Powiedz im, żeby zawołały „HA!”, a natychmiast staną w płomieniach. Kiedy zechcą, by ogień zgasł, niech powiedzą to jeszcze raz. Każde wypowiedzenie tego słowa przywróci poprzedni stan. Ty też możesz użyć tego słowa, żeby zademonstrować im jego działanie.

Secoh wydał niepewny, zduszony charkot. Jim i Carolinus przyjrzeni mu się uważnie.

–Hm... magu – powiedział, przestępując z jednej tylnej łapy na drugą – my, smoki, rzadko mówimy „ha”. Naprawdę bardzo rzadko. Właściwie nigdy.

–Spróbuj powiedzieć to teraz – poradził Carolinus.

–Cóż... ha...

–Głośniej, bagieny smoku! – warknął Carolinus. – Ryknij!

–HA! – ryknął rozpaczliwie Secoh, ogłuszając wszystkich obecnych w słonecznej komnacie. Jim zauważył, że mimo to natychmiast odzyskali słuch. Rzecz jasna, była to robota Carolinusa.

–Zademonstruj to swoim smoczym przyjaciółom – rzekł mag. – Wybrałem to słowo właśnie dlatego, że nieczęsto go używacie. Teraz rozumiesz?

–Tak, magu – odparł pokornie Secoh.

–Zatem zmykaj, aby czekać na dorosłe smoki.

–One już są w powietrzu, magu, ale trzymają się z dala od Malencontri.

Dzięki wszystkim smoczym bogom, powiedział sobie Jim, za przezorność i rozsądek dorosłych smoków. Młodziki Secoha nie potrafiłyby oprzeć się pokusie zerknięcia na przebieg bitwy – i w ten sposób przedwcześnie zdradziłyby swoją obecność.

–Tym lepiej – mówił Carolinus do Secoha. – Niech poćwiczą wypowiadanie „HA!” i powiedz im, że Jim przyleci do nich niebawem, żeby wyjaśnić im, dlaczego ich płonące skrzydła mają przestraszyć gobliny,

Secoh znikł.

–No, Jim – rzekł Carolinus. – Mam nadzieję, że jesteś zadowolony.

–Istotnie. Teraz jednak dochodzimy do najtrudniejszego.

–Najtrudniejszego? – zmarszczył brwi Carolinus.

–Tak – odpowiedział Jim. – Zdaję sobie sprawę, że wiele od ciebie żądam, ale to niezwykle ważne.

–Cóż, mówiłem ci, że mogę teraz korzystać z magii wszystkich członków Zgromadzenia, ale wiesz, że nie możemy robić cudów, a przynajmniej powinieneś to wiedzieć.

–Wiem – odparł Jim. – Wiem! Nie potrzeba mi cudu, ale sporej ilości magii. Krótko mówiąc, czy możesz otoczyć szczelnym zaklęciem ochronnym każdego naszego pieszego, zarówno kopijnika jak łuczniaka?

Carolinus obrzucił go gniewnym spojrzeniem.

–Ilu ich jest.

–Momencik. Zaraz się dowiem.

–Nie masz takich informacji w małym palcu?

Jim zignorował pytanie. W myślach przemówił do Dafyddda.

–Dafyddzie, nie przerywaj tego, co teraz robisz. Właśnie kończę rozmowę z Carolinusem. Jak tylko skończę, zaatakujemy. Tak jak uzgodniliśmy, najpierw piesi i łucznicy, potem konni. Muszę jednak wiedzieć, ilu ich jest. Możesz mi powiedzieć?

–Czternastu tych, których z uprzejmości można nazwać łucznikami, oraz dwustu

dziwięciu kopijników – odpowiedział natychmiast Dafydd, jakby udzielał takich odpowiedzi w myślach od lat, a nie po raz pierwszy.

–Razem dwustu dwudziestu trzech! – powiedział głośno Jim, równie zaskoczony tą liczbą jak zapewne Carolinus.

–Dwustu dziwięciu! – zawtórował mu mag.

–Och... i czternastu łuczników – dodał nieśmiało Jim. – Wszystkich razem dwustu dwudziestu trzech.

–Ochronne zaklęcie? Dla dwustu dwudziestu trzech dorosłych osób? – rzekł Carolinus. – To niemożliwe! Absolutnie niemożliwe, Jim!

–To wojna – przypomniał mu Smoczy Rycerz.

–Nie dbam o to, nawet jeśli to wiejska potańcówka! Dwieście dwadzieścia trzy żywe istoty...

–O to chodzi – zauważył Jim. – Chcemy, by pozostali żywi, a nie zginęli od zatrutych magią włóczni goblinów.

–Dlaczego nie poprosisz mnie, żebym za pomocą magii rozbroił wszystkie gobliny? Czy naprawdę prosisz mnie, żebym stanął przed Zgromadzeniem i tłumaczył się z tak ogromnego zużycia magii?

–A mógłbyś je rozbroić, gdybyś dysponował odpowiednią jej ilością?

–Na pewno nie! – odparł Carolinus. – Z osiemnastu powodów. Po pierwsze dlatego, że wymagałoby to zużycia wszystkich magicznych zasobów Zgromadzenia – mozolnie zbieranych przez wieki. Po drugie, byłoby to rażącym pogwałceniem podrozdziału pierwszego *Encyclopedic Necromantic...*

–Jakiego podrozdziału pierwszego? – dopytywał się Jim. – Nie ma takiego w moim egzemplarzu.

Carolinus przeszył go wzrokiem.

–Podrozdział pierwszy zabrania zużywania całej naszej magii, chyba że w obronie Zgromadzenia. To jedna z tych wiadomości, których nie powinienesz znać, dopóki sam nie zostaniesz członkiem Zgromadzenia. Odpowiedź brzmi „nie”!

–Mógłbyś jednak otoczyć ochronnym zaklęciem naszych dwustu dwudziestu trzech pieszych.

–Nonsens!

Jim zastanawiał się. Postanowił ponownie porozmawiać w myślach z Dafyddem.

–Dafyddzie?

–Tak, James?

–Skąd wzięłeś tylu pieszych?

–Nie było z tym kłopotu. W rzeczy samej, musiałem użerać się ze staruszkami i chłopcami poniżej piętnastu lat, którzy koniecznie chcieli wziąć udział w bitwie. Powiedziałem im, że piki są za ciężkie i choć mogą je podnieść, to nie zdołaliby się nimi zręcznie posługiwać, a ponadto będą potrzebni, by bronić murów, gdyby wszyscy nasi polegli. Teraz już się uspokoili, ale był jeden przykry moment, kiedy Tom Kuchcik przysięgał, że skończy piętnaście lat, a May Heather twierdziła, że wcale nie. Rozumiem, że są zaręczeni.

–Dobrze. Zaczekaj jeszcze chwilkę. Jeszcze rozmawiam z Carolinusem o magii,

jaka będzie nam potrzebna. Być może uda nam się otoczyć pieszych ochronnym zaklęciem. Za chwilę do ciebie wrócę. Powiedz Brianowi, że to nie potrwa długo.

–Zrobię to. – Jim usłyszał cichy chichot, na który Dafydd bardzo rzadko sobie pozwalał. – Ma trochę kłopotów ze swoimi konnymi, którzy niecierpliwą się i rwą do walki.

–Cóż, Jim – głos Carolinusa brzmiał tak, jakby mag przeżuwał tłuczone szkło. – Z żalem muszę odmówić ci spełnienia obu tych żądań, ale...

–Trudno – powiedział Jim. – Rozumiem. Śmierć moich ludzi i sąsiadów, zdobycie zamku i wymordowanie wszystkich, którzy w nim przebywają, włącznie z królem, to drobiazg w porównaniu z koniecznością utrzymania jak największych zasobów magicznej energii członków Zgromadzenia.

Carolinus patrzył na niego surowo, ale milczał. Jim, uznawszy, że tym razem zadał mu dotkliwszy cios niż kiedykolwiek wcześniej, też nic nie mówił. Równie dobrze jak wszyscy wiedział, że sumienie Carolinusa dojdzie do głosu, trzeba tylko dać mu na to czas. Wiedział także, że Carolinus jest nie tylko jednym z założycieli Zgromadzenia, ale i jego przywódcą.

–Pewnie wyrzucą mnie ze Zgromadzenia – jęknął mag. Teraz nadeszła odpowiednia chwila, aby to powiedzieć.

–Nonsens! – rzekł głośno Jim. – Założyciela tej szacownej instytucji? Gdyby któryś mag zgłosił taką propozycję, pozostali powstaliby i zniszczyli go.

–Nie rozumiesz, Jim – odparł ze smutkiem Carolinus. – Ludzie od czasu do czasu muszą umierać. Przyjaciele – nawet bliscy – czasem zostają na polu bitwy, a zamki padają. Chodzi o przyszłość, taką, jaką jesteśmy w stanie ogarnąć, i nie można przekreślić wszystkich naszych dotychczasowych starań dla jednej sytuacji, jednej bitwy...

Jim milczał, gdyż to również było dlań coś nowego.

–Z drugiej strony... – głośno myślał mag – przedwczesna śmierć króla...

–Zatem – wtrącił Jim – jest jednak jakiś powód, aby ochronić piechurów?

Obciążeni długimi, czterometrowymi pikami będą łatwym celem dla zatrutych włócznie goblinów. Najwidoczniej gobliny mogą posługiwać się magią do woli, a my naszej musimy skąpić?

–Powiedziałem już, że nie rozumiesz sytuacji – rzucił z urazą Carolinus. Po chwili wahania dodał: – Może mógłbym osłonić wszystkich tych ludzi, ale tylko przez krótki czas, powiedzmy przez kwadrans.

–Dobrze wiesz – odparł Jim – że losy żadnej bitwy nie mogą się rozstrzygnąć w ciągu piętnastu minut.

–Nie jestem pewien, czy masz rację... jak długiej bitwy się spodziewasz?

Jim usiłował sobie przypomnieć, jak długo trwała bitwa w Liones, kiedy pojawił się król Artur – już siwobrody, lecz wciąż niepokonany – by jeszcze raz poprowadzić swych wiernych rycerzy do zwycięstwa nad armią najemników wysłanych przez earla Cumberlanda do krainy, do której zwykli śmiertelnicy nie mieli wstępu.

Dowodzeni przez Artura rycerze Liones przez kilka godzin zmagali się z wielokrotnie liczniejszymi siłami nieprzyjaciela.

–Sześć godzin – powiedział z lekkim zapasem Jim.

–Niemożliwe. – Tym razem Carolinus powiedział to spokojnie i ze smutkiem. – Po prostu nie da się na tak długi czas otoczyć tylu ludzi ochronnym zaklęciem.

–Cóż... – mruknął Jim. – Jeśli dopisze nam szczęście... może pięć godzin...

–Wciąż niemożliwe. Mogę ci dać godzinę, nie więcej.

–Godzinę na pokonanie takiej liczby goblinów, przeciw którym stanie ledwie garstka sąsiadów, moich poddanych i służby! W żaden sposób nie zdołamy zwyciężyć w ciągu godziny. Posłuchaj, może uda mi się jednak wyciągnąć królika z cylindra. Daj nam cztery i pół godziny, a my spróbujemy zakończyć bitwę prędej, wtedy będziesz mógł zabrać tę magię, która zostanie! W przeciwnym razie stracimy wielu porządnych ludzi, kiedy chroniące ich zaklęcie nagle straci moc...

Dyskusja przerodziła się w zażarte targi. Carolinus opierał się zawzięcie, lecz zwykle ugodowo nastawiony Jim nie zamierzał ustąpić ani na krok, gdyż stawką było życie ludzi, których znał i kochał.

Rozdział 39

W końcu uzgodniono, że piesi będą chronieni zaklęciem przez półtorej godziny, jeźdźcy i ich rumaki przez trzy i pół, smoki otrzymają ogniste skrzydła aż do końca bitwy, lecz nie dłużej niż pięć godzin i nie więcej niż dwieście par.

–Co więcej – zakończył Carolinus – lepiej uprzedź je zawczasu, czego się mają spodziewać, jeśli już są w powietrzu, gotowe do ataku. To w końcu zwierzęta i kiedy niespodziewanie zetkną się z czymś, czego nigdy nie widziały, instynkt nakazuje im podkulić ogon pod siebie i zmykać jak najdalej. Pamiętam, jak wkrótce po przyjęciu w poczet członków Zgromadzenia natknąłem się na wielkiego niedźwiedzia, który szedł z wiatrem i nie wyczuł wcześniej mojego zapachu. Dobrze go znałem i często z nim rozmawiałem, ale nigdy wcześniej nie widział mnie w szacie maga. Uciekał jak szalony.

–Masz rację – rzekł Jim. – A więc wszystko uzgodnione?

–Jeśli o mnie chodzi, to tak – odrzekł Carolinus. – Nie trać czasu na przemienianie się w smoka i lot. Stań się niewidzialny, a ja cię do nich przeniosę. Wtedy przybierzesz smoczą postać i pojawisz się im z płonącymi skrzydłami.

–Dziękuję – powiedział Jim i zanim znikł, wyrwało mu się jeszcze: – Jeśli tylko jesteś pewien, że nie będzie to zbyt wielki wydatek twoich zapasów magii.

–Jim – odrzekł Carolinus z łagodną przyganą, – Dobrze wiesz, że to tylko kropla w morzu w porównaniu z tym, o co prosisz.

Jim poczuł, że pieką go już niewidzialne uszy.

–Masz rację – powiedział. – Przepraszam, mam za długi język.

–Interesująca przerośń – skomentował Carolinus i Jim znalazł się w powietrzu jakieś sto metrów nad gęstym lasem, wśród ogromnych, dorosłych smoków. Młode z pewnością nadaremnie błagały, żeby pozwolono im wziąć udział w tej wyprawie, Kołujące nad lasem stado z Cliffside wyglądało, jakby skupiało wszystkie smoki świata, wypełniając całe niebo i zataczając ciasne kręgi. Zanim Jim się pojawił, smoki zasypywały gradem pytań Secoha i siebie nawzajem, rycząc tak, że słyhać je było na kilometr.

Na widok Jima donośne porykiwania gwałtownie ucichły. Zobaczywszy jego płonące skrzydła, smoki rozpierzchły się na wszystkie strony. Carolinus miał rację w tym, co mówił o zwierzętach i instynkcie.

–To ja, Jim-smok! – ryknął swym donośnym głosem. – Wy też będziecie mieć takie płonące skrzydła! Wracajcie!

Nawet te, które odleciały najdalej, nie mogły nie usłyszeć jego głosu. Ostrożnie, jeden po drugim, zaczęły wracać i krążyć wokół niego. Były dziwnie milczące. Nawet Secoh, który podleciał najbliżej, nie odzywał się.

–Smoki z Cliffside! – zaryczał Jim. – Widzicie mnie w przerażającej postaci, z płonącymi skrzydłami, które też dostaniecie, żeby przerazić gobliny. Ten ogień jest magiczny. Nie tylko w nim nie spłoniecie, ale nawet go nie poczujecie.

Smoki przyjęły tę informację pomrukami zadowolenia.

–Przybyłem tu, by prosić was, żebyście nie opuszczały się zbyt nisko.

Przelatujcie co najmniej dwa metry nad głowami goblinów. Któż lepiej ode mnie wie,

jak bardzo wrodzona nam wojowniczość popycha nas do starcia z wrogiem? Jednakże faktem jest, że bardziej przerażacie gobliny, przelatując nad ich głowami, niż gdybyście wylądowały na ziemi i zaczęły je zabijać. Ponadto zachowanie bezpiecznej odległości będzie także rozsądne, co takie dorosłe smoki jak wy z pewnością rozumieją. Czy mogę liczyć, że wszyscy zrobią lak, jak mówię?

Odpowiedziały mu pomrukiem szybko przechodzącym w ryk, do jakiego zdolne są jedynie smoki. Wcale nie były pewne, że to naprawdę będzie rozsądne...

–Właśnie wracam od maga Carolinusa – ciągnął pospiesznie Jim. – To on stwierdził, że to dla smoków najlepszy sposób atakowania armii goblinów uzbrojonych we włócznie.

Oczywiście kłamał, ale powiedział sobie, że robi to w słusznej sprawie. Pomruk zmienił się w zgodny, chóralny ryk. Jim wiedział, że smoki były uradowane wieścią, że nie będą musiały walczyć. Prawdę mówiąc, nie miały zamiaru tego robić, choćby nie wiem co. Po co ryzykować, jeśli nie ma mowy o złocie czy innym wynagrodzeniu? Teraz były zadowolone z tego, że namawia je do zrobienia czegoś, co same chciały zrobić.

–Dziękuję wam, moi kuzyni z Cliffside! – zawołał Jim. – Wiem, z jakim trudem będziecie się powstrzymywać od udziału w walce, ale to jedyna droga do zwycięstwa. A nasi rycerze są bardzo nieliczni i rozpaczliwie potrzebują waszej pomocy...

Powoławszy się już na Carolinusa, Jim teraz to samo uczynił wszystkim obrońcom zamku, którzy jak jeden mąż – i to nie tylko rycerze – zniechęciliby go na wieki, gdyby słyszeli, jak mówi, że rozpaczliwie potrzebują pomocy smoków.

–Powiem wam, kiedy macie przyjść nam z pomocą. Gdy nadejdzie odpowiednia chwila, wyślę magiczny sygnał do Secoha, żebyście przeprowadziły udawany atak... mówię o pozorowanym ataku – poprawił się pospiesznie. To słowo brzmiało tak bojowo i działało cuda w przypadku skrzatów.

Teraz również. Smoki chóralnym rykiem wyraziły zgodę. Carolinus przeniósł go z powrotem do słonecznej komnaty, przywracając mu widzialną i ludzką postać.

–Dobra robota – pochwalił.

–Dziękuję. Zatem widziałeś i słyszałeś wszystko to, co im powiedziałem? – spytał Jim. – Chciałbym to umieć.

–Po raz ostatni mówię ci, żebyś skończył z takimi zachciankami – prychnął ze zniecierpliwieniem Carolinus. – Znajdziesz własny sposób. Jak mam ci wbić do głowy, że każdy z nas inaczej posługuje się magią? Ty już teraz potrafisz robić różne rzeczy, których ja nie potrafię...

–Tak? – Jim spojrzał na niego ze zdumieniem.

–I nie pytaj mnie jakie. Nie zamierzam ci powiedzieć. No dobrze, co teraz?

–Teraz – odparł Jim – naprawdę zaatakujemy. Angie, Hobie, wy zostanieie ze mną. Ty także, Carolinusie, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Wybacz, nie zamierzałem ci rozkazywać. Jednak możesz być mi potrzebny, kiedy zacznie się bitwa.

–Niewątpliwie.

Jim posłał w myślach pytanie do Dafyddda:

–Czy twoi piesi są gotowi do ataku?

–Wszyscy gotowi – odpowiedział łucznik.

–Przez pewien czas będzie chronić ich magia, ale potem będą zdani na własne siły. Wyprowadź ich. Jeśli jeszcze o tym nie wiedzą, to powiedz im teraz, że poprowadzą natarcie, a konni będą tuż za nimi, gotowi odepchnąć kontratak goblinów na flanki.

–Już im to powiedziałem, James – pomyślał Dafydd. – Bardzo dobrze to przyjęli. Rwą się do walki tak samo jak konni i są dumni z tego, że uderzą pierwsi!

–Dobrze. Teraz uprzedzę Briana – powiedział Jim i wniknął w myśli przyjaciela. – Brianie, czy twoi jeźdźcy są gotowi do ataku?

–Gotowi i rwą się do boju. Oczywiście niezbyt się cieszą z tego, że pospólstwo uderzy pierwsze, ale książę przekazał im ten rozkaz i nikt nie protestował.

–Wspaniale. Przepróż ich w moim imieniu, Brianie, i powiedz, że rozmawiałem z Carolinusem. Pomogą nam smoki z Cliffsides, nadlatując na ognistych skrzydłach.

–Znakomity pomysł. Czy naprawdę będą walczyć?

–Prosiłem, żeby tego nie robiły. Mają przelecieć nad głowami goblinów i wzbić się w powietrze. Zgodziły się na to. Mają tylko przerazić gobliny i narobić zamieszania.

–Dobrze. Nasi ludzie chcą sami zwyciężyć, jeśli to możliwe.

–Cieszę się, że tak do tego podchodzisz. A przy okazji, wiesz, że to książę ma wydać rozkaz do natarcia. Chcę, żeby to zrobił, ale potem dopilnuj, żeby go nie poniosło. To ty będziesz naprawdę dowodził. Kiedy rozpocznie się bitwa, będziesz mówił mu, jakie ma wydawać rozkazy, w przeciwnym razie gotów jest realizować własne koncepcje.

–Nie przyjdzie mi to łatwo, James. Jest nie tylko wysoko urodzony, ale był pod Poitiers, a ja nie.

–Mimo to zrób, jak mówię – polecił Jim – albo wezwij mnie w myślach, żebym sam mu wyjaśnił, chociaż wolałbym to zrobić jedynie w ostateczności. Teraz odchodzę.

–Bądź spokojny, James. W razie czego poradzę sobie z nim. Bywaj.

–Uważaj... – Jim powstrzymał się i nie dodał „na siebie”. Nie powiedział Dafyddowi ani Brianowi, że czary Agathy Falon lub czarownika z Zachodu, jeśli wciąż tu był, mogły w nieoczekiwany sposób przechylić szalę bitwy na niekorzyść ludzi. Im mniej będą o tym wiedzieli, tym lepiej.

Nawet jeśli Falon czy czarownik spróbują coś zrobić, to Carolinus szybko się zorientuje i położy temu kres. Jim pospiesznie wycofał się z umysłu Briana i skontaktował się z księciem.

–Wasza miłość, mówi James. Carolinus i ja doszliśmy do wniosku, że zrobimy najlepszy użytek z naszej magii oraz naszych niewielkich sił zbrojnych, jeśli twoi konni puszczą przodem piechurów, starając się nie wyprzedzić ich i nie stratować, rwąc się do walki z goblinami.

–Czy to naprawdę konieczne, James? – wyczuł wyraźnie pełną niezadowolenia myśl młodego Edwarda. Najwidoczniej wszyscy Plantagenetowie szybko kojarzyli.

–Tak, wasza miłość – uciał Jim i nie czekając na odpowiedź, dodał: – Niech cię Bóg prowadzi. Może życzysz sobie teraz zawiadomić konnych, żeby przygotowali się

do takiego manewru?

–Wydam taki rozkaz. Żaden z konnych rycerzy nie odważy się nie usłuchać. Ja również pojadę za piechotą, ale jako pierwszy z jeźdźców. Nie sądzę, aby któryś z rycerzy ośmielił się wysunąć przede mnie.

–Dziękuję, wasza miłość. Upowiedziałem Briana, że pewnie zechcesz to zrobić. Ponadto przyjdą nam z pomocą smoki, Brian powie ci o tym więcej.

–Smoki? Bardzo dobrze. Nie będę cię już dłużej zatrzymywał, James. Rozumiem, że możesz w taki sposób rozmawiać ze mną podczas potyczki z tą bandą obwiesiów?

–Tak. Jak najbardziej, wasza miłość.

–Dobrze. Ruszamy. Jim przerwał kontakt.

–Zauważyłem, że dość swobodnie poczynasz sobie z moim imieniem – stwierdził sucho Carolinus.

–Wybacz, magu, ale teraz zrobiłbym wszystko, co tylko mogłoby nam pomóc.

Jim podszedł do jednego z okien i spojrzął na dziedziniec. Kopijnicy i łucznicy ustawiali się w szyku pod wielką bramą, którą już otwierano. Księżę siedział na koniu, na którym przyjechał do Malencontri, i wydawał rozkazy swoim jeźdźcom. Ci nie okazywali niezadowolenia, chociaż trudno to było ocenić, patrząc z takiej wysokości i pod takim kątem. RMSP – Ranga Ma Swoje Przywileje – to jedno z podstawowych praw rządzących każdą armią od zarania dziejów.

Jim zauważył, że Angie stanęła przy okienku po lewej, a Carolinus po prawej stronie. Księżę skończył mówić i odwrócił wierzchowca, zajmując miejsce na czele kolumny. Wielka brama, otwierana za pomocą kołowrotów obsługiwanych przez wartowników, już została otwarta i piechurzy pod wodzą Dafyddda – który dziś dosiadł konia, by być lepiej widzianym i słyszany przez swych podkomendnych – zaczęli wychodzić z zamku. Gdy tylko przeszli po zwodzonym moście, szybko odwróciły się łucznicy rozbiegli się na prawo i lewo, osłaniając piechotę. Zdziwiałe, ale zbity tłum goblinów na ich widok pospiesznie wycofał się spod zamku na skraj lasu.

Słońce jasno świeciło, lecz wiejący rankiem wietrzyk teraz ucichł i nawet najbliższy podmuch i nie tarosił odzienia piechurów. Za nimi księżę na swym wierzchowcu czekał, gotowy do boju.

Jim miał dziwną ochotę przyłączyć się do nich. Pospiesznie odepchnął od siebie tę myśl. Czy skłaniały go do tego wyrzuty sumienia? Czy też raczej po tych kilku latach, jakie wraz z Angie spędzili w średniowiecznych czasach, doszły do głosu prymitywne emocje?

Tak czy inaczej, nie mógł wziąć udziału w bitwie. Jego miejsce było tutaj, skąd podczas starcia z goblinami mógł widzieć nie tylko wszystkich obrońców Malencontri, ale także całą otwartą przestrzeń wokół zamku, która stanie się polem bitwy.

–Mają na głowach hełmy – powiedziała nagle Angie. Mówiła o hełmach, w jakie wyposażono kopijników. Nie na wiele się przydadzą przeciwko włóczniom goblinów, lecz ludzie będą mieli poczucie, że są prawdziwymi żołnierzami. Przynajmniej tak zawsze się czuła służba Malencontri, gdy nakładała hełmy, aby stanąć na murach i

udawać zbrojnych, odstraszać zagrażającego zamkowi nieprzyjaciela.

–Może – powiedział Jim, zwracając się do Carolinusa – popełniłem błąd, nie mówiąc im wszystkiego o magii, jaką wykorzystasz, żeby im pomóc. Wydaje mi się jednak, że im mniej o tym wiedzą – nie licząc smoków, o których musieliśmy powiedzieć – tym lepiej.

–Jim, czasami przestaję wątpić w to, że kiedyś zostaniesz prawdziwym magiem – odparł Carolinus.

Pomruki siedzących na dachach skrzatów przeszły w zgiełk.

–Nadciągają gobliny! – zawołała Angie.

Piechurzy już wyszli z zamku i sformowali szyk. Widząc to, gobliny runęły naprzód zwartym tłumem, błyskając ślepiami i grotami włóczni. Kopijnicy ustawili się w szeregu dziesięć metrów od fosy.

Zamknięte okno z szybą oddzielającą go od tego, co działo się na zewnątrz, nagle zaczęło drażnić Jima. Otworzył je na oścież. Rześkie, zimne powietrze ochłodziło mu twarz i nagle wyraźnie usłyszał wszystkie dochodzące z dołu odgłosy.

Kopijnicy sformowali szyk wzdłuż zamkowej fosy. Dafydd podjechał do nich i powiedział coś, czego Jim nie zdołał zrozumieć. Piesi z okrzykiem ruszyli do przodu. Konni jechali za nimi, księżę i jego chorąży o dwie końskie długości przed pozostałymi. Wielkie wrota powoli się zamykały. W razie konieczności nagłego, pospiesznego odwrotu nie dałoby się ich szybko otworzyć. Mniejsze drzwi w lewym skrzydle wrót można było otworzyć w mgnieniu oka, lecz wracający mogliby przechodzić przez nie tylko pojedynczo, a w najlepszym razie przeciskać się dwójkami. Na dziedzińcu czekał niewielki odwód, gotowy w razie potrzeby osłaniać wracających.

Znalazszy się na otwartej przestrzeni, księżę uniósł miecz i krzyknął. Jeźdźcy popędzili konie do galopu i niemal natychmiast zwolnili do truchtu, żeby pozostać za plecami pieszych.

Tymczasem gobliny, które przystanęły na moment, obserwując te manewry, znów ruszyły na spotkanie piechoty. Część z nich parła do bezpośredniego starcia, a pozostałe usiłowały oskrzydlić kopijników. Łucznicy, z których każdy niósł dodatkowy kołczan ze strzałami, zatrzymali się, spokojnie powtykali w ziemię przed sobą po pół tuzina strzał, a potem zaczęli słać jedną za drugą w szeregi nadciągających goblinów.

Być może zaskoczone tą nie znaną im bronią, która raziała na znaczną odległość, gobliny ponownie zatrzymały się. Zobaczywszy jednak, jak nie wielu jest tych zabójców, znowu ruszyły naprzód. Na rozkaz księcia jeźdźcy podzielili się na dwie grupy i rozjechali na boki, zajmując pozycje na skrzydłach.

Spoglądającemu na to z wysoka Jimowi wszystkie te manewry, z wyjątkiem wykonywanych przez łuczników, wydawały się niezdarne i niezdyscyplinowane. Po chwili zdał sobie sprawę z tego, że oczekiwał zorganizowanego ataku, jaki był zgoła niemożliwy podczas czternastowiecznej bitwy. Szczególnie w przypadku siedzących na koniach rycerzy, którzy zwykli indywidualnie i bezpośrednio atakować przeciwnika, nie zważając na nic i nikogo, kto stanął im na drodze.

Natarcie jazdy, które nastąpiło natychmiast po gradzie celnych strzał, po raz trzeci zatrzymało gobliny usiłujące oskrzydlić kopijników idących łąwą i spychających lżej uzbrojonych i słabszych nieprzyjaciół. Przez krótką chwilę wydawało się, że kopijnicy i jeźdźcy na swych tratujących, gryzących i wierzgających rumakach mają szansę zwycięstwa.

Wtedy jednak łucznicy, opróżniwszy już po dwa kołczany, zaczęli jeden po drugim podbiegać do drzwi w bramie, gdzie podawano im następne. Widząc to i sądząc, że jest to zapowiedź odwrotu, gobliny znowu natarły, usiłując okrążyć kopijników i jeźdźców.

Jim, który jak zauroczony obserwował przebieg wydarzeń, jakby osobiście był tam w polu ze swoją małą armią, gwałtownie powrócił do rzeczywistości.

–Secohu! – rozkazał w myślach. – Niech smoki atakują! Natychmiast! Każ im przelecieć nad tymi goblinami, które usiłują okrążyć naszych!

–Już lecimy, milordzie! – odkrzyknął w myślach Secoh.

Rozdział 40

Smaki nadleciały. Było jeszcze wczesne popołudnie, lecz słońce nad Anglią już zmieniło się w czerwoną kulę wiszącą tuż nad czubkami drzew. Jim wiedział, że będzie tam widoczne przez kilka godzin, zanim w końcu zniknie z oczu. Przy dziennym świetle magiczne płomienie na szeroko rozpostartych smoczych skrzydłach wydawały się nieco blade, lecz i tak były dobrze widoczne w ten pochmurny dzień,

Smoki nadleciały znad lasu i zaczęły nurkować ku szeregom goblinów.

Piszcząc z przerażenia, gobliny rozpieczęły się na wszystkie strony, zapominając o wrogach na ziemi. Najprawdopodobniej każdy z nich w tym momencie myślał to samo: „Tylko nie mnie! Niech pożre kogoś innego!”

Najwyraźniej widok pierzchających nieprzyjaciół dodał nowych sił pieszym i konnym, chociaż wierzchowce przez moment zdawały się podzielać zdanie goblinów, lecz popędzone przez jeźdźców, runęły na skotłowane szeregi wroga. Jim po raz pierwszy poczuł przypływ nadziei. Może jednak zdołają zwyciężyć i zmusić gobliny do powrotu pod ziemię.

Jednak panika goblinów nie trwała długo. To niewiarygodne, pomyślał Jim, że tak szybko przystosowują się do zmian sytuacji, nie mając żadnego przywódcy ani planu. Najwidoczniej są bardziej jednomyślne, niż byliby ludzie w takich warunkach. Już zauważyły, że smoki nie dolatują do samej ziemi i nie zapalają ich swoimi ognistymi skrzydłami. A skoro smoki nie zamierzają opaść na ziemię, żeby wzniecić pożar, to można je ignorować, najwyraźniej pomyślały gobliny.

Znów zwały szeregi, ruszyły naprzód i zaczęły spychać w tył piechurów i konnych, nie zważając na ogromne straty, jakimi okupiony był każdy zdobyty metr terenu. Wykazywały w ten sposób niezwykłą odwagę, lub – jak sądził Jim, pamiętając pokiereszowanego skrzata z Tiverton, bezwładnie spoczywającego w ramionach Hoba po kilku dniach tortur – całkowity brak uczuć, pozwalający im nie przejmować się cierpieniami czy śmiercią towarzyszy.

Walczą jak stado zwierząt, pomyślał Jim, skupionych tylko na tym, by rozszarpać wroga.

Nagle nadleciał Secoh na swych płonących skrzydłach. On również pikował dotychczas ze wszystkimi smokami z Cliffside, w ostatniej chwili wzbijając się w górę. Teraz jednak, zamiast poderwać się tuż nad ziemią, wylądował w tłumie wrogów, zabijając goblina, którego sobie wybrał. Pozostał na ziemi, tłukąc na prawo i lewo ognistymi skrzydłami, nie wznecając ognia, ale przy każdym uderzeniu kładąc trupem kilku przeciwników.

Gobliny rozpieczęły się, lecz nie uciekły daleko. Z bezpiecznej odległości zaczęły rzucać w niego włóczniami. Dwie z nich już wbiły się między twarde łuski chroniące jego grzbiet. Secoh, na którego nie działała magiczna trucizna grotów, wpadł w furję, co u przedstawicieli jego gatunku było instynktowną reakcją na niebezpieczeństwo. Niegdyś sądził, że zatracił tę cechę, ale odzyskał ją, przyłączywszy się do starego i kalekiego Smrgola, by razem z nim walczyć z olbrzymim i złym smokiem Bryaghem.

–Secohu! – zawołał gniewnie Jim. – Wynoś się stamtąd! Bo cię zabiją. Rób to co

inne smoki!

–Milordzie! – odkrzyknął triumfalnie Secoh. – One nie walczyły pod Wieżą Loathly! Ja tam byłem! Jestem inny!

–Wystarczająco inny, żeby dać się zabić, a jesteś mi potrzebny do przekazywania im rozkazów. Za chwilę wszystkie przyłączą się do ciebie i zginą szybciej niż ty! W powietrze, Secohu! To rozkaz!

Smoki nie są przyzwyczajone do wykonywania rozkazów. Jim wstrzymał oddech, spodziewając się, że Secoh nie usłucha. Jednak bagienny smok zbyt długo przestawał z Jimem i innymi ludźmi.

Niechętnie wzbił się w powietrze i poleciał w niebo, otrząsając się jak wielki pies, aż jedna po drugiej poodpadały wszystkie tkwiące w jego ciele włócznie. Jim odetchnął z ulgą. Smoki są niezwykle odporne na infekcje. Rany Secoha szybko się zagoją.

Tymczasem wyrąbany przez Secoha wyłom w szeregach goblinów zdążył się już ponownie zapełnić i nie ulegało wątpliwości, że jeźdźcy i piechota są stopniowo spychani w stronę zamku.

To moja wina, pomyślał Jim, czując ogarniający go chłód. Nie powinienem był wypuszczać ich z zamku, chociaż tak bardzo rwali się do walki. Może zdołalibyśmy obronić mury. Może przedwcześnie spadłby śnieg i zmusił gobliny do odwrotu... Mogło się zdarzyć wiele różnych rzeczy. Poniosło mnie...

Nagle pojawił się przed nim Hob.

–Milordzie! Milordzie... jesteście tam potrzebni. Możemy już ruszać?

Nie! – wrzasnął w myślach Jim. Nie chcę mieć na sumieniu jeszcze waszej krwi...

Jednak nagle zauważył Angie, stojącą tuż za Hobem, który uklęknął i błagalnie wyciągnął ramiona.

–Pozwól im, jeśli tego chcą – powiedziała czystym, mocnym głosem. Obok niej stał Carolinus z twarzą wykrzywioną dziwnym grymasem.

–Pozwól im! – mag zawtórował Angie.

–Nigdy nie klękaj przede mną! – warknął Jim, chwycił skrzata za rękę i poderwał na nogi. – Ruszajcie więc wszystkie, jeśli tego chcecie!

Hob odwrócił się, jednym susem wskoczył do kominka i znikł. Usłyszeli, jak krzyknął coś głośno i niezrozumiale. Odpowiedział mu tak głośny chór piskliwych okrzyków, że zamkowa wieża zdawała się trząść od nich w posadach.

–Spójrzcie! – zawołała Angie.

Jim, który odwrócił się od okna, teraz znów przez nie spojrzał.

–Otwórzcie bramę! – zawołał, gdy tylko wrzawa przycichła i wartownicy mogli go usłyszeć. Wielkie kołowroty poruszające skrzydłami wrót zaskrzypiały, powoli je rozchylając, gdy podniesiono równie wielką antabę. Jednak skrzaty nie czekały, aż otworzą im bramę. Na smużkach dymu przelatowały nad bramą i murami, pędząc w kierunku pola bitwy, gnając przed sobą gęstą chmurę brązowego dymu.

Ta chmura i lecąca za nią chmara skrzatów wpadła na gobliny i spowiła ich pierwsze szeregi. Skrzaty zanurkowały w ten obłok i zniknęły, a dym rozprzestrzenił się na wszystkie strony, zasłaniając całe pole bitwy. Piskliwe okrzyki wydobywające

się z gardeł niezliczonych skrzatów mieszały się z wrzaskami goblinów. Powstał nieopisany harmider, niemal ogłuszający ludzi w zamku, a z pewnością nie do zniesienia dla walczących w polu.

Piesi i konni wynurzyli się z dymu, cofając się, zdejmując hełmy, kaszląc i spazmatycznie łapiąc w płuca czyste powietrze. Ruszyli w kierunku otwierających się wrót. Smoki, instynktownie zaniechawszy fingowanych ataków, wciąż krążyły nad polem bitwy, z zainteresowaniem obserwując rozwój sytuacji.

Wielka brama już została otwarta. Obrońcy wypełniali dziedziniec, klnąc, kaszląc, kichając i płacząc. Kiedy wszyscy znaleźli się w środku, brama zaczęła się zamykać, lecz nagle znieruchomiała.

Ani Jim, ani nikt inny nie wydał takiego rozkazu.

–Zamknąć bramę! – krzyknął Jim. – Skrzaty mogą wrócić górą!

Wrota z głośnym skrzypieniem znów zaczęły się zamykać. Jednak wcale nie było widać wracających skrzatów. Dym wciąż spowijał całe pole bitwy. Od czasu do czasu można było w nim dostrzec zbity tłum skrzatów i goblinów. Najwyraźniej pod jego osłoną wciąż trwała zażarta walka. Jim, Angie i Carolinus spoglądali przez otwarte okna i teraz oni również poczuli słaby, kwaśny zapach dymu. Jim zacisnął zęby,

Hobie! – w końcu rozpaczliwie zawołał w myślach. Jednak skrzat, który przez wiele lat natychmiast pojawiał się na wezwanie, nie odpowiedział.

Nie mogąc usiedzieć spokojnie, Jim zaczął przechadzać się tam i z powrotem po komnacie.

–Nie mogę tego wytrzymać!– powiedział wreszcie. – Muszę zobaczyć, co się tam dzieje!

–Jim! Nie pójdziesz tam!

–Muszę – wycedził przez zęby. – Oprócz tego, że oszaleję tu z niepokoju, one są częścią naszej armii i muszę wiedzieć, co robią. Chyba że zdołam to sprawdzić za pomocą magii. Carolinusie, czy jest jakiś sposób, żeby...

–Zobaczyć coś z takiej odległości w tym dymie? – odparł Carolinus. – Nie znam takiego czaru. Gdybyś znalazł się w tej chmurze, mógłbym ci pomóc. Wprawdzie nadal tkwiłbyś w kłębach dymu, ale widziałbyś lepiej niż ktokolwiek z tam obecnych. Tylko że nie wiem, czy mogę cię puścić.

–Nie powstrzymasz mnie... – zaczął Jim, ale nagle doznał dziwnego, nieznanego uczucia, którego wcale się nie spodziewał, Jego umysł został obezwładniony. Nie do końca, gdyż wciąż mógł myśleć i poruszać kończynami, lecz ta jego część, która sprawowała kontrolę nad magiczną energią, została całkowicie wyłączona. Nie był w stanie przypomnieć sobie, w jaki sposób korzystał z magii. Nagle został jej zupełnie pozbawiony.

–Jest na to rada – rzekł Carolinus niemal ze smutkiem. – Dowiesz się jaka, kiedy zostaniesz członkiem Zgromadzenia. Do tego czasu nie zdołasz się uwolnić. Jesteś gwarantem zwrotu całej magicznej energii, jaką pożyczyłeś za moim pośrednictwem od Zgromadzenia. Gdybyś umarł, nie zdołalibyśmy jej odzyskać. Jeśli przeżyjesz, pewnie jakoś zdołasz ją oddać. Może ci to zająć sto lat, chyba że wygrasz tę bitwę i ocalisz króla, w takim wypadku dług zostanie po prostu anulowany. W przeciwnym

razie...

Angie nic nie powiedziała, ale wyraz jej twarzy świadczył o tym, że zgadza się z magiem. Jednak mimo rzuconego czaru umysł Jima wciąż pozostał sprawny.

–Z drugiej strony – wycedził przez zęby – jeśli mnie tu zatrzymasz i nie pozwolisz mi sprawdzić sytuacji, co może pozwoliłoby mi jednak uratować króla, winę za fiasko poniesiesz ty, a nie ja. Chcesz przez sto lat spłacać dług?

–Mnie nie zajęłoby to aż stu lat – odparł Carolinus teraz już z wyraźnym smutkiem – nawet gdyby Zgromadzenie nie anulowało mi długu. Jim, wierz mi, będzie lepiej, jeśli tam nie pójdziesz.

–Ja też tak uważam! – dodała Angie.

–Bądźże rozsądna, Angie! – zawołał gniewnie Jim. – Chroni mnie zaklęcie! Nic mi nie grozi!

–Sąd wiesz? To magiczny dym stworzony przez skrzaty. Może chroniące cię zaklęcie nagle straci w nim moc? Może stanie się coś nieprzewidzianego! Czy to nie jest możliwe, Carolinusie?

–Możliwe – przyznał.

Jim tak mocno zacisnął szczęki, że z trudem znów je rozwarł, aby przemówić.

–Muszę tam iść! – wykrztusił.

Angie nic nie powiedziała. Carolinus również milczał przez długą chwilę,

–Niech mi Bóg wybaczy – rzekł w końcu. Jim dopiero po raz drugi usłyszał słowo „Bóg” z jego ust. – Jeśli do tego dojdzie, sam spłacę ten dług. Człowiek robi to, co do niego należy, samodzielnie podejmując decyzje, a w tym wypadku decyzja należy do ciebie, Jim.

Uwolnił go.

–Dobrze! – zawołał Jim.

–Nie masz na sobie zbroi, Jim! – próbowała jeszcze protestować Angie.

Jim pospiesznie użył magii i już był w pełnej zbroi, z mieczem u pasa.

–Rzuć mi hełm. Gdzie moja tarcza?

–Przyniosę... – Angie już biegła w kierunku mniejszej szafy, w której zbroję i broń Jima przechowywano z dala od ubrań. – Przecież masz tylko kolczugę!

–A pod nią gruby kaftan i osłania mnie zaklęcie! Nic mi się nie stanie, mówię ci, Angie!

Mimo to ona już podała hełm Carolinusowi, który umieścił go na głowie Smoczego Rycerza, podczas gdy Angie wręczała mu ciężką drewnianą tarczę. Wsunął rękę w pętlę i mocno zacisnął palce na uchwycie.

Angie pocałowała go. Pozwolił na to, chociaż chciał jak najszybciej ruszać.

–Kocham cię – szepnęła mu do ucha.

–Ja ciebie też! – mruknął. – Zrób z tym dymem, co będziesz mógł, Carolinusie!

Jego umysł pracował na pełnych obrotach, jasno i sprawnie. W mgnieniu oka Jim przeniósł się na otwartą przestrzeń przed zamkiem, w sam środek bitwy. Znalazł się wśród skrzatów i goblinów skłębionych w jeden zbity tłum walczących. W powietrzu unosił się nie tylko dym, ale i kurz. Wrzask był tu wprost nie do zniesienia, chociaż po chwili Jim trochę już się z nim oswoił. Carolinus istotnie zdołał wyostrzyć mu

wzrok. Przez obłok dymu i kurzu Jim widział otoczenie w promieniu prawie sześciu metrów.

–Hobie! – zawołał, ale w tym zgiełku jego głos niósł się najwyżej na dwa metry. W magiczny sposób zmienił swoje gardło, płuca i struny głosowe w smocze, powiększając odpowiednio zbroję, żeby pomieściła zwiększoną górną połowę ciała, po czym rozmyślił się i cały przemienił w smoka, a zbroja zniknęła.

Wszystkie otaczające go gobliny rozpierzchły się. Skrzaty, z którymi walczyły, zupełnie nie po rycersku bezlitośnie cięły uciekających swoimi sierpami. Dopiero teraz Jim zobaczył, jak dobrze radzą sobie w tej walce jego mali sprzymierzeńcy. Najwidoczniej skrzaty lepiej znały nieprzyjaciela niż on. Ostre jak brzytwy sierpy błyskawicznie poruszały się w ich dłoniach, przecinając włócznie tuż poniżej lśniących grotów. Po pierwszym cięciu następowało drugie, wymierzone w krtań lub kark goblina. Zakrzywione ostrza były śmiercionośną bronią w bezpośrednim starciu. Rozglądając się wokół, Jim szukał swojego skrzata.

Posuwając się naprzód niezgrabnym smoczym krokiem, widział, jak skrzaty przecinają włócznie goblinów, a potem, doskakując do wrogów, kolejnymi cięciami odcinają im łby.

–Hobie! – nawoływał, a jednocześnie słał rozpaczliwe wezwania w myślach. Hob jednak nie odpowiadał i strach lodowatą dłonią ścisnął serce Jima, który nabrał przekonania, że skrzat -ulubieniec jego i Angie – już nie żyje. Nagle w przyływie straszliwego gniewu, który był jak nie zaspokojony głód, zapragnął zabijać gobliny.

Ponownie zmienił się w człowieka, składając w ten sposób hołd skrzatowi. Jeśli ma zabijać gobliny, będzie to robił tak jak Hob – w swojej postaci, a nie w innym wcieleniu.

Po raz pierwszy wsłuchał się w przeraźliwe piski. Walcząc i ginąc, zarówno skrzaty, jak i gobliny wrzeszczały ile tchu w piersiach. Teraz jednak, kiedy przysłuchał się tym odgłosom, zauważył różnicę.

W zasadzie obie walczące strony wydawały tak podobne odgłosy, że wydawały się identyczne. Jednak robiły to w zupełnie innym rytmie. Wrzask goblinów był monotonnym zawodzeniem, natomiast okrzyki skrzatów przypominały przyśpiew – nieustannie powtarzające się dwie nuty, dziwnie przypominające mu niezapomniany walijski hymn *Men of Harlech*. Brzmiała w nim duma i triumf oraz wola zwycięstwa.

Nawet jeśli skrzaty przegrywały, jeśli wiele ich padło w pierwszym starciu z uzbrojonymi we włócznie goblinami, to w ich głosach słychać było zwycięską nutę. Jeśli ginęły, to robiąc coś, co dawało im ogromną satysfakcję. Jak by w takiej chwili powiedział Brian: dla nich była to bitwa, w której warto umierać.

–Na Boga! – powiedział do siebie Jim, czego nikt nie usłyszał w tym potwornym hałasie. Jeśli skrzaty to potrafią, to on też! Znajdzie Hoba, żywego czy martwego, i będzie stał nad jego ciałem, zabijając atakujących go wrogów, dopóki nie zostanie przez nich stratowany. Czy nie o takiej śmierci marzył Hob – żeby znaleziono go otoczonego wałem zabitych wrogów? Jim robi dla niego choć tyle.

Był to szaleńczy pomysł, jakby wzięty z legend, lecz – na niebiosa! – dla Hoba wcieli go w życie. Obserwując pobratymców Hoba, nauczył się radzić sobie z

zatrutymi magią włóczykami. Jednak jeszcze nie zrezygnował z poszukiwań. Martwy czy umierający, Hob musi wciąż tu być w tej chmurze dymu.

Jim runął w tłum walczących, nadal bardziej zajęty poszukiwaniami skrzata niż zabijaniem goblinów. One zaś na widok wciąż żywego człowieka i odkrywszy, że ich włócznie, nawet jeśli ominęły tarczę i miecz, ześlizgiwały się lub łamały na otaczającym go ochronnym zaklęciu, przeważnie starały się zejść mu z drogi.

Tak więc prawic nie niepokojony kroczył przez pobojuwisko, wśród widmowych posiaci, w zgiełku, dymie i kurzu.

Dlaczego nie pomyślał o tym, żeby otoczyć Hoba ochronnym zaklęciem?

Ta myśl dręczyła go. Najprostsze wyjaśnienie było zarazem bardzo przygnębiające. Wcale nie zamierzał posyłać skrzatów w bój, przekonany, że zostaną wycięte w pień jak bezradne dzieci. Mylił się. Świadomość tego nie zmniejszyła jego poczucia winy, podobnie jak fakt, że nie mógł prosić Carolinusa, żeby w magiczny sposób ochronił wszystkie skrzaty. Jednak jego skrzat, który skrzyknął tę armię, mógł i powinien być chroniony, choćby na wypadek, gdyby Jim potrzebował go do czegoś w tym bitewnym zamęcie...

Nagle uświadomił sobie, że przeszukał już spory obszar, i przyszła mu do głowy inna, ponura myśl. Do tej pory powinien już znaleźć skrzata, którego szukał. Czy mógł przejść obok niego, martwego lub ciężko rannego, i po prostu go nie rozpoznać? Wszystkie skrzaty były bardzo podobne do siebie.

Czy na pewno?

Przystanął, by przyjrzeć się martwemu skrzatowi. Ten miał szyję przeszytą włócznią, a jej drzewce nadal w niej tkwiło, chociaż w pobliżu nie było widać goblina, który zadał cios. Skrzat zginął okropną śmiercią, dławiąc się własną krwią, jednak jego twarzy nie wykrzywił grymas agonii, lecz malował się na niej anielski spokój. Zwiotczenie mięśni, powiedział sobie Jim, ale nie – to było coś więcej. Jakby satysfakcja z dobrze wykonanej pracy, jakby nie była to twarz skrzata, lecz... Przypomniał sobie, po co się zatrzymał. Pochylił się i uważnie obejrzał twarz zabitego.

Zdecydowanie nie był to Hob. Nagle zdał sobie sprawę z tego, że stwierdził to już na pierwszy rzut oka. Dlaczego był tego pewien?

Przyjrzał się jeszcze dokładniej.

Zabity miał szerszą brodę i nieco bardziej pociągłą twarz. Jim przypomniał sobie, że skrzat z Tiverton sprawiał wrażenie bardziej krępego od Hoba i jego twarz pasowała do całej postaci – była kwadratowa. Jim zrozumiał, że w ciągu wielu lat znajomości rysy twarzy Hoba podświadomie utrwaliły mu się w pamięci i nie pomyliłby go z żadnym innym skrzatem, podobnie jak nie pomyliłby Angie z żadną inną kobietą.

Ponownie podjął poszukiwania. Zauważył też, że bitwa zbliża się do końca. Tłum walczących przeredził się i nie było już słyhać przeraźliwych krzyków goblinów. Przy śpiew skrzatów zupełnie je zagłuszył. W tej samej chwili zobaczył przed sobą goblina, który robił coś niezwykłego. Zapadał się w ziemię, jakby tonął w wodzie. W ostatniej chwili wyciągnął rękę, złapał leżącego obok martwego pobratymca i

wciągnął go ze sobą pod ziemię. Zanim Jim zdążył do nich podejść, obaj zniknęli.

Jim ostrożnie sprawdził ziemię końcem stopy. Była twarda – zwyczajna, goła, ubita ziemia, jak wszędzie na tej otwartej przestrzeni, przed dzisiejszym dniem porośniętej tylko kępkami ostrej trawy.

Wyprostował się i rozejrzał wokół. Kurz i dym trochę się rozwiały, tak że zdołał dostrzec bramę zamku oraz fragment muru mającego w oddali niczym zbocze jakiejś góry.

A skrzaty już wracały do zamku, jadąc na smużkach dymu. Niektóre niosły swoich zabitych lub rannych towarzyszy, czasem z włóczykami lub ułamanymi drzewcami sterczącymi z ich ciał. Wracały z okrzykiem jeszcze bardziej przypominającym śpiew, nie wchodziły przez otwartą już na ich przyjęcie bramę, lecz przelatywały wysoko nad murami. Przez rzednący dym widać było ciała poległych skrzatów i trupy ich wrogów leżące na poboju; lecz ostatnie żywe gobliny znikły już w głębi ziemi. Jim przypomniał sobie słowa Hoba: „...zjadają nawet siebie nawzajem”.

Po chwili na poboju nie pozostał nikt żywy, czy to skrzat, czy goblin. Ciała martwych goblinów nie leżały porozrzucone wokół, lecz piętrzyły się stertami tu i ówdzie, w miejscach, gdzie próbowały one do końca stawiać opór. Ich groźnie wykrzywione twarze spoglądały w ciemniejące niebo, czerwona kula słońca bowiem skryła się już za drzewami.

Dym jeszcze się nie rozwiął, ale kurz szybko opadał. Jim mógł już ogarnąć wzrokiem całe pole bitwy. Nagle wydało się bardzo małe na taką liczbę trupów. Pozostało na nim niewiele zabitych skrzatów. Omiótłszy je wzrokiem, Jim nabrał przekonania, że żaden z nich nie jest jego Hobem. Jednak dziwne przecucie nie pozwalało mu w to uwierzyć, dopóki nie odnajdzie skrzata i nie upewni się, co się z nim stało.

Zaczął przyglądać się stertom ciał goblinów. Czasem znajdował wśród nich jakiegoś skrzata, sprawdził już prawie wszystkie, gdy usłyszał nieopodal dźwięk będący czymś pośrednim między miauczeniem kota a stękiem przekleństw. Zostawił stertę ciał, którą oglądał, i podbiegł do lej, z której dobiegał ten dźwięk. Dotarł tam w kilka sekund.

Na pierwszy rzut oka nie dostrzegł niczego prócz martwych goblinów. Jednak ten odgłos wydobywał się spod nich. Odrzucił kilka na bok i znalazł Hoba leżącego z zamkniętymi oczami, przeszytego trzema włóczykami i zakrwawionego.

Bardzo ostrożnie Jim wziął go na ręce. Hob otworzył oczy i spojrzał mu w twarz. – Powinny leżeć wokół – powiedział z urazą, głosem ledwie głośniejszym od szeptu – a nie na mnie! Gdzie mój miecz?

Jim znalazł go na ziemi, niedaleko miejsca, gdzie leżał skrzat. Ostrze też było zakrwawione. Nie wypuszczając malca, Jim podniósł miecz i ostrożnie wsunął go do pochwy, wciąż przytwierdzonej do pasa Hoba.

– Słoneczna komnata! – rzucił ostro i dodał w myślach: – Carolinusię, jeśli mnie słyszysz...

Mag domyślił się jednak reszty i Jim natychmiast znalazł się w słonecznej komnacie, przed Carolinusem wciąż stojącym z nieprzeniknioną miną. Angie już

biegła, wyciągając ramiona do męża i skrzata, którego trzymał na rękach.

–Jim! – zawołała. – Nic ci się nie stało? Daj mi Hoba!

–Nie – odparł Jim. – Wciąż tkwią w nim włócznie! Nie wolno go tarmosić. Gdzie mogę go położyć?

–Na łóżku – powiedziała Angie.

–Krew... – zaczął Jim.

–Sperze się zimną wodą! Połóż go tam! Jim umieścił skrzata na łożu.

–Mógłbyś mi pomóc! – warknął przez ramię do Carolinusa. – Te włócznie...

–Patrz – odparł spokojnie mag.

Jim ponownie spojrział na Hoba i zobaczył, że zarówno włócznie, jak i rany zniknęły.

–Nie wiem, ile stracił krwi. Myślę... mam nadzieję... że ta krew na nim nie jest jego – powiedział Jim. – Czy możesz powiedzieć, ile jej stracił? Wiedząc to, mógłbym zająć się czymś innym, na przykład podtrzymać akcję serca...

Urwał, gdyż nagle zabrakło mu tchu. Znów doznał tego paskudnego, przerażającego uczucia, jakiego po raz pierwszy doświadczył, kiedy uzyskana podczas walki o Wieżę Loathly magiczna energia wymknęła mu się spod kontroli. Stało się to dopiero kilka miesięcy po tamtej bitwie. Wówczas magia, z której posiadania nie zdawał sobie sprawy, zaczęła przemieniać go w smoka – czy tego chciał, czy nie.

Nieoczekiwanie stracił przytomność.

Rozdział 41

Jim zamrugał i otworzył oczy. Wydawało mu się, że upłynęła zaledwie chwila, ale leżał rozebrany we własnym łóżu w słonecznej komnacie. Spojrzawszy dalej, zobaczył sączące się przez okna światło zimowego poranka.

–Milady! Milady! – zawołał znajomy, piskliwy głosik tuż obok łóżka, kilka centymetrów od jego ucha. Jim odwrócił głowę i ujrzał to, czego się spodziewał. Był to Hob, zupełnie zdrowy.

–Hobie – wychrypiał przez wyschnięte gardło, patrząc na twarzyczkę skrzata – nic ci nie jest?

–Och nic. A milordowi?

–Oczywiście, że nic! – Rzeczywiście, Jim czuł się znakomicie. Wypoczęty i z każdą chwilą coraz bardziej przytomny i rozbudzony. – Co ja robię w łóżku? Muszę wstać!

–Wcale nie! – powiedziała Angie, nagle pojawiwszy się obok. – Zostaniesz tu, gdzie jesteś!

–Dlaczego miałbym się wylegiwać w łóżku? Jest piękny dzień. Czuję się wspaniale.

–Zostaniesz w łóżku, ponieważ miałeś kolejny nawrót, powrót, czy jak to tam nazwać, niemocy wywołanej nadużyciem magii. Ostrzegałam cię. Wszyscy cię ostrzegali, żebyś się oszczędzał, a ty wpadłeś w sam środek bitwy i – z tego co wiem – rąbałeś na prawo i lewo...

–A skądże! Nawet nie wyjąłem miecza z... no, może wyjąłem, ale tylko po to, żeby odstraszyć gobliny.

–W każdym razie znów nadmiernie się podnieciłeś, inaczej nie doszłoby do tego.

–Cóż takiego zrobiłem, przespałem całą noc?

–Spałeś trzy dni!

–Trzy... – Jim wytrzeszczył oczy -...dni?

–Właśnie. Leżałeś tu jak... no, po prostu leżałeś tutaj i nie ruszałeś się.

Pomyślałam, że będziemy musieli co kilka godzin przewracać cię na drugi bok, żebyś nic dostał odleżyn!

–Odleżyn? Nie bądź śmieszna! Przecież to tylko... czym się tak przejmujesz?

Tylko trzy dni...

–Uspokój się.

–Jestem spokojny. Jestem zimny jak gład...

Nagle obok Angie pojawił się Carolinus z bardzo godną i surową miną.

–Jim! – powiedział. – Musisz zacząć poważnie traktować ten problem, ot co. Za każdym razem gdy doprowadzasz się do takiego stanu, do jakiego znowu się doprowadziłeś, stajesz się słabszy i zwiększa się ryzyko jeszcze szybszego nawrotu. Uspokój się, jak ci radzi Angie. Odpoczywaj, kiedy trzeba, a wszystko przejdzie. To uboczny skutek zużycia magicznej energii. Wiedziałaś o tym. Musisz unikać nadmiernych emocji, a z czasem uwolnisz się od tego.

–Przecież... – zaczął Jim.

–Żadne przecież! Wykorzystanie magii jest nieodwracalne! Wiesz o tym, bo

można to wyczytać w *Encyclopedic Necromantic*. z którą kazałem ci się zapoznać! W jakiś sposób zaczerpnąłeś czystą energię magiczną z kontinuum, żeby przenieść wszystkich z Tiverton. Teraz, kiedy to już się stało, musisz za to zapłacić! A to wymaga cierpliwości i czasu.

–Jak długo to potrwa?

–Kto wie? – warknął Carolinus. – Rok... może cztery? Chociaż im częściej będziesz używał swej magii, nie doprowadzając się do takiego stanu, tym będziesz silniejszy. W przeciwnym razie staniesz się słabszy. To proste.

–Skąd mam wiedzieć, do czego mogę się...

–Nie wiem! Nigdy nie doprowadziłem się do takiego stanu, chociaż widywałem go u innych. Każdy przechodzi to inaczej. Jedyne, co możesz zrobić, to zachować ostrożność i starać się nie być przewrażliwionym.

–Nie jestem przewrażliwiony!

–To jeden z najbardziej wrażliwych ludzi na świecie! – stwierdziła Angie. – Inni o tym nie wiedzą, ale tak jest.

–Najwidoczniej on też o tym nie wie.

–Powtarzam, że wcale nic jestem wrażliwy, w każdym razie nie bardziej niż przeciętny człowiek.

–I tu się mylisz – rzekł Carolinus. – Angie ma rację. Wrażliwość jest niezbędna, by posługiwać się magią, a z mojego doświadczenia wynika, że zdecydowanie jesteś wrażliwy. Nie zmienisz tego. Możesz tylko oswoić się z tym i starać się panować nad sobą.

–W tym świecie? – zapytał Jim, zanim zdążył ugryźć się w język.

Carolinus jakby spuchł i zrobił się jeszcze wyższy.

–Niewątpliwie ten świat, z którego przybyłeś, jest o wiele lepszy! – powiedział. – Z pewnością wszyscy są tam tak wrażliwi jak ty i przyzwyczyliłeś się, że wszystko robią w jedwabnych rękawiczkach. Cóż, to nie jest twój świat i zapewne absolutnie w niczym nie przypomina tego, do którego przywykłeś. Jest to jednak świat, w którym my żyjemy i umieramy, i podoba nam się taki, jaki jest! Przykro mi, że nie da się go zmienić tak, aby odpowiadał twoim...

–Nie to miałem na myśli! – krzyknął Jim.

–...szczególnym potrzebom i oczekiwaniom. To inny świat, pod wieloma względami surowy, i jeśli chcesz w nim żyć, musisz przyjmować jego wady, a nie spodziewać się, że i on, i wszyscy jego mieszkańcy przystosują się do ciebie!

–Nie o to mi chodziło, magu! – prawie wrzasnął Jim.

–Carolinusie, teraz ty go denerwujesz – zauważyła Angie.

Carolinus zniżył głos.

–Zdaje się, że tak.

Jim też powiedział znacznie ciszej:

–Wiem, że to ja muszę się dostosować, wiedziałem o tym od początku. Myślę, że wasz świat jest niesamowicie dobrym światem. Chodzi po prostu o to, że ludzie, naturalni i zwierzęta myślą tu zupełnie inaczej. Usiłuję dopasować się do tej sytuacji. Staram się. I zrobię, co będę mógł, aby trzymać moją... – skrzywił się – wrażliwość

pod kontrolą, jeśli tak trzeba.

–Uwierz mi, że trzeba.

Carolinus odwrócił się i kilkakrotnie przeszedł tam i z powrotem przez słoneczną komnatę. W końcu znów stanął przy łóżku Jima, prawie się uśmiechając.

–Cóż – powiedział. – Myślę, że teraz, kiedy już to rozumiesz, możesz wstać. Nie ma sensu trzymać go w łóżku, Angie. Nigdy nie dojdzie do siebie, leżąc tu i dysząc z wściekłości. Niech wstanie i zacznie rozmawiać z ludźmi, ćwicząc cierpliwość.

–Dobrze! – zawołał Jim, odrzucając kołdrę i wstając. Dostatecznie długo przebywał w świecie Carolinusa, aby przywyknąć do powszechnej tu obojętności na nagość, równoważonej niezwykle dbałością o odpowiedni ubiór przy niektórych okazjach. Spojrzał na Hoba, który siedział na podłodze przy łóżku, a potem na Carolinusa. – A więc Hobowi naprawdę nic nie jest?

–No i masz, od razu! – parsknęła Angie.

–Och, myślę, że takie przejawy troski nie są niebezpieczne, Angie – rzekł Carolinus. – Są zupełnie normalne, byle bez przesady. Bierz przykład z Briana, Jim. On wszystko przyjmuje spokojnie, oszczędzając siły na właściwy moment. Owszem, Jim. Hob stracił trochę krwi, jak zauważyłeś, ale niedużo. Skrzaty szybko dochodzą do siebie. Nie mam pojęcia, jak to robią, nie odpoczywając i nie jedząc, a Hob też tego nie wie.

–Tak po prostu jest, magu – stwierdził przepraszaście skrzat.

–No dobrze – powiedziała Angie. – Po trzech dniach postu Jim musi coś zjeść, no i ubrać się. Zaparzę ci herbatę, zanim się ubierzesz, Jim. – Podniosła głos, tak by usłyszano ją za drzwiami. – Służba!

–Tak, pani? – Służąca natychmiast wpadła do słonecznej komnaty.

–Co chcesz zjeść, Jim?

–Pasztet! – odparł, nagle poczuł się głodny jak wilk. – Cały pasztet, tylko bez tych przeklętych dodatkowych przypraw... – Zerknął na Carolinusa i o mało się nie zaczerwienił. – Chociaż jeśli nie mają takiego, może być zwyczajny.

–Nie martw się – powiedziała Angie. – Plyseth wie, co lubisz. Załatw to – dodała, zwracając się do służącej, która natychmiast wypadła z komnaty, w pośpiechu nie domykając za sobą drzwi. Usłyszeli tupot jej nóg, cichnący na korytarzu wiodącym do krętych schodów.

–A zatem, Jim – rzekł Carolinus, nie ruszając się z miejsca, podczas gdy Jim podszedł do szafy, wyjął ubranie i zaczął się ubierać. – Już po wszystkim i nie musisz się martwić o Wydział Kontroli. Po tym zwycięstwie i uratowaniu króla masz tyle magii, że nawet po splaceniu wszystkich członków Zgromadzenia sporo ci jeszcze zostanie na koncie.

–To dobrze. Sądzisz, że mogą wrócić?

–Król i jego świta? Mało prawdopodobne, chociaż wychwala ciebie i młodego Edwarda za zwycięstwo.

–To skrzaty zwyciężyły – przypomniał Jim.

–Król wie o tym równie dobrze jak wszyscy. Mimo to cały splendor przypada Edwardowi i tobie, naturalnie głównie Edwardowi.

–Naturalnie – powtórzył Jim i w jego głosie zabrzmiała nuta rozgoryczenia. – Pytałem o to, czy gobliny tu wrócą?

–Bardzo w to wątpię, przynajmniej nie za twojego życia – a pewnie i mojego. Jak większość prymitywnych stworzeń, bo one są prymitywne pomimo swej magii... Chociaż nie rozumiem, dlaczego prymitywni naturalni czy jakiegokolwiek inne stworzenia miałyby mieć bardziej ograniczony dostęp do magii niż my, nawet jeśli byłaby to magia na zupełnie podstawowym poziomie. Tak jednak się dzieje ze względu na niewinność zwierząt, o czym już ci wspominałem. Nie, nie spodziewam się ich powrotu, podobnie jak nie spodziewam się, by któryś z nich ubiegał się o członkostwo w Zgromadzeniu.

–A przyjęliby goblina? – zawołała Angie od kominka.

–Oczywiście! – odparł lekko zdziwiony Carolinus, odwracając się do niej. – A dlaczego nie?

–Cóż – powiedziała Angie. – Po pierwsze, jak sam mówisz, są naturalnymi, a po drugie nie wydaje się, aby podzielały poglądy członków Zgromadzenia na temat posługiwania się magią wyłącznie w samoobronie. Mogłabym podać tuzin innych powodów, ale na początek te dwa powinny wystarczyć.

–Jakich innych powodów? – zapytał Jim.

–Musiałyby być ucywilizowane i uprzejme, a także wykształcić inne ważne cechy – wyjaśnił Carolinus. – Chciałem tylko powiedzieć, że samo pochodzenie nie wyklucza takiej możliwości, gdyż najwyraźniej – na co wskazują zatrute w magiczny sposób groty ich włóczy – zaczynają posługiwać się magią świadomie, a nie tylko instynktownie.

–Naprawdę uważasz, że to możliwe?

–Tak, gdyby spełniły wymienione przeze mnie warunki. Oczywiście nie nastąpi to prędko. – W zadumie spojrzawszy na Hoba, który nadal siedział przy łóżku i obserwował ich, dodał; – Jednak to nie powód, aby rozważać ten problem, który pojawi się dopiero w odległej przyszłości. Teraz muszę już zniknąć. I tak też zrobił.

–Cóż – powiedział Jim jakiś czas potem, pochłonawszy ogromną ilość tylko odrobinę zanadto przyprawionego pasztetu, pospiesznie podgrzanego i przyniesionego do słonecznej komnaty, zanim ostygł – tego było mi trzeba.

Otarł usta śnieżnobiłą serwetką, napił się wina zmieszanego z przegotowaną i ostudzoną wodą, po czym usiadł wygodnie, z wdzięcznością myśląc o niezawodnej zamkowej studni.

–Gotowy wrócić do łóżka? – zapytała Angie.

–Nie. Czuję się znakomicie, najedzony i napity. Muszę porozmawiać z księciem, zanim się dowie, że od kilku godzin jestem na nogach, a jeszcze nie pogratulowałem mu zwycięstwa.

–Jim! Przecież on wie, że to ty zwyciężyłeś, a nie on!

–Właściwie zwyciężyły skrzaty, chociaż my, ludzie, też mieliśmy w tym udział, jak powiedziałem Carolinusowi. Jednak mag miał rację. Formalnie dowódcą był książę. To jego zwycięstwo.

–Nie wiem, czemu nie spali się ze wstydu, przyjmując gratulacje od ciebie.

–A dlaczego miałby się wstydzić, jak by powiedział Carolinus? Zgodnie z obowiązującymi w tych czasach zasadami należą mu się gratulacje.

–Też mi zasady! – prychnęła Angie, – Służba! Och, jesteś. Sprzątnij ze stołu i tym razem zamknij za sobą drzwi.

Służąca zaczęła sprzątać, rozpromieniona na widok ozdrowiałego pana. Miała drobną twarz, jasne i niesforne włosy, a na sobie starą szarą sukienkę roboczą Angie. W tym świecie jedzenie i picie uważano za najlepsze lekarstwo na wszelkie dolegliwości. Pozostawiła na stole karafki z winem i wodą.

–Zabierz... – zaczęła Angie.

–Nie – przerwał jej Jim.

Służąca wyszła, zostawiając karafki. Najwidoczniej dziewczyna przyznawała mu rację. Wypite do tej pory wino wcale nie uderzyło mu do głowy. Dobrze mu robi, jeśli wypije jeszcze trochę.

–Powiedz mi coś – zaczął Jim, gdy drzwi zamknęły się za służącą. Wygodnie wyciągnął nogi, starając się nie kopnąć Angie, która usiadła przy stole naprzeciw niego. – Czy myślisz, że to młody Edward przysłał tu Joannę z tym pomysłem, żeby piechota uderzyła pierwsza?

–Wiem, że to nie on. Ja to zrobiłam.

–Ty? – Jim wyprostował się na krześle, odstawiając puchar, jeden z tych, które pozostawił monarcha.

–Oczywiście. Edward nic o tym nie wiedział, a wydawało mi się, że powinieneś wziąć pod uwagę ten pomysł.

–Hmm... był bardzo dobry – powiedział powoli Jim. Ponownie podniósł kielich, ale tylko trzymał go w dłoni. – Po prostu wydawało mi się, że nie mogła wymyślić tego sama. Nie zna się na sztuce wojennej.

–A co pomyślałbyś, gdyby zaproponowała to Geronde?

–Oczywiście byłbym bardziej skłonny jej uwierzyć! – odparł Jim. – Ponieważ Geronde z pomocą Briana broniła swoich włości i dorastała w towarzystwie ludzi, którzy walczyli w bitwach.

–Joanna również przez całe życie obracała się wśród ludzi, którzy walczyli w bitwach: król, rycerze tacy jak Chandos, jej obaj mężowie. Poznała wielu wojskowych zarówno za młodu, jak i teraz. Jej pierwszy mąż, Holland, do dziś jest zawodowym żołnierzem. A obecny małżonek, Salisbury, przez cały czas toczy wojny.

–To prawda.

–Oczywiście, że to prawda. A Joanna przez te wszystkie lata nie była ślepa ani głucha.

–Nie. Miała rację. Ty miałaś rację.

–Dziękuję. A raczej wybacz mi. Nie znoszę, kiedy lekceważy się kogoś dlatego, że jest kobietą.

–Jesteśmy w czternastym wieku.

–Ale ty nie jesteś... jeszcze raz przepraszam. Dajmy temu spokój. – Posłała mu całusa nad stołem. – W porządku?

–Ty głuptasie! – powiedział łagodnie. – Za co mnie przepraszasz?

Czule popatrzyli na siebie.

–Nie teraz – stwierdził Jim. – Jak już powiedziałem, muszę pogratulować księciu. Och, powiedz mi jeszcze coś. Czy w ciągu ostatnich trzech dni wydarzyło się coś, o czym powinienem wiedzieć, zanim zejdę porozmawiać z ludźmi?

–Tylko to, że wreszcie zakończyliśmy przygotowania do ślubu, który odbędzie się pojutrze. Teraz, kiedy już nie ma goblinów, wszędzie zapanował spokój i od jutra zaczną zjeżdżać sąsiedzi.

Okazuje się, że większość – oczywiście sąsiadów, nie goblinów – poszła za naszym przykładem i przygotowała izby chorych, tak więc zaraza zebrała mniej obfite żniwo niż zwykle. Część sąsiadów walczyła tu z nami. Pozostali nie przegapią ślubu.

–To bardzo szybko, no nie? Przecież dopiero co była bitwa.

–Geronde mówi, że nie zamierza ryzykować i odkładać tego choćby o godzinę. Przez cały wczorajszy dzień modliła się w kaplicy, prosząc Boga o to, żeby tym razem miał ją w swej opiece, jeśli na jej zaślubinach ciąży jakaś klątwa.

–Biedactwo – mruknął Jim.

–Właśnie.

–No cóż... Nie wiesz, czy ona się martwi tym, jak będzie wyglądała w dniu ślubu ta blizna na jej policzku?

–Nie mam pojęcia. Już dawno zrobiła to, co wszyscy tutaj robią w takich sytuacjach: pogodziła się z tym. Dlaczego pytasz?

–Tak się zastanawiam. A suka i małe teriery? – spytał Jim, wstając. – Nie widzę ich tutaj.

–Wszystkie szczeniaki są u głównego łowczego...

–Przeżył zarazę?

–Nawet nie zachorował.

–To dobrze – powiedział Jim z poczucia obowiązku. A zatem główny łowczy nadal będzie cierniem w jego boku... Jim oczywiście nie życzył mu zachorowania na dżumę, żeby się go pozbyć. Jednak łowczy był w zamku jedyną osobą głęboko rozczarowaną Jimem, który nie uznawał polowania dla sportu, co według głównego łowczego było nienormalne. Ta znaczna różnica przekonań zatruwała ich wzajemne kontakty.

–Właściwie powinnam powiedzieć, że wszystkie poza jednym – dodała Angie. – Zabrałam jednego szczeniaka, żeby pokazać go Robertowi, który natychmiast go pokochał. Pomyślałam, że powinien go sobie zatrzymać. To może być jego pies. Powiedziałam mu, że musi bardzo *na* niego uważać, inaczej mu go zabierzemy.

–I zrozumiał? Jest jeszcze bardzo mały.

–Och. sądzę, że dobrze zrozumiał. Szybko rośnie. Poza tym kazałam niani mieć oko na pieska, dopóki Robert jest jeszcze mały. Niech rosną razem.

–Tak – mruknął Jim, przypominając sobie przykry moment, gdy jako nastolatek w końcu musiał pogodzić się z tym, że piesek, z którym dorastał, nie żyje tak długo jak on.

Chyba zapomniałem – powiedział, wychodząc na korytarz, by ruszyć na poszukiwanie księcia – czym jest bezgraniczna psia miłość, kiedy jesteś młody i nie

potrafisz znaleźć słów na wyrażenie swoich uczuć. To jak magia... i może naprawdę nią jest, przynajmniej częściowo...

–Och, przy okazji – rzekł głośno do służącej i wartownika przed drzwiami – czy ktoś z was wie, gdzie w tej chwili przebywa książę?

Zamierzał w magiczny sposób przenieść się do młodego Edwarda, ale zaraz przypomniał sobie, że mógłby pojawić się w komnacie Edwarda i Joanny w chwili, w której nie oczekują wizyty, i nie byłiby z niej zadowoleni.

–Nie, milordzie – odparł służbiście zbrojny. Stał na warcie już od pięciu godzin i miał nadzieję, że jego pan domyśli się z jego słów, że ani na chwilę nie opuścił posterunku. – Jednak jedna ze służących mówiła mi, że jego lordowska miłość był pół godziny temu w wielkiej sali.

Jim zachnął się w duchu. Nie chodziło mu o zwrot „jego lordowska miłość”, bowiem służba stykająca się z osobami o niewiadomej pozycji starała się wymieniać jak najwięcej tytułów, aby uniknąć posądzenia o brak szacunku. Najwidoczniej, chociaż książę już od jakiegoś czasu przebywał w Malencontri, personel nie był przyzwyczajony do obecności osób o tak wysokiej pozycji, nic więc dziwnego, że wartownik nie wiedział, jak ma go tytułować.

Właściwie Jim nawet polubił księcia mimo jego gwałtownych, nieprzewidywalnych zmian nastroju. Poszedł do wielkiej sali i zgodnie z zapowiedzią znalazł tam Edwarda z Brianem. Obaj kończyli suto drugie śniadanie.

–Za łaskawym pozwoleniem, mogę się przyłączyć? – zapytał Jim.

Książę rozpromienił się.

–Nikt nie będzie milej widziany! – zawołał. – Jak najbardziej, usiądź, sir Jamesie i pogratuluj nam szczęścia, jakie dopisało nam dzisiaj poranka. Dziesięciopunktowy rogacz!

Brian chrząknął, wyraźnie zmieszany.

–Jeśli pozwolisz, wasza miłość – odezwał się. Jim zrozumiał, że umiłowanie prawdy kazało przyjacielowi na moment zapomnieć o dobrych manierach. – Nie sądzę, by poroże tego zwierzęcia było godne aż dziesięciu punktów.

Twarz księcia na moment przesłoniła chmura niezadowolenia i urazy, ale natychmiast znikła, zastąpiona promiennym uśmiechem.

–Niewątpliwie masz rację, sir Brianie – powiedział. – Nie jestem równie dobrym myśliwym jak ty i przyznaję, że nie przyjrzałem się dokładnie naszemu trofeum. Twój główny łowczy, sir Jamesie, twierdzi, że rzadko polujesz z psami...

–Moja magia... – odparł pospiesznie Jim. – Wasza miłość rozumie...

–Och tak, oczywiście.

W rzeczywistości Jim sam nigdy nie polował z psami i nienawidził tych gości, którzy spodziewali się, że zorganizuje polowanie. Mimo to łowczy nie mógł zdradzić tego obcemu człowiekowi, choćby ten był księciem. Nawet niezadowolony sługa nie odważyłby się otwarcie krytykować swego pana.

Jim usiadł, a Brian natychmiast napełnił puchar z winem i podsunął mu go, oczywiście nie rozcieńczając wodą. Wprawdzie ta stała na stole, lecz nie była to woda przegotowana wcześniej przez Angie. Jeśli służba nie wiedziała, czy on lub

Angie będą jedli posiłek, stawiała na stole wodę prosto z zamkowej studni. Słudzy byli uodpornieni na wszystko, co mogła zawierać, i nigdy jej nie przegotowywali. Jim ryzykował, jeśli był do tego zmuszony, ale teraz nie musiał.

Podniósł puchar zawierający mniej więcej ćwierć litra wina i wzniosł toast.

–Przybyłem pogratulować waszej miłości wspaniałego zwycięstwa nad goblinami!

–Ha! – odparł książę, a Brian w milczeniu podniósł swój puchar. – To wielce uprzejmie z twojej strony, James. Nigdy nie odniósłbym go bez twoich rad, bez pomocy maga, bez silnego ramienia sir Briana u mego boku oraz łuczniczego kunsztu mistrza Dafydd ap Hy... Hu... Do licha z tymi walijskimi imionami! Żaden chrześcijanin nie zdoła ich wymówić!

–Za łaskawym pozwoleniem waszej miłości, muszę przypomnieć, że Walijszczy również są chrześcijanami.

–Niewątpliwie. Przynajmniej obecnie. Jednak w czasach Rzymian byli okropnymi dzikusami. Ale masz słuszość, przypominając mi o tym, James. Są wśród nich zacni ludzie i Dafydd jest jednym z nich. Potrzebowałem was wszystkich i tylko wam zawdzięczam tę wiktoryę. Och, do diaska, muszę także pochwalić te wspaniałe skrzaty! I kto by pomyślał, że tak dobrze będą walczyć tymi wiejskimi narzędziami? Czy bardzo ucierpiały, James? Czy zwycięstwo okupiły znaczną liczbą poległych?

–Sądzę, że znacznie mniejszą, niż się obawialiśmy, wasza miłość. W końcu miały jedną zasadniczą przewagę: znały nieprzyjaciela.

–Owszem, zdaje się, że miały wspólnych przodków? Są kuzynami goblinów?

–Tak, wasza miłość.

–Jakże jednak inne! Wierne królowi, ledwie mogły wytrzymać, chcąc jak najprędzej dostać się do skóry tym złośliwym goblinom... Ale masz rację, mówiąc, że znajomość wroga daje ogromną przewagę. Nie zliczę, ile razy zacny sir John Chandos wbijał mi to do głowy, kiedy byłem chłopcem.

–Wielki wódz i rycerz – zauważył Brian.

–Nie ma szlachcica, który dorównałby mu w pobożności i szlachetności.

Oczywiście oprócz mojego ojca.

–Oczywiście, wasza miłość – powiedzieli jednocześnie Jim i Brian, po czym pospiesznie podnieśli kielichy do ust.

–Tak dobrze pamiętam – chyba mówiłem ci to już kiedyś, James – jak przymierzał broję, którą nosił później podczas bitwy morskiej pod Sluys. Rzecz jasna byłem wówczas bardzo młody, ale pomyślałem wtedy, że nigdy nie widziałem i nie zobaczę doskonalszego wizerunku króla i wojownika!

Książę nie patrzył na rozmówców, błędząc gdzieś wzrokiem. Nagle wrócił do rzeczywistości.

–Och, James – powiedział. – Słyszałem, że zostałeś ranny w bitwie. Powiadano, że byłeś nieprzytomny przez ostatnie trzy dni. Nigdy nie widziałem tylu smutnych sług u żadnego szlachcica. Co to za rana i jak ją otrzymałeś?

–To była... magiczna rana – wymamrotał Jim. – Nie pozostawiła żadnego śladu.

–Ach, to wyjaśnia tak szybkie i całkowite ozdrowienie. Miło mi to słyszeć. Czy uwierzysz? Ani ja, ani żaden z towarzyszących mi rycerzy nie odnieśliśmy żadnych

ran od zaczarowanych włócznie goblinów! Podziękowałem za to Bogu, modląc się też o twoje rychłe wyzdrowienie. Może moje modlitwy zostały wysłuchane przez Najwyższego!

–Z całą pewnością, wasza miłość.

–No cóż, najważniejsze, że stanąłeś na nogi przed weseleni. Ja i hrabina zostaniemy na nim, nawet mój ojciec obiecał wziąć w nim udział. Rozumiem, że już jest budowane podium oraz odpowiedni fotel, na którym zasiądzie. Zostaną umieszczone na dziedzińcu dopiero tuż przed ceremonią, na wypadek śniegu lub deszczu.

–Wykluczając nagłą zmianę pogody, wasza miłość – orzekł Brian – lub wiatr z północy, sądzę, że dzień powinien być bardzo ładny jak na tę porę roku.

Zatem należy się spodziewać temperatury bliskiej zera, pomyślał Jim. Będą musieli ubrać się z Angie stosownie do tego rodzaju okazji. Dobry Boże! Skoro o tym mowa, to nie miał pojęcia, jak przebiegają przygotowania do ślubu, nie licząc kilku uwag Angie i słów księcia.

–Przypomniałeś mi o moich obowiązkach, wasza miłość – powiedział. – Jeśli wybaczycie, jest wiele spraw związanych z weselem, którymi muszę się zająć.

–Jak najbardziej, jak najbardziej, James! – odparł książę. – Wszyscy wiemy, że praca gospodarza kończy się dopiero wtedy, kiedy goście znajdą się w łóżkach... w łóżku, ha!

Ten ostatni dźwięk był bardziej chichotem niż zwyczajowym wykrzyknikiem. Jim wiedział, że książę pomyślał o tej chwili, kiedy po ślubnym przyjęciu młoda para zostanie odprowadzona do sypialni przez najznamienitszych gości, którzy powinni być świadkami konsumpcji małżeństwa, aby nabrało mocy prawnej.

Na szczęście w praktyce oznaczało to jedynie obserwowanie zasłon łoża i nasłuchiwanie dobiegających zza nich odgłosów. Tylko słoneczna komnata będzie dostatecznie duża, aby pomieścić wszystkich obserwatorów, pomyślał ponuro Jim. A to oznaczało, że on i Angie będą spali w swoich śpiworach na podłodze znacznie mniejszego pokoju, który obecnie zajmowali Brian z Geronde.

Zupełnie o tym zapomniał. Nie będzie porannej herbaty ani wygod, do których się przyzwyczał, i zapewne odzyskają swoją komnatę dopiero późnym popołudniem następnego dnia. A Geronde pewnie nie będzie się spieszyć i urządzi jakiś babski wieczorek... Jim odepchnął od siebie tę myśl. Były ważniejsze sprawy, którymi niezwłocznie powinien się zająć. Niech licho porwie te trzy stracone dni! Mimo wszystko obaj z Brianem uprzejmie roześmiali się z żartu księcia. Jim wstał.

–Mam nadzieję ujrzeć was przy kolacji, wasza miłość. Brianie. Bywajcie więc.

–Bywaj – odpowiedzieli mu obaj i Jim odszedł.

Rozdział 42

Składając młodemu Edwardowi gratulacje z okazji zwycięstwa, Jim był bardziej zmieszany niż przyjmujący je książę. Zawsze prawdomówny Brian nie obawiał się mówić prawdy prosto w oczy, ale najwyraźniej nie odczuwał żadnego psychicznego dyskomfortu, gratulując następcy tronu. Jako człowiek z czternastego wieku zapewne uważał, że Edward po prostu na to zasługuje, ponieważ jechał na czele zakutych w stal rycerzy. Nigdy nie przyszłoby mu do głowy, że Jim czuł się nieswojo, chwając księcia. A jednak tak właśnie było. Jim nie lubił uprawiać sofistyki. Tak więc niezmiennie dobry humor Briana i niezmacony spokój, z jakim Edward przyjął komplementy, w końcu rozdrażniły Jima. Zapragnął na chwilę zostać sam, a poza tym istotnie wzywały go ważne sprawy. Bardzo ważne. Może jeden dzień to za mało, żeby nadrobić wszystkie zaległości, lecz w takich sytuacjach sumienie nigdy nie dawało Jimowi spokoju.

Nie było innego wyjścia. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że kiedy leżał nieprzytomny, Carolinus opiekował się nim z takim samym poświęceniem jak Angie, a ponadto stary mag zaryzykował swoją pozycję, aby uzyskać pożyczkę magii od członków Zgromadzenia. Mimo to Jim musiał teraz poprosić go jeszcze o coś.

A Carolinus był zawsze zajęty. Nie ucieszy się, kiedy Jim mu przeszkodzi, w dodatku prosząc o przysługę z pewnością wymagającą sporego wysiłku i wykorzystania kontaktów wśród magów. Jednak nie było innego wyjścia.

Stojąc u podnóża schodów na wieżę, Jim posłał do Carolinusa nieśmiałą myśl – odpowiednik bardzo delikatnego pukania do drzwi.

Hm... Carolinusie?

Czego? – padła natychmiastowa odpowiedź.

Muszę z tobą porozmawiać. To bardzo ważne!

NIE TERAZ!

Obawiam się...

Bardzo dobrze! To ważne, tak? Zatem wchodź! Masz dwie minuty, żeby mnie o tym przekonać!

Jim natychmiast przeniósł się do chatki Carolinusa, otoczonej wiecznie kwitnącymi kwiatami i samograbiającą się ścieżką prowadzącą do drzwi, które same otworzyły się przed nim.

Stary mag stał na środku zagraconego jedyne pomieszczenia na parterze, przeszywając gościa gniewnym wzrokiem. Wróżka Ecce, którą poprzednim razem Jim widział opuszczającą we łzach chatkę Carolinusa, siedziała teraz na szklanej kuli, której mag nigdy nie używał, z łatwością mogąc widzieć i słyszeć wszystko z dowolnej odległości. Cieniutkie jak pajęczyna skrzydełka Ecce były bezradnie opuszczone, ale uśmiechnęła się do Jima.

–Wybacz mi, Ecce – powiedział Jim – że przeszkadzam... Wróżka machnęła maleńką rączką na znak, że mu wybaczają.

–Naprawdę mi przykro... – ciągnął Jim, lecz Carolinus przerwał mu.

–Dość tego. Twój problem – szybko!

Nie da się wyrazić gorącej prośby w kilku krótkich słowach. Jim starał się to

zrobić najlepiej, jak mógł.

–Geronde ma bliznę na twarzy. Może przypominasz sobie, że rozmawialiśmy o tym jakiś czas temu? Chcę usunąć tę szramę przed ślubem, który odbędzie się pojutrze.

Zapadła długa, nieprzyjemna cisza. Carolinus gapił się na Jima.

–Pamiętam – powiedział w końcu. – Pewnie nie wolałbyś – dodał ze znużeniem – zamiast tego pałacu na Loarze z tysiącem sług i bogactwami Midasa w skarbcu?

–Nie – odparł szczerze Jim. Ecce podleciała, usiadła na ramieniu Carolinusa i usiłowała wygładzić bruzdy na jego policzkach swoimi maleńkimi rączkami, nie większymi od płatków konwalii, jednocześnie gładząc cienutkimi skrzydełkami jego zmarszczone czoło.

–Powiedziałeś mi, że skontaktujesz się z jakimiś magami ze Wschodu – ciągnął Jim. – Nie wiem jednak, czy miałeś czas to zrobić, skoro tyle się działo...

Carolinus podniósł ręce ku niebu. Ecce zaczęła nucić swym słodkim głosikiem cudowną melodię bez słów.

–Wszystko w porządku, Ecce, nic mi nie jest – w głosie Carolinusa zabrzmiał czuły ton. – Nie wpadnę w szal.

Uspokojona Ecce odleciała z powrotem na szklaną kulę. Carolinus znów zwrócił się do Jima.

–Chyba powiedziałem ci, że po tylu latach... Nie rozumiesz, że usunięcie takiej starej blizny jest niemożliwe? Dla mnie, dla ciebie, dla... każdego maga!

Jim uczeplił się tego lekkiego wahania przed słowem „każdego”.

–Wydawało mi się jednak, że wspomniałeś, że być może jest ktoś, kto mógłby to zrobić?

–Oczywiście. Na pewno! – odparł zjadliwie Carolinus. – Czemu nie poprosisz Merlina?

–Poprosiłbym – powiedział stanowczo Jim. – Możesz mi wierzyć, że w tym przypadku zrobiłbym to. Tylko że równie dobrze jak ja wiesz, że nie ma sensu go prosić. Nie oderwałby się od swojej pracy, żeby zrobić coś tak prostego i związanego z terażniejszością, a nie przeszłością czy przyszłością. Ponadto kiedy ostatni raz miałem z nim kontakt, powiedział, żebym już nigdy więcej go nie niepokoił.

–Mądry człowiek. Bardzo mądry człowiek!

–Czy nie ma nikogo innego, kto mógłby...

Carolinus zawahał się i Jim wiedział, że przyparł go do muru. Podobnie jak Brian – chociaż ze względu na zupełnie inne zasady – Carolinus nie potrafił łączyć w żywe oczy.

–Gdzieś musi być jakiś mag, który zajmuje się usuwaniem starych blizn! – powiedział Jim.

–Oczywiście, że tak! – wybuchnął Carolinus i Ecce znów podleciała do niego. – Nawet kilku! Nie, nie. W porządku, Ecce. – W głosie Carolinusa słychać było znużenie. – Będę musiał zająć się tym, zanim znajdziemy chwilkę dla siebie. Wybaczysz mi?

Ecce przytaknęła śpiewnie i sfrunęła z jego ramienia do drzwi, które natychmiast

otworzyły się przed nią. Migocząc skrzydełkami, znikła, a drzwi zamknęły się za nią z cichym trzaskiem.

–Wracaj do domu! – polecił Carolinus. – Muszę porozmawiać z kilkoma moimi kolegami, którzy interesują się tego rodzaju magicznymi zagadnieniami. Skontaktuję się z tobą, gdy tylko będę wiedział, czy można to zrobić, czy nie.

–Dziękuję – powiedział pokornie Jim. Zadumany, przeniósł się z powrotem do Malencontri, do podnóża schodów na wieżę. Na szczęście na parterze nie było nikogo i nikt nie schodził z góry. Chociaż jego nagłe pojawienie się nie zdziwiłoby nikogo, szczególnie zamkowej służby, to jednak wywołałoby niepotrzebne spekulacje. Gdzie był? Co robił? Zawahał się.

Co właściwie miał jeszcze tutaj załatwić? Przede wszystkim sprawdzić, jak stary mistrz ciesielski radzi sobie z nawałem pracy, jaką musiał wykonać, od kiedy wstał z łóżka, a także co się dzieje w izbie chorych. Miał wrażenie, że zaraza już prawie wygasła, przynajmniej w Malencontri.

Chociaż Jim bardzo lubił marudnego, starego cieślę, pierwszeństwo miała izba chorych, od jej sprawnego działania bowiem zależało życie i zdrowie wielu ludzi. Dlatego tam skierował swoje kroki.

Już na pierwszy rzut oka widać było, że większość łóżek stoi pusta. Natychmiast poprawił mu się humor. Po chwili podbiegła do niego suka, z całą pewnością matka szczeniaków, które Jim i Angie przywieźli z Tiverton. Jej ogon poruszał się jak metronom, a dwa inne teriery, zapewne podopieczni głównego łowczego, po kilku ostrzegawczych szczęknięciach skierowanych do nieznanego człowieka, przybiegły za nią, również zawzięcie merdając ogonami, nie chcąc, by ominęło je przywitanie z kimś, kto najwidoczniej jest przyjacielem.

Przez chwilę głaskał je, drapał za uszami i poklepywał, po czym ruszył w kierunku podwyższenia. Stało puste, osłonięte namiotem, który postawiono tu, kiedy zarażony, sam leżał w łóżku.

Chcąc sprawdzić, czy przypadkiem ktoś tam nie leży, wszedł na podium i rozsunał nie związane zasłony. W środku znalazł May Heather. Siedziała przy biurku, które najwidoczniej przeniosła tutaj, aby znaleźć odrobinę spokoju.

–Milordzie! – zerwała się znad ksiąg, które uzupełniała. Najwidoczniej nie tylko nauczyła się liczyć, ale również i pisać. Zauważył też, że dygała już bardzo elegancko.

–Siostrzo przełożona – powiedział Jim.

Otworzyła usta i zająknęła się.

–Siostrzo... przełożona, milordzie? Ja nie... jestem tylko praktykantką panny Plyseth!

–Na razie. Oczywiście panna Plyseth będzie musiała wyrazić zgodę na zwolnienie cię z terminu, ale poproszę ją o to. W każdym razie czyż tutaj nie jesteś przełożoną?

–Z pewnością... pod pewnymi względami, milordzie... odparła May, pod wpływem zdumienia i wdzięczności zapominając o posługiwaniu się wykwintną angielszczyzną, co nie zdarzyło jej się od lat. – Ale przełożoną... nie myślałam...

Łatwo to zrozumieć, pomyślał Jim. Z tego, co wiedział, nie miała jeszcze piętnastu

lat. Mimo to – jak zauważyli on i Angie – była twarda, dzielna, uczciwa, niezwykle inteligentna i uparta.

–Nie myśl! – rzekł Jim swym najbardziej władczynie tonem. – Powiedziałem, że jesteś przełożoną izby chorych, więc nią jesteś. Czy kwestionujesz moje słowa?

–Och nie, milordzie! – zawołała z zachwytem May. – Ogromnie ci dziękuję, milordzie! Niech cię Bóg błogosławi!

–No, no, dość tego. Są ważniejsze rzeczy. Powiedz mi, jak tu stoją sprawy. Zdaje mi się, że większość łóżek jest wolna.

–Tak, panie. – Wskazała na książkę, którą uzupełniała. – Niestety, niektórzy umarli, milordzie, ale było ich znacznie mniej niż gdziekolwiek indziej. Bardzo wielu wyzdrowiało. Zapisałam ich nazwiska oraz daty śmierci lub wyzdrowienia...

–Och? – zdziwił się Jim. – Czy moja pani kazała ci to zrobić?

–Nie – przyznała May i stropiła się. – Wydawało mi się, że powinnam to zrobić. Żle postąpiłam?

–To był doskonały pomysł, siostrze przełożona. – May rozpromieniła się. – I zaglądając do ksiąg, widzę, że świetnie się spisałaś.

–Och, milordzie!

–No nic, mów dalej. Z pewnością masz mi więcej do opowiedzenia.

Miała. Zapas opium i dodatkowe fajki przyniesione przez skrzaty działały cuda, łagodząc cierpienia chorych. „I pozwalając im spać, milordzie”. Pięciu, dokładnie pięciu ludzi, opuściło kiedyś izbę chorych jednego dnia! A przez ostatni tydzień nie było żadnych nowych zachorowań. Słudzy sąsiadów, którzy przybyli ze zbrojami i wierzchowcami, żeby walczyć z goblinami, powiedzieli, że ich panowie poszli za przykładem Malencontri i też całkiem nieźle poradzili sobie z zarazą, ale w leczeniu chorych nie mieli tak dobrych wyników jak w Malencontri. Teriery też były błogosławieństwem, zawzięcie tępiąc wszystkie szczury, które odważyły się pokazać w lazarecie, we dnie czy w nocy. „Ale suka przyniesiona przez milorda była najlepsza”. May notowała ich sukcesy i suka wyprzedzała o sześć szczurów najlepszego z pozostałych dwóch terierów. Niestety, uparcie przynosiły upolowane szczury, dumnie pokazując je pacjentom lub jej. Mimo wszystko te pieski to kochane stworzenia... o, jeśli milord słyszy, to teraz czekają przed namiotem.

May zamilkła i w ciszy Jim usłyszał ciche skrobanie pazurków o deski podwyższenia oraz skomlenie przed wejściem do namiotu.

–Chciałyby tu wejść, milordzie – oznajmiła May – ale nauczyłam je nie wtykać nosa do środka. Ach tak, jego miłość, młody książę, też złożył nam raz wizytę...

–Naprawdę? – Jim wytrzeszczył oczy. – Przecież po wyjściu mistrza ciesielskiego zostali tu tylko słudzy i zbrojni?

–Och tak, milordzie, nie było tu nikogo znacznego, nie mówiąc o szlachetnie urodzonych, którzy i tak leżeliby tu, w namiocie! Nasi chorzy byli dumni z tego, że mogli go zobaczyć, i będą pamiętać to do końca życia, a on w dodatku rozmawiał z nimi!

Jim był niebotycznie zdumiony. Młody Edward ujawnił jeszcze jedną nieoczekiwaną cechę charakteru. Sposób, w jaki zdarzało mu się mówić o służących,

jakby nie mieli oczu ani uszu, podczas gdy stali zaledwie trzy metry dalej, bynajmniej nie świadczył, że jest człowiekiem zdolnym do odwiedzin w lazarecie pełnym chorego pospólstwa. Ta wizyta wystawiała mu dobre świadectwo. Może właśnie dlatego Zgromadzenie tak bardzo chciało utrzymać jego ojca przy życiu, dopóki książę nie dorośnie na tyle, aby zostać władcą.

–No cóż – powiedział Jim – to świetnie, May. Wykonałaś tu wspaniałą robotę. Teraz muszę już iść, siostrzo przełożona.

–Dziękuję, milordzie! – zawołała za nim uszczęśliwiona May. Wyszedł z namiotu, a suka, która przez cały czas cierpliwie na niego czekała, podskoczyła do niego, machając ogonem jak szalona, liżąc po rękach i aż trzęsąc się z nadmiaru przyjaznych uczuć. Inne psy czekające przed namiotem ruszyły naprzód, usiłując odepchnąć suczkę na bok, aby także wyrazić swoje uwielbienie i przywiązanie do tego człowieka, który najwyraźniej był przywódcą stada Panów w tej wielkiej kamiennej psiarni.

Wychodząc z izby chorych, Jim zauważył, że suka zamierza wyjść razem z nim. Surowo rozkazał jej zostać. Położyła uszy po sobie i usłuchała.

Poszedł do warsztatu cieśli znajdującego się na nie zadaszonym dziedzińcu zamku. Po drodze z zadowoleniem zauważył, że wielka brama jest znów zamknięta i zaryglowana. Wszedł do stolarni, z zadowoleniem chroniąc się przed zimnym wiatrem, który przeszywał na wskroś, nawet za murami zamku. Noc będzie mroźna. Miał nadzieję, że pogoda nie popsuje się do dnia ślubu, mającego się odbyć na schodach kaplicy, jej jedyne drzwi wychodziły na dziedziniec.

Przechodząc obok kaplicy, zerknął na jej zamknięte drzwi. Wewnątrz nie było kominka ani żadnego innego paleniska.

Idąc przez stolarnię, usłyszał podniesiony, ochryply głos cieśli:

–...i nie dotykajcie końców oparcia tego fotela, dopóki sam ich nie obejrzę, rozumiecie? Z układem słoików drewna trzeba umieć postępować. Słyszycie?

Staruszek najwyraźniej miał kiepski humor. Siał obok podobnego do tronu fotela, najwyraźniej robionego specjalnie dla króla, który miał przyglądać się ceremonii. Tyradę cieśli cierpliwie znosili dwaj jego czeladnicy, młodzieńcy po dwudziestce. Jim rozpoznał w nich znakomitych rzemieślników, których staruszek niegdyś przedstawił mu jako mogących w każdej chwili zająć jego miejsce. Cieśla mówił dalej:

–Słoje są wszystkim. Wszystkim! – wciąż krzycząc, odwrócił się i zauważył Jima. – A jeśli w to nie wierzysz – dodał tym samym tonem – zapytaj twego przyjaciela łuczника, Ten człowiek rozumie znaczenie słoików drewna... – Nagle zniżył głos do tonu stosowniejszego w obecności pana, choć wciąż pobrzmiwały w nim gniewne nutki. – Milord! Czym mogę ci służyć, panie?

–Wpadłem tylko zobaczyć, jak sobie radzisz – odparł Jim.

–Tak dobrze jak to możliwe w zbyt krótkim czasie, tępymi narzędziami i... Będzie to istny cud i łaska boska, jeśli zdążę na czas zrobić to jak należy. Nie mogę pracować tak szybko jak niegdyś, ale będzie zrobione, będzie, milordzie. Po prostu lamparcie łby na końcach poręczy muszą być ładnie wyrzeźbione. Słoje...

–A kto powiedział, że krzesło króla musi mieć lamparcie łby na końcach poręczy?

– zapytał Jim. – Mogę się tym zająć i skoro czas nagli, zrobimy zwykłe końce.

Jim wiedział, że lampart jest elementem królewskiego herbu.

–Nikt nie musiał mi mówić, że muszą być lamparcie łby. To oczywiste. Możesz mnie wychłostać, jeśli chcesz, panie, ale nie przyniosę wstydu tobie i temu zamkowi, każąc królowi siedzieć na fotelu ze zwyczajnymi poręczami!

Jim był jak najdalszy od chęci batożenia starego i cieszącego się powszechnym szacunkiem cieśli czy innego członka wyższego personelu, nie mówiąc już o tym, że od kiedy razem z, Angie osiedli w zamku Malencontri, skutecznie udawało im się unikać konieczności chłostania kogokolwiek, tak więc tylko ze zdumieniem spojrzął na cieślę.

–A chciałbym zauważyć, że od tego nieustannego przychodzenia i wypytywania jak idzie praca, fotel nie będzie gotowy ani odrobinę prędzej!

Cieśla posunął się trochę za daleko. Jim musiał coś z tym zrobić, gdyż nie mógł pozwalać na to, by ktoś podważał jego autorytet w obecności służby. Chociaż obaj czeladnicy przyjęli tę tyradę z kamiennym wyrazem twarzy, to słyszeli i zapamiętali każde słowo.

–Mistrzu – rzekł rozmyślnie surowym tonem. – Widzę cię po raz pierwszy od czasu, gdy odwiedziłem cię w izbie chorych, i przyszedłem tu tylko po to, aby upewnić się, że jesteś znów na nogach. Nie podnoś głosu i zwracaj się do swego pana z należyty szacunkiem!

Długie lata przyzwyczajenia wzięły górę nad gniewem cieśli.

–Wybacz mi, milordzie! – powiedział tak pokornie, jak tylko pozwalał mu ochrypli głos. – Błagam o łaskawe wybaczenie. Rozzłościłem się na tych dwóch nicponi i zapomniałem się. Nie powinienem był...

–Wystarczy! – uciął Jim, zażenowany błaganiami staruszka. – Wiem, że masz mnóstwo pracy i dzielnie wstałeś z łóżka, żeby wypełniać swe obowiązki. Dlatego wybaczam ci. Jednak niech to już więcej się nie powtórzy.

–Obiecuję milordowi, że to się już nigdy nie powtórzy. Rozchorowałem się, gdybym nie uhonorował należycie naszego króla, ale jeszcze bardziej, gdybym nie oddał memu panu należnej mu czci.

–Zapomnijmy o tym – rzucił Jim. – A teraz powiedz mi, jak się czujesz?

–Bardzo dobrze, panie. Dziękuję.

–Pytam, czy coś cię boli?

–Trochę strzyka w kościach ze starości i zeszywniały mi ręce, ale kiedy milord odwiedził mnie w izbie chorych i przypomniał mi o moich obowiązkach, zaraz wyzdrowiałem. Błogosławię za to waszą lordowską mość. Cieszę się, że wróciłem do moich narzędzi i do drewna.

Te ostatnie słowa zabrzmiały niezwykle szczerze. – Miło mi to słyszeć. Pracuj dalej.

Jim opuścił stolarnię z mieszanymi uczuciami: zadowolony, że właściwie postąpił w tej sytuacji, i strapiiony tym, że był zmuszony skarcić cieślę, którego podziwiał. Podejrzewał, że „strzykanie w kościach” i „zeszywnienie rąk” to w rzeczywistości coś znacznie poważniejszego, a pokrzykując na czeladników, stary po prostu złościł

się na swą słabość i ograniczenia, jakie narzucał mu wiek. Nasi słudzy, pomyślał Jim, powoli się starzeją. Cieśla miał swoje problemy, a Plyseth niewątpliwie dokuczał artretyzm nóg.

James! – niespodziewanie usłyszał w myślach głos Carolinusa. Przyjdź zaraz do słonecznej komnaty. Mam maga, który może usunąć tę bliznę. Zaraz się tam spotkamy!

Jim poczuł nagły niepokój, który jakoś nie chciał go opuścić. Carolinus, KinetetE, Barron – wszyscy oni niezmiennie zwracali się do wszystkich, nawet do królów, w bardziej poufale sposób. Od kiedy się poznali, Carolinus niemal nigdy nie mówił do niego „James”.

Rozdział 43

Kto... – zaczął formułować pytanie do Carolinusa.

Son Won Phon. Ze względu na pilny charakter tej sprawy, podjął niezwykle wysiłek, aby przybyć tu ze mną. Tak więc ty też postaraj się zjawić tu jak najszybciej.

Potem Carolinus przerwał kontakt myślowy. Niepokój Jima pogłębił się. Carolinus z pewnością wiedział, że będzie musiał skontaktować się z Son Won Phonem. To wyjaśniało jego wcześniejsze wahanie.

Son Won Phon był magiem, który przed kilkoma laty wyzwiał Carolinusa – znacznie przewyższającego go rangą – na magiczny pojedynek w związku z wykorzystywaniem przez Jima orientalnej magii, której nie nauczył się od wykwalifikowanego orientalnego maga. Jim słyszał, że od tego czasu Son Won Phon awansował, a ponadto ma być obserwatorem wyznaczonym przez Zgromadzenie, mającym ustalić, czy Jim zasługuje na przyjęcie w poczet tego szacownego gremium, jako jego członek rzeczywisty. Obecnie Son Won Phon przewyższał Jima co najmniej o trzy kategorie.

Jim przeniósł się do słonecznej komnaty. Z ulgą stwierdził, że Angie tam nie ma. Gdyby sprawy miały pójść kiepsko lub wręcz źle, wołał opowiedzieć jej o tym później. W komnacie byli tylko Carolinus i Son Won Phon.

Jim obrzucił spojrzeniem swego przyjaciela i stojącego obok maga w jasnoczerwonej szacie. Natychmiast i bezwiednie zauważył, że była to najbardziej jaskrawa czerwień, jaką widział. Carolinus jak zwykle miał na sobie jedną ze swych starych szat, która wyglądała jak wyciągnięta ze śmietnika.

Czerwona szata orientalnego maga okrywała mężczyznę o twarzy nie zdradzającej wieku, grubo kościstej i nieco surowej. Teraz, przyjrząwszy mu się dokładniej, Jim stwierdził, że Son Won Phon jest niezwykle dobrze zbudowany jak na człowieka parającego się magią. Krępy i muskularny, był zaledwie o dwa centymetry niższy od Jima, który nawet w swoim świecie należał do wysokich. Mag najwyraźniej był nie tylko niezwykle silny, ale też doskonale nad tą siłą panował. Nie okazywał zniecierpliwienia czy napięcia. Sprawiał wrażenie człowieka, którego nie poruszy żadne wyzwanie czy niebezpieczeństwo, jakby był przekonany o tym, że ze wszystkim da sobie radę. Z niezmaconym spokojem przyjął spojrzenie Jima.

–Son Won Phonie, oto mój praktykant, o którym już słyszałeś – rozpoczął prezentację Carolinus. – James, masz przyjemność poznać Son Won Phona, członka klasy A+ naszego Zgromadzenia.

–Jestem zaszczycony – rzekł Jim – spotykając ma...

Carolinus nagle dostał ataku kaszlu. Stojąc pół kroku za Son Won Phonem, groźnie spojrzał na Jima.

–...zaszczycony, mogąc spotkać maga o takiej reputacji i randze – pospiesznie dokończył Jim, poprawnie wymawiając nieszczęsne słowo. Uroczyście skłonił się gościowi.

–Powstrzymaj się od ukłonów – rzekł Son Won Phon zaskakująco głębokim i dźwięcznym głosem. – Całkowicie zgadzam się z odpowiedzią, jaką kiedyś usłyszał jeden z waszych pierwszych królów Anglii, Ryszard I, powszechnie zwany Lwie

Serce. Podczas narady wojennej na jednej z wypraw krzyżowych zapomniał się tak dalece, że zaczął wydawać rozkazy, zamiast radzić wraz z obecnymi. Zdaje się, iż to sędziwy król Węgier napomniał go, mówiąc: „Wiesz chyba, że wszyscy tu jesteśmy równi”. My, członkowie Zgromadzenia, wśród których pewnego dnia możesz się znaleźć, przyjmujemy, że żaden z nas nie góruje nad innymi.

–Rozumiem – powiedział Jim.

–Oczywiście na razie, jesteś tylko praktykantem. Zdaje się, że twój mistrz zwraca się do ciebie „Jim”. W uznaniu kilku niezwykłych osiągnięć w dziedzinie magii też będę się tak do ciebie zwracał. Rozumiem, że jest tu kobieta ze starą blizną na twarzy, a ty pragnąłbyś usunąć tę szramę przed weselem, które ma się odbyć pojutrze?

–Tak, Son Won Phonie – odparł Jim. – Oczywiście sam nie potrafię tego dokonać. Czy mógłbyś...

–Niczego nie mogę obiecać – powiedział Son Won Phon swym głębokim głosem, od którego cicho zabrzęczało kilka szklanych naczyń w słonecznej komnacie. – Niektórzy członkowie Zgromadzenia interesują się usuwaniem blizn i tym podobnymi sprawami. Będziecie musieli podać mi, kiedy i w jaki sposób ta szrama powstała.

Jim opowiedział całą historię. Kiedy skończył. Son Won Phon zastanawiał się przez długą chwilę.

–To może się udać. Nie ma pewności, jeśli chodzi o tak odległe w czasie wydarzenie, nie jest to bowiem zmiana lub usunięcie świeżo odniesionej rany, co zapewne umiesz już robić sam...

–Umie – wtrącił sucho Carolinus.

–...zdrowa tkanka, którą z czasem zarasta uszkodzone miejsce również musi zostać częściowo zniszczona. W ten sposób niemal naruszamy obowiązujący członków Zgromadzenia zakaz podejmowania ofensywnych działań, najpierw bowiem należy usunąć zdrową tkankę, a potem w magiczny sposób zamknąć i wygoić ranę. W niektórych przypadkach przyniosło to efekty, w innych nie. Dotychczas nie odkryto przyczyny tak odmiennych rezultatów. Rozumiecie – zerknął na Carolinusa – że koszt takiej operacji będzie znaczny?

–Tak się składa – odparł chłodno Carolinus – że Jim może ci zapłacić ze swojego konta, które jest pełne po tym, jak ku naszej wielkiej uldze ocalił obecnego króla Anglii, zwyciężając gobliny przybyłe z głębi ziemi.

–Ach tak – powiedział Son Won Phon i dodał ze szczerym żalem, czym zaskoczył Jima: – Błagam, przyjmij moje przeprosiny, Jim. Oczywiście wiem o tym i nie posiadałem się z radości na wieść o tak wspaniałym zwycięstwie, podobnie jak każdy z magów Zgromadzenia. Tak jak i oni, jestem ci głęboko wdzięczny za ocalenie monarchii. Nie powinienem być nawet poruszać kwestii kosztów. Błagam o wybaczenie.

Powiedział to poważnie i zupełnie swobodnie, nie tracąc ani odrobiny godności.

–Oczywiście, Son Won Phonie – odparł Jim ze skrywaną irytacją. Kwestia płatności wydawała się zbyt nieistotnym drobiazgiem, nie wymagającym tak kurtuazyjnych przeprosin, zwłaszcza że były kierowane do maga stojącego znacznie

niżej w hierarchii od Son Won Phona.

Mag ze Wschodu mówił dalej:

–W każdym razie, chętnie się tym zajmę. To interesujący przypadek. Możecie pozostawić tę sprawę w moich rękach. Magu, Jimie, czy wybaczyście mi, jeśli teraz was opuszczę?

–Oczywiście – powiedział Carolinus. Jim, nie wiedząc, co powiedzieć i czy Carolinus odpowiedział za nich obu, mruknął coś pod nosem. Son Won Phon znikł.

Jim przez moment spoglądał na puste miejsce, gdzie przed chwilą stał mag, po czym zwrócił się do Carolinusa.

–Czy to wszystko?

–Tak – odrzekł Carolinus. – Chyba nie oczekiwałeś, że pozwoli ci wziąć udział w jego magicznych czynnościach, jakiegokolwiek one będą?

–Nie, nie – zaprzeczył Jim. – Zdziwiłem się tylko, zobaczywszy tu Son Won Phona. Sądziłem też, że będzie chciał dowiedzieć się więcej, zanim zabierze się do pracy.

Prawdę mówiąc, miał jednak nadzieję zobaczyć, jak mag to zrobi. To pragnienie, które jeszcze przed chwilą wydawało się możliwe do spełnienia, pozostanie chyba na wieki nie zaspokojone.

–W tej specjalności Son Won Phon nie ma sobie równych w całym Zgromadzeniu. Jednak żaden mag nie pozwoli, by ktoś zaglądał mu przez ramię, kiedy pracuje – powiedział Carolinus.– Czy ty pozwoliłbyś na to?

–Oczywiście – odparł Jim, ze zdziwieniem patrząc na starego maga. – A co w tym złego?

–Ha! – rzucił drwiąco Carolinus i znikł, podobnie jak Son Won Phon.

Zakłopotany Jim podszedł do kominka, żeby zaparzyć sobie herbaty. Kiedy usiłował zawiesić czajnik nad ogniem tak, by woda szybko się zagotowała, a płomień nie okopcił dna, do komnaty wróciła Angie.

–Czy powiedziałaś May Heather, że została awansowana na siostrę przełożoną? – zapytała.

–Tak.

–Czyżbyś zupełnie zapomniał, że ona wciąż jest praktykantką panny Plyseth i ma dopiero czternaście, najwyżej piętnaście lat? Najpierw trzeba będzie zapytać Plyseth.

–Powiedzieć, a nie zapytać. Ja jestem panem tego zamku. Mogę awansować każdego, jeśli zechcę.

Angie spojrzała na niego z troską.

–Nie musisz na mnie warczeć – powiedziała z niepokojem. – Co się stało, Jim?

–Przepraszam – powiedział. – Nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało.

–Nie o to chodzi – odparła. – To po prostu niepodobne do ciebie. Czym się martwisz, Jim? Powiedz mi. Znów jesteś zmęczony?

–Nie, nie.

–Coś się jednak stało. Czekaj, daj mi się zająć tym czajnikiem, zanim spowodujesz pożar, rozdmuchując tak ogień. Nie musisz robić z kominka pieca hutniczego. Usiądź albo połóż się, jeśli masz ochotę. Zrobię ci herbatę.

–Masz – powiedziała dziesięć minut później. Siedział na łóżku, oparty plecami o

wezgielowie, kiedy przyniosła mu parujący napar i usiadła obok.

Jim z wdzięcznością wziął kubek i upił łyk herbaty.

–Chyba byłem trochę podkręcony – rzekł.

–Mów.

–No cóż. od dawna chciałem w magiczny sposób usunąć tę bliznę z policzka Geronde przed zaślubinami.

–Jim, co za cudowny pomysł! To dlatego pytałeś mnie o nią?

–Wygląda na to, że nie jest to takie łatwe. Chciałem sprawić ci niespodziankę. Myślałem, że zrobię to sam, ale nie mogę. Poprosiłem Carolinusa, ale powiedział, że to praktycznie niemożliwe, lecz jeden z magów Zgromadzenia może mógłby coś poradzić, więc zwróci się do niego. Tak też zrobił.

–To wspaniale!

–Niezupełnie. Tym specjalistą, którego Carolinus sprowadził tu na chwilę przed twoim przyjściem, był Son Won Phon.

–Chyba nie ten mag, który tak bardzo chciał ci zaszkodzić i wyzwiał Carolinusa na pojedynek?

–Tak i nie. Carolinus wyjaśnił mi, że to nic była zemsta. Chcę powiedzieć, że może się myliłem. Carolinus twierdzi, że Son Won Phon jest po prostu bardzo zasadniczy, ale potrafi przyznać się do błędu tak samo jak każdy.

–Odniosłam inne wrażenie.

–Cóż, teraz sam już nie wiem – powiedział Jim. – Jak mówię, przybył tu i spotkałem go po raz pierwszy. Był inny, niż się spodziewałem. Może Carolinus miał rację. W każdym razie spróbuje usunąć tę bliznę Geronde. Najwidoczniej nie jest to proste, ponieważ ten proces różni się od gojenia świeżych ran. Należy zniszczyć tkankę, którą zarosła rana, a w ten sposób rani się ludzką istotę, co jest sprzeczne z prawami Zgromadzenia. Ponadto czasem daje rezultaty, a czasem nie, i żaden mag nie wie dlaczego.

–Jim – zachęciła Angie – dlaczego nie opowiesz mi wszystkiego, co zaszło, od chwili gdy Son Won Phon się tu pojawił aż do jego zniknięcia?

Jim zrobił to.

–Teraz ja też nie wiem, co o nim myśleć – powiedziała Angie, przygryzając dolną wargę. – Mówisz, że sprawiał wrażenie szczerego?

–Owszem.

–No cóż – odparła. – Zatem nie zaszkodzi spróbować, prawda? Niech robi swoje. Jeśli mu się uda, wspaniale. Jeśli nie, to trudno.

–Oczywiście masz rację. Boże! – zawołał Jim, patrząc na nią z wdzięcznością. – Jak dobrze, że mogę omawiać z tobą takie sprawy, Angie!

–Między innymi po to tu jestem – powiedziała, pochylając się, żeby go pocałować. – Jak się teraz czujesz?

–Znacznie lepiej – odrzekł, stawiając pusty kubek na nocnym stoliku. – Miałaś rację. Wciąż mnie to niepokoiło. Wiesz co, chyba trochę się zdrzemnę.

–Dobrze – przytaknęła. – Zrób to. Sen dobrze ci robi. Wyciągnął się na łóżku i natychmiast zapadł w sen. Niejasno zapamiętał, że Angie nakryła go kołdrą, a potem

nie było już nic – nawet snów.

Spał aż do następnego ranka.

Budził się powoli. Sądząc po blasku słońca wpadającym przez okna, był późny ranek, a Angie nie było w komnacie. Jim leżał tak w cudownym półśnie, powoli wracając do rzeczywistości. W nocy Angie musiała go rozebrać i okryć, gdyż służba nie odważyłaby się tego zrobić, chociaż w tych czasach zazwyczaj pomagano tak każdemu rycerzowi lub szlachcicowi, który za dużo wypił. Jednak z magiem to zupełnie inna sprawa.

Leniwie usiłował sobie przypomnieć, dlaczego powinien wstać i czym się zająć, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Na szczęście zupełnie nic! Skulił się pod kołdrą i zamknął oczy, próbując ponownie zapaść w miły sen. Jednak nie zasnął. Zamiast tego stopniowo całkiem się rozbudził i zaczął myśleć.

To już następny dzień. Dlaczego jeszcze nie ma żadnych wieści od Son Won Phona, a przynajmniej od Carolinusa? Rzucenie nawet skomplikowanego czaru nie mogło trwać tak długo jak operacja plastyczna w przyszłości, z której przybył. Magia po prostu działa lub nie. Zazwyczaj wydajesz polecenie i jeśli tylko wiesz, co robisz, uzyskujesz rezultat. W przeciwnym razie – nie. Tak czy owak, natychmiast znasz wynik.

Nagle zupełnie się obudził, coraz bardziej niepokojąc się o powodzenie tej operacji. Sam się zdziwił, że przejmuje się tym bardziej niż inwazją goblinów. Jednak w tamtym wypadku kierowała nim instynktowna wola przetrwania. Konieczność, a nie uczucie. Tymczasem chęć usunięcia tej blizny popychała go do działania jak wiejący w plecy wiatr. Niewątpliwie sprawiały to długie lata, w ciągu których powtarzał sobie, że kiedyś to zrobi, lecz nie podejmował żadnych działań, a teraz pozostało już niewiele czasu.

Pospiesznie wstał z łóżka i ubrał się. Zrobiwszy to, wezwał Son Won Phona, w taki sam sposób, w jaki wzywał Carolinusa i KinetetE.

Son Won Phonie!

Żadnej odpowiedzi. Spróbował ponownie, wkładając w to wołanie wszystkie siły na wypadek, gdyby Son Won Phon przebywał na drugim końcu świata. Beztrosko korzystał z magii świeżo uzyskanej po pokonaniu goblinów, lecz teraz to nie miało znaczenia.

Son Won Phonie!

Nadal nie było odpowiedzi. Słyszając wołanie, mag powinien rozpoznać głos Jima, wiedzieć, kto go wzywa, j zrozumieć, że to pilna sprawa. Tymczasem wciąż nie odpowiadał.

Zawołał jeszcze dwukrotnie, mając coraz mniejszą nadzieję. Nie doczekał się odpowiedzi.

Jim przygotował się na najgorsze. Jeśli Carolinus też nie odpowie, trzeba będzie spróbować wezwać KinetetE i sprawdzić, czy nie mogłaby dowiedzieć się czegoś o Son Won Phonie. Jako kobieta powinna lepiej rozumieć, jakie znaczenie będzie miał dla Geronde pomyślny wynik operacji. Jeśli ona też mu nie pomoże lub jeśli wieści od maga będą niepomyślne, to... Jim nie wiedział, co zrobi, ale z pewnością będzie

próbował poradzić sobie sam.

Carolinusie!

Obudziłeś się już, Jim? – usłyszał w myślach głos starego maga, złowroźnie uprzejmy. Son Won Phon jest ze mną. Zostań tam, gdzie jesteś. Zaraz tam będziemy.

Przypomniawszy sobie o skotłowanym łóżku, Jim wezwał służącą, żeby je zaścieliła. Kiedy to robiła, Jim przechadzał się po komnacie. Jak zawsze w takich sytuacjach, czas strasznie się dłużył. Służąca skończyła, dygnęła i wyszła. Jim przypomniał sobie, że magowie – szczególnie wyżej stojący w hierarchii – mieli przykry zwyczaj nie dotrzymywać terminów spotkań, choć w końcu zawsze się pojawiali... Ta myśl wcale nie poprawiła mu humoru.

Wreszcie Carolinus i Son Won Phon zjawili się w komnacie.

–Jesteśmy, Jim – powiedział Carolinus. – Wiedząc, jak ważny jest teraz dla ciebie sen, nie chcieliśmy ci przeszkadzać, dopóki sam się nie obudzisz. – Jego głos wciąż ociekał nadmierną, nie pasującą do niego słodyczą. – Son Won Phon opowie ci o swych wysiłkach – zakończył.

–Jim – powiedział Son Won Phon – w tym przypadku magiczny proces zawiódł. Ogromnie żałuję i chciałbym zrobić coś więcej. Jednak nie mogę. Gdyby wszystko poszło dobrze, tak jak oczekiwałem, Geronde obudziłaby się dziś rano bez blizny. Tak się jednak nie stało.

–Rozumiem – odparł ponuro Jim.

–Jak powiedziałem, chciałbym zrobić coś więcej. Jednak magia działa od razu albo wcale. Ani ja, ani żaden z magów, którzy zajmowali się tym problemem – a niektórzy stoją znacznie wyżej w hierarchii ode mnie – nie pojmują, dlaczego w niektórych przypadkach te działania wieńczy sukces, a w innych nie. Zarówno w tych zakończonych powodzeniem, jak i w nieudanych użyto takiej samej magii.

–Czy te klęski i sukcesy mają jakieś wspólne cechy? – spytał rozpaczliwie Jim. – Na przykład czas użycia magii, wiek lub stan zdrowia pacjentów... Cokolwiek, co odróżniałoby jednych od drugich?

–Nie rozumiem – powiedział Son Won Phon.

–Zastanawiam się nad warunkami, w jakich przeprowadzano te magiczne operacje. Na przykład czy grupa wyleczonych mogła składać się z osób bardziej niewinnych, w takim sensie, w jakim zwierzęta są niewinne i odporne na magię?

–Rozumiem, o co chodzi – odparł Son Won Phon. – Niech przejrzę w myślach wszystkie znane mi osobiście przypadki.

Przez dłuższą chwilę w słonecznej komnacie panowała cisza.

–Nie – powiedział mag ze Wschodu, przerywając w końcu milczenie. – Nie ma takiej różnicy, o jakiej wspomniałeś, i nie widzę żadnych innych cech odróżniających te dwie grupy.

–Tak bywa, Jim – stwierdził Carolinus. – To się zdarza najlepszym z nas. Czasem magia nie działa.

–W każdym razie – dorzucił Son Won Phon – muszę już was opuścić. Jak powiedziałem, szczerze żałuję, że nie byłem w stanie pomóc wam w tej sprawie. Oczywiście nic sobie za to nie policzę.

–Ależ i tak ci zapłacę, przynajmniej w miarę moich skromnych zasobów magicznej energii – zwrócił się do niego Jim. Żadne dobra doczesne nie wynagrodziłyby takiej...

–Żałuję – odparł Son Won Phon – lecz nie przyjmę od ciebie zapłaty w żadnej formie. Ryzykując sprzeciw maga – choć zakładam, że byłby on spowodowany jedynie odmiennym sposobem sformułowania tej myśli – sądzę, że nie akceptujesz wyniku tej operacji, do czego masz wszelkie prawo, nie wierzę jednak, abyś zdołał uzyskać lepszy rezultat ode mnie.

–Nie zamierzałem... – zaczął Jim.

–Nie ma znaczenia, co zamierzałeś – przerwał mu Son Won Phon. – Po prostu przestrzegam cię przed złudnymi nadziejami. Gdybyś w wyniku dalszych zabiegów jakimś cudem zdołał odnieść sukces, wszyscy zajmujący się tym problemem byłiby ci ogromnie wdzięczni za powiadomienie nas o tym. Wszyscy parający się magią wiedzą, że każdy ma własne sposoby rozwiązywania problemów, z którymi nie poradzili sobie inni. Pozwól, że jako mag wyższy od ciebie rangą przypomnę ci, że nigdy nie zawodzi magia, lecz posługujący się nią mag. Tak więc w niczym ci nie pomogłem i nie masz za co mi płacić. Inni magowie mogliby uważać inaczej. To ich sprawa. Koniec dyskusji. Żegnaj, praktykancie Jimie. Znikł.

–Czasem potrafi być irytujący – orzekł Carolinus – ale ma rację, że trzeba zaakceptować jego poglądy. Ma swoje zasady, jak każdy z nas.

–Rozumiem – powiedział Jim niezupełnie szczerze. – Nie mogę jednak zapomnieć o tym, co dawno temu powiedział pewien mieszkaniec mojego świata; „Nie ma nic niebezpieczniejszego niż kryształowo uczciwy człowiek”. Albo coś w tym sensie. Ze zgrozą myślę o tym, że to on ma mnie obserwować i złożyć raport Zgromadzeniu, zanim pozostali mnie przyjmą, tak jak zapowiedziałeś.

–Poradzisz sobie – powiedział Carolinus. – Nie martw się o to, Jim, podobnie jak o tę bliźnię Geronde. Wszyscy zrobiliśmy co było w naszej mocy. Nie myśl o tym. Tylko nie rób żadnych głupstw teraz, kiedy jesteś obserwowany.

–Ha! – wykrzyknął Jim. – Jakby to było łatwe!

–Nie jest łatwe. Mimo to musisz się postarać jak nigdy dotąd. Po prostu to zrób.

–Nie martw się – powiedział Jim i dodał, kompletnie mijając się z prawdą: – Już prawie zapomniałem o tej bliźnię Geronde.

–To dobrze! – stwierdził krótko Carolinus i znikł.

Jim patrzył na puste miejsce, w którym przed chwilą stał jego mistrz magii. Właśnie okłamał Carolinusa. Zełgał mu w żywe oczy, a przecież Carolinus był jego starym przyjacielem. Jak w takim razie zdoła spełnić oczekiwania Son Won Phona?

To jednak nie miało teraz znaczenie. Mimo że wydawało się to niewykonalne, nie mógł zaprzestać poszukiwań jakiegoś sposobu usunięcia bliźny z twarzy Geronde, tak samo jak święty Jerzy nie mógł się odwrócić plecami do smoka i odejść albo smok wzbić się w powietrze i uciec. Ich walka może i była tylko legendą... Lecz nie na tym świecie – uświadomił sobie. Tutaj mogła być jak najbardziej rzeczywista.

Wszystko to nie miało znaczenia. Wzbierał w nim gniew. Zatem Son Won Phon nic nie działał. A sądząc po zachowaniu Carolinusa, mag ze Wschodu nie pokazał mu, w jaki sposób próbuje usuwać takie bliźny. No, trudno.

Jim nie był człowiekiem wojowniczym. Gdyby ktoś nagle próbował go uderzyć, przede wszystkim starałby się w miarę możliwości uchylić przed ciosem, a zamiast instynktownie odpowiedzieć uderzeniem, prędzej zapytałby napastnika: „Dlaczego to robisz?” Po prostu taki już był.

Zazwyczaj dopiero druga próba zadania mu ciosu budziła w nim gniew i skłaniała do walki. Wtedy oczywiście miał spore szanse zwyciężyć, gdyż jego gniew przez cały czas rósł, aż w końcu Jim przestawał odczuwać otrzymywane ciosy. Mimo to wciąż przypominał sobie, że w tym świecie taka zwłoka mogła się okazać śmiertelnie niebezpieczna. Zbyt wolna reakcja mogła oznaczać martwego Jamesa Eckerta.

A więc miał zrezygnować z usunięcia blizny Geronde, jak radził mu Carolinus, chociaż Jim uważał to za swój obowiązek, spoczywający na nim od kiedy on, Brian, Danielle, Dafydd i Aargh nie zdołali wybawić jej w porę, by zapobiec temu okaleczeniu.

Do diabła, nie! Ona i Brian musieli tak długo czekać na ślub, ta ceremonia miała dla nich obojga ogromne znaczenie. Kochali się zbyt mocno i długo, zasługiwali na wszystko, co tylko będzie w stanie dla nich zrobić.

Rozdział 44

Ile zostało mi czasu? – zadał sobie pytanie Jim.

Ślub miał się odbyć nazajutrz w południe, na schodach kaplicy, w której następnie miała zostać odprawiona uroczysta msza. Jeśli blizna ma zniknąć, musi to nastąpić wcześniej. Nie powinna zniknąć w środku dnia, na oczach wszystkich.

Miejscowi i tak niebawem zaczęliby nazywać to cudem, ale chciał, żeby przypisywali go ślubowi lub mszy czy też czemukolwiek, byle nie podejrzewali, że miała z tym coś wspólnego magia i on.

Tak więc byłoby najlepiej, gdyby blizna znikła w nocy, kiedy Geronde będzie spała i nie zauważy tego aż do rana.

W porządku, a więc miał trochę czasu. Nieważne, że Son Won Phon nie powiedział mu, w jaki sposób usiłował tego dokonać. Jim i tak przyzwyczał się wymyślać własne sposoby posługiwania się magią. Prawdę mówiąc, Carolinus zawsze zmuszał go do tego – jakby rzucał go na głęboką wodę, żeby nauczyć go pływać. Od początku twierdził, że nie ma dwóch magów, którzy w taki sam sposób uzyskują jednakowe wyniki. Minęło jednak parę lat, zanim Jim zorientował się, że nie jest to typowy sposób nauczania magii. Zazwyczaj praktykanci uczyli się na pamięć prostych zaklęć, po czym ćwiczyli je, by z czasem zacząć eksperymentować i tworzyć podstawy własnej sztuki. Być może z tego powodu nawet doświadczeni magowie, tacy jak Son Won Phon, nie chcieli dzielić się swoimi osiągnięciami.

Tak więc w każdej chwili mógł zastosować własną, osobiście wypracowaną metodę uzyskiwania pożądaných rezultatów.

Najpierw należy znaleźć powód, dla którego magia nie podziałała na Geronde, uznał. Son Won Phon podsunął mu pewną myśl, kiedy powiedział, że jeśli magia zawodzi, wina zawsze leży po stronie maga. Ponadto mimo zaprzeczeń Sona Won Phona musi istnieć jakieś kryterium, według którego pacjenci dzielą się na dwie grupy: tych, którym magia pomogła, oraz pozostałych. Co zatem odróżnia jednych od drugich? Wina nie mogła leżeć po stronie samej magii, gdyż Son Won Phon z pewnością w każdym przypadku stosował tę samą metodę – inaczej szybko zorientowałby się, która działa, a która nie. To oznaczało, że przyczyną była jakaś cecha ludzi, na których działała magia. Co to mogła być za cecha? Z pewnością coś związanego z ich naturą lub charakterem. A przecież każdy człowiek jest indywidualnością. Mimo to wyleczone osoby musiały mieć jakąś wspólną cechę. Hmm... pod jakim względem najbardziej różnili się ludzie tych czasów? Z pewnością umiejętnością kochania. Angie posiadała ją w ogromnym stopniu, Geronde zapewne prawie... nie, to byłoby niesprawiedliwe. Posiadała ją w takim samym stopniu, tylko nieco inaczej. Oprócz tego, że u każdego objawiała się w inny sposób, w tych czasach słowo to miało inne, znacznie szersze znaczenie. Przyszło mu to do głowy kilka nocy wcześniej, kiedy przy blasku księżyca obserwował podążających na zachód uciekinierów. Mogło oznaczać miłość cielesną, ale również wiele innych jej rodzajów. Na przykład średniowieczni mężczyźni często używali tego słowa w różnych sytuacjach, podczas gdy w dwudziestym wieku starali się go unikać, zastępując je słowem „lubić”. Kobiety jednak nie miały takich zahamowań, ani teraz,

ani w przyszłości. „Miłość” oznaczała dla nich przede wszystkim głębokie uczucie, silną więź z kimś lub czymś.

Uczucie takie bywało równie mocne jak wiara. Czasem wystarczająco, by za jego sprawą dokonywały się rzeczy uważane za niemożliwe. Niemal wszystkie ważniejsze religie świata uznawały miłość za uczucie cechujące żarliwego wyznawcę.

Często najsilniejsza była miłość rodzicielska lub Wiara. Miłość i Wiara były kuzynkami, a może siostrami, żyjącymi w duszach najszczęśliwszych ludzi.

Potrzebował pomocy.

–Hobie! – zawołał w stronę kominka. – Jesteś mi potrzebny! Po zaledwie kilku sekundach skrzat wyłonił się z kominka, zwinnie przechodząc przez ogień, który w zimie palił się przez całą dobę.

–Milordzie?

–Chciałbym, żebyś pomógł mi zrozumieć kilka spraw.

–Ja, milordzie? ~ powiedział Hob z wyraźnym zadowoleniem w głosie. Zaraz jednak ostrożność wzięła górę. – Przecież ja jestem tylko skrzatem.

–Właśnie dlatego.

–Och! – Ostrożność przeszła w zdumienie.

–Jakiś czas przed bitwą powiedziałeś mi, że dzierżawcy i poddani, na których domach widnieje znak krzyża, mogą nie obawiać się goblinów, podczas gdy krzyż, na bramie Malencontri nie obroniłby zamku.

Hob kręcił się, zmieszany, aż stanął na jednej nodze.

–To dlatego, że jesteś magiem, milordzie. Pamiętasz, że tak mówił mag Carolinus.

–Właśnie! – wykrzyknął Jim i Hob stanął na dwóch nogach. – A ponieważ jako mag nie jestem niewinny, zamek może zostać zaatakowany. Co sprawia, że wieśniacy są niewinni, a ja nie?

–No, oni... oni wierzyli, że krzyż ich ochroni, więc tak się stało. – I skrzat pospiesznie dodał: – Wcale nie chciałem przez to powiedzieć, że oni są pod jakimś względem lepsi od ciebie, panie, czy innych wielkich i dobrych magów. Oni po prostu wierzą.

–A zwierzęta? Na nie też magia nie działa. One również są niewinne.

–W przypadku zwierząt jest to zupełnie inny rodzaj niewinności, milordzie!

Zwierzęta nie potrafią wyczuć, zobaczyć czy posmakować magii, więc po prostu w nią nie wierzą. Zamiast wierzyć w coś, one nie wierzą wcale. Dla nich magia nie może istnieć, zatem nie istnieje.

–Chcesz powiedzieć, że wieśniacy mają wiarę, która ich chroni, a zwierzęta jej nie mają i dlatego też są bezpieczne? Spróbujmy podejść do tego inaczej. Co się stanie z goblinem, który zechce się dostać do domu bronionego przez krzyż?

–Ależ milordzie, one nigdy nawet nie próbują tego robić. Wiedzą, że to na nic.

–Dlaczego? Skąd wiedzą, że to się nie uda? Spróbuj wyobrazić sobie, że jeden z nich stara się wyważyć drzwi z namalowanym na nich krzyżem. A gdyby chciał zetrzeć ten znak? Czy potem mógłby wejść? Co by się stało?

–To po prostu niemożliwe! – odparł z przekonaniem Hob. – Nie mógłby nawet dotknąć takiego domu i nigdy, przenigdy, nie mógłby zetrzeć krzyża. Po prostu nie

mógłby. Nawet ja nie mogę dotknąć krzyża. Czy milord ma coś, czym mógłby narysować krzyż, tak żeby potem można go zetrzeć? Pokażę, o co chodzi.

W późnym średniowieczu zaczęto już wyrabiać i używać papieru. Angie prowadziła na nim rejestr wydatków Malencontri, wpływów, zapasów żywności oraz innych rzeczy. Papier był gruby, biało-brązowy. Inkaust nie dałby się z niego zetrzeć, ale kreda powinna pozostawić dostatecznie wyraźny ślad na jego ciemnej powierzchni... Jim pogrzebał w biurczku Angie, starając się nie narobić bałaganu, po czym z kartką papieru i kawałkiem kredy wrócił do stołu.

Położył kartkę na blacie i nakreślił na niej krzyż.

–W porządku – zwrócił się do Hoba – pokaż mi.

Skrzat podszedł do stołu i umieścił palec tuż nad ledwie widocznym białym krzyżem.

–Widzisz, milordzie, ja nie boję się go dotknąć, tak jak obawiałby się goblin. To dlatego, że one używają magii z nienawiści, podczas gdy my, skrzaty, robimy to z miłości, lubimy rozśmieszać dzieci lub zabierać je na przejażdżki na smużce dymu, kiedy są samotne lub nieszczęśliwe. Przekonaliśmy się, że kochanie wszystkiego i wszystkich – oprócz goblinów, rzecz jasna – daje więcej szczęścia, a potem odkryliśmy, że umożliwia nam również dostęp do kominów i domów. Dzięki temu mogliśmy zamieszkać z wami, ludźmi, i być jeszcze szczęśliwsze. Tak więc w taki sposób od początku różnimy się od goblinów.

Miłość i Wiara w Miłość stworzyły tę magiczną różnicę – pomyślał Jim.

–Tylko kiedy próbuję dotknąć krzyża... – ciągnął Hob i całym ciężarem ciała opadł na swój kciuk, który wciąż trzymał w powietrzu tuż nad narysowanym przez Jima krzyżem, a mimo to palec nie dotknął papieru. – Myślę – powiedział przeprasząco – że nie pozwala mi się dotknąć, ponieważ jestem naturalnym i też mam magię.

–W porządku – odparł Jim i przesunął dłonią po kartce, by sprawdzić, czy zdoła zetrzeć nakreślony kredą krzyż. Zdołał. – Wierzę ci – dodał. – A zatem goblin nie mógłby nawet dotknąć domu, na którym widnieje znak krzyża?

–Nie, milordzie. Nawet gdyby się odważył.

–Tak więc krzyż jest swego rodzaju zaklęciem ochronnym?

–Jeśli milord wybaczy – odpowiedział pokornie Hob – sądzę, że to dwie zupełnie różne rzeczy. Nie potrafię powiedzieć dlaczego, ale jestem pewien, że tak jest.

–Przecież ludzie broniący się Wiarą powinni być niewinni. A my, ludzie, nie jesteśmy tacy.

–Jeśli milord ponownie raczy mi wybaczyć, to nie sądzę, by ludzie musieli być całkiem niewinni, chodzi o niewinność tylko w pewnych sprawach. Może niektórzy ludzie mają coś w rodzaju niewinnej wiary.

Jim pomyślał o wieśniakach, którzy pod pewnymi względami wcale nie byli niewinni, a zarazem byli niewinni w kwestiach wiary, właśnie ta niewinność sprawiała, że krzyż chronił ich przed goblinami. Jeśli się nad tym zastanowić, to samo można powiedzieć o rycerzach, którzy byli niewinni w pewnych sprawach, a zdecydowanie grzeszni w innych – oprócz takich rzadkich wyjątków jak Brian. Zdaniem Jima jego przyjaciel był zadziwiająco niewinny pod wieloma względami. Zapewne dlatego

podjęmowane przez niego decyzje zawsze wydawały się tak dobrze uzasadnione. Jim pamiętał swoje zdziwienie, kiedy na początku znajomości z Brianem odkrył u niego coś, co początkowo wziął za dwulicowość; na przykład wiedząc, że król jest pijakiem i człowiekiem bez skrupułów, podziwiał go i był gotów zginąć za niego, jako pomazańca bożego górującego nad zwykłymi śmiertelnikami. Brian wydawał się nie dostrzegać tkwiącej w tym sprzeczności.

To jednak wcale nie była dwulicowość, lecz coś zupełnie innego. Brian nie kochał króla, ale wierzył w niego jako wybrańca, któremu jest przeznaczone rządzić wszystkimi Anglikami.

Była to jedna z wielu ogromnych różnic w pojmowaniu tych samych słów i faktów przez ludzi czternastego i dwudziestego wieku.

–A zwierzęta – dodał Hob, nabierając odwagi – nigdy nie bywają częściowo niewinne. Po prostu są niewinne.

–Racja! – przyznał Jim.

Wydało mu się, że już wie, co jest potrzebne do usunięcia blizn Geronde. Musiał znaleźć gdzieś niezbędną Miłość i Wiarę – i to w ogromnych ilościach. Potem będzie musiał tylko stworzyć odpowiednią koncepcję i ująć ją w taką formę, w którą sam zdoła uwierzyć, aby zabrać się do pracy.

Przyszło mu do głowy, że to musi trochę przypominać jeden z tych cudów, o jakie ludzie wciąż proszą Najwyższego.

Tylko czy on był w kontakcie z Najwyższym? Nie znajdzie w sobie takiej wiary, gdyż po prostu jej nie ma. Jednak w pobliżu był co najmniej jeden człowiek, który mógł ją mieć.

–Hobie – zapytał Jim – nie wiesz przypadkiem, gdzie jest teraz Brian? Czy jest w zamku?

–Nie w tej chwili, milordzie – odrzekł skrzat. – On i lord Dafydd poszli z łukami na łowy.

Oczywiście, cały Brian. Nie potrafi usiedzieć ani chwili. Musi coś robić.

–Chcesz, żebym pojechał na dymie ich poszukać, milordzie?

–Nie, nie trzeba. Sam go znajdę i nie powinieneś nazywać Dafydda lordem, jeśli może cię usłyszeć ktoś oprócz Briana i mnie.

–Tak, milordzie. Nigdy nikomu nie zdradzę, że on jest księciem.

Jim skrzywił się.

–W innej kra...

–Tak, milordzie. Zatopionej Krainy. Wiem, że on nie chce, by wiedział o tym ktoś poza tobą i sir Brianem. Ja nigdy nikomu tego nie wyjawię!

–Chciałbym, żebyś zupełnie o tym zapomniał – powiedział Jim. – W ogóle nie powinieneś o tym wiedzieć. Dafydd byłby niezadowolony, gdyby się dowiedział, że wiesz. A nawiasem mówiąc, od kiedy?

–Kiedy byliśmy w Zatopionej Krainie, w drodze do Liones. Jechałem na twoim karku, za kołnierzem, jak zwykle...

–Cóż, postaraj się o tym zapomnieć. Nie powtarzaj tego nawet przy lady Angeli i przy mnie. Tak będzie najlepiej. Możesz odejść. Dziękuję.

To ostatnie słowo wypowiedział, zanim zdążył się ugryźć w język. Wciąż zapominał, że w tych czasach rzadko używano takich słów. Stojący niżej do ciebie nie śmieli cię chwalić, gdyż byłaby to zuchwała sugestia, że w jakiś sposób mogą się z tobą równać. Równi tobie nie chwalili cię, bo mogłoby to świadczyć, że uznają twoje zwierzchnictwo, z kolei stojący wyżej od ciebie nie chwalili cię w obawie, że nabierzesz o sobie wyższego mniemania, niż powinieneś.

–Zaczekaj! – dorzucił pospiesznie. – Musisz coś zrozumieć, Hobie. Cieszę się, że wspomnieliśmy o tajemnicy Dafydd. Powinieneś jednak wiedzieć, jak ważne jest, abyś już nigdy o tym nie mówił, szczególnie w jego obecności. Z pewnością pomyślałby, że złamałem dane mu słowo, iż nikomu o tym nie powiem.

–Och, milordzie! – Hob klasnął w dłonie. – Prędzej dam mu się posiekać w kawałeczki, nim pisnę o tym choć słowo!

–Wątpię, by Dafydd posunął się tak daleko, ale cieszę się, wiedząc, że zachowasz milczenie.

–Obiecuję! Obiecuję!

–Dobrze. Teraz możesz odejść. Sam znajdę Briana.

Hob jednym długim susem zniknął w kominie.

Jim wygodnie wyciągnął się na plecach i wyobraził sobie Briana. Obraz był niewyraźny. Zamiast przyjaciela spróbował wyobrazić sobie jego otoczenie. Najpierw sprawdził, na jakim gruncie stoi w tym momencie Brian, a potem rozbudował ten obraz. Carolinus znał znacznie szybszy sposób odnajdywania ludzi, których chciał odwiedzić. Jim kilkakrotnie przenosił się razem z nim, kiedy stary mag zdecydował, że powinni udać się gdzieś razem. Trwało to znacznie krócej.

Jim zanotował w myślach, że powinien spróbować znaleźć szybszą metodę nawiązywania kontaktu, po czym zaczął układać przemowę, którą zamieszał wygłosić do Briana. Jednocześnie zaczął powoli dostrzegać leśną polankę, na której właśnie siedział Brian. Miała najwyżej cztery metry średnicy i była otoczona kręgiem starych wiązów, pośród których rosły pojedyncze dęby. W lecie, kiedy drzewa były pokryte listowiem, z pewnością było to przyjemne miejsce, lecz teraz tylko kilka pożółkłych liści pozostało na nagich gałęziach. Wszystko lśniło od wilgoci. Temperatura powietrza prawdopodobnie była bliska zera.

Brian był ubrany w strój do polowania, u pasa miał miecz i kołczan ze strzałami, a na ramieniu łuk. Nie miał na sobie zbroi. Jak zwykle nie zważając na pogodę, siedział na pniu bardzo starego, wielkiego wiazu, który runął w końcu po długim życiu. Brian ostrzył grot rohatyny, którą zapewne wziął na wszelki wypadek. Tego rodzaju włócznia miała poniżej grotu poprzeczkę, która nie pozwalała nadzianemu na nią niedźwiedziowi zsunąć się po drzewcu i rozszarpać myśliwego. Oto cały Brian; wyruszać na samotne spotkanie z niedźwiedziem, nie zabierając psów, kolczugi ani ochraniaczy na nogi.

Dafydd nie było w pobliżu. Niewątpliwie rozdzielili się, by zwiększyć szanse upolowania kilku królików. Jim uznał, że to dobra okazja. Chciał porozmawiać z Brianem w cztery oczy. Dafydd oczywiście znikłby w lesie, gdyby zauważył, że chcą porozmawiać bez świadków, ale wszyscy trzej byli tak zaprzyjaźnieni, że Jim czułby

się niezręcznie, dając mu do zrozumienia, że nie życzy sobie jego obecności.

Briane! – zawołał w myślach. Rycerz natychmiast zapomniał o rohatynie, czujnie podniósł głowę i rozejrzał się wokół, jakby oczekując, że Jim zmaterializuje się na środku polanki. Muszę porozmawiać z tobą o czymś ważnym. Czy masz chwilę?

–Oczywiście! – odparł głośno Brian, jednocześnie bezwiednie przesyłając tę myśl.
– Gdzie jesteś?

–W Malencontri, ale będę u ciebie za minutę... lub dwie – dodał Jim, przypominając sobie, że w lesie będzie zimno, a on jest lekko ubrany. Pospieszenie wstał, znalazł i włożył grubą skórzaną kurtkę, którą Angie kazała mu uszyć do noszenia pod kolczugą. Ponadto wziął kolczugę oraz swój pas rycerski z mieczem w pochwie – bardziej dlatego, że Brian pytałby, dlaczego ich nie nosi, niż z jakiegoś praktycznego powodu.

Brian, podobnie jak wielu innych ludzi, uważał, że rycerz nie powinien wychodzić z domu bez miecza. To trochę irytowało Jima. Carolinus mógłby się pojawić w tym lesie, mając na sobie jedną ze swych starych czerwonych szat i Brian nigdy by nie uznał tego stroju za niestosowny.

Jim przeniósł się na polankę. Na jego widok Brian wstał.

–Napotkałem niezłego rogacza – oznajmił. – Wspaniała sztuka. ale był za daleko, nie miałem więc pewności, że położę go jedną strzałą. Zraniłbym go tylko, a wtedy mógłby uciec daleko. Dafydd nie było ze mną, poszedł szukać królików. Królików! W mgnieniu oka położyłby tego jelenia jedną strzałą. No cóż, na razie nie brak nam żywności.

–Może się zdarzyć, że wkrótce jej zabraknie – odparł Jim.

Dafydd kiedyś wyjaśnił mu, że Brian używa zbyt twardego łuku, podobnie jak wielu tych, którzy nie rozumieją tej broni. Uparcie posługiwał się łukiem o czterdziestokilogramowym naciągu, podczas gdy powinien używać trzydziestopięciokilogramowego, a może nawet trzydziestokilogramowego. Zbyt twardego łuku utrudniało celowanie i dlatego Brian mniej skutecznie nim władał niż innymi rodzajami broni. Jednak łuk o trzydziestokilogramowym naciągu uważano za broń kobiecą, a trzydziestopięciokilogramowy za odpowiedni dla niedorostków. Co gorsza, Danielle – żona Dafydda i córka łucznika – zręcznie posługiwała się łukiem o czterdziestokilogramowym naciągu. Brian byłby zmieszany i urażony, gdyby zaproponowano mu zmianę łuku na lżejszy. Starał się zrekompensować mniejszą celność, podchodząc jak najbliżej do celu.

–Zabraknie żywności, James? – zapytał. – Na początku zimy?

–Być może – odparł Jim. – Angie sprawdza teraz zapasy. Pamiętaj, że gościliśmy i żywiliśmy wielu ludzi. Dzięki Bogu, skrzaty nic nie jedzą.

–Ciekawe, jak one to robią – rzekł Brian, który obżerał się przy każdej okazji i nigdy nie przybierał na wadze.

–Nie pytałem, a zresztą one same pewnie nie wiedzą.

–Trolle żrą jak wilki.

–Wiem. Jednak naturalni też różnią się od siebie. No nic, Briane. Mam coś ważniejszego do powiedzenia.

–Francja chce wypowiedzieć nam wojnę?

–Nie. Coś znacznie ważniejszego. To dotyczy Geronde i zanim odejdę, chciałbym, żebyś obiecał, że zachowasz naszą rozmowę w tajemnicy. Przede wszystkim przed Geronde.

–James! Nie mogę z góry obiecać, że ukryję coś przed Geronde, moją prawowitą małżonką, którą zostanie jutro!

–Od tego może zależeć, czy wydarzy się cud.

Brian spoważniał i przeżegnał się.

–Zatem przysięgam na mą duszę. Geronde! Cóż to takiego, James? Nie dręcz mnie tymi wstępami.

–Ten wstęp... – zaczął Jim. – Nieważne, Brianie. Krótko mówiąc, mam przeczucie, że tej nocy może wydarzyć się cud.

–Cud! – prawie wykrzyknął Brian. – Czy to będzie... dobry cud?

–Taki, którego Geronde moim zdaniem pragnie niemal równic gorąco jak ślubu z tobą.

–Co...?

–To nic pewnego. Jak powiedziałem: „może”. Jeśli jednak ten cud nastąpi, to Geronde obudzi się jutro bez blizny, którą de Bois zostawił na jej policzku.

–Bez blizny? – Brianowi zadrżał głos. Był bliski łez. – Och. James, ona pragnęłaby tego jak niczego innego na świecie! Powinienem był znaleźć trochę czasu, wytropić tego łotra i posiekać go na przynętę dla ryb! Powinienem był nalegać i zastąpić cię, kiedy wyzwał cię przed Malencontri, wtedy, gdy rozprawiliśmy się ze złym czarnoksiężnikiem Malvinnem. Powinienem...

–Nieważne, co powinienesz. W ten sposób i tak nie usunąłbyś lej blizny. A teraz może zniknie.

–Oczywiście, oczywiście. De Bois może wciąż żyje i jeszcze kiedyś go dopadnę. James... nie wiem, jak to powiedzieć... Czy chcesz przyłożyć ręki do tego cudu? Chcę rzec... dzięki twojej m...

–Ja? – zdziwił się Jim. – Bądź spokojny, Brianie! Przysięgam, że moja magia nie będzie miała z tym nic wspólnego!

–A więc to będzie prawdziwy, święty cud?

–Możliwe – odparł w zadumie Jim. – Nie jestem pewien. Być może, wbrew przekonaniom takich ludzi jak ja, będzie. Pamiętaj tylko, Brianie, że powiedziałem „może”, a nie twierdziłem, że jest to pewne.

Brian nie odpowiedział. Klęknął na ciemnym dywanie z opadłych mokrych liści, butwiejących już po zesłotygodniowych deszczach. Skłonił głowę, zamknął oczy i przyłożył złączone dłonie do ust. Lekko poruszał wargami. Modlił się cicho. Jim stał i czekał.

–Chodź, James! – zawołał gromko Brian, nagle zrywając się na równe nogi. – Musimy jak najszybciej wrócić do zamku. Będę się modlił w kaplicy przez cały wieczór i noc, żeby ten cud naprawdę się zdarzył!

–Zaczekaj! – powiedział Jim, nie ruszając się z miejsca, chociaż Brian odwrócił się i zaczął iść przez polankę. – Wracaj! W mgnieniu oka przeniosę nas obu do zamku,

jak tylko skończymy rozmowę. Geronde nie może się dowiedzieć, że mówiłem ci coś na ten temat. Takie długie modły w kaplicy w noc przed ślubem na pewno wzbudzą jej podejrzenia...

–Dlaczego? – Brian przystanął, odwrócił się i ze zdumieniem spojrzął na Jima. – Jestem rycerzem i mam obowiązki wobec Boga. Modły to mój święty obowiązek. Nie będzie o nic pytać, podobnie jak ja nie pytałbym jej.

Brian wrócił do Jima.

–Muszę coś zrobić – rzekł. – Nie mogę po prostu czekać na tak upragniony cud, nie robiąc nic, by okazać wdzięczność Bogu.

–Właśnie to chciałem ci powiedzieć i jeszcze nie zdążyłem – wyjaśnił Jim. – Ten cud zależy od tego, co zrobisz, a będziesz musiał włożyć w to całe serce, duszę i odwagę!

–Powiedz mi, co mam robić! – Oczy Briana rozbłysły w przyćmionym blasku zimowego słońca.

–Musisz – powoli i poważnie zaczął mówić Jim – przez cały czas, od tej chwili aż do jutra rana, myśleć tylko o tym. W cuda nie można wątpić. Staraj się nie ujawnić Geronde tego, co wiesz i czujesz. Nie spoglądaj na jej bliznę częściej niż zwykle. I ani na chwilę nie możesz zwątpić w to, że ten cud nastąpi. Musisz wierzyć z całej siły, że jej twarz znów będzie nietknięta, a jednocześnie nie wolno ci ulec pokusie i spojrzeć, czy ten cud już się zdarzył... Krótko mówiąc, musisz wierzyć weń bez zastrzeżeń!

–Będę – zapewnił krótko Brian.

Przez chwilę spoglądali na siebie, a potem Brian przemówił prawie tak radosnym głosem, jaki Jim słyszał u niego zawsze, kiedy rycerz miał ruszyć w bój.

–Teraz jednak niezwłocznie przenieś nas z powrotem do Malencontri, James. Muszę zrobić to co do mnie należy.

Rozdział 45

Wróciwszy do Malencontri, Jim miał ochotę uciąć sobie drzemkę, ale nie odważył się tego zrobić w obawie, że prześni całą noc. I dobrze się stało, bo gdy tylko wraz z Brianem pojawili się w pustej wielkiej sali – w której ogień palił się we wszystkich trzech ogromnych kominkach, ale i tak nie nagrzewał tej rozległej komnaty o kamiennych ścianach – dopadła go Angie.

–Tu jesteś! – zawołała. – O, Brianie, dopisało ci szczęście na polowaniu?

–Widziałem jelenia. Wspaniały rogacz, ale zasłaniały go gałęzie.

–Szkoda – powiedziała Angie. – Przydałaby nam się każda żywność, jaką uda nam się zdobyć przed zimą.

–James wspominał mi o tym. Ale przecież wasi sąsiedzi z okolicznych zamków, którzy na skutek zarazy stracili więcej ludzi niż wy, mają zbędne zapasy żywności. Nie mogą wam odmówić, gdyż dzięki wam odnieśli zwycięstwo w bitwie pod rozkazami następcy tronu, w dodatku na oczach samego króla. O tym zwycięstwie minstrele będą śpiewać przez wieki!

Jim i Angie popatrzyli na siebie. Potem oboje spojrzeli na Briana.

–Brianie! – powiedziała Angie. – Naprawdę myślisz, że byliby skłonni to zrobić? Oczywiście wiem, że Geronde podzielił się z nami zapasami Malvern, lecz zaraza zabrała tam równie mało ofiar jak w zamku Smythe i tutaj, więc to, co może nam dać, nie wystarczy, by przetrwać zimę.

–Niewątpliwie! – rzekł z przekonaniem Brian. – Wasi sąsiedzi z pewnością wam pomogą. Nie tylko z wdzięczności, ale również ze względu na dobrosąsiedzkie stosunki.

–Nie przyszło mi to do głowy – przyznał Jim.

–Mnie też – powiedziała Angie. – Jim jesteś mi teraz potrzebny. Pójdziemy do panny Plyseth i zobaczymy, jak przyjmie wiadomość o tym, że May Heather przestaje być jej praktykantką. To był twój pomysł.

–Ja zaś – oznajmił Brian – muszę się zająć innymi sprawami. Wspomnę Geronde o zapasach, a ona jutro powie o tym gościom. Zobaczymy się przy kolacji, jeśli nie będziecie tak zajęci z panną Plyseth, by nie móc uczestniczyć w posiłku. Ja trochę zgłodniałem.

Odszedł w kierunku schodów.

–Chodź, Jim! – powiedziała Angie ze stanowczością kasztelanki, której autorytet musi uznać nawet pan zamku.

Jim odprowadzał Briana wzrokiem. Przyjaciel wydawał się równie beztroski jak zawsze – i to kilka minut po tym, jak postanowił zrobić coś, co Jimowi wydawało się niebywale trudne. Czyżby Brian zbyt lekko traktował decyzję spędzenia całej nocy w kaplicy? Nie. Brian nie potrafiłby – nie mógłby – tak postąpić, złożywszy obietnicę skazującą go na męczarnie, które Jim aż nazbyt dobrze sobie wyobrażał, znając zamkową kaplicę.

Nie. Po prostu właśnie w taki wspaniały sposób stawiał czoło temu, co go czekało, traktując to jako rzecz zupełnie oczywistą. Nie z fatalizmem – od którego zawsze był daleki – lecz uznając to za swój obowiązek.

–Już idę... – powiedział niepewnie Jim i odwróciwszy się, poszedł za Angie do gotowni. Zastali tam pannę Gwynneth Plyseth, siedzącą na wymoszczonym poduszkami fotelu, obserwującą szczupłą dziewczynę w białej sukience, która ćwiczyła wstawianie półmisek do pieca przed południowym posiłkiem – tutaj zawsze nazywanym obiadem.

–Nie, nie – mówiła do dziewczyny, kiedy wchodzili. – Ile razy mam ci powtarzać! Nałóż potrawy na półmiski, a potem dopiero je podgrzej... Pani! Panie!

Usiłowała wstać.

–Siedź! – poleciła Angie. – Przyszliśmy powiedzieć ci o czymś. May Heather tak dobrze się spisała w izbie chorych, że życzymy sobie, by została jej przełożoną. To oznacza, że musimy cię prosić o zwolnienie jej z terminu.

Gwynneth zaczęła płakać. Nie wybuchła płaczem, jak zapewne zrobiłaby to młodsza kobieta, ale łzy popłynęły po jej szarej, pobrużdżonej twarzy.

–Och – powiedziała, załamana. – Wiedziałam, że nadejdzie taki dzień. May była mi tak pomocna i nie mogłam się doczekać, kiedy znów ją tu zobaczę. Tak szybko wszystko pojmuję. Tak dobrze zapamiętuje! A teraz w końcu zajmie moje miejsce! W gotowni, w której tak długo pracowałam!

Kołysała się w fotelu, szlochając.

Jim zmiękł. Jednak Angie była odporniejsza.

–Nonsens! – zawołała. – Ty jesteś tu przełożoną. I zostaniesz nią, jak długo będziesz w stanie wydawać polecenia. Kto równie dobrze jak ty wie, co tu należy robić? Jak moglibyśmy się bez ciebie obejść? Przecież dobrze o tym wiesz!

Gwynneth pociągnęła nosem i otarła łzy.

–Ale May... – zaczęła.

–May będzie przychodziła tu na kilka godzin dziennie, aby nauczyć nową praktykantkę tego, co sama umie, a także pomóc jej robić to, co zmusiłoby cię do wstawiania z krzesła. May będzie przełożoną w izbie chorych, a nie tutaj.

–Dziękuję ci, pani, i tobie, panie! Czy będzie też za mnie bić tę nową? Obawiam się, że ja nie dam rady, chociaż nie jest tak silna jak ta diablica... Błagam o wybaczenie, milordzie, milady... ta zacna May Heather. Och! Kiedy byłam młoda, nie przyjmowano takich do terminu!

Nowa dziewczyna spojrzała na nich z przerażeniem.

–Co do bicia, to zobaczymy – powiedziała Angie. – Wiesz, że nie aprobuję kar cielesnych jako sposobu nauczania. Powiedziałam już May, co ma robić. We wszystkich innych sprawach związanych z przygotowywaniem posiłków będzie postępowała zgodnie z twoimi życzeniami. Ona to rozumie.

–Jeszcze raz dziękuję, pani. Zatem zwalniam ją z terminu ze znacznie mniejszym żalem. Cieszę się, że takie stare próchno jak ja jeszcze jest tu potrzebne. Jeśli Bóg będzie łaskaw, umrę tutaj, w tej komnacie, w której spędziłam tyle lat.

–Znając cię, jestem pewna, że tak się stanie i do ostatniej chwili będziesz pilnowała, żeby wszystko było robione jak należy – powiedziała Angie. Zwróciła się do nowej pomocnicy. – Jak się zwiesz, dziewczyno?

–Alaine, córka Willa spod młyna, do usług – wykrztusiła zapytana. – On mnie tu

przyprowadził, żebym nie zachorowała na zarazę, do usług.

Niezdarnie spróbowała dygnać.

–Staraj się, Elaine – powiedziała Angie – a May będzie cię dobrze traktować.

–Och, dziękuję pani! – zawołała Elaine, nieco uspokojona, choć nie do końca.

Zapewne już to słyszała.

Jim i Angie wyszli i skierowali się do izby chorych.

–Gwynneth i inni, którzy od dawna służą w zamku, są jak psy zaprzęgowe – powiedziała Angie, kiedy odeszli na bezpieczną odległość. – Jeśli jakiś pies złamie nogę i trzeba go odpiąć z uprzęży, biegnie za saniami na trzech łapach, usiłując wrócić do zaprzęgu. Czy wiesz, że cieśla wstał z łóżka, chociaż był bliski śmierci? Wrócił do pracy i czuje się znakomicie!

–Wiem – odparł Jim. – Rano prawie skoczył mi do oczu, kiedy zajrzałem do jego warsztatu. Karcił swoich czeladników i potraktował mnie jak jednego z nich... Och, May, tu jesteś.

–Tak, milordzie, do usług. Czy pozwolisz, panie, że opuszczę cię na chwilę, żeby wyrzucić tego szczura?

–Oczywiście – odrzekł Jim.

May oddaliła się i wróciła tak szybko, jak obiecała.

–Racz wybaczyć, milordzie, ale trzymanie szczura przynosi pecha. Te małe teriery zręcznie je zabijają, ale nie mogę ich nauczyć, żeby zanosły je do śmietnika.

–Ha! No tak – powiedział Jim władcym głosem. – Moja pani chce wydać ci nowe polecenia.

Teraz May spojrzała na nich czujnie.

–Panno – zaczęła Angie, a twarz May rozpromieniła się z radości. – Miło mi widzieć tak niewielu pacjentów, gdyż chcę złożyć na twe barki dodatkowy obowiązek. Jak wiesz, kto niedbalstwem grzeszy, diabła cieszy.

–Wiem – odparła May, przy czym dygnęła i przeżegnała się z szacunku dla obojga państwa i Najwyższego. – Chętnie...

–Chodzi o to, że panna Plyseth ma nową praktykantkę imieniem Elaine – ciągnęła Angie. – Kiedy znajdziesz godzinę czy dwie, chciałabym, żebyś zajrzała do gotowni i nauczyła tę dziewczynę kilku rzeczy, których nauczanie przychodzi teraz pannie Plyseth z trudnością. Oczywiście jesteś teraz przełożoną izby chorych i panna Plyseth rozumie, że będziesz pomagać jej z uprzejmości. W żadnym razie nie jesteś już jej podwładną, jednak będąc znacznie od niej młodsza, powinnaś traktować ją z szacunkiem należnym starszej osobie.

–Tak, pani.

–Jeszcze jedno. Znasz moje poglądy na temat bicia praktykantów, żeby lepiej zapamiętywali to, czego się ich uczy?

–Oczywiście, pani.

–Przypomniałam o tym pannie Plyseth, więc w tej kwestii postępuj tak, jak uznasz za stosowne. Nie udzieliłabym takiej rady większości młodych panien, lecz ty nie obawiasz się nowych sposobów.

–Ja niczego się nie boję – odparła stanowczo May, a Angie i Jim wiedzieli, że

istotnie tak jest.

–Tak więc udzielę ci tej rady, ponieważ uważam, że potrafisz mądrze z niej skorzystać. Chociaż mało kto o tym wie, praktykant uczy się więcej i szybciej, jeśli uwielbia nauczyciela, a nie boi się go. Dzieje się tak dlatego, że chce naśladować tę podziwianą osobę, nauczyć się jak najwięcej i robić wszystko jak należy, żeby zdobyć jej uznanie.

Oczy May rozbliły, ale zaraz pojawił się w nich cień zwątpienia.

–Tylko czy wtedy nie odczuwa pokusy, żeby się objąć lub robić paskudne psikusy, pani? Wybacz mi tak śmiało stwierdzenie. Tak traktowany uczeń może nawet czasem być trochę... uparty?

Najwidoczniej May pamiętała swoje terminowanie u Plyseth.

–Cóż, gdyby tak było, będziesz musiała postępować według własnego uznania. Spróbuj jednak zdobyć sympatię nowej dziewczyny. Może się okaże, że bicie wcale nie jest potrzebne.

May wytrzeszczyła oczy, ale nie zgłosiła żadnych zastrzeżeń, chociaż Jim wiedział, że nigdy nie wahała się tego robić, jeśli miała inne zdanie na jakiś temat.

–Postaram się, pani. Wiem, że ludzie kochają ciebie i milorda, ale nie jestem pewna, czy ja...

–Spróbuj.

–Tak zrobię, pani. Obiecuję.

Jim i Angie wyszli, kierując się do schodów na wieżę, które wiodły do ich przestronnej i wygodnej komnaty.

–Prawdę mówiąc, sądzę, że uratowałeś mu życie, każąc mu wziąć się do roboty – stwierdziła Angie, gdy Jim zamknął drzwi. Nareszcie spokój, pomyślał. Angie mówiła o cieśli. Od czasu do czasu wtrącała takie luźne uwagi podczas rozmowy i nie mógł mieć jej tego za złe, gdyż zapewne nauczyła się tego od niego. Często, pogrążony we własnych myślach, zapominał o tym, że osoba, z którą właśnie rozmawia, nie jest w stanie ich usłyszeć.

–Cóż, zobaczymy – mruknął, przeszedł przez pokój i ku swemu zdziwieniu usiadł na łóżku. Zamierzał zasiąść na jednym z krzeseł, tymczasem nogi same zaniósły go do łóża. Było przyjemnie chłodne i miękkie, przyjazne i miłe. Położył się.

–Tak myślałam! – usłyszał głos Angie. – Co znów takiego robiłeś, że zmęczyłeś się bardziej, niż powinienieś? Nie, nie odpowiadaj. Po prostu się prześpij.

–Nie mogę – odparł. – Mamy gości i powinienem pokazać się na obiedzie.

–Dlaczego? – odparła Angie. – Jeśli twoje ciało potrzebuje snu? Czy Carolinus nie mówił ci, żebyś odpoczywał, ilekroć poczujesz taką potrzebę, a wtedy w końcu przejdą ci te nagłe ataki senności... A do tego czasu nie próbuj z nią walczyć, dobrze?

–Chyba tak... – powiedział sennie Jim. – Jednak... Nie mógł sobie przypomnieć, co zamierzał powiedzieć.

–Hej, zaczekaj! – usłyszał z oddali głos Angie. – Pozwól, że przynajmniej rozbioreę cię i pościelę łóż...

Przestał ją słyszeć. Zapadł w głęboki sen.

Wydawało mu się, że zaledwie chwilę później Angie zaczęła nim potrząsać.

Poranne słońce znów wpadało przez okna komnaty.

–Co...? Co...? – zdołał wykrztusić.

–To ostatnia rzecz, jaką mam ochotę robić, kiedy jesteś w takim stanie – powiedziała Angie. – Musisz jednak zaraz wstać, jeśli mamy znaleźć się na schodach kaplicy, zanim pojawią się tam Brian i Geronde.

–Na schodach... – powtórzył zdumiony, gdyż jego zaspany umysł niczego nie kojarzył.

–Ślub, Jim. Ich zaślubiny. Ja jestem druhną Geronde, a ty druhem pana młodego. Zdążymy, jeśli nie będziesz tracił czasu i zaraz zaczniesz się ubierać.

–Dlaczego nie obudziłaś mnie wcześniej? – zapytał, nagle przytomniejąc i siadając na łóżku. Wyskoczył z niego, po czym zauważył, że jest nagi, a Angie ma na sobie piękną, nową, rdzawo-brązową suknię, której jeszcze nigdy nie widział. Wydawało mu się, że kiedy spał, żona lekko przybrała na wadze. To niewiarygodne i niemożliwe, ale tak było.

–No już – poganiała go. – Położyłam wszystkie twoje rzeczy w nogach łóżka. Chodź, pomogę ci się ubrać!

–Sam sobie poradzę – burknął Jim i zaczął się ubierać, z coraz większym zdumieniem patrząc na kolejne sztuki przygotowanej przez Angie odzieży.

–Po co aż tyle? – zapytał, wkładając kolejne warstwy ubrania.

–Na zewnątrz jest zimno.

–Chyba nie aż tak?

–Sam się przekonasz.

–No dobrze – zgodził się – ale przecież mógłbym rzucić zaklęcie chroniące nas przed zimnem?

–I co by się stało z tym zaklęciem po wejściu do kaplicy?

No tak... za progiem świętego przybytku wszelka magia przestawała działać. A od kamiennych ścian nie ogrzewanej kaplicy będzie ciągnęło chłodem, nawet kiedy upchnie się w niej tłum gości. O tej porze roku w środku będzie taka sama temperatura jak na zewnątrz – czyli jak w lodowni. Nie było tam kominka z tej prostej przyczyny, że przed każdą ceremonią trzeba by w nim palić dłużej niż dwadzieścia cztery godziny, żeby rozgrzać kamienne ściany, posadzkę i sufit.

–Może lepiej zamiast tego wszystkiego włożę zimowy płaszcz podbity futrem? – zaproponował.

–Nic z tego – odparła Angie. – Jesteś druhem pana młodego. Druhowie i druhny nie noszą płaszczy.

–Dlaczego nie?! – wykrzyknął Jim.

–Ponieważ to ślub Geronde i ona tak sobie życzy. Może byś w końcu się ubrał? Pozwoliłam ci spać prawie do ostatniej chwili.

Ubrał się, zbierając przy tym myśli. Po tym nagłym przebudzeniu był kompletnie oszołomiony. Rekordowo długi sen, w jaki ostatnio zapadał, był tak głęboki, że tracił kontakt ze światem. A przecież zamierzał wcześniej rano dyskretnie zapytać Briana o bliźnę.

Teraz nie będzie miał już okazji, aby to zrobić. Przypomniał sobie, że jako jeden z druhów pana młodego (drugim był Dafydd) będzie towarzyszył Brianowi podczas całej ceremonii na stopniach kaplicy, święte miejsce wykluczało jednak prowadzenie rozmów.

Ponadto pozostał jeszcze jeden problem. Brian nie był najcierpliwszym z ludzi i jego stosunki z chciwym i awanturniczym przyszłym teściem nie układały się najlepiej, chociaż dotychczas nigdy nie doszło do otwartego konfliktu. Mimo to mało który szlachcic z Somerset nie zdawał sobie sprawy z powagi sytuacji.

Jeśli podczas zaślubin sir Geoffrey de Chaney choćby wymamrocze pod nosem coś niezrozumiale, lecz obraźliwie, to lepiej, by Brian miał przy sobie dwóch najserdeczniejszych przyjaciół, którzy szepną mu na ucho uspokajające słowo, powstrzymując przed rzuceniem wyzwania teściowi.

Najcichsze mruknięcie Chaneya mogło sprowokować Briana równie łatwo jak szyderczo uniesiona brew. Jim powinien starannie wybrać moment, aby zapytać o bliźnę.

Potem uświadomił sobie, że przecież sam może zobaczyć twarz Geronde. Zapewne nastąpi to prędzej, niż nadarzyłaby się okazja, by zagadnąć Briana. Poweselał. Te problemy wymagały od niego tylko odrobiny cierpliwości.

Skończył się ubierać i we dwoje zeszli na dół. Kilku sąsiadów schroniło się przed zimnem i korzystało z przygotowanego zimnego bufetu. Zamieniwszy z nimi kilka słów, Jim i Angie pospieszyli dalej. Ponieważ byli członkami ślubnego orszaku, nikogo nie powinno dziwić, że nie mieli teraz czasu, by odgrywać rolę gospodarzy. Wyszli przez drzwi na końcu sali. Zaskakująco zimny wiatr przeszywał na wylot, nawet mimo dodatkowej warstwy odzieży, zapobiegliwie przygotowanej przez Angie.

Lodowaty wiatr zapewne nadlatywał znad Morza Północnego, na którym właśnie szalał sztorm. Zimne i wilgotne podmuchy przelatywały nad zamkowym murem i opadały na dziedziniec, na którym zebrał się już spory tłum sąsiadów, opatulonych w płaszczach. Nawet okutany w futra król, zajął już miejsce na swoim podwyższeniu i górował nad tłumem, siedząc w nowym fotelu z poręczami ozdobionymi pięknie wykończonymi łbami lampartów.

Jim przypomniał sobie, że jego królewska mość jest tutaj nieoficjalnie. Podobnie jak wszystkich obecnych, Jima uprzedzono, by zwracał się do niego – i to tylko jeśli będzie to konieczne – jako do sir Jacka Strawa, gdyż pod takim nazwiskiem występował tu monarcha.

Brian i Dafydd stali już obok schodów. Obaj nie mieli na sobie płaszczy. Brian ubrał śnieżnobiały, obszyty futrem kaftan z wąskimi błękitnymi rękawami oraz niebieskie spodnie. Sam nigdy nie wydałby pieniędzy na taki kaftan. Wybrała go i kupiła Geronde. Dafydd miał na sobie kubrak i spodnie w kolorze leśnej zieleni. Ten strój nie naruszał zwyczajowego prawa zakazującego pospółstwu ubierać się nad stan, a jednocześnie wyglądał tak elegancko jak wszystko, co łucznik nosił, robił czy posiadał.

Wszyscy stali, czekając. Brakowało jednej ważnej osoby.

–Gdzie Geronde? – zapytał Jim Angie.

–Nie wiem – odparła. – Pójdę jej poszukać.

Zniknęła za drzwiami wielkiej sali. Jim podszedł do Briana i zajął miejsce u jego boku. Przyjaciel sprawiał wrażenie ponurego i spiętego, co rzadko mu się zdarzało. Najwyraźniej nie był to odpowiedni moment, by pytać o bliźnę Geronde. Ponadto lepiej, by nawet Dafydd nie podejrzewał, że Jim miał coś wspólnego z próbą usunięcia szramy.

Chociaż wkrótce wszystko miało się wyjaśnić, ciekawość nie dawała Jimowi spokoju. Zauważył, że modli się w myślach, co rzadko mu się zdarzało.

Przecież możesz poczekać, powiedział sobie. Geronde pojawi się za kilka minut.

–Przeklęty drań! – warknął pod nosem Brian.

–Spokojnie, Brianie – mruknął Jim. – Spokojnie! Co takiego zrobił?

–Nic – odparł Brian. – Po prostu stoi tam i patrzy na mnie tak, jakbym był karaluchem w jego puddingu! Właśnie to mnie tak rozwściecza.

–Zaraz zacznie się ceremonia, a wtedy będzie musiał śledzić jej przebieg. Nie zważaj na niego.

–To niełatwe, Najjaśniejsza Panienko! – odparł Brian, lecz z wysiłkiem oderwał wzrok od teścia i spojrzał na majordomusa Malvern, który z ważną miną wszedł na drugi z trzech stopni schodów do kaplicy, dumnie dzierżąc w lewej ręce zwój pergaminu. Tłum odzianych w płaszcze gości zafalował. W drzwiach wielkiej sali pojawiła się Geronde, a za nią Angie i Danielle. Wszyscy wytrzeszczyli oczy.

Panna młoda miała na sobie damską wersję takiego kaftana, jaki nosili Brian i Jim. Smoczy Rycerz przypomniał sobie, że ten strój nosił interesującą nazwę „okna piekieł”.

Bezrękawnik odsłaniał rękawy ciemnoniebieskiej sukni obszytej jedwabiem. Rozcięcia na bokach też ukazywały suknię oraz szeroki pas, który nosiła na biodrach jak pas rycerski. Był on zrobiony, podobnie jak większość rycerskich pasów, z połączonych ze sobą płytek, tylko nie stalowych, lecz srebrnych i ozdobionych kwiatowym wzorem.

Rozpięty z przodu kaftan ukazywał rząd guziczków ciemnoniebieskiej sukni. Złote włosy panny młodej były rozpuszczone – upnie je dopiero wtedy, kiedy już zostanie mężatką.

Jim z nadzieją spojrzał na twarz Geronde. Nie dostrzegł blizny. Zaraz jednak przypomniał sobie, że leworęczny de Bois zranił ją w prawy policzek. Idąc do kaplicy, Geronde i jej drużyny po wyjściu z wielkiej sali musiały skręcić w lewo, tak więc Jim ze swojego miejsca przy schodach nie widział prawej strony jej twarzy. Dopiero kiedy ją zobaczy, dowie się, czy blizna zniknęła.

Była to pocieszająca myśl. Jim miał jednak złe przeczucia.

Przede wszystkim ci, do których była zwrócona prawym profilem, nic zachowywali się tak jakby zauważyli coś niezwykłego. Wszyscy, a szczególnie kobiety, nie odrywali oczu od jej stroju. Jim stanowczo odepchnął od siebie te myśli. Za chwilę sam się przekona.

Geronde, Angie i Danielle podeszły do schodów i zatrzymały się. Kapelan Geronde wyszedł z drzwi kaplicy i nakrył głowę kapturem białego habitu. Jako jedyny

z obecnych, nie licząc młodej pary, druhów i druhen, nie miał na sobie płaszcza. Nosił tylko białą albę, lecz z pewnością – pomyślał Jim – miał pod nią jakieś ciepłe ubranie. Z tonsurą zakrytą kapturem kapłan wyglądał teraz tak, jakby głosił słowo Boże grupce wiernych mających wyruszyć na pielgrzymkę.

–Zebraliśmy się tutaj – zaczął czystym, niskim głosem, a tłum, wymieniający szeptem uwagi na temat fasonu i kosztu Ślubnego stroju Geronde, zamilkł. – Aby być świadkami zaślubin sir Briana Neville'a-Smythe'a oraz lady Geronde Isabel de Chaney. Teraz zostanie odczytana intercyza.

Zrobił pół kroku do tyłu i oparł się plecami o drzwi kaplicy, broniąc się w ten sposób przed podmuchami zimnego wiatru. Majordomus stanął na środku drugiego schodka, rozwinął pierwsze dziesięć centymetrów zwoju i trzymając go w wyciągniętej ręce, zaczął głośno czytać.

Rozdział 46

Dokument odczytywany przez majordoma rozpoczynał się od długiego ustępu napisanego po angielsku, ale ciężkostrawnym prawniczym żargonem, co prawda zrozumiałym, lecz nazbyt kwiecistym. Wymieniał nazwiska krewnych obu stron, ich przodków i pozycje oraz ustalenia dotyczące finansowych aspektów małżeństwa, zarówno w chwili obecnej, jak i na wypadek rozmaitych późniejszych wydarzeń. Następnie szczegółowo omawiał te kwestie oraz kolejne punkty intercyzy. Stojący na dziedzińcu goście opatulili się płaszczami, nasunęli kaptury na głowy i słuchali w milczeniu. Być może, pomyślał Jim, wielu z nich naprawdę interesuje się tą długą epistołą, mając nadzieję dowiedzieć się z niej czegoś więcej o majątku Geronde oraz wartości i zasobach zamku Malvern. On jednak prawie nie słuchał. Całą uwagę skupił na Geronde i w myślach nakazywał jej, żeby obróciła głowę na tyle, by mógł zobaczyć jej prawy policzek. Nie usłuchała.

Chociaż bardzo pragnął zobaczyć to na własne oczy, nie opuszczał go niepokój, który wciąż usiłował zagłuszyć. Czyżby Brianowi zabrakło determinacji, by zrobić to, co wczoraj radził mu Jim? Teoretycznie w odpowiednich warunkach magia Son Won Phona nadal mogła zadziałać. A jeśli Jim się mylił? Albo – zawsze istniała również taka przykra możliwość – jeżeli magia Son Won Phona straciła już swoją moc powodowania zmian? Wiedział, że nie zrealizowane zaklęcia są bardzo nietrwałe...

Większość takich specjalnych czarów przynosiła natychmiastowe rezultaty albo nie działała wcale. To zaklęcie mogło zachować swą moc przez kilka godzin, jeśli nie krócej. Jeżeli teoria Jima była błędna i magia nie zadziałała... Co wtedy robi? Co będzie mógł zrobić? Okazałoby się, że nie tylko zawiódł, ale co gorsza, niepotrzebnie rozbudził w Brianie nadzieje, których nie będzie w stanie spełnić.

Wspaniały prezent ślubny, pomyślał z goryczą, dla dwojga najlepszych przyjaciół biorących długo wyczekiwany ślub.

Powoli przygniatało go brzemień porażki. Usiłując z tym walczyć, powtarzał sobie, że po latach praktyki Geronde świadomie lub bezwiednie znakomicie nauczyła się ukrywać oszpeconą część twarzy przed spojrzzeniami innych. Jednak ta myśl nie przyniosła mu ulgi.

Te niewesołe rozmyślania przerwała mu nagła cisza, gdy majordomus przestał czytać, Brian nieoczekiwanie powiedział kilka słów, a na schodach zapanowało jakies zamieszanie.

Jak większość ludzi, Jim potrafił uważnie słuchać i obserwować nawet wtedy, kiedy był zajęty własnymi myślami. Teraz jednak dopiero po chwili odtworzył w pamięci słowa majordoma i przebieg wydarzeń.

Majordomus właśnie opisywał kolejne pamiątki i prezenty od Briana, które Geronde wносиła w posagu, a które teraz formalnie miały stać się jego własnością jako część wspólnego majątku.

Lista obejmowała również kilka monet, które Geronde miała wręczyć na tacy Brianowi podczas skromnej uroczystości na znak tego, że oddaje mu wszystko, co ma i będzie miała w przyszłości. Potem jednak majordomus odczytał dodatkowy punkt intercyzy.

–...włącznie ze skromnymi, lecz niezwykle ukochanymi i cenionymi przez lady Geronde Isabel de Chaney darami, jakie sir Brian Neville-Smythe składał jej od czasu do czasu, lecz których zwrotu może zażądać w każdej chwili i natychmiast je otrzymać, w dowód jej wiecznej miłości i oddania...

W tym momencie Brian niespodziewanie przemówił stanowczym, donośnym głosem, pełnym siły i zdecydowania, które uciszyło majordomusa.

–Zatem proszę teraz o ten, który dałem jej jako ostatni!

Te słowa sprawiły, że Jim gwałtownie wrócił do rzeczywistości i ujrzał skutki tej wypowiedzi.

Geronde szybko zanurzyła dłoń w rozcięciu kaftana i z trudem wyjęła skórzane zawiniątko, podobne do kielbasy. Najwidoczniej było ciężkie, gdyż trzymała je obiema rękami, podając Brianowi, który doskoczył i uwolnił ją od tego ciężaru. Jej ojciec wysunął się z tłumu i zrobił dwa kroki w kierunku pana młodego, lecz Geronde zastąpiła mu drogę. Brian cofnął się o krok, wracając na poprzednie miejsce, oddał zawiniątko Dafyddowi i stał, czekając.

Jim wiedział, że zawiniątko zawierało złote monety będące ufundowaną przez księcia główną nagrodą turnieju, który odbył się podczas dorocznego bożonarodzeniowego przyjęcia u earla i którego zwycięzcą został Brian. Potem oddał je na przechowanie Geronde, która zamierzała wykorzystać je do odbudowy zamku Smythe i do tego czasu nie chciała ich powierzyć nawet przyszłemu mężowi.

Dopóki Geronde nie wyszła za mąż, wszystko, co posiadała, było własnością jej ojca, który usiłował położyć łapę na tej małej fortunie, od kiedy znalazła się w jej posiadaniu. Jednakże Geronde od dawna sprawowała pieczę nad zamkiem Malvern oraz otaczającymi go włościami i słudzy oraz zbrojni byli jej ludźmi, wystarczająco oddanymi, aby ojciec po swej długiej nieobecności nie mógł odebrać jej złota siłą.

Gdyby sir Geoffrey istotnie usiłował przejąć złoto, Geronde była gotowa użyć wszelkich środków, włącznie z przemocą, aby temu zapobiec, a cała załoga zamku z pewnością by ją poparła. Dziwniejsze rzeczy zdarzały się w czternastym wieku. Prawa ojca to jedno, lecz próba procesowania się o pieniądze lub wydarcia ich przemocą z rąk córki, która tak długo władała zamkiem, to coś zupełnie innego. Geronde była surową kasztelanką, ale także powszechnie kochaną, gdyż ludzie zawsze wolą silnych przywódców od słabych – ci pierwsi dają im większe szanse przeżycia.

Tak więc Geronde przechowała złoto, lecz pozostawał problem związany z intercyzą. Gdyby nie zdołała znaleźć jakiegoś sposobu, aby zwrócić te pieniądze Brianowi, sir Geoffrey w przyszłości mógłby się domagać ich zwrotu na drodze sądowej, a nawet wygrać proces...

Geronde jednak znalazła sposób, by zwrócić złoto Brianowi najzupełniej legalnie i przy świadkach. Twarz sir Geoffreya wykrzywił brzydki grymas. Natomiast Brian rozpromienił się. Rozluźniony, niemal radosny, spoglądał w oczy sir Geoffreya. Ten dzień przyniósł mu coś, do czego był przyzwyczajony. Patrząc na niego, Jim pomyślał, że Brian wygląda, jakby pozował rzeźbiarzowi do posągu, który stanie na piedestale z napisem „Chodź tu i spróbuj mi to zabrać”.

Sir Geoffrey nie ruszał się. Zarówno on, jak i Brian czy ktokolwiek z biorących udział w tak radosnej uroczystości nie mieli mieczy ani nawet sztyletów. Jednak nawet gdyby sir Geoffrey i Brian byli uzbrojeni, to ojciec Geronde był o dwadzieścia sześć lat starszy od zięcia, a ponadto o tyleż kilogramów cięższy, przy czym na ten ciężar nie składały się mięśnie, lecz tłuszcz. Nawet pomijawszy te różnice, w starciu z Brianem nie miałby żadnych szans.

Głucha cisza zdawała się trwać bez końca. Pomimo wyraźnej przewagi Briana nie można było wykluczyć, że sir Geoffrey, w takim samym stopniu jak wszyscy obecni będący przedstawicielem swej wojowniczej rycerskiej klasy, wpadnie w furję i rzuci się na niego. Jednak widzowie stopniowo zaczęli tracić nadzieję na takie widowisko i poszeptywali między sobą, podekscytowani wiszącym w powietrzu skandalem. Król (sir Straw) siedzący w fotelu w swoim futrzanym gnieździe z surową dezaprobatą spoglądał na grupkę na schodach.

Sir Geoffrey, wciąż z nieskrywaną nienawiścią patrząc Brianowi w oczy, cofnął się o krok, a majordomus, wyraźnie wstrząśnięty, zaczął odczytywać resztę intercyzy.

W końcu, ku uldze zgromadzonych, skończył czytać. Ksiądz odwrócił się i poprowadził orszak ślubny oraz gości do kaplicy, gdzie byli osłonięci od wiatru, a ciepło ich ciał szybko ogrzało małe wnętrze. Sam umknął do maleńkiej zakrystii i zamknął za sobą drzwi.

Brian i Geronde ze swymi druhami i druhnami jako pierwsi weszli do kaplicy, do której dzieńne światło wpadało tylko przez drzwi i znajdujące się nad nimi okienko oszklone takimi samymi kwadratowymi szybkami jak okna słonecznej komnaty. Prócz tego blasku wewnątrz rozjaśniały jeszcze tylko dwie świece na ołtarzu, dwie trzymane przez ministrantów oraz kilka palących się pod ścianami.

W tym mrocznym wnętrzu rozpuszczone złote włosy Geronde odbijały żółty blask świec i wydawało się, że panna młoda samą swą obecnością rozjaśnia półmrok kaplicy. Razem z Brianem podeszli do pierwszego z trzech stopni ołtarza, druhowie i druhnicy stanęli tuż za nimi, a nieco dalej tłum sąsiadów wypełnił kaplicę aż po same drzwi. W wejściu i na schodach cisnęli się mniej znamienici goście, lecz nawet ci stojący na zewnątrz trwali w milczeniu.

Wszyscy rozstąpili się przed królem, którego wraz z podium i fotelem wniesiono do kaplicy i ustawiono tuż za ślubnym orszakiem, w wyniku czego kilku stojących wcześniej w drzwiach sąsiadów teraz znalazło się na zewnątrz.

Tymczasem znajdujący się w środku zdejmowali płaszcze i zwijali je, robiąc z nich podnóżki. Brian, Geronde oraz druhowie i druhnicy dostali prawdziwe klęczniki. Jim rozglądał się wokół, powoli oswajając oczy z półmrokiem kaplicy.

Widział ją w nieładzie i brudzie nagromadzonym przez lata, kiedy na zamku Malencontri rządził sir Hugh de Bois i jego ludzie, ze ścianami odartymi ze zdobień i religijnych symboli, z pustą framugą rozbitego okna nad drzwiami.

Widział ją także kilka dni temu, pozamiataną, wysprzątaną, pustą, z wyszorowanym ołtarzem i witrażem tymczasowo zastąpionym tańszymi kwadratami nie barwionego szkła.

Jednak dopiero teraz zobaczył małą kaplicę należycie wyposażoną: nad ołtarzem,

będącym tylko wąską półką przymocowaną do ściany, przytwierdzono mosiężny krzyż. Po prawej znajdował się posąg Matki Boskiej trzymającej na rękach Dzieciątka Jezus, świeżo pomalowany i pozłożony, niewątpliwie wyciągnięty z jakiegoś schowka.

Pud krzyżem paliły się dwie świece w wysokich mosiężnych lichtarzach ustawionych na ołtarzu. Dwaj młodzi ministranci w ciemnych komżach, stojący po obu stronach ołtarza, również trzymali w dłoniach zapalone świece.

W mrocznym wnętrzu ich blask podkreślał pięknej roboty obrus, którym nakryty był ołtarz. Angie kilka tygodni wcześniej napomknęła, że Geronde na tę okazję kazała ozdobić go kunsztownym haftem zwanym *opus anglicanum* („angielska robota” – podpowiedziała Jimowi pamięć, odruchowo tłumacząc łacińską nazwę). Zamówiła go u hafciarek po tym, jak wielokrotnie ponawiane próby samodzielnego wykonania takiego nakrycia doprowadziły ją do łez. Kunsztowny wzór ze złotych i białych nitok przedstawiał dwa klęczące anioły zwrócone twarzami do siebie i stojący między nimi krzyż.

Ludzie stojący za ślubnym orszakiem trzymali zwinięte płaszcze, gotowe do użycia jako podnóżki, i szeptem lub półgłosem wymieniali uwagi. Brian z Geronde stali sami na pierwszym z trzech stopni ołtarza, górując nad wszystkimi obecnymi, włącznie z druhami i druhnami.

Ksiądz, zdjąwszy albę, wyszedł z zakrystii. Teraz miał na sobie biały ornat i stułę. Przeżegnał się.

–*In Patri nomine et spiritu sancti...* - powiedział, rozpoczynając nabożeństwo.

Jim z początku miał wrażenie, że łacińskie słowa w przedziwny sposób odbijają się echem w jego głowie. Nie odczuwał tak tego, kiedy przebywał w średniowiecznej Francji. Tam, niewątpliwie z jakichś magicznych powodów, których dotychczas nie zdołał zgłębić, wszyscy wydawali się posługiwać takim samym językiem, jakim mówili ludzie w Anglii. Takie samo wrażenie miał, kiedy razem z Brianem byli w Ziemi Świętej. Ludzie, którzy najwyraźniej mówili po arabsku, wydawali się przemawiać takim samym językiem, jaki słyszał z ust mieszkańców obu tych północnych krajów. Jednak w legendarnej Zatopionej Krainie Dafydd miejscowy język był kompletnie niezrozumiały. Tymczasem tu i teraz słyszał słowa mówione po łacinie, języku znanym mu ze studiów, i jego umysł natychmiast przekładał je na czternastowieczną angielszczyznę wysoko urodzonych, którą zdążył już nieźle opanować. Jednakże po chwili obie wersje językowe zlały się w jedną i zaczął lepiej rozumieć słowa.

Ksiądz mówił już o świętym sakramencie małżeństwa i Jim zastanawiał się, w jakim stopniu goście rozumieją te wywody. Doszedł do wniosku, że zapewne wszyscy na tyle dobrze znają tę ceremonię, że nawet skromna znajomość łaciny pozwala im zrozumieć słowa księdza.

Jim dał się porwać potokowi łacińskich słów. Po staniu na mroźnym powietrzu i odczytywaniu intercyzy, po wcześniejszej bitwie i chorobie, teraz się cieszył tym, że Brian i Geronde w końcu połączyli się węzłem małżeńskim... Podniosły nastrój i powaga ceremonii budziły w nim głęboki spokój i zadowolenie. Przestał być obserwatorem z innych czasów, a stał się uczestnikiem tej uroczystości. Obudziła

ona dawno zapomniane wspomnienie niedzielnej mszy w kościółku niewielkiej osady w Kanadzie, w której jego ojciec zamierzał osiąść, lecz szybko porzucił ten pomysł.

Była jesień, a tamto niedzielne nabożeństwo przypadło akurat w Dniu Dziękczynienia. Kościółek wypełniali głównie miejscowi, przeważnie w średnim wieku lub starsi. Mężczyźni najczęściej byli emerytami, którzy wraz z żonami żyli ze skromnych emerytur i często posiadali niewielkie spłachetki żyznej ziemi uprawnej, od pół akra do dwóch, w delcie rzeki Fraser. Zgodnie z przyjętym zwyczajem starali się utrzymywać z emerytur, oszczędności i tego, co udało im się wyhodować. W pamięci Jima utrwaliła się śpiewana przez nich pieśń żniwiarzy:

Bywajcie, dobrzy ludzie! Bywajcie!

Dzięki Panu za żniwa składajcie!

Wszystek plon w spichrzach spoczywa.

Nim przyjdzie zima nielitościwa...

W tym chóralnym śpiewie słyhać było szczerą radość i wzruszenie. Obudził on w duszy młodego Jima echo, które nie umilkło przez te wszystkie lata. Chociaż nie zaznał codziennej walki o byt, doskonale rozumiał, że śpiewali o prawdziwym życiu, dziękując za skarby chleba i wina, warzyw i owoców, które siali, uprawiali i zbierali, aby uzupełnić swe skromne zapasy przed nadchodzącą zimą.

Teraz podobny nastrój panował wśród obecnych w kaplicy i tych, którzy tłoczyli się na zewnątrz. Jim w końcu zrozumiał, dlaczego Geronde tak nalegała na odprawienie mszy zaraz po zaślubinach. Sam ślub był właściwie transakcją handlową. Dopiero nabożeństwo nadawało zaślubinom właściwą oprawę i znaczenie.

Jim ponownie zerknął na Geronde, lecz wciąż widział tylko jej lewy policzek. Prawym profilem nadal była zwrócona w przeciwną stronę.

Za plecami słyhał szuranie stóp, a czasem szepty tych, którym udało się wepchnąć do kaplicy. Te odgłosy ucichły, kiedy kapłan stanął twarzą do ołtarza i wiszącego nad nim krucyfiksu, po czym zaczął recytować po łacinie następny ustęp.

Jim na chwilę pogrążył się we wspomnieniach i przestał słyhać. Potem ponownie skupił się i zaczął wsłuchiwać w słowa. Ksiądz był już przy pierwszym z dwóch błogosławieństw dla młodej pary – teraz błogosławił pannę młodą. W podniosłym nastroju, jaki panował w kaplicy, melodyjne zdania przykuwały uwagę.

–...*respice propius super hanc famulam tuam...* - mówił ksiądz. – Spójrzj oto na służebnicę Twoją, która oto wstępuje w związek małżeński, i obdarz ją Twą łaską. Niechaj zazna miłości i spokoju... niechaj będzie droga swemu małżonkowi jak Rachela, mądra jak Rebeka, długowieczna i wierna jak Sara... *doctinic caelibus erudita*. Niech będzie biegła w boskiej wiedzy i płodna niczym drzewo życia... Niech oboje ujrzą dzieci swych dzieci do trzeciego i czwartego pokolenia, dożywając sędziwego wieku, wedle swych pragnień. W imię Pana Naszego.

Ksiądz rozpoczął przygotowania do konsekracji i wydawało się, że wszyscy wierni wstrzymali oddech, gdy ministrant trzykrotnie potrząsnął dzwonkiem. Zachowali też tę pełną skupienia ciszę, gdy ksiądz bezgłośnie modlił się nad oplatkiem. Przyklęknął, trzymając hostię, po czym wstał zwrócony twarzą do ołtarza i przez chwilę trzymał ją w górze, żeby wszyscy mogli ją zobaczyć. Potem umieścił oplatek

na złotej tacce na ołtarzu, znów klęknął i poświęcił wino w srebrnym kielichu.

Wierni obserwowali to z zapartym tchem. Wino było w kielichu, lecz opłatek był dobrze widoczny – cud, który przyszli tu zobaczyć.

Kapłan spożył chleb i wino, po czym podzielił się z ministrantami. Potem odwrócił się do Briana i Geronde, którzy klęczeli na schodkach.

Tylko oni przystąpili do komunii. Ksiądz ponownie odwrócił się do ołtarza, spożył resztę chleba i wina, aby nic nie pozostało, po czym przepłukał kielich wodą.

Jeszcze raz pobłogosławił młodą parę. Później odmówił krótką modlitwę i nakreśliwszy w powietrzu znak krzyża, wypowiedział słowa kończące mszę.

–*Benedicat vos omnipotens Deus, Pater et Filius et Spiritus Sanctus...* Niech was błogosławi Bóg Wszechmogący, Ojciec, Syn i Duch Święty. Amen.

Msza dobiegła końca.

Z lekkim zaskoczeniem Jim zdał sobie sprawę z tego, że już jest po wszystkim i zaraz wszyscy opuszczą kaplicę. Odwrócił się, by wraz z pozostałymi członkami ślubnego orszaku zaczekać, aż stojący za nimi ludzie rozstąpią się, robiąc im przejście do drzwi kościoła.

Zauważył, że niektóre kobiety cicho popłakują, i ze zdumieniem – chociaż nie powinno go to już dziwić – dostrzegł niemal równie wielu płaczących mężczyzn. Ofiara chleba i wina budziła ogromne wzruszenie, a mężczyźni w tych czasach swobodnie dawali wyraz swoim uczuciom, bez względu na to, jakie one były.

Kiedy wreszcie znaleźli się na zewnątrz, w pierwszej chwili oślepiło go blade, nisko wiszące na niebie słońce, które świeciło wychodzącym prosto w oczy. Niewiele widząc, szedł wraz z innymi członkami ślubnego orszaku zmierzającego ku drzwiom wielkiej sali i oczekującej tam na nich uczy.

Nagle uświadomił sobie, że nareszcie znalazł się po prawej stronie Geronde i może spojrzeć na jej policzek, którego do tej pory nie mógł zobaczyć.

Zerknął.

Blizna nadal tam była, dobrze widoczna w promieniach słońca.

Rozdział 47

Wielka sala rozbrzmiewała gwarem i śmiechem. Po podniosłym nastroju panującym podczas mszy nadszedł czas wesela i wszędzie wokół słychać było radosne głosy oraz brzęk sztućców.

Siedząc w milczeniu na honorowym miejscu obok Briana i Geronde, Jim czuł się okropnie.

–Co ci jest? – szepnęła Angie.

–Powiem ci później – odparł szeptem i podjął heroiczny wysiłek, by śmiać się, pić i żartować jak wszyscy wokół.

Usiłując ukryć uczucia, jakie ogarnęły go na widok blizny, spróbował nawiązać rozmowę z księdzem, który siedział po jego prawej ręce, I tak zobowiązywało go do tego dobre wychowanie. Nigdy przedtem nie spotkał tego kapłana, a teraz okazało się, że powinien się do niego zwracać „sir Williamie”, gdyż tak grzecznościowo tytułowano duchownych nie należących do żadnego zakonu, natomiast tytuł „ojca” przysługiwał wyłącznie zakonnikom.

Jim miał po prawej sir Williama, a po lewej Angie. Za duchownym siedziała Geronde, za nią zaś Brian. Jim z lekkim zdziwieniem przekonał się, że ksiądz jest niezwykle inteligentnym i wykształconym człowiekiem, niewiele starszym od panny młodej.

Zdjąwszy ornat, sir William włożył strój uczonego – szatę nieco przypominającą długą togę z szerokimi rękawami, podobną do strojów noszonych przez dwudziestowiecznych akademików podczas uroczystości. Był szczupłym, spokojnym mężczyzną, który – podobnie jak niegdyś, w innych czasach Jim – zamierzał nauczać na uniwersytecie, na którym studiował. Później jednak powołanie okazało się silniejsze. Został wyświęcony przez arcybiskupa Oxfordu i otrzymał list od Geronde, która usłyszała o nim od znajomych, podjął obowiązki kapelana w zamku Malvern. To stanowisko skusiło Williama i okazało się satysfakcjonujące. Oprócz swych kapłańskich posług pełnił funkcję doradcy Geronde, która często zasięgała jego rady i wiele się od niego nauczyła. Był bardzo pomocny w wielu sprawach związanych z zamkiem i podejmowaniem gości. Z zamięłowaniem pełnił swoje obowiązki pasterza licznej zamkowej trzódki, składającej się ze służby i zbrojnych.

Kapłan wyjaśnił Jimowi, że chociaż został wyświęcony przez arcybiskupa Oxfordu, podlegał teraz biskupowi Bath i Wells, dopóki pozostawał w jego diecezji.

Rozmowa pozwoliła Jimowi zapomnieć na chwilę o bliźnie na policzku Geronde, aż jego uwagę zupełnie odwróciło wczesne wyjście króla, sir Strawa, który siedział na drugim końcu stołu. Na dziedzińcu król przez cały czas popijał grzane wino z korzeniami przynoszone mu przez służbę, co miało rozgrzać władcę w ten mroźny i wietrzny dzień. Podczas mszy oczywiście nawet on nie mógł tego robić, ale znalazłszy się w wielkiej sali, szybko powetował sobie stracony czas.

Za młodu jego odporność na trunki była legendarna. Wciąż była godna podziwu, lecz z wiekiem trochę się zmniejszyła. Tak więc przy stole szybko zrobił się senny i jego rycerze odprowadzili go do komnat na wieży, z pewnością wnosząc go po stromych schodach. Dopilnowali tego towarzyszący mu książę i Joanna, którzy

również odeszli od stołu.

Dzięki temu pozostali mieli więcej miejsca i mogli usiąść swobodniej, a ponieważ Brian i Geronde, szczególnie panna młoda, tak długo czekali na ślub, nie spieszyli się z zakończeniem posiłku i opuszczeniem sali.

Jednak kilka godzin później, kiedy za oknami wielkiej sali zapadła całkowita ciemność, przyjęcie osiągnęło etap, na którym rozsądek nakazywał Brianowi i Geronde udać się na spoczynek do słonecznej komnaty, w której mieli spędzić noc poślubną i gdzie niebawem powinni się zebrać ludzie mający być świadkami skonsumowania małżeństwa. Gwar w sali przeszedł w okropny zgielk, a nastrój gości powoli zaczynał przekraczać granicę niewinnej wesołości. Brian i Geronde wymknęli się na górę,

„Wymknęli się” – to jednak niezbyt trafne określenie. Wszyscy w wielkiej sali czekali na ten moment i po krótkiej chwili grupka mniej lub bardziej podochoconych gości, głównie mężczyzn, ruszyła w ślad za młodą parą po stromych schodach wieży. Najmniej pijani szli po ich zewnętrznej, nie zabezpieczonej poręczą stronie, aby mniej pewnie trzymający się na nogach nie popsuli zabawy, spadając i roztrzaskując się na posadzce.

Niesione przez nich świece rozjaśniały wnętrze wieży i rzucały roztańczone cienie, a głosy odbijały się gromkim echem. Jim uczestniczył już w takich ceremoniach podczas kilku innych wesel. W żaden sposób nie mógł się wymigać, gdyż tego oczekiwano od niego ze względu na zajmowaną pozycję i fakt, że Malencontri był jedynym prawdziwym zamkiem w okolicy. Niektórzy z lepiej sytuowanych sąsiadów mieszkali w rezydencjach uprzejmie nazywanych przez znajomych zamkami – dobrze ufortyfikowanych, lecz małych w porównaniu z Malencontri – jednak żadna z nich nie była otoczona równie wysokim i solidnym murem.

Tak więc Jim wiedział, czego należy się spodziewać.

Kiedy wszyscy ci, którzy nie byli zbyt pijani, zostali wpuszczeni do słonecznej komnaty, nawet to przestronne pomieszczenie po brzegi wypełniło się ludźmi, którzy chcieli być świadkami tak ważnej chwili. Jeden krzepki sąsiad pilnował drzwi, nie wpuszczając do środka tych, którzy byli za bardzo zamroczeni. Pozwolono im jednak stłoczyć się przy otwartych drzwiach, skąd próbowali przekrzyczeć towarzyszy w komnacie. Wszystko to Jim widział już nieraz. Tym razem jednak zauważył wyraźną różnicę.

Żarty były bardziej powściągliwe, mniej pikantne i bynajmniej nie sprośne. Były prawie delikatne, jeśli można użyć takiego słowa. To prawda, że goście mieli pełne prawo być świadkami skonsumowania małżeństwa, co według prawa kanonicznego było warunkiem legalizacji zawartego związku, więc gdyby chcieli, mogli żartować sobie do woli. Jednak nie zawsze tak było i czasem świadkowie zachowywali powściągliwość niekiedy graniczącą ze śmiertelną powagą.

Tylko że ci goście należeli do drobnej szlachty. Przejęli wiele zachowań swojej służby i poddanych, których weselne zwyczaje wywodziły się z czasów pogaństwa i dla których ślub od początku do końca był okazją do niepohamowanej zabawy. Przy takich okazjach, kiedy najczęściej wygłaszaną sentencją, jaką Jim słyszał z ust

swoich poddanych, było: „nie ma to jak tradycja!”, często zatracano wszelki umiar.

Jednak nie tym razem. Goście nie spieszyli się – głównie dzięki staraniom idących na przedzie najbardziej trzeźwych weselników, wśród których był Jim – wchodząc po schodach na górę, tak więc gdy w końcu dotarli do komnaty, weselny strój Briana leżał już na krześle obok łoża, a sam rycerz zdążył się schować za zaciągniętymi zasłonami. Otwarty na oścież namiocik, w którym pokojówki pomogły się rozebrać Geronde, ukazywał swe puste wnętrze, co świadczyło o tym, że panna młoda również jest już w łożu. schowana za zasłonami. Pokojówki, które zdążyły już zniknąć, zabrały ze sobą nawet jej ślubny strój.

Świadkowie nie byli tym zaskoczeni. Takie sytuacje się zdarzały. Jednak ku zdziwieniu Jima, kiedy zaczęli rzucać zwyczajowe głośnie żarty, nie były one gorsze od tych, które w ówczesnych wyższych sferach uważano za „salonowe” dowcipy, nie rażące nawet w mieszanym towarzystwie.

Prawdę mówiąc, były niemal zbyt łagodne. Jim stojący w pierwszym rzędzie zaczął się obawiać, że to zaledwie przygotowanie do jakiegoś prymitywnego kawału, jaki świadkowie szykują nowożeńcom. Ukradkiem „włączył” swój smoczy słuch, o wiele czulszy niż ludzki, usiłując podsłuchać w panującym wokół gwarze, czy Brian i Geronde też mają podobne podejrzenia.

Potrwało chwilę, zanim wyłowił pierwsze dźwięki dobiegające zza zasłony.

–Co...? – szepnął sennie Brian.

Jima wcale nie zdziwiło, że przyjaciel zasnął. W końcu to za namową Jima Brian spędził całą poprzednią noc, modląc się w kaplicy. To zupełnie naturalne, że był teraz senny, szczególnie po tej ilości jadła i trunków, jakie pochłonął.

–Wybacz mi, najdroższy – odparła szeptem Geronde z czułością, jakiej Jim nigdy by się po niej nie spodziewał. – Nie chciałam cię budzić...

–Nic się nie stało! – szepnął nieco głośniejszym głosem Brian. – Już nie śpię. O co chodzi, skarbie? Czy...

–Nie teraz... ale za mało ważę, żeby sprężyny zaskrzypiały pod moim ciężarem. Wiesz, że Kościół tego wymaga i nie odejdą stąd, dopóki tego nie usłyszą. Chcę zostać z tobą sama.

Jim wyłączył swój smoczy słuch, zmieszany tym, że ich podsłuchał, ale i ciesząc się z tego. Gdyby świadkowie szykowali jakiś kawał, tak jak się obawiał, dowiedziałaby się o tym i udaremnił go. Nie był sir Williamem i nie stała za nim potęga oraz autorytet Kościoła. Był jednak magiem, a mały pokaz magii powstrzymałby wszystkich żartownisiów, przypominając im, że Jim jest tutaj i źle się to dla nich skończy, jeśli spróbują zrobić to, co zamierzają.

Skryta za zasłonami Geronde jeszcze przez kilka minut pozwoliła płynąć potokowi żarcików, Potem sprężyny łoża głośno zatrzeszczały, świadkowie przestali żartować i w stosunkowo poważnym nastroju opuścili komnatę, przy czym trzeźwiejsi poganiali tych, którzy mieli ochotę zostać.

Jim wyszedł ostatni, tak jak powinien zrobić jako jedyny obecny członek ślubnego orszaku – Angie nie przyszła z nim, a Dafydd i Danielle też nie przyłączyli się do tłumu. Na korytarzu nie było już nikogo oprócz dyżurnej służącej i wartownika.

Jim zszedł piętro niżej, do komnaty Briana i Geronde, która na tę noc stała się sypialnią jego i Angie.

Po przestronnym wnętrzu słonecznej komnaty wydawała się mała. Ponieważ jednak miał w niej nocować pan tego zamku, przed jej drzwiami też stała służąca z wartownikiem. A kiedy Jim wszedł do środka, odkrył, że oddana i sprawna służba Malencontri dołożyła wszelkich starań, aby ten pokój jak najbardziej upodobnić do słonecznej komnaty pana i pani.

Pomieszczenie lśniło czystością. Gdzieś znaleziono – albo przezornie kazano wcześniej zrobić – większe łóżko dla Jima i Angie. W jednym rogu pokoju umieszczono szafę przeniesioną ze słonecznej komnaty, na kominku wesoło płonął ogień, a obok stał stojak z długą rączką, na której wisiał czajnik do parzenia herbaty.

Angie już tam była. Niestety, w towarzystwie Joanny z Kentu. Siedziały przy stole, pogrążone w rozmowie. Grzeczność jednak nakazywała, by Joanna teraz wstała i wyszła.

–Och. Jim – powiedziała Angie, wstając i podchodząc do niego. – Joanna czekała na okazję, żeby zamienić z nami kilka słów. Głównie z tobą. Napijesz się herbaty?

Jim chętnie wypiłby herbatę, ale tylko w towarzystwie Angie i tylko po to, żeby lepiej ułożyło mu się w żołądku to wszystko, co zjadł i wypił podczas bankietu.

–Raczej nie – odparł. – Milo mi cię widzieć, lady Joanno. Ona też zerwała się już z krzesła i wyszła mu na spotkanie.

–Jimie, drogi Jimie! – powiedziała ciepło. – Przecież już od jakiegoś czasu mówimy sobie po imieniu. Czy będziesz miał coś przeciwko temu, jeśli będę teraz zwracała się do ciebie tak zdrobniale? Ponieważ to nasze ostatnie spotkanie, z pewnością mogę sobie pozwolić na taką poufałość?

Jim miał ochotę odmówić jej grzecznie i stanowczo, lecz jakoś nie był w stanie tego zrobić.

–To miło z twojej strony – powiedział. – Wierz mi, że doceniam to. Wybacz jednak, lecz oprócz mojej żony nikt – poza Carolinusem, który ustanawia własne prawa – nie nazywa mnie Jimem, ja zaś jestem jedynym, który mówi do niej „Angie”. Jeśli jednak tego sobie życzysz, to przez chwilę...

–Nie, nie, rozumiem to, James – powiedziała Joanna. – Oczywiście! Jakże mogłabym nie rozumieć? Nie będę nalegać. Zawsze pozostaniesz dla mnie Jamesem, zarówno w mowie, jak i w myślach.

–Dobrze, że... – zaczął Jim z lekkim poczuciem winy, ale przerwała mu.

–Wybacz, ale mam mało czasu. Przyszedłam powiedzieć ci, że Edward i ja musimy opuścić Malencontri jutro wczesnym rankiem, być może zanim się zbudzicie. Może już nigdy więcej się nie spotkamy, muszę więc szybko wyjaśnić, po co tu przyszedłam. Czekałam na okazję, aby porozmawiać z tobą po raz ostatni. Jest coś, o czym powinieneś wiedzieć. Mówiłam już o tym Angeli, lecz chcę ci to powiedzieć osobiście. To ogromnie uradowało Edwarda i mnie, i tobie musimy za to podziękować.

Domyślasz się, o czym mówię?

–Nie – odparł szczerze Jim.

–Edward w końcu pogodził się z ojcem! Właściwie to król wybaczył Edwardowi,

choć wina leżała po obu stronach i obaj musieli się przemóc, żeby się pogodzić. Musimy jednak podziękować za to tobie, Brianowi i Dafyddowi – wszystkim wam, nasi najdrożsi przyjaciele z Malencontri – bo chyba mogę was tak nazywać? Przede wszystkim tobie, drogi Jamesie, szczególnie za to, że uczyniłeś Edwarda dowódcą waszych sił w walce z goblinami, tak że to jemu przypadła chwała zwycięzcy.

–Nie mógł to być nikt inny – odparł trochę zmieszany Jim. – Ze względu na pozycję...

–Nie mówmy o tym. Pozwoliłeś mu dowodzić i tylko to się liczy – dla niego i dla króla. Nie postawiłeś go na pole bitwy pod opieką straży, która wzięłaby na siebie ciężar walki. Przede wszystkim dzięki temu odzyskał miłość ojca. Prawda, że Edward, mając piętnaście lat, stawał przeciwko najlepszym rycerzom Francji. Mimo to kłamstwa Cumberlanda prawie przekonały króla, że podczas interwencji we Francji jego syn był chroniony i prowadzony za rękę przez Chandosa oraz innych rycerzy.

–Ach tak... – powiedział Jim.

–Teraz jednak – ciągnęła triumfalnie Joanna – król Edward stał na wieży twego zamku i widział, jak jego najstarszy syn, jego dziedzic, następca tronu Anglii, dowodził, tak jak powinien – dowodził i zwyciężył. To oraz fakt, że ty, Brian i Dafydd zaakceptowaliście go jako przyjaciela i towarzysza, o czym król wspomniał mi osobiście – to znaczy o przyjaźni Edwarda z dwoma tak znamienitymi rycerzami – sprawiło, że ku swemu ogromnemu zadowoleniu, ujrzał swego syna w zupełnie innym świetle.

–Cóż... – Jim spojrzał na Angie, szukając u niej pomocy. Ona jednak nie odezwała się, jemu pozostawiając rozmowę. – Rad jestem, że stało się tak, jak mówisz.

–Tak jak my wszyscy! – powiedziała uszczęśliwiona Joanna. – Tak jak my oboje, Edward i ja, i nie sądzę, że on zapomni o tym, co dla niego uczyniłeś. To nie leży w jego naturze.

–Sądzę, że przypisujesz mi zbyt wielkie zasługi... – zaczął Jim, lecz Joanna mówiła dalej, nie zwracając na to uwagi.

–Zapamiętaj moje słowa! – rzekła. – Wcale nie twierdzę, że od tej pory sprawy między ojcem i synem zawsze już będą się dobrze układać. Cumberland tak łatwo nie zrezygnuje ze swoich knowań i ambicji, a król i syn nieświadomie będą stwarzać mu następne okazje. Obaj są zapalczywi, świadomi swej pozycji i zawsze z góry przekonani o słuszności swych racji, zapewne znajdą więc powód, aby znów się poróżnić. Jednak król nie jest takim rozpijaczonym głupcem, za jakiego wielu go uważa. Toleruje Cumberlanda, ponieważ ten jest bardzo użyteczny. Król nie jest już tym młodym człowiekiem, którym był, kiedy ja i Edward dorastaliśmy na dworze. W tamtych czasach nigdy nie dałby Cumberlandowi tyle swobody, teraz zaś ustępuje mu w niektórych mniej ważnych sprawach. Gdyby jednak earl kiedykolwiek stał się dla niego zagrożeniem, bez wątpienia rozdeptałby go jak karalucha.

–Tak sądzisz? – zapytał Jim, pamiętając, że zaledwie przed chwilą król potrzebował pomocy, żeby wstać od stołu.

–Nie tylko sądzę. Jestem tego pewna. Pamiętaj, że znam starszego Edwarda od dziecka. Dobrze go znam. Był i jest dobrym królem, dobrym dla Anglii, i na jedno jego

słowo cała Anglia stanie pod królewskim sztandarem. Zawsze nastawiał jednych wielkich panów przeciwko drugim, tak by się nie zjednoczyli, co mogłoby mieć groźne następstwa. Oxford nie przetrwał tak długo jako oponent Cumberlanda tylko dzięki swojej mądrości i wpływowi, chociaż może tak sądzi. Król nigdy nie zapomina o tym, że jest władcą, i Cumberland może głosić i robić tylko to, na co mu pozwala. Żadne wysiłki earla nie zatrają w pamięci króla obrazu młodego Edwarda dowodzącego oddziałami ruszającymi do ataku pod murami twego zamku. Ojciec i syn bardzo się kochają, chociaż żaden z nich nigdy się do tego nie przyzna. Jeśli pamiętasz, starszy Edward nie miał okazji oglądać swego pierworodnego walczącego we Francji! Teraz zobaczył – i to dzięki tobie!

Joanna zamilkła.

–Tak więc ucałujcie mnie teraz, Jamesie i Angelo – dodała żywo po chwili – gdyż muszę już iść. Mój Edward za dużo wypił wieczorem na weselnej uczcie, więc niewiele mi pomoże. Muszę sama przygotować wszystko do drogi i przespać się trochę przed podróżą.

Jim i Angie ucałowali ją na pożegnanie. Jima zawsze krępował ten średniowieczny zwyczaj obcałowywania się, a to, że Joanna była tak atrakcyjną kobietą i Angie przyglądała się ich pożegnaniu, bynajmniej nie ułatwiało sytuacji. Mimo to ucałował Joannę, a ona odwzajemniła mu się gorącym pocałunkiem, polem pocałowała Angie i wyszła.

–Zostańcie z Bogiem! – powiedziała, znikając za drzwiami.

–I ty też – zawołał za nią Jim, z trudem znajdując słowa. Kiedy drzwi zamknęły się za hrabiną, odwrócił się do Angie. – Dlaczego na to pozwoliłaś? – zapytał.

–Ponieważ uznałam, że zasłużyła na szansę powiedzenia ci tego wszystkiego, a poza tym chciałam zobaczyć, jak zareagujesz.

Jim niespodziewanie uśmiechnął się do niej.

–I co, zdałem egzamin?

–Tak – odparła. – Celująco.

–To dobrze.

–Zgodnie z oczekiwaniami. Wiedziałam, że tak będzie. Ale dlaczego jeszcze się nie kładziesz? Ja w tym czasie zaparzę ci herbaty.

–O niczym innym nie marzę – powiedział Jim.

Zaczął zdejmować swój odświętny strój. Picie herbaty na zakończenie dnia ma w sobie coś z rytuału, pomyślał, patrząc, jak Angie nalewa napój do kubka.

Podawała mu go i zaczęła pić małymi łydkami, czekając, aż herbata ostygnie do temperatury, jaką lubił. Angie zaczęła przygotowywać się do snu. Zgasiała wszystkie świece oprócz tej, która paliła się na nocnym stoliku po stronie Jima, po czym położyła się obok niego.

–Dzień się skończył – oznajmiła, odbierając od niego pusty kubek, by postawić go na stoliku po swojej stronie, i przytuliła się do męża.

–I dzięki Bogu! – odpowiedział.

Zdmuchnął ostatnią świeczkę. W ciemności czuł zapach dogasającego knota. Przytulona doniego Angie już zdążyła zasnąć. Oddychała powoli i głęboko. Ona też

miała za sobą długi i ciężki dzień.

Nagle znów poczuł przygnębienie z powodu niepowodzenia, jakim zakończyła się próba usunięcia blizny Geronde. Dlaczego pozwolił, by sprawa przybrała taki obrót? Dlaczego nie zwrócił się do Carolinusa, kiedy rana była jeszcze świeża? Oczywiście to wszystko stało się, zanim zrozumiał, co może działać magia.

Gdyby jednak o tym pomyślał, zwróciłby się do Carolinusa po prostu dlatego, że ten był jedyną osobą na tym świecie, która mogła mu pomóc.

W ponurym nastroju czynił sobie wyrzuty. Zanim jednak ściągnęły go na dno czarnej rozpacz, zapadł w sen.

Rozdział 48

Jim spał jak kamień. Jak omszały głaz spoczywający na dnie oceanu, pięć kilometrów pod powierzchnią. Ostatnio dużo sypiał, ale nie pamiętał, aby kiedykolwiek spał tak głęboko.

Obudził się i przez moment nie wiedział, gdzie się znajduje. Jednak sen szybko się rozwiął.

Jakimś cudem leżał w swoim własnym łóżku w słonecznej komnacie, najwyraźniej przeniesiono go tutaj, kiedy spał. Był późny ranek i Jim zupełnie oprzytomniał.

Z jakiegoś powodu czuł się wspaniale. Ważne, najważniejsze sprawy były już pod kontrolą. Wygrali bitwę i gobliny uciekły. Książę i Joanna zapewne już odjechali – szczęśliwi. Król, według zapewnień Joanny, również wyjedzie uszczęśliwiony. Ślubna uroczystość odbyła się bez żadnych zgrzytów, a Geronde zdołała przy świadkach zwrócić złoto Brianowi.

Czuł się jak po długo oczekiwanym zjeździe rodzinnym, który był bardzo radosny, ale dobrze, że się już skończył. Szkoda tylko, że Angie już wstała i wyszła. Chciałby powiedzieć jej, jak dobrze się czuje, i chętnie wypiłby zaparzoną przez nią herbatę... A teraz oczywiście będzie musiał wezwać służącą... nie, nie ma mowy, napój smakowałby jak pomyje i popsuł mu cudowny dzień. Może zrobi to sam, ale nigdy nie wychodziło mu to tak dobrze jak Angie.

Właściwie czemu nie? Odrobina wysiłku dobrze mu robi. Może z czasem nabierze wprawy i dowie się, w jaki sposób Angie dokonuje tego cudu. Wyskoczył z łóżka i umieścił nad ogniem długi, pociemniały metalowy pręt z zawieszonym na końcu czajnikiem, tak by woda szybko się zagotowała.

Czekając, aż to nastąpi, włożył przyjemnie miękką, sięgającą do kostek koszulę z czerwonej flaneli, która od kilku lat służyła mu jako szlafrok, i usiadł na łóżku. Zaledwie to zrobił, otworzyły się drzwi. Angie weszła do środka i zamknęła je za sobą, nie czekając, aż zrobi to służąca. Włosy miała w lekkim nieładzie.

–Gdzie...? – zaczął, ale tylko tyle zdążył powiedzieć.

–Pomagałam Joannie, która odjechała z Edwardem – powiedziała. – Za minutkę wrócę. Niania Roberta obawia się, że mały ma koklusz! Może to fałszywy alarm, ale... Zaraz wracam!

Podszedłszy do drzwi, przystanęła na moment.

–Widziałam Geronde. Jej blizna znikła. Nic nie mów nikomu! Zaraz wrócę!

Drzwi otworzyły się i znów zamknęły. Wyszła, zanim zdążył powiedzieć choć słowo.

Blizna znikła? Jak? Nie, nie i powiedział sobie w duchu, mając wrażenie, że ten piękny dzień rozsypuje się na kawałki, jak rozbite lustro.

Dopóki Angie nie wróci, nie będzie nawet myślał o tym, co przed chwilą usłyszał. Po tak pomyślnym rozwiązaniu wszystkich problemów jeszcze i to... Zbyt niewiarygodne, żeby w to uwierzyć.

Po kolei, po kolei, powtarzał sobie, starając się odzyskać poprzedni wspaniały nastrój. Jednak nie udało mu się. Zapomniawszy o herbacie, usiadł, opierając się plecami o wysokie i twarde wezgłowie łóżka, roztrząsając w myślach przekazaną

przez Angie wiadomość.

Blizna znikła? Jak to możliwe – po takim czasie? To przeczyło jego coraz silniejszemu przekonaniu, że czysta magia jest naturalną siłą tego świata, surowcem, który ludzie mogą wykorzystywać, jeśli tylko wiedzą jak lub jeśli wprowadzą się w swego rodzaju trans, tak jak on to zrobił w Tiverton. Czyżby w zamku był jeszcze ktoś, kto posługiwał się magią?

Zniknięcie blizny Geronde stało w sprzeczności ze wszystkim, czego dotychczas dowiedział się o magii: było sprzeczne z całą wiedzą Carolinusa, a nawet Son Won Phona specjalizującego się w usuwaniu blizn. Ponadto całkowicie i nieodwołalnie obalało teorię Jima. W myśl której doprowadził do tego, że Brian noc poprzedzającą ślub z Geronde spędził na modłach w kaplicy. Właściwie Jim wcale go do tego nie namawiał, ale znając go, powinien się czegoś takiego spodziewać. Przyjaciel niczego nie robił połowicznie, we wszystko wkładał całe serce i duszę.

Co więcej. Son Won Phon nie przyznałby, że jego magia nie zadziałała, i nic opuściłby zamku, gdyby wiedział, że jest choć cień nadziei na sukces.

Wyobraźnia podsuwała Jimowi jedno nieprzyjemne wyjaśnienie za drugim. A jeśli blizna faktycznie zniknęła, lecz ta zmiana jest tylko chwilowa? Co jeśli za kilka dni, a nawet po kilku miesiącach, blizna pojawi się ponownie – ku niewypowiedzianej rozpaczy Geronde?

A przede wszystkim co będzie, jeśli to jego działania w połączeniu z magią Son Won Phona sprawiły, że blizna znikła, a potem znów się pojawi? Nigdy nie zdoła o tym zapomnieć ani naprawić tego, co zrobił. W końcu był tylko niedowarżonym adeptem sztuki magicznej, pomimo wszystkich błyskotliwych teorii popartych wiedzą z odległej o sześćset lat przyszłości.

Ta myśl była nie do zniesienia.

I jak wyjaśnić Angie – gdyż niewątpliwie prędzej czy później spróbuje to zrobić – że to on jest za to odpowiedzialny? Będzie musiał jej powiedzieć, ponieważ nie będzie w stanie dłużej dźwigać tego ciężaru w swoim sumieniu.

Oczywiście Angie będzie wstrząśnięta, chociaż postara się to ukryć i pocieszyć go, mówiąc mu, że przecież miał dobre chęci, a poza tym i tak nikt nie mógł nic na to poradzić.

Wyobrażał sobie, jak blizna pojawia się ponownie, a Angie mówi, choć Geronde jest jej najlepszą przyjaciółką: „Już ją miała. Znów się do niej przyzwyczai”. I zapewne ta dzielna kobieta tak robi. Geronde była jedną z najodważniejszych osób, jakie znał Jim. O Boże, kobiety pomimo całej swej delikatności i czułości potrafią być czasem zaskakująco twarde i pragmatyczne, zwłaszcza wobec innych przedstawicielek swojej płci, szczególnie zaś, kiedy chodzi o dobro męża lub dzieci.

Przypomniawszy sobie May Heather – która była aniołem miłosierdzia dla pacjentów w izbie chorych – mówiącą o karceniu trzynastoletniej Lise: „Musi przejść szkołę życia, milordzie”.

A może jest to cecha charakteru, której mężczyźni nie mają?

Nie. Również pod tym względem mężczyźni i kobiety wcale tak bardzo się nie różnili; mężczyźni także potrafili być dla siebie okrutni. Pamiętał, jak przed kilkoma

laty, kiedy od niedawna przebywał w tym świecie, wraz z Dafyddem i innymi, w tym drużyną zbrojnych Jima, przepędzili bandę piratów, którzy zapuścili się w głąb lądu, aby napaść na zrujnowany i słabo broniony zamek Briana.

Wyszkoleni ludzie w pełnych zbrojach przeszli jak po moście po kiepsko uzbrojonych i wyćwiczonych piratach, chociaż ci mieli dwukrotną przewagę liczebną. Jim wówczas bardzo słabo posługiwał się bronią, ale był podekscytowany i czuł się niepokonany w kolczudze i hełmie, nacierał więc na chudego obwiesia uzbrojonego tylko w kordelas. Sądził, że w mgnieniu oka położy przeciwnika, gdy ten niespodziewanie kopnął go od dołu pod kolczugę, trafiając w krocze. Jim zgiął się wpół z bólu, a chudy pirat uciekł wraz z pozostałymi przy życiu kamratami. Brian pospieszył do przyjaciela, ale kiedy Jim powiedział mu, co zaszło, wierny i wypróbowany towarzysz ryknął gromkim śmiechem i klepnął go w ramię.

–Bez obawy, mój drogi! – zawołał, krztusząc się ze śmiechu. – Od tego nie umrzesz!

Jim uśmiechnął się na to wspomnienie i mimo wszystko poczuł się lepiej. Brian miał rację. Podczas walki na noże i miecze kopniak w genitalia to drobiazg niewarty wzmianki.

Przypomniał sobie, że po pierwszym odruchu złości nawet wtedy nie gniewał się na Briana. Zirytował go ten brak współczucia, ale nie rozgniewał. Dafydd i Danielle również słyszeli słowa i śmiech Briana. Oboje brali udział w potyczce, w tych czasach bowiem, kiedy chodziło o przetrwanie, kobiety walczyły ramię w ramię z mężczyznami, Danielle zaś z pewnością lepiej niż Jim władała nożem, a być może i mieczem, a w posługiwaniu się łukiem Jim z pewnością nigdy nie będzie w stanie jej dorównać.

Mimo wszystko Brian zareagował wtedy w sposób typowy dla człowieka średniowiecza i Jim niczego innego się nie spodziewał. Nie, takie zachowanie tych ludzi wcale go nie denerwowało. Teraz zdał sobie sprawę z tego, że jednak było coś, co go rozzłościło: niespodziewany, całkowity brak zrozumienia, jaki wykazali wszyscy, od króla aż po Briana, przy łożu śmierci sir Verweathera. Wprawdzie wypowiadali słowa przebaczenia, jakby odprawiali jakiś rytuał, lecz Jim nie słyszał w ich głosach nuty litości ani współczucia dla umierającego. To go zdenerwowało.

Sam się nie spodziewał, że tak to odczuje.

W przypadku kobiet, zwykle tak chętnie okazujących wrażliwość i uprzejmość, taka nieczułość wywoływała szok u mężczyzny, kiedy pierwszy raz się z nią zetknął. Nie żeby kiedykolwiek Angie...

Gwałtownie otworzyła drzwi, wpadła do komnaty i zamknęła je za sobą.

–Tak jak myślałam! – powiedziała, idąc przez pokój. – Nic takiego. Fałszywy alarm. Nie ma temperatury, czoło chłodne, wesoło gaworzy... Co ty wyprawiasz, chcesz spalić czajnik?

Już miała zdjąć czajnik z ognia, ale zawahała się.

–Chciałeś zaparzyć sobie herbatę? Tak? W czajniku zostało dosyć wody akurat na jeden kubek. Mam ci zaparzyć? Jim, czemu tak na mnie patrzysz? Czy powiedziałam coś nie tak?

–Nie, nie – zapewnił pospiesznie. – Nie o to chodzi. Widzisz... ale to dość skomplikowane. Zaparzysz mi herbatę? Proszę. Trochę trudno to wytłumaczyć, ale jak się napiję herbaty, to może rozjaśni mi się w głowie.

–Oczywiście! – odparła i spojrzała na niego niespokojnie. Zdjęła czajnik z metalowego pręta. – Siedź spokojnie. Nie ruszaj się. Zostań tam, gdzie jesteś.

–Dobrze – obiecał. – Chodzi o to, że magia potrafi płatać figle...

–Nic nie mów. Tylko siedź i spokojnie oddychaj. Odpręż się, mamy mnóstwo czasu. Zdążysz opowiedzieć mi wszystko, kiedy wypijesz herbatę.

–Problem w tym, że wciąż wypróbuję różne metody...

–Siedź. Oddychaj. Nie ruszaj się! Nie myśl!

–Dobrze – odparł z westchnieniem i zamilkł. Nie mógł jednak przestać myśleć.

Gdyby tylko przed rozmową z Brianem zapytał Carolinusa, gdyby powiedział o swojej teorii jednemu z trzech najlepszych magów na świecie... Teraz już za późno, żeby to naprawić. Magia Son Won Phona została zmarnowana, a raz użyta magia nie...

–Nie! – wykrzyknął radośnie i zobaczył, że Angie podaje mu kubek z herbatą.

–Myliłem się! – wybełkotał. – Zapomniałem o...

–Nie rozlej herbaty!

–Dobrze! – obiecał uradowany. Poczował aromatyczny zapach. „Błogosławiony napój” – tak ktoś nazwał kiedyś herbatę. Upił łyk. Była cudowna i nie tak gorąca, by trzeba było czekać, aż ostygnie. Przełknął. – Wszystko w porządku! – powiedział, promiennie uśmiechając się do Angie i oddając jej pusty kubek. – Wszystko jest w absolutnym porządku. Nie ma pośpiechu. Najpierw ty mi powiedz, cóż to za dobra wiadomość, z jaką tu przybiegłaś?

–Na pewno dobrze się czujesz?

–Teraz już tak. Mów.

–Mały Robert wcale nie jest chory!

–Tak, tak. A Geronde...

–Geronde! – wykrzyknęła Angie. Z trzaskiem odstawiła pusty kubek na nocny stolik z prawej strony łóżka, odwróciła się i podeszła do kredensu po jedzenie i picie. – Blizna Geronde zniknęła! Trzeba to uczcić! Ja też się napiję herbaty! Chcesz jeszcze jeden kubek? Albo nie. Wina! Przynajmniej dla mnie!

Otworzyła drzwiczki kredensu.

–A ty? Chcesz wina?

–Tak, owszem – odparł, przymykając oczy ze szczęścia. Pamięć w samą porę przyszła mu z pomocą, zanim zdążył niepotrzebnie przestraszyć Angie złymi wiadomościami.

Co tam błogosławiony napój! Należało raczej powiedzieć błogosławione słowa. Te wypowiedziane przez Carolinusa, kiedy mag tłumaczył mu, że powinien odpoczywać, czy mu się to podoba, czy nie, ponieważ nic nie poradzi na napady senności. Jim pospiesznie odszukał w myślach odpowiedni ustęp w pomniejszonym do mikroskopijnych rozmiarów dziele, którego w naturalnej wielkości nie byłby w stanie unieść. Kiedyś musiał powiększać je, żeby do niego zajrzeć. Teraz potrafił czytać

niepostrzeżenie na oczach innych.

Znalazł fragment, o który mu chodziło, brzmiał dokładnie tak, jak zacytował Carolinus: „Magia dokonana jest nieodwracalna!”

Ha! Jeśli blizna znikła, to żadna siła na tym świecie czy też jakimkolwiek innym nie zdoła jej przywrócić. Została usunięta, zniszczona, zatarta na zawsze.

Niewiele brakowało, a niepotrzebnie zgasiłby radość Angie wywołaną cudownym zniknięciem szramy z policzka Geronde. Oczywiście! Teraz widział to równie jasno jak wschód słońca po ciemnej nocy. Miał rację! Wszystko znów nabrało sensu. Ani Son Won Phon, używając magii, ani Jim w swoich teoretycznych rozważaniach nie popełnił błędu.

Niewątpliwie magia Son Won Phona zapoczątkowała proces, który później wymagał jeszcze Wiary i Miłości – właśnie w takiej kolejności – aby dokonał się cud. Modły Briana w kaplicy oraz niezmienna miłość jego i Geronde sprawiły, że magia zaczęła działać. I najszcześniejsza chwila w ich życiu – noc poślubna!

–Od tak dawna się kochają! – mówiła Angie, stojąc przy kredensie i nalewając wino do dwóch wysokich kielichów zapomnianych niegdyś przez króla. – A teraz to zwieńczenie wspaniałego ślubu! Obudziła się dziś rano i zobaczyła, że blizna zniknęła! Czy uwierzysz...

Nagle urwała i spojrzała na niego.

–Przecież, ty to zrobiłeś, prawda? – zapytała.

–Nie – odparł, czując przepelniającą go radość. – Wcale nie ja! To Brian i Geronde. Oni tego dokonali.

–Brian i Geronde? – powtórzyła Angie, wciąż stojąc przy kredensie z kielichami w dłoniach i ze zdziwieniem patrząc na Jima.

–Właśnie – odparł. – Oni sami. Przynieś wino i usiądź przy mnie. – Podeszła do łóżka. – Dobrze. Oddaj mi te kielichy, potrzymam je, żebyś mogła obejść łóżko i usiąść obok mnie... Świetnie. Teraz trzymaj swój kielich, a ja wezmę ten.

Popatrzyła na niego czujnie, ale wzięła puchar.

–Siedzisz wygodnie? – zapytał. – To dobrze. Teraz wszystko ci opowiem.

Tak też zrobił.

Nota historyczna

Małżeństwo Edwarda, księcia Walii i następcy tronu Anglii po Edwardzie III, z Joanną z Kentu było jednym z rzadko spotykanych w królewskich rodzinach związków z miłości, a nie dyktowanych względami politycznymi.

Uwieńczyło wieloletnią miłość, sięgającą czasów ich dzieciństwa spędzonego na dworze Edwarda III, ojca księcia, i wymagało papieskiej dyspensy, ponieważ byli kuzynami.

Joanna, którą z czasem zaczęto nazywać Pięknym Dziewczęciem z Kentu, urodziła się w 1328 roku jako córka Edmunda Plantageneta, earla Kentu, i z tego względu później otrzymała tytuł hrabiny Kentu. Sir Jean Froissart, największy kronikarz wojny stuletniej między Francją a Anglią oraz czternastego wieku, pisał o niej jako o *la plus belle dame de tout le roialme d'Engleterre, et la plus amoreuse...* (najpiękniejszej i najbardziej kochanej damie w królestwie Anglii...).

Małżeństwo z księciem było dla Joanny trzecim z kolei, on zaś wcześniej nie był żonaty. Pobrali się, kiedy oboje byli już po trzydziestce – późno jak na pierwsze małżeństwo księcia, który miał zasiąść na tronie. Jednak więzy pokrewieństwa, okoliczności, jak również prawo kanoniczne nie pozwoliły im na wcześniejsze zawarcie związku.

Młody Edward – bez żadnego istotnego powodu nazwany Czarnym Księciem, być może ze względu na czarny płaszcz, który narzucił na zbroję przy kilku szczególnie ważnych okazjach – nigdy nie zasiadł na tronie Anglii. Ojciec żył dłużej od niego. Księżę, poczynając od interwencji we Francji, która doprowadziła do zwycięstwa Anglików w bitwie pod Crécy, po której został pasowany na rycerza w wieku zaledwie piętnastu lat, jeszcze wielokrotnie wykazywał talenty dowódcy.

Joanna po raz pierwszy wyszła za mąż w wieku dwunastu lat. Poślubiła Thomasa Hollanda, młodego zawodowego żołnierza. Było to małżeństwo zawarte w tajemnicy, ale najzupełniej legalne – *per verba de praesenti*, jak ujmowało to kościelne prawo.

Holland wyjechał, by wziąć udział w bitwie morskiej pod Sluys. a potem zdobywać stawę w wojnie z tatarskimi hordami, które najechały Prusy. Tymczasem krewni Joanny, zaniepokojeni jej szybkim dojrzewaniem, postanowili wydać ją za Williama Montague'a, który później został earlem Salisbury. Holland – wówczas już sir Holland – po powrocie zwrócił się do Montague'a, wtedy już Salisbury'ego, z żądaniem, by oddał mu Joannę. Salisbury odmówił.

Joanna pochodziła z królewskiego rodu Plantagenetów, tak więc decyzję o jej rozwodzie z Salisburyem mógł podjąć tylko trybunał papieski, w owym czasie mieszczący się w Awignonie, w południowej Francji. Koszt takiego procesu przekraczał w tym czasie finansowe możliwości Hollanda, który dopiero podczas oblężenia Calais wziął do niewoli francuskiego hrabiego d'Eu, za którego król Francji zapłacił Hollandowi 89 000 florenów okupu.

Zdobywszy tę fortunę, Holland w 1349 roku zdołał nakłonić trybunał papieski do wydania bulli uznającej Joannę za jego małżonkę i unieważniającej jej ślub z Salisburyem. Pozostali małżeństwem do jego śmierci w dziesięć lat później i mieli jeszcze kilkoro dzieci, już wcześniej bowiem Joanna miała dzieci zarówno z

Hollandem, jak i Salisburym.

Holland rozślawił się jako rycerz i został jednym z dwudziestu czterech Rycerzy Okrągłego Stołu, to znaczy otrzymał ten honorowy tytuł ustanowiony przez króla Edwarda III i księcia, zaczerpnięty z legend o królu Arturze. Później zaczęto nazywać ich Kawalerami Orderu Podwiązki.

Holland został w końcu mianowany naczelnym dowódcą angielskich wojsk lądowych we Francji i Normandii. Wkrótce potem zmarł. Wówczas Joanna w tajemnicy poślubiła księcia.

Król miał inne plany małżeńskie wobec swego syna i dziedzica, wpadł więc w gniew, dowiedziawszy się o potajemnym ślubie. Mimo to ochłonął na tyle, by zwrócić się do papieża z prośbą o odstąpienie od ekskomuniki, która groziła im za naruszenie prawa kanonicznego zakazującego zawierania małżeństw między kuzynami pierwszego stopnia.

Ponieważ według bulli papieskiej małżeństwo Joanny z Hollandem miało moc prawną, po jego śmierci można było ogłosić jej zaręczyny z księciem i niebawem odbył się oficjalny, choć cichy ślub. Joanna miała z księciem dwóch synów. Młodszy został królem Anglii. Ryszardem II, gdyż starszy w tym czasie już nie żył.

Sani książę zmarł w 1376 roku na skutek choroby, której nabawił się kilka lat wcześniej podczas wyprawy do Hiszpanii. Joanna zmarła w 1385 roku. Zgodnie z jej ostatnią wolą została pochowana nie obok księcia, lecz przy pierwszym mężu, Hollandzie. Kaprys historii sprawił, że syn jej i księcia, Ryszard II, został obalony, a następnie zamordowany przez uzurpatora Henryka IV. Co więcej, inny jej syn, John Holland, diuk Exeter, i jej wnuk, Thomas Holland, diuk Surrey, zostali zabici jako przeciwnicy Henryka IV.

Jak zauważył Froissart, chociaż Joanna była najpiękniejszą i najbardziej kochaną kobietą w Anglii, wszyscy jej potomkowie mieli pecha.

**This file was created with BookDesigner program
bookdesigner@the-ebook.org
2010-10-29**

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/